

A person is standing on a concrete staircase, viewed from behind. The person is wearing dark clothing. To the left, the wall is splattered with red blood. The scene is lit from a window in the background, creating a silhouette effect. The overall mood is dark and gritty.

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
TYLKO
UMARLI WIEDZĄ

Ryszard Ćwirlej to niekwestionowany mistrz powieści kryminalnej. Światowa liga! Katarzyna Bonda



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
TYLKO
UMARLI WIEDZĄ



Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2017
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski
Redakcja: Lidia Wrońska-Idziak
Korekta: panbook.pl
Projekt okładki: Katarzyna Borkowska
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografia na okładce:
© Yolande de Kort/Arcangel Images

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-598-0

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Prolog

Schneidemühl

Poniedziałek, 11 lipca 1932 roku

Godzina 11.20 wieczorem

Wieczór był piękny. W rozgrzanym całodziennym upałem powietrzu unosił się ten jedyny w swoim rodzaju letni zapach kwitnących w przydomowych ogródkach kwiatów, zmieszany z lipowym aromatem dostojnych, rozłożystych drzew, rosnących wokół kościoła Świętych Janów. Od płynącej w dole, na prawo od Wasserstraße, Gordaliny, która była niewielką odnogą rzeki Küddow, wiał lekki wiatr, który przyjemnie chłodził rozgrzaną głowę Maxa Wargatscha, od ponad trzech lat bezrobotnego, byłego pracownika kolejowego i jednocześnie działacza Komunistycznej Partii Niemiec, zdeklarowanego wielbiciela Józefa Stalina i cieszącego się sympatią samego towarzysza Ernsta Thälmana. Jak to z tą sympatią było naprawdę, nikt z jego miejscowych towarzyszy do końca nie wiedział. No, ale skoro Wargatsch tak mówił, to pewnie tak musiało być i nikt nie miał powodów, by to sprawdzać. Zresztą nie było jak. Thälmann siedział przecież w Berlinie, a Wargatsch, to wiedzieli wszyscy, dwa razy jeździł do stolicy na partyjne spotkania i wtedy właśnie miał poznać samego przywódcę Komunistycznej

Partii Niemiec. Tam radzili o ważnych rzeczach, a oni tu, na samych kresach kraju, działali dla dobra całej niemieckiej klasy robotniczej, przygotowując się do nadchodzących wyborów do Reichstagu.

Dzisiejszego wieczoru też się przygotowywali. Cały zarząd miejscowej komórki partyjnej, składający się oprócz Wargatscha jeszcze z trzech osób: Walthera Junga, od trzech lat bezrobotnego, byłego pracownika meblarni, Oskara Wittmanna, stolarza, który też był bezrobotnym, i Ernsta Bauera, zredukowanego kancelisty, spotkał się w winiarni Paula Dreiera przy Neuer Markt. Omawiali sprawy organizacji najbliższego wiecu, który miał się odbyć za dwa dni, analizując przede wszystkim kwestię zapewnienia bezpieczeństwa jego uczestnikom. Spodziewali się, że na wiec może przybyć nawet ponad dwustu towarzyszy. Właśnie dlatego do obstawienia budynku, a także do pilnowania porządku w środku potrzeba było co najmniej pięćdziesięciu ludzi. Jung, który odpowiadał w partii za kwestie bezpieczeństwa, twierdził, że zebranie tylu ochroniarzy nie będzie żadnym problemem. Wielu jego ludzi liczyło po cichu, iż na takim dużym wiecu pojawią się jacyś nieproszeni goście z SA, którymi z największą ochotą się zajmą. Mieli w końcu do wyrównania sporo rachunków z ostatnich kilku lat. I właściwie na rozmowie o kwestiach organizacyjnych miejscowi przywódcy poprzestali, bo nic innego nie pozostawało im do przedyskutowania. Inne sprawy były poza ich zasięgiem, bo o tym, co będzie na wiecu, żaden z nich nie miał bladego pojęcia. Przemówieniami mieli się zająć towarzysze, którzy przyjadą do nich tego dnia z Königsbergu. Dlatego, nie mając już żadnych kwestii do obgadania, zabrali się jak zwykle za jedzenie i picie. Tym bardziej ochoczo, że Wargatsch płacił za wszystko z partyjnej kasy. Winiarnia Dreiera była znana z tego, że podawano tam nie tylko wino, lecz także doskonałe miejscowe piwo. A tak się akurat złożyło, że cała czwórka

należała do grona zdeklarowanych piwoszy. Zamówili więc piwo i parówki, a potem jeszcze jedną kolejkę i następną... Przy piątej Wargatsch, który nigdy nie miał zbyt tęgiej głowy do picia, stracił rachubę.

Teraz szedł chwiejnym krokiem w kierunku swojego domu, starając się przypomnieć sobie, ile właściwie dziś wypił. Ale z rachunków nigdy nie był zbyt dobry. Chcąc się bardziej skupić, przystanął przed wystawą sklepu obuwniczego, ale buty nie interesowały go w tej chwili. Próbował na palcach porachować te wypite piwa, lecz gdy zatrzymywał się na piątym palcu, bo jego ręka miała akurat pięć palców, musiał się zastanowić i odszukać szósty. No i wtedy, gdy już go znajdował na drugiej ręce, zaczynał od nowa, od pierwszego piwa. Najwyraźniej nie szły mu te podliczenia, po piątej albo szóstej próbie machnął więc ręką i ruszył dalej. Minał właśnie kościół Wspólnoty Luterkańskiej, który niegdyś należał do sekty Jana Czerskiego, i wkroczył na Alter Markt, od kilku lat noszący dumne imię Hindenburga. Po lewej stronie dojrzał skąpany w świetle ulicznych latarni pomnik w kształcie rotundy, poświęcony bohaterom Wielkiej Wojny. Na placu nie było żywego ducha i Wargatsch przez chwilę zastanawiał się, czy aby nie przejść przez brukowaną jezdnię i nie wleźć do tej rotundy, bo nagle poczuł, że musi koniecznie się wysikać. Już chciał to zrobić, gdy nagle dostrzegł idących od strony Backerstraße trzech mężczyzn ubranych w robociarskie fartuchy. Wyglądali tak, jakby właśnie odeszli od swojego stanowiska pracy w jakimś warsztacie. Zrezygnował więc szybko z pomysłu odlania się na narodową świętość i spojrzał w prawo na schodzącą do rzeki niewielką Garberstraße, przy której kiedyś mieściły się warsztaty garbarskie, a teraz znajdowały się pralnia i magiel. To było jakieś rozwiązanie. Zejdzie sobie po cichutku i wysika się pod ścianą pralni, bo tam na szczęście nie było żadnego ulicznego oświetlenia. Można nawet powiedzieć, że

w tym niewielkim zaułku panowały egipskie ciemności. Zadowolony Wargatsch ruszył w tamtym kierunku, mijając solidną bramę zakładu mechanicznego Ferdynanda Thomali, małego grubego skurwysyna, który w zeszłym roku odgrażał się, że on sam niedługo zrobi w mieście porządek ze wszystkimi komunistami i Żydami. Że z komunistami, to akurat rozumiałe. Thomala należał do NSDAP i jak najbardziej mógł chcieć pozbyć się konkurentów komunistów, ale po jaką cholere chciał się pozbyć Żydów, tego Wargatsch nie mógł zrozumieć. Ten ich cały antysemityzm był kompletnie idiotycznym poglądem. Przecież Żydzi w żadnym wypadku nie konkutowali z partią faszystowską. Antyżydowska retoryka faszystów nie miała żadnego sensu. W końcu ci Żydzi byli takimi samymi Niemcami, jak oni wszyscy. Nawet nie dawało się ich rozpoznać po tym, jak mówili czy jak wyglądali, bo byli tacy jak wszyscy inni Niemcy. Tyle tylko, że mieli jakąś tam inną religię. No, ale przecież faszyści nie wyróżniali się specjalnie religijnością. Więc o co im do cholery chodziło? – nie mógł zrozumieć tej pokrętej antysemickiej logiki. Wszystko przez tego małego krętacza ze śmiesznym wąsikiem, który własne antyżydowskie fobie opisał w nudnej jak flaki z olejem książce *Mein Kampf*, a ci durnie z jego partii podchwycili je i zaczęli głosić hasła o wyższości rasy germańskiej nad semicką. Komunizm był przynajmniej prosty i nieskomplikowany. Chodziło w nim o redystrybucję dóbr, w wyniku przejęcia władzy przez proletariat. Czyli o to, że właścicielami fabryk i zakładów staną się robotnicy, którzy będą się dzielić tym wszystkim, co sami zarobią, i niczego nie oddadzą właścicielom, bo właściciele nie będzie. Wyróżnie się ich wszystkich, także tego małego zasańca Thomalę. Wargatsch uśmiechnął się do tych myśli, bo przez chwilę oczyma wyobraźni widział jak Thomala macha nogami wisząc na latarni. Ot, choćby tej najbliższej, na wprost bramy wjazdowej

do jego zakładu. Jak już się go powiesi, to on, towarzysz Wargatsch, pójdzie wprost do jego biura, siądzie w fotelu i weźmie jedno cygaro z tej kasetki, którą Thomala miał na biurku. I wtedy nareszcie nastanie rewolucyjna, socjalistyczna sprawiedliwość.

Stanął pod ceglana ścianą pralni i oparł się o nią dłonią. Drugą ręką rozpiął guziki rozporka. Zadowolony spojrzał w głąb uliczki, w kierunku rzeki. Tam, za ostatnim budynkiem, zaczynał się płot, a wzdłuż niego biegła wydeptana ścieżka, prowadząca do niewielkiej przystani, zakończona betonowymi schodkami wiodącymi wprost do wody. Pamiętał je jeszcze z młodych lat, kiedy z kolegami z podwórka wykorzystywali to zejście. Siadali na ostatnim stopniu i moczyli nogi w Gordalinie. Oczywiście nie kąpali się tutaj, bo rodzice wyraźnie tego zakazywali. W rzece nie wolno było się kąpać, bo prąd, mimo że na tej odnodze głównego nurtu Küddow znacznie wolniejszy, to nadal był i mógł być niebezpieczny. Dlatego latem chodzili się kąpać na drugi brzeg, dostając się tam przez drewniany mostek. Kilkadziesiąt metrów dalej, na łąkach, na których pasły się krowy, był sporych rozmiarów staw; zbiegały się do niego dzieciaki z całej okolicy. Po zabawie w wodzie wszyscy przyglądali się sobie wzajemnie, z uwagą, w poszukiwaniu pijawek. Zawsze znalazł się ktoś, komu trzeba było to paskudztwo zrywać ze skóry. Ale kto by się tam przejmował pijawkami!

– No proszę, kogo my tu mamy? – rozległ się jakiś głos za jego plecami. Natychmiast się odwrócił. Jakies dwa metry od niego stało dwóch mężczyzn. Było jednak za ciemno, by rozpoznać twarze. Widział tylko ich masywne sylwetki. Ale on także nie należał do ułomków. A poza tym potrafił i lubił się bić. Gdyby nie jego wielkie pięści, na pewno nie zaszedłby tak wysoko w hierarchii partyjnej.

– To, zdaje się, jest to komunistyczne ścierwo, Max

Wargatsch.

Poznał ten głos. Nie widział twarzy, ale dobrze wiedział, do kogo należy. Nawet uśmiechnął się, gdy udało mu się rozpoznać przeciwnika. Już dwa razy starł się z nim na pięści i dwa razy wygrał. Teraz też sobie poradzi, z oboma. Pochylił się lekko i uniósł dłonie zaciśnięte w pięści, czekając na ruch przeciwnika.

– No dalej, skurwysyny. Myślicie, że się was boję? Dalej, podejdź no tu który, a zaraz obiję wam te głupie mordy, że jeszcze przez miesiąc będziecie na nich nosić ozdoby od Maxa Wargatscha. Co, strach was obleciał, wy worki na gówno? Ruszać się albo spieprzać stąd. Wy tchórzliwe małpy, cholerni zasrańcy!

Żaden z nich jednak nie ruszył się z miejsca. Stali tak, jakby na coś czekali. Za późno to zrozumiał. Nagle poczuł uderzenie w lewą nogę, gdzieś w okolicach ścięgien łączących udo z goleniem. Kopniak był tak mocny, że Wargatsch natychmiast stracił równowagę i padł na bruk. Drugie uderzenie poczuł na plecach. Spróbował przeturlać się na bok, żeby uniknąć kolejnego ciosu, ale w tym momencie dopadli go ci dwaj, którzy wcześniej stali przed nim. Podbiegli i zaczęli go kopać ciężkimi, podkutymi butami. Czuł, że nie da rady się wyrwać. Pozostało tylko jedno.

– Ratunku! – zawołał najgłośniejszym jak potrafił, ale zaraz przerwał, bo na jego podbródku wylądował czyjś obcas gruchocząc kość.

– Wystarczy. Dosyć będzie. Halber, do cholery, powiedziałem, że już dość, bo ktoś tu jeszcze przylezie. Nie ma czasu.

– Co z nim?

– Bierzemy go dalej, tam za murem jest zejście.

Poczuł, że chwytają go pod ramiona i gdzieś wloką. Z nogi zleciał mu prawy but, gdy wciągali go w krzaki.

Nie czuł bólu. Jego organizm całkowicie zobojętniał. Ale

Wargatsch czuł zapach. Ten jedyny, niepowtarzalny, który towarzyszył mu od najmłodszych lat – zapach wody i rzecznego szlamu. Tak pachniała Gordalina. To była jego rzeka. Nad jej brzegiem przecież się wychował... A potem poczuł jej chłód, gdy woda zaczęła otaczać go zewsząd. W końcu ciemność zamknęła się nad nim i pochłonęła całkowicie, pociągając wraz z prądem, o którym mama tyle razy mówiła, że potrafi być bardzo zdradliwy.

Rozdział I

Schneidemühl

Wtorek, 12 lipca

Godzina 8.05 rano

Wielki perszeron, człapiąc nogą za nogą, szedł przez siebie, pociągając do przodu wóz z dwoma drewnianymi klatkami. Uwięzione w nich świnie zaczęły głośno kwiczeć, ale po chwili uspokoiły się, gdy wóz przejechał kilka metrów, znów się zatrzymał. Woźnica, w koszuli i kamizelce, ubrany jak do kościoła, nie musiał nawet ściągać ku sobie lejców. Koń stanął posłusznie jakiś metr przed tylną burtą poprzedzającej go furmanki. Były to już dwa ostatnie wozy tego poranka. Wcześniej przed nimi bramę rzeźni przekroczyło jakieś dwadzieścia transportów ze świniakami. We wtorek zawsze tak było, że rzeźnia odbierała żywiec od okolicznych chłopów. Podobnie wyglądały czwartki i soboty. Za to w poniedziałki, środy i piątki zarzynano bydło. Wprowadzono ten rozdział po to, żeby usprawnić robotę rzeźnikom, którzy zależnie od dnia tygodnia nastawiali się na konkretny rodzaj pracy. To pomagało również w obrocie już przygotowanym mięsem, bo każdy handlarz wiedział, czego w dany dzień może się spodziewać. A i ludzie kupujący też byli dzięki temu pewni, że idąc do

rzeźnickiego sklepu we wtorek, dostaną świeżą wieprzowinę, a dzień później wołowinę.

Dziś wozów przed rzeźnię podjechało więcej niż zwykle, bo przeważnie o tej porze było już dawno po świniobiciu. W rzeźni starali się wyrobić jak najszybciej, żeby kwiki zarzynanych zwierząt nie przeszkadzały urzędującym naprzeciwko ich bramy policjantom. No, ale nie zawsze się to udawało, mimo że skup i bicie zaczynały się już o czwartej rano. Dziś sobie nie poradzili i dlatego policjant, który pełnił służbę przed wejściem do budynku Dyrekcji Policji, podszedł do dwóch ostatnich wozów, żeby sprawdzić, którzy to gospodarze przyjechali do rzeźni ostatni, i żeby powiedzieć im, by na przyszłość wstawali wcześniej, bo policja nie życzy sobie, żeby w godzinach urzędowania jakieś świnie dały się pod oknami.

Dyrektor Policji w Schneidemühl obserwujący wjazd do rzeźni ze swojego okna, z uznaniem pokiwał głową, widząc, że policjant stanął na wysokości zadania i wydobywszy notes służbowy, zaczął spisywać spóźnialskich. Odwrócił się i podszedł do jednego z dwóch skórzanych czarnych foteli ustawionych pod przeciwległą ścianą. Na drugim fotelu siedział jego podwładny. Dowódca zajął miejsce.

– To dla nas wielki dzień, Carl. Rozumiesz, co to znaczy? Sam Führer Narodowosocjalistycznej Partii odwiedzi nasze miasto. Nie muszę ci chyba mówić, że zależy nam na godnym przyjęciu, a jednocześnie na zapewnieniu naszemu gościowi absolutnego bezpieczeństwa.

– Niby jak mam to przeprowadzić? Z tego, co się orientuję, na stadionie miejskim ma być nawet pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Rozumiesz to, Josph? Pięćdziesiąt tysięcy to więcej niż wszyscy mieszkańcy Schneidemühl. Jak w takim tłumie zapewnić mu bezpieczeństwo? Przecież jeśli ktoś chciałby...

– Nikt nie będzie chciał, bo ci ludzie są nastawieni ideowo. Ale jednak zawsze coś się może zdarzyć. Masz do pomocy

wszystkich naszych ludzi, lecz chciałbym też, żebyś ściśle współpracował z SA. Thomala mówi, że wybierze najlepszych z najlepszych spośród swoich. Oni zajmą się zabezpieczeniem porządku na stadionie i na trasie przejazdu.

– Najlepsi z najlepszych w SA? – Hauptmann Carl Aschmutat, wysoki blondyn z krótko przyciętymi włosami, o wysportowanej sylwetce, spojrzał na swojego szefa z niedowierzaniem, jakby ten wypowiedział właśnie jakąś kompletną bzdurę. – Przecież to brzmi jak kpina. Znasz tych idiotów śmierdzących piwem i objadających się parówkami, tych przesiąkniętych tanim tytoniem pętałów z wielkimi brzuchami. Czy myślisz, że ktoś taki może się do czegoś przydać?

Dyrektor Policji w Schneidemühl, Oberst Joseph Gruen, uśmiechnął się lekko. Dobrze wiedział, o kim mówi Carl. Znał ich wszystkich. Przynajmniej tych najważniejszych, z pierwszego szeregu, miejscowych piwożłopów i awanturników, leserów i obiboków, którzy po wstąpieniu do SA nagle stali się najlepszymi synami tej ziemi. No, ale tak zawsze się działo, podczas każdej rewolucji, że do zwycięskiego ruchu dołączały elementy, dla których najważniejsze było płynąć z prądem. Gruen dobrze wiedział, że całe SA to zbiorowisko mętów społecznych. Ale z nimi już niedługo zrobi się porządek. Najpierw trzeba jednak przejąć władzę w całym kraju, a do tego oni jeszcze byli potrzebni. Później zastąpią ich tacy odpowiedzialni i prawi ludzie jak on sam. Ludzie spod znaku SS. Fakt jego przynależności do tej elitarniej organizacji na razie stanowił tajemnicę, bo inaczej Gruen nie mógłby być miejscowym dyrektorem policji. Ale Joseph wierzył mocno, że przyjdzie taki dzień, być może już po najbliższych wyborach, kiedy jego partia przejmie władzę, a on będzie mógł wejść do budynku Policji w swoim eleganckim, czarnym mundurze.

Zadowolony z tych myśli, spojrzał na swojego podwładnego. Carl siedział w głębokim skórzanym fotelu tuż obok. Oddzielał

ich tylko niewielki dystans, wyznaczony przez mały, okrągły stolik kawowy. Nie było na nim jednak filiżanki z kawą. Stały za to dwa kieliszki i butelka martella. Gruen podniósł ją i rozlał koniak. [L.J]

– Proszę. – Przesunął napełniony do połowy kieliszek w kierunku podwładnego. Nie było w tym nic dziwnego, że szef częstował swojego pracownika koniakiem. Nie w tym przypadku. Gruen i Aschmutat znali się od lat. Obaj zaczęli pracę w mieście w tym samym czasie i obaj byli wówczas Oberleutnantami z frontową przeszłością. Później Gruena przeniesiono do Berlina; tam w ciągu kilku lat zrobił karierę. Kariera polegała na tym, że dosłużył się stopnia Obersta. Pół roku temu znów pojawił się w Schneidemühl, a w teczce przywiózł własną nominację na dyrektora miejskiej policji, zastępując Obersta Ludwiga Schustera, który od swojego następcy dowiedział się, że właśnie przeszedł na emeryturę.

Natychmiast po powrocie do miasta nowy dyrektor przypomniał sobie o swoim dawnym koledze. Wezwał go do siebie i jeszcze tego samego dnia powierzył mu stanowisko kierownika Wydziału Kryminalnego. Carl zgodził się na tę nominację, bo nie wiązała się z usuwaniem kogokolwiek ze stanowiska. Miejsce, które zajmował, było nieobsadzone od pół roku.

– Twoje zdrowie! – Aschmutat uniósł kieliszek i stuknął nim w drugi. Gruen uśmiechnął się zadowolony.

– Raczej powinniśmy wypić jego zdrowie.

– Kogo masz na myśli?

– Jak to kogo? Tego, który wkrótce do nas przyjedzie, Adolfa Hitlera. Powiadam ci, Carl, że teraz, gdy NSDAP wygra wybory, wszystko w tym kraju się zmieni. Nastaną nowe czasy. To będzie naprawdę dobra zmiana. Niemcy wreszcie wstaną z kolan.

Carl wzruszył ramionami. Jakoś dotąd nie zauważył, by

Niemcy były na kolanach. Owszem, traktat wersalski uważał za europejską hańbę i narodową porażkę, ale nie katastrofę. Niemcy zawsze potrafiły wyjść z najtrudniejszej sytuacji jeszcze bardziej wzmocnieni, więc i teraz dadzą sobie radę. Nie był entuzjastą Hitlera ani tym bardziej jego partii. A porządków, które mogli wprowadzać ludzie pokroju Ferdynanda Thomali z miejscowej SA, najzwyczajniej się obawiał. Jedyna nadzieja, że nad tym motłochem zapanują ludzie tacy jak Gruen. Bo Oberst był porządnym człowiekiem. On naprawdę wierzył, że Niemcy muszą przejść narodową rewolucję, która jest jedyną receptą na kryzys gospodarczy, ale też kryzys moralny.

– Jego zdrowie, powiadasz? – Carl poruszał kieliszkiem, żeby zamieszać alkohol, a potem przyłożył nos do krawędzi, sprawdzając jakość uwolnionego aromatu. – Zdarzało mi się z nim pić francuskie wino, ale jego zdrowia nigdy. Zresztą on mojego też nie pił.

Gruen aż podniósł brwi w zdumieniu.

– Czy ty chcesz powiedzieć, że piłeś wino z Adolfem Hitlerem?

– No może niedokładnie z nim samym. Dzieliła nas w końcu kolosalna różnica w hierarchii służbowej. Ale przypominam sobie moment, kiedy chłopcy, było to zdaje się pod Arras, zimą siedemnastego roku, wyfasowali gdzieś w jakiejś francuskiej zagrodzie ogromną beczkę czerwonego wina. Zeszliśmy akurat z pozycji i mieliśmy trzy dni odpoczynku, więc jak to zwykle bywało, nasi żołnierze rozeszli się po okolicy, żeby sprawdzić, czy nie da się znaleźć czegoś do zjedzenia. No i wrócili z tą beczką. Nie było takiej siły, która by im zabroniła dobrania się do niej. Jedyne, co mogłem wtedy zrobić, to dać im moją manierkę, żeby i mnie nalali.

– Carl, to niewiarygodne. Ty naprawdę służyłeś razem z nim?

– Gdyby był zwykłym żołnierzem, pewnie bym go nie zapamiętał.

– O tak, już wtedy musiał wykazywać się niezwykłymi

czynami. W końcu który Gefreiter może się poszczycić dwoma krzyżami żelaznymi zdobytymi na froncie?

– Nie był zwykłym żołnierzem, ale gońcem. Przenosił rozkazy, więc miałem z nim niemal codzienny kontakt.

– Niewiarygodne. Nie wiedziałem, że byłeś jego dowódcą.

– Bo nie byłem. W tym czasie jego bezpośrednim przełożonym był Anton Fischer, mój serdeczny przyjaciel, który zresztą wyniósł mnie rannego na własnych rękach z francuskiego okopu. Wrócił po mnie, gdy okazało się, że nie ma mnie wśród tych, którzy cofnęli się do naszych transzei.

– Tak, ten czas sprawiał, że ludzie potrafili zdobyć się na najwyższe poświęcenia. I dziś to braterstwo, które zrodziło się pod kulami nieprzyjaciela, jest wartością, z której możemy być dumni. A ten Fischer przeżył wojnę?

– Tak, ma się całkiem dobrze. Nawet dziś przyjeżdża tutaj. Ma niewielki majątek niedaleko od miasta.

– Ziemianin. – Gruen pokiwał głową z uznaniem.

– Ziemianin owszem, ale w wolnych chwilach. Majątek odziedziczyła jego żona, a on zarządza nim korespondencyjnie. Ale zawsze w lipcu, przed zniwami, zjeżdżają tutaj, żeby wszystkiego doglądnąć.

– No tak, a cały rok żyją sobie dostatnio z dochodów gdzieś w Berlinie. – Tę uwagę rzucił już mniej pochlebnym tonem. – Były dowódca takiego wielkiego człowieka powinien być przykładem dla innych, a nie prowadzić takie próżniacze życie.

– A któż ci powiedział, że pędzi próżniaczy żywot? Wręcz przeciwnie. Anton Fischer jest urzędnikiem wysokiego szczebla. I tak jak my nosi policyjny mundur.

– A, to przepraszam. Cofam wszystko, co powiedziałem. To postawa jak najbardziej godna pochwały. A gdzie pracuje? Na Aleksanderplatz?

Carl uśmiechnął się zadowolony.

– Nie, o ile pamiętam, to chyba na ulicy 27 Grudnia.

– Co? Co to za ulica? A raczej co to za data? Jakieś katolickie święto? To zaraz po Bożym Narodzeniu...

– Nie, to dzień wybuchu powstania w Posen. Powstania przeciwko nam. Bo mój przyjaciel Anton Fischer pracuje w Posen właśnie i jest tam komisarzem polskiej policji.

Gruen z sykiem wypuścił powietrze, które wstrzymywał przez chwilę, zszokowany tym, co usłyszał.

– Dowódca Führera NSDAP polskim policjantem? To znaczy, że on jest zdrajcą narodu niemieckiego!

– Niestety, nie. Nie jest zdrajcą. Zawsze był i jest Polakiem. I do tego jeszcze cholernie dobrym gliniarzem.

Poznań

Godzina 8.30 rano

Komisarz Antoni Fischer, solidnej budowy czterdziestolatek, o krótkich jasnych włosach, z równo przystrzyżonym wąsem, ubrany w porządny brązowy garnitur z bielskiej wełny, spod którego wyzierała ekstrawagancka czerwona kamizelka, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę Ratajczaka. Jak zwykle o tej porze panował na niej ożywiony ruch. Ludzie śpieszyli za swoimi sprawami, automobile i dorożki zatrzymywały się posłusznie przed skrzyżowaniem, na którym kierował ruchem policjant z białymi mankietami i białą pałką w dłoni. Ruch, jakby nie było kryzysu – pomyślał Fischer i sięgnął do kieszeni, żeby wydobyć z niej swoją ulubioną wiśniową fajkę. Tę fajkę miał jeszcze z czasów Wielkiej Wojny, podczas której jako Leutnant armii cesarza Wilhelma walczył na francuskiej ziemi. Później towarzyszyła mu od pierwszego do ostatniego dnia powstania wielkopolskiego, kiedy zamienił mundur niemiecki na polski. I w końcu w tym polskim mundurze, już w randze

kapitana, ruszył na front wojny polsko-bolszewickiej. Oczywiście z fajką w zębach, nic więc dziwnego, że jej ustnik był już niemiłosiernie pogryziony. Fischer nie zważał jednak na to. Lubił ją i koniec. Nawet jego żona Ursula nie dała rady z nią wygrać. Nie żeby chciała zaraz pozbawiać go tej jakże męskiej przyjemności. Przeciwnie, uważała, że z fajką bardzo mu do twarzy, bez przeszkód mógł więc palić wieczorami w bawialni. Jej nie podobała się ta stara. Kupiła mu nawet przy jakiejś okazji cały zestaw pięciu angielskich, niezwykle ekskluzywnych fajek wiśniowych z akcesoriami do czyszczenia i nabijania. Prezent i owszem, bardzo się spodobał, ale początkowy entuzjazm obdarowanego szybko przygasł, gdy okazało się, że palenie nie smakuje w nich tak wybornie jak w tej starej. Żeby jednak nie robić Ursuli przykrości, w domu korzystał z angielek, ale w pracy – ani myślał. Tu królowała stara, brzydka faja, jego frontowa towarzyszka, którą trzymał w zębach podczas każdego ataku.

Fischer podszedł do solidnego dębowego biurka ustawionego na środku pokoju. Na prawo od biurka, pod ścianą, stała byle jaka szafa na dokumenty, która poprzez dodanie do sosnowej deski dębowej politurowanej okleiny miała udawać prawdziwy dąb. Udawała bez sukcesu, bo okleina w niektórych miejscach się poodklejała i spod niej wyzierała cała mizeria mebla. Ta szafa była właśnie taka jak cała nasza policja – uważał Fischer. Z wierzchu glanc i blichtr, a pod spodem goła dupa. Dobrze, że choć biurko jest z litego dębu – pomyślał, omiatając spojrzeniem dobrze wypolerowany blat. Usiadł w fotelu i otworzył szufladę. Wydobył z niej metalowe pudełko, w którym trzymał tytoń, ubijak i zapałki. Nabicie i rozpalenie fajki zajęło mu mniej niż minutę. Po chwili biuro Fischera wypełnił aromatyczny zapach tytoniowego dymu. Siedział przez moment z przymkniętymi oczyma, delektując się smakiem, by w końcu sięgnąć po świeży numer „Kurieria Poznańskiego”. Przejrzał

szybko kilka nagłówków, które mówiły o kryzysie gospodarczym w Polsce i w Niemczech, ale kryzys go dzisiaj nie interesował. Ile w końcu można o nim czytać. Czas najwyższy, żeby to zamieszanie w gospodarce wreszcie się skończyło. Jego interesowało dziś coś zupełnie innego. Notatkę, całkiem niewielką, bo tylko kilkudzaniową, znalazł na samym dole pierwszej strony. Tytuł był równie lakoniczny: *Kodeks Makarewicza do podpisu*. To właśnie była ta najważniejsza dla Fischera wiadomość. Przeczytał prędko kilka zdań, niezbyt zadowolony, że tekstu jest tak mało. Więcej szczegółów dadzą zapewne jutro, jak już się to stanie. Bo artykuł mówił wyraźnie, że właśnie dzisiaj prezydent Ignacy Mościcki zamierza podpisać rozporządzenie z mocą ustawy o wprowadzeniu na terenie całego kraju jednolitego Kodeksu karnego. Fischer jako prawnik, który zaczynał studia na Uniwersytecie Poznańskim krótko po wojnie, był żywo zainteresowany tym aktem prawnym, nad którym prace Komisja Kodyfikacyjna prowadziła od ponad dekady. To był bardzo ważny dokument nie tylko dla prawników czy policjantów, lecz także dla całości niepodległej Rzeczypospolitej, którą wreszcie zaczynało spajać jednolite prawo.

Podniósł głowę znad gazety, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał donośnym głosem, nawykłym od lat do wydawania rozkazów.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich, ubrany w nieco zbyt mocno opięty na brzuchu mundur, przodownik Anastazy Olkiewicz. Fischer uśmiechnął się na jego widok. Znali się od lat, bo Olkiewicz służył pod jego rozkazami jeszcze podczas powstania, a potem na wschodzie. Po wojnie na kilka lat zniknął gdzieś, ale w końcu odnalazł się w Poznaniu i to nie w wojskowym, ale policyjnym mundurze. Okazało się, że zaraz po zdemobilizowaniu, z jakichś niewyjaśnionych dotąd przyczyn, zamiast wracać do swojego miasta, wstąpił do policji

na Zamojszczyźnie. W porę jednak zrozumiał swój błąd – że poznaniak nie może żyć na wygnaniu – i wrócił do domu. Tak się szczęśliwie złożyło, że oficerem, który przyjmował od niego podanie dotyczące przyjęcia do pracy, był Fischer. Szczęśliwie, bo gdyby nie ten przypadek, Olkiewicz zapewne wyładowałby, jako doświadczony weteran i policjant, w którymś z komisariatów na prowincji, w jakimś Grodzisku czy Opalenicy, bo prowincja w latach dwudziestych, rozpaczliwie potrzebowała wykwalifikowanych policyjnych sił. Ale Fischer uchronił swojego dawnego żołnierza przed zesłaniem i zabrał go do siebie, czyli do Wydziału Kryminalnego. Co prawda, Olkiewicz nie miał jakichś szczególnych zdolności detektywistycznych, lecz świetnie nadawał się do przepytывania ludzi. Potrafił szybko i bez żadnych kłopotów dogadać się niemal z każdym.

– No co tam, Anastazy? – zwrócił się Fischer do podwładnego, który po zamknięciu drzwi stanął przepisowe trzy kroki od biurka komisarza.

– Ja melduję, znaczy się melduję posłusznie, że już jestem.

Fischer znów uśmiechnął się pod wąsem, słysząc to „ja melduję” poprawione na regulaminowe „melduję posłusznie”. Starzy żołnierze, którzy mieli za sobą służbę w pruskiej armii, kiedy znaleźli się w powstańczych szeregach, zaczęli niemieckie komendy tłumaczyć na język polski i z niemieckiego *ich melde* zrobili kalkę „ja melduję”. Niektórym jeszcze po latach zdarzało się, tak jak Olkiewiczowi, meldować w taki właśnie sposób. Cóż, wojskowa skóra druga natura.

– No widzę, że jesteś. Nie wiem tylko, po co mnie z tym stanem rzeczy zaznajamiasz?

Przodownik zdjął policyjną czapkę i zupełnie nieregulaminowo podrapał się po łysej jak kolano głowie.

– Melduję, panie komisarzu, że Okoń ma citroëna.

Fischer nadal nic nie rozumiał. Okoń to był kolejny weteran,

który został jego podwładnym. Podobnie jak Olkiewicz dochrapał się już rangi przodownika, ze sporymi perspektywami na dwa rąby starszego w najbliższym czasie.

– A o co chodzi z tym Citroënem? Po co mi w ogóle gitarę zawracacie, jak dobrze obaj wiecie, że ja dziś jeszcze wyjeżdżam. Tu tylko wleciałem na chwilę, żeby papiery zdać wszystkie i już mnie nie ma.

– I właśnie o to się rozchodzi, panie komisarzu. O ten wyjazd. Okoń wziął dziś samochód, że niby ma jechać na kontrol do posterunku w Puszczykowie. Wie pan, obrócimy w trymiga – mówiąc to, mrugnął lewym okiem.

Fischer już się domyślił, o co im chodziło, więc pogroził Olkiewiczowi palcem.

– Ale żeby mi się ta kontrol odbyła! – Fischer zmarszczył brwi, udając srogość, ale nie mógł gniewać się na swoich ludzi za to, że chcieli mu ułatwić życie. Gdyby nie oni, musiałby wziąć doróżkę, bo jak dotąd nie był jeszcze posiadaczem własnego samochodu.

– Kontrol odbędzie się zaraz, jak pana komisarza się zapakuje do pociągu. Bo po jaką cholerę ma pani Urszulka z dziećmi chodzić na nogach, jak my ją raz dwa przeflancujem z bagażami na dworzec. I do przedziału jeszcze się te klunkry załaduje i będzie *fertig*.

– To o dziesiątej trzydzieści musielibyście być u mnie na Matejki, bo pociąg do Krzyża odchodzi kwadrans po południu.

– Łe, co mamy nie być. Będziemy na mur beton, panie komisarzu.

Olkiewicz założył czapkę, zsalutował i zaraz zniknął. Nie minęło nawet pół minuty, gdy znów usłyszał pukanie. Pomyślał, że to Anastazy o czymś sobie przypomniał.

– No, czego tam jeszcze? – zawołał przekonany, że za chwilę znów ujrzy okrągłą twarz Olkiewicza. Tymczasem w progu stanął ubrany w cywilny, elegancki garnitur major Jażdżewski.

Komisarz poderwał się z fotela na widok znajomego. Jażdżewski był wojskowym, ale nie znali się z wojennych czasów. Ten Kresowiak przyjechał do Poznania już po wojnie. Oficjalnie był oddelegowany do któregoś z pułków piechoty, ale Fischer dobrze wiedział, że Jażdżewski nie zajmował się szkoleniem rekrutów. On był oficerem Oddziału II Sztabu Generalnego, odpowiedzialnym za poznański posterunek oficerski nr 4, zajmujący się gromadzeniem informacji wywiadowczych z terenu Niemiec. To była jednak wiedza dostępna tylko dla nielicznych wtajemniczonych. Akurat Fischer należał do tego wąskiego grona.

– Powitać pana majora! – Żołnierz uściśnął wyciągniętą dłoń policjanta.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Proszę siadać. – Fischer wskazał okrągły stolik, przy którym stały cztery krzesła. Stolik też był erzacem prawdziwego dębu, ale na szczęście tutaj okleina nie zdążyła jeszcze poodłazić tak jak na szafie.

– A słyszał pan, że Pinecki przyjeżdża do Poznania? Ma stoczyć walkę z tym, no, jak mu tam, mistrzem świata...

– Iwanowem – odpowiedział policjant, który nie tylko słyszał. Wiedział na ten temat wszystko i dlatego jego dzisiejszy wyjazd był zaprawiony małą nutką rozczarowania. Pinecki, czyli polski mastodont albo olbrzym z Wielkopolski, jak go nazywała prasa, był jednym z najlepszych polskich zapaśników walczących w stylu grecko-rzymskim. Fischer już nieraz widział go w akcji i dlatego teraz żał mu było, że nie zobaczy go ponownie. W końcu znał się na zapasach jak mało kto, bo sam uprawiał przez lata tę dyscyplinę, a pamiątką po intensywnych treningach były mocno umięśnione ramiona i twardy kark. Ta walka przejdzie mu jednak koło nosa, bo nie będzie go w tym czasie w Poznaniu.

– No właśnie, Iwanow to Rosjanin mieszkający we Francji.

Swoją drogą, trzeba by mu się dobrze przyjrzeć, jak tu przyjedzie. Ponoć to środowisko białych Rosjan jest mocno infiltrowane przez sowietów.

– Niestety, nie pomogę w tym panu. Wyjeżdżam jeszcze dziś i wrócę dopiero za miesiąc.

Jażdżewski uśmiechnął się pod równo przyciętym czarnym wąsem. Sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył srebrną papierośnicę.

– Zapali pan, komisarzu?

– Nie, dziękuję. – Powiedziawszy to, wstał i poszedł do biurka, na którym zostawił fajkę w kryształowej popielniczce. Przyniósł swoje akcesoria i ponownie zasiadł za stołem. Po chwili kłęby dymu wypełniły pokój.

– A proszę sobie wyobrazić, że ja właśnie do pana w tej sprawie przyszedłem

– Co pan powie? – Jakoś wcale go to nie zdziwiło.

– A tak, właśnie. Jedzie pan do Schneidemühl?

– Jak co roku od ośmiu lat, panie majorze. Zawsze przed żniwami.

To był urlop połączony z pracą. Jeździli tam co roku, do niewielkiego majątku Winterhoff, który jego żona odziedziczyła po zmarłym stryju. Początkowo Fischer chciał sprzedać to wszystko, ale po przeanalizowaniu ksiąg rachunkowych doszedł do wniosku, że majątek przynosi dość poważne dochody. Trzeba było tylko znaleźć dobrego zarządcę. Na ogłoszenie w miejscowej gazecie odpowiedziało kilkunastu kandydatów, z których większość miała doświadczenie, ale z wykształceniem było gorzej. Na szczęście w tym gronie znalazł się jeden bez doświadczenia, za to po studiach rolniczych w Berlinie. I właśnie Frantz Ziegler dostał tę pracę. Szybko okazało się, że to był strzał w dziesiątkę. Młody ambitny człowiek chciał się koniecznie wykazać. Po dwóch latach dochody studwudziestohektarowego folwarku podwoiły się dzięki

zastosowaniu nowatorskich metod hodowli drobiu i ujednoczeniu produkcji.

Każdego roku w lipcu właściciele jeździli jednak do Winterhoffu, by spędzić tam pracowity urlop. Pracowity oczywiście dla Antoniego, który w majątku przeprowadzał gruntowną kontrolę wszystkiego.

- Adolf Hitler będzie w Schneidemühl dziewiętnastego lipca.
- Dlaczego mnie pan o tym informuje, panie majorze?
- W związku z tą okolicznością chcielibyśmy powierzyć panu niezwykle odpowiedzialne zadanie.

Fischer pokręcił głową. Wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Ale nie mógł odmówić. Był w końcu nie tylko policjantem. Był też oficerem Wojska Polskiego i choć przeniesionym do rezerwy, to jednak od lat współpracującym z polskim wywiadem.

Schneidemühl

Godzina 8.50 rano

Jurgen Maschlanka, szczupły sześćdziesięciolatek, z nieco zbyt długimi, można by nawet powiedzieć zaniedbanymi włosami wydostającymi się spod starego kapelusza, spojrzął na luterański kościół zbudowany z czerwonej cegły i przeżegnał się niemal odruchowo. Nie, żeby był specjalnie religijny. Bardzo rzadko chodził do kościoła, ale z tym znakiem krzyża to był nawyk, który został mu z wczesnego dzieciństwa. Jego babcia zawsze powtarzała, że w kościele, czy to protestanckim, czy to katolickim, czy jakimkolwiek innym, mieszka Pan Bóg i dlatego człowiek przechodzący obok zawsze musi o tym pamiętać, bo jak zapomni się przeżegnać, to Pan Bóg może się zdenerwować na takiego bezbożnika i spalić go na miejscu piekielnym

ogniem. Jakoś nie pomyślała, że piekielnym ogniem to raczej szatan mógł spalić, a dobry Bóg co najwyżej trzepnąć przez łeb takiego typu gromem z jasnego nieba. Zresztą Maschlance i tak było wszystko jedno. Kara to kara, wolał jej uniknąć. Dlatego już w młodości starał się na wszelki wypadek nie chodzić koło kościoła, a gdy już mógł o sobie decydować, przestał w ogóle w nim bywać. Lecz tu, na rzece, nie miał wyjścia. Codziennie przepływał koło dwóch kościołów. Najpierw mijał katolicki Świętych Janów, a później właśnie ten protestancki. Znak krzyża trzeba było więc robić dwa razy. Ale po latach pływania po Küddow tak mu to weszło w krew, że wcale się nad tym nie zastanawiał. Żegnał się i płynął dalej swoją płaskodenną rybacką łódką śmierdzącą rybami i rzeczonym szlamem.

Odepchnął się wiosłem od wystającego z wody zwalonego pniaka, kierując łódź w kierunku środka rzeki, tam, gdzie nurt był najbardziej wartki. Po co wiosłować, jak woda sama niesie? Przy brzegu mogło być niebezpiecznie, bo takich powalonych drzew z wystającymi do góry gałęziami było tu sporo. Ale nie było się temu co dziwić. Tu nikt specjalnie nie dbał o bezpieczeństwo rybaków. Tym bardziej że w mieście było ich zaledwie kilku. I poza ich łódkami rzadko pojawiała się tu jakaś większa jednostka. Czasami tylko można było obserwować barki płynące do Schneidemühl z Usch, ale zdarzało się to niezwykle rzadko. Towary od dawna przewożono stamtąd ciężarowymi samochodami czy furmankami, ale przede wszystkim koleją. Oczywiście transport rzeczny był tańszy, lecz rzeka przepływająca przez miasto była nieuregulowana, a za miastem kręta i pełna piaszczystych łach, przez co właściciele większych barek niechętnie się tu zapuszczali. Prawdziwy wodny szlak zaczynał się w Usch i wiódł aż do Berlina, a nawet jeszcze dalej. A tu pływały każdego dnia tylko rybackie łódki, którymi codziennie dostarczano do miasta świeże ryby. Jurgen swoje sieci zastawił dzisiaj w nocy, jakiś kilometr za

drewnianym mostem dla pieszych, mniej więcej na wysokości fabryki mączki ziemniaczanej, gdzie rzeka zakręcała łagodnie i gdzie nurt był nieco wolniejszy. To było miejsce, które lubił szczególnie, bo tu połów był zawsze pewny. Wrzucał sak nocą, obciążał go kamieniem od dołu; od góry w nurcie utrzymywała go boja oznaczona czerwoną, mocno wyblakłą chorągiewką.

Jeszcze kilka minut i powinien być na miejscu. Zastanawiał się, co też dziś znajdzie w swojej sieci. Jak zwykle będą płocie i leszcze, bo te ryby łowił każdego dnia. Zdarzały się również okonie, ale najwyżej cenił sobie szczupaki. W rzece było ich sporo, ale nie były takie głupie jak te inne mniejsze i mniej szlachetne ryby. Wczoraj na przykład nie było ani jednego, a szkoda, bo szczupaków Maschlanka nie musiał sprzedawać, chodząc od domu do domu. Gdy łapał taki okaz, zaraz zanosił go do restauracji Goldener Löwe przy Neuer Markt, a właściciel płacił, targując się chyba tylko z przyzwyczajenia. Maschlanka liczył więc, że dziś w końcu złowi złotego króla rzeki.

Spojrzał na prawo, na brzeg porośniętym krzakami i drzewami, pochylającymi się nad rzeczonym korytem. Za chwilę będzie ich znacznie mniej i wtedy zza tej zielonej ściany wynurzy się majestatyczny budynek z czerwonej cegły, przypominający starożytne zamczyska zakonników z krzyżami na białych płaszczach, o których Jurgen uczył się bardzo dawno temu, w szkole powszechnej. O ile za widokiem kościoła na tamtym brzegu specjalnie nie przepadał, o tyle ten tutaj uważał za piękny. Zawsze gdy przepływał tędy, przestawał na moment wiosłować, dając się swobodnie ponieść nurtowi, i wpatrywał się w ten cud architektury. Tę monumentalną budowlę wzniesiono kilka lat temu, gdy miasto stało się stolicą rejencji. W końcu to nie w kij dmuchał i taka rejencja musiała jakoś wyglądać. Bo wcześniej w mieście takich reprezentacyjnych budynków nie było. Nawet na Neuer Markt, bo tam najwyższe kamienice miały zaledwie dwa piętra. Dlatego

na tym dawnym placu, na którym odbywały się końskie targi, postawiono te wszystkie reprezentacyjne budowle. W ciągu zaledwie kilku lat powstało wielkie Landesmuseum wraz z przylegającym do niego Landestheater. Naprzeciw wyrosły budynki różnych miejskich urzędów, w tym finansowego. Ale najokazalszy był ten, który stał u szczytu Danziger Platz. Tu mieścił się Provinzialverwaltung, Reichsdankhaus oraz Rotkreuz^[1]. Natomiast całe jego prawe skrzydło zajmowała Dyrekcja Policji.

Jurgen miał okazję poznać tę policyjną część dość dokładnie, a nawet można by powiedzieć – dogłębnie. Poznał bowiem pokój przesłuchań i cele w piwnicy, w której przesiedział dwie noce i jeden dzień. A wszystko przez nieuwagę i głupotę. Nieuwagę dlatego, że kompletnie pijany w piwiarni Goldener Löve zatoczył się i przewrócił na wielkiego jak kłoda Hansa Nowaka, głupotę zaś było to, że zamiast przeprosić i spieprzać w podskokach, poczuł się obrażony, gdy Nowak trzepnął go w łeb. No i przez tę głupotę, która kazała mu odpowiedzieć ciosem na cios, zainkasował jeszcze kilkanaście uderzeń, a potem właściciel knajpy wezwał policjantów, którzy zwinęli go, leżącego na podłodze, z obitą głową, za zakłócanie porządku i wpakowali do aresztu. Od tej pory gmach z czerwonej cegły prócz podziwu budził w nim jeszcze szacunek, który wbili mu do głowy dwaj rośli policjanci. Poza tym przy użyciu pięści wytłumaczyli mu, że nie kalkuluje się rozrabiać w kulturalnych lokalach.

Przepełnął pod drewnianym mostem, dzięki któremu mieszkańcy drugiego brzegu rzeki mogli szybciej dostać się do dworca kolejowego; kawałek za nim zaczynała się trawiasta łąka, na której pasły się kozy, a dzieciaki grały w piłkę. Dziś było jeszcze za wcześnie na piłkarzy, dlatego Jurgen zdziwił się bardzo, widząc kilku chłopaków biegających tuż przy brzegu. Pewnie wleciała im do wody piłka – pomyślał – i zaraz utwierdził się w tym przekonaniu, bo zaczęli do niego

rozpaczliwie machać. Uśmiechnął się zadowolony. Nic bez niego nie zrobią. Tylko on na swojej łodzi może przyjść im z pomocą, tak jak ci rycerze z krzyżami na białych płaszczach ratowali niewinne kobiety i dzieci chrześcijańskie, porywane przez dzikich półnagich barbarzyńców słowiańskich. Uśmiechnął się zadowolony i mocniej machnął wiosłem, by skierować łódź do wołających o pomoc.

– Tutaj, tutaj jest! – krzyczeli chłopcy.

– Niech pan tu płynie! Szybko!

Spojrzał we wskazanym kierunku. Przy brzegu osiadł pień drzewa; najwyraźniej nurt zniósł go w to miejsce i osadził w mulistym dnie. To pewnie po tej burzy, co przeszła cztery dni temu i w mieście przewróciła kilka starych drzew, łamiąc sporo konarów.

Gdy był już blisko, dostrzegł piłkę między pniem a konarem. Wystawała zaledwie trochę ponad taflę wody, ale dało się dostrzec okrągły kształt. Jurgen musiał tylko podpłynąć jak najbliżej, na ile pozwoliły wystające z wody gałęzie. Jak będzie blisko, przyciągnie ją do siebie bosakiem i po sprawie. A potem powie chłopakom, że następnym razem, jak nie będą uważać, to on weźmie za ratowanie piłki opłatę w postaci papierosów albo ćwiartki żytniówki. No, ale z drugiej strony, skąd by oni mieli wziąć pieniądze na taką butelczynę? A, co tam, daruje im. Przecież ci rycerze też nie brali za pomoc nijakiej zapłaty.

– Tutaj, panie Maschlanka, jest! – wołał przejęty mały Dither Schmitt, wskazując na piłkę.

– No przecież widzę. Ślepy nie jestem!

– Ja jego pierwszy zobaczyłem – pochwalił się jego kumpel Stanislaus Altenberg, którego ojciec miał zakład szewski przy Zeughausstraße.

– Wcale że nie, bo to ja tu byłem pierwszy, jak mi się spławik zaplątał o te gałęzie – nie zgodził się z nim Willy Huber.

Jurgen Maschlanka popatrzył na nich zdziwiony. O co ci

gówniarze się kłócili, nie bardzo potrafił zrozumieć. Piłka im wpadła do wody, a oni o czymś, co znaleźli gadali. Zaraz, co znaleźli? Wskazywali na piłkę, a tutaj o...

– O cholera jasna! – krzyknął, gdy jego łódź wpłynęła między gałęzie i kiedy wyraźnie dostrzegł, że coś, co wpadło do wody, wcale nie było piłką. Chciał się przeżegnać, ale w obu dłoniach trzymał wiosło. Zaraz jednak zapomniał o tym niepotrzebnym geście i zaczął działać. Rzucił wiosło na dno łodzi i podniósł bosak. Tak przygotowany przesunął się nieco bliżej dziobu, ale nie za blisko, żeby nie przeważyc, bo łódź mogła się przecież przewrócić.

W końcu zanurzył bosak w wodzie, pilnie obserwowany przez trójkę łobuziaków. Poczucił, że zakrzywiony hak zaczepia o coś, ale że na pewno nie jest to ubranie. Gałęzie utrudniały dostęp. Trzeba będzie dźwignąć od spodu. Ktoś musi wejść do wody. Spojrzał na chłopaków. Byli za mali, żaden z nich nie da sobie rady.

– Chłopcy, tak się nie da nic zrobić. Potrzebuję, żeby ktoś pchnął od dołu.

– Ja mogę. – Dither podniósł do góry rękę, jakby się zgłaszał w szkole.

– Nie dasz rady. Żaden z was. Słuchajcie, ja tu przytrzymam, żeby gdzie nie odpłynął, a wy gońcie po policję. Niech tu który przyleci jak najszybciej. No, już was nie ma.

Nie trzeba było im dwa razy powtarzać. Natychmiast pognali w górę skarpy, na której stał budynek Dyrekcji Policji. Maschlanka tymczasem uklęknął na dnie łodzi i zanurzył rękę w wodzie, próbując przekonać się, co przytrzymuje topielca. Nie bał się wcale, choć dobrze wiedział, że wielu ludzi panicznie boi się topielców. Ale czego tu się bać? Żył sobie człowiek, a potem się utopił i tyle. Maschlanka nie wierzył w żadne opowieści o urokach rzucanych przez utopionych, bo jeśli by rzucali urok, to on już by musiał od dziecka być zauroczony. Pierwszego

topielca widział, jak miał pięć albo sześć lat. Ale dla człowieka, który wychował się nad brzegiem rzeki, to przecież coś zupełnie normalnego. Woda daje życie i to życie zabiera.

Wychylił się jeszcze mocniej i nagle jego ręka namacała pasek. Pewnie od spodni. Chwycił za ten pasek mocno i szarpnął. No i to był sposób, bo topielec poruszył się wolno, a po chwili Jurgen poczuł, że wypływa na powierzchnię tyłkiem do góry.

Burty łodzi nie były zbyt wysokie, a Jurgen wiedział, jak przerzucać przez nie saki pełne ryb. Wsunął więc hak bosaka za spodnie i powoli zaczął ciągnąć do góry.

– Poczekaj, pomogę ci – zawołał ktoś od brzegu.

– Nie idź tu, bo mi wypadnie – odpowiedział Maschlanka, nawet nie wiedząc komu, gdyż całkowicie skupił się na wciąganiu bezwładnego ciała do góry. Jeszcze kawałek i pas znalazł się ponad burtą. Teraz trzeba było postąpić tak jak z pełnym sakiem i pociągnąć szybko do środka, a nogę w tym samym momencie postawić na burcie, żeby zapobiec wślizgnięciu się ciała na powrót do wody. Raz i już!

Udało się. Reszta to była już igraszka. Po chwili nogi i ręce znalazły się w łodzi. Głowa głucho uderzyła o dno. Wtedy dopiero Jurgen popatrzył zadowolony w kierunku brzegu. Stali tam dwaj policjanci i oczywiście trójka chłopaków. Jeden policjant był młody i wyglądał na jakieś osiemnaście lat. Tego nie znał. Drugi to był gruby Ulli Brenner, który bardzo lubił przeprowadzać kontrole jakości piwa we wszystkich miejscowych piwiarniach. Kontrolował je bardzo sumiennie, na samym sobie sprawdzając, czy właściciele nie rozcieńczają alkoholu aby za mocno. Bo rozcieńczali wszyscy, ale na szczęście robili to w granicach rozsądku.

– Maschlanka, kto to jest? Znasz go? – zawołał starszy policjant.

Dopiero teraz Jurgen uświadomił sobie, że nawet nie zwrócił uwagi na twarz topielca. To dlatego, że głowa spadła twarzą

w kierunku dna. Pochylił się, chwycił ją w dłonie i obrócił.

Spojrzał w szeroko otwarte oczy nieboszczyka i nagle poczuł, że robi mu się słabo. Znał te oczy, znał tę twarz doskonale. Od urodzenia znał tego człowieka, bo jego ojciec mieszkał w tym samym domu, co Jurgen. I dlatego doskonale znał pierworodnego syna swojego przyjaciela Josepha Wargatscha. Nieżywy Max Wargatsch patrzył prosto w niebo, jakby chciał zabrać ze sobą obraz przepływających w górze chmur. Ale one nie były już dla niego. Maschlanka przejechał palcami po powiekach topielca i opuścił mu je delikatnie. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla syna swojego sąsiada.

– No co, znasz go? – niecierpliwił się policjant Ulli.

– Znam! – krzyknął Maschlanka, podnosząc się z kolan. Chwycił wiosło i odepchnął nim łódź od pnia. Po chwili czub wbił się w piach. Młody policjant skoczył do przodu, by chwycić linkę zaczepioną do stalowej obręczy i zacumować łódź. Zawiązał linkę na najbliższym krzaku.

– Kto to jest? – spytał znów Ulli.

– Max Wargatsch.

– Ten komunista? – zdziwił się policjant.

– No.

– No to się skurwysyn doigrał.

– Co? – zdziwił się Maschlanka.

– Jakby cicho siedział, to by se mógł jeszcze pożyc. A tak nosił wilk razy kilka... Młody, dalej, chodź tu – zawołał drugiego policjanta. – Bierzemy go na brzeg, a potem leć zameldować, że mamy tu morderstwo.

– Jak – morderstwo? – Maschlanka popatrzył najpierw na grubego policjanta, a potem na twarz Maxa. Rzeczywiście, wyglądała jakoś dziwnie, ale w pierwszej chwili wydało mu się, że to może od wody ten nos taki skrzywiony.

Ulli klepnął go w ramię, uśmiechając się zadowolony.

– Wierz mi, Jurgen, bo ja wiem, co mówię. W dzisiejszych

czasach żaden działacz, czy to komunista, czy socjalista, czy nacjonalista, to z własnej woli sam się nie utopi. Dzisiaj, żeby stać się nieboszczykiem, wystarczy tylko pokrzyczeć na wiecu. A ten, z tego, co wiem, krzyczał chyba więcej niż inni.

Trzej chłopcy, odkrywcy zwłok, patrzyli na trupa z bezpiecznej odległości, tak na wszelki wypadek, żeby czasami utopiony nie rzucił uroku. Ale patrzyli zafascynowani, żeby jak najwięcej zapamiętać i później dokładnie opowiedzieć wszystkim tym, co będą chcieli słuchać. I mogli być pewni, że dziś słuchaczy im nie zabraknie. Bo takiej atrakcji w mieście jeszcze w te wakacje nie było. I to atrakcji w jednym bucie, bo topielec miał but tylko na lewej nodze.

Poznań

Godzina 10.25 przed południem

– A w tej walizce co jest? – Antoni Fischer wskazał na brązową ogromną walizę, która rozmiarami przypominała kufer podróżny.

– To tylko same ubhania – stwierdziła Ursula, wzruszając ramionami.

Żona Fischera była Niemką pochodzącą ze Schneidemühl. Mówiła już całkiem dobrze po polsku, ale „r” stanowiło problem nie do pokonania, dlatego w jej ustach brzmiało jak gruchanie gołębia, a nie jak twarda, dźwięczna głoska.

Poznał ją osiem lat temu, gdy gościł u swojego przyjaciela Carla. To, co pojawiło się między nimi już podczas pierwszego spotkania, było jak grom z jasnego nieba. Wcześniej Fischer czytał w romansach o płomiennych uczuciach, które rodzą się od pierwszego wejrzenia, ale nie bardzo wierzył w takie bajki. A nawet jeśli komuś mogło się coś takiego przytrafić, to na

pewno nie jemu. No i właśnie jego, twardo stąpającego po ziemi urzędnika i weterana dwóch wojen, w końcu takie właśnie uczucie spotkało. Ale najważniejsze, że również Ursula, to co się między nimi zrodziło odczuwała w identyczny sposób. Przyjęła oświadczyzny Antona i trzy miesiące od chwili zapoznania stanęli na ślubnym kobiercu. Na szczęście nie było problemu z ich wyznaniem. Oboje byli katolikami, więc ślub wzięli w katolickim kościele w Schneidemühl. Wkrótce po ślubie wyjechali do Poznania, mimo że Carl Aschmutat namawiał Fischera, żeby osiadł z żoną w jego mieście, obiecując, że nawet załatwi mu pracę w miejscowej policji. Ale Antoni ani myślał osiedlać się zagranicą, choć ta zagranica była zaledwie kilka kilometrów od Polski, a w mieście i okolicy mieszkali obok siebie Polacy i Niemcy.

– Nie po tom walczył o Polskę, żeby teraz iść na służbę do Niemiec – tłumaczył Carlowi swoje stanowisko. – I nie myśl sobie, przyjacielu, że mi było łatwo, bo to nasze poznańskie powstanie to przecież nic innego jak najgorszy z możliwych konfliktów, to wojna domowa, w której sąsiad strzela do sąsiada. Ale wtedy podjąłem decyzję i opowiedziałem się po tej stronie, co do której miałem przekonanie pełne, że opowiedzieć się trzeba. I dlatego dziś, przyjacielu, nie ma już dla mnie powrotu do Niemiec. Dla mnie Niemcy jako mój kraj skończyły się definitywnie w grudniu osiemnastego roku.

Carl nie pojmował tych dylematów Fischera. Dla niego wszystko było prostsze. Był Niemcem i nie miał żadnych rozterek związanych z narodowością. Przez długi czas nawet nie wiedział, że Anton Fischer, jego najlepszy przyjaciel, jest Polakiem. Poznali się w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, w szkole oficerskiej. Po otrzymaniu promocji obu wysłano na front do Francji. Szczęśliwie dla nich, jako oficerowie uzupełnienia, dostali przydział do tego samego pułku. Przez cały ostatni rok wojny walczyli więc ramię w ramię, a jak to

obrazowo ujmował Fischer, srali w to samo błoto. Wojna zbliżyła ich bardzo, a szczególnie jeden moment, kiedy to po nieudanym szturmie na francuskie okopy Antoni zorientował się, że jego przyjaciela nie ma wśród tych, którzy wrócili. Natychmiast ruszył na przedpole, pomimo artyleryjskiego ostrzału, i w końcu znalazł rannego Carla przysypanego ziemią we francuskim okopie. Na swoich plecach wyniósł go stamtąd i zawłókł do własnych transzei. Za ten czyn Fischer otrzymał swój pierwszy Żelazny Krzyż II klasy. Drugi, tym razem I klasy, dostał w listopadzie osiemnastego roku, dwa dni przed podpisaniem przez niemieckie dowództwo kapitulacji.

Gdy Ursula przyjechała do Poznania, nie umiała ani słowa po polsku. Anton, bo tak zwracała się do niego, stwierdził, że właściwie nie musi się uczyć polskiego, bo tu wszyscy rozumieją po niemiecku. Ona jednak się uparła, że musi się nauczyć tego języka, i osiągnęła swój cel. Za to ich dzieci, siedmioletni Eugeniusz i pięcioletnia Maria, mówiły po polsku i po niemiecku, dzięki temu, że rodzice od najmłodszych lat zwracali się do nich każde w swojej rodzinnej mowie.

Na początku, zaraz po przyjeździe do Poznania, Fisherowie zamieszkali w kawalerskim, czteropokojowym mieszkaniu przy ulicy Matejki, w którym dotąd on mieszkał samotnie. Było to jednak mieszkanie wynajmowane i Antoni zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później musi zapewnić rodzinie kawałek własnego dachu nad głową. Nie wiedział, jak to zrobić, bo w policji nie zarabiał jakoś szczególnie dobrze, a jego żona wniosła w posagu niewielkie pieniądze. No, ale przecież nie brał jej ze względu na bogactwo, ale z czystej miłości. Dwa lata później wydarzyło się coś, co całkowicie odmieniło ich materialny status. Okazało się, że zmarł stryj Ursuli, człowiek, który posiadał niewielki majątek rolny pod Schneidemühl. Jako że nie miał żadnych potomków, całość spadku przypadła Ursuli. I w ten oto sposób rodzina Fischerów stała się zamożną

rodziną posiadaczy ziemskich. Szczęśliwie prócz majątku ziemskiego stryj zgromadził też sporo pieniędzy i dzięki nim marzenie o porządnym mieszkaniu dla rodziny mogło się spełnić. Udało im się korzystnie kupić ośmiopokojowy apartament na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na park, w kamienicy pod numerem osiemnastym. I całe szczęście, że nie zwlekali z wyborem. Gdyby nie ten zakup, ich pieniądze mogłyby być wkrótce nic nie warte. Nadszedł bowiem kryzys i okropna inflacja, która zniszczyła fortuny wielu ludzi. Fischerowie jednak mogli być spokojni o przyszłość. Mieszkania i majątki ziemskie nie ulegały dewaluacji tak jak banknoty.

– Tato, a czy ja mogę zabrać swoją szablę do Winterhoffu? – zapytał Eugeniusz, wymachując niewielką szabelką.

– A z kim zamierzasz tam walczyć? O ile mi wiadomo, nie widziano tam od lat żadnych Tatarów.

Chłopak właśnie czytał *Pana Wołodyjowskiego* i jak Mały Rycerz chciał siec tatarskie czambuły, ale ostatnio kiepsko było z wrogami w okolicy.

– To się usiecze kilku Szwedów albo Niemców w ich służbie.

– Żadnych Niemców nie będziesz usiekał – zawołała matka, grożąc mu palcem.

– Anielka, dawaj ten mały kufeh! – zwróciła się do służącej, która jednocześnie była u nich kucharką. – Jeszcze trzeba zapakować jedzenie na dhogę.

– Nie mówi się dhogę, ale drogę – poprawiła matkę Marysia.

– Ja ci dam pophawiać mamę! – zawołała Ursula, udając oburzenie.

– Pophawiać, poprawiać, pophawiać, poprawiać... – zadowolona Marysia zaczęła przedrzeźniać matkę.

– Ja ci dam przedrzeźniać matkę! – Antoni porwał córkę w górę i posadził ją sobie na barana. – A teraz za przedrzeźnianie mamy zostaniesz wyrzucona przez okno, prosto na te drzewa w parku, i zjedzą cię wiewiórki.

– Hi, hi, hi! – Marysia zaczęła się głośno śmiać. – Wiewiórki zjadają żołędzie, a nie dzieci!

Antoni zatrzymał się koło okna i ostrożnie zdjął małą z karku, a potem postawił ją na parapecie.

– Zobacz, przyjechali po nas samochodem. – Wskazał pięknego, granatowego Citroëna C4, o trzech szybach okiennych na każdym boku, który zatrzymał się właśnie przy chodniku na wprost bramy ich kamienicy.

– Pojedziemy samochodem!

Podbiegł do nich Eugeniusz; szybko wdrapał się na parapet, żeby sprawdzić, jak wygląda auto, które po nich przyjechało. Z samochodu wysiedli dwaj policjanci i poprawiwszy bluzy mundurów, ruszyli sprężystym krokiem przed siebie, ku bramie.

– Mamy wszystko gotowe? – zapytał Antoni, odwracając się do żony. – Bo chłopaki już idą na górę.

– Jedzenie jest, ubhania jest, buty jest, wszystko jest *fertig*.

– To ja jeszcze tylko wezmę coś z gabinetu – powiedział Antoni i szybko wyszedł na korytarz.

Jego gabinet-biblioteka znajdował się na samym końcu korytarza, po prawej stronie, z oknem również wychodzącym na park Wilsona. Fischer wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz. Wolał, żeby nikt z domowników nie wiedział, czym będzie się zajmował. Podszedł do dużej dębowej witryny z książkami, otworzył ją, a potem przysunął sobie krzesło. Wszedł na nie i z najwyższej półki zaczął wyjmować jeden po drugim kilka tomów. Gdy w równo poustawianym szeregu książek powstała luka, wsunął w nią dłoń. Nie musiał długo szukać, bo dobrze wiedział, że to, co zamierzał znaleźć, musiało się tam znajdować. Po chwili miał już w garści niewielkie zawiniątko. Pakunek owinięty impregnowanym płótnem i związany sznurkiem. Książki włożył na powrót na półkę, zszedł na dół i zamknął witrynę. Z pakunkiem w dłoni podszedł

do biurka. Usiadł w fotelu i wyciągnął z kieszeni scyzoryk o dwóch ostrzach. Szybko przeciął sznurek, a potem odwinął płótno. Srebrny, połyskujący konserwującym smarem na oksydowanej stali rewolwer Colt leżał przed nim na blacie biurka. Fischer chwycił rękojeść i zaczął ścierać płótnem nadmiar substancji konserwującej. Doprowadzenie rewolweru do stanu używalności zajęło mu niecałe pięć minut. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie najlepiej go ukryć. W końcu zamierzał przekroczyć granicę z nielegalną bronią, a to, w razie ujawnienia, mogło zostać potraktowane jako kontrabanda. Co prawda, prawdopodobieństwo, że będą im kontrolować bagaże, było małe. Polskim celnikom wystarczyło tylko pokazać policyjną blachę, by zniechęcić ich do przeszukiwań, a niemieckich zadowalała doskonała niemczyzna wszystkich członków rodziny Fischerów.

Antoni doszedł do wniosku, że najprościej będzie, jeśli pistolet włoży do którejś walizki. Na razie nie mógł tego zrobić, bo bagaże właśnie były wynoszone. Słyszał zza ściany tubalny, niski głos Okonia. Policjant pokrzykiwał na dzieci, a jego udawane groźby pod ich adresem jak zwykle witane były salwami śmiechu.

– Ach wy wywijasy! Zaraz was tu zwiążę sznurem do prania i zapakuję do kufra!

Antoni uśmiechnął się pod nosem, włożył pistolet do kieszeni i rozejrzał się dookoła, jakby chciał sprawdzić, czy zostawia wszystko na swoim miejscu. Wziął z blatu płócienną płachtę i sznurek, czyli to wszystko, czym owinięty był pistolet, i włożył do paleniska kaflowego pieca stojącego w kącie pokoju. Wolał schować dowody rzeczowe na wszelki wypadek, gdyby żona niespodziewanie weszła do gabinetu. Nie chciał, by nie wiedziała, że zabiera ze sobą broń. Przecież to miał być najzwyczajniejszy, doroczny wyjazd do Winterhoffu. A tymczasem rodzinny wyjazd zmieniał się w przykrywkę poważnego zadania

wywiadowczego. Poważnego? Nie, to zadanie było najpoważniejszą misją, jaką kiedykolwiek mu powierzono. I co do jednego Fischer był całkowicie przekonany: musi zrobić wszystko, co się da, żeby ją wykonać, bo – jak powiedział Jażdżewski – od tego, jak się sprawi, zależą losy całego kraju. I co najważniejsze – Antoni Fischer wiedział, że to prawda.

Zamknął za sobą drzwi gabinetu i wyszedł na korytarz, na którym Okoń i Olkiewicz przystanęli na chwilę, by lepiej uchwycić kufer z ubraniami.

– Może wam pomogę? – zaoferował się komisarz.

– Łe, w życiu. A co, my jakie ułamki jesteśmy? – oburzył się Olkiewicz.

– No i o to idzie – poparł go Okoń. – Raz dwa to się przerwuci do samochodu i zaraz możemy jechać.

– A czy aby się wszyscy zmieszczą?

– Pan komisarz i pani komisarzowa na kanapie z Marysią z tyłu – zaczął tłumaczyć Okoń – a Gieniu z przodu, obok mnie, bo on chce patrzeć na drogę. A Anastazy na girach podskoczy na dworzec.

– Jeszcze szybciej będę na peronie, jak wy tym automobilem. Przez Ogród Botaniczny i cmentarz żydowski w pięć minut przeleczę. – Olkiewicz pochwalił się swoją znajomością tajnych przejść, z których Fischer sam korzystał niejednokrotnie, aby skrócić sobie drogę.

– No to co, wszystko zabrane? – Antoni spojrzał pytająco na żonę, która właśnie wychodziła z jadalni gotowa do wyjazdu, ubrana w kremową letnią garsonkę, doskonale pasującą do jej lnianych włosów. Kilka kosmyków wystawało spod modnego kapelusza.

– Wszystko, wszystko. Możemy jechać. Anielka, ale mi pilnuj domu. I żebyś wietrzyła pokoje...

– Wszystko będzie zrobione jak należy, proszę pani.

– No, Anton, co tak stoisz? Idziemy, bo się spóźnimy na

pociąg.

Fischer bez oporu poddał się rozkazom domowego dowódcy. Podeszedł do wieszaka i zdjął z niego niezwykle elegancki kapelusz, przypominający te, które nosili kowboje na filmach o Dzikim Zachodzie, uśmiechnął się do Anieli i wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Dziewczyna zamknęła je i przekręciła klucz od środka.

Schneidemühl

Godzina 10.30 przed południem

Trzydziestoosmioletnia Urlike Koerber już dziś zdążyła być w kościele, potem na targu zrobiła zakupy, a teraz zaczęła na blat kuchennego stołu wykładać wszystko to, co udało jej się zdobyć. Niewiele tego było, kartofle, trochę marchwi, kapusta i fasola. Tyle żeby wystarczyło na duży garnek kapuśniaku, takiego na dwa-trzy dni. Ostatnio za pieniądze, które jej mąż przynosił z roboty, coraz mniej można było dostać. Choć pracował w odlewni żeliwa, czyli w fabryce, która mimo kryzysu miała cały czas zamówienia, a robotnicy pracę, to jednak nie zarabiał tak dobrze, jak jeszcze pięć lat temu. Co z tego, że co tydzień przynosił wypłatę, jak ceny cały czas szły w górę. No więc robiła co można, żeby dać radę z zakupami. Całe szczęście, że jej Thomas w ogóle miał jeszcze robotę i przynosił pieniądze, za które ona mogła kupować warzywa. Bo dzięki temu cała pięcioosobowa rodzina jadła codziennie. Ale Urlike dobrze wiedziała, że nie wszyscy mają się tak dobrze jak oni. Ci co mieszkali piętro niżej, Jungowie, ledwie wiązali koniec z końcem.

Lothe Jung, szczupła trzydziestoletnia szatynka o smutnym spojrzeniu, siedziała teraz na taborecie przy kuchennym stole,

z koszykiem jagód na kolanach, i grzecznie czekała, aż gospodyni ogarnie wszystko po zakupach. Jej męża, Walthera Junga, już trzy lata temu zwolnili z meblarni, a ona nigdy wcześniej nie pracowała, nie miała więc najmniejszej szansy na znalezienie jakiejś roboty. Na szczęście było teraz lato, więc jej stary chodził do pomocy przy pracach w polu, codziennie kilka kilometrów za miasto, żeby cokolwiek zarobić. A ona jeździła na rowerze do lasu zbierać grzyby i jagody, a potem to wszystko sprzedawała na targowisku na Neuer Markt. Takich rodzin jak Jungowie Ulrike znała całkiem sporo. Wielu ludzi, którzy mieli wcześniej robotę, bo fach mieli w rękach, teraz nie pracowało. W gazetach pisali, że wszystkiemu winny jest światowy kryzys. Ale Ulrike wiedziała, kto jest naprawdę winny. To nie żaden kryzys. Winni byli tylko i wyłącznie Żydzi, którzy zajmowali miejsca pracy należące do Niemców i jeszcze okradali ich, bo mieli w garści banki. Jedyнным sposobem na poprawienie sytuacji w kraju było więc zabranie się w końcu za to żydostwo. I tak pewnie już wkrótce się stanie. Narodowi socjaliści przecież obiecywali, że wreszcie w tym kraju zrobią porządek i wszystkich tych złodziei, którzy okradają niemiecki naród, wsadzą do więzienia. I dobrze, bo to, co się wyrabia w polityce, to już przechodzi ludzkie pojęcie. Ci, co rządzą, myślą tylko o sobie, a nie o prostych ludziach. Tylko temu Hitlerowi zależy na ludziach. I on pomoże wszystkim Niemcom, a kraj znowu się stanie potęgą. Ulrike wiedziała o tym wszystkim doskonale, bo mąż przynosił do domu na podpałkę całe sterty partyjnych ulotek. Dostawał je do rozrzucenia na ulicach od przełożonych z organizacji SA, ale nie bardzo chciało mu się latać z papierami po mieście, więc to, co mu dawali przynosił do domu, a żona, zanim spaliła, wszystko czytała. I co tam pisali, doskonale pasowało do tego, co działo się wokół nich, w życiu. Pisali zatem samą prawdę; ale najważniejsze, że wiedzieli, jak to wszystko zmienić.

– Powiadam pani, pani Jung, że tylko Hitler może nas wszystkich uratować. Jak on przyjdzie do władzy, to zobaczy pani, jaki zaraz zrobi porządek.

– No ja nie wiem...

– Co pani nie wie?

– Bo to niby wszyscy obiecują, a potem i tak jest po staremu.

Urlike wzięła się pod boki i spojrzała wyzywająco na Lothe, ale zaraz się zreflektowała, że nie ma co na tę głupią gęś najeżdzać, tylko trzeba jej po kolei wszystko tłumaczyć. Bo ona pewnie o niczym nie ma zielonego pojęcia. A jak kto głupi, to na polityce się nie wyznaje. Zresztą, co ją mogła zajmować polityka, jak ona co dzień myślała tylko o tym, co tu do garnka włożyć.

Urlike usiadła więc przy stole, odgarnęła pęczek marchwi i rzepę i oparła się ręką na blacie.

– Bo pani nie rozumie, że to, jak nam się żyje, zależy od tego, kto wygra wybory.

– Że niby jak?

– Ano tak, że potrzebny jest nowy silny rząd i nowy kanclerz.

– To Brüning jest niedobry? – zdziwiła się Lothe.

Urlike spojrzała na nią i pokręciła głową. Ta kobieta nie wiedziała nawet, że Brüning nie jest już kanclerzem i że jego miejsce zajął von Papen.

– Wszyscy są niedobrzy. Dobry jest tylko Hitler.

– Ten z tym śmiesznym wąsem?

– Właśnie on. I to musi pani powiedzieć swojemu mężowi, że jak Hitler wygra wybory, jak narodowi socjaliści wygrają, to wtedy wreszcie w kraju zrobią porządek. A pani mąż znów wróci do roboty.

– A niby to skąd wiadomo?

– A stąd, że oni niczego się nie boją i rozprawiają się z tymi wszystkimi Żydami, co nam zabierają nasze pieniądze, co nas okradają.

– Ja tam się nie znam na polityce, ale mój mąż powiada, że tylko komuniści mogą coś zmienić w kraju, bo za nimi stoi siła w Moskwie.

Urlike gwałtownie pokręciła głową.

– Niech pani nie słucha takich głupot. Komuniści jakby wygrali, to byśmy tu mieli bolszewię taką, że nic by człowiek nie miał własnego. U nich nawet żony są wspólne. Chciałaby pani, żeby mógł se do pani przyjść ten pijak Glubke i wleźć pani do łóżka?

– Co, niby jak?

– Ano tak właśnie. Jak wygrają komuniści, to tak będzie.

Lothe przeżegnała się szybko, wystraszona wizją brudnego i śmierdzącego Glubkego w jej czystej pościeli.

– Tak, tak, pani Jung. Niech no pani przemówi temu swojemu mężowi do rozsądku. Tylko narodowi socjaliści mogą dobrze rządzić w Niemczech.

Spojrzała na wystraszoną kobietę i uśmiechnęła się zadowolona. Teraz ten jej mąż dostanie za swoje. Lothe wyglądała tylko tak niepozornie, ale nieraz słyszała, jak potrafiła się wydrzeć na swojego starego. W końcu mieszkała piętro niżej i głos domowych awantur roznosił się nie tylko po schodach, ale i przedostawał się przez podłogę. Teraz Jungowi się dostanie za komunizm i ona już sprawi, że jej mąż zostanie najgorliwszym zwolennikiem Hitlera.

– No, ale my się zagadałyśmy, a pani ma dla mnie jagody.

– No właśnie. Cały koszyk udało się uzbierać. Ładne i słodkie.

– A to ja dziś od pani wezmę ten cały koszyk.

– Cały? Mój Boże...

– A co pani będzie łązić na targ i pół dnia tam wystawać. Ja trochę soku z jagód zrobię, do flaszek włożę i będzie na zimę w sam raz, jak który dzieciak zachoruje. Bo jagody są dobre do herbaty na zaziębienie.

– Dobra kobieta jest z pani.

– Trzeba sobie pomagać w tych trudnych czasach, nie? Ale ciężkie czasy się wreszcie skończą. Powiadam pani. Jak Hitler zostanie kanclerzem, to wtedy cała ta mizeria się skończy. A koszyk niech no pani zostawi. Oddam po obiedzie, jak już te jagody obrobię.

Sięgnęła do leżącego na stole pugilaresu i wydobyla z niego kilka banknotów. Niemal nie licząc, podała je sąsiadce. Ta natychmiast schowała pieniądze do kieszeni fartucha.

– Dziękuję, pani Koerber. Będę się za panią modlić.

– Niech się pani modli, żeby Hitler wygrał wybory.

Lothe uśmiechnęła się i zaraz wyszła z mieszkania. Zbiegła po schodach, szczęśliwa, że nie będzie musiała tracić dnia na stanie z jagodami na targu. Bo to, że nazbierała jagód, wcale nie było równoznaczne z tym, że zarobi jakieś pieniądze. Były i takie dni, że mimo godzin wystanych na rynku wracała do domu z niesprzedanym towarem. Wtedy przynajmniej dzieci miały uciechę, bo jagody trzeba było zjeść. Robiła więc placki z jagodami, a jeśli jeszcze w domu znalazła się odrobina cukru, to już wtedy była prawdziwa uczta. Tyle że ten cukier nie zawsze był. Dziś akurat miała odrobinę, no i trochę tych wczorajszych jagód, których nie udało się jej sprzedać. Postanowiła, że wrzuci je do garnka, zaleje wodą, doda do tego cukru i zrobi pyszny syrop. Nie będzie dzisiaj placków. Miała pieniądze, więc wszystkim należało się coś szczególnego. Postanowiła, że pójdzie do rzeźnika, tu niedaleko, na Bäckerstraße, z jej kamienicy były tam dosłownie dwa kroki, żeby kupić kilo wędzonych kości. A co, nie stać jej? Kości wędzone były dwa razy droższe od świeżych, ale za to jaki smak i aromat można było dzięki nim uzyskać podczas gotowania zupy! No właśnie, bo dziś na obiad będzie zupa. Postanowiła, że z takiej okazji, jak dzisiejszy zarobek, musi skorzystać. Miała w spiżarni jeszcze worek grochu. Na obiad więc będzie prawdziwa grochówka na wędzonce. Ale się wszyscy zdziwią,

jak po wejściu do domu poczują ten jedyny, niepowtarzalny zapach.

No tak, ale żeby ugotować grochówkę, trzeba najpierw zamoczyć groch. Miała na szczęście łuskany. Był tańszy od tego luksusowego w całości, ale w smaku przecież taki sam. Najważniejsze jednak, że szybciej miękł w wodzie. Zaleje więc groch i aby szybciej doszedł, doda łyżeczkę sody. Tak, trzeba najpierw zająć się tym grochem. Była taka uradowana tym, że zarobiła pieniądze, że od razu chciała biec do rzeźnika. Na szczęście przypomniała sobie o tym grochu do namoczenia. Wszystko więc robi po kolei. Stała przed drzwiami do mieszkania. Były uchylone. Pewnie znowu któryś z dzieciaków przyleciał z łąki nad rzeką, na której dzieci z okolicznych domów latały przez cały dzień, wpadł do mieszkania, a stwierdziwszy, że nikogo nie ma, pobiegł z powrotem, zapomniawszy je zamknąć. Tak to już było z tymi niesfornymi łobuziakami. Można im było dziesiątki razy powtarzać...

Pchnęła drzwi i weszła do środka. Od razu poczuła jakiś dziwny, niecodzienny, ostry zapach. Był całkowicie obcy, ale miała wrażenie, że skądś go znała... Naraz przypomniała sobie uroczystość ku czci bohaterów poległych w trakcie Wielkiej Wojny. Ta uroczystość odbywała się tu niedaleko, na Alter Markt. Ten niewielki plac po brzegi był wypełniony ludźmi. Poszli tam z Waltherem, jej mężem, żeby dzieciom zrobić przyjemność. Frycek i Marlenka jak zaczarowani wpatrywali się w równy szereg żołnierzy trzymających na ramieniu karabiny. W pewnym momencie na komendę oficera podnieśli je w górę, kierując lufy ku niebu, i wystrzelili, powtarzając pierwszą salwę jeszcze dwukrotnie.

– Co tak śmierdzi? – zapytał ojca Frycek, zatykając palcami nos.

– To proch strzelniczy – odpowiedział ojciec z miną znawcy zagadnień wojskowych.

Walther leżał na kuchennej podłodze, a wokół jego głowy, na świeżo wypastowanych deskach rozlewała się plama krwi. Lothe zamarała z przerażenia. Nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Ten zapach prochu i mąż leżący na podłodze... Boże, ktoś go zastrzelił. Walther nie żyje...

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch z lewej strony, od drzwi prowadzących do pokoju. Obróciła się gwałtownie. W drzwiach stał mężczyzna z pistoletem w dłoni. Patrzył na nią z taką miną, jakby chciał powiedzieć, że przecież nic się nie stało. Nawet się lekko uśmiechnął. I wtedy poczuła nagle, że musi coś zrobić, ale jedyne, co przyszło jej do głowy, to krzyczeć ile sił w płucach.

Przerażający kobiecy krzyk, a zaraz potem coś jakby strzał. Urlike z niedowierzaniem pokręciła głową. Czyżby miała jakieś omamy słuchowe? Strzał w jej kamienicy? Nie, to jakaś bzdura. No, ale ten krzyk? Przecież słyszała wyraźnie, że gdzieś tam krzyczała kobieta, a potem huknęło i krzyk się urwał. Nie, nie mogła tego tak zostawić. Szybko podeszła do drzwi i wyszła na schody. Od razu usłyszała tupot ciężkich podkutych butów, tak, jakby ktoś zbiegał na dół. Jak zbiegał, to znaczy, że uciekał – domyśliła się natychmiast. Szybko zeszła kilka schodków niżej, na półpiętro. Było tam niewielkie okienko, przez które można było wyjrzeć na ulicę. Natychmiast dostrzegła wysokiego mężczyznę o ciemnych włosach, w wieku raczej nieprzekraczającym trzydziestki, który przemierzył jezdnię i popędził w kierunku Mühlenstraße, gdzieś w okolice kościoła Świętych Janów. Był ubrany w czarne spodnie, a na grzbiecie miał czarną skórzaną kurtkę. Gdy tylko jej zniknął z pola widzenia, natychmiast ruszyła na dół. Piętro niżej dostrzegła, że drzwi do mieszkania Jungów są otwarte. Bez namysłu wkroczyła do środka. Natychmiast zobaczyła ciało Lothe leżące

na podłodze. Gdy przyklęknęła obok, dostrzegła nieco dalej, w głębi kuchni, ciało jej męża. Lothe jęknęła cicho. A więc żyła. Szkoda czasu na rozmyślania – zdecydowała Urlike. Trzeba wezwać pomoc. Wybiegła na schody i przystanąwszy na podeście piętra, zaczęła krzyczeć najgłośniej jak się dało. Po chwili wokół niej zaroilo się od ludzi, ale ona nie pozwoliła nikomu zajrzeć do środka. Wiedziała dobrze, że na miejsce zbrodni może wejść tylko lekarz albo policjant, bo czytała opowieści kryminalne wydawane w postaci cienkich, kolorowych zeszytów. Dlatego jako jedyny w kamienicy fachowiec od morderstwa, natychmiast przejęła dowodzenie. Posłała stróża Tomtschaka po policję, a jego syna, piętnastoletniego Fritza, po pomoc medyczną. Sama zaś stanęła w drzwiach jak cerber. Niech wszyscy wiedzą, kto tu rządzi.

Godzina 11.15 przed południem

– Pewnie się nachlał i utopił – stwierdził Adolf Kempke, stary policjant w stopniu Wachtmeister, który od jakiegoś czasu, mniej więcej od roku, swojego zakręconego i lśniącego wąsa poobcinał z dwóch stron i wygolił dodatkowo tak, że teraz przypominał wąs jego wielkiego imiennika. Mówił, że to wcale nie dlatego, że chce się upodobnić do Hitlera, bo na to nie miał najmniejszych szans z gębą okrągłą jak balon i jeszcze dodatkowo łysym czołem, ale jego koledzy z policji wiedzieli swoje. Kempke mniej więcej od roku był zagorzałym, choć, jak to w policji, niejawnym zwolennikiem faszystów. Ale był również doświadczonym blacharzem, dlatego wystarczyło tylko, że spojrzał na twarz topielca i już wiedział. W końcu w swoim długim policyjnym życiu widział niejednego nieboszczyka. A topielców chyba najwięcej.

– Ale jaką ma obitą gębę! – Rottmeister Kurt Wieland pokręcił

głową, wskazując na najwyraźniej przetrącony nos mężczyzny.
– Najpierw ktoś mu musiał nakłaść po mordzie, a potem wrzucić do rzeki. Albo sam zleciał, bo taki był potrzaskany.

– A pamiętasz tego takiego małego faceta, co to w zeszłym roku na wiosnę żeśmy go po powodzi wyciągnęli z wody zaraz przy moście Krausego? Wtedy jak była powódź, bo rzeka wezbrała.

– Co to za powódź! Trochę się wylało na łąki i woda podeszła pod kościół Janów.

– Ale ja nie o powodzi gadam, ale o tym małym rudzielcu, co się utopił. Pamiętasz go?

– No pamiętam i co z nim?

– Też miał facjatę przefasonowaną.

– Ale on to całkiem inna historia. Ludzie widzieli, jak go woda porwała razem z tym drewnianym mostkiem na Gordalinie. I dopiero się zatrzymał pod przęsłem nowego mostu. I to prąd, że był wartki, to mu pysk rozbił o beton. Ale jak rozbił, to on już był całkowicie utopiony.

– To tak samo jak ten. Też morda rozbita.

– Masz rację – zgodził się z nim Wieland. – Tylko że wtedy rzeka była rwąca jak górski potok. I jak onego razem z mostem porwało, to go już wtedy musiało nieźle potarmosić. Znaczy się mógł, już wpadając do wody, dostać jaką belką przez pysk, a potem jeszcze nurt zniósł go na betonowe przęsło mostu Krausego. No i tyle w tym temacie. A dzisiaj widzisz jakiś wartki prąd w rzece?

Kempke odwrócił się za siebie i spojrzał na wody Küddow. Rzeka płynęła jak zwykle, leniwie podążając na południe, w kierunku granicznego miasta Usch, które swoim nurtem oddzielała od polskiego Ujścia.

– No niby nie. – Skinął głową i jednocześnie pogładził się po czarnym, upomadowanym wąsiku.

– No widzisz, znaczy, że odebrał swoje po mordzie, a założyę

się, że jeszcze ślady pobicia będą w innych miejscach.

– Może i masz rację.

– Mam, mam. Możemy się nawet założyć.

– Tak? – Kempke popatrzył najpierw na topielca, a potem uśmiechnięty spojrzął na Wielanda. Co prawda, nie był hazardzistą i jakikolwiek zakład sam w sobie nie pociągał go specjalnie, ale natychmiast poczuł nadarzącą się okazję. Jeśli się założy z tym tu Wielandem, to nawet jak przegra niewiele straci, bo co najwyżej jeden kufelek piwa. Ale dzięki temu będzie okazja, żeby po pracy wpaść do knajpy przy Brauerstraße. Tam, w niewielkiej piwiarni przy Grenzmark Brauereien, podawano zawsze świeże i niezwykle smaczne piwo, warzone na starej recepturze browaru Adolpha Axta, znanego piwowara i dawnego właściciela obecnego browaru. Kempke uwielbiał je i uważał nawet, że nigdzie w całym kraju nie ma lepszego. W końcu najlepsze są te smaki, które znamy z dzieciństwa, a on już w dzieciństwie popijał to piwo, za każdym razem, kiedy ojciec wysyłał go z kanką w ręce do browaru. Tam nalewali mu do pełna, a on, zaraz po wyjściu na ulicę, spijał całą gęstą piankę. No więc nawet jakby przegrał zakład, mógł odzłować to jedno stracone piwo w zamian za towarzystwo przy picciu kilku kolejnych.

– No to niech ci będzie – zgodził się, podając koledze dłoń.

Ten, zadowolony i pewny swoich racji, przyklepał zakład.

Od budynku Dyrekcji Policji bitą drogą człapał koń ciągnący zakryty, czarny wóz. Karawan zbliżał się powoli, a tuż przy nim biegła grupka kilku miejscowych łobuzów. Za nic w świecie nie mogli przeoczyć sensacji, jaką było obejrzenie topielca. Wieść o odkryciu musiała się rozejść lotem błyskawicy po okolicznych podwórkach, bo chłopcy, którzy znaleźli zwłoki, rozbiegli się już do swoich domów, gdyż zdążyli się już napatrzeć dostatecznie długo. Teraz nadciągała gromada ich następców. Za chwilę o nieżywym komuniście będzie wiedziało całe miasto. No, ale

nic w tym dziwnego. W małym przygranicznym Schneidemühl, mimo że od pewnego czasu było ono stolicą rejencji, i tak życie biegło znacznie wolniej niż gdzie indziej, a jeden topielec urastał do rangi wydarzenia równie dramatycznego jak katastrofa morska.

Obaj policjanci zwrócili spojrzenia w kierunku podążającego ku nim konduktu. Pomiędzy dzieciakami zauważyli dobrze znaną sobie sylwetkę oficera. Sam Hauptmann Carl Aschmutat zainteresował się topielcem. To zainteresowanie już nadawało tej sprawie odpowiednią rangę. Wieland uśmiechnął się pod wąsem, czując, że zaangażowanie oficera przybliży go do wygrania kufla zimnego piwa. A na dworze robiło się coraz goręcej. Może więc warto było przepłukać gardło już wcześniej, nie czekając na zakończenie służby? Załaduje się trupa do karawanu i będą sobie mogli pójść na jedno, może dwa piwa? W końcu browar był o dwa kroki stąd.

– No i co tu mamy? – zawołał oficer na ich widok.

Obaj policjanci przyjęli postawę na baczność i zasalutowali do daszków swoich wysokich policyjnych czapek.

– Melduję, że jest trup – zameldował zgodnie z prawdą Kempke.

– A z jakiej przyczyny, już wiecie, jest ten trup?

– Albo utopienie, albo pobicie i utopienie. Koncepcje są różne.

– Wieland wolał na razie podać ostrożną, zachowawczą wersję wydarzeń. Bo i po co tak od razu się wychylać?

– Dziś komuniści raczej sami do wody nie wskakują – stwierdził oficer. A to rzeczywiście jest ten, jak mu tam...?

– To jest on. Ja jego znam dobrze, bo my na jednej ulicy mieszkali – potwierdził Kempke.

Tak naprawdę znał tego Maxa Wargatscha od zawsze. Wychowywali się na jednym podwórku i chodzili nawet do tej samej szkoły powszechnej. Ale jakoś nigdy specjalnie nie przepadali za sobą. Może dlatego, że nie mieszkali w tej samej

kamienicy, ale w położonych obok siebie, sąsiadujących domach. A jak wszyscy dobrze wiedzą, dzieci trzymają się w kupie, najpierw łącząc się w bandy wywodzące się z jednego domu, po to, by zwalczać bandy z innych domów. I dlatego Wargatsch i Kempke nie mogli poznać się lepiej, skoro należeli do dwóch zwalczających się grup. Ale w dorosłym życiu mówili sobie dzień dobry i uśmiechali się do siebie, mijając na ulicy. I może by nawet mogło dojść między nimi do jakiegoś sąsiedzkiego zbliżenia, gdyby nie wojna. Obaj zostali zmobilizowani. Kempke wysłano na front włoski, a Wargatscha na wschód. I właśnie te doświadczenia frontowe ukształtowały ich poglądy. Wargatsch wrócił do domu przesiąknięty ideami komunistycznymi, a Kempke stał się zajadłym antybolszewikiem. Nie zbliżyło ich dzieciństwo, a dorosłość tym bardziej ich od siebie oddaliła. Choć Kempke, jako człowiek przyzwoity, już dawno ostrzegał Wargatscha, że ten bolszewizm się dla niego źle skończy. No i proszę, miał rację. Był bolszewik, nie ma bolszewika. Tylko dzieciaków szkoda, bo co one winne, że ich ojciec to wichrzyciel i wywrotowiec.

– Max Wargatsch we własnej osobie – stwierdził Kempke, wpatrując się w bladą twarz topielca.

– No to mamy, że się tak wyrażę, problem polityczny – stwierdził oficer. – Chodź pan tu, panie Schultz – odwrócił się, spoglądając na złażącego z kozła karawanu grubego Dithera Schultza, właściciela zakładu pogrzebowego.

Ten obwiązał lejce wokół dyszla i podszedł posłusznie do policjanta, ściągając jednocześnie z głowy czapkę z daszkiem. Karawaniarz, jak to mieli w zwyczaju wszyscy porządni właściciele zakładów pogrzebowych, był ubrany w czarny surdut, czarną kamizelkę i czarne spodnie. Lecz do takiej pracy jak przewożenie zwłok nie zakładał białego kołnierzyka do koszuli. Na galowo ubierał się dopiero na pogrzeb.

– Możecie go zabrać, ale na razie nie wolno wam nic przy nim

robić, zrozumiano?

– A co ma się nie rozumieć? – Schultz wzruszył ramionami. Przecież dla niego to nie pierwszozna. Znał się na procedurach policyjnych nie od dziś. Wiadomo było, że jeśli pojawiał się podejrzenie o nienaturalne zejście z tego świata, najpierw zwłoki musiał przebadac lekarz sądowy. A dopiero jak powstanie protokół, on będzie mógł się zabrac za przygotowanie nieboszczyka do jego ostatniej podróży. Natychmiast dostrzegł, że będzie z tym troche roboty, bo ten miał rozbitą gębę i przestawiony nos. No, ale dla takiego mistrza fachu pogrzebowego jak Schultz nie było to żadne wyzwanie.

– Wszystko będzie zgodnie z przepisami, panie Aschmutat. Jak tylko go przewieziemy do zakładu, zaraz pošę którego z moich chłopaków po doktora Burhardta. Wszystko będzie w najlepszym porządku. – Wyciągnął z kieszeni kraciastą chustkę i wytarł nią krople potu z łysego czoła. Jego służbowy strój najwyraźniej nie nadawał się na taką pogodę. Potem skinął na dwóch chłopaków, swoich synów, którzy przyuczali się już do rodzinnego interesu, na razie zajmując się tylko pracami fizycznymi. Natychmiast zabrali się do roboty z pełną fachowości obojętnością. Najpierw wydobyli z karawanu brezentowe nosze, ułożyli je obok ciała na trawie, a potem złożyli na nich ciało. Ojciec dokończył tę pracę, przykrywając nieboszczyka czarną ceratą.

– Niech pan powie doktorowi, że zaraz po oględzinach czekam na ustny raport – polecił Carl Aschmutat. – Nie ma czasu do stracenia. Musimy tę sprawę szybko wyjaśnić, żeby nie zrobiła się z tego większa afera i komuniści nie wywołali jakichś niepokojów w mieście.

– I tak się z tego zrobi zamieszanie – stwierdził Kempke. – Dla nich to jak woda na młyn.

Oficer pokiwał głową. Wiedział, że Kempke ma rację. To morderstwo mogło być jak iskra w beczce prochu. Tym bardziej

teraz, w chwili gdy do miasta ma przyjechać Hitler. Tylko tego brakowało. Trzeba będzie podjąć specjalne środki ostrożności i przede wszystkim dowiedzieć się, co zamierzają komuniści. Z tym nie powinno być większych problemów, bo policja ma wśród nich swoich płatnych informatorów. Jeśli więc będą zamierzali wszcząć burdy albo nie daj Boże zamieszki, to będzie można zdusić je w zarodku, wsadzając do aresztu przywódców. Na razie jednak liczył na to, że lekarz stwierdzi, iż nie doszło do morderstwa, lecz do nieszczęśliwego wypadku. Choć Aschmutat nie bardzo w to wierzył. Wygląd trupa mówił sam za siebie. No, ale trzeba było mieć nadzieję.

– Że też nie mógł popłynąć gdzieś dalej – rzucił na odchodnym.

– Za dużo ludzi widziało – powiedział podoficer Wieland, który doskonale pojął myśl Aschmutata. Bo gdyby znaleźli go policjanci, a nie ten ćwok z łódki razem z dziećmi, to jak dwa i dwa jest cztery Max Wargatsch płynąłby już dawno z nurtem rzeki do Polski. A tam, w Ujściu, przecież nikt by tego faceta nie zidentyfikował. Tutaj zaś prowadziłyby się spokojnie poszukiwania zaginionego, który nigdy by się odnalazł. I policja nie miałaby przez to problemu. To prawda, że przez tych czerwonych wciąż tylko same kłopoty, co jak grom z jasnego nieba spadają na porządnych ludzi.

[1] Landesmuseum – muzeum miejskie; Landestheater – teatr miejski; Provinzialverwaltung – Rejencja Prowincji; Reichsdankhaus – dom kultury; Rotkreuz – Czerwony Krzyż.

Rozdział II

Schneidemühl

Godzina 11.30 przed południem

– Ona jeszcze żyje – stwierdził lekarz, pochylając się nad leżącą na podłodze Lothe.

– Przecież to jasne jak słońce, że żyje – stwierdziła Urlike Koerber. – Jak oddycha, to znaczy, że żyje. Tylko jej mąż nie żyje.

– Nie ma czasu! – Doktor Burhardt zignorował tę wymądrzającą się babę i natychmiast zabrał się za opatrywanie rany. Chwilę trwało, zanim udało mu się jako tako zaopatrzyć raną. Kobieta była wciąż nieprzytomna, ale równy oddech dawał nadzieję.

– I co, będzie żyła? – zapytał stojący w drzwiach policjant w cywilu.

– A czy ja jestem Panem Bogiem? – odpowiedział lekarz opryskliwie. Zawsze irytowały go te policyjne pytania. Tak jakby sami nie mogli zrozumieć, że w takiej chwili niczego jeszcze nie można wiedzieć na pewno. No, ale ten, co pytał, był młody. Mógł nie mieć doświadczenia, stąd to idiotyczne pytanie. Ale nawet, jak nabierze doświadczenia za kilka lat, to i tak, Burhardt był o tym przekonany, będzie zadawał głupie pytania. Ci z Kripo byli niereformowalni.

– Ja tylko tak zapytałem, panie doktorze, żeby coś do raportu wpisać – próbował się tłumaczyć młodzieniec o krótko przystrzyżonych blond włosach i bez cienia zarostu na policzkach. Pewnie się jeszcze nie golił. Skąd oni biorą takich gówniarzy? Lekarz z dezaprobatą spojrział na młokosa, który miał autentycznie zmartwioną minę.

– Może pan jechać ze mną do szpitala. Za jakąś godzinę czy dwie będziemy wiedzieć więcej.

– To ja bardzo chętnie, ale później. Na razie muszę tu wszystko spisać na miejscu...

– Bierzemy ją do ambulansu! – krzyknął głośno doktor, tak żeby słyszeli go sanitariusze, którzy zostali przed drzwiami na klatce schodowej. Zaraz też do pokoju weszli dwaj rośli mężczyźni w białych fartuchach. Bez zbędnych pytań ułożyli kobietę na noszach i wyszli z mieszkania.

– A co z dzieciakami? – Stróż, korzystając z okazji, wcisnął się do środka i zamarł, widząc na podłodze zwłoki mężczyzny.

– Jakimi dzieciakami? – zapytał lekarz.

– No dzieciakami tych tu. – Wskazał tamten zwłoki mężczyzny.

– A co, któreś z dzieci jest ranne?

– Nie, dzięki Bogu zdrowe.

– To co mnie to obchodzi? – Burhardt machnął ręką. Wziął ze stołu swoją lekarską skórzaną torbę i podążył za sanitariuszami.

– Bo dzieciaki na razie kazałem żonie wziąć do nas do domu – wyjaśnił stróż, spoglądając na młodego policjanta.

– I bardzo słusznie zrobiliście – pochwalił go policjant. – A teraz wszyscy niech stąd wyjdą. I zawołajcie mi tu tego podoficera, co został na dole przy bramie.

– Ale jak on se pójdzie, to zaraz jakieś ludzie będą chciały tu wleźć.

– A od czego jesteście stróżem? – Policjant odpowiadał głosem

nienawykłym do sprzeciwu. Widać było, że już ta jego początkowa niepewność zniknęła, przykrywana wyuczoną w szkole policyjnej pewnością siebie i doprawiona sporą dawką młodzieńczej bufonady.

– Tak jest, panie oficerze. – Stróż natychmiast zareagował na sugestię policjanta i zniknął na korytarzu.

– Pani jest sąsiadką? – Policjant zwrócił się teraz do Urlike, która stała pod ścianą z rękami założonymi na piersi. Jej mina mówiła wszystko. Kobieta była zła, że ten gówniarz z policji dopiero teraz nią się zainteresował, a przecież była tu od samego początku.

– No pewnie – burknęła.

– I to pani ją znalazła?

– A kto inny? Ja ją znalazła i widziała nawet tego, co ją zabił i jej męża też zabił.

– Widziała go pani?

– Tak jak teraz pana.

Mężczyzna odwrócił się, słysząc ruch za plecami. Do mieszkania wszedł wielki, barczysty policjant w zielonym mundurze. Stał na baczność i przyłożył dłoń do daszka czapki.

– Wachtmeister Kukla melduje się na wezwanie.

– Słuchajcie, Kukla, staniecie w drzwiach i nikogo nie wpuszczacie do środka, rozumiano?

– Tak jest!

– Ja idę do środka... – Policjant spojrzał na kobietę. – Które to mieszkanie?

– Moje?

– Tak, pani.

– Piętro wyżej nad tym, znaczy się pod ósmym będzie.

– Idę przesłuchać świadka i spisać zeznania pod ósmy numer. A wy czekacie tutaj na śledczych z Dyrekcji Policji. Zrozumieliście, Kukla?

- Tak jest. Melduję, że wszystko jasne. Czekam na śledczych.
- Niech pani prowadzi.

Urlike skinęła głową i zaraz ruszyła przodem. Była z siebie dumna, że potrafiła zachować zimną krew w takiej niecodziennej sytuacji. Już nie mogła się doczekać, kiedy opowie o wszystkim mężowi. Co tam mężowi. Opowie o wszystkim ze szczegółami swoim sąsiadkom. Przecież one o niczym nie miały pojęcia, tylko ona wiedziała o wszystkim od samego początku i widziała wszystko na własne oczy. Nawet tego bandytę. Przecież to było jak historia prosto z zeszytów kryminalnych. Ona była teraz najważniejszym świadkiem i to od niej zależało, czy złapią mordercę. Bo jeśli powie dokładnie, jak wyglądał, a zdawało jej się, że zapamiętała każdy szczegół, to policja złapie go w mgnieniu oka. Ale jeśli nie powie, to miesiącami będą szukać. Ależ ja mam teraz w swojej głowie ważne informacje – myślała uradowana. – Mam władzę, o jakiej wcześniej mi się nie śniło. Wszystko zależy ode mnie.

Otworzyła drzwi i puściła policjanta przodem. Znaleźli się w kuchni.

– Pan siada – powiedziała uprzejmie, choć z nutą pewnej wyższości w głosie. W końcu to ona teraz była panią sytuacji.

Młodzieniec usiadł dokładnie na tym samym krześle, na którym jeszcze niedawno siedziała ta biedna Lothe. Z kieszeni popielatej marynarki wyjął oprawiony w skórę gruby notes i starannie rozłożył go na stole. Najpierw poślinił czubek kopiowego ołówka, a potem, nie patrząc na gospodynię, zadał pierwsze pytanie:

- Imię i nazwisko?

Natychmiast wzięła się pod boki i spojrzała z wściekłością na tego bezczelnego młokosa. Taki młody, a nie wie, jak się zachować?

– To chyba pan się powinien przedstawić najpierw, żebym ja czego nie powiedziała nie wiedzieć komu.

Uniósł głowę. W jego spojrzeniu natychmiast dostrzegła niedowierzanie, a może też jakąś iskierkę strachu. Chyba go nie doceniła. On się nie bał. Był zwyczajnie wściekły. Powoli, opanowując drżenie rąk, wy dobył policyjny złoty medal Kripo i rzucił go na stół.

– Jestem Leutnant Eberhardt Frank.

– A ja jestem... – Zadowolona chciała załagodzić ten niepotrzebny spór o pierwszeństwo, ale policjant wszedł jej w słowo.

– To się zaraz wyjaśni, kim pani jest. – Wstał i schował notes do kieszeni. – Idziemy.

– Co? Że niby jak?

– A tak, że stawia pani opór władzy, nie chce współpracować, dlatego wsadzę panią do aresztu na dwie noce i po wszystkim. A później stanie pani przed sądem za obrazę policjanta na służbie. Myślę, że za tak bezczelne postępowanie skazą panią na jakie dwa miesiące. No, dalej, idziemy.

Urlike zbladła momentalnie, a w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. Cała jej hardość i pewność siebie natychmiast uleciały przez otwarte okno.

– Za co, panie oficerze? Za co mnie do aresztu? Ja przecież wszystko chciałam powiedzieć jak na spowiedzi. I pomóc jak się da najlepiej. Przecież to ja znalazłam tę Lothę zastrzeloną i widziałam tego, co uciekał z mieszkania. Ja kazałam wezwać policję. I to mnie pan chce do aresztu? Przecież ja niewinna jestem jak Najświętsza Paniienka. Niech pan ma litość dla biednej matki trójki dzieciaków. Bo kto im da jeść, jak mnie nie będzie, panie oficerze jedyny...

Frank uśmiechnął się pod nosem, a potem usiadł na powrót przy stole, wyjmując jednocześnie notes. Kobieta skromnie przysiadła na brzeżku drugiego krzesła.

– Imię i nazwisko?

– Urlike Koerber.

- Rok urodzenia?
- Dziewięćdziesiąty czwarty.
- Imię ojca?
- Seph, znaczy się Joseph.
- Jak wyglądał ten, którego pani widziała?
- Że niby kto?
- No ten morderca, który strzelał na dole.

Zmarszczyła brwi, jakby zbierała myśli. Już chciała dokładnie opowiedzieć o wysokim blondynie, który mógł mieć jakieś trzydzieści lat i był ubrany w czarne spodnie i zieloną marynarkę, stylizowaną na tyrolską, ze skórzanymi wstawkami... Ale ten policjant powiedział, że wsadzi ją do aresztu za utrudnianie śledztwa, a tymczasem ona chciała mu pomóc w ujęciu tego bandyty. A figę z makiem, jeśli mu powie wszystko, jak było. Niech ma za karę jakieś banialuki i później szukaj wiatru w polu. Niech wie, gówniarz jeden, że z nią nie ma żartów. Jak już jej nadepnął na odcisk, to pożałuje.

- Niski był i łysawy. Jakieś pięćdziesiąt lat mógł mieć i na nogach knykry i kraciaste skarpetki. I miał jeszcze marynarkę, taką angielską w pepitkę, i kapelusz skórzany, czarny.

- Kapelusz na pewno był czarny?

- Czarny z piórkiem.

- To skąd pani wie, że był łysy, jak miał na głowie kapelusz?

Zamilkła na moment. Zaskoczył ją ten cholernik. Najwyraźniej się czepiał.

- Bo jak tak szybko biegł, to mu ten kapelusz spadł z głowy - wymyśliła na poczekaniu. - No i jak jemu zleciał, to on się na chwilę zatrzymał, to ja se go dobrze obejrzała z góry.

- A wąsy jakie miał, krótkie, przycięte jak Hitler, czy takie długie jak kajzer Wilhelm?

- Raczej będzie jak kajzer - odpowiedziała po chwili zastanowienia.

Policjant uśmiechnął się lekko.

- To czemu pani wcześniej nie powiedziała, że miał wąsy?
- Bo pan nie pytał.
- To pani jest świadkiem morderstwa i to pani powinna wszystko opowiedzieć po kolei, a nie tu kręcić.
- Dobry Boże, ja kręcę? Ja mówię wszystko, jak było.
- Jak kto kręci, to zaraz na komisariat. Bez żadnych ceregieli.
- Policjant i kobieta natychmiast spojrzeli w kierunku drzwi, skąd dobiegał spokojny i rzeczowy głos. Na widok mężczyzny w mundurze, który właśnie wszedł do mieszkania, Leutnant Eberhardt Frank natychmiast poderwał się z krzesła.
- Panie Hauptmannie, melduję, że przesłuchuję właśnie tę kobietę, która widziała sprawcę.
- Bardzo dobrze, Leutnancie – pochwalił go Carl Aschmutat. – I jakie wyniki?
- Melduję, że widziała, jak z tego mieszkania ktoś uciekał, ale gubi się w szczegółach.
- No to na noc do celi ją, a rano sobie wszystko przypomni.
- Neeeeee! Błagam, panie oficerze. Ja wszystko pod Bogiem powiem. Już nawet sobie przypomniałam, że on miał wąsy krótkie jak pan Adolf Hitler.
- No to niech pan przesłuchuje dalej, Leutnancie, a jak będzie pan miał raport, niech się pan stawi u mnie w Dyrekcji Policji. A na miejscu, w tym mieszkaniu na dole, sprawdził pan, czy co zginęło?
- Nie zdążyłem jeszcze, ale kazałem podoficerowi zabezpieczyć mieszkanie, żeby nikt tam niczego nie ruszał.
- A co by miało zginąć? – wtrąciła się kobieta. – Przecie oni byli biedni jak myszy kościelne. Nic cennego w domu nie mieli. Nikt tam by się nie wzbogacił. Po złości jego musieli zabić, tego Junga.
- Po złości? – zdziwił się Aschmutat. – A kto mógł mieć do niego złość? Nadepnął komuś na odcisk?
- Ja tam nie wiem, kto miał złość i komu nadepnął. Wiem

tylko, że jak w dzisiejszych czasach ktoś się bierze za politykę, to musi uważać.

– To ten tam zabity politykował?

– No a jakże. Przecie to jest Walther Jung, co na wiecach komunistów najwięcej krzyczał przeciwko naszemu kochanemu Adolfowi Hitlerowi.

Aschmutat poczuł, jak po plecach spływa mu stróżka potu. No to mamy w Schneidemühl poważny problem – pomyślał. – Cholerny problem polityczny, i to w chwili, kiedy do miasta ma przyjechać ten pajac z błazeńskim wąsikiem.

Godzina 12.00 w południe

Mężczyzna w cyklistówce, z papierosem w zębach, ubrany w szarą marynarkę w prążki, ciemne spodnie i mocno schodzone buty, szybkim krokiem przemierzał parkową alejkę. Po chwili znalazł się przy stalowej siatce odgradzającej spacerową część miejskiego parku od wybiegu dla jeleni i saren. Przystanął na chwilę, jak zwykle w miejscu, w którym stawał zawsze, gdy przychodził na spacer z dziećmi. Spojrzał na wybieg, ale zwierząt nie było. Pewnie pały się z drugiej strony, stąd niewidocznej. Uśmiechnął się na myśl o zwierzętach i o swoich niedzielnych rodzinnych spacerach. I wtedy uzmysłowił sobie, że jeśli czegoś natychmiast nie zrobi, jeśli zaraz nie zacznie działać zdecydowanie, to tych spacerów może już nigdy nie być. Że wkrótce jego dzieci będą tu przychodzić z matką, bo jego nie będzie wśród żywych.

Zza rogu drewnianej szopy stojącej w prawej części zagrody wyszła najpierw jedna sarna, a po chwili dołączyły do niej dwie następne. Dzieci, które stały nieopodal, zaczęły krzyczeć i piszczeć z radości. Ale zwierzęta przyzwyczajone do tych codziennych wrzasków, nie zwróciły na nie najmniejszej uwagi.

One nie muszą się bać tego, co nastąpi jutro – pomyślał. – Tu, w tej swojej klatce, są bezpieczne, chociaż nie mogą wyjść na wolność. Ale będą żyć w dostatku tak długo, jak pozwoli im na to natura. Tymczasem ja niby jestem wolny, ale tak jak sarny żyjące w lasach. Żyję tak długo, dopóki nie zacznie się polowanie, do chwili, aż nie weźmie mnie na muszkę myśliwy. Poczuł na karku gęsią skórę i zaraz szybko odwrócił się. Nikogo za nim nie było, ale mężczyzna przez moment miał wrażenie, że ktoś na niego patrzy z ukrycia. Bzdura, za jego plecami rozciągał się przecież spory trawnik z kwietnymi rabatkami. Jakby ktoś go śledził, musiałby znajdować się właśnie gdzieś tam, z tyłu. Na alejce albo na którejś z ławek. Szybko obrzucił spojrzeniem trzy ławki. Na jednej jakiś staruszek czytał gazetę, ta środkowa była pusta, a na kolejnej siedziała chuda guwernantka wpatrzona w chłopczyka ubranego w marynarski strój. Nikt go nie śledził.

Zdjął z głowy cyklistówkę i przetarł wierzchem dłoni spocone czoło. Dawno mu się to nie zdarzyło, ale poczuł ten ciężar zalegający gdzieś głęboko w trzewiach. To samo, co czuł zawsze przed atakiem, zanim dowódca zadał w gwizdek, dając sygnał do wyjścia z okopu. Wtedy, przed każdym atakiem, czuł to, co teraz. Paniczny strach, ale nie był to strach przed śmiercią. Nie był to nawet strach przed bólem czy kalectwem. On bał się, że nigdy już nie zobaczy swoich bliskich, swojej ulicy i swojego miasta. Panicznie bał się, że wszystko, co kocha, straci w jednej sekundzie. Teraz bał się tak samo. Nie chciał utracić swoich bliskich. Chciał nadal co niedzielę chodzić z synkiem i córeczką do tego parku, a później na rynek na lody. Bał się, że nigdy już nie poczuje zapachu włosów swojej żony i nie usłyszy jej śmiechu. I bał się jeszcze, że nie zdąży naprawić drzwi od szafki w kuchni, w których pękł zawias.

I wtedy przypomniał sobie to uczucie, które towarzyszyło mu za każdym razem, gdy z karabinem w dłoni biegł w kierunku

francuskich okopów. Kiedy mimo ostrzału z wrogich karabinów maszynowych pędził przed siebie, krzycząc najgłośniej jak potrafił, kiedy przeładowywał mauzera i strzelał na oślep, nie widząc nawet celu, ale wiedział, że musi strzelać, żeby przeżyć. I w końcu stanął mu przed oczyma ten moment najważniejszy, te chwile euforii, kiedy w jakimś transie niemalże wskakiwał do wrogiego okopu, by zewrzeć się z wrogiem i wbić bagnet w ciało przeciwnika. Nic nie może równać się ze smakiem zwycięstwa. Zwycięstwa w walce.

Oskar Wittmann, bezrobotny stolarz i jednocześnie członek kierownictwa KPD w Schneidemühl, nałożył czapkę na głowę. Już wiedział, jak powinien postąpić, by wygrać, by znowu poczuć się wolnym i bezpiecznym człowiekiem. Ruszył szybkim krokiem przed siebie, w kierunku parkowego stawu. Tam, na niewielkiej wyspie, stała piękna altana, której blaszaną kopułę podtrzymywały delikatne stalowe słupy. Wewnątrz znajdowały się białe ławeczki, na których przysiadali spacerowicze, aby napawać się widokiem różanego ogrodu otaczającego altanę i podziwiać piękny staw, po którym pływały kaczki i łabędzie.

Wittmann przeszedł przez betonowy mostek, zmierzając na miejsce spotkania. Ernsta Bauera, chudego dryblasza, w zbyt obszernej marynarce i z okularami na długim nosie, było widać już z daleka. Jego mała głowa, osadzona na długiej szyi, wystawała ponad balustradę altany. Wittmann ucieszył się na jego widok. Lubił tego chuderlaka. Może nie był to człowiek nadający się do walki w okopach, co stwierdziła nawet komisja lekarska, odrzucając jego podanie o wstąpienie do wojska, był jednak nad wyraz ideowym towarzyszem. Najważniejszą jego cechą stanowiła niesamowita wprost wiedza, która pozwalała mu wieść prym w niemal każdej ideologicznej dyskusji. Mówiono o nim, że przeczytał wszystkie książki z miejskiej biblioteki, ale w to Wittmann nie bardzo wierzył. Był raz w bibliotece, kiedy zawoził zamówione w meblarni półki na

książki i widział, ile tych książek tam jest. Nikt nie dałby im rady. A już na pewno nie taki niedożywiony chudzielec.

To miejsce już dawno wyznaczyli sobie na spotkania, w sytuacji, o której można by powiedzieć, że jest alarmowa. Chodziło o to, żeby nie być widzianym i słyszonym gdzieś, gdzie ściany mogą mieć uszy. Tu mogły ich podsłuchać co najwyżej dzieciaki lub spacerujące z nimi kobiety. A te przecież polityką się nie zajmowały.

– Słyszałeś już o Waltherze i Maksie? – zapytał Wittmann bez niepotrzebnych wstępów.

Chudzielec skinął głową. Głupie pytanie. Jakby nie słyszał, to przecież by go tu nie było.

– Wargatsch pobity i utopiony, a Jung zastrzelony w swoim domu. – Bauer włożył rękę do kieszeni marynarki i wydobył z niej paczkę papierosów junco. Otworzył kartonik i podsunął koledze. Ten skorzystał skwapliwie, bo dawno nie palił. Szkoda mu było pieniędzy na papierosy, zawsze więc korzystał z okazji, gdy można było się poczęstować cudzym. Usiadł obok Bauera z papierosem w zębach.

– Wygląda na to, że chcą nas wszystkich wykończyć – stwierdził chudzielec, zaciągając się dymem.

– Ja też nie wierzę w żadne przypadki. To jest zorganizowana robota tych gnoi. Musimy się bronić.

– No pewno, łatwo powiedzieć musimy. Tylko jak? Mamy ich wszystkich wystrzelać?

– Oni strzelają do nas, a my do nich. Tak jak na froncie. Dla mnie sprawa jest prosta. Albo oni, albo my.

Bauer uśmiechnął się, ale zaraz potem, gdy poczuł suchość w gardle, spowaźniał. Zanim zawładnął nim atak kaszlu, zdążył jeszcze wyciągnąć chusteczkę. Był gruźlikiem i lekarze od dawna mu tłumaczyli, że tytoń nie pomaga w tej chorobie. On jednak wiedział swoje. Mówił, że w życiu ma tylko dwie namiętności: politykę i tytoń właśnie. I dlatego z żadnej nie

zamierza rezygnować.

Kaszel ustał. Przez chwilę mężczyźni siedzieli w milczeniu.

– Ty jesteś żołnierz i dla ciebie wszystko jest czarno-białe. Jest wróg, który do nas strzela, więc i my strzelajmy do nich. Ale ja muszę myśleć o konsekwencjach takich działań. Łatwo wyciągnąć pistolet z kieszeni i strzelać, ale najpierw trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie do kogo.

– Jak to do kogo? Musimy strzelać do nich, bo oni strzelają do nas.

– Ci, którzy strzelają, mają konkretne nazwiska. To do nich musimy strzelać. A nie do kogoś tylko dlatego, że nosi brunatny mundur. Sprawiedliwość nie może działać ślepo.

Wittmann wstał z ławki i zaczął szybko chodzić w kółko. Po kilku okrążeniach stanął na wprost przyjaciela i wymierzył w niego wskazujący palec.

– Mnie nie interesują konkretni ludzie. Mnie interesuje jedno. Chcę, żeby przestali do nas strzelać. A to można osiągnąć tylko w jeden sposób. Trzeba działać szybciej niż oni, bo wydaje mi się, że jeśli czegoś nie zrobimy, to będziemy następni.

– I tu się z tobą zgadzam całkowicie. – Bauer pokiwał głową. – Musimy zacząć działać, ale te działania muszą przynieść określony skutek. Zabijanie SA-manów przynosi niewielkie korzyści. Trzeba uderzyć w nich o wiele celniej. Trzeba sprawić, że odczują bardzo boleśnie karę za swoje uczynki.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Wittmann.

– Mam pewien pomysł.

– Jaki?

– Na razie na to jeszcze za wcześnie. Muszę wszystko posprawdzać, przeanalizować, czy to się uda...

– Co chcesz zrobić?

Bauer uśmiechnął się tajemniczo, a potem sięgnął po kolejnego papierosa.

– Zrobimy tak. Najpierw musimy zniknąć. Musimy się gdzieś

zamelinować, bo nasze mieszkania są spalone. Musimy też naradzić się z naszymi ludźmi. Oczywiście tymi najbardziej pewnymi. Opracujemy plan w najdrobniejszych szczegółach, a potem uderzymy. I to tak uderzymy, że te świnie zobaczą, że nie warto było z nami zadzierać.

Zadowolony Wittmann uśmiechnął się, szczerząc poźółkłe od nikotyny zęby. Nie pytał już o szczegóły, bo wiedział, że Bauer i tak nic więcej nie powie. Gdy sobie coś wymyślił, nie było siły, żeby się z tym zdradził, dopóki wszystkiego nie zaplanuje perfekcyjnie. No, ale potem będzie o czym gadać. Wittmann miał tylko nadzieję, że to rzeczywiście będzie coś wielkiego. W końcu po to wstąpił do partii komunistycznej, żeby robić wielkie rzeczy. Teraz czuł, że jego marzenie nareszcie się spełni.

– Ale powiedz mi... – Popatrzył na przyjaciela, a ten uśmiechnął się zachęcająco. – ...czy nie powinniśmy prosić centrali o zgodę na taką akcję?

Uśmiech zniknął natychmiast z ust Bauera. Mężczyzna sięgnął po kolejnego papierosa i szybko go zapalił.

– O co mamy prosić? O prawo do samoobrony? Nie, mój towarzysz. My nie będziemy robić niczego, co wychodziłoby poza zakres działań, które zmuszeni jesteśmy podejmować, by nie dać się wytłuc tym zbrodniarzom. My po prostu odpłacimy im pięknym za nadobne. W każdym razie w najbliższym czasie przyjedzie tu do nas człowiek stamtąd. – Wyciągniętą dłonią wskazał wschodni kierunek. – Już ja go przekonam, gdyby miał jakieś wątpliwości.

– Skoro tak mówisz, to i ja nie mam już żadnych wątpliwości. Musimy działać i to jak najszybciej.

Wittmann spojrział na staw, otoczony ze wszystkich stron pięknymi drzewami, których gałęzie pochylały się nad taflą wody, odbijając się w niej jak w lustrze. Biały łabędź podpłynął w pobliże altanki, zainteresowany widokiem dwóch mężczyzn w środku. Przez chwilę przyglądał się im z zainteresowaniem,

ale gdy stwierdził, że nie zamierzają rzucić mu chleba, wolno odwrócił się i popłynął w kierunku przeciwnego brzegu. Tam właśnie zatrzymała się kobieta z dwójką dzieci. Na dzieci zawsze można było liczyć, nie to, co na dorosłych.

Poznań

Godzina 1.40 po południu

– Czy można polegać na pańskim człowieku? – zapytał Dzeduszycki. – To znaczy, rozchodzi się o to, czy może być pan go zupełnie pewny.

Jażdżewski wypuścił dym papierosowy nosem, a potem uśmiechnął się, ukazując rząd równych, ale już nieco pożółkłych zębów.

– Absolutnie! To człowiek sprawdzony od dawna. Zresztą to przecież oficer.

Ignacy Dzeduszycki, podpułkownik Dwójki, pracujący dla Referatu Niemcy, również się uśmiechnął. Bo cóż to za argument dla niego, że człowiek jest oficerem. Oficerów u nas jak psów, ale rzadko który nadaje się do tak delikatnej misji, jaką musieli powierzyć temu Fischerowi. I jeszcze do tego to nazwisko. Polak powinien nazywać się Fiszrowski albo chociaż Fiszler pisany z polska, a nie z tym szwabskim „sch” w środku. A ten oficer z Poznania pewnie nawet nie pomyślał, żeby coś z tym niemieckim nazwiskiem zrobić. No, ale cóż, trzeba pracować z takimi ludźmi, jakich mamy. A do tej misji właściwie nie nadawał się nikt inny. Po tym, co Jażdżewski powiedział mu na jego temat, Dzeduszycki był pewien, że musi zaufać intuicji swojego poznańskiego podwładnego.

Do stolika, przy którym siedzieli w dawnej Café Esplanada, trzy lata temu przemianowanej na Arkadię, podszedł ubrany na

czarno kelner z białą serwetą przewieszoną przez lewe ramię. Chciał przyjąć zamówienie, ale pułkownik odprawił go, machając dłonią, jakby opędzał się od natrętnej muchy. Ten natychmiast zrozumiał, że goście chcą się jeszcze zastanowić, i odszedł pełen zrozumienia.

– Mówił pan, że to będzie miejsce, w którym da się porozmawiać, nie rzucając się w oczy, a tymczasem widzę tu całe tłumy ludzi. – By uzyskać lepszy efekt dramaturgiczny, podkreślający jego słowa, uniósł głowę i powoli omiół kawiarnianą salę spojrzeniem.

Rzeczywiście, o tej porze w Arkadii jak zwykle było tłoczno. No, ale jak tu się dziwić, skoro był to jeden z najbardziej eleganckich lokali w mieście, w dodatku doskonale położony, w samym centrum, przy placu Wolności, obok słynnego Domu Handlowego Haase & Co. Tutaj eleganckie panie, po zakupach konfekcyjnych, obładowane pudłami i torbami przy filiżance kawy i wyśmienitym cieście, oczekiwały na swoich mężów, którzy w tym czasie załatwiali swoje jakże ważne interesy. Arkadia bowiem była miejscem spotkań miejscowej elity. Dziś też lokal był pełny, a głosy i śmiechy uradowanych pań dochodziły niemal z każdego kąta. Między białymi stolikami i białymi plecionymi krzesłami uwijało się co najmniej dziesięciu ubranych w czarne smokingi kelnerów, gotowych spełnić natychmiast każde życzenie swoich klientek.

– Jak to mówią, pod latarnią najciemniej – stwierdził refleksyjnym tonem major Jażdżewski. – Myślę, że o wiele więcej oczu zwróciłoby uwagę na pana, gdybyśmy na spotkanie wybrali miejsce w którymś z parków. A tutaj, jak pan widzi, wszystkie panie są zajęte swoimi sprawunkami i lodami włoskimi.

– Włoskimi?

– A tak, właśnie. Może i pan pułkownik spróbuje? Kręcą je w specjalnej maszynie, którą tu sprowadzili z Italii. Powiadam

panu – niebo w gębie. Normalnie się rozpływają.

– Daj pan spokój z lodami. Kawę wypiję chętnie. A może i jakie piwo. Macie tu chyba w tym Poznaniu jakieś dobre piwo?

Jażdżewski rozpromienił się. Był zawołanym piwoszem, o czym świadczył pokaźny, z każdym rokiem powiększający się brzuch. Na piwach znał się wybornie. No, ale jakże w Poznaniu nie znać się na tym złocistym napoju, skoro można tu było dostać jakieś trzydzieści najlepszych rodzajów piwa warzonego w mieście i w okolicy.

– U nas w Poznaniu – zaczął Jażdżewski z tym swoim charakterystycznym wileńskim akcentem – u nas w Poznaniu – powtórzył, tak jakby był poznaniakiem z dziada pradziada. Tymczasem pochodził z Wileńszczyzny i przydział do tego miasta tuż po wojnie bolszewickiej traktował jak dopust boży. Jednak po latach tu spędzonych nawet nie zauważył, jak wsiąkł w tę poznańską, kresową rzeczywistość. Wsiąkł do tego stopnia, że teraz sam o sobie myślał jak o prawdziwym poznaniaku, a w jego naznaczonych śpiewną wileńską melodią wypowiedziach w zupełnie naturalny sposób coraz częściej zaczęły pojawiać się takie zwroty, jak „le” czy „tej”.

– Jeżeli się rozchodzi o piwo orzeźwiające, takie, które na dzień upalny jest najlepsze, bo gasi pragnienie i nie zawiera zbyt dużej dawki alkoholu, a samo w sobie wyborne jest w smaku i jeszcze do tego mocno nagazowane, to poleciłbym panu pułkownikowi piwo grodziskie.

– A tak, słyszałem. Z tego browaru w Grodzisku.

– No właśnie, że nie tylko w Grodzisku.

– Jak to?

– Ano tak, panie pułkowniku, że piwo grodziskie to nie jest nazwa własna towarowa, ale pewien sposób warzenia piwa, czyli nazwa gatunku. Dlatego piwo grodziskie nie jest towarem wytwarzanym przez jeden browar, jak choćby ten w Grodzisku, ale gatunkiem, który może być produkowany nawet i u pana,

w Warszawie.

– Coś takiego – zdziwił się Dzeduszycki, który piwa lubił, ale nie do tego stopnia, żeby się nimi specjalnie interesować.

– Weźmy choćby na przykład takiego pilznera.

– I co z pilznerem?

– Nazwa sugerowałaby, że produkują go w Czechosłowacji, dokładnie w Pilźnie.

– No, owszem. A nie produkują go tam?

– Jak najbardziej, produkują. Ale pilznery powstają też w naszym poznańskim browarze Huggerów...

– Co pan powie?

– Łe, no ale też w Krakowie czy Berlinie.

Pułkownik z niedowierzaniem pokręcił głową.

– W Berlinie robią pilznera? No, tego to ja nie wiedziałem. Będę musiał powiedzieć o tym kolegom. Wie pan, my od czasu do czasu chodzimy razem z kolegami na piwo. Jak im powiem o tym pilznerze z Berlina...

– W Poznaniu też warzą pilznera, nazywa się Kryształ, a do tego może pan spróbować monachijskiego ciemnego, nie z Monachium, lecz także z Poznania, i grodziskiego, które powstaje tu, w naszym browarze.

Pułkownik przytłoczony tymi informacjami z niedowierzaniem pokręcił głową.

– No patrz pan, kto by przypuszczał... A tak à propos Berlina – tu spojrzaj uważnie na Jażdżewskiego – wszystko wskazuje, że szykują się tam wielkie zmiany. Co pan sądzi o Hitlerze?

Jażdżewski potrzebował chwili na zastanowienie, zanim odpowiedział na to pytanie. Nie, żeby nie miał zdania. Przecież od chwili, kiedy przyjechał tu na „prowincję”, do tego Poznania, nic innego nie robił, tylko analizował sytuację w Niemczech. Utrzymywał na pograniczu rozległą sieć agentów i współpracowników, którzy między innymi mieli za zadanie śledzenie nastrojów wśród ludności niemieckiej. I musiał

przyznać, że to, co działo się tam teraz, przypominało ciszę przed burzą.

– Hitler to człowiek bezkompromisowy, który wie, czego chce. Ale ważniejsze jest to, że tego samego, co on, pragnie sporo Niemców. On świetnie czyta nastroje społeczne.

– Czyli czego chcą?

– Najprościej to można powiedzieć, że nie zgadzają się z porządkiem, jaki teraz panuje w ich kraju. Negują wszystko to, co zastali, i chcą od podstaw zbudować nowe Niemcy.

– Myśli pan, że im się uda?

– Ja nie myślę, ja, panie pułkowniku, jestem o tym przekonany.

– Dlaczego?

– Panie pułkowniku, przede wszystkim hasła, które niosą na swoich sztandarach, to czysty populizm. Oni mówią prostym i zrozumiałym dla ludzi językiem, który dociera do maluczkich. Mówią im tak: Kraj jest źle rządzony i dlatego mamy kryzys. Ci, którzy rządzą, okradali was przez ostatnie kilkanaście lat. A wy żyjecie w biedzie nie dlatego, że jesteście głupi i niezaradni, lecz dlatego, że byliście cały czas okradani z waszych pieniędzy. Więc trzeba z tym skończyć. Gdy my przyjdziemy do władzy, rozliczymy złodziei, a wam damy pracę i – co ważniejsze – stworzymy kraj równych szans dla wszystkich, kraj, w którym każdy człowiek dostanie to, co mu się należy. I jeszcze do tego damy wam dodatki na wychowanie dzieci i wszystkim robotnikom płatne urlopy.

Do stolika wrócił kelner, który ukłonił się bez słowa, czekając na zamówienie. Jażdżewski dostrzegł go natychmiast, więc przerwał swój wywód i spojrzał na pułkownika.

– Więc co pan sobie wina?

– No to chyba kawa i pewnie to piwo grodziskie trzeba by w takim razie spróbować – odparł Dzeduszycki.

– Świetny wybór szanownego pana. Grodzisza mamy

świeżutkiego, dopiero co beczki przysły z browaru.

– To daj pan dwa grodzisze i dwie filiżanki kawy po turecku ze śmietanką.

– Już się robi dla szanownych panów. – Kelner przyjął zamówienie i odszedł od stolika.

– Więc, według pana, ci narodowi socjaliści mają szansę wygrać w nadchodzących wyborach do Reichstagu?

Jażdżewski pokiwał głową.

– Według mnie wygrają. Ale najgorsze nastąpi dopiero po wyborach. Jeśli zdobędą większość, przejmą władzę jak najbardziej legalnie i wtedy się dopiero zaczniesz cyrk.

– Co pan ma na myśli? – zainteresował się pułkownik.

– Wtedy poczują swoją siłę, a to oznacza, że nie cofną się przed niczym. Zawłaszczą całe państwo, wszystkie instytucje, czyli sądy, policję i armię. Z chwilą gdy Hitler zostanie kanclerzem, demokracja w Niemczech się skończy. Nastanie czas dyktatury.

– Czyli wszystko będzie zależeć od jednego człowieka?

– W samej rzeczy. Cała władza wpadnie mu w ręce, a jego słowo będzie stanowić prawo.

– A pańskim zdaniem opozycja tak łatwo da za wygraną?

– Cała opozycja żyje złudzeniami. Im się wydaje, że prawo jest święte i że każdy przysły rząd będzie działać w jego granicach. I tu się mylą. Nie doceniają Hitlera. Oni sobie myślą, że to zwyczajny polityk, ale nie zauważają, że jest wilkiem w owczej skórze. Gdy tylko dojdzie do władzy, zrobi porządek z całą opozycją. Każdy, kto ośmieli się krytykować nowe, narodowosocjalistyczne porządki – trafi do więzienia. Oni już otwarcie mówią o tym na swoich wiecach.

Przy stoliku znów pojawił się kelner, tym razem z okrągłą tacą w dłoni. Postawił na stole dwa pokale z piwem i dwie białe filiżanki z kawą.

– No to spróbujmy tego specjału – zakomenderował pułkownik

i zaraz pociągnął solidny łyk piwa. Jażdżewski nie pozostał w tyle. Upił trochę, przyglądając się reakcji pułkownika. Ten odstawił naczynie i mlasnął ukontentowany.

– Miał pan rację. W kwestii piwa jest pan prawdziwym znawcą. Co do sytuacji u naszych sąsiadów, wnioskuję, że również można polegać na pańskiej opinii.

Zadowolony Jażdżewski uśmiechnął się szeroko.

– Moje opinie, panie pułkowniku, to efekt setek rozmów z ludźmi stamtąd.

– Więc niejako pochodzą z samego źródła.

– Tak jest. W rzeczy samej – ze źródła.

– A w kwestii zagranicznej? Czego możemy się spodziewać według pana po Hitlerze?

– On wyłożył to dość dokładnie w książce *Mein Kampf*: rewizja postanowień traktatu wersalskiego i przestrzeń życiowa dla Niemców na wschodzie.

– Tylko pytanie, czy wschód ten bliższy, czy dalszy?

– Ja rozumiałbym to raczej jako bezkresne przestrzenie, które należą do bolszewickiej Rosji.

Dzieduszycki upił kolejny łyk grodziskiego.

– Jeśli więc myśli o marszu na Rosję, powinniśmy traktować go jak naszego potencjalnego sojusznika, ale jeżeli wschodem jesteśmy my... to wszystko wskazuje na to, że powinniśmy się mieć na baczności.

– Ale panie pułkowniku, to nie nastąpi w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Na razie Niemcy nie mają silnej armii. Myślę, że jej odbudowa musi trochę potrwać. Dlatego mamy nieco czasu na przygotowanie się na tę najgorszą dla nas opcję.

– Albo i nie – zauważył pułkownik. – I dlatego misja pańskiego Fischera jest taka ważna. Musimy zacząć działać, zanim do najgorszego dojdzie. I teraz wszystko w jego rękach. Nie zawiedzie?

Jażdżewski spojrzał na pułkownika z uśmiechem. Nie

odpowiedział od razu. Zamieszał łyżeczką kawę i upił niewielki łyk.

– Panie pułkowniku, jeśli ktokolwiek miałby się zbliżyć do Hitlera podczas jego pobytu w Schneidemühl, to tylko on. Czy pan po tylu latach od zakończenia wojny nie miałby ochoty zamienić choć kilku słów ze swoim dawnym dowódcą? Nie mogliśmy znaleźć lepszego kandydata do tej misji. Kto jak kto, ale Fischer na pewno nie zawiedzie.

Schneidemühl

Godzina 2.20 po południu

– Panie Thomala, Hunterowi palce odcięło! – Młody Kurt Peters, pomocnik mechanika, bez pukania wbiegł do biura szefa, a na jego twarzy malował się wyraz prawdziwego przerażenia.

– Co? – krzyknął właściciel zakładu mechanicznego, okrągły jak piłka Ferdynand Thomala, zrywając się z fotela stojącego za okazałym dębowym biurkiem. Podnosząc się gwałtownie, uderzył dłonią w szklanke z piwem i złocisty napój rozlał się na blat, mocząc stertę papierów.

– Cholerne gówno! – zaklął, widząc, jakich szkód narobił przez swoją nieuwagę. – Trudi, chodź tu szybko! – zawołał córkę, która pracowała w jego firmie jako kancelistka i jednocześnie sekretarka szefa.

– Tak, tato! – Jasnowłosa głowa ozdobiona dwoma warkoczami pojawiła się w drzwiach prowadzących z biura ojca do kancelarii.

– Chodź tu szybko i zrób porządek z tymi papierami, bo piwo się wylało. Musisz to szybko wysuszyć!

Dziewczyna o posągowych kształtach, ubrana w pracowniczy, ciemny fartuch narzucony na zapiętą pod szyję białą koszulę,

weszła do gabinetu, kołysząc biodrami. Młody pomocnik mechanika spojrział na nią łakomym wzrokiem, ale ona nie zwróciła najmniejszej uwagi na tego pętaka. To nie był ktoś, o kim jakakolwiek myśl choć przez sekundę mogłaby zagnieździć się w jej głowie. Ona mierzyła znacznie wyżej. Żaden z tych babrzących się w smarach mechaników pracujących u ojca nie miał u niej najmniejszych szans. Choć Trudi dobrze wiedziała, że za każdym razem, gdy przechodzi przez podwórze, patrzą na nią jak psy na sukę. A niech sobie patrzą. Tyle ich, co zobaczą, i nic więcej. Po nią przyjedzie tu rycerz na białym koniu i zabierze ją na swój zamek, gdzieś na szczyt szklanej góry.

– Gdybyś, tatku, nie pił tyle piwa, to nic by się nie stało! – powiedziała z lekkim wyrzutem, ale i z jakąś nutką troski w głosie.

Thomala machnął ręką. Nie miał teraz czasu na przekomarzenie się z córką, choć wiedział, że ma rację. Spojrział na nią i uśmiech na chwilę zagościł na jego pucułowatej twarzy. Ależ ona podobna do matki! – przeleciała mu błyskawicznie przez głowę myśl, która nawiedzała go ostatnio dość często. Szczególnie teraz, latem, bo był to czas, kiedy dwadzieścia pięć lat temu poznał Grethel. Żona zmarła trzy lata temu, ale na szczęście pozostał mu po niej trwały i jakże piękny ślad w postaci tej oto dziewczyny. Najpiękniejszej i najmądrzejszej na świecie – Trudi.

– Wszystko przez tego cholernego Huntera. Dostanie taki robotę z litości i pcha te swoje brudne łapska gdzie nie trzeba. Już idę zobaczyć, co tam się stało, a ty, Kurt, dzwoń do szpitala. – Powiedziawszy to, wskazał ręką na wiszący na ścianie aparat telefoniczny.

– Tak jest, szefie. – Chłopak z radością pokiwał głową. Nie co dzień bowiem zdarzało mu się telefonować. Będzie o czym opowiadać w domu.

– A ile mu tych palców odcięło? – zapytał Thomala.
– Dwa, wskazujący i ten następny...
– Środkowy – odpowiedziała Trudi.
– No. – Chłopak uśmiechnął się do niej. – Już se w nosie nie podłubie.

– Kretyn – fuknęła na niego dziewczyna i zaraz zabrała się za oddzielanie od siebie pomoczonych kartek. Chłopak zakręcił korbką aparatu i po chwili, do tubki przyłożonej do ust, zawołał radosnym głosem:

– Tu mówi Kurt Peters z Zakładu Mechanicznego Ferdynanda Thomali przy Alter Markt, znaczy Hindenburg Platz, poproszę mnie połączyć ze szpitalem...

Thomala wyszedł z biura na podwórko, na którym stało kilka samochodów osobowych oczekujących na reperację. Na placu nie było żywego ducha. Za to natychmiast dostrzegł kilku pracowników w roboczych drelichowych kombinezonach tłoczących się u wejścia do szlifierni. Od razu skierował się w tamtą stronę. Jeśli komuś urwało paluchy, to tylko tam.

– Co tak stoicie, dupy wołowe! – krzyknął i zaraz mur robotniczych pleców rozstał się jak wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem. – Macie urlop, czy jak? Dalej, do roboty się brać!

Pracownicy zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a Thomala wkroczył do warsztatu. Natychmiast dostrzegł leżącego na betonowej posadzce mężczyznę, przy którym klęczał majster Schubert, pięćdziesięcioletni, najbardziej doświadczony pracownik firmy.

– Co się dzieje, Ludwig? – zwrócił się do niego Thomala.
– Przycinał deskę do tego opla z rozbitą kabiną, no i wsadził paluchy pod tarczę...
– Kretyn! – skomentował właściciel warsztatu.
– Tu są te palce – odezwał się młody pracownik, który w dłoniach trzymał przesiąkniętą krwią chustkę do nosa. –

Może mu przyszyją?

Thomala machnął ręką.

– Chyba co najwyżej do dupy. Możesz je rzucić psu. Nic z nimi nie zrobią.

– Jakże to tak? Palce człowieka dla psa...?

– Zaraz tu będzie ambulans. – Właściciel zakładu zignorował wątpliwości pracownika i zwrócił się do majstra.

– Już nie krwawi – wyjaśnił Schubert. – Przysmażyłem mu rany rozpalonym żelazem – mówiąc to, wskazał stalowy pręt leżący obok nieprzytomnego mężczyzny. Stary Ludwig potrafił się zachować. W końcu był weteranem Wielkiej Wojny i niejedną ranę w życiu widział. Dlatego jako jedyny spośród pracowników nie stracił zimnej krwi i natychmiast zabrał się do działania. Wiedział dobrze, że przy takich obrażeniach najważniejsze to nie dopuścić do wykrwawienia, a najskuteczniejszym sposobem jest przypalenie rany.

– Dobra robota. – Thomala pochwalił majstra, klepiąc go po plecach. – Ty to zawsze wiesz, co robić. Przydałby się nam w partii ktoś taki jak ty.

Schubert uśmiechnął się pod wielkim wąsem. Ten jego szef znowu wracał do tego samego tematu, mimo że Schubert już nieraz mu odmówił. Ale do Thomali jakoś nie mógł trafić argument, że jego majster nie lubi się do niczego mieszać.

– A na co wam taki stary piernik jak ja? Wam są potrzebni młodzi do okładania się po mordach z komunistami w piwiarniach. A ja ci powiem, Ferdynand, że ja do piwiarni to lubię sobie pójść nie po to, żeby się z kimś bić, ale żeby się napić piwa.

– To tak samo jak ja, ale bardziej jeszcze lubię porządek, dlatego trzeba zrobić w kraju porządek z tymi cholernymi komunistami i Żydami. – Thomala poczuł, że palnął głupstwo, widząc, jak zmienia się wyraz twarzy majstra.

– Z moją Marią też chcesz zrobić porządek?

– No nie, wiesz przecież, że tu chodzi o tych wszystkich, co nas okradają.

– Mnie nikt nigdy nie okradł.

– No wiesz, Ludwig, jak to jest z tymi Żydami – brnął dalej Thomala i nie wiadomo, dokąd doprowadziłaby go ta jego nieporadna retoryka, gdyby nie wołanie młodego Kurta Petersa, dobiegające z podwórka.

– Panie szefie, jest tu policja do pana.

– A oni tu po jaką cholere? – zdziwił się właściciel warsztatu. – Przecież nic takiego się nie wydarzyło. – Jakby na potwierdzenie swoich słów popatrzył na odzyskującego właśnie przytomność pracownika, który zaczął cicho jęczeć.

– Zaprowadź go do szatni – rzucił w stronę chłopaka, który cały czas trzymał w ręce chustkę z odciętymi palcami. – Niech tam czeka na lekarza – dodał i wyszedł z budynku.

Na dziedzińcu natychmiast dostrzegł dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu. Jednego poznał. To był sam Hauptmann Aschmutat. Thomala znał go dobrze i dlatego się zdziwił, że tak wysokiej rangi oficer przyszedł tutaj z powodu jakichś tam głupich obciętych palców. Wystarczyłby ten młody blondyn, co stał obok niego, choć i on był chyba zbyt wysokiej rangi jak na taki drobny incydent.

– Że też chciało się panu fatygować do takiej bzdury, panie Aschmutat – zawołał, podchodząc do nich, by się przywitać.

– Dzień dobry, panie Thomala. A to jest Leutnant Eberhardt Frank. Dopiero od miesiąca w Policji.

– Witam pana Leutnanta. Dużo roboty to w naszym spokojnym mieście pan mieć nie będzie.

– Czyżby? – Aschmutat spojrział uważnie na twarz Thomali, ale nie dało się z niej wyczytać niczego nadzwyczajnego. Ot, zwykła gęba właściciela warsztatu samochodowego.

– No, co najwyżej takie tam głupoty jak tu dzisiaj, ale że to panów oficerów interesuje, to się dziwię.

– A skąd pan wie, panie Thomala, co nas interesuje? – zapytał Aschmutat.

– Stąd wiem, że tu przyszliście. I dlatego się właśnie dziwię, że obcięte dwa paluchy mogą interesować takich poważnych oficerów.

– Jakie paluchy, do cholery, panie Thomala? O czym pan w ogóle mówi? – zdenerwował się Carl.

– No o tym. – Thomala odwrócił się. Chłopak z zakrwawioną chusteczką stał teraz w drzwiach. Odprowadził rannego do szatni, ale najwyraźniej dalej nie wiedział, co zrobić z palcami. Szef skinął na niego. – Chodź no tu i pokaż panom oficerom, co tam masz.

Ten natychmiast podbiegł do szefa. Ostrożnie rozwinął chustkę na dłoni. Zdziwieni policjanci zobaczyli na niej dwa równo ucięte palce.

– A czyje to palce? – zapytał zaciekawiony Aschmutat.

– No jak, czyje? – zdziwił się Thomala. – Tego, co je sobie obciął, znaczy się Huntera. Pod piłę tarczową sobie je wsadził.

Młodszy z dwójki policjantów najwyraźniej pobladł w reakcji na ten krwawy widok. Starszy tylko z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Co mi pan tu jakieś paluchy pokazuje.

– Nie jakieś, ale obcięte.

– Panie Thomala, nic mnie to nie obchodzi. Ja tu nie w sprawie tych palców, ale w sprawie morderstwa do pana przychodzę.

– A, morderstwa... – ucieszył się właściciel zakładu. – Jak w sprawie morderstwa, to nie do mnie. Huntera nikt nie zamordował. Żyje i leży w szatni. Zaraz ma po niego ambulans przyjechać, ale nie umrze. Rany fachowo już przypalone. Wyliże się chłop.

– Nam, panie Thomala, nie chodzi wcale o pańskiego pracownika, ale o Maxa Wargatscha.

Thomala aż otworzył usta ze zdziwienia. Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem na policjanta, a potem szeroko się uśmiechnął.

– To Wargatsch nie żyje?

– Nie żyje. Zimny trup.

– Dzięki ci, Panie Boże. Jest jeszcze na świecie sprawiedliwość. – Thomala najwyraźniej się ucieszył. Carl natychmiast zrozumiał, że wiadomość o śmierci komunisty zrobiła na nim wrażenie, ale nie takie, jakie mogłaby zrobić na mordercy. Thomala był niewinny. Ale to wcale nie oznaczało, że niewinni byli także jego ludzie.

– Możemy porozmawiać gdzieś na osobności? – zapytał Aschmutat.

– Jak najbardziej, jak najbardziej. Zapraszam do mojego biura.

Szybko ruszył przodem. Po chwili otwierał już drzwi, wpuszczając obu policjantów. Za biurkiem ojca siedziała Trudi, zasłuchana w dźwięki walca płynące z radia Tesla.

– Trudi, zostaw nas samych. Muszę pogadać z panami policjantami.

Zerwała się z krzesła i ruszyła ku drzwiom, kołysząc biodrami. Ten starszy policjant wcale jej nie zainteresował, za to młodszego obrzuciła badawczym spojrzeniem. Pomyślała, że jest całkiem do rzeczy. To znaczy nieźle wygląda. No i do tego policjant. Człowiek na solidnym stanowisku. Przeszła tuż obok niego, uśmiechając się zalotnie. Ten, dostrzegłszy uśmiech dziewczyny, poczerwieniał na twarzy. Trudi spostrzegła natychmiast jego zakłopotanie i zadowolona z efektu zachichotała, znikając w drugim pomieszczeniu. Tymczasem Thomala podszedł do aparatu radiowego i wyłączył go, żeby muzyka nie przeszkadzała w rozmowie, po czym usiadł za swoim biurkiem, jednocześnie wskazując krzesło starszemu policjantowi. Dla młodszego miejsca zabrakło. Ten jednak wcale

się tym nie przejął, zajęty wpatrywaniem się w otwarte drzwi do drugiego pokoju, w którym zniknęła dziewczyna.

– To o czym chciałby pan pogadać, panie Hauptmannie?

– O tym, że za kilka dni przyjeżdża do nas pan Adolf Hitler.

– No tak, to zrozumiałe. – Thomala aż wyprostował się na swoim krześle, gdy policjant wypowiedział nazwisko jego wodza.

– To wielkie wydarzenie dla nas wszystkich.

– I dlatego chciałem panu powiedzieć, że nie będę tolerował żadnego bezprawia...

– Jakiego bezprawia?

– Pan dobrze wie, o czym mówię, a jeśli pan nie wie, to znaczy, że nie ma pan pojęcia, co się dzieje na pańskim podwórku.

– A zaraz...

– Niech mi pan nie przerywa, panie Thomala, i niech pan słucha uważnie. Pan jest tu w partii Ortsgruppenleiterem, czyli najwyższym stopniem funkcjonariuszem NSDAP, i pan odpowiada za porządek w waszych szeregach. Jeśli więc na tym terenie dochodzi do politycznych morderstw, to właśnie pan powinien o tym wiedzieć najlepiej.

– Co pan sobie wyobraża? Że niby członkowie naszej partii dopuszczają się jakichś morderstw? To absurd kompletny.

– Panie Thomala, ja nie jestem dzieckiem. Jeśli w ciągu kilku godzin w naszym mieście giną dwaj czołowi działacze KPD, to to nie jest przypadek. I jeszcze chciałem panu powiedzieć, że dla mnie prawo nie jest tylko pustym słowem. Znajdę morderców i postawię ich przez sądem. Może pan być tego pewien.

– Jak to dwaj?

– Dziś ktoś zastrzelił w jego własnym domu niejakiego Junga, a jego żonę ciężko ranił. Tu niedaleko od pańskiego warsztatu na Wasserstraße. Nic pan nie słyszał o tym?

– Mój Boże – jęknął Thomala.

Policjant wstał z krzesła, cały czas mierząc wzrokiem przeciwnika. Ten nie potrafił ukryć wzburzenia, a twarz

z wściekłości zrobiła mu się bordowa. Poluzował krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

– To są insynuacje. Nie ma pan żadnych dowodów...

– Dowody się znajdują. Obiecuję to panu. Idziemy! – Aschmutat machnął ręką na Franka i zaraz obaj opuścili biuro.

Wściekły Thomala przez chwilę siedział w milczeniu, łapiąc powietrze otwartymi szeroko ustami, jak opasy leszcz wyciągnięty na brzeg.

– Trudi! – zawołał, gdy wreszcie udało mu się nieco opanować.

– Tak, tatusiu? – Dziewczyna stanęła w drzwiach.

– Weź kankę i poślij któregoś z chłopaków po piwo, bo mi z nerwów całkiem w gębie zaschło.

Ze zrozumieniem pokiwała głową, a potem chwyciła naczynie stojące na blacie biurka. Ojciec wcisnął jej jeszcze w dłoń dwa banknoty.

– I po co się, tatusiu, tak denerwujesz?

Spojrzał na nią i zaraz złość mu przeszła.

– Jeszcze trochę, Trudi. Jeszcze trochę i zrobimy porządek z takimi przemądrzałymi pętakami. Jeszcze trochę.

Dziewczyna wyszła z biura, a on wstał zza biurka i podszedł do szafki ozdobionej pięknym odbiornikiem radiowym. Przekręcił gałkę i rozgrzewające się lampy po chwili podświetliły szklaną tablicę z nazwami miast europejskich, w których znajdowały się rozgłośnie radiowe. Przesunął wskazówkę na Berlin I. Z głośnika popłynęły rytmiczne dźwięki marsza wojkowego.

Godzina 2.50 po południu

Leutnant Eberhardt Frank nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć, bo wydarzenia, których był świadkiem od rana, kompletnie go zaskoczyły i przytłoczyły. Najpierw to

morderstwo na Wasserstraße, pierwsze w jego policyjnym życiu morderstwo, z którym miał do czynienia, i musiał przyznać, że był z siebie nawet trochę dumny, że potrafił się tam na miejscu zachować tak, jak na oficera policji przystało. Kazał zabezpieczyć miejsce zbrodni, przesłuchał świadka i nawet całkiem dobrze mu poszło z zastraszeniem tej kobiety. No a potem pojawił się na miejscu ten policjant Aschmutat z samej Dyrekcji Policji i nawet go za nic nie zbeształ. Może dlatego, że niczego nie zrobił tam na miejscu źle? Nie miał się do czego przyczepić, bo on przecież postąpił najzupełniej zgodnie z regulaminem. A potem wydarzyło się jeszcze coś dziwniejszego. Zamiast wykopać go z tego domu i odebrać śledztwo, Aschmutat kazał mu sporządzić raport z miejsca zdarzenia i z tym raportem meldować się u niego w gabinecie najszybciej, jak się da. No to pobiegł do swojego pokoju w komisariacie przy Saarlandstraße i na kilku kartkach w kratkę zapisał po kolei wszystko co zobaczył i co usłyszał. Pisał tak, jak go uczyli w szkole policyjnej w Berlinie, bez upiększania, niepotrzebnych ozdobników i wyciągania niepotrzebnych wniosków.

– Bardzo ładnie napisane – pochwalił go dwie godziny później Hauptmann Carl Aschmutat, który przyjął Leutnanta w pięknym gmachu z czerwonej cegły przy Danziger Platz.

Frank uśmiechnął się, zadowolony z pochwały, ale zaraz mina mu zrzędła, gdy usłyszał pytanie.

– A gdzie pańskie wnioski, panie kolego?

Chłopak milczał przez chwilę, bo naprawdę nie wiedział co odpowiedzieć. W końcu postąpił tak, jak go uczono. Przed wszystkim nie wymądrzać się przed przełożonymi.

– Od wyciągania wniosków są przełożeni. Młodszy oficerowie mają skrupulatnie wykonywać rozkazy – wyrecytował formułkę, którą wbito mu do głowy w szkole policyjnej.

Aschmutat uśmiechnął się pod nosem.

– Chcieli pana w szkole nauczyć wykonywania rozkazów? No i dobrze, ale mnie, prócz bezmyślnych małą, które zrobią wszystko, co się im rozkaże, potrzebni są ludzie myślący. Dlatego poproszę o to, żeby pan podzielił się ze mną swoimi przemyśleniami w kwestii morderstwa.

Przez chwilę w gabinecie panowała kompletna cisza. Młody oficer, stojący w przepisowej trzymetrowej odległości od biurka przełożonego, niezbyt regulaminowo podrapał się po głowie.

– I co, panie Frank, nie ma pan żadnych przemyśleń? Szkoda...

– Za pozwoleniem, panie Hauptmannie, doszedłem do następujących wniosków. Po pierwsze, kobieta, która widziała sprawcę, nie mówi całej prawdy. Myślę, że trzeba będzie ją jeszcze przycisnąć. Można jej powiedzieć, że ta jej postrzelona sąsiadka odzyskała przytomność i inaczej opisała mordercę...

– To ciekawe, co pan mówi – wszedł mu w słowo Aschmutat. – No i co dalej?

– Dalej uważam, że nie obejdzie się bez przesłuchania jeszcze innych mieszkańców okolicznych domów. Ktoś mógł coś zauważyć.

– Bardzo słusznie. Zajmie się pan tym i wyśle tam dwóch-trzech wywiadowców, żeby pogadali z ludźmi. Coś jeszcze?

– Tak jest. Wydaje mi się, że trzeba by też porozmawiać z kimś z NSDAP.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Bo... – Frank zamilkł na moment, szukając odpowiednich słów. – Bo oni są najbardziej radykalnymi przeciwnikami komunistów i w wyborach walczą o tych samych robotniczych wyborców.

– Więc uważa pan, że to morderstwo na tle politycznym?

– Tego jeszcze nie wiem, ale morderstwo z przyczyn rabunkowych raczej bym wykluczył. Ci ludzie byli zbyt biedni.

Aschmutat położył obie dłonie na blacie biurka i wyprostował

się na krześle.

– A jeśli bym panu powiedział, że dziś przed południem wyłowiono z rzeki, tu, całkiem niedaleko Dyrekcji Policji, zwłoki niejakiego Maxa Wargatscha, kolejnego komunistycznego działacza?

Młody policjant uśmiechnął się zadowolony.

– To by świadczyło o tym, że się nie pomyliłem.

– To dobrze, panie Frank. W takim razie niech się pan bierze do roboty. Proszę zająć się wysłaniem dwóch wywiadowców na Wasserstraße.

– Ale ja nie mam u siebie wywiadowców.

– A kto mówi, że to mają być pańscy ludzie? Od tej chwili przydzielam pana do mojego śledztwa. Wydaje więc pan wywiadowcom z tego budynku polecenia w moim imieniu. Proszę zgłosić się do podoficera dyżurnego i przekazać mu mój rozkaz. Wywiadowcy mają udać się na miejsce natychmiast, a jutro rano o dziewiątej godzinie przyniesie mi pan ich raporty.

– Tak jest, panie Hauptmannie!

– Za, powiedzmy, piętnaście... – Aschmutat sięgnął po kieszonkowy zegarek na łańcuszku, który nosił w prawej kieszeni swojej mundurowej bluzy – ...za dwadzieścia minut ma pan być przy bramie na dole. Pojedziemy złożyć wizytę pewnemu ważnemu człowiekowi z NSDAP, niejakiemu Ferdynandowi Thomali.

No i właśnie to wszystko, co wydarzyło się wcześniej, tak bardzo zaskoczyło młodego Franka, który jeszcze dziś rano był nic nieznaczącym oficerem stażystą z miesięcznym doświadczeniem, aż tu nagle stał się asystentem ważnego policjanta, który wziął go do niezwykle delikatnego śledztwa. I co więcej, zaufał mu na tyle, że pozwolił samodzielnie porozmawiać z żoną tego topielca Wargatscha. Przed chwilą jego nowy przełożony wsiał do służbowego Citroëna i gdzieś sobie pojechał, a jego zostawił pod zakładem mechanicznym,

należącym do narodowosocjalistycznego ważniaka.

Wargatsch mieszkał dwa kroki stąd, przy Jastrower Allee, trzeba więc było odbić w prawo. Frank ruszył w tamtym kierunku, ale przeszedłszy jakieś dwadzieścia metrów, przystanął, by rzucić okiem na niezbyt przyjemnie wyglądający zaułek, który, jak mu się wydawało, prowadził wprost do rzeki.

– Chce pan sobie spodnie uprać? – Z zamyślenia wyrwał go dziewczęcy głos. – To dobrze pan trafił, bo tam jest pralnia.

Odwrócił się natychmiast i zobaczył budynek, z którego ściany wychodziła żelazna rura, a z niej wydobywały się kłęby pary, oraz tę piękną dziewczynę, którą widział w biurze jej ojca. Zapamiętał, że Thomala zwracał się do niej Trudi. W dłoni trzymała kankę do piwa.

– Ojciec kazał mi wysłać kogoś po piwo, ale jak zobaczyłam, że pan tu stoi i nie wie, co ma ze sobą zrobić, to pomyślałam, że się pan zgubił w obcym mieście.

– Wcale się nie zgubiłem. Znam dobrze to miasto, bo już od miesiąca jestem w Policji.

– Ho, ho, od miesiąca. Kto by pomyślał. A skąd pan do nas przyjechał?

– Z Berlina – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Coś takiego! Myślałam, że w Berlinie mają zupełnie inny akcent.

– Prawda, inny, ale ja nie pochodzę z Berlina, tylko z Drezna. A w Berlinie uczyłem się w szkole policyjnej.

– No proszę, to znaczy, że się nie myliłam. Od razu słysząc tę dziwną saksońską melodię.

– A mnie się wydawało, że to tutaj wszyscy dziwnie mówią.

– Dziwnie? Normalnie. Najczystszą niemczyzną. A tak w ogóle to dokąd pan idzie?

– Tam. – Wskazał ręką na ulicę wychodzącą z niewielkiego ryneczku. – W sprawach służbowych.

– Fiu, fiu... w służbowych sprawach. A ja tam. – Trudi

wskazała uliczkę po przeciwnej stronie rynku. – I wcale nie w służbowych sprawach, lecz po piwo dla tatki. Tak się zdenerwował rozmową z pana szefem, że aż mu w gardle wyszło. A tata by muchy nie skrzywdził. Taki łagodny jest jak baranek. Nie dziwota, że po tym, co mu ten Hauptmann nagadał...

– A ładnie to tak podsłuchiwać pod drzwiami?

– A ładnie to tak straszyć tatkę?

– Panno Trudi, tu naprawdę chodzi o poważną sprawę. Dwóch komunistów nie żyje. Ktoś ich musiał zabić.

– Może i ktoś, ale na pewno nie tatko. Jak już, to pewnie ten gbur Schulte. Jak on się na mnie popatrzy, to aż mnie ciarki ze strachu przechodzą. To jest prawdziwy łotr. Mówię panu, że to jego robota.

Odwróciła się od niego i ruszyła przez brukowaną ulicę. Pobiegł za nią. Gdy się zrównali, uśmiechnęła się zadowolona, ale on nie widział tego uśmiechu, zaaferowany tym, co przed chwilą powiedziała.

– Kto to jest ten Schultze, panno Trudi?

– Nie żaden Shultze, ale Schulte, Hans Schulte. To cham i prostak. Już dawno mówiłam tatce, że powinien się go pozbyć, ale tatko powiada, że to nie takie proste, bo ten Schulte potrafi się bić jak mało kto, a w dzisiejszych czasach dobre pięści to najlepszy argument w politycznej walce. On był kiedyś zapaśnikiem. A wygląda jak Golem. Wielki, gruby i łysy na dodatek. Mówię panu, nie ma ani jednego włosa na glacy, hi, hi. Wstrętny typ.

Minęli pomnik Bohaterów Wielkiej Wojny, zdobiący środek rynku, i weszli w niewielką Bäckerstraße. W drugim domu po lewej stronie była piwiarnia, do której schodziło się po schodach.

– No i odprowadził mnie pan do piwiarni. – Dziewczyna zatrzymała się przy pierwszym stopniu. – Chce się pan napić

piwa?

- Policjant na służbie nie pije.
- No tak, trzeba mieć trzeźwą głowę, żeby prowadzić śledztwo.
- Ja tylko pomagam w śledztwie – poprawił ją Frank, choć poczuł się dumny, iż pomyślała o nim jak o kimś, kto samodzielnie wyjaśnia zagadkę morderstw. – Ale pomagać też trzeba na trzeźwo.
- Mój tatko to cały czas pije piwo, a jest trzeźwy.
- Bo ma widocznie dobrą głowę do picia.
- A pan do czego ma dobrą głowę?
- Mam nadzieję, że do myślenia.
- A o czym pan myśli?
- Teraz o tym, że muszę już się pożegnać, panno...
- Szkoda.
- Może...
- Co?
- Może w niedzielę moglibyśmy pójść razem na spacer?
- Po obiedzie – odpowiedziała natychmiast, nie dając mu nawet czasu na przemyślenie sprawy. – Obiad jemy o pierwszej, a po obiedzie możemy pójść nad rzekę.
- To o której mam po panią przyjść?
- Już powiedziałam, o pierwszej, na obiad. Ja sama gotuję dla tatki i moich dwóch sióstr. Ale teraz tylko dla tatki i dla mnie, bo dziewczynki wyjechały na letnisko. Mieszkamy nad biurem. Na górę wchodzi się po tych drewnianych schodkach. – To powiedziawszy, zbiegła po kamiennych stopniach i zniknęła we wnętrzu piwiarni. Policjant przez chwilę stał jeszcze kompletnie oszołomiony rozwojem wypadków, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. A potem, podrapawszy się po pozbawionej zarostu brodzie, pomyślał, że nigdy dotąd nawet nie przypuszczał, że potrafi tak błyskawicznie opętać kobietę. Tym bardziej że wcale tego nie chciał, ale jakoś tak wyszło, poza udziałem jego woli. Widać muszę mieć w sobie jakąś magiczną

moc, o której istnieniu dotąd nie wiedziałem – analizował tę niezwykłą sytuację, idąc wolno w kierunku wychodzącej z rynku Jastrower Allee. Minął narożny dwupiętrowy budynek, w którym mieścił się Reichsdankhaus, i skręcił w lewo. Był tak zamyślony, że mało brakowało, a wszedłby wprost pod kopyta konia ciągnącego wóz towarowy. Woźnica dostrzegł go w ostatniej chwili i szarpnął mocno lejcami, osadzając zwierzę w miejscu.

– Gdzie się pchasz, cholero jedna! – krzyknął w złości i strzelił batem tuż nad jego głową. Chłopak zdziwiony i przestraszony jednocześnie spojrzął na woźnicę, a zaraz potem na konia.

– Przepraszam bardzo – powiedział, wpatrując się w koński łeb.

– Ty patrz, jak łazisz, bo życie stracisz gówniarzu! – warknął chłop i delikatnie przejechał batem po końskim zadzie. – Tylko im dupy w głowie! No, dalej, Trudi, wio!

Trudi? Ta kobyła ma na imię Trudi? – Dotarło do niego, gdy wóz już się przetoczył. To chyba dobry znak?

Tym razem rozejrzał się, zanim wszedł na jezdnię. Droga była wolna. Czyszówka, w której mieszkała rodzina Wargatschów, stała jakieś pięćdziesiąt metrów w głębi ulicy. Ale idąc tam, Frank wcale nie myślał o komuniście topielcu. Myślał cały czas o tej niezwykłej dziewczynie, którą udało mu się tak szybko oczarować. Nagle przystanął, bo zdał sobie sprawę, że o czymś zapomniał. Szybko wyjął z kieszeni czarny notes i ołówek. Odnalazł pierwszą czystą kartkę i zaraz, na samej górze strony, zapisał: *Hans Schulte – były zapaśnik, wygląda jak Golem, tysy.*

Teraz, nadzwyczaj zadowolony z siebie, schował notes do kieszeni i ruszył w głąb ulicy, by porozmawiać z panią Wargatsch.

Godzina 6.30 wieczorem

Pociąg ze stacji Kreuz wolno wtoczył się na peron dworca w Schneidemühl. Carl, ubrany po cywilnemu, stał na peronie z bukietem kwiatów. Obok niego stanęła żona Anna w szykownej zielonej garsonce ze skórzanymi obszyciami, przypominającej swoim krojem alpejskie kurteczki. Na głowie miała zwykły, ale ostatnio bardzo modny beret, również w zielonym kolorze. Ich ośmioletni syn Jurgen tkwił wyprostowany obok rodziców. Nie trzymał jednak matki za rękę. W końcu był już mężczyzną, nie czepiał się matczynej spódnicy.

– A dlaczego pociąg jedzie z Kreuz, a nie z Posen, tato? Przecież oni mieszkają w Posen – zapytał, odwracając się do rodziców.

– Bo linia kolejowa po polskiej stronie granicy kończy się za Ujściem, potem tory są rozebrane aż do naszej granicy.

– No, ale na mapie widziałem, że jest tor z Posen do Schneidemühl.

– Na mapie w przedwojennym atlasie jest taka linia – zgodził się z nim ojciec. – Ale po wojnie Polacy ją zamknęli.

– A dlaczego zamknęli? Przecież nie mamy z Polską wojny.

– To prawda, ale widać stwierdzili, że nie jest im do niczego potrzebna.

– Głupi ci Polacy. Jakby nie zamknęli, to wujek Anton nie musiałby się przesiadać w Kreuz.

– Nie mów tak, Jurgen – upomniała go matka. – Wujek Anton jest Polakiem.

– To dlaczego walczył razem z tatą we Francji podczas Wielkiej Wojny?

Ostry pisk hamulców poniósł się pod dachy peronów, płosząc siedzące pod dźwigarami gołębie. Pociąg zatrzymał się, a osoby czekające w grupkach na swoich bliskich ruszyły wzdłuż

wagonów, wypatrując znajomych twarzy. Carl wolał jednak zostać na miejscu, tuż przy zejściu z peronu do dworcowego tunelu. Tutaj byli widoczni jak na dłoni i Anton na pewno ich dostrzeże. Bagażowy w czapce kolejarskiej i poplamionym, stalowoszarym kitlu, którego przyprowadzili ze sobą, stał zupełnie obojętny, dłubiąc wykałaczką w zębie. Nie musiał nerwowo się rozglądać za klientami. W końcu był już wynajęty i opłacony. Zawiezie na swoim wózku wszystko, co będą chcieli, żeby zabrać, tylko niech mu wskażą co.

– Jest tam, w drugim wagonie! – krzyknął uradowany Jurgen i puścił się biegiem w kierunku doskonale sobie znanej sylwetki byłego zapaśnika. Ten również ich dostrzegł i pomachał przyjaciółom gazetą. Zaraz się jednak obrócił do drzwi przedziału i podał rękę Ursuli. Kobieta zeszła na peron i uśmiechnęła się serdecznie na widok swojej najlepszej przyjaciółki. To dzięki Annie i Carlowi osiem lat temu poznała swojego przyszłego męża. Gdyby przyjaciółka nie zaprosiła jej wówczas do cukierni, Ursula być może do dzisiaj chodziłaby w czerni jako wojenna wdowa, opłakująca narzeczonego, który zginął gdzieś na polach Flandrii. Wtedy, kilka lat po wojnie, nie miała najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż, ale jedno spotkanie z tym przystojnym, muskularnym Polakiem zmieniło jej cały pogląd na przyszłość. A dziś, jak co roku od pięciu lat, to jest od chwili, gdy odziedzyczyła majątek po swoim stryju, wracała do miasta, w którym się poznali.

Jurgen znalazł się przy nich, zanim zdążyli podejść jego rodzice. Skłonił się grzecznie obojgu Fischerom i nie czekając na pozwolenie ani tym bardziej zakaz, wdrapał się na schodek wagonu i zniknął w przedziale, wpychając do środka Eugeniusza i Marysię, którzy jeszcze nie zdążyli zejść na peron. Gdy przy wagonie pojawili się Carl z Anną, z przedziału dobiegały piski i śmiechy.

– Widzę, że powitanie przebiega już w najlepsze – powiedział

Carl, podając rękę Antoniemu. Mężczyźni padli sobie w ramiona. Podobnie uczyniły obie panie. Dopiero po dłuższej chwili, gdy one otarły już łzy radości koronkowymi chusteczkami, panowie mogli złożyć pocałunki na ich dłoniach.

– No dalej, bando dzikusów, wysiadać z pociągu! – zawołał w końcu Fischer w kierunku przedziału. Chłopcy wyskoczyli natychmiast, pozostawiając za sobą w drzwiach dziewczynkę.

– Ładnie to tak zostawiać damę na schodach? – Carl pogroził im palcem.

– Przecież to jest Marysia, a nie żadna dama! – oburzył się Eugeniusz.

– Właśnie, że dama, głupku! – zawołała dziewczynka.

– Pani pozwoli, że pomogę? – Aschmutat wyciągnął do niej rękę i przytrzymał ją podczas zejścia po schodkach.

– Szanowne państwo pozwolą – do drzwi wagonu przecisnął się bagażowy – że weznę bagaże.

– Tylko ostrożnie! – ostrzegł go Antoni.

– Co ma nie być ostrożnie, panie szanowny. Jak się robi w bagażach, to się wie, że musi być ostrożnie.

Pakowanie waliz do przedziału zajęło im pół godziny, a temu niepozornemu człowiekowi udało się wynieść wszystko i ułożyć na czterokołowym wózku zaledwie w pięć minut.

– Gdzie pan szanowny każe zawieźć te graty? – zapytał Carla bagażowy, gdy już wszystko było gotowe.

– Na podjazd, przed głównym wyjściem z dworca. Zapakuje to pan do dorożki i każe jechać do Central Hotelu. – Aschmutat podał tragarzowi do ręki kilka wcześniej odliczonych banknotów, a ten, tylko oceniając fachowym okiem grubość pliku, schował je do kieszeni spodni. Zaraz chwycił dyszel wózka i ruszył na koniec peronu, do miejsca, w którym można było przejechać przez tory wprost na obszerny plac przed budynkiem dworca. Obie rodziny natomiast skierowały się w przeciwnym kierunku, by przez halę dworcową, a później

wyłożonym białymi kaflami tunelem przedostać się ku wyjściu, skąd prosta ulica prowadziła do centrum miasta. Dzieci były już na tyle duże, a pogoda sprzyjająca, że mogli ten niezbyt duży dystans pokonać pieszo.

– I jak tam się żyje w tej Polsce? – zapytał Carl, gdy obaj mężczyźni zostali nieco z tyłu. Panie wraz z dziećmi ruszyły przodem, by jak zwykle dać swoim mężom chwilę na swobodną rozmowę. Zresztą i one musiały się wreszcie nagadać do woli i wymienić uwagi na temat swego potomstwa czy ostatnich trendów w obowiązującej modzie.

Antoni sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl z niej woreczek z tytoniem i fajką. Szybko nabił cybuch i zapalił.

– Stara wiśniowa fajka jeszcze z okopów – zauważył z uśmiechem Niemiec. Pamiętał ją dobrze z dawnych czasów, kiedy to razem walczyli z Francuzami. – Może trzeba by ci sprezentować nową?

– Ta jest jeszcze całkiem dobra – zaśmiał się Antoni. – Trochę tylko ustnik pogryziony, ale tak całkiem zdatna do palenia. Ursula sprezentowała mi nowe, ale wiesz, jak to jest. Stara najlepiej się sprawdza. Ta fajka to kawałek mojego... naszego życia.

– Wiesz, ja często myślę o tych czasach.

– A kto nie myśli, przyjacielu? Sporo wtedy przeżyliśmy.

– I często myślę, że gdyby nie ty...

– Stare dzieje. – Fischer machnął ręką. – Nie ma o czym gadać.

Obaj jednak wiedzieli, że było o czym. Wtedy, w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, jesienią, obaj Oberleutnanci Fischer i Aschmutat prowadzili swoich żołnierzy do ataku na francuskie okopy. Ten atak był jednak inny. Kilkuset ludzi przebiegło „ziemię niczyją” bez strat. Ze strony francuskiej nie padł ani jeden strzał. Po forsownym biegu żołnierze wpadli do

okopów wroga, ale te okazały się puste. Francuzi uciekli. Okop zajęty bez jednego wystrzału. Fischer ociera pot z czoła. Widzi, mimo ciemności, roześmiane twarze swoich ludzi. Słyszy ich uradowane głosy. Śmieją się głośno, poklepują się po plecach. Wszyscy są żywi. Zaczynają przeszukiwać transzeje w poszukiwaniu jakichś zdobyczy. Nagle dochodzi do niego to, z czym ma tutaj do czynienia. Nie ma Francuzów. Okop pusty. Przecież to jasne jak słońce. Podejmuje błyskawiczną decyzję. Wkłada gwizdek do ust. I gwizdże z całej siły. Jego ludzie patrzą na niego, jakby zwariował.

– Odwrót! – krzyczy. – Wyłazić z okopu. Szybko! Odwrót!

Zaczynają wychodzić. Powoli, z ociąganiem. Nie wiedzą, o co chodzi. Przecież zajęli okop. Po co mają z niego wychodzić?

– Odwrót! Natychmiast! – krzyczy najgłośniej jak potrafi. – Biegiem w kierunku naszych okopów. Zająć pozycję na ziemi wzdłuż zasieków!

Sam biegnie po przedpolu, poganając maruderów. W końcu zapadają w lejach, tuż przy zasiekach. I w tym momencie z ogromnym hukiem pierwsze pociski z ciężkich armat rozrywają się dokładnie w miejscu, w którym znajdowali się jeszcze przed chwilą. Niebo rozświetlają białe i żółte race. W ich blasku widać, jak z francuskiego okopu wybiegają żołnierze z sąsiednich plutonów i zaraz padają zmieceni podmuchami rozrywających się pocisków. Niektórym udaje się przebiec dystans dzielący ich od zasieków, ale większość nie ma najmniejszych szans. Kanonada trwa, a spadające pociski raz za razem rozrywają się przed nimi. Żaden nie dochodzi jednak do pozycji, którą zajęli ludzie z jego plutonu. Żołnierze patrzą na niego, jak na jakiegoś cudotwórcę, ale on nie zwraca na nich uwagi. Wpatruje się uważnie w przedpole, szukając znajomej sylwetki Carla. Nigdzie go nie widać. Podrywa się więc i rzuca wzdłuż zasieków, tam, gdzie powinni zapaść ludzie Aschmutata, przynajmniej ci, którzy zdążyli uciec. Wskakuje do

ogromnego leja. Jest ich tam pięciu. Wszyscy brudni i przerażeni.

– Gdzie Leutnant? – pyta tego najbliższego. Mężczyzna tylko wzrusza ramionami. Niczego nie widział.

– Jak wybuchło, to Leutnant padł pierwszy – tłumaczy drugi.

– Cholera jasna!

Kanonada cichnie. Fischer wyskakuje z leja i biegnie do swoich ludzi. Najpierw musi pomyśleć o nich.

– Wycofujemy się do swoich okopów. Wracać! Odwrót! – woła, a tamci podrywają się i zaczynają biec na swoje pozycje. On biegnie w przeciwnym kierunku. Ale nie na wprost. Przecina francuskie przedpole pod kątem, żeby trafić na miejsce, w którym do okopu Francuzów wpadł pluton Carla. Słyszy, że ktoś biegnie obok niego. Nie odwraca się, nie sprawdza, kto nie posłuchał rozkazu. Wskakuje do zrytego wybuchami dołu. Wszędzie porozrywane ciała w niemieckich mundurach, przysypane zwałami ziemi i desek szalunkowych. Ktoś wskakuje za nim, wprost na bezgłowe zwłoki jakiegoś podoficera, który cały czas trzyma w zaciśniętej dłoni karabin. To chłopak z Poznania.

– Po coś tu przylazł? – pyta Fischer po polsku.

– Do pomocy.

– Włóż na okop i patrz, czy idą Francuzi.

Chłopak natychmiast wskakuje na górę i zastyga w bezruchu.

– Nie ma śladu! – woła po chwili.

Anton zaczyna powoli i systematycznie przyglądać się trupom. W zawalonym wejściu do ziemianki dostrzega nogi w oficerkach, a wyżej stertę desek. Rzuca się na nie i wyrywa jedną po drugiej. Chłopak jest już przy nim. Wyszarpuje drewno i hełmem wybiera ziemię. Po chwili widać ręce, a potem głowę. Stalowy hełm jest pęknięty. Wyciągają bezwładne ciało za nogi i wtedy z ust przysypanego wydobywa się jęk.

– Boże, on żyje! – woła Fischer.

Chłopak, który przed chwilą wlaźł znów na brzeg okopu, zeskakuje na dół.

– Idą, panie Leutnancie. Cała masa wali na nas...

Fischer podnosi Carla, zarzuca sobie na ramię i wspina się po zerwanym brzegu tranzei na górę. Teraz jak najszybciej do swoich. Ale ten facet jest ciężki jak cholera. Nie da się z nim szybko biec. Francuzi już ich widzą. Rozlegają się krzyki, a zaraz potem padają pierwsze strzały. Chłopak wyprzedza go, pędząc na złamanie karku. Dopada pierwszy do linii drutów kolczastych. Staje w przejściu zrobionym przez saperów i machając ręką, wskazuje je Fischerowi. Od strony ich okopów słychać nawoływania. Żołnierze dopingują ich jak kibice podczas zawodów bokserskich swojego faworyta. Anton ostatkiem sił przechodzi przez tę drogę życia wiodącą pośród zwojów kolczastego drutu i zaraz pada, zlatując w dół, w ogromny lej. Wtedy odzywają się niemieckie cekaemy, zaczynają siec po przedpolu po wrogich okopach, które właśnie zajmują Francuzi, ponad głowami leżącej trójki, bo poznaniak w za dużym hełmie też wskoczył do leja i zapadł obok oficerów.

W tym momencie nieprzytomny dotąd Carl otwiera oczy. Spogląda na zdumioną twarz Antona i pyta:

– To kto stawia tę butelkę koniaku?

– Ty cholerny draniu! – krzyczy Fischer. – Myślałem, że już po tobie. Że już cię zabili.

– Mnie? A za co?

Jeszcze przed atakiem założyli się o koniak, który z nich pierwszy dopadnie wrogich okopów.

– A w Polsce żyje nam się całkiem dobrze. – Antoni przypomniał sobie pytanie przyjaciela. – I pewnie żyłoby się jeszcze lepiej, gdyby nie ta wojna celna z Niemcami.

– Głupie pomysły polityków – odpowiedział Carl. – Politykę polsko-niemiecką powinni tworzyć tacy ludzie jak my obaj.

– Póki co, możemy tylko dbać o zacieśnianie naszych przyjacielsko-rodzinnych stosunków. A politycy muszą się w końcu dogadać, bo te nieporozumienia prowadzą donikąd.

Minęli właśnie ogromny Danziger Platz, gdzie w ostatnich latach pobudowano wielkie gmachy publiczne, które miały nadać dostojęstwa i powagi do niedawna dość prowincjonalnej z wyglądu stolicy rejencji.

– Nie wiem, czy wiesz, ale być może ta polityka Niemiec wkrótce się zmieni. Tylko nie wiem, czy na gorsze, czy na lepsze.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Fischer.

– Wybory, przyjacielu. Niedługo u nas będą wybory do Reichstagu. I wszystko wskazuje na to, że NSDAP zwycięży. A to oznacza nową jakość w polityce. Coś, czego jeszcze nie było.

– Obiecują zaprowadzenie porządku w kraju. – Antoni przypomniał sobie artykuł z „Grenzland Zeitung”, który czytał kilka dni temu, dotyczący programu niemieckich faszystów.

– Już zaczynają robić porządki. Dzisiaj w naszym mieście znaleziono ciała dwóch zabitych komunistów. Jeśli tak mają wyglądać przyszłe porządki Gefreitera Hitlera, to już powinienem zacząć się bać tego, co ma nadejść. A wiesz, że twój podkomendny, goniec Hitler niebawem przyjedzie do Schneidemühl? Może miałbyś się ochotę z nim spotkać?

– Coś takiego. – Antoni uśmiechnął się lekko. – Spotkać? Kto wie, co by z takiego spotkania wynikło.

Trójka dzieci biegła przodem. Chłopcy popychali się i szturchali, upominani co chwila przez matki. Eugeniusz i Marysia już na dworcu w sposób całkowicie dla nich naturalny przeszli na język niemiecki, więc nie było najmniejszych trudności komunikacyjnych z Jurgenem.

Po brukowanej Bahnhof Allee tylko od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód czy dorożka. Nieliczni przechodnie

nieśpiesznie podążali to w kierunku dworca, to w przeciwną stronę, ku centrum miasta, a z mijanych piwiarni i restauracji co rusz dochodziły radosne śmiechy i głośne rozmowy rozochoconych piwem biesiadników. Miasto żyło swoim normalnym, leniwym rytmem, nieświadome tego, że wielka historia za chwilę przejdzie tuż obok. A gdy już przejdzie, nic nie będzie takie samo, jak dotychczas.

Godzina 7.15 wieczorem

– To jest walka na śmierć i życie. Albo oni, albo my! Jeśli teraz wydaje się wam, że zwycięstwo jest bliskie, to ja wam powiadam: bardzo się mylicie. To prawda, że w ostatnich wyborach do Reichstagu odnieśliśmy sukces. Ale nie był to sukces na miarę naszych możliwości. Nie był to sukces, który sprawiłby, że w naszym kraju będzie żyło się lepiej. Prawdziwy sukces będzie wówczas, gdy zdobędziemy władzę. Dlatego powiadam wam, moi towarzysze, że nie możemy ani na chwilę zapomnieć o tym, że nasza walka się jeszcze nie zakończyła. Wręcz przeciwnie. Ona trwa i będzie trwać dotąd, aż czerwony sztandar nie załopoce nad kopułą Reichstagu!

Fritz Richter uśmiechnął się pod równo przyciętym, zrudziałym od ciągłego palenia tytoniu wąsem. Już niedługo zrobi się z nimi wszystkim porządek – ale najpierw z tobą, towarzyszu Weiß – pomyślał, patrząc na czerwoną twarz robotnika budowlanego Wilhelma Weißa, który na chwilę przerwał swoje przemówienie, by sięgnąć po karafkę z wodą. Widać zaschło mu w gardle od tego wydzierania się.

Tłum komunistów i sympatyków KPD wypełniał po brzegi salę restauracji Waldschlossen przy Posenerstraße. Niektórzy siedzieli przy stolikach, inni stali pod ścianami. Wśród nich kręcili się dobrze zbudowani faceci o nieciekawych pyskach,

z czerwonymi opaskami na rękawach. To była ta ich straż porządkowa, która miała odeprzeć każdy wrogi atak. Kilku z nich stało przed wejściem do knajpy i kontrolowało wszystkich wchodzących. Ale – jak widać – można tam było dostać się bez większych problemów. Najlepszym tego przykładem był fakt, że Richter wszedł do środka nie niepokojony przez nikogo. Choć przyznać trzeba, że paru typków obrzuciło go podczas wchodzenia czujnym spojrzeniem. No, ale mogli sobie patrzeć, ile chcieli. Przecież nie miał wypisane na czole, że należy do SA. Gdyby był miejscowym działaczem, to pewnie tutejsi bolszewicy zaraz by go rozpoznali. Ale w tym właśnie przejawiała się mądrość partii, że do zadań specjalnych wyznaczano ludzi, którzy mogli wmieszać się w tłum i zniknąć niezauważeni. Tak naprawdę jedyny człowiek, który go znał i który mógłby go zidentyfikować jako przeciwnika politycznego, właśnie był bardzo zajęty przemówieniem. Wilhelm Weiß, działacz związkowy i oczywiście zaciekły komunista, podobnie jak Richter, pochodził z Königsbergu. Mieli ze sobą od dawna na pieńku, a kilka razy nawet starli się podczas ulicznych czy knajpianych burd. No, ale to wszystko historia. Dziś ziemską drogą Weißa zakończy się definitywnie. Tak postanowiły najwyższe władze partyjne. Tych, którzy im przewodzą, tych agitatorów, trzeba wytłuc pojedynczo, jak szczury – tłumaczył spokojnym głosem bezpośredni partyjny szef Richtera, Josef Neumann. – A jak się ich wszystkich pozbędziemy, to ci mniejsi wyznawcy bolszewizmu rozpierzchną się i schowają w swoich norach. Ale wtedy, przestraszeni i bezbronni, nie będą dla nas stanowili zagrożenia. Dlatego teraz musimy działać zdecydowanie, przekonywał.

Richter umiał działać zdecydowanie. Nigdy nie brakowało mu odwagi. Dlatego to, co miał zrobić dzisiaj, potraktował jak zwykłe działanie bojowe. Jako stary żołnierz Grenschutzu zaplanował wszystko niczym prawdziwy strateg. Mógłby

oczywiście podejść najbliżej jak się da do Weißa, wyciągnąć pistolet i spokojnie oddać dwa-trzy strzały, no, ale wówczas nie miałyby najmniejszych szans na wyjście cało z sali. Dlatego potrzebna była awantura. Obmyślił więc, że najpierw dojdzie do rozróby na zewnątrz budynku, a gdy już zaniepokojeni komuniści zaczną zerkać za plecy, wtedy do akcji wkroczą chłopcy z miejscowego SA, którzy wtargną do środka od strony kuchni. Miał ich wpuścić kucharz, który jest sympatykiem ruchu. Więc gdy chłopcy wtargną do środka, Richter wykona najważniejsze zadanie tego wieczoru. Był spokojny i opanowany. Wiedział, że i tym razem sprawdzi się w walce.

– I nieważne, jakie jeszcze poświęcenia przed nami – tłumaczył Weiß. – Powinniśmy dać z siebie wszystko i nie cofać się przed niczym. Bo najważniejsza jest odpowiedź na pytanie, po co i dlaczego to robimy. Otóż powiem wam, towarzysze. Walczymy za nas samych, ale przede wszystkim za nasze rodziny, matki, żony i córki. Walczymy o to, żeby w tym kraju nikt nigdy nie chodził głodny. Żeby nikt nigdy nie był wyrzucany z pracy, żeby nikogo nie wyrzucano z mieszkania zimą na bruk. Walczymy o to, żeby każdy Niemiec był człowiekiem szczęśliwym, gdy wreszcie nasi robotnicy podadzą sobie dłoń wyciągniętą do nich przez braci robotników z Radzieckiej Rosji. Połączymy swe siły, ale to nie będzie koniec naszej drogi. To będzie dopiero początek. Bo nasze wspólne dzieło może skończyć się dopiero wówczas, gdy nasze prawo i nasza sprawiedliwość zatryumfują na całym świecie. Bo jak mówią słowa pieśni: „Bój to jest nasz ostatni, krwawy skończy się trud, gdy związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”.

Chciał mówić dalej, ale gromkie brawa i okrzyki poparcia przerwały mu przemówienie. Zadowolony obrzucił pewnym spojrzeniem krzyczących i klaszczących komunistów. Był dobrym mówcą. Nie zacinał się, nie powtarzał, ale parł do przodu niczym doskonale wyćwiczona kompania piechoty

w ataku na pozycje przeciwnika. Najpierw powoli szedł przez ziemię niczyją, uważnie rozglądając się dookoła. Wtedy zawsze opowiadał o ogólnej sytuacji i naświetlał sytuację międzynarodową, jednocześnie badając nastrój sali. Dopiero gdy przekonywał się, że to, o czym opowiada, trafia do odbiorców, przechodził do ataku; nakreślał to, co dzieje się w kraju, i zagrożenia, jakie niesie ze sobą faszyzm. Teraz właśnie znalazł się w takim momencie. Wiedział, że sala już jest kupiona. Ci ludzie należą teraz do niego i może z nimi zrobić, co tylko będzie chciał. W tym momencie trzeba im dać coś konkretnego. Trzeba im powiedzieć, co mają robić. I wskazać konkretnego przeciwnika. A tu, w tym mieście, okazja sama pchała się w ręce. Trzeba było tylko umieć ją wykorzystać.

– Za kilka dni, tutaj do was, do Schneidemühl – zaczął wolno, zdecydowanym, twardym tonem. – Za kilka dni! – powtórzył, przekrzykując klaszczących słuchaczy. – Dokładnie dziewiętnastego lipca, przyjedzie do waszego miasta niejaki Adolf Hitler!

Po widowni poniósł się pomruk niezadowolenia.

– Ten człowiek przyjedzie tu, żeby siać nienawiść. Żeby swoich zwolenników namawiać do wyczerpanej pracy na rzecz zwycięstwa faszystów w nadchodzących wyborach. Czy my, komuniści, mamy się temu biernie przyglądać?

Zebrani zamilkli. Czekali na to, co powie mówca. Bo od tego, jakie słowa padną za chwilę, zależało wszystko. Czy pozwoli im iść ze sztandarami i pałkami w garści, żeby rozpędzić tę faszystowską hołotę? Czekali na pozwolenie. Byli gotowi, żeby zacząć. Potrzebny był tylko rozkaz.

– Otóż powiem wam, towarzysze. Nie możemy patrzeć na to ze spokojem. Musimy...

W tym momencie, gdzieś od strony drzwi wejściowych, dokładnie na wprost podium, z którego przemawiał Wilhelm Weiß, rozległy się jakieś okrzyki. Mówca przerwał

zaniepokojony. Kilku porządkowych z czerwonymi opaskami na rękawach natychmiast ruszyło ku drzwiom, przeciskając się przez tłum. Dwaj mężczyźni z ochrony na wszelki wypadek podeszli szybko do mównicy, próbując odgrodzić Weißa od ewentualnego niebezpieczeństwa. Krzyki i przekleństwa niesły się po sali. Słuchacze zaczęli podnosić się ze swoich miejsc.

Richter czekał na ten właśnie moment. Włożył rękę do kieszeni marynarki. Zadowolony uśmiechnął się, gdy jego palce zetknęły się z chłodną kolbą rewolweru Nagant. Lubił tę broń, gdyż była niezawodna, a co najważniejsze – po strzale nie zostawał ślad, bo łuska nadal tkwiła w bębunku. Powoli ruszył w kierunku podium. W tym momencie za plecami przemawiającego rozległy się kolejne krzyki, a zaraz potem powietrze rozdarł huk wystrzału. Obaj ochroniarze natychmiast wskoczyli na podium, rozglądając się nerwowo, bo nie bardzo wiedzieli, w którą stronę powinni ruszyć, by bezpiecznie wyprowadzić Weißa z sali. Do środka przez główne drzwi wpadło kilku mężczyzn uzbrojonych w pałki. Zaczęła się regularna bitwa. Richter parł zdecydowanie do przodu, wyciągając rewolwer z kieszeni. Nikt tego nie zauważył, bo tłum napierał w przeciwnym kierunku. Jeden z ochroniarzy pokazał drugiemu rząd okien wychodzących na podwórko. Jego kolega tymczasem wskazywał na drzwi prowadzące na zaplecze. Wtedy z tamtego właśnie kierunku rozległ się kolejny strzał. To ich ostatecznie przekonało. Chwycili pod rękę Weißa, który przerzucił już sobie przez ramię płaszcz i nałożył na głowę kapelusz. Richter był już jakiś metr od nich. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Stał w rozkroku i trzymając rewolwer w obu dłoniach, wymierzył w głowę mówcy. Wtedy ich spojrzenia się spotkały. Weiß zamiast uciekać, zamarł w bezruchu. Poznał go. Przez sekundę stał jak zahipnotyzowany; potem rozległ się strzał. Głowa Richtera eksplodowała, a ciało bezwładnie osunęło się na podłogę. Ci,

którzy wyprowadzali Weißa, nawet nie dostrzegli upadającego napastnika. Pociągnęli mówcę w stronę okna. Jeden z nich szybko otworzył je na oścież, a potem obaj wypchnęli swojego gościa na zewnątrz. Na szczęście nie było wysoko. Mężczyzna spadł na miękki trawnik porośnięty kwiatami. Ochroniarze wyskoczyli zaraz za nim, akurat w chwili, gdy do sali pełnej ludzi wkroczyli ci, którzy przedzierali się do środka od strony kuchni. Komuniści i sympatycy partii zostali wzięci w dwa ognie. Część z nich rzucała się z impetem na napastników. Ci nastawieni mniej bojowo zaczęli wyskakiwać oknami.

– Tędy! – Na zewnątrz jakiś chudy mężczyzna wskazał drogę ochroniarzom. Ci bez wahania ruszyli we wskazanym kierunku, ciągnąc za sobą Weißa. Dopiero gdy cała trójka zrównała się z chudzielcem, Weiß zdał sobie sprawę, że ten facet wskazuje im drogę ucieczki lufą pistoletu.

– Tu za śmietnikiem jest furтка na drugie podwórko. Dalej chłopaki, bierzcie go.

– Kto pan jest? – zdążył jeszcze zapytać Weiß.

– Jak: kto? Przyjaciel. Mieliście dziś sporo szczęścia, towarzyszu. – Powiedziawszy to, rudzielec odwrócił się, uważnie rozglądając się po podwórku. Uczestnicy wiecu wyskakiwali przez okno. Ci, którzy rozbili zebranie, tłukli pozostałych w środku. Gdzieś na zewnątrz słychać było policyjne gwizdki, znak, że za chwilę zapanuje tu porządek. Rudy mężczyzna wsunął pistolet za pasek od spodni, splunął na ziemię, a potem wyciągnął papierosa. Zapaliwszy, z uśmiechem przyglądał się całemu zamieszaniu, a potem odwrócił się i ruszył śladem Weißa i dwóch towarzyszy, którzy wyprowadzili go z knajpy. W powietrzu pachniało kwiatami lipy i strzelniczym prochem.

Rozdział III

Schneidemühl Środa 13 lipca

Godzina 7.30 rano

Dyrektor Joseph Gruen patrzył przez wielkie okno na całkowicie pusty o tej porze, ogromny, porośnięty równo przystrzyżoną trawą Danziger Platz. Urzędnicy pracujący w budynkach okalających plac dawno już zasiedli za swoimi biurkami, a teraz czekali w chłodnych pokojach na petentów, od których będą przyjmować lub którym odrzucą ich podania. Oczywiście wszystko grzecznie i z urzędowym zatroskaniem przyklejonym do twarzy. Oni mogli sobie pozwolić na urzędowy uśmiech i spokój. On nie miał spokoju. Jego spokój i dobre samopoczucie zostały zburzone, gdy tylko przyszedł do biura, zaraz po siódmej. A dzień przecież zapowiadał się taki piękny! Idąc do pracy, Gruen był zadowolony i radosny. Ale zaraz wszystko prysło jak mydlana bańka. No bo jakże mieć dobre samopoczucie, kiedy od samego rana odbiera się telefony z samego Berlina? Najpierw, krótko po siódmej, zadzwonił dyrektor Stanislaus Lutzke z Alexanderplatz z niby niewinnym pytaniem:

– Co tam się u was, panie kolego, wyprawia?

Gruen z całym spokojem wyjaśnił więc, że to normalne rozgrywki partyjne, które przybierają na sile przed wyborami. Dodał jednak od razu, że sytuacja jest już opanowana, a prowodyrzy zostaną dziś zatrzymani, co oznacza, że wkrótce wsadzi się winnych. Lutzke niby to przyjął do wiadomości, choć Gruen mógłby obstawiać w ciemno, słysząc jego parskanie do słuchawki, że dyrektor z Berlina kręci z niedowierzaniem głową. Zaraz zresztą dał temu wyraz, zadając kolejne pytanie:

– W tej sytuacji mogę przyjąć, że skoro prowodyrzy zostaną zamknięci w areszcie, to w pańskim mieście zapanuje wzorowy porządek i żadne mordy na tle politycznym już się nie wydarzą?

– Sarkazm brzmiący w tonie jego głosu wylewał się ze słuchawki i ściekał gęstym strumieniem na podłogę.

– Tak jest, panie dyrektorze – potwierdził Gruen. – Robimy wszystko, żeby w mieście panował porządek...

– Gdyby jednak te ekscesy przybrały na sile, proszę śmiało dzwonić. Na pewno wspólnie znajdziemy jakieś rozwiązanie – dodał berlińczyk i zakończył rozmowę.

Słuchawka telefonu nie zdążyła jeszcze ostygnąć, gdy dzwonek zabrzmiał ponownie. Gruen był przekonany, że jego rozmówca o czymś sobie przypomniał, ale głos po drugiej stronie należał do kogoś zupełnie innego. Był zimny i twardy. Gruen znał doskonale ten głos. Należał do człowieka, który sprawił, że został dyrektorem policji w Schneidemühl, choć formalnie ów człowiek w policji nie miał żadnej władzy. Był wysoko postawionym działaczem partyjnym, odpowiedzialnym za sprawy bezpieczeństwa w NSDAP.

– Joseph, mój drogi! – Reinhard Heydrich przywitał go tonem, który tylko ktoś nieznający go mógłby wziąć za sympatyczny i przyjacielski. Gruen go znał. Heydrich był najwyraźniej wściekły.

– Dzień dobry, Reinhardzie.

– Czy wiesz, jaki mamy dziś dzień? – zapytał dygnitarz.

- Oczywiście. Mamy wtorek dwunastego lipca.
- Tak, wtorek, dwunasty dzień lipca. A to oznacza, że do dziewiętnastego lipca zostało nam jeszcze siedem dni. Czy dobrze liczę?
- Doskonale. Siedem dni.
- Tymczasem dowiaduję się, że w twoim mieście dochodzi do jakichś morderstw. I to na tle politycznym. Najpierw giną komuniści. To jeszcze mogę zrozumieć, że oni giną, bo przecież tej bolszewickiej zarazy nikt nie może ścierpieć. No, ale żeby podczas wiecu ginął nasz człowiek, to jest całkowicie niedopuszczalne.
- Jeśli mogę... - wtrącił się nieśmiało Gruen.
- No, słucham.
- Ten wiec był zorganizowany przez komunistów. A człowiek, który został tam zastrzelony, to był człowiek, który miał za zadanie zastrzelić mówcę komunistę. Oczywiście nikt o tym nie wie, ale ja znam całą sprawę, można by powiedzieć, od kuchni. Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko oddech Heydricha.
- Tak. Rozumiem. Czyja to sprawa?
- To inicjatywa chłopców z Königsbergu.
- Czyli samowolna akcja na twoim terenie?
- Nie powiedziałbym, że samowolna.
- Wiedziałaś o niej?
- Nie.
- A ten, no jak mu tam...
- Thomala - podpowiedział dyrektor.
- No właśnie, Thomala, czy on wiedział?
- Wiedział. I z tego, co już mi się udało ustalić, nawet protestował przeciwko tej akcji, ale nic się nie dało zrobić. Ponoć, tak go zapewniali, rozkaz przyszedł z samego Berlina. Nie miał więc żadnego pola manewru. Mleko się już wylało, zanim zdążył coś zrobić.

- A ty kiedy się o wszystkim dowiedziałeś?
 - O tym, co się wydarzyło, oczywiście wczoraj wieczorem, natomiast o kulisach dopiero dziś rano. Pojechałem do Thomali, żeby go wypytać, i on mi powiedział, co i jak, czyli wszystko o sprawie z Königsbergu. Oni tam mają porachunki z tym komunistą, który przyjechał do nas na wiec. Chcieli go już dawno zlikwidować, ale nie chcieli kłopotów u siebie, więc wpadli na pomysł, że zrobią to u nas.
 - Idioci.
 - Właśnie tak pomyślałem. Zresztą Thomala też. On zdaje sobie sprawę, jak ważny jest dla nas przyjazd Führera do naszego miasta i jakie reperkusje może przynieść zamieszanie na chwilę przed wizytą.
 - Więc kto zabija u was komunistów?
 - Thomala zaklina się, że to nie nasi.
 - Ciekawe – powiedział Heydrich i na chwilę na łączach zapanowała cisza, przerywana tylko normalnymi podczas rozmowy szumami i trzaskami. – Mimo wszystko to niedopuszczalne, żeby nasi ludzie ginęli od bolszewickich kul – odezwał się w końcu partyjny dygnitarz. – Mam nadzieję, że winni zostaną szybko schwytani i staną przed sądem.
 - Już wydałem w tej sprawie dyspozycje.
 - Świetnie. A dla równowagi wsadźcie też na kilka godzin Thomalę. Nic mu się nie stanie, jak sobie w samotności przemyśli kilka spraw.
- Policjant uśmiechnął się pod nosem. On dobrze wiedział, jak w takich sytuacjach działać. Komunistów, to naturalne, że się wsadzi, ale dyspozycje zatrzymania Thomali wydał także. Na razie opinia publiczna musiała wiedzieć, że policja nie stoi po żadnej ze stron. Oczywiście do czasu.
- Tak jest, Thomala również. I chciałem powiedzieć, że do dnia przyjazdu naszego Führera w moim mieście będzie panował idealny porządek.

– Na to liczę. Miłego dnia, Joseph. – Heydrich pożegnał się i natychmiast przerwał połączenie, nie dając szansy swojemu partyjnemu towarzyszowi na zrewanżowanie się choćby równie uprzejmym pożegnaniem. Dyrektor odłożył czarną, ebonitową słuchawkę na widełki, a potem usiadł w swoim fotelu. Dopiero siadając, zwrócił uwagę na fakt, że całą rozmowę z Heydrichem przeprowadził na stojąco. No cóż, w końcu jego rozmówca był kimś. Należał do najbliższego otoczenia Führera i osobiście odpowiadał za jego bezpieczeństwo. Z kimś takim trzeba było się liczyć i dbać o to, żeby wzajemne relacje nie uległy pogorszeniu. To dzięki protekcji Heydricha Gruen został dyrektorem Policji w mieście i bardzo liczył na to, że ta protekcja będzie trwała. Bo gdy przyjdzie czas i w końcu partia zdobędzie upragnioną władzę, to przecież Heydrich będzie się musiał oprzeć na takich sprawdzonych towarzyszach jak on, Joseph Gruen właśnie. Bo Gruen był osobą ambitną i nie zamierzał do końca swoich dni tkwić na tym prowincjonalnym zadupiu. Wiedział, że skrzydła może rozwinąć tylko w jakimś większym mieście, takim choćby jak Hamburg, a może nawet Berlin?

Wcisnął zainstalowany pod biurkiem przycisk, który powodował, że nad głową jego sekretarza siedzącego za ścianą rozlegał się elektryczny dzwonek. Po trzech sekundach, ubrany w nienagannie dopasowany mundur, dwudziestopięcioletni blondyn Leutnant Hans Martensen stanął na baczność przed jego biurkiem.

Gruen spojrzał na niego zadowolony. Podwładny prezentował się nienagannie, a na dodatek jeszcze sprawiał wrażenie inteligentnego, młodego człowieka, który ma ochotę szybko się uczyć. W Dyrekcji Policji pracował zaledwie od miesiąca, ale gdy tylko pojawił się tutaj ze skierowaniem na oficerski staż, dyrektor natychmiast wziął go do siebie do sekretariatu, rezygnując z usług sekretarki swojego poprzednika. Odprawił ją

z prawdziwą ulgą, bo nie mógł już dłużej spokojnie patrzeć na tę starą kłępę o smutnym spojrzeniu, która wyglądała tak, jakby nie mogła się pogodzić ze zmianą na dyrektorskim stanowisku.

– Na rozkaz, panie dyrektorze – zameldował się Martensen, stając na baczność.

– Niech zaraz melduje się u mnie Hauptmann Carl Aschmutat.

– Tak jest. Zawiadomię go bezzwłocznie. – Leutnant spojrzał na swojego przełożonego, czekając na dalsze polecenia. Natychmiast bowiem wyczuł, że dyrektor ma jeszcze coś do powiedzenia. Gruen po chwili podniósł wzrok znad płachty gazety rozłożonej na biurku i spojrzał w niebieskie oczy młodzieńca.

– Zbliżają się wielkie czasy, Leutnancie.

– Tak jest, panie dyrektorze.

– Wielkie czasy wymagają wielkich czynów, a do takich zdolni są tylko silni ludzie. Słabi będą musieli ustąpić miejsca tym, którzy mają w sobie moc przenoszenia gór. Tylko dla takich ludzi jest miejsce w pierwszym szeregu. A pan, Martensen, gotowy jest na to, co wkrótce nadejdzie?

– Jestem gotowy na rozkaz, panie dyrektorze – odpowiedział Leutnant z zapałem.

Gruen uśmiechnął się.

– To ważne, żeby znać swoje miejsce w szeregu i być gotowym do poświęceń. To bardzo ważne, żeby być gotowym na przyjęcie rozkazów, nawet gdyby na pierwszy rzut oka mogły wydawać się... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – powiedzmy niezbyt zgodne z obowiązującymi normami.

– Jestem gotowy na rozkazy, panie dyrektorze – powtórzył Leutnant.

Przez chwilę dyrektor patrzył jeszcze w szczerą germańską twarz swojego podwładnego, a potem zadowolony skinął głową.

- Czas próby nadejdzie wcześniej, niż pan się spodziewa. A ja spodziewam się, że nie zawaha się pan ani przez sekundę.
- Tak jest, panie dyrektorze.
- A tak poza tym, co pan sądzi o Hitlerze?
Martensen uśmiechnął się.
- To wielki człowiek – odpowiedział bez wahania.
- Może pan odejść. – Gruen zadowolony z odpowiedzi wrócił do studiowania miejscowej gazety „Die Grenzwacht”, ale żaden z artykułów nie przyciągnął jego uwagi. Myślał o tym, co powinno wydarzyć się przez te najbliższe kilka dni. Nie o tym, co może się wydarzyć, ale o tym, co powinno. Bo nie mógł przecież niczego pozostawić przypadkowi. Na wypadek w jego kalkulacjach nie było miejsca. Tym, na co było miejsce, były zdecydowane działania.

Godzina 8.10 rano

Przestraszony Wilhelm Weiß otworzył oczy. Jeszcze przed sekundą wpatrywał się w wylot lufy wymierzonego weń rewolweru, z pełnym przekonaniem, że za chwilę umrze. Dlatego najmocniej jak potrafił zacisnął powieki, czekając na huk wystrzału i kulę, która przeszyje mu na wylot serce i odbierze mu jego całkiem jeszcze młode, tak świetnie zapowiadające się życie. Ale nikt nie strzelił, a on otworzył oczy. Pistoletu nie było. Nie było też strzelca, tego cholernego Richtera. Więc to był tylko sen? – pomyślał Weiß, wpatrując się w biały sufit, z którego farba odłaziła całym płatem. Tak. To, co widział przed chwilą, to był sen. Nikt do niego nie mierzył z pistoletu, bo w tym niewielkim pokoiku, w którym leżał na wąskiej kozetce, nikogo prócz niego nie było. Ten Richter mierzył do niego wcześniej. Wczorajszego wieczoru, podczas przemówienia na wiecu partii. Wczoraj o nim wcale nie

pamiętał, bo pod wpływem tamtych wydarzeń, całego tego zamieszania i ucieczki złapana za ledwie przez ułamek sekundy kątem oka scena, kiedy celowano do niego, umknęła mu jakoś z pamięci. Dopiero teraz sen ułożył mu w głowie wszystkie wczorajsze wydarzenia w sposób chronologiczny, jak następujące po sobie klatki taśmy filmowej. Ta jedna z Richtera była szczególnie wyraźna. Była jeszcze jedna, z tym szczupłym człowiekiem, który wyprowadził go z podwórka. Weiß zaczął się zastanawiać, kim był ten mężczyzna. Widział go po raz pierwszy w życiu, ale już wiedział na pewno, że to twardy towarzysz, z tych, którym można było bezgranicznie zaufać, bo dla sprawy potrafiały poświęcić wiele. Ten narażał dla niego swoje życie. Trzeba będzie się z nim spotkać jak najszybciej – pomyślał, siadając na łóżku. Spojrzał na swoje gołe, chude nogi i rozejrzał się dookoła. Jego marynarka i spodnie wisały równo na krześle stojącym tuż przy łóżku. Pod krzesłem stała para schodzonych trzewików. Weiß uśmiechnął się do swoich myśli. Ten nawyk starannego układania i wieszania ubrań pozostał mu jeszcze z wojska. Mimo że to już całe lata minęły, odkąd po Wielkiej Wojnie zdjął mundur, to jednak ten wojskowy dryl nadal tkwił w nim mocno. W końcu wojskowa skóra druga natura. Dzięki temu zawsze rano mógł włożyć niepogniecione portki. Tylko czy aby dziś będą w nienaruszonym stanie? Wczoraj, skacząc z okna, gdy uciekał z rozbitego wiecu, opadł kolanami na trawę. Wieczorem raczej nie sprawdził stanu kantów spodni. Wstał i podszedł do krzesła. Sięgnął po spodnie. Przez chwilę oceniał ich stan, przyglądając się uważnie, by po minucie stwierdzić, że na szczęście nie są nigdzie rozdarte. To było najważniejsze. Miał przed sobą jeszcze sporo spotkań przedwyborczych i głupio byłoby występować przed ludźmi w podartych spodniach. A nowych przecież nie zdążyłby sobie zbyt szybko sprawić. Nawet najlepszy krawiec musi mieć w końcu kilka dni na taką poważną robotę. Były co

prawda sklepy, gdzie można kupić gotowe ubrania, ale Weiß należał do mężczyzn niezbyt wymiarowych. Obwód jego pasa był bowiem zdecydowanie zbyt wielki w stosunku do długości nogawki i dlatego te sklepowe spodnie zawsze okazywały się za długie, jeśli już udało mu się dobrać odpowiednią szerokość.

Założył spodnie i zapiął przytrzymujące je szelki, po czym sięgnął do kieszeni marynarki, by wydobyć papierosa. Zapaliwszy, podszedł do niewielkiego okienka, by wpuścić do środka trochę rzeńskiego powietrza. Otworzył je i wyjrzał na zewnątrz. Do jego uszu dobiegł poranny uliczny zgiełk. Ulicą, trzy piętra niżej, przejeżdżały samochody i wozy konne. Chodniki przemierzali ludzie podążający za swoimi sprawami. Baby z wiklinowymi koszami w dłoniach uwijały się między kramami z owocami i warzywami. Neuer Markt, jak zwykle w dzień targowy, tętnił życiem, które toczyło się swoim własnym rytmem, całkowicie niezależnym od wielkiej polityki. Pomyślał, patrząc na ten zwyczajny miejski widok, że niezależnie od tego, czy w wyborach wygrają faszyci, czy komuniści, tutaj nic się nie zmieni. Jedni nadal będą przywozić swoje towary, a inni będą je kupować. Jedyne, co tu się może zmienić, to kościół, którego wieża wychylała się spośród majestatycznych koron kasztanowców. Jeśli komunizm wygra – pomyślał Weiß – nikt już nie będzie zmuszony zabobonnymi wierzeniami do płacenia na jakikolwiek Kościół. Klechów się przepędzi na cztery wiatry, a w takich jak ten kościołach robi się tak, jak w Związku Radzieckim – domy kultury albo magazyny. Nikt już nie będzie ogłupiał narodu tym „opium dla mas”.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie. Odwrócił się w kierunku drzwi. Pukanie się powtórzyło.

– Kto tam? – zapytał niepewnym głosem.

– Gospodarz – odpowiedział męski głos. Weiß odetchnął z ulgą, rozpoznawszy tego, który przyjął go pod swój dach. Nie znał jego nazwiska i wolał, żeby ten człowiek mu się nie

przedstawiał. Tak było bezpieczniej.

– Niech pan wejdzie – powiedział, wyrzucając jednocześnie niedopałek przez okno. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł korpulentny, łysiejący mężczyzna, ubrany w czarne spodnie i białą koszulę bez kołnierzyka. Na sobie miał jeszcze czarną kamizelkę.

– Dzień dobry, towarzyszu – powiedział, skłaniając głowę.

Weiß odpowiedział skinieniem.

– Po prawdzie to ja nie sam jestem. Przyprowadziłem wam gościa.

– Nie umawiałem się z nikim.

– Ale kiedy towarzysz powiadał, że spotkanie jest niezbędne.

Weiß spiorunował go spojrzeniem spod zmarszczonych gniewnie brwi. Wczoraj wyraźnie mówił swoim ludziom z ochrony, że z nikim tutaj już nie może się spotkać. Mieli tylko zorganizować mu wyjazd z miasta i tyle. O żadnych spotkaniach nie było mowy. Wydawało mu się, że ci dwaj dobrze pojmowali, jakie są reguły zachowania organizacyjnego bezpieczeństwa. Tymczasem ten tu, dureń jeden, przyprowadzał mu do kryjówki jakiegoś innego idiotę. I jak tu z takimi ludźmi pracować? Na tej prowincji świat rządzi się zupełnie innymi prawami niż w dużych miastach.

– Niech się towarzysz nie gniewa. To moja wina – odezwał się jakiś człowiek stojący w głębi ciemnego korytarza.

Zaraz właściciel owego głosu znalazł się w środku. Weiß natychmiast go rozpoznał, mimo że wczoraj nie miał okazji przyjrzeć mu się zbyt dokładnie. Ale te dwie-trzy sekundy wystarczyły. Przed nim stał ten sam chudy człowiek w okularach na wydatnym nosie, który kilka godzin wcześniej z rewolwerem w ręce osłaniał tyły podczas ucieczki.

– Musiałem się z wami spotkać, zanim wyjedziecie – powiedział na swoje usprawiedliwienie, lecz jego ton wcale nie był przeproszający. Wręcz przeciwnie. Było w tym głosie sporo

pewności siebie, a nawet można by powiedzieć, że arogancji. Odwrócił się za siebie i spojrzał na gospodarza. Ten natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. Ukłonił się znowu i zaraz zniknął, zamykając za sobą drzwi.

– Nazywam się... – zaczął nowo przybyły.

– Lepiej żadnych nazwisk, towarzyszu – przerwał mu Weiß. Chudzielec uśmiechnął się pod nosem.

– Jesteście ostrożni.

– Może dlatego jeszcze żyję.

– Żyjecie raczej dlatego, że zastrzeliłem wczoraj tego, który chciał was zlikwidować.

Weiß spojrzał na okularnika z niedowierzaniem.

– Więc to wy?

– Ja – potwierdził chudzielec, uśmiechając się szeroko. Zaraz jednak uśmiech zniknął z jego twarzy. Przez otwarte usta wciągnął powietrze, a potem jego piersią wstrząsnął gwałtowny atak kaszlu. Weiß patrzył na niego przez chwilę, a potem, nie bardzo wiedząc, jak może pomóc, chwycił go za rękę i pociągnął w stronę krzesła. Nim gruźlik usiadł, Weiß szybko zdjął jeszcze z oparcia krzesła marynarkę i rzucił ją na rozgrzebane łóżko. Tymczasem jego gość opanował atak. Otarł usta kraciatą chusteczką i schował ją do kieszeni.

– Przepraszam – powiedział z zakłopotaniem.

– Nie szkodzi. Każdemu się może zdarzyć.

– Gruźlica? Nie życzę nikomu.

– Nic się na to nie da poradzić?

– Mówią, że nic. Ja mam swój wypróbowany sposób. Papierosy!

To powiedziawszy sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej paczkę papierosów. Weiß pokręcił głową, gdy mężczyzna wysunął ją w jego kierunku.

– Dopiero co paliłem.

– A ja to właściwie odpalam jednego od drugiego, można by

powiedzieć. A wracając do waszej ostrożności, to myślę, że w obecnych warunkach jest chwalebna, ale raczej niepotrzebna. Nazywam się Ernst Bauer. I jestem jedynym w obecnej chwili członkiem władz naszej partii w tym mieście.

– Tak, słyszałem. To straszne. – Weiß pokiwał ze smutkiem głową, siadając na posłaniu. – Zaraz, zaraz. – Przypomniał sobie o czymś. – Wczoraj mówiono mi, że jest was dwóch. Był jeszcze pan, no jak mu tam...

– Wittmann. Oskar Wittmann. Aresztowany dziś rano. Pozostali nie żyją.

– Aresztowany?

– Tak właśnie. Jak tylko się dowiedziałem, natychmiast postanowiłem się z wami skontaktować, towarzyszu. To wszystko wygląda na zorganizowaną akcję. Wspólną akcję faszystów i policji.

– Policji? Przecież policja jest apolityczna...

Bauer uśmiechnął się pod nosem, spoglądając prosto w oczy Weißa.

– Na jakim pan świecie żyje? – zdenerwował się i nawet nie zauważył, że zwrócił się do swego rozmówcy per „pan”, zapominając o formie przyjętej w partyjnych szeregach i przechodząc na tę bardziej tradycyjną, którą tak pogardzali komuniści. – Może tam u was w Königsbergu jeszcze zachowują pozory. Ale tu jest prowincja. Oni tutaj zdecydowanie opowiadają się za wszystkim, co po prawej stronie. Więc takie współdziałanie jest jak najbardziej prawdopodobne.

Przez chwilę w pokoju wypełnionym kłębamii dymu panowała kompletna cisza. W końcu przerwał ją Weiß, który też zapalił papierosa.

– W tej sytuacji, zważywszy na znaczne osłabienie kierownictwa, trzeba przedsięwziąć działania...

– Musimy się bronić – przerwał mu twardo Bauer.

– Bronić? W jaki sposób?

- Dokładnie w taki sam, w jaki jesteśmy atakowani.
- No tak...
- Musimy odpowiedzieć śmiało i zdecydowanie. Tak jak to zrobiłem wczoraj. Gdyby wczoraj zadrżała mi ręka, już nie byłoby was wśród żywych.

Weiß poderwał się z łóżka i podszedł do okna. Otworzył je ponownie. Do środka oprócz świeżego powietrza wdarł się uliczny gwar. Odwrócił się zaraz do partyjnego towarzysza.

– Rozumiem waszą determinację, ale jeśli chcecie rozpętać tu burzę, to ja nie mogę się na to zgodzić. Towarzysze z centrali na pewno by mnie poparli. Przecież w przededniu wyborów nie możemy sobie pozwolić na krwawą łaźnię. Na to przyjdzie czas później. Zresztą znacie wyraźne dyrektywy. Zachowujemy spokój, mimo prowokacji.

– Ja to wszystko rozumiem, ale wcale nie zamierzam biegać po mieście z pistoletem w ręku i strzelać do brunatnych koszul.

– To o co wam chodzi? Przyznam, że was nie rozumiem, towarzyszu.

– Ja nie chcę burzy – powiedział powoli z jakimś dziwnym błyskiem w oczach, jednocześnie podnosząc się z krzesła. – Ja chcę jednym uderzeniem pioruna zmieść ich wszystkich z powierzchni ziemi.

Weiß spojrzał na Bauera jak na wariata. W jego oczach można było dostrzec jakieś iskry, ale czy tak objawiał się obłąd? A może to był ten rewolucyjny ogień, który mógł doprowadzić do zwycięstwa rewolucji? Tego mówca z Königsbergu nie wiedział, ale musiał przyznać, że takiej determinacji powinien się bać każdy, kto stanie na drodze najpiękniejszej idei w dziejach ludzkości. Poczuł naraz, że niezależnie od tego, co pomyślą inni, on jest całym sercem z tym szaleńcem. Bo tylko tacy szaleni ludzie potrafili ruszyć z posad bryłę świata.

– Co zamierzacie? – zapytał cicho.

– Zamierzam wygrać całą wojnę jedną, jedyną bitwą.

Poznań

Godzina 10.30 przed południem

Brodaty, szczupły brunet w kapeluszu, ubrany w modny garnitur z bielskiej wełny, z papierosem w zębach i rękoma w kieszeniach spodni, stał na środku podwórka kamienicy przy ulicy Garbary 49 i zadowolony spoglądał na okna drugiego piętra prawej oficyny.

– To jest bardzo dobra kamienica, panie Anatolu – przekonywał go niski mężczyzna o okrągłej twarzy i okazałym brzuchu, który był właścicielem posesji. Zadowolony wskazywał na ściany budynków, otaczających ciasno niewielkie podwórko. – Patrz pan na ten wjazd. – Odwrócił się w kierunku bramy przechodzącej pod reprezentacyjną kamienicą postawioną frontem do Wielkich Garbar. – To jest najlepsza architektura. Co tam najlepsza, ona jest jak prosto z Grecji albo Rzymu. A na dole widział żeś pan te kafle? Wszystko ceramika. Pan wchodzisz do bramy, ocierasz buty na skrobaczce z gówna i suchą nogą maszerujesz do mieszkania. Powiadam, panie Grubiński: luksusy. A podwórko, to już cymes najlepszy. Wszystko wybrukowane. Czysto i schludnie, że dzieciaki mogą na bosaka latać.

– A sąsiedzi? – zapytał Grubiński.

– Takich sąsiadów to pan możesz ze świecą w całym Poznaniu szukać. Panie Anatolu szanowny, tutaj tylko elita mieszka. Sama elita. Tu, w tej oficynie na parterze, pan Lewandowski, kolejarz, co jeździ na lokomotywie. Bardzo sumienny człowiek, właściwie niepijący, bo do gospody chodzi tylko w niedzielę po kościele. A na pierwszym piętrze to już sama kultura, bo tam mieszka pan Zenon Brodziak z małżonką. Bardzo porządni

ludzie.

– A czym się zajmują?

– Pan Zenon jest bardzo poważnym handlowcem. Kupuje i sprzedaje różne towary. I też mało pijący jest. Upija się tylko wódką w restauracji, a jak pijany przyjdzie do domu, to zaraz idzie spać. A żony to nawet nigdy nie uderzył. Kultura, powiadam panu szanownemu. Sama kultura.

– Zabiję cię, cholero jedna, jak się nie odczepisz! Dajże mi wreszcie spokój!

Obaj mężczyźni natychmiast spojrzeli w lewo, w stronę tylnej oficyny zamykającej kwadrat podwórka, skąd dobiegał krzyk.

– A spróbuj, ty szuszwolu pierdolony. A ino mi spróbuj, to ci mordę tak przerobię na kotlet siekany, że cię matka rodzona nie pozna.

– Zamknij się, cholero, i daj mi się wreszcie wyspać, bo nie strzymam i w końcu wstanę.

– A wstawaj, nierobie jeden. Ja tu od rana tyram jak wół, a ten se śpi w najlepsze.

Kupiec z wyrazem zatroskania na twarzy spojrział na Grubińskiego, rozłożył ręce w geście niemocy, a potem podszedł szybko do otwartego okna na parterze.

– Pani Nowakowa, może by pani zamknęła się na chwilunię, bo ja tu ważnego gościa oprowadzam.

– A oprowadzaj se pan nawet szacha perskiego! W dupie to mam.

– A nie wstyd pani, że gość se pomyśli, że tu mieszkają jakie łachudry?

– Łachudra największa to leży w moim łóżku. Cholerny obibok...

– Panie szanowny Kruszona! Weź pan tę swoją szanowną małżonkę i zamknij jej gębę, bo mi klientów straszy! – Kupiec najwyraźniej stracił już cierpliwość.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem w mieszkaniu rozległ

się hałas, jakby ktoś szafę przewrócił na podłogę.

– Łe Jezu! – krzyknęła kobieta, a potem w oknie pojawił się jakiś wąsaty chuderlak w białym podkoszulku i ukłonił się kupcowi.

– Pardonsik – powiedział i zamknął okno.

– Tak to z tymi babami jest. – Kupiec podbiegł do Grubińskiego, uśmiechając się przymilnie. – Jak takiej silną ręką człowiek za kark nie chwyci, to same kłopoty.

– A to co za jedni? – Anatol wskazał na okno, które przed chwilą się zamknęło.

– E, szkoda gadać. Oni już długo tu nie pomieszkają. To stolarz, ale bezrobotny, to i baba się awanturuje. Niedługo się będą musieli wyprowadzić, bo nie płacą czynszu. Ale na ich miejsce to tylko samą elitę się przyjmie. Zobacz pan. Wspomni pan moje słowa.

Grubiński uśmiechnął się pod równo przyciętym, czarnym i wypomadowanym wąsem. Znał doskonale te staromiejskie elity. W końcu od urodzenia mieszkał w tej okolicy. Urodził się i wychował bowiem na pobliskim Chwaliszewie, a od kilku lat mieszkał po tej stronie Warty, na Mostowej. Ale mieszkanie, które zajmował wraz z żoną i dwójką dzieciaków na czwartym piętrze oficyny, było już dla niego i dla rodziny za ciasne. Mieszkali w dwóch niewielkich pomieszczeniach, z którego jedno było jednocześnie kuchnią i sypialnią. Anatol od dawna obiecywał swojej Krysi, że znajdzie w końcu dla nich coś lepszego, ale jak zwykle nie miał czasu zająć się tą sprawą, bo rozległe interesy, jakie prowadził, sprawiały, że ciągle był zajęty. Ale wczoraj Kryśka podstępem zmusiła go do działania. Gdy wrócił w nocy do domu i nie budząc nikogo, wślizgnął się do łóżka, okazało się, że zamiast żony śpi w nim Franio, ich najmłodszy, sześciolatek. Rano okazało się, że żona śpi w łóżku z ich małą Zosią. Niczego jeszcze nie podejrzewając, przy śniadaniu zapytał, co to za nowe porządki. Więc mu

wyjaśniła, że teraz, gdy jej brzuch rośnie, nie może już z nim spać w jednym wąskim łóżku, dlatego będzie spać z córką, a on z synem. I dodała jeszcze, że jeśli chce, żeby spali razem, musi się wystarać o większe mieszkanie, w którym mogliby mieć normalną sypialnię z szerokim łóżkiem. No i dziś od rana, zamiast organizować pracę swoim ludziom, Tolek poszedł na spotkanie z pośrednikiem wynajmu i kupcem w jednej osobie, Aronem Zilbersteinem, który miał swój kantor przy ulicy Woźnej. Wyjaśnił, w czym rzecz, a handlarz natychmiast wyczuł, że trafia mu się zdesperowany klient, którego życie zapędziło w kozi róg. Dlatego przyprowadził go właśnie na to podwórko. Na drugim piętrze w oficynie miał bowiem mieszkanie, którego od dawna nie mógł wynająć. Było zwyczajnie za duże. Składało się bowiem z dwóch pokoi i kuchni. Ale standard wykończenia daleki był od ideału. Tynki odchodziły ze ścian płatami, a piece kaflowe nadawały się do natychmiastowej reperacji. W to mieszkanie trzeba było włożyć sporo gotówki, żeby doprowadzić je do stanu używalności, a ci, którzy szukali kąta, najczęściej nie śmierzeli groszem i nie mieli pieniędzy na kosztowne remonty. Tymczasem Anatol Grubiński był znany w okolicy jako człowiek zamożny. W końcu miał poważny fach w rękach. Bo Zilberstein dobrze wiedział, że ten niepozorny mężczyzna, który teraz stał na środku podwórka, jest najlepszym w Poznaniu kasiarzem, specjalistą, któremu nie oprze się żadna kasa ogniotrwała.

– To co, zajrzemy do mieszkania, panie szanowny? – spytał Grubińskiego. Ten pokiwał głową na znak aprobaty. Szybko więc wspięli się na drugie piętro, a handlarz włożył w drzwi solidny klucz. Gdy je otworzył, natychmiast powiało stęchlizną. Zilberstein wszedł pierwszy i szybko podszedł do okna, żeby wpuścić świeże powietrze. Kuchnia, w której się znaleźli, przedstawiała opłakany widok. Na środku pomieszczenia stał kwadratowy stół, a przy nim dwa krzesła. Pod ścianą, na

prawo, nędzny kredens, pomalowany na biało, z którego łuszczyła się farba. Przy przeciwległej ścianie westfalka pozbawiona fajerek, z czterema ziejącymi otworami.

– Jak tu się wysprząta i wymaluje, to będzie jak w pałacu Raczyńskich, szanowny panie Anatolu.

Szanowny pan tymczasem poszedł w głąb mieszkania i zatrzymał się w kolejnym pokoju. Ten był całkowicie pusty, nie licząc rozpadającego się pieca kaflowego stojącego w kącie. Anatol przez chwilę przyglądał się ścianom, z których poodłaziły brzydkie zielonkawe tapety.

– A tam jest jeszcze jeden pokój. – Handlarz wskazał drzwi na wprost. – Też widny, tyle że nieco mniejszy. W sam raz dla dzieciaków.

– Syf i jedna gemela, panie Zilberstein – skomentował Grubiński.

– Może i gemela, szanowny panie, ale jak się to wszystko odmaluje i wyremontuje, to pałac będzie prawdziwy. Cymes, miód i mleko.

– A kto wyremontuje tę norę?

– Dlaczego zaraz norę, szanowny panie Grubiński? To nie jest żadna nora. To porządne mieszkanie...

– No dobra, porządne, ale remont mu się należy. I dlatego pytam, kto ma ponieść kosztu remontu?

– Ma się rozumieć, że lokator, znaczy jak kto chce mieszkać w luksusach, to musi sobie ten luksus sprawić. No przecież sam pan rozumie, że ja nie mogę do tego interesu jeszcze dokładać.

– Trzeba by wytynkować wszystko...

– Prawda, że tynk poodłaził, ale pod spodem, patrz pan, jaka zdrowa cegła. – Handlarz podszedł do ściany i zaczął pukać w czerwoną cegłówkę palcem. – To jest, panie szanowny, dobra, stara cegła. Ona ma ze dwieście, co ja mówię, ze trzysta lat. Bo ten dom jest wniesiony w dziewięćset piątym roku z cegły, co ją

pozyskali z tych domów, co się spaliły, jak w mieście był wielki pożar. I właśnie z tej cegły ten dom wybudowali. O, widzisz pan tutaj te czarne ślady na cegle? To od tego pożaru jeszcze się ślad został.

Grubiński wrzucił tylko ramionami. Co go mogły obchodzić ślady po pożarze? Jego obchodziło porządne mieszkanie, a to mogłoby stać się porządne, gdyby je porządnie odnowić. Musiał tylko dobrze się z tym Żydem ugadać.

– A jaki by był tu czynsz?

– No wie pan... – Handlarz zastygł w bezruchu, wpatrując się w cegły. – Może jakieś dwadzieścia złotych.

– To w takim razie szukaj pan naiwnego. – Tolek ruszył w kierunku wyjścia. Gospodarz jednym susem przeciął mu drogę.

– Coś pan taki we wrzątku kapany? Ja rozumiem, że remont kosztuje. Niech będzie moja strata i dajesz pan osiemnaście na miesiąc i będzie *gut*.

– Panie Zilberstein, czy ja wyglądam na wariata? Ja myślałem, że z pana jest poważny kupiec, a pan mi tu jakieś pierdoły o starej cegle opowiada. Co mi tam stara cegła, jak ja tę starą cegłę muszę otynkować. Piece muszę naprawić, a potem jeszcze wszystko wymalować. Ja tu widzę, że ja w tę norę będę musiał włożyć ze dwieście, co ja mówię, ze trzysta złotych, żeby doprowadzić to wszystko do porządku. I jak mam panu płacić jeszcze dwadzieścia złotych miesięcznie, to gdzie ja mam w tym interes?

– Piętnaście w takim razie i będzie *fertig*.

– Piętnaście to ja bym mógł dać, jakby tu było wszystko gotowe do zamieszkania. Ja powiem panu tak: daję pięć przez pierwszy rok i ani złotówki więcej.

– Pan chcesz mnie z torbami puścić?

– Pan chcesz mieć wyremontowane mieszkanie?

– Ja bym się na pana miejscu tyle nie targował, jak panu się

trafia taki poważny klient, panie Zilberstein – odezwał się jakiś głos od strony kuchni. Obaj mężczyźni natychmiast odwrócili głowy w tamtym kierunku. W drzwiach stał wysoki, szczupły mężczyzna o dokładnie ogolonej twarzy, w dwurzędowej stalowej marynarce z czarnym kapeluszem w dłoniach.

– O, pan major Jażdżewski. – Zilberstein uśmiechnął się od ucha do ucha na widok gościa. – Czy pan też szuka jakiegoś porządnego mieszkania? Dla pana majora znalazłoby się coś ekstra. Powiadam panu, najlepsza garsoniera w mieście...

– Nie, dziękuję, mam mieszkanie i nie zamierzam na razie niczego zmieniać.

– Jakby się pan jednak namyślił...

– Nie mieszkanie mi jest potrzebne, ale pan Grubiński.

– Co to, znów ktoś zgubił klucze do szafy ogniotrwałej w pana biurze? – zapytał Anatol, uśmiechając się z wyraźną drwiną.

– A żebyś pan wiedział. A dokumenty ważne w środku, więc muszę pana natychmiast zabrać ze sobą. Samochód czeka przed bramą.

Grubiński spojrział na gospodarza, a potem bezradnie rozłożył ręce.

– Z armią się nie dyskutuje, panie Zilberstein. Widać siła wyższa nie chce, żebym tu zamieszkał.

– Jakby ta siła wiedziała, że ja bym się zgodził na te pięć złotych za pierwszy rok, a w następnym dziesięć i dopiero za trzy lata piętnaście, to by ta siła sama panu podpowiedziała do ucha, że lepszego interesu nie zrobi pan w całym Poznaniu.

Schneidemühl

Godzina 11.00 przed południem

– Dalej, wysiadać! – krzyknął Wachtmeister, otwierając tylne

drzwi karetki więziennej, która przed chwilą zatrzymała się w obszernym tunelu, jaki przechodził pod budynkiem Dyrekcji Policji od bramy aż po wewnętrzny dziedziniec. Z lewej i prawej strony tunelu były drzwi. Te po prawej stronie prowadziły do wąskiego korytarzyka, w którym znajdowało się wejście do ośmiu cel. Dzięki temu aresztowani, których przywożono tu z miasta, mogli bezpośrednio z samochodu przechodzić do aresztu. Leutnant Eberhardt Frank stanął za plecami szefa aresztu i założywszy ręce na brzuchu, przypatrywał się z uwagą mężczyźnie ze skutymi rękami, który wysiadał z samochodu. To był Thomala, właściciel warsztatu samochodowego i ojciec Trudi. Ortsgruppenleiter najwyraźniej rozpoznał młodego policjanta, bo zatrzymał się i spojrzał mu prosto w oczy.

– Niedługo zrobimy z wami wszystkimi porządek! – warknął, a po plecach Franka przeszedł zimny dreszcz. W końcu co on mógł na to poradzić? Dostał rozkaz i go wykonał. Kazali mu aresztować Thomalę.

– Nie gadać. – Szef aresztu pchnął mężczyznę w plecy.

– Co nie gadać? Znam swoje prawa!

– Panie Thomala, taki dostałem rozkaz – powiedział Frank. – Za chwilę wszystko się wyjaśni.

Miał przynajmniej taką nadzieję, że wszystko się wyjaśni i że to aresztowanie to tylko nieporozumienie. Ale z drugiej strony na niedzielny obiad z Trudi chyba już nie miał co liczyć. Dziewczyna była przy tym, jak przyjechał po jej ojca, i raczej nie można powiedzieć, żeby była z tej sytuacji zadowolona. Spojrzała tylko na niego smutno i wcale się nie odezwała. Ale dostrzegł, że oczy jej zwilgotniały.

Thomala splunął na bruk i posłusznie poszedł w kierunku drzwi prowadzących do aresztanckich cel. Leutnant wszedł za nim do korytarzyka. Aresztowanego wprowadzono do drugiej w kolejności celi. Szef aresztu zdjął mu kajdanki i wyszedł, a Frank stanął w drzwiach.

– To na pewno pomyłka, panie Thomala. Zaraz będzie pan wezwany na przesłuchanie i wtedy się wszystko wyjaśni.

– Gównu się wyjaśni – warknął Ortsgruppenleiter. – A Trudi mi mówiła, że z pana jest porządny człowiek, a pan...

– Panie Thomala, nie był pan w wojsku?

– Oczywiście, że byłem. Walczyłem w Rosji, jak ty jeszcze miałeś mleko pod nosem.

– No to dobrze pan wie, co to znaczy rozkaz. Nic na to nie poradzę. – Wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów i zapalki, a potem to wszystko położył na pryczy. – Jakby pan czegoś jeszcze potrzebował, proszę mówić. Może coś do czytania panu przyniosę?

– W dupie mam czytanie. I tak zaraz stąd wyjdę. A za papierosy dziękuję.

Leutnant skinął głową i wyszedł z celi. Oberwachtmeister zamknął masywne drewniane drzwi obite stalowymi pasami.

– A ten drugi gdzie?

– W pierwszej, panie Leutnancie.

Podeszli do sąsiednich drzwi. Frank odsunął klapkę judasza. Na pryczy leżał mężczyzna w białej, zakrwawionej koszuli.

– Co, daliście mu wycisk?

– Według rozkazu. Trochę się darł, ale swoje dostał. Teraz pewnie będzie chętny do współpracy.

Tego aresztowanego Leutnant nie znał go osobiście, ale wiedział, że nazywa się Oskar Wittmann i jest jednym z szefów KPD w mieście. Z nim Leutnant nie miał ochoty rozmawiać. Bo i po co? Nie lubił komunistów. Zresztą kto ich lubił? Aschmutat kazał go zamknąć, żeby nikt nie posądził policji o stronnictwo. Teraz będzie można wykazać, że przewencyjnie aresztowano działaczy z jednej i z drugiej strony. Opuścił klapkę judasza.

– Ale tego Thomali, żebyście czasem nie zmuszali do współpracy swoimi metodami – powiedział, patrząc na Oberwachtmeistra.

– Naturalnie, panie Leutnancie. My już tam dobrze wiemy, komu przylać, a komu nie.

Frank skinął głową i ruszył w kierunku wyjścia. Na zewnątrz nie było już karetki więziennej. Zapewne odjechała na wewnętrzny dziedziniec. Przeszedł więc prosto do drzwi naprzeciwko, po drugiej stronie tunelu. Te prowadziły na klatkę schodową, którą można było się dostać na wyższe piętra budynku. Tędy prowadzano aresztantów na przesłuchania do pokoi śledczych na pierwszym piętrze. On jednak szedł na drugie, do biura swojego nowego przełożonego, żeby zameldować mu o dostarczeniu obu działaczy partyjnych prosto do cel. Po chwili stał już przed drzwiami prowadzącymi do biura Hauptmanna. Zapukał, a gdy usłyszał wezwanie do wejścia nacisnął klamkę. Aschmutat siedział za swoim dębowym biurkiem ze wzrokiem utkwionym w trzymanej w ręce książce. Gdy dostrzegł podwładnego, który stanął w przepisowej odległości trzech metrów, odłożył książkę na blat. Leutnant zdziwił się, gdy dostrzegł tytuł. *Mein Kampf* to książka, którą napisał Hitler. Nie przypuszczał, aby Hauptmann był zwolennikiem faszystowskiego ruchu, a tu proszę, taka niespodzianka.

– Panie Hauptmannie, Leutnant Frank melduje się po wykonaniu zadania.

– Niech pan siądzie. – Aschmutat wskazał mu krzesło stojące przy okrągłym stoliku na prawo od biurka.

Frank posłusznie zajął miejsce.

– No i co tam słyhać u naszego przyjaciela Thomali? – zapytał dowódca.

– Trochę się rzucał, ale nie sprawiał większych kłopotów.

– A ten drugi?

– Melduję, że po Wittmanna pojechał Wachtmeister Lange. No i tak jak pan polecił, spuścili mu lanie.

– To dobrze. – Aschmutat uśmiechnął się zadowolony.

Wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował. Dziś od rana musiał wdrożyć działania, które choć nie wróżyły jakiegoś śledczego sukcesu, to dla jego przełożonych były wyraźnym sygnałem, że policja panuje nad sytuacją. Ale on doskonale wiedział, że na razie nie panuje nad niczym. Mleko się rozlało i teraz może dojść do jeszcze większych strat, jeśli faszyci i komuniści wezmą się za łby. Dlatego te łby na kierowniczych funkcjach trzeba było izolować, żeby ktoś ich nie odstrzelił, tak jak tego wczoraj.

– Mamy w tej chwili następujący bilans, Leutnancie. Dwaj działacze KPD nie żyją. Do tego jeszcze postrzelona żona jednego z nich. Nie żyje też jeden z działaczy NSDAP, który nie wiadomo, w jaki sposób dostał się na wiec komunistów. Ten człowiek miał w zaciśniętej dłoni pistolet, a to znaczy, że pewnie chciał w kogoś wpakować kulę, ale nie zdążył, bo ktoś go uprzedził. Czyli jednym słowem, panie Leutnancie, mamy do czynienia z otwartą wojną między oboma partiami. Ja jednak nie mam zamiaru przyglądać się spokojnie, jak oni biorą się za łby. Musimy im przeszkodzić, zanim wszyscy się wzajemnie powystrzelają.

– Doskonale to rozumiem, panie Hauptmannie.

– Cieszę się, że pan rozumie. Ale nie możemy poprzestać tylko i wyłącznie na zaprowadzaniu porządku. Istotne jest również złapanie sprawców morderstw.

– Tak jest, panie Hauptmannie.

– Dlatego w czasie, gdy ja będę zajmował się zaprowadzaniem porządku, pan będzie kontynuował śledztwo w sprawie zamordowanych komunistów. Ale jednocześnie będzie mnie pan na bieżąco informował o postępach w pańskim dochodzeniu.

– To zrozumiałe, panie Hauptmannie.

– A teraz przesłucha pan tego Thomalę, a po przesłuchaniu odwiezie go pan do domu.

Leutnant z niedowierzaniem spojrzął na swojego przełożonego.

To po co był ten cały cyrk z jego aresztowaniem? – pomyślał, ale oczywiście nie wypowiedział tego pytania na głos. Skoro jego przełożony wydał dyspozycje, nie jego rolą było dyskusowanie z nim. Rozkaz to rozkaz. Wykonuje się i już. Żadnych odstępstw od reguły. Tego uczono go w szkole policyjnej już pierwszego dnia. I on dobrze przyswoił sobie tę zasadę.

– Zastanawia się pan zapewne, po co w takim razie wpakowaliśmy go do ciupy? – Aschmutat przejrzał jego myśli.

– Tak jest – potwierdził Leutnant, skinąwszy głową.

– Thomala został zatrzymany, aby jego ludzie dostali czytelny i jasny sygnał, że interesujemy się nimi. A wypuszczamy go tak szybko, żeby dostali jeszcze jeden sygnał. Jaki, panie Leutnancie?

Na chwilę zapadła cisza, w którą rytmicznie, raz za razem, wdzierало się miarowe tykanie zegara wiszącego na ścianie.

– Oni pomyślą, że Thomala zgodził się na wszystko. Albo że my im sprzyjamy. Jedno z dwóch.

– Bardzo słusznie, Leutnancie, pan wnioskuje. Część ludzi Thomali będzie przekonana, że on zgodził się nas informować o wszystkim, a część będzie myśleć, że policja w naszym mieście sprzyja ruchowi faszystowskiemu.

– A sprzyja?

Carl uśmiechnął się. Przecież nie będzie temu młodzieńcowi tłumaczył, że sam dyrektor Policji jest faszystą. Jedno było pewne: on sam nie był i dlatego czytał wypociny tego ich wodza z rosnącą ze strony na stronę irytacją. Nie dość, że poglądy tam prezentowane dalekie były od świata wartości, w które sam wierzył, to na dodatek wszystko to opisane było chaotycznie, a poza tym jeszcze w nudny sposób. A tego już autorowi, jako wielki miłośnik literatury, zwyczajnie nie mógł wybaczyć.

– Jedni sprzyjają, inni nie. Policjanci są tylko ludźmi i mają swoje poglądy polityczne. Oczywiście byłoby idealnie, gdybyśmy w naszej pracy nie kierowali się własnym postrzeganiem świata

politycznego. Bo policjant swoje polityczne poglądy powinien zostawiać w domu, tak jak żonę i dzieci, przed wyjściem na służbę. Ale nie żyjemy, niestety, w idealnym świecie. Dlatego musimy nauczyć się żyć w tym politycznym galimatiasie i oczywiście dokonywać jedynie słusznych i prawych wyborów.

– A co z Thomalą, panie Hauptmannie? Czy mam mu uświadomić, w jakim położeniu się znalazł?

– Myślę, że on to doskonale zrozumie, jeśli go pan zawiezie do domu. Więc lepiej niech pan przedstawi mu się jako zwolennik poglądów jego partii. To nam się może przydać.

Leutnant pokiwał głową. Co prawda, nie był w najmniejszym stopniu wyznawcą poglądów faszystowskich, ale za to od kilkunastu godzin był miłośnikiem urody i temperamentu panny Trudi. A dla jej przychylności mógł wiele zrobić. Przychylność jej ojca mogła się tutaj przydać. Postanowił więc, że zrobi wszystko, żeby ją pozyskać.

– Zrobię, jak pan Hauptmann rozkaże.

Carl Aschmutat skinął głową, zadowolony, że znalazł tak bystrego człowieka. Od dawna miał problem z kadrami, mimo że w Dyrekcji Policji pracowało sporo policjantów. W większości byli to jednak ludzie, którzy nadawali się co najwyżej do patrolowania ulic. Tymczasem on w swoim Wydziale Kryminalnym potrzebował ludzi myślących. Takich jak Oberleutnant Hans Werner, przez ostatnie lata jego najbliższy współpracownik. Niestety, Werner w ubiegłym tygodniu został przeniesiony do Berlina i Aschmutat pozostał w swoim wydziale sam, nie licząc kilku wywiadowców i archiwistów. Do pracy operacyjnej w ostatnich kilku dniach nie miał nikogo, choć Berlin obiecywał, że przyślą mu wkrótce aż trzech oficerów. Nikt jednak nie kwapił się do spełnienia tych obietnic. Zapewne niezbyt łatwo było znaleźć kandydatów, którzy z własnej woli przenieśliby się na wschodnie kresy kraju. Więc Frank spadł mu jak z nieba. Natychmiastowe przeniesienie chłopaka

z komisariatu do Dyrekcji Policji zajęło Carlowi dosłownie minutę. Wykonał tylko telefon do szefa komisariatu i sprawa była załatwiona.

– Proszę mi o wszystkim meldować na bieżąco – powiedział na pożegnanie, a Frank podniósł się natychmiast, skinął głową i wyszedł z pokoju. Carl wstał zza biurka i podszedł do wieszaka, na którym wisiała jego służbowa czapka. Założył ją, poprawił pas z przytroczoną doń kaburą pistoletu i wyszedł na korytarz, zamykając drzwi gabinetu na klucz. Do umówionego spotkania zostało mu jeszcze sporo czasu, więc nie śpieszył się. Postanowił, że do hotelu, w którym umówił się ze swoim polskim przyjacielem, pójdzie pieszo. Dzień był piękny i słoneczny, więc ta przechadzka na pewno będzie przyjemnym oderwaniem się od służbowych spraw.

Poznań

Godzina 11.55 przed południem

Wycieczka półkolonijna panien pensjonariuszek w granatowych koszulach, czarnych spódnicach i beretach na głowach stanęła naprzeciw głównej fasady ratusza. Dziewczęta natychmiast zwróciły głowy ku górze, w oczekiwaniu na spektakl, który miał za chwilę nastąpić.

– Za cztery minuty panny zobaczą dwa koziołki. To są poznańskie koziołki – wyjaśniła im podobnie ubrana nauczycielka, która jednak zamiast beretu miała na głowie niewielki kapelusik. Panny mogły mieć nie więcej niż dwanaście lat, więc z właściwą temu wiekowi ciekawością wpatrywały się w szare kute drzwi.

– Te koziołki – wyjaśniała dalej nauczycielka – znacie z legendy o poznańskich koziołkach. Pamiętacie tę legendę?

– Tak, tak, tak, pamiętamy – zapiszczał chór dziewczęcych głosików.

– To kto nam opowie tę legendę?

Kilka rąk podniosło się. Zadowolona nauczycielka zaczęła odliczanie...

– A pan zna legendę o poznańskich koziołkach? – zapytał major Jazdźewski, spoglądając z zaciekawieniem na Anatola Grubińskiego, którego najwyraźniej zainteresowała lekcja prowadzona przez nauczycielkę pensjonarek.

– Co? – Grubiński odwrócił głowę w jego stronę. Siedzieli na drewnianej ławce, jednej z kilku, które ustawiono na chodniku na wprost ratusza, niemal przed wyjściem do słynnego sklepu odzieżowego, oferującego poznaniakom piżamy własnej produkcji. Mówiono, że ławki zainstalowano dla wygody obserwujących codzienny spektakl z koziołkami w roli głównej. Najczęściej jednak korzystali z nich klienci sklepu, którzy przysiadali tu obładowani torbami i paczkami, by odetchnąć po pełnych emocji zakupach. Ich raczej niewiele obchodziły jakieś mechaniczne kozły. Na początku, owszem, budziły zainteresowanie poznaniaków. To było jeszcze przed wojną, na wiosnę czternastego roku. Wtedy właśnie, po ponad trzystu latach od uderzenia w wieżę ratuszową pioruna, który zniszczył mechanizm koziołków, uruchomiono go ponownie. Wówczas pod ratusz przychodziły całe tłumy poznaniaków, by podziwiać nową-starą atrakcję, ale jak to bywa w życiu, atrakcja szybko spowszedniała. Tym bardziej że na świecie działo się tyle różnych rzeczy, które były znacznie bardziej zajmujące niż trykające się koziołki. No i dziś mało kto przychodził tu specjalnie dla nich. No chyba że szkolna gawiedź, która zawsze była łasa na takie specjalne atrakcje, dzięki którym można wyjść ze szkolnych murów.

– Że niby ja? Nie, no a skąd? – zapytał zdziwiony Grubiński.

– Myślałem, że jak się jest poznaniakiem, to się powinno znać

takie historie.

– Mnie tam nikt żadnych takich bzdur nie opowiadał. Na ulicy mówi się, jak skroić gościa albo gdzie iść na jume. A o koziołkach to wiadomo tyle, że kozłina gorsza jest od baraniny, ale zjeść się jakoś da.

– Nigdy nie jadłem kozłiny – stwierdził Jażdżewski, spoglądając w górę. Duża wskazówka zegara była coraz bliżej najwyższego punktu na tarczy.

– I wtedy chłopię, uzaliwszy się nad niedolą kozłat, wzięło je na postronek i dalej uciekać z nimi z kuchni na ulicę... – Dziewczynka wybrana przez nauczycielkę opowiadała historię koziołków, a jej koleżanki zastygły w bezruchu, wpatrzona w rozpoczynający się właśnie spektakl. Zegar zaczął wybijać południe.

– I nie ma czego żałować. Mięso ze świni najlepsze – stwierdził Tolek z miną wytrawnego smakosza. – No, ale chyba nie o frykasach chciał szanowny pan major ze mną gadać.

Jażdżewski uśmiechnął się. Drzwi na wieży otworzyły się i dwa koziołki wychyliły na zewnątrz rogate głowy. Dziewczynki zaczęły pokazywać je sobie palcami. Kilku przechodniów również przystanąło, z zaciekawieniem spoglądając na to widowisko.

– Ma pan paszport? – zapytał ni stąd, ni zowąd oficer. Grubiński zdziwił się dzisiaj po raz kolejny. Czy wygląda na kogoś, kto podróżuje za granicę? Owszem, należał do ludzi ubierających się elegancko i z fasonem, ale to wcale nie znaczyło, że prowadził interesy w innych krajach.

– Jakoś się jeszcze nie zdarzyło.

Jażdżewski sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Po sekundzie wyjął z niej szarą kopertę. Bez słowa podał ją Grubińskiemu.

– A o co, że tak powiem, się rozchodzi? – zapytał Tolek.

– A zajrzyj pan do środka.

Zajrzał. Wewnątrz było kilka stużłotowych banknotów i paszport. Coraz bardziej zdumiony wyjął dokument i otworzył go na pierwszej stronie. To, co ujrzał, sprawiło, że aż zaniemówił z wrażenia. Zdjęcie wklejone do paszportu przedstawiało jego samego. Co prawda młodszego o jakieś dziesięć lat, ale to był na pewno on. Pamiętał nawet, kiedy robił to zdjęcie. To było chyba gdzieś w dwudziestym trzecim roku. Tak, latem dwudziestego trzeciego. Zapamiętał to dokładnie; musiał je sobie zrobić w zakładzie fotograficznym na Wildzie, bo ten najbliższy na Wielkich Garbarach był nieczynny. Właściciel nie zdążył go jeszcze wyremontować po wielkiej powodzi, która w kwietniu nawiedziła miasto. A zdjęcie zrobił sobie przy okazji, bo fotograf dał dobrą cenę, proponując legitymacyjne wraz ze zdjęciem ślubnym. Bo tego właśnie dnia Anatol Grubiński wziął ślub ze swoją obecną żoną, Kryską. Ale skąd, do cholery, wojsko miało tę fotografię? Przecież nie mogli wiedzieć, że robił sobie wtedy zdjęcia. Nikt o tym nie wiedział, bo przecież to nie było jakieś wielkie wydarzenie. Nikt oprócz jego ówczesnych kompanów ze złodziejskiej szajki, braci Kaźmierczaków, którzy byli świadkami na ślubie i oczywiście musieli jako świadkowie również dać się sfotografować na pamiątkę, nie wiedział, gdzie poszli robić zdjęcia... Nikt? Zaraz, zaraz... Fischer wiedział! Przecież policjant Fischer tego dnia spotkał się z Tolkiem, żeby mu wieszować szczęścia na nowej drodze życia. Ten cholerny Fischer zaoferował nawet, że odwiezie ich samochodem do fotografa i to on wówczas wybrał ten zakład na Wildzie. A to znaczy, że później zamówił dodatkową odbitkę dla siebie. Ale cholernik z tego Fischera!

Tolek uśmiechnął się na myśl o policjancie. Lubił tego faceta. Współpracowali od wielu lat, a współpraca ta przynosiła im obu wielkie korzyści. Grubiński miał bowiem nad sobą rozciągnięty parasol ochronny, a Fischer dysponował doskonałym źródłem informacji na temat przestępczego poznańskiego świata.

– Ta fotografia to skąd ją pan otrzymał? – zapytał, choć dobrze znał odpowiedź.

– Od komisarza Fischera.

Tolek pokiwał głową. Wszystko się zgadzało.

– Tyle że ja nie nazywam się Teodor Wiciak.

– Od dziś już się pan tak nazywa.

– A to niby po co?

– Dobry pana znajomy, komisarz Fischer, potrzebuje pańskiej pomocy. Przebywa teraz w Schneidemühl. Pojedzie pan do niego.

– Kiedy? – zapytał rzeczowo Tolek.

– Jutro. W kopercie oprócz pieniędzy, znajdzie pan również bilet. Pociąg do Kreuz odjeżdża jutro, kwadrans po piątej rano. Na stacji przesiądzie się pan na pociąg do Schneidemühl. W mieście zatrzyma się pan w Central Hotelu. Tam będzie czekać wiadomość od Fischera.

Tolek spojrzał na trykające się w górze koziołki. W co oni chcą mnie władować? – zaczął się zastanawiać. Fischer w Niemczech potrzebuje mojej pomocy? To raczej dziwne, a biorąc pod uwagę, że w tej sprawie zwraca się do niego Jażdżewski, na odległość śmierdzi jakimś grubszym szwindlem. No, ale w końcu Tolek był specjalistą od różnego rodzaju szwindli.

– A niby co tak w ogólności miałbym tam robić?

– Nic nadzwyczajnego. Fischer potrzebuje tam dobrego szofera, a pan podobno nieźle sobie radzi za kółkiem.

Grubiński aż się wyprostował, bo natychmiast duma rozparła go jak powietrze balonik. Rzeczywiście, radził sobie całkiem nieźle z prowadzeniem samochodów. Miał prawo jazdy od pięciu lat, ale nie miał własnego pojazdu. Gdy potrzebował auta, wynajmował je w którejś z miejscowych firm przewozowych. W ostatnim czasie coraz częściej myślał jednak o zakupie jakiegoś citroëna, bo jego złodziejski interes rozwijał się coraz lepiej i dawno już wyszedł poza centralną część Poznania.

Fischer dobrze wiedział o tym, że Tolek umie prowadzić, już kilka razy wykorzystywał go jako kierowcę, szczególnie w sprawach, które miały mniej oficjalny charakter. Ta musiała być też bardzo nieoficjalna, skoro komisarz wzywa go do siebie. No, ale przecież Fischer nie miał własnego samochodu.

– Przecież komisarz Fischer nie ma auta. – Natychmiast podzielił się swoimi wątpliwościami z oficerem.

Ten uśmiechnął się pod wąsem.

– Jeśli nie miał wczoraj, to wcale nie znaczy, że dzisiaj nie ma, panie Grubiński.

– No i widzicie teraz, moje panny – nauczycielka zebrała wokół siebie grupę dziewczynek – że w każdej legendzie jest małe ziarenko prawdy. Jakie ziarenko jest w tej legendzie prawdą, Marysiu? – zwróciła się do tej, która przed chwilą opowiadała historię dwóch koziołków, mających trafić jako pieczeń na stół biesiadny.

– To ziarenko prawdy jest takie, że koziołki nie trafiły na rożen.

– Tak właśnie było – pochwaliła ją pani. – A dlaczego nie trafiły? – zwróciła się do pozostałych uczennic.

– Bo koziołków z żelaza nie da się zjeść – wyjaśniła poważnym tonem korpulentna blondynka.

– A ten, jak mu tam... – Grubiński spojrzał na nazwisko widniejące pod zdjęciem paszportowym. – Ten Wiciak, to on nie będzie miał nic naprzeciwno, że ktoś jego nazwisko szarga?

– Panie Anatolu. – Jażdżewski uśmiechnął się. – Niech pana już o to głowa nie boli. Teodor Wiciak najbliższych kilka lat spędzi we Wronkach i jemu to jego nazwisko na wolności do niczego nie będzie potrzebne.

– Gość szemrany?

– Bynajmniej. Zielony, a właściwie można by powiedzieć, czerwony, panie Anatolu. Teodor Wiciak to cholerny ideowy bolszewik, który właśnie wrócił do kraju z ojczyzny

międzynarodowego proletariatu i co najistotniejsze – miał właśnie jutro wybrać się do Schneidemühl, żeby spotkać się tam z miejscowymi komunistami.

Schneidemühl

Godzina 12.30 po południu

- Nie, to jest jakaś pomyłka.
- To niemożliwe, szanowna pani. To najprawdziwszy Regent Limousine z silnikiem 1,8 litra. Najnowszy model. Przecież wszystko się zgadza. Proszę tylko łaskawie zerknąć, o, tutaj.
- Gdzie?
- To jest właśnie list przewozowy z opłaconym rachunkiem. Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Wszystko opłacone i podpisane, tak jak się należy.

Ursula podeszła do eleganckiego mężczyzny ubranego w przewiewny, lekki garnitur z barwionego na brązowo lnu. Ten podsunął jej drewnianą podkładkę, do której za pomocą metalowej klamry przypięty był plik papierów. Wzięła je do ręki. Przez chwilę wpatrywała się w dokumenty, a potem, coraz bardziej zdziwiona, spojrzała na mężczyznę. Ten uśmiechał się zadowolony z wrażenia, jakie zrobiła na kobiecie lektura dokumentu.

– Ja nic z tego nie pojmuję. Ale rzeczywiście jest tak, jak pan mówi. Wszystko się zgadza. To jest naprawdę nasz adres.

– No widzi pani? Jest tak, jak mówiłem. Nasza firma Koch&Weiß się nie myli. Jeśli zamówienie zostało złożone i opłacone, to my realizujemy je najszybciej jak się da. A w tym wypadku nie było kłopotu, bo auto stało w naszym salonie, co oznacza, że było dostępne od ręki. Należało tylko sprawdzić całe wyposażenie i proszę bardzo – można ruszać w podróż choćby

i do samego Berlina.

Teraz w końcu przeniosła spojrzenie na to połyskujące lakierem cudo. Czarny Opel Regent prezentował się wspaniale. Co prawda, nie bardzo znała się na samochodach, ale musiała przyznać, że jej mąż wybrał naprawdę wspaniałe auto... Zaraz, zaraz. Kupił, nie konsultując tak poważnego wydatku z nią? – pomyślała, wpadając w gniew. Jak on mógł to zrobić? Przecież o wszystkich ważniejszych kwestiach finansowych decydowali wspólnie, a to auto musiało kosztować prawdziwą fortunę. No i w ogóle, kiedy on to zdążył zrobić?

– A tu szanowny małżonek pani był łaskaw złożyć swój podpis, poświadczając zawarcie umowy transakcji. – Mężczyzna wskazał palcem na zamaszty autograf Fischera.

– To kiedy mój szanowny małżonek – zapytała Ursula – zdążył złożyć ten swój podpis?

Sprzedawca spojrzał na swój ręczny zegarek, tak jakby chciał dać do zrozumienia, że odpowiedź, której udzieli, będzie najdokładniejsza z możliwych.

– Dokładnie to będzie dwie godziny i kwadrans temu – wyjaśnił zadowolony. – No, ale żeby nie zajmować pani cennego czasu, proszę, tu jest jeszcze komplet kluczy do auta i można ruszać na przejażdżkę. – Powiedziawszy to, wydobył z kieszeni kluczyki zawieszane na czarnym skórzanym breloczku, ozdobionym metalowym znaczkiem marki auta, i wręczył je Ursuli.

– I co ja mam teraz z tym zrobić? – zapytała, spoglądając to na kluczyki, to na samochód.

– Jeśli pani pozwoli, to wyjaśnię, że ten największy jest od uruchamiania motoru. W tym modelu auto odpala elektryczny rozrusznik. Nie trzeba do tego celu używać korby, choć oczywiście korba jest także w bagażniku, ale to tak na wszelki wypadek. – Sprzedawca wzruszył lekko ramionami, jakby chcąc potwierdzić, że wypadki się przecież zdarzają.

– Nie o to chodzi. – Pokręciła głową. – Co mam zrobić z tym samochodem?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Proponuję poczekać na przyjazd szanownego małżonka pani. Powinien tu być lada moment. On już będzie dobrze wiedział, jaki użytek zrobić z tego wozu. A prywatnie pani powiem, że szczerze zazdroszczę wyboru. To prawdziwe cacko. Pan Fischer zna się na rzeczy jak mało kto.

Od strony drogi prowadzącej do wsi dobiegł do ich uszu rażny tętent końskich kopyt. Ursula spojrzała za plecy mężczyzny. W tumanie kurzu dostrzegła jadącą dość szybko bryczkę. To nią dziś rano Anton pojechał do Schneidemühl. Mówił, że jedzie załatwiać sprawy w banku, a on tymczasem tak wszystko połatwiał, że stali się nagle posiadaczami samochodu. Pomyślała, że trzeba będzie się z nim poważnie rozmówić. Po chwili czarna dwukonna bryczka wtoczyła się na podjazd przed niewielkim dworkiem, zbudowanym w stylu północnoniemieckim. Fischer podjechał z fasonem pod sam ganek, osadzając parę dorodnych gniadoszy tuż przed lśniącą maską samochodu. Zeskoczył z kozła i zadowolony podbiegł do żony.

– Widzę, że niespodzianka się udała! – krzyknął. – A co, ładny wózek, nieprawdaż?

Podszedł do żony, ucałował ją w oba policzki, a potem położył dłoń na lśniącej pokrywie silnika i pogładził ją w taki sposób, w jaki jeźdźcy mają w zwyczaju pieścić swoje ulubione konie. Nie zwrócił uwagi na nadąsaną minę Ursuli, spojrzał za to na zadowolonego sprzedawcę.

– To co, zgodnie z umową zawiozę pana do miasta. Wiesz – zwrócił się do żony – trzeba sprawdzić wóz na szosie. Pojedziesz z nami na przejażdżkę?

Kobieta pokręciła głową.

– Jedź sam. Mam sporo pracy. Może po południu pojedziemy

wszyscy.

– A gdzie dzieci? Może by chciały... – Spojrzał w kierunku niewielkiego dworku o ścianach z czerwonej cegły i dachu przykrytym czarną papą. Na ganku nie było żywego ducha.

– Biegają gdzieś po polach. Po południu pojedziemy wszyscy – ucięła krótko dyskusję. Dopiero teraz Antoni usłyszał w tonie jej głosu jakąś nutkę niezadowolenia. Podszedł do żony, ucałował ją w policzek i jednocześnie powiedział cicho:

– Jak wrócę, wszystko ci wyjaśnię. Nie bój się, nie jestem przecież utracjuszem. Przy okazji podjadę do Central Hotelu, zabiorę resztę naszych rzeczy, no i spotkam się z Carlem.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Ale niech sobie nie myśli, że tak łatwo mu pójdzie z wyjaśnieniem tej całej niespodzianki. Wcisnęła mu do ręki kluczyki do auta.

– Dobrze więc, porozmawiamy, jak wrócisz – rzuciła jeszcze i skierowała się w stronę ganku. Fischer uśmiechnął się zadowolony, że tak gładko mu poszło i że nie musiał zajmować się natychmiastowym tłumaczeniem wszystkich szczegółów. Bo tak naprawdę nie ułożył sobie jeszcze wszystkiego po kolei. Musiał przemyśleć kwestię wyjaśnień, a wyprawa do miasta dawała jeszcze odrobinę czasu na rozważenie wszystkiego. Bo ta sprawa rzeczywiście nie była łatwa do wytłumaczenia. Tym bardziej że przecież nie mógł powiedzieć żonie całej prawdy. Całej? Nic nie mógł powiedzieć o przyczynach zakupu samochodu. Ba, co więcej, nie mógł też powiedzieć, skąd miał na niego pieniądze.

Wskazał sprzedawcy auto. Ten od razu zrozumiał i pokiwał głową, szeroko się uśmiechając. Natychmiast obszedł opla i zajął przednie miejsce pasażera. Antoni skinął na woźnicę, który siedział cały czas na koźle, by wycofał się z podjazdu. Mężczyzna zeskoczył z bryczki, podszedł do zaprzęzonych koni i stanąwszy między nimi zaczął popychać je do tyłu. Koła wozu wjechały na zaniedbany klomb, na którym nie rosło nic prócz

trawy i chwastów. Po chwili droga była wolna. Fischer odpalił silnik. Automatyczny rozrusznik zadziałał natychmiast. Antoni wrzucił pierwszy bieg i auto potoczyło się po szutrowym podjeździe.

– Dobrze się wam powodzi – powiedziała z uśmiechem Anna, która właśnie wyszła z domu. Teraz stała oparta o kolumnę podtrzymującą dach ganku, z rękami złożonymi na piersi.

– Już ja się z nim rozmówię, niech tylko wróci do domu – burknęła Ursula. – Taki zakup powinien ze mną skonsultować. Przecież musiał wydać na to auto majątek.

– A kto bogatemu zabroni?

– Nie drwij, proszę. Wcale nie jesteśmy tak bogaci.

– Mój Carl też jest na państwowej posadzie, ale auta nie mamy – stwierdziła Anna. Ale w jej tonie nie było złośliwej zazdrości. Raczej odrobina żalu. – Ale kto wie, czy wkrótce i nas nie będzie stać na takie auto.

– Och, to byłoby wspaniale! – Ursula klasnęła w dłonie. – Czyżby Carl spodziewał się awansu?

Anna pokręciła przecząco głową.

– Nie w tym rzecz. Myślę, że niedługo u nas wszystko się zmieni na lepsze. Ludzie od dawna na to czekają. Mówi się, że nadchodzą wielkie czasy dla Niemiec. Że teraz wreszcie wstaniemy z kolan. W końcu coś nam się od życia należy po tych wszystkich upokorzeniach.

Ursula spojrzała zdziwiona na przyjaciółkę, zastanawiając się, o czymże ona mówi. Jakoś nie przypominała sobie sytuacji, w której ktoś upokarzałby ich rodzinę. Tym bardziej przez całe lata.

– Ktoś wam zrobił krzywdę? – zapytała. – Tylko dlaczego nic wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

– Nie mówię o sobie. Mówię o naszej ojczyźnie, o traktacie, który upokorzył Niemcy, o całych latach, kiedy byliśmy klientem salonów. To nareszcie się zmieni. Teraz to my

będziemy rozdawać karty...

Ursula Fischer, która w zasadzie nie interesowała się polityką, zrobiła zdziwioną minę. Nie podejrzewała nawet, że jej najbliższa, serdeczna przyjaciółka może orientować się w kwestiach politycznych i to tak dalece, by wygłaszać na ten temat tak zdecydowane poglądy.

– Myślałam, że coś się stało. Ale na szczęście ty tylko o polityce. Mnie tam takie sprawy nie zajmują.

– A szkoda, bo w dzisiejszych czasach trzeba mieć wyrobiony pogląd. Dziś nie można stać z boku.

– O czym ty mówisz? Wybacz, Anno, ale nie poznaję cię.

– Mówię o tym, co nadchodzi szybkimi krokami. Mówię o nim, o Adolfie Hitlerze, który sprawi, że Niemcy się przebudzą.

– Ach ten Hitler. – Ursula uśmiechnęła się, przypominając sobie zdjęcie tego austriackiego krzykacza ze śmiesznym wąsem. – On miałby odmienić Niemcy?

– To już się robi, moja droga. Coraz więcej Niemców rozumie, ile znaczyliśmy dotąd i ile możemy w przyszłości. A on właśnie otwiera nam oczy, które tak długo były zamknięte.

– Ja mam oczy szeroko otwarte i jakoś nie widzę...

– Bo ty mieszkasz zagranicą, daleko od naszych spraw.

– Może i dobrze...

– A wiesz, że on tu niedługo przyjedzie?

– Dokąd? – spytała szybko przestraszona Ursula na myśl, że miałyby w swoim domu podejmować jakiegoś Hitlera. I co Anton by na to powiedział? – Do nas przyjedzie? – zapytała.

– Tak, do nas, do Schneidemühl przyjedzie i będzie przemawiał na wiecu. Ja go słuchałam w ubiegłym roku w Berlinie. Powiadam ci, to wspaniałe przeżycie. Ten człowiek potrafi całą salę, setki słuchających wprowadzić w prawdziwą ekstazę. Słuchając go, nie można się z nim nie zgadzać. To cudowny, charyzmatyczny mówca.

Jakoś nie udało jej się przekonać przyjaciółki. Ursula

rozejrzała się dokoła, jakby w poszukiwaniu jakiejś deski ratunku. W pobliżu nie było jednak nikogo, kto mógłby ją podać.

– A ciekawe, gdzie nasze dzieci się podziewają? – spróbowała umiejętnie zmienić temat, bo rozmowa o jakimś tam Hitlerze nie przypadła jej wcale do gustu. Podobnie zresztą jak emfaza, w którą wpadła jej przyjaciółka. Ta jednak chyba wcale nie dosłyszała głosu zatroskanej matki.

– Powinnaś tam ze mną pojechać – powiedziała.

– Pojechać? Dokąd pojechać?

– Jak to dokąd? Do Schneidemühl. Za kilka dni, gdy on tu przyjedzie. Pojedziemy i posłuchasz, jak przemawia. Jestem przekonana, że nie pozostaniesz obojętna. Nikt nie zostaje obojętny, gdy go w końcu zobaczy i usłyszy.

Od strony sadu dobiegły ich radosne dziecięce pokrzykiwania. Niewysoki płot w jednym momencie pokonało dwóch chłopców, którzy z łukami w dłoniach wpadli na podjazd.

– Mamo, mammo, tu był automobil! – zawołał Eugeniusz.

– Widzieliśmy tam z górki, jak odjeżdża. Czy za kierownicą był wujek Anton? – zapytał zdyszany Jurgen.

– Tak, przyjechał automobilem – wyjaśniła Ursula obu chłopcom.

– A skąd go miał? – spytał rezerwowo Eugeniusz.

– Nie wiem doprawdy, skąd miał na niego pieniądze, ale wiem jedno, że twój ojciec okazał się dziś nadzwyczaj rozrzutnym człowiekiem.

Chłopcy spojrzeli na siebie z niedowierzaniem, a potem obaj nagle, jak na komendę, zawyli dzikim indiańskim krzykiem. W końcu każdy prawdziwy Indianin marzy o przejażdżce prawdziwym automobilem.

Rozdział IV

Schneidemühl

Godzina 12.15 po południu

Maszynista Gustaw Huber czule i z zadowoleniem pogłaskał tender swojej lokomotywy. Jego powierzchnia była tłusta od smarów i mocno rozgrzana. Powietrze wokół parowozu przesycone było tym jedynym, niepowtarzalnym zapachem, który kochają wszyscy prawdziwi kolejarze. Lokomotywa lekko posapywała, gotowa do pracy. Najwyraźniej jego pomocnik, Willy Beck, zdążył wszystko przygotować na czas. Musiał się zwijać już od świtu, żeby napełnić zbiornik, a później rozpalić pod nim w piecu i doprowadzić wodę do odpowiedniej temperatury. A wszystko ostrożnie i z wielką uwagą, na jaką zasługiwało to skomplikowane urządzenie. Bo nie można było ot tak sobie rozpalić w piecu i pójść gdzieś na piwo. Trzeba było cały czas kontrolować ciśnienie pary, a gdy było zbyt wysokie, wypuszczać ją na zewnątrz i stale sprawdzać temperaturę w piecu, żeby ta, broń Boże, nie była za wysoka. Willy wszystko to dobrze wiedział. W końcu od dwunastu lat był pomocnikiem. Zaczynał tuż po wojnie jako zwykły palacz, zajmujący się jedynie szuflowaniem węgla. W zasadzie umiał już tyle, że mógłby dostać własną lokomotywę, ale jakoś nie było jeszcze dotąd okazji, bo wszystkie parowozy ze stacji Schneidemühl

Hauptbahnhof miały pełną obsadę. Może za miesiąc mu się uda, bo stary Engel znów zapowiadał, że w końcu pójdzie na emeryturę. Ale odgrażał się tak już od kilku lat, robiąc nadzieję młodszemu. A Huber życzył młodemu pomocnikowi z całego serca, żeby wreszcie dochrapał się swojego miejsca, bo on niczego więcej już nie był w stanie Willy'ego nauczyć. Czas, by chłopak wreszcie wyfrunął z gniazda, no i oczywiście zaczął lepiej zarabiać, bo pensja maszynisty była o jedną trzecią wyższa od tej pomocniczej. A Willy od roku przebąkiwał, że jak tylko się usamodzielni, natychmiast się ożeni z tą swoją Heidi. I to właśnie świadczyło o nim, że jest poważnym człowiekiem. Nie brał sobie żony, dopóki nie mógł zarobić na utrzymanie rodziny.

Maszynista rozejrzał się, szukając znajomej, szczupłej sylwetki, ale Willy'ego nigdzie nie było widać. Dostrzegł za to Kurta, siedemnastoletniego palacza, który stał pod ścianą nastawni i palił papierosa. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Huber kiwnął na niego przywołująco. Chłopak natychmiast rzucił niedopałek pod nogi i pognał w jego kierunku, po czym wskoczył na ruchomą część obrotowego toru.

– Widział żeś gdzie Willy'ego?

– Widziałem, szefie.

– A gdzie on teraz jest?

Chłopak rozejrzał się dookoła, a potem spojrzał na maszynistę, robiąc przy tym zakłopotaną minę.

– A bo ja to wiem? Był tu jeszcze pół godziny temu, jak przejeżdżał pośpieszny berliński.

Huber spojrzał na zegarek.

– Berliński przejeżdżał szesnaście minut temu – uściślił.

– No właśnie, takem powiadał. Szesnaście minut będzie, jak zeszedł z lokomotywy i poszedł za nastawnię – wyjaśnił chłopak.

Jak za nastawnię, to pewnie za potrzebą, pomyślał Huber, bo

po cóż innego by tam chodził, tym bardziej że lokomotywa była już pod parą, przygotowana do drogi. Teraz trzeba było tylko ją obrócić i ruszyć powoli na peron, żeby przypiąć wagony, bo o pierwszej czterdzieści osiem pociąg odchodził do Deutsch Krone.

– No dobra, to skocz no do wygodki i powiedz mu, że już jestem. Ale na jednej nodze, bo czasu nie ma za wiele.

Kurt skinął szybko głową i odwrócił się na pięcie. Maszynista tymczasem ze swoją skórzaną torbą w dłoni wspiał się po drabince do kabiny. Tu wewnątrz wszystko wyglądało tak jak należy. Huber uśmiechnął się pod wąsem. Pojazd był idealnie przygotowany do drogi. Mężczyzna położył torbę, w której nosił sznytki i butelkę z herbatą, na podłodze, poniżej swojego siedzenia, i zaczął sprawdzać po kolei wszystkie zegary. Ciśnienie było odpowiednie, temperatura na kotle również. Za mało było tylko węgla w palenisku, ale tu wystarczyło podrzucić ze cztery szufle.

– Panie Huber! Panie Huber! – wołał ktoś z dołu. Maszynista zaraz wychylił się na zewnątrz.

– Panie Huber! – wołał Kurt.

– Znalazł żeś go?

– Znalazłem. Znaczy się, jest w wychodku.

– To co nie przyłazi?

– Bo drzwi zamknięte od środka.

– Zatrzasnął się? – Kolejarz zdziwił się i zaraz potem uśmiechnął. A to będzie o czym opowiadać przy piwie, jak to jego pomocnik zatrzasnął się w kiblu i nie mógł wyjść...

– Nie, on się tam wcale nie odzywa.

– Jak to się nie odzywa?

– No normalnie, ja do niego gadam, a on nic.

– Nie chce wyjść?

– Nic nie gada, nawet jakem kopał w te drzwi, to on też nic nie gadał. Może śpi?

Huber z niedowierzaniem pokręcił głową. Odkąd Willy zaczął pracę na jego lokomotywie, nigdy jeszcze nie zdarzyła się sytuacja, żeby poszedł gdzieś spać. No i tym bardziej do kibla. Trzeba to szybko wyjaśnić. Zaklął pod nosem i, chcąc nie chcąc, zlął po drabince na dół.

– Idziemy – rzucił ostro. – Już ja jemu dam spanie na sraczu. Odechce mu się.

– Może ma sraczkę – próbował tłumaczyć starszego kolegę chłopak. – Jak ja miałem sraczkę, to pół dnia przesiedziałem na wychodku i nikomu nie otwierałem, bo jakbym otworzył i wyszedł, a ktoś by wlaźł do środka, to co ja bym zrobił? Mogłem se przez przypadek w pory nasrać.

– Nie gadaj tyle – rzucił maszynista.

– Naprawdę tak było. Mama powiada, że wszystko przez tę kiszoną kapustę. Że niby za dużo jej zżarłem na surowo... O tu, w tym drugim siedzi. – Wskazał na trzecie drzwi od lewej.

Wychodków w rzędzie było pięć. Tego środkowego nie musiał nawet wskazywać. Pozostałe miały uchylone drzwi. Tylko ten jeden był zamknięty. Kurt złapał za skobel i pociągnął drzwi do siebie. Ani drgnęły.

– Willy, jesteś tam? – krzyknął maszynista, ale nikt nie odpowiedział.

– Pukał żeś do niego? – zapytał podejrzliwie maszynista.

– Pod Bogiem, że tak. Nikt nie odpowiada.

– A próbował żeś odemknąć?

– No tak. Ciągnę z całej siły i nic.

– A siedział żeś kiedy tam w środku?

– No jasne.

– I jak te drzwi się otwierają, do środka czy na zewnątrz?

Chłopak milczał przez chwilę zmarszczywszy brwi. By mu pomóc w rozwiązaniu tej zagadki, Huber pchnął te po prawej. Skrzydło otworzyło się do wewnątrz.

– Do środka się otwierają! – krzyknął chłopak.

– No to trzeba pchnąć do środka – zdecydował Huber.

Kurt natychmiast napał na deski i drzwi lekko przesunęły się do środka. Ale tylko trochę, na tyle, by móc wypuścić na zewnątrz rój much.

– Coś tam blokuje od środka – stwierdził stary. – Leć do nastawni i przynieś brechę.

Chłopakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Po dwudziestu sekundach wrócił z łomem w dłoniach. Zaraz wcisnął go w szparę.

– Nie tu. Trzeba niżej.

Wcisnął niżej, tak jak mu kazał maszynista. Napał na łom całym ciężarem ciała. Drzwi jęknęły, a potem przesunęły się na tyle, że można było spróbować zajrzeć do środka. Huber zajrzał.

– Willy! Willy, co z tobą?

– Jest tam, panie maszynisto?

– Jest, leży na podłodze.

– Mogę jeszcze mocniej naprzeć.

– Willy, co z tobą jest? Żyjesz?

– Może zasłabł.

– No przecie widzę, do cholery, że zasłabł. Zostaw mi ten łom i leć po ludzi. Sami se nie damy rady. Trzeba odsunąć choć tyle, żeby ktoś tam wlaź i podniósł go, bo inaczej to nic nie da.

– To niech pan naprze na brechę, a ja się wsunę. Chudy jestem.

Huber spojrział na niego. Rzeczywiście, portki wisały na chłopaku jak na strachu na wróble.

– Dobra, rozbieraj się do gaci.

– Co?

– No ściągaj wszystko. Bez ubrania się przeciśniesz.

Młody zrozumiał, w czym rzecz i szybko pozbył się ubrania. Maszynista chwycił łom, wetknął go w szparę i napał z całej siły. Przestrzeń się poszerzyła akurat na tyle, by chłopak mógł spróbować się precisnąć. Wsunął ostrożnie rękę, potem ramię,

a zaraz po nim głowę. Huber spróbował mocniej. Przez moment zrobiło się luźniej. Tę chwilę wykorzystał Kurt, by wcisnąć się do środka.

– Jestem – zawołał zadowolony. – Pan Willy też tu jest, ale się nie rusza.

– Podnieś go.

– Już go biorę do góry.

– Oddycha?

– Oddycha, ale smród tu taki. Tfu... deska musi być osrana. Gadałem, że ma sraczkę. Wszystko tu jest obesrane. Mokra, cholera... O, już mam go na kiblu. Może pan otwierać!

Huber pchnął lekko drzwi. Otworzyły się, wpuszczając do środka słoneczne światło. To, co zobaczył maszynista, sprawiło, że nogi się pod nim ugięły. Uśmiechnięty od ucha do ucha Kurt stał przy desce od sracza, przytrzymując Willy'ego. Willy miał spuszczone spodnie i był ubrany tylko w szarą roboczą koszulę. Tyle że ta koszula w dużej swej części wcale nie była szara. Mniej więcej jej połowa, od piersi w dół, była czerwona. Zresztą wszystko dokoła było czerwone, łącznie z białymi gaciami Kurta. Ten, zobaczywszy, że to, co wziął wcześniej za gówno, to krew, gwałtownie odskoczył od bezwładnego ciała, które głucho pacnęło o mokrą podłogę.

– Fachowy postrzał prosto w serce – stwierdził majster Udo Lorenz, który akurat szedł w kierunku nastawni. Przed chwilą podszedł z zaciekawiony, bo nie co dzień widuje dwóch facetów, co to łomem otwierają drzwi od kibla. Stanął za ich plecami, dłubiąc w nosie i czekając na efekt ich zabiegów, nie odzywając się wcale, bo wolał być obserwatorem, niż uczestnikiem. No i gdy zobaczył padające na ziemię ciało, natychmiast zauważył, w którym miejscu była rana. Znał się na ranach, bo na froncie rosyjskim był pomocnikiem w lazarecie. Dlatego teraz nie miał żadnych wątpliwości.

– Ktoś chłopaka normalnie rozstrzelał – powiedział, a gdy

napotkał zdziwione, i nieco zdezorientowane spojrzenie maszynisty Hubera, wyjaśnił jeszcze: – Tu się już nic nie da zrobić. Pójdę na posterunek policji na dworcu. Niech oni się tym zajmą.

Godzina 1.05 po południu

– I co z nią będzie? – zapytał jakiś głos dochodzący nie wiadomo skąd. Dokoła było ciemno, a dźwięki dolatywały do jej uszu jakby z innego świata. Z nieodgadnionej i nierzeczywistej przestrzeni. A do tego jeszcze brzmiały tak, jakby wydobywały się z rury albo ze studni. Słyszała je jednak dokładnie.

- Na razie nic nie wiadomo.
- Ale żyje?
- No tak. Żyje, tego możemy być na razie pewni. Ale czy długo jeszcze – tego nie wiadomo.
- To znaczy, że nie da się jej przesłuchać?
- Przesłuchać?
- No, znaczy, porozmawiać z nią.
- Czy pan zwariował, Leutnancie?
- Wie pan, taki dostałem rozkaz.
- No to proszę bardzo. Na rozkaz nic nie poradzę.
- Czyli że co, panie doktorze?
- Nic. Proszę ją sobie przesłuchiwać.
- Aha... Naprawdę mogę?
- Proszę bardzo.
- Frau Lothe Jung?
- Hm...
- Chyba słyszy.
- Tak?
- Chrząknęła.
- To ja chrząknąłem, Leutnancie.

- Aha. Przepraszam, panie doktorze.
- Nic nie szkodzi. Proszę kontynuować przesłuchanie.
- Rozmowę.
- Niech będzie, że rozmowę.
- Frau Lothe Jung, czy pani mnie słyszy? Jestem z policji. Musimy koniecznie porozmawiać o tym, co pani widziała. Tylko pani widziała mordercę...

Mordercę? To słowo natychmiast dotarło do jej świadomości i wbiło się w nią głęboko. A przecież mówili, że nie są żadnymi mordercami. To ona tak o nich powiedziała. Oni twierdzili, że tak musiało być i nikt na to nic nie mógł poradzić. Bo przecież to była sprawiedliwość dziejowa czy jakoś tak. To było krótko po wojnie. Styczeń albo luty dziewiętnastego roku. Mieli odebrać to, co zostało zrabowane klasie robotniczej, nikomu nie wyrządzając żadnej krzywdy. Bo przecież nie było krzywdą odebranie jubilerowi Aronowi Grünsteinowi złota i diamentów, które ten krwio pijca zgromadził przez lata, podczas gdy klasa robotnicza umierała z głodu. Tak przynajmniej wtedy tłumaczył jej przyszły mąż Walther. Za głupia była, by mu się przeciwstawić. Zresztą nie myślała nawet o tym. Zapatrzona była w niego jak w obrazek i szczerze powiedziawszy, ten cały komunizm, który Walther przywiózł ze sobą z wojny, niewiele ją obchodził. Udawała, że ją interesuje, tylko po to, żeby być bliżej niego. I to się udało. Ten przystojny Walther zwrócił na nią uwagę, a gdy po jakimś czasie powiedziała mu, że będą mieli dziecko, natychmiast oświadczył, że się z nią ożeni. I wtedy pojawiła się ta sprawa z jubilerem. Jego zakład i mieszkanie Grünsteinów mieściły się na Zeughausstraße, w kamienicy pod numerem dwudziestym pierwszym.

Plan był prosty. Walther i tych trzech mieli dostać się nocą do zakładu, otworzyć kasę ogniotrwałą, zabrać wszystko, co nadawało się do zabrania, i zniknąć. Ona uparła się, żeby iść

z nimi. Woląca mieć na wszystko oko, żeby przypadkiem nic się nie stało. Co miało się stać? Nie wiedziała, ale chciała tam być. Na początku Walther nie chciał o tym słyszeć, ale jego wspólnicy go przekonali. Jeden z nich stwierdził, że to nawet dobry pomysł, by dziewczyna stała na czatach. W ten sposób oni będą zabezpieczeni, a ona całkowicie bezpieczna i w razie wpadki znajdzie się poza podejrzeniami.

Noc była mroźna i wyjątkowo ciemna. Na ulicy nie paliła się żadna latarnia, mimo to bez żadnych problemów dotarli pod dom jubilera. Zostawili ją w bramie naprzeciwko, a sami podeszli pod drzwi zakładu. Musieli bez większych problemów sforsować zabezpieczenia, bo po chwili zniknęli wewnątrz. Przez szybę wystawową widziała jeszcze przez moment blask zapalanej zapałki i poświatę rozpalającej się świecy. Przez dłużące się w nieskończoność minuty nic się nie działo, ale nagle przeraziła się, bo dostrzegła światło w oknie na piętrze. Jubiler musiał się zbudzić. Niewiele myśląc, ruszyła biegiem przez ulicę. Dopadła drzwi i pchnęła je do środka. Wewnątrz nie dostrzegła najmniejszego ruchu. Nie było ich w zakładzie? Rozejrzała się szybko dokoła i zobaczyła ciemną przestrzeń po prawej. To musiał być korytarz prowadzący w głąb domu. Nigdy nie była w zakładzie jubilerskim Grünsteina, ale domyśliła się, że tym korytarzem można dotrzeć do schodów, którymi przechodzi się do części mieszkalnej. Pobiegła tam i zaraz zatrzymała się zdezorientowana. W korytarzu było kompletnie ciemno. Stała przez chwilę, bezradnie rozglądając się w ciemności. Nagle do jej uszu dobiegł jakiś stłumiony krzyk, a potem po schodach spłynęła smuga światła. Zaraz też usłyszała kroki.

– Tylko żadnych sztuczek. Jak zrobisz coś głupiego, moi ludzie ich wszystkich zabiją.

– A co ja mogę za sztuczki robić? Czy ja jestem sztukmistrz z Lublina, panie Jung? Żadnych sztuczek. Pan sobie myślisz, że

tych kilka pierścionków jest dla mnie ważniejszych od rodziny?

– A ty co tu robisz? – warknął Walther, dostrzegłszy ją u dołu schodów.

– Zobaczyłam światło – wyjaśniła, gdy jubiler stanął naprzeciw niej.

– Idź stąd, głupia. Zaraz wychodzimy, tylko ten Żyd otworzy nam kasę.

– Idź stąd, dziewczyno – powiedział łagodnym głosem jubiler i minąwszy ją poszedł do warsztatu.

Za nim ruszył Walther z pistoletem w ręce.

– No już, znikaj i czekaj w bramie.

Posłusznie poszła za nimi, a potem wyszła na mroźne powietrze.

– Tylko tyle? – zdziwił się Walther Jung na widok pięciu pierścionków i kilku łańcuszków.

– Pan nie wiesz, że jest kryzys i ludzie złota nie przynoszą do jubilera?

– Nie żartuj sobie ze mnie, człowieku. Dawaj wszystko, co masz, albo już możesz pożegnać się z życiem.

– To jest wszystko, co mam w kasie. A na górze w sypialni jest jeszcze to, co nosi moja Sara, znaczy się żona. To będzie jeszcze trzy pierścionki, bransoletka i łańcuszek.

– Dobra, idziemy na górę.

Po chwili wrócili do sypialni, w której na krześle obok łóżka siedziała żona jubilera. Jej usta drżały, a po policzkach spływały łzy. Trzej wspólnicy Junga spojrzeli na niego z nadzieją.

– Nic tam nie ma, w tej kasie. Same drobiazgi. – Mówiąc to, rzucił garść precjozów na niewielki stoliczek. – Twierdzi, że ma jeszcze biżuterię żony.

– Mam, mam. Wszystko wam oddam, ale dajcie już nam spokój, idźcie sobie precz.

– Aron, ty nie możesz... – jęknęła kobieta.

– Cicho, Salcie. Ty nic nie mów. Trzeba im wszystko oddać, żeby sobie poszli.

– Na pewno ma coś jeszcze schowane – warknął współnik Junga.

– Niech mnie Bóg broni. Nic więcej. Ja zaraz panom bandytom dam wszystko, co mam. – Ruszył w kierunku toaletki, na której stała niewielka szkatułka. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie, bo jeden z mężczyzn, który był akurat przy szafce, musiał pomyśleć, że jubiler chce go zaatakować. Niewiele się zastanawiając, skierował w jego stronę lufę browninga i pociągnął za spust, wcale nie celując. Na białej koszuli nocnej gospodarza wykwitła czerwona plama. Grünstein spojrzał na nią zdziwiony, przyłożył dłoń do rany i runął na plecy. Jego żona przerażona tym widokiem przez chwilę wpatrywała się w kompletnym milczeniu w ciało męża, aż w końcu ciszę przerwał jej rozdzierający krzyk. To był odruch wyćwiczony przez lata walki na froncie. Nieprzyjaciela natychmiast trzeba uciszyć. Kolejna kula wystrzelona z rewolweru wbiła się w czoło kobiety.

– Cholera jasna! – warknął Jung. – Zwariowałaś?

– Ruszył na mnie – próbował się usprawiedliwić zabójca.

– Zabieramy wszystko i w nogi – zakomenderował Walther.

W tym momencie drzwi prowadzące z sypialni do sąsiedniego pomieszczenia otworzyły się i stanęła w nich mała, czarnowłosa, może czteroletnia dziewczynka. Nic nierozumiejącym spojrzeniem obrzuciła pomieszczenie. Jej wzrok zatrzymał się na leżących na podłodze ciałach dwojga ludzi. Mała przez chwilę patrzyła na nich, a potem spojrzała na najbliższego stojącego Walthera Junga.

– Co się stało z mamą i tatą? – zapytała.

– Nic – odparł Jung. – Śpią.

Kolejny strzał rozdarł nocną ciszę. To już czwarty – pomyślała, wpadając w panikę. Za chwilę zbiegną się tu mieszkańcy

z sąsiednich domów, a potem przybędzie policja. Złapią ich, wsadzą do więzienia i powieszą. Jak mogła być taka głupia, żeby dać się w to wszystko wpakować? Wpakować? Nie, przecież nikt jej tu na siłę nie ciągnął. Sama chciała. To dlatego, że tak bardzo zakochała się w Waltherze. Zrobiłaby dla niego wszystko. Ale żeby aż dać się powiesić...

Przebiegł ulicę. Jego dwaj kompani pognali w przeciwnym kierunku.

– Uciekamy! – krzyknął do niej, a ona ruszyła posłusznie w ślad za nim.

– Co się stało? – spytała, gdy zdyszana wreszcie się z nim zrównała.

– Wszystko się popieprzyło przez tego idiotę.

– Co się popieprzyło? – Chciała koniecznie wiedzieć.

– Wszystko. Jak ktoś się dowie, to wszystkich nas czeka szubienica. Nie możesz nikomu nic powiedzieć. Nie powiesz?

– Nie powiem.

Zatrzymał się gwałtownie, odwrócił się do niej i chwycił ją za ramię.

– Naprawdę, nikomu ani słowa.

– No przecież już mówiłam, że nikomu.

– Kocham cię i ożenię się z tobą.

– Ja też cię kocham.

– Nie możesz nikomu nic powiedzieć. O tym, co się stało, tylko my wiemy i umarli wiedzą.

W oddali rozległ się świdrujący dźwięk policyjnego gwizdka. Ale oni byli już daleko, chyba gdzieś koło kościoła Świętych Janów. Właściwie nic nie było widać. Tylko ta oblepiająca wszystko ciemność, gwizdki nawołujących się policjantów i głos dobiegający jakby z jakiejś studni albo rury:

– Frau Lothe Jung. Czy pani mnie słyszy? Jestem z policji. Musimy koniecznie porozmawiać o tym, co pani widziała. Tylko

pani widziała mordercę...

– Niechże pan da spokój, panie Leutnancie. Nie widzi pan, że ona jest jedną nogą na tamtym świecie? Tylko cud może sprawić...

– Czy widziała pani mordercę? Czy pani wie, kto zabił?

– Tylko umarli wiedzą... – odpowiedziała cicho, by zaraz znów zapaść w ciemność.

Leutnant Eberhardt Frank chciał zadać kolejne pytanie, uniesiony falą sukcesu, gdy kobieta wreszcie się odezwała. Ale doktor Burhardt był stanowczy.

– Dość już tego dobrego. Chce ją pan zabić?

Policjant spojrzał na niego zdziwiony.

– Przecież sam pan widział, że zareagowała na moje pytania. Ona wcale nie jest nieprzytomna. Trzeba jej tylko pomóc wrócić do świata żywych. Jej mózg reaguje na słowa.

– Niech pan pozwoli, że to ja będę decydował o tym, jakich bodźców należy dostarczać jej mózgowi. Na razie najważniejsze jest, aby jej organizm wypoczął. Jeśli pan nie jest w stanie tego zrozumieć, to wyjaśnię, że przy tak poważnej ranie postrzałowej jej umysł krąży między dwoma światami, które dzieli bardzo cienka granica. Dlatego każdy bodziec zewnętrzny może spowodować, że jej myśli zostaną na zawsze tam albo wrócą tu.

– Moje pytania sprawiły, że powróciły...

– Albo wręcz odwrotnie, młody człowieku. Mogły sprawić, że naładowane energią koszmaru, który przeżyła, uciekły tam, skąd już nie wrócą.

– Może trzeba dać jej jakiś zastrzyk – podpowiedział policjant.

– Może trzeba zostawić ją w spokoju, drogi panie.

– Ale jej zeznanie jest kluczowe w sprawie o morderstwo.

– Jeśli będzie ją pan dalej niepokoił, żadnego zeznania się pan nie doczeka.

Młody policjant spojrzał na twarz kobiety. Nie była piękną, ale nie była też brzydka. Miała regularne rysy i wyraźnie

zarysowaną linię ust. Jej wargi były spierzchnięte, a na czole perlily się kropelki potu. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić. Gdyby się ocknęła, sprawa byłaby prosta. Mieliby mordercę w garści. Ale jeśli wysiłek sprowadzi na nią śmierć? Czy złapanie mordercy warte jest drugiej ofiary?

– Pójdę już – podjął w końcu decyzję. – Ale gdyby odzyskała przytomność...

– Znam dobrze procedury – stwierdził lekarz, wypychając go lekko z izolatki. – Zawiadomię policję niezwłocznie.

Godzina 1.30 po południu

– Doprawdy nie wiem, co mam o tym myśleć – rzucił za siebie Antoni, by zaraz odwrócić się w kierunku okna. W dole, porządnie wybrukowaną ulicą, przejeżdżał właśnie wielki wóz, zaprzężony w dwa ogromne holendry. Platforma zapakowana była pięcioma albo nawet sześcioma warstwami drewnianych skrzynek wypełnionych pustymi flaszkami po piwie. Woźnica mijał właśnie po prawej stronie stary piętrowy budynek arsenału, by za chwilę zniknąć w głębi.

Rozparty w głębokim klubowym fotelu Carl delectował się cygarowym dymem.

– To nic nadzwyczajnego, mój drogi – odpowiedział, spoglądając na przyjaciela. – Powiedzmy, że to koleżeńska przysługa.

– A w jaki sposób może ci to pomóc?

– Mnie? Powiedzmy, że gdyby mój szef dostał awans i przeniesienie do Berlina, to ja mógłbym zająć jego miejsce.

– Zostałbyś dyrektorem?

– Dokładnie tak.

– No, ale ja przecież twojego szefa wcale nie znam. Jakże miałbym go rekomendować?

– Wcale nie musisz tego robić. Wystarczy, że powiesz zwyczajnie: a to jest dyrektor Policji w Schneidemühl, Oberst Joseph Gruen.

– Nie wiem, czy to wystarczy. Ale wiem na pewno, że nie może zaszkodzić.

Antoni odwrócił się od okna i spojrzał uważnie na przyjaciela. To, o co prosił Carl, poważnie komplikowało jego zadanie. Ale gdyby spojrzeć z drugiej strony, dawało mu niepowtarzalną okazję spotkania oko w oko z Hitlerem. Czyż mógł wymarzyć sobie lepszą szansę? Nie musiał dosłownie nic robić, by ich drogi się przecięły. Miejscowa policja sama wszystko zorganizuje. A on dzięki temu wywiąże się ze swojego zadania.

– Nawet nie wiem, czy on w ogóle mnie jeszcze pamięta.

– Czy pamięta? Nonsens. Jak mógłby zapomnieć to, co się wtedy wydarzyło...

Gaz! Ten okrzyk sprawiał, że wszyscy natychmiast wpadali w popłoch. Ludzie, ci najbardziej doświadczeni, wstrzymywali oddech i w pośpiechu zakładali maski przeciwgazowe. Ci, którzy byli nowicjuszami, starali się uciec jak najdalej od niebezpieczeństwa i to wśród nich właśnie gaz zbierał największe żniwo. Byli jeszcze inni, tacy, którzy nie zdawali sobie sprawy z grozy sytuacji, bo nie słyszeli głośnych ostrzeżeń i nawoływań kamratów. Tak właśnie musiało być z gońcem, który podczas artyleryjskiego ataku prznosił rozkazy z dowództwa odcinka na wysunięte pozycje. Ostrzał artyleryjski musiał zaskoczyć go w połowie dystansu. Zresztą podobnie jak prawie trzydziestu innych, młodych żołnierzy z uzupełnień, którzy mieli dołączyć do kompanii dowodzonej przez Antona. Właśnie Antona, a nie Antoniego Fischera. Tego niemieckiego imienia używał w armii bynajmniej nie dlatego, by upodobnić się do swoich niemieckich towarzyszy broni. On zwyczajnie nie lubił tłumaczyć, skąd to polskie imię przy niemieckim

nazwisku, albo skąd nazwisko niemieckie u Polaka. Wolał, żeby traktowali go jak jednego ze swoich i nie zadawali niepotrzebnych pytań.

Lekki wietrzyk wiał od strony nieprzyjacielskich pozycji, niosąc ze sobą smród rozkładających się ciał, błota i gównien. Poranek był pochmurny, choć dotąd nie spadła jeszcze na ziemię ani jedna kropla deszczu. To tylko kwestia czasu – pomyślał, spoglądając na przedpole przed okopem zryte tonami armatnich pocisków, które swoim wyglądem przypominało krajobraz księżycowy. Kilkaset metrów przed nim ciągnęła się linia francuskich okopów, poprzedzona trzema rzędami rozciągniętych na kozłach drutów kolczastych. Jak okiem sięgnąć, dokoła nigdzie nie było widać żadnego drzewa. Wszystkie już dawno zmiotły artyleryjskie salwy. Patrząc na krajobraz nie z tej ziemi, przypominał sobie nagle Poznań i nabrzmiące o tej porze roku kasztany, które wraz z kolegami strącał z drzew. Ale kije, nawet te najgrubsze, ciskane wprost w zielone korony kasztanowców nie czyniły im najmniejszych szkód. Wraz z kasztanami opadały na chodnik tylko liście, które i tak skazane były na uschnięcie. Tutaj po liściach i drzewach nie było śladu. Ciekawe, czy kiedykolwiek jeszcze odrosną? – zastanawiał się, bacznie lustrując przez lornetkę przedpole i linie wrogich okopów. W pewnej chwili coś zwróciło jego uwagę. Coś, a właściwie czegoś brak. Codziennie rano, gdy spoglądał w tamtym kierunku, zawsze dawało się dostrzec jakiś, choćby minimalny ruch. Czy to refleks słoneczny odbity od szkieł lornetki obserwatora, czy choćby pojawiający się i znikający zaraz grzebień francuskiego hełmu. Tym razem nic tam się nie działo. Tak, jakby wszystko po drugiej stronie kompletnie wymarło. Czyżby Francuzi się wycofali? – zaczął gorączkowo analizować sytuację. Spojrzał za siebie. Poniżej drabinki, na której stał, kręcili się żołnierze z menażkami w dłoniach. Rozlewano właśnie kawę z termosów, które przed

chwilą przyniosło dwóch gońców. Gońca z rozkazami z dowództwa odcinka nigdzie nie było widać. Francuzów też nie było. Zszedł z drabinki i gestem przywołał Oberfeldwebela Mellera, wielkiego jak kłoda drewna, ciągle uśmiechniętego Bawarczyka.

– Goniec dotarł? – zapytał podoficera.

– Melduję, że jeszcze nie. Pewnie czeka na przepisanie rozkazów, panie Leutnancie.

– Późno już – stwierdził, spoglądając na swój zegarek, przytwierdzony łańcuszkiem do guzika kieszeni na piersi.

– Dojdzie na czas. Cisza taka, że trafi.

– Właśnie ta cisza jest dziwna, nie uważacie?

– Francuzów jakby wymiotło – stwierdził zadowolony Bawarczyk. – Może zeszli z linii, a ich zmiana jeszcze nie zajęła miejsc... – W tym momencie zamilkł, bo chyba sam zrozumiał, że powiedział coś kompletnie idiotycznego. Zmiana, czy to u Francuzów, czy też u Niemców, mogła się przecież dokonać dopiero wówczas, gdy zmiennicy pojawili się w okopie. Nie mogło być tak, żeby pozycja choć na chwilę nie była obsadzona. Chyba że... – Chyba że się wycofali – rzucił tonem usprawiedliwienia z jednoczesnym błyskiem w oku.

Jeśli się wycofali po cichu, to mogło oznaczać, że dałoby się zająć ich pozycje bez jednego wystrzału. Obaj zrozumieli to natychmiast. Pokusa była ogromna, bo dzięki temu własne linie można było przesunąć kilkaset metrów do przodu, a kto wie, może i jeszcze dalej? Trzeba by więc tam posłać szybko kilku zwiadowców, żeby sprawdzili, czy nie jest to jakaś pułapka... Właśnie, pułapka. Anton przypomniał sobie ten fatalny atak, kiedy kilka miesięcy temu wpadli do pustych nieprzyjacielskich okopów, a gdy przekonani o zwycięstwie zaczęli się już tam rozlokowywać, spadł na nich grad artyleryjskich pocisków wymierzonych dokładnie w to miejsce. Wtedy o mało nie stracił swojego najlepszego przyjaciela, Carla. I w tym momencie nagle

zrozumiał, co się dzieje. Francuzi uciekli, bo to, co nastąpi za moment, mogłoby się obrócić przeciwko nim samym.

– Cholera jasna! – warknął. – To gaz! Zaraz się zacznie atak gazowy!

Podoficerowi, staremu frontowemu wydze, nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

– Atak gazowy! Podać po linii! Gaz! – Wydarł się co sił, jednocześnie wyszarpując z torby swoją maskę.

Anton, nim założył swoją, zobaczył jeszcze, jak żołnierze, którzy mieli już sporo doświadczenia, natychmiast rzucają kubki z kawą i błyskawicznie zakładają maski. Ci bez znajomości rzeczy, a takich w okopie było całkiem sporo, spoglądają na swoich starszych towarzyszy ze zdziwieniem. Dopiero poganiani przez podoficerów, którzy znają się na swojej robocie, powoli i nieporadnie zakładają maski na twarze, złorzecząc wszystkim i wszystkiemu, że przerwano im poranny posiłek. Po chwili wszyscy zalegają na dnie okopu. Mijają sekundy, które przechodzą w minuty. Nic się nie dzieje. Kompletna cisza. Oczy zza okrągłych szyb masek gazowych spoglądają na niego z niemym pytaniem, ale większość z wyrzutem. Tyle kawy się zmarnowało! Chleb wpadł w błoto, bo ten młody idiota coś sobie wymyślił. Może rzeczywiście się wygłupił? Wpadł niepotrzebnie w panikę i nie wytrzymał nerwowo? – myśli. I wtedy pierwszy pocisk z gwizdem ląduje tuż za ich okopem. Wybuch jest minimalny. Coś jak zdrowe pierdnięcie podoficera po dobrej grochówce. Potem kolejne pociski lądują dookoła. Jest ich coraz więcej, a wszystko zaczyna spowijać musztardowa poświata.

Nagle przypomina sobie o uzupełnieniu. Mieli mu przysłać trzydziestu młodych chłopaków z uzupełnienia. Powinni już być w drodze. Jeśli wyruszyli o czasie, mogą być w rowie łącznikowym prowadzącym z tyłów do okopu, w którym teraz siedzą jego ludzie. Nie ma czasu do stracenia. Zrywa się na

równe nogi i rusza wprost do rowu, nad którym przed chwilą rozerwał się pocisk z gazem. Przebiega krótki dystans w lepkiej chmurze i po chwili jest już w szerszej transzei. Trzydziestu chłopaków siedzi pod ścianami jak na ćwiczeniach. Wszyscy mają na twarzach maski przeciwgazowe, na głowach hełmy, a na ramionach i karkach pałatki. Spostrzega podoficera i klęka tuż przy nim. Potem klepie go w ramię z uznaniem. Naraz, gdzieś z głębi okopu, słychać krzyk. Nie ma czasu na zastanawianie się. Podrywa się w górę i biegnie. Słyszy za sobą świszający oddech wydobywający się z maski. To biegnie za nim ten podoficer. Dziesięć metrów w głębi okopu leży żołnierz. Anton poznaje go. To goniec, na którego czekał. Krzyczy, a właściwie wyje. Bliski wybuch przysypał go do połowy. Ma przywalone nogi i pas. Rozpaczliwie próbuje się odkopać, żeby dostać się do maski. Dopadają do niego obaj. Niewiele myśląc, Anton ściąga swoją maskę i zakłada mu na twarz. Wstrzymując oddech szuka jego torby. Wreszcie się do niej dokopują. Podoficer pomaga mu ją założyć. Może wreszcie odetchnąć. Spogląda na tego, który mu pomógł. Widzi tylko oczy, ale mógłby przysiąc, że maska skrywa jego szeroki, zadowolony uśmiech. Goniec nadal kaszle, ale może już złapać oddech.

– Już dobrze – mówi Anton do niego. – Za chwilę odprowadzą was na punkt opatrunkowy. Odpoczniecie trochę.

– Dziękuję, panie Leutnancie.

– Nie ma o czym mówić. Gdzie macie kopertę z rozkazami?

Goniec wyciąga zza pazuchy duży pakiet w drelichowej owijce.

– Jest o czym mówić. Dziękuję. Nie zapomnę nigdy tego, co pan zrobił. Dał mi pan swoją maskę... khy, khy...

– Nie gadajcie tyle, Hytler, bo się wam pogorszy.

– Nie Hytler – poprawia go, krzywiąc się goniec. – Hitler, Adolf Hitler.

Dwie godziny później, gdy wiatr rozwiął ostatnie gazowe mgiełki, żołnierze powoli odważają się ściągnąć maski.

Powietrze jest czyste i rześkie. Francuzi nie ruszyli do ataku, zapewne obawiając się skutków własnego ostrzału. W okopie Anton odszukuje podoficera, który tak dobrze się sprawił ze swoimi chłopakami.

– Dobrze się spisaliście.

– Tak jest, panie Leutnancie. – Feldwebel uśmiecha się zadowolony.

– Jak się nazywacie?

– Anastazy Olkiewicz.

– Polak?

– Ano Polak. Polak z Poznania – dodaje cicho po polsku podoficer i kiwa głową.

– To całkiem tak jak ja – mówi po polsku Fischer.

Olkiewicz uśmiecha się szeroko.

– A z tym gońcem – tłumaczy poznaniak – to wszystko dobrze, ino chyba oślypnął nieborak.

Na schodach starego arsenału przysiadła baba w chustce i czarnej bufiastej spódnicy. Przed sobą postawiła dwa plecione kosze pełne jajek. Nie minęło nawet pięć sekund, gdy koło niej pojawił się policjant. Zaczął wymachiwać groźnie rękami, pewnie tłumacząc jej, że tu handel zabroniony. Kobieta wstała, splunęła pod nogi i zabrawszy koszyki, ruszyła w kierunku Posenerstraße. Zadowolony policjant odprowadził ją jeszcze groźnym spojrzeniem, a potem spokojnym krokiem poszedł dalej.

– Myślisz, że on w ogóle mnie jeszcze pamięta? – zapytał Fischer.

– Co do tego, możesz być spokojny – odpowiedział mu z zapalem Carl. – Przecież gdyby nie ty, gońca Hitlera w ogóle nie byłoby wśród żywych.

Poznań

Godzina 2.00 po południu

Żeliwny garnek z parującymi ziemniakami z trzaskiem opadł na drewnianą deskę do krojenia. Tolek uśmiechnął się pod wąsem, ale nie skomentował tego głośnego przejawu niezadowolenia. Kryśka nic nie mówiła, tylko trzaskała garami. Talerze na blacie też ustawiała z niemiłosiernym hałasem. Zawsze tak było, jak się złościła. Dziewięcioletni Stefek popatrzył na ojca i też się uśmiechnął, a Tolek odpowiedział mu mrugnięciem oka. Za to sześciolatnia Julka spojrzała na ojca nadaśana. Taka sama jak matka – pomyślał zadowolony, wpatrując się w śliczną, okrągłą buźkę otoczoną jasnymi lokami. Jakby kto skórę zdjął z Kryśki.

– A jak wrócę z tych Niemiec, to pójdziemy na ryby, co Stefek?

Chłopak zrobił wielkie oczy. Lubił te wyprawy z ojcem nad Wartę, bo wtedy mogli być ze sobą zupełnie sami i mimo że na rybach trzeba było być cicho, oni tą ciszą niewiele się przejmowali. Takie chwile trzeba było wykorzystywać na męskie rozmowy. Dlatego efekty ich wędkarskich poczynąń zazwyczaj okazywały się mizerne, ale za to rozmowy, które prowadzili ze sobą, stanowiły dla chłopaka prawdziwą szkołę życia. Ostatnio na przykład Tolek opowiadał mu, po raz niewiadomo który, jak to wykradł ich matkę z klasztoru i zabrał ją do swojego mieszkania. Tłumaczył, że Kryśka jako młoda dziewczyna chciała ślubować Bogu, ale na jej drodze pojawił się on i odtąd już oboje wiedzieli, że bez siebie nie mogą żyć. Dlatego Tolek pewnej nocy przystawił drabinę do zakonnego muru, przelaźł przez niego i wykradł ją śpiącą z celi. Gdy się obudziła, zobaczyła, że już nie w klasztorze, ale w jego skromnym mieszkaniu leży, na łóżku, cała obsypana różami. No i co miała zrobić? Musiała z nim zostać.

Wszyscy w domu lubili tę historię, a mama, nie wiedzieć

czemu, zawsze przy niej płakała. Ale też przyznać trzeba, że opowieść była sprawdzonym antidotum na wszystkie domowe problemy. Stefek bezbłędnie wyczuł, że w tej chwili może się przydać.

– Tatko, a ile tych róż było?

– Jakich róż?

– No tych, co je tatko wysypał mamusi na łóżko. – Julka natychmiast zorientowała się, w czym rzecz.

– A bo ja wiem? Pewnie ze sto mogło być.

– A skąd je tatko wziął? – drażył Stefek.

– No jak skąd? Z ogrodu przecie są róże.

– A kiedy my nie mamy ogrodu – stwierdziła dziewczynka.

– A bo ja to pamiętam, z jakiego ogrodu były róże? Może mamusia pamięta.

– Mamusia, z jakiego ogrodu były róże, co je tatuś dla ciebie przyniósł do domu?

Kryśka odwróciła się od pieca z patelnią pełną skwarków i podeszła do stołu. Natychmiast cała trójka zauważyła, że oczy jej zwilgotniały.

– A co to, żeście jeszcze se pyrków nie nałożyli? No dalej, bo skrzyczki już naszykowane.

Ojciec szybko nałożył ziemniaki na talerze, a ona omaściła je solidną porcją skwarków.

– To z jakiego ogrodu te róże? – Julka nie dawała za wygraną.

– Z ogrodu klasztornego, ma się rozumieć – wyjaśnił w końcu Tolek. – Po drodze, jakem już przelazł przez ten mur, to patrzę, a tam krzak róży wielki jak dorosły chłop. No tom narwał płatków róży i wsadził do kieszeni, żeby nasza mamusia, jak się przebudzi, poczuła się jak w niebie.

Kryśka siadła do stołu, ocierając wierzchem dłoni łzy spływające jej po policzkach. Zawsze płakała, gdy przypominała jej się ta pierwsza wspólna noc i to wszystko, co dla niej wtedy zrobił.

Kryśka leżała na łóżku zwinięta w kłębek i cała się trzęsła. Po jej posiniaczonych policzkach spływały łzy. Biała pościel była pomięta i zakrwawiona. Sukienka, ta w kwiatki, którą założyła specjalnie dla Tolka, żeby zrobić na nim jak najlepsze wrażenie, leżała rozdarta na podłodze. Ale Kryśka nie myślała wcale o tej sukience. Myślała o tym, co zrobi Tolek, jak wróci do domu. Myśli przelatywały jej przez głowę z prędkością wystrzałów z karabinu maszynowego, ale żadna nie zatrzymywała się na dłużej. Wpadały i wylatywały, bo nie pozwalał im się tam zagnieżdżyć potworny strach. Bała się, że to, co miała przez tych kilka chwil, to największe szczęście jej życia, zaraz pęknie jak bańka mydlana. Bo co zrobi Tolek, jak przyjdzie i taką ją zobaczy? Przecież on może powiedzieć, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. A jeszcze kilka godzin temu była taka szczęśliwa. Teraz powoli zapadała się w czarną otchłań rozpacz.

Gdy rano Tolek wyszedł z domu, zaraz zabrała się do roboty. Wysprzątała cały pokój, dokładnie wyszorowała podłogę, a potem zupełnie sama zsunęła ze sobą dwa łóżka. W ten sposób powstało coś na kształt łoża małżeńskiego, choć to łóżko po Jadźce, jej przyjaciółce i współlokatorce, którą jakiś drań zaszlachtował na moście Chwaliszewskim, było nieco niższe od jej łóżka. No, ale w końcu co to za problem? Ona będzie spała na swoim, Tolek na tym drugim, i będzie im wygodnie, a gdy będą się chcieli przytulić, to ona przejdzie do niego albo on do niej. Pościel wyszła na strychu, więc świeże i pachnące prześcieradła nałożyła na sienniki, a poszwy naciągnęła na koce. Teraz oba pościelone łóżka prezentowały się całkiem przyzwoicie i Kryśka byłaby całkowicie usatysfakcjonowana, gdyby ta pościel była choć wyprasowana, bo o krochmaleniu i maglowaniu zwyczajnie nie mogła nawet pomyśleć. W maglu na Chwaliszewie za jedną poszwę brali aż

dwieście pięćdziesiąt tysięcy, czyli tyle, ile za ćwiartkę chleba. Wolała wydać na chleb i spać w pogniecionej pościeli. Może w przyszłości, gdy przeprowadzą się już do nowego mieszkania, namówi Tolka, żeby kupił żelazko, to wtedy mogłaby pranie prasować sama. Ale na razie nie było o czym gadać. Nawet jakby miała żelazko, to i tak nie miała pieca, żeby rozgrzać duszę. Na takie luksusy musiała więc jeszcze poczekać. Tolek powiedział, że da się coś zrobić z tym większym mieszkaniem, i dlatego była przekonana, że tak będzie. Jak on już sobie co postanowił, to musiał to przeprowadzić do końca. Taki już był z niego człowiek. Wcale nie myślała o związku z jakimś mężczyzną, choć po cichu, w głębi serca zawsze o czymś takim marzyła. No i teraz te jej marzenia się całkiem niespodziewanie ziściły. Postanowiła sobie, że zrobi wszystko, żeby go nie zawieść i żeby on nigdy nie nabrał chęci, żeby ją zostawić. Zastanawiała się tylko, co jeszcze może zrobić? To, że będzie mu gotować, gdy już się przeprowadzą, to było coś, co powinno go z nią bardziej związać. Bo który chłop oprze się ciepłemu obiadowi podanemu codziennie na czystym obrusie? Ale może potrzeba czegoś jeszcze? Może powinna pomyśleć o dzieciaku? W końcu gdyby Tolek został ojcem, to już na pewno nie zostawiłby jej i dziecka. Byliby związani na całe życie. No, ale z tym to chyba jednak trzeba będzie trochę poczekać. Może jakie dwa miesiące wystarczą? Ten czas był potrzebny, żeby potem Tolek nie miał żadnych wątpliwości, że to jego dzieciak. Bo jakby teraz zaszła, to później zawsze mógłby się zastanawiać, czy to on jest ojcem, czy to pamiątka po jakimś jej kliencie.

W pewnej chwili usłyszała kroki na schodach. Czyżby Tolek już wrócił? Nie miała zegarka, więc nie wiedziała, która może być godzina. Może załatwił sprawy szybciej, niż planował, i popędził do niej? Uśmiechnęła się na myśl o tym, że już za chwilę rzuci mu się w ramiona. Wstała więc z krzesła i podeszła

do drzwi. Kroki ucichły. Szybko przekręciła klucz od środka i pociągnęła za klamkę. Uśmiech momentalnie zniknął jej z twarzy. Przed nią stał policjant, który kilka dni temu ją przesłuchiwał w sprawie śmierci Jadźki. Ten sam, który ją pobił podczas przesłuchania, a wcześniej był jej klientem. Dziś był ubrany tak jak wtedy, gdy podszedł do niej na ulicy, w garnitur, a nie w policyjny mundur.

– Musimy pogadać – powiedział, gdy ją zobaczył, i bez pytania wszedł do środka. Ruszyła za nim, żeby mu wyjaśnić, że nie ma nic do powiedzenia i żeby wreszcie dał jej spokój, bo przecież ona niczego nie zrobiła.

Gliniarz tymczasem wszedł do pokoju i zajął miejsce przy stole. Ona stanęła w drzwiach prowadzących z niewielkiego korytarzyka, oparła się o framugę i założywszy ręce na piersi, zaczęła mu się badawczo przyglądać. Chciała wyglądać hardo i stanowczo, ale czy przy jej drobniutkiej budowie i niemal dziewczęcej twarzy to się mogło udać? Wyglądała raczej jak rozkapryszona pannica. Policjant spojrzał na nią, a potem lubieżnie się uśmiechnął.

– Czego pan chce? – bąknęła przestraszona.

– Pogadać – odpowiedział i wydobył z kieszeni marynarki paczkę egipskich. Wyciągnął jednego papierosa i włożył do ust. Przez chwilę szukał po kieszeniach zapalek. Nie śpieszył się jednak. W końcu natrafił na pudełko i przypalił papierosa. Niewielki pokój wypełnił się tytoniowym aromatem. Kryśka przeszła przez pokój i demonstracyjnie otworzyła okno.

– Widzisz, Krysiu, świat jest okrutny, bo tak już jest na tym świecie, że nie ma nic za darmo. Nikt nie da ci nic do jedzenia za nic i nikt też nie da ci dachu nad głową za nic. Za wszystko trzeba płacić i ja to dobrze wiem. Ale jestem też człowiekiem poważnym i na stanowisku i nie mogę sobie pozwolić na chodzenie na panienki i na branie ich z ulicy, bo w końcu ktoś mnie zobaczy i będą nieprzyjemności. No więc dlatego sobie

myślę, że dobrze by było, żebyś miała swojego opiekuna. Taki opiekun jak ja bardzo by ci się przydał.

– Ja nie potrzebuje żadnego opiekuna – rzuciła opryskliwym tonem, ale to go wcale nie zniechęciło.

– Ty mnie chyba nie rozumiałaś, Krysiu. Ja nie chcę być twoim opiekunem w charakterze alfonsa.

– Ino co?

– Myślę o tym, żebyś została moją kobietą, którą ja się będę opiekował. Mogę ci płacić co miesiąc, tak żeby starczyło ci na dostatnie życie, ale pod jednym warunkiem. Będę twoim jedynym klientem. Nie lubię konkurencji. No, co o tym myślisz, Krysiu?

Popatrzyła na niego zdumiona. Ten człowiek proponował jej ni mniej, ni więcej, tylko żeby została jego utrzymanką. Kiedyś myślała o takim układzie i był to dla niej nieosiągalny szczyt marzeń: mieć tylko jednego kochanka i nie martwić się o nic, i nie musieć wystawać w świętek – piątek na ulicy i zaczepiać podpitych facetów. No, ale to było kiedyś. Teraz jej życie całkowicie się zmieniło. Teraz już nie była dziewczynką z ulicy. Teraz była porządną dziewczyną, która ma już swojego mężczyznę.

– Ja nie mogę. Ja już nie robię na ulicy. Jestem z kimś. My mieszkamy razem. On pracuje, a ja jestem w domu.

– No to trudno...

– Jak pan chce, to ja panu znajdę porządną dziewczynę. Tyle jest dziewczyn, które...

– No, trudno. Jak chcesz.

Wstał z krzesła. Była przekonana, że chce wyjść, więc ruszyła od okna w kierunku drzwi, by go wypuścić. Nagle zrobił krok naprzód i zastąpił jej drogę. Cofnęła się odruchowo, on jednak był szybki. Przypadł do niej, złapał ją w pól, podniósł w górę i z impetem rzucił na łóżko. Nim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, już siedział na niej okrakiem. Próbowwała się wyrwać, ale

był za ciężki. Złapał ją za ręce, a potem, pochyliwszy się nad nią, powiedział cicho:

– Ze mną tak nie można się bawić, mała kurewko. Co ty sobie myślisz, że mi można odmówić? Jeśli mówię, że jesteś moja, to tak jest i koniec. Żadne inne dziwki mnie nie interesują.

– Nie, proszę, ja nie mogę, ja mam...

– Gównu mnie to obchodzi!

Puścił jej lewą rękę i z rozmachem uderzył w twarz. Natychmiast to wykorzystała i przejechała mu paznokciami po policzku. To go doprowadziło do szewskiej pasji. Okładał ją, gdzie popadnie. Czuła, że traci siły. Ból paraliżował jej ruchy. A on chyba wyczuł słabnącą wolę walki, bo złapał ją i zaczął odwracać na brzuch. W tym momencie jeszcze raz udało jej się sięgnąć dłonią jego twarzy, ale on jakby tego nie zauważył. Zdarł z niej sukienkę i rzucił na podłogę. Głowę wcisnął jej w poduszkę, tak że nie mogła wydać z siebie głosu. Potem zdarł z niej majtki i zaraz wbił się w nią brutalnie. Poczwała, jakby coś rozrywało ją od środka. Chciała krzyczeć, ale nie mogła wydusić z siebie słowa, a on wbijał się w nią coraz mocniej i coraz szybciej. Atakował ją w jakimś dzikim szale, a ból z dołu promieniował na całe ciało. Nagle wszystko ustało. Opadł na nią zdyszany. W końcu podniósł się i zszedł z łóżka. Słyszała, jak sapie nad nią, pewnie podciągając spodnie.

– Jutro znów przyjdę i masz być gotowa, dziwko.

Kroki na skrzypiącej podłodze i za chwilę trzaśnięcie drzwiami. Ale ona już tego nie słyszała. Zapadła się w jakąś głęboką otchłań, w której nie było niczego materialnego. Wszędzie dokoła było ciemno. I w tej ciemności usłyszała ten jedyne na świecie głos swojego mężczyzny.

– Kto ci to zrobił, Krychna?

Otworzyła oczy. Po jego twarzy płynęły łzy.

– Kto ci to zrobił, kochana?

– Policjant – powiedziała łamiącym się głosem.

– Zabiję skurwysyna. Na Boga przysięgam, że go zabiję jak psa.

– Nie zostawiaj mnie. Proszę.

– Nigdy cię nie zostawię.

Zamknęła oczy. Znów było ciemno. Ale teraz już ta ciemność nie była taka zimna. Krysia czuła, że jej ukochany jest w pobliżu.

Odtąd był już zawsze. I były też dzieci. Dlatego nie lubiła, kiedy mówił, że wyjeżdża. Zwyczajnie bała się, że może już nie wrócić. A ten policjant? Tolek dotrzymał słowa. Nigdy więcej się nie pojawił.

– To dużo było tych róż, mamusia? – dopytywała Julka.

– Całe łóżko było nimi usłane – odparła, patrząc na Tolka.

– Najwyżej tydzień i wracam do was, Krychna. – Tolek złapał jej rękę, przysunął sobie do ust i pocałował.

Poczuła, że mówi prawdę i na pewno wróci.

Schneidemühl

Godzina 2.30 po południu

Huber patrzył w kierunku pomalowanego na żółty kolor budynku dworca kolejowego i unoszące się ponad peronami kłęby pary. Tam przy peronie drugim stała jego Berta, bo tak pieśczośliwie nazywał swoją lokomotywę. Kiedy pierwszy raz wsiadł na nią dziesięć lat temu, od razu nazwał ją w myślach Helga, bo takie imię nosiła jego żona. Dziś po raz pierwszy od tych dziesięciu lat lokomotywa odjeżdżała z dworca bez niego. I wcale nie z jego winy. On był gotowy i mógł jechać, ale Wachtmeister Schwartz, policjant z komisariatu dworcowego, uparł się, że nigdzie nie pojedzie.

– Ani se nie myśl, że pojedziesz – powiedział do niego kilkadziesiąt minut temu, gdy przyszedł, wezwany do zastrzelonego w kiblu pomocnika maszynisty. Pochodził wokół wychodka, pomruczał coś pod nosem, a potem, przymknąwszy drzwi, powiedział do Kurta, który cały okrwawiony siedział na schodkach w samych gaciach, żeby poszedł gdzie się obmyć, bo wygląda jak nieboskie stworzenie.

– Ale pociąg odchodzi o pierwszej czterdzieści osiem – próbował walczyć o swoje Huber.

– Odjedzie punktualnie, nic się nie martw. Kogoś tam znajdują za ciebie.

No i oczywiście wcale punktualnie nie odjechał. Wsadzili na tę lokomotywę tego piegowatego rudzielca Haasa, który był zaledwie pomocnikiem maszynisty, a nie prawdziwym maszynistą. No i widać teraz efekt. Dwadzieścia minut po czasie, a pociąg nie odjechał. Gdyby mógł, Huber pobiegłby tam, dał temu rudzielcowi kopa w dupę i pojechałby przed siebie. Na trasie nawet nadrobiłby te dwadzieścia minut. A tak, szkoda gadać! Cały rozkład jazdy na tym ucierpi. No, ale co było robić? Policja kazała stać i czekać, no to musiał wykonać polecenie. W końcu kolej tak jak wojsko – na rozkazie stoi.

– To jest właśnie maszynista Huber – powiedział policjant Schwartz za jego plecami. Odwrócił się. Przed nim stał wysoki, postawny Hauptmann policji. Tuż przy nim zupełnie młody, z tych, którzy jeszcze nie używają brzytwy, Leutnant.

– Wyście znaleźli ciało? – zapytał Hauptmann, nawet się nie przedstawiwszy. Władza nie musiała być grzeczna, ale skuteczna.

– Melduję, że ja właśnie, panie Hauptmannie.

– Dobra, pogadamy – zdecydował oficer. – A pan – zwrócił się do Leutnanta – niech obejrzy wszystko dokładnie pod kątem zostawionych śladów.

Chłopak zasalutował i ruszył w kierunku wychodka.

– Gdzie jest jakieś pomieszczenie, w którym można spokojnie porozmawiać? – zapytał oficer.

– Najlepiej to będzie na posterunku, panie Hauptmannie – wyjaśnił Wachtmeister, wskazując jednocześnie budynek dworca, tak jakby nikt z obecnych nie wiedział, gdzie to jest.

Pięć minut później Carl Aschmutat rozsiadł się za służbowym biurkiem pokoju przesłuchań na kolejowym posterunku. Zakratowane okno wychodziło na pierwszy peron, po którym przechadzali się podróżni. Między nimi uwijali się sprzedawcy gazet i papierosów na sztuki. Carl pomyślał, że chętnie by zapalił, ale nie miał co, bo mu się papierosy skończyły. A przecież nie mógł, ot tak, zostawić świadka i pójść sobie na zakupy. Najpierw trzeba było z nim pogadać. Palenie musi zaczekać. Sprawa morderstwa miała bezwzględnie pierwszeństwo. Dlatego sam przyszedł na dworzec, nie wyręczając się Frankiem. Gdy usłyszał od podoficera służbowego, że mają na stacji zastrzelonego kolejarza, natychmiast zareagował. Porwał czapkę z wieszaka i zabrawszy ze sobą nowego podwładnego, pognął na dworzec. Zastrzelony kolejarz – myślał gorączkowo, przemierzając Danziger Platz – to nie mógł być przypadek. Za dużo tych wypadków z zastrzelonymi ludźmi w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin. Jeśli okaże się, że kolejarz był aktywnym członkiem KPD albo NSDAP, to znaczy, że partyjne porachunki nadal trwają w najlepsze, mimo zamknięcia szefów partyjnych struktur. Jeśli to jest prawda, to trzeba by było wsadzić wszystkich najważniejszych działaczy partii. Ale w obliczu wizyty Hitlera to raczej niemożliwe. Więc może trzeba będzie pozamykać wszystkich ważnych komunistów. Może jakieś trzydzieści osób. Tylko że zamknięcie w areszcie czerwonych będzie oznaczało, że policja jest po stronie faszystów. A pieprzyć ich wszystkich! – Zżymał się w myślach.

– Ten zastrzelony to jak się nazywał? – zapytał maszynistę,

który usiadł na krawędzi stołka naprzeciw biurka. Kolejarz w milczeniu wpatrywał się w plakat wiszący na ścianie za plecami policjanta, na którym namalowano piękną lśniącą lokomotywę, a napis głosił: „Koleje niemieckie zawsze na czas”. Wyrwany z zamyślenia maszynista spojrzął na policjanta.

– Willy Beck, znaczy się Wilhelm Beck, pomocnik maszynisty, lat trzydzieści trzy, zamieszkały przy Schmiedestraße.

– W tym wieku jeszcze pomocnik, a nie maszynista? – zdziwił się Aschmutat.

– Już się nadawał na maszynistę, bo wyuczony był jak trzeba, ale na kolei jest tak, że maszynistą się zostaje, kiedy się parowóz zwalnia albo dochodzi nowe połączenie. Willy czekał i pewnie niedługo byłby na swoim, gdyby nie...

Huber spuścił wzrok i przez chwilę wpatrywał się w swoje wyglancowane, czarne, kolejarskie buty.

– Czy miał jakichś wrogów?

– Skąd? To był taki człowiek, że zawsze każdemu służył pomocą. Taki bardzo uczynny.

– Uczynni też mogą się komuś narazić.

– Nie on, panie Hauptmannie. To był naprawdę dobry człowiek.

– A czy ten dobry człowiek należał do jakiejś organizacji? Myślę tu o partii politycznej. Czy był działaczem jakiejś partii?

Huber podniósł wzrok i popatrzył na oficera.

– Panie Hauptmannie, jak się jest kolejarzem, co jeździ na lokomotywie, to człowiek nie ma czasu na głupoty. Do żadnej partii nie należał. Nie było kiedy.

– Ale chyba miał jakieś poglądy.

– Każdy ma poglądy. Tylko krowa ich nie ma.

– A jego jakie były?

– Takie bardziej socjalne. To znaczy się socjalistyczne, chyba.

– Był komunistą?

– Nie, raczej socjalistą.

– A na wojnie walczył?

– Jak każdy, znaczy walczył we Francji. Ale dopiero w osiemnastym, pod sam koniec, bo za młody był wcześniej.

– A z tym jego socjalizmem to gdzie mu było bliżej: do narodowego socjalizmu czy komunizmu? – pytał nieustrudzenie Hauptmann.

– Chyba raczej do komunistów. Często mówił, że wszyscy ludzie pracy powinni mieć równe szanse, i takie tam, ale o Związku Sowieckim to niewiele gadał. On z tej polityki to wyrósł raczej. Jego bardziej interesowała rodzina, a nie polityka.

– Wyrósł? Co chcecie przez to powiedzieć?

Huber przez chwilę zbierał myśli.

– On, zaraz po wojnie, jak wrócił do domu, do Schneidemühl, to zaplątał się w tę Radę Robotniczo-Żołnierską. Ale na krótko. Jak zdjął mundur, to już więcej się w to nie bawił. Było, minęło i koniec. Tak mi opowiadał, że ma już dość tych wszystkich politycznych spraw, bo one tylko do nieszczęścia prowadzą.

Teraz zamilkł Hauptmann, uważnie przyglądając się Huberowi. A więc jednak coś było na rzeczy. Rada Robotniczo-Żołnierska to przecież nic innego jak bolszewicka agenda w armii.

– Więc zaraz po wojnie był w tych radach? – zapytał Aschmutat, chcąc się upewnić.

– Tak, opowiadał mi nawet, że działał w radzie, ale później, tak nawet z dnia na dzień, rzucił to wszystko. Powiadał, że zdjął tę czerwoną opaskę, rzucił karabin, zdjął mundur i się zarzekał, że już więcej go nigdy nie przyodzieje.

– To znaczy, że zdezerterował?

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie maszynista. – On w tej radzie był, jak już wrócił z wojska, zdemobilizowany. Pamięta pan, że wszyscy jeszcze wtedy długo chodzili odziani w mundury, a przy tych żołnierskich radach kręciło się sporo takich, co już

wyszli z wojska. On właśnie był taki. Chciał budować nowe porządki, ale potem mu się odmieniło i został uczciwym człowiekiem. Takim, że złego słowa o nim nie można powiedzieć.

– A mówił dokładnie, co się stało, że przestał się udzielać?

– Nie. Nigdy o tym nie mówił, ale musiało to być coś takiego, co mocno nim wstrząsnęło. To widać było po nim, że wtedy coś się wydarzyło, albo jak. Musiał się z kimś mocno pokłócić. Pewnie z tym swoim kuzynem komunistą, co on z nim nie chciał gadać. On też był w tej radzie.

Aschmutat powoli wyciągnął z kieszeni mundurowej bluzy niewielki notes i rozłożył go na odrapanym i poplamionym atramentem blacie biurka. Otworzył zeszyt i wydobył ze środka przytwierdzony na gumkę ołówek.

– Powiadacie, że kuzyn jego był komunistą, a on sam działał w Radzie Robotniczo-Żołnierskiej?

– Działał, tak jak mówiłem, a ten kuzyn to nie tylko był, ale i komunistą jest dalej. Wszyscy jego w mieście znają, że jest komunistą. Ja jego też znam. Nie, żeby osobiście znać i piwo z nim pić. Ja jego znam, bo on kilka razy przychodził do Willy'ego. Ale on był twardy i zawsze jego zbywał. Nie chciał dać się w nic wciągnąć.

– A jak się nazywa ten komunistą, znaczy ten kuzyn?

– No to jest ten krzykacz, Max Wargatsch.

Carl zanotował imię i nazwisko kuzyna. Zupełnie niepotrzebnie, bo przecież znał je bardzo dobrze. To ten komunistą, którego ciało wyłowiono z rzeki. W tej chwili miał więc już kolejnego komunistę do kompletu. Tyle, że ten ostatni, kolejarz Willy Beck, nijak do tej układanki nie pasował. Bo Wargatsch i zastrzelony we własnym mieszkaniu Jung byli czynnymi działaczami partii. Ale kolejarz, jeśli wierzyć maszynieście, nie miał w tej chwili z komunistami nic wspólnego. Dlaczego więc komuś zależało na tym, żeby się go

pozbyć? Trzeba by najpierw sprawdzić, czy rzeczywiście zastrzelony kolejarz nie był czynnym działaczem. Tylko po jaką cholere miałby się konspirować? Trzeba to będzie sprawdzić jak najszybciej. A odpowiedź na to pytanie można znaleźć zapewne w areszcie policyjnym. Tam bowiem siedzi członek kierownictwa KPD w mieście, niejaki Oskar Wittmann. Jeśli ktoś może coś wiedzieć na temat tego Willy'ego Becka, to jest to na pewno on.

– O, kolejny spóźniony – odezwał się nagle Huber, wrywając policjanta z zamyślenia.

– Że niby co?

– To jest, panie, z tymi pociągami tak jak z domkiem z kart. – Mówiąc to, wskazał skinieniem głowy na okno, za którym było widać wagony wtaczającego się na peron pociągu osobowego. – Jak się jedną kartę wyjmie, to wszystkie lecą. Jeden pociąg nie wyjedzie o czasie, to kolejne mają potem spóźnienie. Wszystko się wali, panie, jak ten domek z kart. Po kolei jedna za drugą leci...

Godzina 3.00 po południu

W kuchni unosił się delikatny aromat pieczonej wieprzowiny, pomieszany z silnym zapachem goździków, które Trudi zawsze dodawała do zasmażanej kapusty na słodko. Te goździki sprawiały, że kapusta nabierała niepowtarzalnego, zdawać by się mogło, jakiegoś zamorskiego smaku. Bo przecież ten smak nie pochodził tylko od samej kapusty czy zasmażki z mąki na skwarkach. Jej kapusta była inna niż te wszystkie, które gotowały sąsiadki. One robiły to danie normalnie, po bożemu, jak ich matki i babki, wydobywając smak jedynie poprzez dorzucenie do gotującej się potrawy odrobiny kminku. Trudi też tak robiła do czasu, gdy w jakiejś kolorowej gazecie wyczytała, że trzeba jeszcze dodać kilka goździków i odrobinę rodzynek. No

i odważyła się raz spróbować, a proste, zwyczajne danie zamieniło się natychmiast w królewską potrawę, od której pachniało w całej kuchni. Ojciec, gdy podała tę kapustę po raz pierwszy, powiedział, że jeszcze w życiu nie jadł czegoś tak pysznego. To wystarczyło, by dziewczyna zaczęła eksperymentować w kuchni z przyprawami. Nie zawsze wszystko się udawało, tak choćby jak ten rosół z dodatkiem czarnuszki, który smakował jak woda kolońska na gorąco. Ale przeważnie dania wychodziły co najmniej ciekawie. Z ziemniakami jak dotąd nie potrafiła wymyśleć niczego odkrywczego. Gotowała je zwyczajnie, z dodatkiem łydzy kopru, a jedynym odstępstwem od normy było posypywanie ich już na talerzu koprem zmieszonym z drobno posiekaną pietruszką. Dlatego te zwyczajne kartofle ją męczyły i gdzie się tylko dało, szukała czegoś nowego. Ale na razie niczego nie znalazła. Dziś na obiad miały być właśnie tradycyjne ziemniaki, z pierwszorzędną kapustą, zaprawioną goździkami, i żeberka duszone w sosie śmietanowym z dodatkiem gałki muszkatołowej. W zasadzie wszystko już miała gotowe, bo mięso już dawno doszło na ogniu, kapusta też nadawała się do jedzenia, tylko kartofli nie postawiła jeszcze na piecu. Wszystko przez to, że nie wiedziała, kiedy do domu wróci ojciec. Rano pojechał z tym sympatycznym młodym policjantem i jak dotąd nie było po nim śladu. Często zdarzało się, że jeździł na policję, ale zawsze na czas wracał na obiad, który podawała o drugiej. Tymczasem dziś dochodziła już godzina trzecia, a po nim nie było śladu. Nawet nie zadzwonił do domu, więc chyba musiało się stać coś nadzwyczajnego. Przez chwilę stała przy kuchennym oknie, z którego widok rozciągał się najpierw na ich ogródek warzywny, a za nim na wolno toczącą swe wody Gordalinę. Na prawo widać było jeszcze most i gotyckie prezbiterium kościoła Świętych Janów. Dwóch wież nie dało się dostrzec, bo widok zasłaniała fabryczka meblowa Ferdynanda

Harro. Co tam te wieże, widywała je codziennie, gdy szła w kierunku Neuer Markt, żeby kupić świeże warzywa na obiad. Jeśli ojciec będzie wracał do domu, to zapewne przejdzie wzdłuż rzecznoego nabrzeża, właśnie z drugiej strony kościoła, od tej widocznej części, zbudowanej z czerwonej cegły. Tyle że przebiegającej tam alejki nie było widać, bo zasłaniał ją mur meblarni. A co tam – pomyślała, przesuwając garnek z kartoflami na rozgrzane fajerki. – Jak się tak spóźnia, to jego wina. Najwyżej będzie jadł odgrzewane.

Wytarła dłonie w fartuch, zdjęła go i powiesiwszy na haczyku na ścianie, poszła korytarzykiem biegnącym wzdłuż całego mieszkania do swojej sypialni. Z tej strony okno wychodziło na Wasserstraße i przylegający do ulicy Alter Markt. Przy rotundzie, poświęconej pamięci żołnierzy poległych podczas Wielkiej Wojny, która zajmowała centralną część placu, jak zwykle biegały dzieciaki z okolicznych domów. Tym razem jednak uwaga łobuzów skupiona była nie na zwykłych, codziennych zabawach, lecz na policyjnej więźniarce, która stała niemal na wprost okna Trudi. Szofer wyłączył silnik. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i na ulicę wyskoczył młody blondyn w mundurze Leutnanta. Trudi natychmiast rozpoznała Eberhardta Franka i serce zaczęło jej żywiej bić. Chłopak obszedł więźniarkę i zatrzymał się przed tylnymi drzwiami. Najpierw odgonił grupkę chłopców, którzy ustawili się na chodniku, by nic nie uronić z rozgrywającej się sceny. Nakrzyczał na nich, cofnęli się więc o kilka metrów w głąb placu, jednak ani myśleli uciekać. Nie co dzień przecież na ich placu zatrzymywała się policyjna więźniarka, która przecież musiała tu przywieźć kogoś ciekawego. Ale ze środka nie wyszedł nikt ciekawy. Nie miał na sobie ani więziennego stroju w paski, ani nawet rąk skutych kajdankami. Mężczyzna, który wyskoczył na uliczny bruk, wyglądał zwyczajnie. Ferdynand Thomala rozejrzał się dookoła, mrużąc przy tym oczy,

nieprzyzwyczajone widać do słonecznego blasku.

– No i już po krzyku, panie Thomala – powiedział zadowolony i uśmiechnięty Leutnant.

– Może i po krzyku, ale za to jaki wstyd!

– Niech pan nie przesadza. W końcu nic wielkiego się nie stało.

Thomala wzruszył ramionami i zaraz spojrzał na rząd kamienic po północnej stronie rynku.

– Niby nic, ale kto chciał, to już zobaczył, że mnie w więźniarce przywieźli do domu policjanci.

– Przywieźli, to znaczy, że niewinny. Winnego odwieźlibyśmy raczej do więzienia na Milchstraße. I właśnie w kwestii tego odwiezienia, to musielibyśmy jeszcze pogadać, panie Thomala.

– Niby o czym? – zdziwił się właściciel warsztatu.

– O wszystkim. Tak przynajmniej przykazał Hauptmann Aschmutat.

– No to gadaj pan, w czym rzecz – burknął Thomala.

– Tak na ulicy będziemy rozmawiać?

– No dobra, chodź pan do biura.

Przeszli przez brukowaną ulicę i po chwili siedzieli już w chłodnym biurze właściciela warsztatu.

– To o co tak w ogóle się rozchodzi?

– To, co teraz powiem, przekazał mi Hauptmann Aschmutat, ale istotne jest to, że to prośba samego dyrektora Policji.

– A co dyrektor Policji?...

– Dyrektor Policji bardzo prosi – przerwał mu bezceremonialnie, wręcz bezczelnie Frank – żeby pańscy ludzie całkowicie wstrzymali się od jakichkolwiek akcji wymierzonych w komunistów, socjalistów i kogokolwiek tam jeszcze mieliby ochotę atakować.

– Co? – oburzył się Thomala, a jego nalana twarz natychmiast nabiegła krwią. – A kto on, do cholery, jest, żeby mi tu wydawać jakieś polecenia i do tego jeszcze oskarżać moich ludzi o jakieś

napaści na komunistów? To jest jakiś skandal. Ja napiszę do Dyrekcji Policji w Berlinie...

– Zanim pan gdziekolwiek napisze, proszę przeczytać ten odręczny list od dyrektora.

Frank wydobył z kieszeni niebieską, niezaklejoną kopertę i podał ją gospodarzowi. Thomala przez chwilę bezradnie wpatrywał się w pismo, ale niczego nie mógł odczytać. Założył więc leżące na biurku okulary w drucianej oprawce i szybko przejrzał tekst. Składał się on zaledwie z trzech zdań. Frank, mimo że list nie był skierowany do niego, skorzystał z faktu, że koperta była niezaklejona i przeczytał go wcześniej. Tekst zrobił na nim duże wrażenie, podobnie zresztą jak teraz na Thomali, który rzucił kartkę na biurko, wpatrując się w nią cały czas, tak jakby z listu miał zaraz wyleźć jego autor albo co gorsza ten, na którego nazwisko dyrektor Policji się powoływał.

– Nie wiedziałem, że dyrektor Policji w naszym mieście... – zaczął bąkać pod nosem Thomala.

– Nie o wszystkim musi pan wiedzieć, szanowny panie. Ale teraz jak widać przyszedł czas, żeby odkryć wreszcie karty – rzucił niedbałym tonem Frank, tak jakby to on sam napisał ten list. – Idą wielkie czasy, panie Thomala, a wielkie czasy wymagają wielkich poświęceń – dodał jeszcze zdanie, które całkiem niedawno usłyszał.

– Ile na tatkę można czekać z obiadem? – powiedziała z wyrzutem panna Trudi, stając w drzwiach biura. – O, i pan Leutnant nas zaszczycił swoją obecnością. A skoro pan już jest, to zapraszam na górę na obiad, panie Leutnancie.

Frank natychmiast poderwał się na równe nogi i skłonił się gospodyni.

– Nie śmiałybym robić kłopotu... – powiedział zmieszany.

– Jak Trudi prosi, to lepiej nie odmawiać – rzucił Thomala, wstając z fotela. Natychmiast wyczuł, że młodzieńca, który ma tak szerokie stosunki, lepiej mieć po swojej stronie.

– No właśnie. Zapraszam, bo kartofle właśnie doszły.

Thomala wskazał mu drzwi prowadzące na schody. Chcąc nie chcąc, a właściwie bardzo chcąc, policjant poszedł lekko popychany przez gospodarza. Trudi chciała iść za nimi, ale jej spojrzenie przykuł list leżący na biurku. Nie mogąc opanować zaciekawienia, sięgnęła po kartkę i szybko zaczęła czytać.

Drogi panie Thomala

Właśnie przed chwilą zakończyłem rozmowę telefoniczną z moim przyjacielem Reinhardtem Heydrichem. Jego życzeniem jest, aby w naszym mieście panował idealny spokój do czasu wizyty naszego drogiego Führera. Mam nadzieję, że weźmie pan sobie do serca tę prośbę.

Z poważaniem

Dyrektor Policji w Schneidemühl

Oberst Joseph Gruen

Przeczytawszy list, wzruszyła lekceważąco ramionami, a potem odłożyła papier na biurko. Nic ciekawego tam nie znalazła, bo przecież o tym, że Führer przyjeżdża do miasta, wiedziała od dawna. Ale on nie przyjdzie do niej na obiad, a Leutnant Frank przyszedł, więc trzeba się nim odpowiednio zająć. A Hitlerem niech się zajmuje tatko.

Rozdział V

Schneidemühl Czwartek, 14 lipca

Godzina 6.15 rano

Otworzył oczy, ale zaraz potem je zamknął. Poranne światło raziło go, łeb bolał, jakby go kto zdzielił pałą, a do tego jeszcze w gębie czuł smak suchej ściery do podłogi. O Ferdynandzie Thomali można było powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest notorycznym pijakiem. Co prawda w ciągu dnia potrafił wypić nawet dziesięć piw, a niekiedy nawet więcej, no, ale było to takie zwykłe popijanie w celu przepłukania gardła. Bo Thomala pił dla przyjemności, a nie żeby się uchlać, tak jak niektórzy jego koledzy z partii. Nawet na partyjnych spotkaniach pił wolno i z rozmysłem, popijając piwem parówki i słuchając uważnie tego wszystkiego, co mają do powiedzenia jego towarzysze. Bo jakby pozwolił sobie na swobodniejsze wlewanie piwa do gardła, mógłby przypadkiem czegoś nie usłyszeć. A przecież on, jako szef miejscowych struktur partii, powinien wiedzieć wszystko o wszystkich i na każdy ważny temat. Wczorajszego wieczora, podczas nadzwyczajnego spotkania partyjnego aktywu w restauracji Kliegels na Neuer Markt, jadł parówki, popijał piwem i słuchał, niewiele mówiąc.

Ograniczył się tylko do zagajenia dyskusji, a potem oddał głos innym. I całkiem dobrze, że tak zrobił, bo dzięki temu mógł wsłuchać się w nastroje, przeanalizować sytuację, w końcu podjąć decyzję i wydać polecenia. A nastroje, jak się okazało, były bardzo zradykalizowane. Szczególnie po śmierci tego głupca z Königsbergu, który dał się podejść jak dziecko komunistom i pozwolił wpakować sobie kulę w łeb. Ludzie jednak nie wiedzieli, jak wyglądały kulisy tej akcji, i byli święcie przekonani, że ów zabity padł ofiarą komunistycznej prowokacji, no, a skoro komuniści prowokowali, to nie było innego wyjścia, jak odpowiedzieć im tym samym. Tak mówili działacze partii, którzy już natychmiast gotowi byli do działania. Jeśliby wtedy Thomala wydał zgodę, ruszyliby natychmiast do miasta, żeby wyciągać bolszewików z ich domów – znali adresy niemal wszystkich miejscowych komunistów, bo Ferdynand, na wszelki wypadek już jakiś czas temu kazał sporządzić taką listę – i gotowi byli wieszać ich na najbliższych latarniach. Ale Thomala nie mógł takiej zgody wydać. Musiał zrobić coś wręcz przeciwnego. Musiał im całkowicie zakazać ekscesów do czasu przyjazdu Führera. Tylko jak powstrzymać tę bandę goryli? Bo przecież nie może im zwyczajnie kazać siedzieć cicho. Nie posłuchają za nic. Trzeba cholerników wziąć pod włos. Wystarczyło, że spojrzał na łysy łeb Hansa Schultego i już wiedział, jak sprawę rozegrać. Schulte, były zapaśnik i najsilniejszy człowiek w miejscowych strukturach, był wyjątkowym głupcem. Ale na szczęście, jak większość jemu podobnych idiotów, miał bardzo użyteczną cechę. Był nieskończenie próżny, a co za tym idzie – przekonany o swojej wyjątkowości. Na tej właśnie próżności Thomala, który był starym wyjadaczem, postanowił oprzeć swoją taktykę.

– Słuchajcie towarzysze – odezwał się wreszcie, przekrzykując gwar zdecydowanie zbyt głośnych rozmów. Po chwili zrobiło się

cicho, i kilkanaście par oczu, zaczerwienionych od nadmiaru alkoholu, spojrzało na swojego Ortsgruppenleiterra. Szanowali go wszyscy, ze względu na to, że był najstarszy stopniem, ale jako człowiek wcale im nie imponował. Nie miał przecież takiej siły jak Schulte. Dlatego musiał lawirować, żeby uzyskać to, co chciał.

– Pierwszy bym poszedł wieszac tych cholernych bolszewików – zaczął specjalnie ściszym głosem, by zmusić tych, którzy jeszcze gadali między sobą, do skupienia uwagi. – Dobrze wiecie, że tacy ludzie jak my – tu spojrzał na tępy pysk zapaśnika – tacy jak ja i wypróbowany towarzysz Hans Schulte przelewaliśmy już krew za Niemcy na frontach Wielkiej Wojny.

Schulte zaczerwienił się, ale gdy kilka spojrzeń skupiło się na nim, z powagą pokiwał głową. To był czuły punkt tego kretyna – pomyślał natychmiast zadowolony Thomala. Znał Schultego od czasów przedwojennych, bo razem chodzili do szkoły powszechnej. I dobrze też wiedział, co ten facet robił w czasie wojny. Wtedy gdy tylu porządnych ludzi gniło w okopach, Schulte był podoficerem aprowizacyjnym w miejscowych koszarach piechoty i ani przez moment ich nie opuścił, kombinując z miejscowymi kupcami i sprzedając im na lewo zorganizowane konserwy. A ranę, którą miał na czole i pokazywał młodszym partyjnym kolegom z dumą jako ślad po francuskim szrapnelu, zdobył, wypadłszy po pijaku z okna burdelu Frau Katschmarek przy Güterbahnhofstraße.

– Myśmy już dawno pokazali wraz z naszym towarzyszem Schulte, że potrafimy wystawić pierś przed świszczące kule, ale takie rzeczy trzeba robić z głową. Prawda, Hans?

– Jak najbardziej. Oczywiście – zgodził się z nim Schulte, no bo jakże nie zgadzać się z frontowym kolegą.

– I to my, starzy frontowcy, wiemy, co to jest taktyka i strategia. I jak najlepiej przeprowadzić atak na nieprzyjaciela, aby ten atak był najbardziej skuteczny. Bo czy można iść do

ataku bez właściwego rozpoznania sił wroga?

Popatrzył po twarzach słuchaczy.

– No, można, można... – odpowiedziało kilku młodych towarzyszy. Thomala zaśmiał się pod nosem i zaraz spojrział na Schultego, który widząc jego ironiczny uśmiech, też się roześmiał, ale na głos, budząc w ten sposób zdziwienie towarzyszy.

– Bez dobrego rozpoznania nie można! – Łysy walnął wielką łapą w stół, aż kufle podskoczyły.

– Ot, co znaczy stara frontowa mądrość! – zawołał uradowany Thomala. – A taka mądrość bierze się tylko z doświadczenia. Najważniejsze jest rozpoznanie. Musimy o wrogach wiedzieć wszystko i wtedy zaatakować. I nie na oślep, wyciągając z łóżek i wieszając na najbliższej latarni. Trzeba odrąbać im łeb. Po co mamy walczyć ze wszystkimi? Gdy pozbędziemy się dowódców, co stanie się z wojskiem?

Zamilkł na chwilę, by przepłukać gardło piwem. W tym momencie znów odezwał się Schulte, który nagle stał się sojusznikiem Ortsgruppenleitiera:

– Wojsko bez dowódców poddaje się do niewoli.

– I o to chodzi, towarzysze! – wykrzyknął Thomala. – Weźmiemy ich wszystkich bez walki. Najpierw rozpoznamy dokładnie ich struktury, a później zaatakujemy. Ale na razie musimy się przyczać, żeby wprowadzić ich w błąd. Niech myślą sobie, że jesteśmy słabi. My tymczasem będziemy się przygotowywać, najpierw na przyjazd Führera, bo przecież podczas jego wizyty w naszym mieście musi być całkowity spokój. Mam rację, przyjaciele?

– Całkowitą rację – zgodził się z nim Schulte, kiwając wielką głową. Teraz głową kiwał już nie tylko Schulte, ale i ten jego przydupas Halber. Więc i pozostali też się zgodzili. Zresztą niechby spróbowali się nie zgodzić! Już by im Schulte pokazał.

Thomala chciał mówić dalej, ale tę chwilową ciszę, jaka

zapadła po jego ostatnich słowach, skwapliwie wykorzystał młody kelner, który wcisnął się między stoliki z wielką tacą pełną kufla ze spienionym piwem. Postawił ją na szerokiej ławie, przy której siedzieli działacze partii, i bez słowa zaczął ustawiać naczynia przed uczestnikami spotkania. Ci, którzy mieli jeszcze niedopite piwo w swoich kuflach, zaczęli je szybko przełykać, by kelner nie pomyślał czasami, że mają już dość. Oni nigdy nie mieli dość, zwłaszcza że za piwo podawane podczas zebrań płacono z partyjnej kasy. A darmowego piwa przecież nie można było nie wypić. Po chwili na stół wjechała kolejna taca, przyniesiona przez drugiego kelnera. Prawie sześćdziesiąt kufla trafiło do spragnionych faszystów i nie było to wcale ostatnie słowo właściciela restauracji, który bardzo cenił sobie te partyjne spotkania. Podczas każdego wypijano tu prawdziwe morze piwa z miejscowego Grenzmark Brauereien.

Ortsgruppenleiter pociągnął spory łyk, a potem z trzaskiem odstawił kufel na blat stołu. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w jego kierunku. Zadowolony z siebie Thomala otarł pianę z ust wierzchem dłoni i odchrząknął, dając wszystkim do zrozumienia, że będzie mówił dalej. Wiedział już, że wygrał tę rozgrywkę i że jego ludzie posłuchają poleceń, które wyda.

– Dlatego, towarzysze, musimy się przyczaić. A to oznacza, że nie będziemy prowadzić w najbliższym czasie, a przez najbliższy czas rozumiem dni do przyjazdu do nas naszego Führera, żadnych akcji przeciwko komunistom. Niech sobie myślą, że jesteśmy słabi. A co tam. My dobrze wiemy, jaka siła w nas tkwi. Ten czas wykorzystamy na dokładne przygotowania, a po wyjeździe Führera uderzymy. A jak to zrobić? O tym opowie nam mój stary druh Schulte, któremu powierzam dziś niezwykle odpowiedzialne zadanie.

Stary druh spojrział na mówcę ze zdziwieniem. Był bardzo zaskoczony, bo przecież nie miał nic ciekawego do powiedzenia.

– Ale nie dzisiaj opowie – dorzucił natychmiast Thomala, dostrzegłszy z zadowoleniem zmieszanie Schultego. – Opowie nam o taktyce naszych przyszłych działań odwetowych zaraz po wyjeździe Führera z naszego miasta. Bo chciałem wam powiedzieć, towarzysze, że nie kto inny, ale nasz wypróbowany towarzysz i znawca taktyki wojskowej Schulte będzie dowódcą i koordynatorem całej akcji. Bo jego osoba, postawiona na takim odpowiedzialnym odcinku, daje nam gwarancję, że wszystko się powiedzie.

Gdy zakończył, cisza trwała tylko przez sekundę. Po chwili wszyscy zebrani zaczęli walić dłońmi w blat stołu na znak aprobaty i najwyższego ukontentowania. Kilkanaście rąk wyciągnęło się w stronę Schultego, by poklepać po plecach i ramionach wielkiego stratega. Ten najwyraźniej doszedł do przekonania, że w tak podniosłej chwili powinien jednak coś powiedzieć. No i powiedział:

– Nasz Ortsgruppenleiter ma rację, jak powiada, żeby był spokój. Ma być spokój i już. A jak się to komu nie podoba, to niech se tu popatrzy.

Wysunął przed siebie zaciśniętą pięść.

– Lepiej, żeby nikt się z nią nie spotkał, bo ona pachnie cmentarzem – wyjaśnił jeszcze, a potem rąbnął w stół z takim impetem, że aż kufle zadzwoniły. Puste kufle, bo spragnieni towarzysze zdążyli je już opróżnić. Ciszę, jaka zapadła w tym momencie, znów wykorzystali kelnerzy. Kolejne sześćdziesiąt piw powędrowało na stół.

Ferdynand Thomala, leżąc w swoim łóżku, przypomniał sobie całe to wczorajsze zebranie. Pamiętał każdy szczegół. Bo też było co rozpamiętywać i z czego być dumnym. Jednym chytrym przemówieniem zapewnił sobie spokój w mieście, a do tego jeszcze wszystko to za sprawą tego cymbała Schultego, którego w tak piękny sposób wziął pod włos. Niech teraz ten głupiec obmyśla strategię działań. I tak niczego nie wymyśli. Dlatego

będzie musiał przyjść do niego i poprosić o pomoc w opracowaniu planu uderzenia. A wtedy on mu pomoże i w ten sposób zyska jeszcze większą wdzięczność tego goryla. Jak się ma dobrze poukładane w głowie, to każde przedsięwzięcie można dobrze przeprowadzić – pomyślał zadowolony z siebie Thomala.

Spojrzał w okno. Niebo było jasnoniebieskie, bez żadnej chmurki. Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Nie padało już od ponad dwóch tygodni. A przecież przydałoby się trochę deszczu, choćby po to, żeby podlać warzywa w ogródku, który uprawiała Trudi. Z kuchni dochodził delikatny zapach gotowanej kawy. Dziewczyna już wstała i szykowała dla niego śniadanie. Pomyślał o niej z czułością, ale tylko przez chwilę, bo nagle jego myśli powędrowały w zupełnie innym kierunku. Przypomnił mu się list, jaki otrzymał od szefa Policji, który powoływał się w nim na samego szefa Sicherheitsdienst NSDAP. Skoro sam Heydrich interesował się tym, co dzieje się w Schneidemühl, to może oznaczać, że wkrótce tu przyjedzie. A jeśli przyjedzie, to zapewne spotka się z miejscowym szefem struktur partyjnych. A jeśli się spotka i dodatkowo będzie zadowolony, to kto wie, co to dla niego może oznaczać. Może Heydrich go zapamięta... Przymknął oczy i głowa opadła mu z powrotem na poduszkę. Ale nie było mu dane rozkoszować się wizją radosnego uśmiechu Heydricha. Zamiast niej pod czaszkę wpęłzył mu znowu podstępny i zdradziecki ostry ból, który rozgonił wszystkie myśli.

– Za dużo tego cholernego piwa było wypite wczoraj – pomyślał Thomala po chwili, gdy ból nieco zelżał. A on przecież nie był nałogowym pijakiem. Był wytrawnym degustatorem, który degustacji oddawał się z prawdziwą pasją. Ale wczoraj najwyraźniej przeholował. Z drugiej strony, chyba było warto, skoro odniósł tak zdumiewający sukces. A dla takiego sukcesu warto złożyć na ofiarnym stosie swoje cierpienie. W końcu

wszystko to dla dobra Niemiec.

Godzina 7.30 rano

Kłęby pary wydobywały się przez zardzewiały wywietrznik wprost na ulicę, by w zetknięciu z chłodnym, grubo ciosanym brukiem osiąść na nim i zaraz zamienić w krople wody. Wszystko w promieniu kilku metrów było wilgotne od tej pary i zapewne śliskie. Szczególnie bruk. Dlatego policjant na wszelki wypadek przeszedł na drugą stronę ulicy. Gdyby trzymał się tamtej strony, mógłby się poślizgnąć i upaść, a to byłoby niezbyt pożądane, bo w brudnych spodniach nie mógłby się zajmować służbowymi sprawami. W brudnych spodniach władza wygląda raczej komicznie, a nie stanowczo.

Para buchała ze ściany piętrowego budynku z czerwonej cegły, w którym mieściły się pralnia i magiel. On jednak nie był zainteresowany zakładem. Interesowali go raczej mieszkańcy kamienicy po drugiej stronie tego niewielkiego zaułka, który kończył się dwadzieścia metrów dalej płotem, odgradzającym ogródki należące do mieszkańców domów przy Jastrower Allee. Przez chwilę stał tam, przy tym koślawym płotku, i już chciał odejść, nie natrafiwszy na nic interesującego, gdy dostrzegł wydeptaną dróżkę biegnącą między płotem a szczytem budynku pralni, prowadzącą w kierunku rzeki. Niewiele się namyślając, ruszył tą drogą, odgarniając krzaki. Przeszedłszy kilkanaście metrów, dotarł do wody. No, może nie do samej wody. Do niewielkiego wybetonowanego nabrzeża, z którego wprost do rzeki prowadziły trzy schodki. Nie miał pojęcia, że jest tu taka przystań.

Przystanął przy schodkach, nie bardzo wiedząc, po co w ogóle tu przyszedł i czego szuka. Nie, właściwie to wiedział, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Wszedł

w ten zaułek odchodzący od głównej ulicy, bo w ten sposób mógł, nie rzucając się w oczy, pokręcić się w pobliżu domu panny Trudi. Idąc tu, miał nadzieję, że może ją zobaczy, gdy na przykład będzie wychodziła po zakupy. A wtedy podszedłby do niej i powiedział coś miłego. Tylko co by miał powiedzieć? Nad tym musiał się jeszcze dobrze zastanowić.

Tak w ogóle to czuł się usprawiedliwiony, że wybrał się w to miejsce. Wczoraj wieczorem poszedł do aresztu, w którym siedział ten komunista Wittmann. Czuł, że musi z nim porozmawiać i dowiedzieć się czegoś na temat topielca Wargatscha.

Szef aresztu najpierw przesunął klapkę judasza i zajrzał do celi.

– Leży i wcale się nie rusza, panie Leutnancie – stwierdził.

– Nie żyje? – przestraszył się Frank.

– Co ma nie żyć? Przecie mocno nie dostał. Ino kilka pasów po dupie.

– Dobra, otwierajcie – zdecydował oficer.

Zamek zaklekotał i ciężkie drzwi otworzyły się, jęcząc nienaoliwionymi zawiasami jak potępieniec.

– Wstawaj, Wittmann! Ruszaj dupę! – krzyknął klawisz. – Pan oficer chce sobie z tobą pogadać.

Aresztant otworzył oczy i natychmiast podniósł głowę. Ujrawszy młodego oficera, uniósł się na łokciu, a potem z trudem wstał.

– Nie będziecie już potrzebni, Wachtmeistrze – powiedział Leutnant. Podoficer wzruszył ramionami i wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi.

– Jestem Leutnant Frank – przedstawił się, siadając na taborecie stojącym przy przytwierdzonym do ściany niewielkim stoliku.

Rozejrzał się po celi. Była niewielka. Mieściła się w niej tylko druga drewniana prycza z siennikiem i kocem oraz w kącie

aluminiowe wiadro z pokrywką. Wittmann stał nadal, przyglądając się swojemu gościowi. Przyglądał się jednym okiem, bo drugiego prawie nie było widać, gdyż zniknęło pod ogromną opuchlizną. Czyli nie tylko dostał kilka pasów na dupę, ale jeszcze poprawili mu pięścią po twarzy.

– Możecie usiąść.

Wittmann pokręcił głową.

– Mogę albo leżeć na brzuchu, albo stać. Na tyłku się nie da siedzieć.

Frank popatrzył na niego z zaciekawieniem, tak, jak patrzy się na ciekawy okaz motyla albo innego robaka, a potem wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów juno. Właściwie nie palił, ale postanowił, że idąc na rozmowę do aresztu, musi wyposażyć się w coś, co choć w niewielkim stopniu pomoże przełamać lody.

– Zapalicie? – Wyciągnął dłoń z paczką w kierunku Wittmanna. Ten długo się nie zastanawiał. Widać był nałogowym palaczem, którego areszt pozbawił tej przyjemności. Wydobył papierosa i wsadził go sobie do ust. Policjant podał mu zapalniczkę. Tamten szybko przypalił i o mało nie zachłysnął się pierwszą porcją dymu. Jednak kaszel zaraz przeszedł, a na jego twarzy pojawił się wyraz błogości.

– Może je pan wziąć wszystkie. Ja mało palę.

– A co ma być w zamian? – zapytał nieufnie komunista.

– W zamian? Nie, źle mnie pan zrozumiał. Ja bynajmniej nie próbuję pana przekupić. Papierosy przyniosłem, żeby się pan lepiej poczuł...

– Tu, w więzieniu, mam się poczuć lepiej? To wyborny dowcip. Mam obitą gębę i obolałą dupę i mam się lepiej poczuć?

– Nie ja pana pobiłem.

– Ale pana koledzy.

– To nie są moi koledzy. Przyznaję, że są nadgorliwi. Ale to prości ludzie i nie przepadają za komunistami.

– Oczywiście – zaśmiał się Wittmann. – W niemieckiej policji

przecież nie mogą pracować zwolennicy komunizmu. Ale faszyci jak najbardziej. A pan też faszysta?

– Moje poglądy to moja sprawa – odpowiedział mu natychmiast Frank, udając oburzenie. Tak naprawdę miał to w nosie, bo w zasadzie nie miał poglądów politycznych. Obojętne mu było, kto rządzi w kraju. On chciał wykonywać swoją policyjną robotę najlepiej, jak potrafił i tylko to go interesowało.

– Oczywiście. Ale niezależnie od poglądów ja jestem więźniem, a pan mnie przesłuchuje.

– Nie więźniem, ale na razie zatrzymanym do wyjaśnienia.

– Do wyjaśnienia czego?

– Do wyjaśnienia sprawy tajemniczych morderstw na tle politycznym.

– Jakich morderstw, do cholery?

– Maxa Wargatscha i Walthera Junga.

– To Jung nie żyje? – Zdziwienie, które pojawiło się na jego twarzy, było jak najbardziej autentyczne. – Kto to zrobił?

– Nie mam pojęcia, ale chcę się tego dowiedzieć.

– No chyba nie ode mnie?

– A dlaczego nie od pana?

– Bo ja z tymi morderstwami nie miałem nic wspólnego. Przecież oni to moi towarzysze...

– Wierzę panu.

– To skoro pan mi wierzy, to po co mnie tu trzymacie?

– Właściwie to dla waszego dobra.

– Niby mojego? – zdziwił się komunista.

– Jest tak, jak mówię. Jest pan tutaj, bo boimy się, że oba te morderstwa to jakaś zorganizowana akcja. Do tego jeszcze ten straszny wypadek z panią Jung...

Wittmann spojrzał zdumiony na policjanta.

– Jaki wypadek?

– Ona też została postrzelona. Nie wiadomo, czy przeżyje.

A ponadto jeszcze ktoś zastrzelił niejakiego Willy'ego Becka, który pracował na kolei. Znał go pan? On też kiedyś podobno komunizował

- Boże, nie, to niemożliwe. Ona i on też... Tak jak powiedział...
- Kto powiedział?
- Co, kto powiedział?
- Tak pan powiedział, że tak jak on powiedział.
- Nigdy tak nie powiedziałem. Musiał się pan przestyszeć.

Frank pokiwał głową. Usłyszał coś, co wymyknęło się temu Wittmannowi, ale najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać. Na razie wolał więc nie poruszać tego tematu. Najważniejsze, że znalazł punkt zaczepienia. Jeszcze zdąży do tego wrócić. „Tak jak powiedział”. – Gdy tylko wyjdzie z celi, zaraz zapisze sobie to w swoim notesie i w odpowiednim momencie przycisnie się tego człowieka. Teraz trzeba to zostawić.

– Niech mi pan w takim razie powie, jak wyglądało wasze ostatnie spotkanie z Maxem Wargatschem.

Wittmann spojrzał na niego, jakby głos policjanta wyrwał go z zupełnie innego świata. Przez moment się zastanawiał, by po chwili zacząć opowieść.

– To było w ostatnią niedzielę, jakżeśmy się ostatni raz widzieli.

Mimo że było jeszcze dość wcześnie, powietrze powoli się nagrzewało, zapowiadając południowy skwar. Tu, na przystani nad starym korytem rzeki, od wody bił przyjemny chłód. Eberhardt Frank spojrzał na betonowe schody. Na tym ostatnim, najbliższym rzecznoemu nurtu, dostrzegł jakąś ciemną plamę. Zszedł niżej i przykucnął. Plama miała rudy kolor. Pochylił się najniżej jak się dało. Zamoczył palec w wodzie i potarł nim tę plamę. Potem spojrzał na swój opuszek. Nie mógł się mylić. To była zaschnięta krew. Teraz nieco rozwodniona, ale na pewno krew. Ktoś w tym miejscu zrobił

sobie jakąś krzywdę. Albo komuś ją zrobiono. Może to właśnie tu ktoś wrzucił do rzeki Wargatscha? Miejsce mogło się zgadzać, bo przecież przez ogródki można było dostać się do kamienicy przy Jastrower Allee, w której mieszkał ten komunista. Frank był w jego mieszkaniu i rozmawiał z wdową, ale od zapłakanej kobiety nie dowiedział się niczego interesującego. Może teraz warto by było jeszcze raz ją odwiedzić? – zaczął się zastanawiać, wchodząc po schodach na nabrzeże. Nagle jego spojrzenie powędrowało w kierunku ścieżki, którą tu przyszedł, i porastających ją krzaków. Za zieloną gęstwiną, tam, gdzie widać było już tylko stare łyse gałęzie, leżało coś czarnego. Frank podszedł tam zainteresowany i nachylił się, przytrzymując czapkę. W krzakach leżał czarny but. Taki zwykły robociarski but sznurowany za kostkę. W pierwszej chwili Frank pomyślał, że to jakiś stary trzewik, który ktoś wyrzucił. Wystarczyło jednak uważniej mu się przyjrzeć, by przekonać się, że owszem, jest mocno sfatygowany, ale na pewno jeszcze długo mógł posłużyć właścicielowi. Po co więc ktoś go wyrzucił? I wtedy przyszło olśnienie. Nikt Frankowi o tym nie powiedział, kiedy ten oglądał Wargatscha w kostnicy, do której zabrał go Carl Aschmutat, żeby nabrał większego policyjnego doświadczenia. Niewiele tego doświadczenia nabrał, bo już na samym początku zrobiło mu się niedobrze i wyszedł na korytarz, odprowadzany drwiącymi spojrzeniami lekarza i Hauptmanna. Tam, na stoliku, leżało równo ułożone ubranie denata. Spodnie, koszula, a na nich jeden but. Wtedy przez chwilę nawet się zastanawiał, gdzie się podział drugi. Doszedł do wniosku, że ktoś go ukradł i właściwie natychmiast o tym nieistotnym szczególe, jak mu się wtedy zdawało, zapomniał. A teraz ten but ze szpitala stanął mu przed oczyma i, co najistotniejsze, był dokładnie taki jak ten, którego właśnie podnosił z ziemi.

– To but Wargatscha? – Usłyszał za sobą jakiś kobiecy głos.

Odwrócił się natychmiast. Na przystani stała ruda i piegowata, na oko czterdziestoletnia kobieta o bladej cerze. W dłoniach trzymała aluminiową miskę z praniem.

– A pani to kto? – zapytał, bo nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Gerta Budnik. Mieszkam tu, w zaułku. – Ruchem głowy wskazała za siebie. – Tu chodzę płukać pranie.

– Aha. A skąd pani wie, że to należało do Wargatscha? – Podniósł but, chwyciwszy go za sznurówkę.

– Nie wiem, ino pytam się. Jak go wtedy wlekli, to mógł mu zlecieć z nogi, nie?

– Kto go włókł?

– Nie wiem, bo było ciemno. Słyszałam tylko głos Maxa. Jego rozpoznałam zaraz, bo my tu się razem chowaliśmy od dzieciaka. I potem się dowiedziałam, że utopiony jest. Tom się pomyślała, że jego musieli utopić te cholery, co się z nim biły.

– A wie pani, kto to był?

– Ino ja ich słyszałam. Ale kto, to nie powiem. Ale jeden do drugiego powiada tak: Dość będzie, Halber, do cholery... A może Huber? Nie, Halber, na pewno.

Godzina 10.20 przed południem

Tolek Grubiński całkiem dobrze mówił po niemiecku. W zasadzie to mówił tak, jakby pochodził z Berlina. Wszystko dzięki temu, że na podwórku, na którym się wychowywał, razem bawiły się ze sobą dzieci z niemieckich i polskich rodzin. Dlatego niemiecki był dla niego całkiem naturalnym językiem. Zresztą uczył się później niemieckiego w szkole powszechnej, przed Wielką Wojną. Za dużo się nie nauczył, bo raptem skończył trzy klasy. Ale tyle w zupełności wystarczyło, by bez żadnych trudności dogadywać się z rodowitymi Niemcami.

Choćby z takim, jak ten tutaj, z wymuskaną fryzurą na brylantynie, ściśle przylegającą do czoła. Recepcjonista ubrany był w czarną marynarkę, a pod nią miał biało-szarą, kraciastą kamizelkę. Kamizelka prezentowała się bardzo szykownie, ale z koszulą było już znacznie gorzej. Grubiński natychmiast dostrzegł na wykrochmalonym kołnierzyku kilka tłustych plam.

– A to szuszwol niemyty – pomyślał i odezwał się po niemiecku: – Mam w obecnym tu hotelu elegancki pokój dla jednej osoby, zarezerwowany telegraficznie.

Recepcjonista uśmiechnął się, ukazując puste miejsce po górnej jedynce.

– Pańskie nazwisko i imię poproszę łaskawie.

– A... – Tolek przerwał na moment, bo zapomniał, jak się nazywa. – Nazywam się Teodor Wiciak. Przyjechałem dziś z Polski.

Recepcjonista podniósł wzrok znad księgi meldunkowej i przez moment mierzył gościa spojrzeniem. Po kilku sekundach na jego skupioną twarz znów powrócił służbowy uśmiech.

– O, szanowny pan z Polski. A mówi pan po niemiecku jak berlińczyk. – Nie dodał oczywiście, że jak berlińczyk, ale z którejś z podrzędnych dzielnic, jak choćby Neukölln czy Reinickendorf. Bo – zauważył – ten gość na pewno nie posługiwał się wytworną mową z okolic Kurfürstendamm.

Tolek uśmiechnął się zadowolony. Dawno nie mówił po niemiecku, bo nie było ku temu okazji. Tymczasem okazało się, że lekcje niemieckiego odebrane na chwaliszewskim podwórku mogły się w życiu przydać.

– Ja jestem z Poznania, znaczy z Posen – dodał.

– A Posen. Piękne miasto. Byłem przed wojną w Posen. A wielki pałac cesarski jeszcze tam stoi?

– Oczywiście, że stoi. Czemu miałby nie stać?

– Czytałem kiedyś w gazecie, że Polacy chcą pałac rozebrać. Że niby jest symbolem władzy pruskiej czy jakoś tak...

– Stare dzieje. – Tolek machnął ręką. Oczywiście też słyszał o tych planach rozbiórki pałacu cesarskiego, ale nic z nich nie wyszło. I dobrze, że nie wyszło, bo i niby co miałoby stanąć na miejscu pałacu? Znając naszą organizację, to pewnie byłby tam do dziś pusty plac. A tak pałac się ostał i dzięki temu mogło się tam zmieścić sporo urzędów. Tolek nawet raz był tam w środku, kiedy Kryśka wysłała go do redakcji gazety, żeby dał ogłoszenie na temat sprzedaży starej szafy.

– Czy wczoraj w Posen padał deszcz? – zapytał portier niby obojętnie, ale wyraźnie wypowiadając każde słowo. Tolek drgnął. Doskonale znał to zdanie. Co więcej, wiedział też, jak należało na nie odpowiedzieć.

– W zeszłym roku o tej porze padało, ale niezbyt mocno.

– U nas w lipcu raczej rzadko pada. – Portier dopowiedział swoją kwestię, a potem uśmiechnął się szeroko, tym razem jednak szczerze.

– Czekaliśmy tu na was, towarzyszu – powiedział, ścisząc głos do szeptu i pochylając się konfidencjonalnie nad kontuarem. Rozejrzał się przy tym wokół, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Hotelowy westybul był całkowicie pusty, nie licząc młodego szwajcara w zdobnym stroju stojącego za drzwiami. On jednak niczego nie mógł usłyszeć, bo przeszkłone drzwi oddzielały go od hotelowego wnętrza. Najwyraźniej zresztą wcale go nie interesowało to, co działo się w hotelu. O wiele ciekawszy był przecież uliczny ruch w centrum miasta, któremu chłopak z zainteresowaniem się przyglądał.

– O, rzeczywiście, jest rezerwacja na pańskie nazwisko. – Portier zmienił ton na oficjalny, jednocześnie mrugając do Tolka poufale. Ten odpowiedział mu mrugnięciem.

– Ma pan pokój numer dwanaście na pierwszym piętrze – powiedział portier, kładąc na blacie klucz z doczepioną do niego sporych rozmiarów drewnianą gruszką, na której ozdobną szwabachą były wypisane nazwa hotelu wraz z numerem

pokoju. Tolek wsadził klucz do kieszeni, a potem chwycił za podane mu pióro i umoczywszy je w kałamarzu, wpisał nazwisko i imię: Teodor Wiciak. – Pokój jest ze wszystkimi wygodami, a okna wychodzą na południe, czyli na ulicę Zeughausstraße, która nieco dalej przechodzi w Bismarckstraße. Mówi się u nas, że w tej chwili to najbezpieczniejsza ulica w mieście.

– Tak, a to dlaczego? – zapytał Tolek, zresztą bez specjalnego zainteresowania.

– To dlatego, że tuż za naszym hotelem, w takim niewielkim jednopiętrowym budynku, mieści się Kreisleitung NSDAP.

– Nie zamierzam się tam wybierać.

– Nigdy nic nie wiadomo, panie Wiciak. A lepiej wiedzieć o takich miejscach. Natomiast gdyby pan zechciał pójść na spacer, to polecam łaskawej uwadze pana tę ulicę, ponieważ wystarczy minąć ten właśnie urząd, a zaraz za nim jest ciekawa kamienica, w której znajduje się półkolista, szeroka brama otwierająca ulicę Moltkego. U nas mówi się na nią „polski korytarz”.

– A niby dlaczego tak?

– Bo w tym budynku mieści się polski konsul. Więc jakby pan jakie sprawy urzędowe w konsulacie chciał załatwić, to dwa kroki stąd. A zaraz dalej jest kościół katolicki Świętej Rodziny...

– Nie chodzę do kościoła – uciął krótko ten wywód Tolek, bo znudziła go już paplanina portiera. – Pójdę do pokoju, a potem może gdzieś jakiego piwa się napiję. Macie tu jakieś dobre piwo?

– Grenzmark Brauereien to miejscowy browar. Pierwszorzędne piwa u nas warzą. Zaraz każę chłopakowi podrzucić dwie butelki na próbę do numeru. Albo nie, sam przyniosę, jeśli pan pozwoli.

Tolek wzruszył ramionami. W końcu mógł sobie pozwolić na

piwo. I nie tylko na piwo. Jażdżewski wyposażył go hojnie w gotówkę, więc stać go było na spełnianie większości zachcianek. Oczywiście w granicach rozsądku.

Podniósł wytworną skórzaną walizkę i ruszył we wskazanym kierunku, ku schodom prowadzącym na piętro. Ta walizka wpadła mu w ręce już ponad dziesięć lat temu, podczas włamania do jakiegoś mieszkania na Jeźycach. Wpakował do niej wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, i oczywiście oddał cały łup do handlarza. Ale walizka była tak elegancka, że nie mógł się z nią rozstać. Właściwie nie wiedział, po co ją zabiera, bo raczej nie był typem obieżyświata, któremu byłaby niezbędna w podróżach. Dość powiedzieć, że od chwili, kiedy ją zagarnął, nie użył jej ani razu. Leżała jednak cały czas na szafie gotowa do podróży. No i w końcu się doczekała. I to jakiej podróży! Od razu wyprawy za granicę.

Pokój numer dwanaście nie należał do najwytworniejszych w Central Hotelu, ale na Tolku zrobił ogromne wrażenie. Dość powiedzieć, że Grubiński jeszcze nigdy nie spał w hotelu. Owszem, widywał już wytworne wnętrza, ale najczęściej nocą, podczas włamań. Tutaj eleganckie wnętrze zobaczył w pełnej krasie, oświetlone przedpołudniowym słońcem.

Na prawo od drzwi stała dębowa szafa. Od razu podszedł do niej i sprawdził, czy to lite drewno. Otworzył drzwi i okazało się, że mebel był pierwszorzędnym stolarskim wyrobem, a nie okleinowanym erzacem. Włożył więc do środka walizkę i zaczął dokładny przegląd pokoju. Za szafą, pod ścianą wyklejoną tapetą w drobne prążki, stało łóżko o dębowych bokach, na którym z powodzeniem mogłyby się wyspać dwie osoby. Od razu pomyślał, że Kryśka w takim łóżku umarłaby ze szczęścia. Nad nim wisiał obraz w grubej złoczonej ramie przedstawiający jakiś górski landszaft. Obraz niespecjalnie go zainteresował, ale Tolek pomyślał sobie, że jest zdecydowanie ciekawszy od tego ze Świętą Rodziną wśród baranków, który wisi u niego w domu.

Na lewo od łóżka, pod przeciwległą ścianą, stał niewielki okrągły stolik, a przy nim dwa wytworne krzesła. – Przynajmniej będzie gdzie portki przewiesić – pomyślał, spoglądając na ich proste oparcia. Obok postawiono stojak na miednicę i dzban z wodą do mycia. Hotel musiał być rzeczywiście wytworny, bo obok dzbana był jeszcze lniany ręcznik i kostka pachnącego mydła. Tolek wziął je do ręki i przytknął do nosa. Pachniało lawendą. Pomyślał więc, że nie będzie używał tego hotelowego mydła, bo przecież przywiózł ze sobą swoje, zwyczajne szare, które zapakowała mu do walizki Kryśka. Będzie używał swojskiego, a to perfumowane schowa i zawiezie żonie w prezencie. Na pewno się ucieszy. Podszedł do okna, odsunął koronkowe firanki i otworzył jedno skrzydło. Fala gorącego powietrza wdarła się do wewnątrz. Tolek, oparłszy dłonie na parapecie, wychylił się nieco, by spojrzeć na biegnącą poniżej ulicę. Nic ciekawego się tam nie działo. Przechodziło wte i wewte sporo ludzi, jak to na głównej miejskiej ulicy, przemknął osobowy automobil, a drugą stroną jezdni wolno toczył się wóz wypełniony beczkami piwa. To mu przypomniało, że jest spragniony. W tym momencie rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Zawołał więc „proszę” i do pokoju wszedł uśmiechnięty portier.

– Przyniosłem piwo – powiedział, wskazując na dwie brązowe butelki zamknięte porcelanowymi kapslami.

– Wyszłem na wiór od środka – rzucił Tolek, sięgając do kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy.

– Nie trzeba – powiedział portier. – To na koszt firmy, panie Wiciak. A ja się nazywam Schmitz. Udo Schmitz.

Postawił butelki na stole, a Grubiński natychmiast sięgnął po jedną. Była chłodna. Widać musiała stać w lodowej piwnicy. Otworzył kapsel i natychmiast pociągnął spory łyk. Piwo spłynęło mu do gardła chłodną kaskadą. Uwielbiał to uczucie. Pociągnął jeszcze jeden, znacznie mniejszy, dla zbadania

walorów smakowych napoju. Było naprawdę niezłe.

– Pozwoli pan, że usiądę na chwilę?

Tolek spojrział na mężczyznę i wzruszył ramionami. Ten usiadł na jednym z dwóch krzeseł.

– Cieszę się, że pan wreszcie do nas dotarł.

– A co miałem nie dotrzeć...

– Różnie to bywa. W końcu trochę miał pan do przejechania, a czasy niespokojne.

– Jakoś sobie daję radę. A jak tam u was? – zapytał, bo nie bardzo wiedział, o co powinien zapytać. Tak w ogóle to cały czas miał nadzieję, że jego wyjazd do tego miasta ograniczy się jedynie do pomocy Fischerowi w jego sprawach, a te inne kwestie, o których mówił mu Jażdżewski, dotyczące bolszewików, okażą się tylko sprawą poboczną. Jażdżewski tłumaczył, że właściwie to może nawet nie dojdzie do spotkania z tymi komunistami. A tymczasem – proszę. Ledwo przyszedł do hotelu, a ci już go namierzyli. I to jak sprytnie, przez portiera. Czy wszyscy portierzy w tutejszych hotelach byli bolszewikami i znali hasło? Bo przecież nikt oprócz Jażdżewskiego i niego samego nie wiedział, w jakim hotelu stanie. Wczoraj Jażdżewski powiedział mu przed wyjazdem, że wysłał telegram z rezerwacją do Central Hotelu, bo to w centrum miasta, więc będzie wygodnie się znaleźć z Fischerem. A tu, zanim się obaj spotkali, jego już znaleźli komuniści.

– U nas kiepsko się dzieje od kilku dni. Ale teraz, jak towarzysz przyjechał, to się na pewno wszystko zmieni. – Schmitz zrobił zafrasowaną minę.

– Na pewno – potwierdził Tolek, dopijając piwo z pierwszej butelki. Na wszelki wypadek sięgnął zaraz po drugą, tak żeby mu jej portier nie wypił.

– To dobrze, że jesteście tacy pewni i zdecydowani. U nas potrzebne jest zdecydowane działanie, bo wszystko zaczyna się rozłazić w szwach. No i dlatego czekaliśmy na was, bo tu

zaczęły się poważne kłopoty.

– No to jestem. I co dalej proponujecie?

– Jak najszybciej trzeba by się spotkać z kierownictwem.

– Może jutro? – zaproponował Tolek niepewnie, licząc na to, że jutro uda mu się już zaangażować w sprawy Fischera i zniknąć z oczu bolszewikom. W końcu co on może im poradzić na ich kłopoty? Gdyby choć trochę wiedział o ich organizacji, to może rzeczywiście mógłby co pomóc. Ale przecież nie wiedział nic. Niepotrzebnie w ten komunizm dał się wrobić majorowi. Przecież wystarczyło tylko powiedzieć mu tak: „Co do pomocy Fischerowi, to jak najbardziej, ale z bolszewikami to ja nie chcę mieć nic wspólnego”. Mógł powiedzieć, ale nie powiedział i teraz ma za swoje.

– Jutro? – zdziwił się Schmitz, kręcąc jednocześnie głową. – Jutro może już być za późno. Trzeba kuć żelazo póki gorące. Zwołam spotkanie jak najszybciej. Najlepiej dzisiaj na wieczór. Może być na wieczór?

Zrezygnowany Tolek Grubiński, a właściwie Teodor Wiciak, tylko wzruszył ramionami. Bo i co miał powiedzieć?

– No to podrzućcie mi, towarzyszu, jeszcze kilka butelek tego doskonałego piwa. Wypiję i trochę się prześpię po podróży, a potem to się możemy spotykać. Jak trzeba, to trzeba.

Godzina 11.30 przed południem

– To jak w końcu, Halber czy Huber?

– Ona dokładnie nie pamiętała.

– A pan jak zapisał w notesie?

– Zapisałem jedno i drugie, na wszelki wypadek.

– Może trzeba było ją trochę bardziej przycisnąć, żeby sobie przypomniała?

– To by nic nie dało. Tak mi się przynajmniej zdaje. Chciała

nam pomóc.

– A to niby dlaczego?

– Znała Wargatscha od dziecka. Wychowywali się na jednej ulicy. A ci, co go napadli byli obcy. Powiedziała, że na pewno obcy, bo inaczej rozpoznałaby ich po głosie.

Carl Aschmutat pokiwał głową ze zrozumieniem. Coraz bardziej podobał mu się ten chłopak. Chyba będą z niego ludzie – pomyślał. Był dokładny i wyciągał właściwe wnioski, analizując zebrane dane. Dzięki jego dokładności znali już miejsce, w którym dopadli Wargatscha i wrzucili go do rzeki. Wiedzieli też, ilu było napastników, i nawet znali nazwisko jednego z nich, choć to nazwisko nie było do końca pewne. Ale gdy Carl tylko je usłyszał, to natychmiast stanął mu przed oczami kolejarz. Ten, który znalazł ciało zastrzelonego w wychodku pomocnika maszynisty. To wszystko mogłoby pasować do siebie, nabrał przekonania, spoglądając na stojącego przed biurkiem Leutnanta.

– Ten maszynista, który znalazł zwłoki swojego pomocnika Willy’ego Becka, nazywa się Huber... – przerwał na moment, wskazując jednocześnie Frankowi miejsce przy stole, na lewo od swojego biurka.

Chłopak natychmiast usiadł. Carl wstał zza biurka, obszedł je i zajął krzesło naprzeciw.

– Jeśli ona usłyszała to nazwisko, to być może mamy sprawę rozwiązana – ciągnął dalej. – To znaczy, mamy jednego ze sprawców. A jeśli to rzeczywiście on, no to już my wydobędziemy z niego wszystko. No, chyba że to zbieg okoliczności. Ale ja powiem szczerze: nie bardzo w takie zbiegi okoliczności wierzę. A jak się panu wydaje?

– Mnie również nie bardzo chce się wierzyć w takie przypadki. Nazwisko pasuje, więc teraz trzeba tylko przycisnąć maszynistę Hubera. No i trzeba sprawdzić przede wszystkim jego alibi.

– Bardzo słusznie – zgodził się z nim Hauptmann. – W takim

razie pójdzie pan na dworzec i się rozpyta o Hubera, zanim na dobre się za niego zabierzemy. Ten posterunkowy z dworca nazywa się Schwartz. Mam wrażenie, że to bystry człowiek. On może być dla nas prawdziwą skarbnicą informacji. Niech go pan weźmie na piwo i pogadajcie od serca. Niech powie szczerze, co myśli o tym maszynieście i jego stosunku do pomocnika Willy'ego Becka.

Frank podniósł się z krzesła, obciągając bluzę mundurową.

– Mam tylko nadzieję, że to chodzi o naszego Hubera, a nie o jakiegoś tam Halbera... – powiedział pod nosem Aschmutat.

Powiedział to raczej do siebie, a nie do swojego podwładnego. Ten jednak miał dobry słuch. Też odczuwał podobną wątpliwość, ale na razie nie podzielił się nią ze swoim szefem. Skoro ten z takim entuzjazmem powiązał śmierć kolejarza ze znanym sobie Huberem, nie było co od razu podważać jego opinii jakimiś głupimi wątpliwościami. No i na razie nie chciał dzielić się z nim informacją zdobytą na temat Halbera, bo wstyd mu było przyznać, jak ją uzyskał. W końcu zdobył ją w niezbyt rycerski sposób. Nie można powiedzieć, że jak najbardziej przyjemny, ale jakże daleki od urzędowej metody pozyskiwania informacji śledczych.

Trudi szła wolnym, lekkim krokiem, jakby wracała ze spaceru, mimo że w obu dłoniach niosła siatki wyładowane zakupami. Natychmiast ją dojrzał, przemierzającą Alter Markt, gdy tylko wyszedł z przesiąkniętego parą zaułka. Nie zastanawiając się wiele, ruszył do niej. Nie zauważyła go do chwili, gdy zagroził jej drogę.

– Och, wystraszył mnie pan! – krzyknęła, bynajmniej wcale nie przestraszona.

– Bardzo przepraszam. Nie chciałem.

– Chciał, nie chciał, ale przestraszył pan. I co, będziemy tak stać? – zapytała, uśmiechając się do niego zalotnie.

– No nie, bo ja właściwie... – Znow stracił przy niej całą pewność siebie.

– To niech pan bierze te zakupy, bo mi już ręce odpadają.

– To proszę wziąć ode mnie to. – Wskazał jakiś nieforemny kształt zawinięty w papier pakowy.

– A co to jest? – zapytała dziewczyna.

– Corpus delicti – odpowiedział, robiąc przy tym mądrą minę.

– Aha. – Pokiwała głową i zabrała zawiniątko, on natomiast odebrał od niej siatki z kartoflami i jarzynami. Niewiele tego było. Może w sumie jakieś pięć kilo? Dla niego żaden ciężar, ale dla takiej dziewczyny...

– Czyli że co?

– But.

– To nie można powiedzieć „but”?

– Nie można, bo to corpus delicti.

Zrobiła nadąsaną minę.

– Nie mógł pan wcześniej przyjść? Mógłby mi pan nieść te kartofle już od Neuer Markt.

– Nie mogłem. Jestem na służbie.

Przeszli przez ulicę i doszli zaraz do bramy zakładu Thomali. Był przekonany, że tu już się pożegnają, ale ona wskazała mu szeroko otwartą bramę. Na dziedzińcu stały dwa remontowane samochody, przy których uwijali się mechanicy. Natychmiast wszystkie twarze zwróciły się w ich kierunku. Eberhardt poczuł, że jego twarz oblewa się rumieńcem. Zaraz się zaczął gadanie, że smali cholewki do Trudi, bo skoro nosi za nią siatki z zakupami, to musi już być poważna sprawa.

Dziewczyna obejrzała się za siebie i uśmiechnęła się do niego zadowolona.

– No, co pan tak wolno idzie?

– Nie, ja tylko...

– No dalej, nie ociągać się. Zaraz napijemy się kawy.

– Kiedy ja nie chciałbym przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pan. Ja teraz mam chwilę dla siebie po tych zakupach. Dopiero za jakiś czas się zabiorę za przygotowanie obiadu. Bo obiad będzie późny. Tatko dziś pracuje w biurze.

– Tak? – zdziwił się, bo Thomala nie wyglądał raczej na człowieka, który plamiłby sobie ręce papierkową robotą. Od rachunków raczej powinien mieć księgowego.

– To pan Thomala sam prowadzi swoje rachunki?

– Hi, hi, hi – zaśmiała się, gdy dotarli na górę drewnianymi schodami, prowadzącymi wprost z podwórka do mieszkania na pierwszym piętrze. – Tatko nie dotyka się rachunków. Ja to wszystko zliczam i wpisuję do ksiąg. On tylko wpisuje przyjęte automobile i wystawia karty napraw dla pracowników. A ja to wszystko potem rachuję i wpisuję do ksiąg.

Otworzyła drzwi prowadzące do kuchni i przepuściła go przed sobą.

– Niech pan położy to na stół i siada. Zaraz nastawię wodę na kawę. A w biurze tatko pracuje dwa razy w tygodniu – ciągnęła przerwany wątek. – Tyle że w biurze partyjnym na Bismarckstraße. Tam przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki.

– Ale dziś jest środa, panno Trudi – zdziwił się Frank.

– Bo dzisiaj ma specjalną naradę. Wraz z dyrektorem Policji ustalają cały program wizyty i trasę, jaką będzie przejeżdżał pan Hitler, jak do nas przyjedzie w przyszły poniedziałek. Wszystko to jest bardzo tajne. Tak mówił mi tatko.

– Lepiej, żeby rzeczywiście pani o tym nikomu nie wspominała.

Spojrzała na niego poważnie, a uśmiech na moment zniknął z jej twarzy.

– Toteż nikomu nie mówię. Ale pan, to co innego. Pan jest z policji, więc takie rzeczy to pan i tak będzie wiedział, skoro jest oficerem. Dyrektor Gruen i tak panu o wszystkim opowie, a jak nie on, to na pewno Hauptmann Aschmutat.

Eberhardt wyprostował się na krześle, zadowolony, że miała tak wysokie zdanie o jego kompetencjach. W rzeczywistości nikt nie dopuściłby go do takiej wiedzy. No, ale skoro ona tak myśli, to przecież nie będzie wyprowadzał jej z błędu.

– Oczywiście, że powie – skłamał na poczekaniu, bez zmrużenia oka.

Zadowolona odwróciła się do niego tyłem, by postawić czajnik z wodą na westfalce. Potem podeszła do kredensu, otworzyła szufladkę młynka i łyżeczką nasypała zmielonej kawy do dwóch kubków.

– A skoro pan jest z Saksonii, to znaczy, że katolik? – zapytała niby od niechcienia, nawet nie odwracając się do niego.

– Tak jest, panno Trudi. Jestem katolik – potwierdził jej domysły. – A pani to pewnie protestantka?

– Broń Boże. Też katoliczka. My z parafii Świętych Janów, z tego kościoła, co tu nad rzeką zaraz przy moście stoi – wyjaśniła, ruszając z kubkami w stronę pieca. Przez moment dostrzegł uśmiech zadowolenia na jej ustach. Zaraz jednak przestał go widzieć, bo znów stanęła do niego plecami. Natychmiast wykorzystał tę chwilę, by rzucić okiem na jej kształtną pupę. Z zadowoleniem stwierdził, że wygląda całkiem ponętnie. Eberhardt Frank nie miał dotąd zbyt wiele do czynienia z kobiecymi pupami. Właściwie to można by śmiało powiedzieć, że nie widział gołej pupy na oczy, musiała mu wystarczyć bujna wyobraźnia. Natychmiast więc próbował wyobrazić sobie, jak wyglądałaby panna Trudi, gdyby zdjęła tę swoją sukienkę, ale mimo że różne rzeczy potrafił sobie wyobrazić, to z tym akurat miał pewien kłopot.

Zapomniał o tych grzesznych myślach, gdy Trudi postawiła przed nim kubek z parującą i aromatyczną kawą. Podsunęła też w jego kierunku cukiernicę i sama usiadła naprzeciwko.

– A Eberhardt to jak będzie zdrobniale? Chyba Ebi?

– Mama zawsze mówiła do mnie Ebi – potwierdził jej

przypuszczenia. – Zresztą do dzisiaj tak mówi. Ale ojciec zawsze – Eberhardt.

– Ebi brzmi lepiej. Bo Eberhardt jest takie twarde, męskie.

– Dla pani mogę być Ebi, panno Trudi.

– Ebi, bardzo ładnie. No, ale jak jesteśmy Ebi i Trudi, to znaczy, że jesteśmy na ty, a nie piliśmy przecież bruderszaftu. A ja nie mam tu nic do takiego toastu. Tatko ma wódkę na dole w kantorku.

– Może być przecież kawa.

– Naprawdę?

– Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś pił bruderszaft kawą. Ale jak nie ma niczego innego pod ręką... Zresztą ja i tak bym nie mógł alkoholu na służbie...

Nie dokończył, bo podeszła do niego ze swoim kubkiem w ręce. Zerwał się z siedzenia i stanął przed nią wyprostowany. Stuknęli się porcelanowymi kubkami ozdobionymi kalkomanią w czerwone róże, a potem Trudi pocałowała go w usta. Zrobiła to, cały czas patrząc mu w oczy. Poczuł nagle, że cały świat zaczyna mu wirować dokoła. Szybko odstawił swój kubek na stół, a ona zrobiła to samo ze swoim. Teraz on pochylił się nad nią i ją pocałował. Poczuł, że dziewczyna obejmuje go dłońmi, więc schwycił ją w pasie. Trwali tak w tym pierwszym w swoim życiu pocałunku przez dobrą chwilę, aż w końcu oboje stracili dech w piersiach.

– Trudi – szepnął.

– Ebi, mój kochany – powiedziała dziewczyna. – A ożenisz ty się ze mną? – zapytała zaraz rzeczowo. On spojrzał tylko w jej błękitne oczy i już wiedział, że nigdy nie będzie chciał mieć innej kobiety. Za żonę oczywiście nie będzie chciał mieć innej, bo co do innych kobiet to przecież nigdy nic nie wiadomo, co się jeszcze może przydarzyć.

– Oczywiście, że tak. Przecież jestem oficerem.

– To się tatko zdziwi!

– Jak to – zdziwił? – zapytał niespokojnie.

– No jak mu powiem, że chcesz się starać o moją rękę.

– A po co mu mówić?

– Jak to – po co? Przecież tatko musi się zgodzić.

– No, to prawda, ale na razie lepiej nic nie mówić. Ma w tej chwili za dużo na głowie. Niech się tu wszystko uspokoi. Może dopiero po wizycie Hitlera mu powiemy?

– Masz rację, kochany. Nie ma co mu teraz głowy zawracać.

Frank uśmiechnął się zadowolony, ale jednocześnie cały czas zmieszany tą całą, dość nietypową sytuacją. Tak naprawdę nie wiedział, jak się powinien zachować, dlatego postanowił jak najszybciej się stąd ewakuować.

– Wiesz, Trudi, muszę szybko iść do biura, gdyż pozyskałem bardzo ważne dla śledztwa informacje.

– Tak? A jakie? – zapytała natychmiast zaciekawiona, a on nie wiedzieć dlaczego zaraz jej wszystko opowiedział.

– Tego Wargatscha to pobito tutaj, obok waszego domu, tam, w tym zaułku, gdzie jest pralnia, a potem wrzucili go do wody z tej przystani betonowej. Znalazłem nawet jego but, a jedna kobieta, co tam mieszka, Gerta Budnik, to powiedziała, że jeden z tych, co go bili, to się nazywał Huber albo Halber.

– Halber to jest kolega tego goryla Schultego. Mówiłam ci o nim, że to ten cham, który zawsze się tak na mnie patrzy, jakby chciał mnie pożreć. Stale trzymają się razem: Schulte, Halber i ten trzeci – Globke.

Frank wyciągnął z kieszeni notes i szybko wpisał ołówkiem trzy nazwiska. Halbera podkreślił dwa razy.

Wtedy, w kuchni Trudi, wszystko mu się pięknie poukładało, ale teraz, gdy wyszedł z gabinetu Hauptmanna, był pełen wątpliwości. Musiał pogadać z tym policjantem z kolejowego dworca.

Godzina 12.30 po południu

Chciało mu się pić, postanowił więc wyjść z hotelu. Wcześniej wypił kolejne dwie butelki piwa, które przyniósł mu jego nowy kolega, portier Schmitz. Gdy opróżnił obie flaszki, doszedł do wniosku, że trzeba się położyć i zdrzemnąć chwilę. Ale sen nie nadchodził. Było za gorąco na spanie, a duszne powietrze w hotelowym pokoju było tak gęste, że można by je krajać nożem. Zresztą sam się do tego przyczynił, wypalając na leżącym kilka papierosów. W tej sytuacji jako człowiek czynu musiał coś przedsięwziąć. Zdecydował więc, że się ubierze i wyjdzie się przejść po mieście. W końcu po raz pierwszy był za granicą i warto było rzucić okiem, jak żyją tu sobie Niemcy. No, a poza tym może podczas tej przechadzki trafi się po drodze jakaś piwiarnia?

Ubrał się szybko i zszedł na dół. Portier Schmitz siedział za swoim kontuarem i bezmyślnie gapił się w wielkie okno. Usłyszawszy kroki na schodach, odwrócił się w jego kierunku. Gdy dostrzegł Grubińskiego-Wiciaka, uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dziurę po zębie. Tolek położył klucz na kontuarze.

– Przejdę się trochę, bo duszno dzisiaj.

– A i owszem, duszno. Przyda się przewietrzyć trochę głowę. – Powiedziawszy to, portier mrugnął porozumiewawczo do Tolka.

– A gdzie tu iść?

– Najlepiej zaraz skręcić w lewo. Ulica Posenerstraße prowadzi do Neuer Markt. Nie da się nie trafić, panie Wiciak.

Tolek pokiwał głową i już chciał zadać kolejne pytanie, ale portier go uprzedził.

– Na rynku jest kilka piwiarni, ale najlepsza jest winiarnia i piwiarnia Paula Dreiera. No i dają tam wyborne parówki do piwa. Powiadam panu, palce lizać.

– No to idę – zdecydował, zakładając na głowę kapelusz. Zazwyczaj chodził w kaszkiecie, ale na wyjazd specjalnie zabrał

swojego brązowego stensona, który idealnie, tak mu się przynajmniej zdawało, pasował do lekkiej wełnianej marynarki w kolorze brunatnym.

– Jakby co, to pewnie w godzinę, może najdalej w dwie, obróćę – zapowiedział i nie tracąc więcej czasu, wyszedł na ulicę. Fala gorąca uderzyła go w twarz. Spojrzał w górę. Na niebie ani jednej chmury. Rozejrzał się wokół, a potem sięgnął po papierosa i zapalił. Ulica wiodąca w lewo zapowiadała przyjemne doznania w piwiarni. Nie było nad czym się zastanawiać. Ruszył w tamtym kierunku, mijając hotel. Nie zaszedł jednak daleko. Przystanął przy wielkim oknie wystawowym sklepu kolonialnego, przyglądając się z zaciekawieniem wystawie, na której wyeksponowano różnokolorowe puszki i pudełka z kawą, czekoladą i herbatą. Pomyślał, że gdy będzie wracał do domu, powinien tu zajść, żeby kupić coś dla dzieci, które przepadały za czekoladą. Ciekawe, swoją drogą, czy ta niemiecka czekolada różni się jakoś od tych, które kupował w kraju? Pamiętał niemieckie czekolady z czasów wojny, takie z napisem „Gott strafe England” z wizerunkami dwóch cesarzy, niemieckiego i austro-węgierskiego, i nie było to najlepsze wspomnienie. Wcale nie przez te napisy, ale ze względu na zawartość. Wtedy produkowano same erzace, czyli wyroby przypominające czekoladę tylko z nazwy. No, ale teraz, tyle lat po wojnie, coś w tej niemieckiej produkcji mogło się przecież zmienić. Trzeba będzie to sprawdzić – pomyślał i odwrócił się od wystawy. Już chciał iść w kierunku rynku, gdy drogę zagrodziło mu dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie wyświechtane, można by powiedzieć, że urzędnicze szare marynarki.

– Pan Wiciak, jak się domyślam? – zapytał chudy i wyższy, z wystającą grdyką i z okularami na nosie.

– A kto pyta? – warknął Tolek.

– Nie gadać, tylko odpowiadać – ponaglił go drugi, znacznie

niższy, o okrągłej twarzy ozdobionej prostym wąsem.

– Jak nie wiem, z kim mam nieprzyjemność, to nie odpowiadam. – Odepchnął chudzielca i już chciał ruszyć dalej, gdy nagle poczuł, że coś twardego wbija mu się w bok. Natychmiast zrozumiał, z czym może mieć do czynienia.

– Policja – powiedział ten mniejszy. – Pogadamy sobie trochę, panie Wiciak.

– Jestem z Polski. Co ode mnie może chcieć niemiecka policja?

– To się zaraz okaże – stwierdził chudy, wskazując mu kierunek.

Przy krawężniku stał zaparkowany samochód. Był to stary citroën, półciężarówka, jakich używają dostawcy dowożący towar do sklepów. Na burtach nie było jednak napisów, ten więc nie należał do żadnego przedsiębiorstwa transportowego czy hurtownika. Tolek zdziwił się bardzo, że policja w tym mieście jeździ takimi dziwnymi autami. Ale to pewnie dla niepoznaki – pomyślał, siadając na środkowe siedzenie, pomiędzy dwóch policjantów. Ten chudy, usiadłszy za kierownicą, odpalił samochód. Auto zawróciło na ulicy, tamując ruch kilku wozów konnych, i potoczyło się wolno w stronę rynku.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał w końcu Tolek, gdy citroën wjechał na rynkowy plac, na którym kłębił się ludzki tłum. Najwyraźniej był to dzień targowy, bo wszędzie stały furmanki, z których okoliczni chłopcy sprzedawali swój towar.

– To się zaraz okaże, panie Wiciak – warknął ten mały.

– Jestem spokojnym człowiekiem, podróżującym w interesach.

– W interesach – odezwał się drwiącym tonem chudy. – A jakież to interesy robi u nas polski komunista?

– Kto? Jaki komunista?

– My już tam dobrze wiemy, kto pan jesteś, panie Wiciak. Albo może powinienem powiedzieć: towarzyszu Wiciak?

Auto wyjechało z rynku, by za chwilę wtoczyć się na obszerne skrzyżowanie. Po lewej była jakaś fabryka meblowa, a po prawej kościół o dwóch wieżach. Samochód wjechał prosto na most łączący dwa brzegi niezbyt szerokiej rzeki. Tolek zauważył, że nie może umywać się do poznańskiej, majestatycznej Warty, ale zaraz myśli wróciły do rzeczywistości.

– Jaki ja towarzysz? Zwyczajny handlarz jestem.

– I co handlarz zamierza kupić w naszym mieście? – ciągnął ten z wystającą grdyką.

– Nie wasz interes – odparł hardo Grubiński, przyglądając się budynkom browaru po prawej stronie ulicy.

Do szoferki samochodu wpłynął zapach chmielu, taki sam jak ten, który czuć było w Poznaniu, gdy mijało się browar Huggera na Półwiejskiej. To natychmiast przypomniało Tolkowi o piwie, które zamierzał wypić w knajpie na rynku. Przełknął ślinę, bo poczuł suchość w gardle.

– Tak się składa, że my, towarzyszu Wiciak, my musimy wiedzieć wszystko.

– Wszystko? Wszystkiego to nie wie nikt. Nawet ja.

– Widzisz go, jaki mądry? – Chudy uśmiechnął się, spoglądając na małego.

– Trzeba mu będzie obić mordę i już nie będzie taki hardy – stwierdził mały. – Niejednego takiego widziałem, co po mordobiciu całkiem się zmieniał. Co, panie Wiciak, przepraszam, towarzyszu Wiciak, sądzicie o takim rozwiązaniu?

Citroën wjechał w szeroką ulicę porośniętą z obu stron starymi drzewami. Na narożniku pierwszego domu Tolek odczytał tabliczkę Brombergstraße. Dokąd te gnoje mnie wiozą? – zaczął się zastanawiać. Raczej nie do Dyrekcji Policji, bo budynek policyjny z czerwonej cegły, który mijał, idąc z dworca kolejowego, był po drugiej stronie rzeki.

– Dokąd jedziemy? – zapytał w końcu.

– Przekonasz się za chwilę – odpowiedział chudy, poprawiając

zsuwające się okulary.

- Nie jedziemy na policję.
- No popatrz, jaki z niego mądrała. - Mały uśmiechnął się zadowolony. - A skąd wiesz, gdzie jedziemy?
- Nie wiem. Nie jesteście z policji?
- Strzel go w pysk, bo ja trzymam kierownicę.
- Czym? Pistoletem?
- Czym chcesz. Przemądrzały gnojek. Skąd się biorą takie worki na gówno? Tych wszystkich komunistów należałoby od razu powywieszać na latarniach.
- Nie jestem komunistą - zaprotestował Tolek.
- A ja nie jestem kierowcą - odpowiedział kierujący autem chudzielec i zaśmiał się głośno.

Samochód mijał koszarowe budynki. Po chwili zwolnił, bo przejeżdżali przez tory kolejowe. Duże, piętrowe budynki zniknęły z ulicy, a ich miejsce zajęły małe jednorodzinne domki pokryte szarą dachówką. Najwyraźniej wyjeżdżali z miasta.

- O co tu do cholery chodzi - zastanawiał się Grubiński. Gdyby faceci, którzy go wpakowali do tego samochodu, byli policjantami, to przecież zawieźliby go do policyjnego aresztu i tam spuścili mu lanie. Oni najwyraźniej jednak postanowili go wywieźć gdzieś za miasto. Tylko po co?

Domki się skończyły, a ich miejsce po obu stronach drogi zajęły sosny. Byli już za miastem. Samochód nagle zwolnił i chudzielec skręcił w leśną ścieżkę, na prawo od szosy. Przejechali może jakieś dwieście metrów, gdy las się przerzedził. Citroën zatrzymał się na skraju piaszczystej, porośniętej krzewami polany.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział kierowca. Ten mniejszy otworzył drzwi i wysiadł. Zaraz wymierzył pistolet w kierunku Tolka.

- No, towarzyszu Wiciak, koniec przejażdżki. No i koniec z towarzyszem Wiciakiem. Wyłaź!

Grubiński powoli wyszedł na piaszczystą drogę. Rozejrzał się dokoła. Nie było dokąd uciekać. Otwarta przestrzeń polany nie dawała mu najmniejszych szans. No, chyba że do lasu. Ale drzewa nie mogły zapewnić mu ochrony. To nie był polski gęsty las, lecz niemiecka sosnowa uprawa leśna, z drzewami oddalonymi od siebie o metr. Gdyby biegł dostatecznie szybko, to może już po stu metrach zniknąłby im z oczu. Ale on nie był przecież Kusocińskim. Jedyne, co mógł zrobić, to użyć mózgu zamiast nóg.

Chudy kierowca obszedł auto i stanął obok niego. Ten mniejszy cały czas trzymał w dłoni pistolet. To był bębenkowy rewolwer, podobny do tych, jakich używali kowboje w filmach, na które chodził razem z Kryską do kina Apollo. Nagle zwrócił uwagę na pewien szczegół. Kurek pistoletu nie był odwiedziony. Ten kurdupel, by strzelić do niego, musiał go najpierw naciągnąć. Gdyby był szybki, mógłby to zrobić w ułamku sekundy. Ale ten facet nie wyglądał na szybkiego.

– No i co teraz, zasrańcy? – zapytał.

– Słyszysz, ten komunistyczny gnojek mówi do policjantów zasrańcy! – zdziwił się ten z pistoletem. Mówiąc to, spojrzał na swojego nieuzbrojonego kolegę. Ten moment bezwzględnie wykorzystał Grubiński. Błyskawicznie skoczył na małego, uderzając go głową w brzuch. Kompletnie zaskoczony mężczyzna upadł na plecy. Jeszcze w locie Tolek złapał go za rękę. Gdy obaj leżeli na piaszczystej drodze, poczuł, że pistolet wysuwa się z palców faceta. Nim ten zorientował się, w czym rzecz, broń już była w dłoni Tolka, który błyskawicznie zerwał się na równe nogi. Ze zdziwieniem zauważył, że ten chudy nawet się nie ruszył, zapewne także zaskoczony całą sytuacją.

– A teraz obaj na ziemię, mordą do dołu! – krzyknął Tolek.

Chudzielec natychmiast posłuchał polecenia. Drugi jednak zamiast się położyć, usiadł, mierząc Polaka złym spojrzeniem.

– Nieżli jesteście, towarzyszu Wiciak. Wyszkolili was

w Moskwie odpowiednio.

- Kładź się, gnoju, bo zaraz odstrzelę ci ten przemądrzały łeb.
- To nie będzie konieczne. Przemądrzały łeb może się jeszcze przydać.

Tolek odciągnął kurek rewolweru.

- Przestań gadać i kładź się. Jeszcze jedno słowo i po tobie, śmieciu.

- Dajcie spokój, towarzyszu. Egzamin wypadł pomyślnie.

- Jaki egzamin do cholery?

- Wszystko wskazuje, że jesteście tym, za kogo się podajecie.

Grubiński spojrzał na niego jak na wariata, a potem sięgnął po swojego stensona leżącego na ziemi. Kapelusz, po tym, jak Tolek skoczył na porywacza, nieco się zdefasonował.

- Musieliśmy was sprawdzić, czy aby nie jesteście prowokatorem. No, ale teraz jasno widać, że jesteście tym, na którego czekaliśmy. Prawda, towarzyszu Bauer?

- Prawda, prawda... tyle, że nic nie widzę, bo mi gdzieś spadły okulary – powiedział leżący w piachu Bauer, członek zarządu miejscowej Komunistycznej Partii Niemiec.

- Jesteście mi winni stensona. Nie daruję wam tego kapelusza.

Godzina 1.00 po południu

- A on to raczej jest za prawicą, czy może bardziej na lewo?

- Huber nie jest ani na lewo, ani na prawo.

- Czyli co? Taki centrowiec?

- Nie, panie Leutnancie. On zawsze gada, że w dupie ma wszystkie partie – wyjaśnił Wachtmeister, pociągając łyk piwa z kufla. Frank też się napił, ale zdecydowanie mniej. Nie był tak wytrawnym piwoszem, jak ten stary policjant. W zasadzie to nawet nie lubił piwa. Zdecydowanie wolał oranżadę. No, ale nie

mógł przecież zaprosić na piwo starego policjanta i zamówić sobie napój dla dzieci, bo straciłby pewnie cały autorytet, którego zresztą nawet nie zdążył sobie jeszcze wyrobić. Na razie całym jego autorytetem był mundur i najniższy stopień oficerski. Na ten prawdziwy, biorący się z przekonań i siły woli, musiał zapracować. A takie drobiazgi jak oranżada mogłyby go zniszczyć na samym początku.

– I jak panu smakuje nasze piwo? – zapytał policjant Schwartz, odchodząc od tematu.

– Całkiem niezłe – skłamał Frank, który z trudem przełknął właśnie kolejny niewielki łyk.

– A pan Leutnant to chyba z Saksonii?

– To tak bardzo słyhać? – zdziwił się.

– Panie Leutnancie, co byłby ze mnie za policjant kolejowy, jak ja bym po platówie nie umiał rozpoznać, kto skąd jest? U pana, na ten przykład, melodia jest miękka i śpiewna, taka, można by nawet powiedzieć, trochę austriacka, a my tu, na pograniczu, bardziej szeleścimy. Te wszystkie „sz-cz” mamy podobne jak polskie.

– Ale przecież tu chyba nie mieszka zbyt dużo Polaków? Nie spotkałem ich dotąd wielu. Owszem, kilka nazwisk...

Schwartz uśmiechnął się pod swoim wielkim wąsem.

– Musi się pan jeszcze sporo o tym mieście nauczyć. Ale o ludziach, co tu żyją, to mogę panu powiedzieć tyle, że żadne nazwisko o niczym nie przesądza. Kowalski to może być czysty Niemiec, co nie zna ani jednego słowa po polsku, a Schwartz to może być Polak, co tylko po niemiecku umie gadać.

– To pan jest Polakiem?

– Jak moja mamusia była Polka, a tatuś Niemiec, to kto ja jestem, panie Leutnancie? Od dziecka gadam i po polsku, i po niemiecku. Jak rozmawiam z Niemcem, myślę po niemiecku, a jak z Polakiem, to po polsku. I do tego wszystkiego noszę jeszcze niemiecki mundur policjanta, co jego przydziałem

zaraz po Wielkiej Wojnie, jak wróciłem się z Francji. To kto ja jestem, panie Leutnancie, Polak czy Niemiec?

– W takim razie Niemiec. Krew jest po ojcu – zawyrokował Frank.

Wachtmeister najwyraźniej rozbawiony pokręcił głową.

– Ani nie Polak, ani nie Niemiec. Ja jestem kundel. Tak jak większość z tych, co tu mieszkają. Wszyscyśmy miejscowe kundule.

Złapał za kufel i dopił piwo do dna. Potem wierzchem dłoni otarł wąsy z piany i machnął na bufetowego, żeby ten nalał kolejne piwo. Obaj policjanci siedzieli w barze dworcowym. Większość stolików była pusta. Pół godziny temu odszedł pociąg berliński i teraz w rozkładzie następny spośród tych, których pasażerowie korzystali z baru w czasie przerwy w podróży, był pociąg jadący do stacji Kolberg, ale ten miał być dopiero za dwie godziny. Na peronie pierwszym, który można było obserwować z okien baru, stał tylko osobowy do Flatow. Wracali nim do domu mieszkańcy okolicznych miejscowości, którzy w Schneidemühl od rana załatwiali sprawy w licznych urzędach bądź wybrali się do miasta na zakupy. Niewielu z nich korzystało jednak z kolejowego baru. Jedzenie i picie zabrali ze sobą w podróż i teraz, siedząc w wagonach, dojadali resztki, które im jeszcze zostały.

Po chwili na stole stanęły kolejne dwa kufle. Frank zaczął się bać o jasność własnych myśli, bo dwa piwa to było dla niego stanowczo za dużo. Nie miał jednak wyjścia. Musiał choć spróbować dotrzymać kroku Wachtmeistrowi.

– A ten kolejarz Huber... to jaki to człowiek? Pan go dobrze zna?

– Dobrze, niedobrze. Znam i tyle.

– A czy on mógłby zastrzelić tego swojego pomocnika?

– Jasne, że by mógł. Umie robić użytek z broni. Tylko po co miałby go zabijać?

– No właśnie, tego na razie nie wiem. Dlatego rozmawiam z panem, żeby zebrać wszystkie informacje i jakoś je potem poskładać. Ale powiedział pan, że umie zrobić użytek z broni...

– A kto nie umie, panie Leutnancie. Każdy, kto walczył na wojnie, wie, jak się strzela i co więcej – wie, jak strzelić, żeby zabić.

– To Huber był na wojnie? – zapytał naiwnie oficer.

– A kto nie był? Wszyscy byli, ale nie wszyscy wrócili. Myśmy wrócili. Razem ześmy byli we Francji.

– To pan służył razem z nim?

– Ma się rozumieć. Dobry był z niego żołnierz, choć trochę porywczy. Teraz się uspokoił, ale wtedy to szkoda gadać. Lepiej nie było służyć pod nim.

– Dlaczego?

– Bo Huber był z tych, co nie znosili tchórzy...

– Nikt nie lubi tchórzy. – Leutnant wiedział, co mówi, bo naczytał się sporo o wojennych przygodach żołnierzy armii cesarskiej, publikowanych w gazetach. Ze szczególną mocą piętnowano tam tchórzy, którzy za wszelką cenę chcieli ratować swe nędzne życie, narażając w ten sposób cały niemiecki wysiłek wojenny.

– Pamiętam takie zdarzenie w czasie bitwy pod Verdun. To było chyba w piętnastym roku... nie, to była wiosna szesnastego. – Schwartz przymknął powieki, by obraz wywoływany z przeszłości mógł stać się jak najbardziej wyrazisty. – Mieliśmy atakować takie wzgórze, co się nazywało Le Mort Homme, bo stamtąd ostrzeliwała nas francuska artyleria. Nasi grzmocili do nich chyba ze trzy godziny ze wszystkich luf, z jakich się dało. My w okopach ześmy mieli nadzieję, że jak tam w końcu ruszymy, to będzie to spacer, a nie atak, bo z Francuzów nie będzie już co zbierać. Wtedy ten Huber, tak samo jak ja, był Unteroffizier w swojej kompanii. No, a jak pan wie, to oficerowie dowodzą w ataku, ale żołnierzy to

prowadzą do boju podoficerowie. No i tak zawsze było u nas. Oficerowie nas prowadzili, ale to myśmy zagarniali boki i podrywali do boju tych, co zalegli. Podoficer, panie Leutnancie, to na froncie jest jak matka dla swoich żołnierzy, ale są i takie chwile, że musi być dla nich jak surowy ojciec. I tak właśnie było wtedy z Huberem i tymi jego chłopakami, co przyszli z uzupełnienia. Wie pan, takie gołowąsy, co to zawsze przychodzą, żeby zająć miejsce tych, co polegli, ale nikt nawet nie jest w stanie zapamiętać ich twarzy i nazwisk, bo to oni najszybciej giną w walce. Nie mają doświadczenia i głowy noszą za wysoko. A gdy zaczyna się prawdziwe piekło, pierwsi wskakują do najbliższego leja i za nic nie da się takich zasrańców potem wyciągnąć.

No więc wtedy, jak już artyleria przycichła, poszliśmy do tego ataku. Zdawało się, że to będzie marsz po swoje. Ale gdy tylko zbliżyliśmy się do francuskich linii, rozpętało się piekło. Francuzi wyleźli ze swoich nor i zaczęli do nas walić, z czego się tylko dało. Chłopcy zaraz zalegli na przedpolu i tylko co niektórzy odgryzał się ogniem. Ale to i tak już nic nie mogło zmienić. Atak zastygł. Huber z tymi swoimi żółtodziobami leżał niedaleko mnie. Oni akurat zaszli najdalej i teraz mieli do francuskich okopów najbliżej. A Huber wiedział, że mają teraz tylko jedną szansę. Albo poderwie swoich ludzi i ruszą do przodu, albo wszystkich ich po kolei tu wytłuką, jak tylko zrobi się jaśniej, bo do świtu zostało już niewiele czasu. No tom widział, jak on czołga się od jednego chłopaka do drugiego i każdemu coś tłumaczy. Potem zaczął dawać mi znaki, że jego ludzie są gotowi i jak tylko ruszą, mamy ich osłaniać, a potem sami mamy lecieć za nimi. Pokiwałem mu, że rozumiem, w czym rzecz, choć nie dawałem mu większych szans, że uda mu się ich poderwać. No i wtedy Huber to zrobił. Ryknął na całe gardło, żeby się poderwali i ruszali do przodu. Ale żaden z nich się nie podniósł. Tylko Huber wstał i darł się

w niebogłosey, jakby go ze skóry obdzierali. A ci młodzi nic. No to Huber, któremu wkoło głowy latały kule jak wściekłe osy, złapał jednego z tych chłopaków, poderwał go w górę i wpakował mu kulę w łeb. Normalnie przyłożył mu pistolet do głowy i odstrzelił mu ją, a ona się rozleciała jak melon. I oni to wszystko widzieli, ci jego młodzi chłopcy z uzupełnień. A on zaczął krzyczeć, że własnoręcznie ich wszystkich na miejscu powystrzela. I wtedy stał się cud. Wszyscy nagle poderwali się i ruszyli do ataku. A myśmy ruszyli za nimi. I wie pan co? Myśmy weszli na to wzgórze i żeśmy je zdobyli! A wszystko dzięki Huberowi. Bo ci jego gówniarze byli tam pierwsi. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że większość jego ludzi przeżyła ten atak. Z tym, że galoty mieli wszyscy jak jeden pełne gówna. A Huber, który ich poprowadził i tak właściwie wszystkich uratował, dostał za to Krzyż Żelazny. Taki to jest, panie Leutnancie, człowiek. Tak, że jak pan się mnie pyta, czy on by mógł kogoś zastrzelić, to ja panu mogę odpowiedzieć, że mógłby. Ale wiem jedno, że musiałby mieć do tego cholernie dobry powód.

Skończywszy opowieść, Schwartz pociągnął solidny łyk piwa, bo najwyraźniej zaschło mu w gardle.

– To znaczy, że on jest bohaterem wojennym – podsumował Frank.

– Bez dwóch zdań. Zasłużył sobie na to odznaczenie jak mało kto.

– I gdyby miał jakąś złość do tego swojego pomocnika, to pewnie mógłby go zastrzelić?

Wachtmeister pokiwał głową.

– Jakby chciał, toby mógł. Ale czyby chciał? Bo na ten przykład jak ja bym był na jego miejscu, panie Leutnancie, i miałbym złość do tego Willy'ego Becka, to po co bym się miał zaczynać na niego, aż ten pójdzie do kibla? Na jego miejscu zrobiłbym coś, co jest o wiele prostsze.

- Czyli co? – zainteresował się młody oficer.
- Czyli bym do takiego kogoś nie strzelał, ale bym go, na ten przykład, wykopał z lokomotywy podczas jazdy. Nie byłoby po facecie co zbierać, jakby się go wykopało w dobrym miejscu. O, na moście można by go wypchnąć i już po nim. I żadnych podejrzeń, żadnego strzelania. Normalny wypadek.
- No to może pan by tak zrobił, ale on mógł myśleć inaczej. – Leutnant nie był do końca przekonany.
- Panie Leutnancie, niech pan posłucha starego blacharza, który niejedno już widział. Przestępcy, ci, co zabijają innych, to też są ludzie. A ludzką naturę tak już Bóg ulepił, że człowiek nie lubi się za bardzo przemęczać i wysilać. I jak taki człowiek, przestępca, se pomyśli, że ma kogoś zabić, to robi to tak, żeby się za dużo nie narobić. Ciachnie nożem, wyrzuci z pociągu, zepchnie do rzeki. Nie będzie se komplikował życia z powodu kogoś, kogo chce sprzątnąć. No i dlatego myślę sobie, że musi pan szukać kogoś, komu najłatwiej było dopaść tego biedaka w kiblu. Bo dla Hubera to akuratnie było, tak mi się zdaje, najtrudniejsze.
- Dlaczego najtrudniejsze?
- Bo jego tu wszyscy znali i gdyby się kręcił koło wychodka, to ktoś by go zauważył. Ale nikt go tam nie widział. Za to tego dnia ludzie widzieli tam takiego jednego faceta, który był dość dziwny.
- Co to za człowiek był? I czemu dziwny według pana?
- Bo ten, co jego tam widzieli, a ja już wszystkich rozpytałem dokładnie, to on ubrany był w czarną skórzaną kurtkę.
- Leutnant uśmiechnął się, wydymając nieznacznie usta. Co mogło być dziwnego w czarnej skórzanej kurtce? – pomyślał.
- Znam przynajmniej dziesięciu ludzi, którzy mają czarne skórzane kurtki – powiedział.
- Ja może nie znam aż tylu, panie Leutnancie, ale wiem jedno. Żaden z tych moich znajomków, co mają takie skórzane kurtki,

nie chodzi w nich w środku lata, gdy na dworze jest przynajmniej trzydzieści stopni.

Zawiadowca stacji zapowiedział przez megafon, że pociąg do Flatow odjedzie za cztery minuty. Ludzie, którzy stali na peronie i palili papierosy, zaczęli je gasić w popielniczkach. Dwaj podróżni, którzy siedzieli pod oknem, dopili swoje piwa i ruszyli do wyjścia. Do ich stolika podszedł kelner i postawił na nim kolejne dwa kufle. Frank chciał powiedzieć, że jeszcze ma pełny, ale nie powiedział. Jego naczynie było puste. Nawet nie zauważył, kiedy wypił to drugie piwo. No trudno, trzeba będzie wypić szybko trzecie...

– Po co mu skórzana kurtka w lecie? – zapytał, zastanawiając się nad tym dziwnym zjawiskiem.

– Bo z takiej kurtki, panie Leutnancie, znacznie łatwiej usunąć ślady krwi niż z letniej, białej koszuli. A jak człowiek strzela do drugiego z bliska, to zawsze jest niebezpieczeństwo, że się tą krwią upapra.

Rozdział VI

Schneidemühl Piątek, 15 lipca

Godzina 5.50 rano

Gustaw Huber wszedł na pryczę, żeby wyrzeć przez okno. Było małe, więc i niewiele można było przez nie zobaczyć. Dostrzegł jedynie kilka samochodów zaparkowanych pod ścianą z czerwonej cegły, a ponad nimi rząd dużych okien. Wczoraj wieczorem, gdy go wysadzali z więźniarki, nie miał pojęcia, dokąd go przywieziono. Domyślał się, że to może być Dyrekcja Policji, ale nie wiedział tego na pewno, bo drzwi auta policyjnego, które dowiozło go na miejsce, otworzono niemal na wprost korytarza prowadzącego do aresztanckich cel. Mogło być więc i tak, że to wcale nie budynek policji, ale areszt przy Landgericht^[2] na Friedrichstraße. Jednak ten dziedziniec, któremu się teraz przypatrywał, mówił sam za siebie. Huber nigdy nie był w tym budynku, ale jego czerwoną cegłę znał doskonale, bo każdego dnia przechodził wzdłuż tych murów, idąc w kierunku dworca kolejowego. Nie przypuszczał jednak, że kiedykolwiek może znaleźć się w środku i to w charakterze aresztowanego. Nigdy nie myślał o tym, że kiedykolwiek może być wplątany w jakąkolwiek sprawę kryminalną. A tu proszę,

kryminał sam wyciągnął po niego rękę. Ręka umundurowana oczywiście miała postać Wachtmeistra Ullego Brennera. Kolejarz znał go dobrze. Zresztą, którego z policjantów w tym mieście nie znał? Nie było ich w końcu tak wielu. Ci starsi, tacy w jego wieku, czyli po czterdziestce, to byli ludzie, którzy podobnie jak on mieszkali tutaj od urodzenia. Dlatego Brenner odezwał się do niego po imieniu, gdy ten wieczorem stanął w jego drzwiach. Minę miał strapioną, bo raczej trudno zabierać do aresztu człowieka, z którym nieraz piło się piwo.

– Słuchaj, Gustaw, dostałem rozkaz, żeby doprowadzić cię na przesłuchanie – powiedział, drapiąc się po brodzie.

– O tej porze? – zdziwił się Huber. Było już dobrze po dziesiątej, dlatego miał na sobie pasiastą pidżamę. Za chwilę zamierzał położyć się spać, bo rano od siódmej zaczynał służbę na kolei.

– Wiesz sam, jak jest z rozkazem. Mam cię odwieźć i tyle.

– Niech to szlag – warknął Huber. Na urzędowe wezwanie od policjanta na służbie nic się nie da poradzić.

– Poczekaj, tylko się ubiorę – powiedział zrezygnowany i ruszył w głąb mieszkania.

Brenner poszedł za nim. Ale nie, żeby go pilnować. Był pewny, że kolejarz nie zamierza uciekać. Wszedł do kuchni i usiadł przy stole. Po chwili w pomieszczeniu pojawiła się gospodyni w zapiętym pod szyję różowym szlafroku.

– Czego od niego chcecie? – zapytała, obrzucając policjanta uważnym spojrzeniem. Ten tylko wzruszył ramionami, ściągając z głowy czapkę.

– Ja tam, pani Huber, nic nie wiem. Ja mam rozkaz, to jego wykonuję i tyle.

– Przecież on nic nie zrobił.

– A czy kto mówi, że zrobił? Przesłucha się go i zaraz wróci do domu.

– Ale czemu po nocy?

– A bo to pani nie wie, że policja tak jak kolej po nocy pracuje? Dla nas pora nie ma znaczenia.

– Ale dla porządných ludzi ma.

– Dałabyś już spokój, Helga – odezwał się Huber, stając w drzwiach do kuchni. – Przecież Brenner nic nie winien. Kazali mu, to i przyszedł.

Zeszli na dół po skrzypiących drewnianych schodach. Więźniarka bez okien stała zaparkowana na wprost bramy prowadzącej do kamienicy. Brenner otworzył tylną klapę i kazał Huberowi wsiadać.

– Nie chowaj urazy. Nic na to nie poradzę – powiedział i zatrzasnął drzwiczki. Dojazd na miejsce zajął kilka, a może kilkanaście minut. Czas w ciemności płynie zupełnie inaczej.

Gdy auto się zatrzymało, otwarto drzwi. Przy samochodzie nie było już jednak Brennera. Jakiś młody policjant, którego Huber widział po raz pierwszy w życiu, kazał mu wysiąść i bezpośrednio z więziennej karetki wprowadził w oświetlony korytarz. Po lewej stronie znajdował się rząd aresztanckich cel. Huber się zdziwił, bo był przekonany, że chcą go przesłuchać. Tymczasem klawisz zaprowadził go pod trzecie drzwi, otworzył je i kazał wchodzić do środka. Wewnątrz były dwie prycze. Na tej po prawej stronie leżał jakiś człowiek. Dojrawszy wchodzącego, podniósł się i usiadł na pościeli. Za kolejarzem drzwi zamknęły się z trzaskiem. Huber przez chwilę stał, przyglądając się wnętrzu. W sumie nie było tu nic ciekawego do oglądania. Prócz dwóch prycz jeszcze stolik i dwa taborety przy ścianie, na wprost drzwi. Pod samym sufitem zakratowane okienko, a na górze blade światło.

– Nazywam się Huber – powiedział, patrząc na swojego współlokatora.

Ten spróbował się uśmiechnąć, ale niezbyt mu się to udało. Usta wykrzywiły się w grymasie bólu. Ponad połowa twarzy wyglądała jak tatarski befsztyk, a jednego oka prawie nie było

widać.

– Oskar Wittmann, bezrobotny stolarz – przedstawił się siedzący na pryczy. – A pan, jak widzę, kolejarz.

Huber spojrzał w dół. Dopiero teraz zorientował się, że jest ubrany w kolejarski mundur. Założył go całkowicie mechanicznie, nie zastanawiając się wcale, tak jakby się ubierał, wychodząc do pracy.

– Maszynista – potwierdził z dumą.

Podszedł do wolnej pryczy i usiadł naprzeciw Wittmanna. Sięgnął do kieszeni kolejarskiej kurtki i wydobył metalowe pudełko z tytoniem i bibułkami.

– Pali pan? – zapytał.

– Moje się już skończyły, a ci tam – wskazał głową na drzwi do celi – to tytoniu człowiekowi nie dadzą.

Wziął z otwartego pudełka bibułkę i trochę tytoniu.

– Jakby co, to może panu zostawić swój. Bo ja tylko na chwilę. Mają mnie przesłuchać i wracam do domu. A właściwie do roboty. Od siódmej mam służbę.

Wittmann spojrzał na niego, uśmiechając się lekko.

– O tym to raczej niech pan zapomni.

– O czym? – Kolejarz spojrzał na niego zdziwiony.

– O służbie od rana. O siódmej albo i wcześniej to będzie pobudka.

– E, tam. – Huber machnął ręką. – Po przesłuchaniu wracam do domu.

– Pan nie rozumie. Nikt dziś pana nie będzie przesłuchiwać.

– Jak to? To po co mnie przywieźli?

– Po to, żeby przesłuchać, ale już nie dzisiaj. W nocy nie ma żadnych przesłuchań. Policjanci to przecież urzędnicy. O czwartej kończą pracę i idą do domu. Przesłuchania zaczynają dopiero od ósmej rano.

– To niemożliwe. To po co mnie tu przywieźli?

– Żeby przesłuchać, ale dopiero jutro.

Huber przez chwilę milczał, starając się przetrwać to, co usłyszał.

– No to przecież mogli mnie tu wezwać jutro, jak wrócę z pracy.

– Widać bali się, że pan ucieknie – wyjaśnił mu tę oczywistą prawdę Wittmann. – A skoro tak jest, to znaczy, że jest pan o coś podejrzany.

– Ja?

– No właśnie pan. A tak w ogóle, to za co pana przymknęli?

– Mnie? Tego to ja nie wiem. Jak ja mogę być podejrzany, jak ja jego znalazłem już zabitego.

– Kogo zabitego? – zainteresował się natychmiast Wittmann.

– Mojego pomocnika, co my razem pracowaliśmy na lokomotywie. Jego ktoś zastrzelił, a ja jego znalazłem i tyle. Zresztą wszystko już im powiedziałem. Nie rozumiem tego...

– Ten pana pomocnik... – pytał dalej Wittmann. – Jak on się nazywał?

– Mój pomocnik? – zdziwił się Huber, tak jakby ten człowiek pytał go o coś tak oczywistego, że każdy powinien to wiedzieć. – No, jak mógł się nazywać? On się nazywał Willy Beck.

Powiedziawszy to, rzucił niedopałek na podłogę i przydepnął go butem. Był zbyt zdenerwowany, by obserwować mężczyźną siedzącego naprzeciwko. Ten, usłyszawszy nazwisko, zbladł momentalnie.

– Willy Beck – powiedział cicho, a potem powoli ułożył się na boku i przykrył kocem, naciągając go na głowę. Huber przez kilka minut chodził nerwowo po celi, zastanawiając się nad tym, co go czeka. Byłby tak pewnie chodził jeszcze dłużej, gdyby nie strażnik, który najpierw zajrzał do środka przez judasza, a potem otworzył drzwi.

– Nie łązić. Kłaść się na wyro i spać – warknął i znów zatrzasnął drzwi.

Kolejarz położył się więc posłusznie, a po chwili już spał,

chrapiąc głośno. Obudziwszy się rano, stanął na swojej pryczy, by wyrzeć przez okno.

– Jesteśmy w Dyrekcji Policji. – Głos współlokatora wyrwał go z zamyślenia. Huber spojrział w dół. Mężczyzna z obitą gębą już nie spał. Leżał jednak przykryty kocem, z rękami pod głową.

– Jak się obudziłem rano, po tym, jak mnie tu przywieźli, też wlałem na pryczę, żeby sprawdzić, gdzie jestem. To, co pan tam widzi, to jest dziedziniec wewnętrzny dyrekcji. Jak będą pana brać na przesłuchanie, to go pan sobie zobaczy z góry, bo przesłuchania są na pierwszym piętrze i idzie się korytarzem z oknami wychodzącymi na ten dziedziniec. Sprytnie pomyśleli, żeby nikt z aresztowanych nie widział świata na zewnątrz, tylko te policyjne mury.

Huber zszedł na dół i stanął na podłodze.

– A pana to niby za co tu trzymają? – zapytał z grzeczności, choć wcale nie był ciekaw odpowiedzi. Bo i co go to mogło obchodzić? W areszcie siedzą przecież przestępcy, czyli mordercy albo złodzieje. Jak kto siedzi, to znaczy, że jest winny. Oczywiście poza nim samym, bo on jest przykładem policyjnej pomyłki. Jeśli tylko znajdzie się w pokoju przesłuchań, zaraz wszystko wytłumaczy. Gorzej, że trzeba będzie się tłumaczyć z tego wszystkiego w pracy. Jak dotąd, przez te wszystkie lata nie zdarzyło się jeszcze, by nie przyszedł na służbę. Co więcej – nigdy nawet się nie spóźnił. A tu teraz taki wstyd. O siódmej zaczynał się jego dyżur, a on siedzi tu beczynn timer i nic nie może na to poradzić.

– Ja jestem więzień polityczny – powiedział Wittmann.

– Co? – Nie od razu zrozumiał, o czym ten facet mówi.

– Zamknęli mnie za politykę, bo należę do KPD.

Huber spojrział na niego uważniej. Coś kręci ten facet, przyszło mu do głowy. Przecież w naszym kraju nikogo się za politykę nie wsadza. Może co najwyżej za jakieś polityczne przestępstwa. To całkiem coś innego niż sama polityka. Prawo

jest po to, żeby go przestrzegać, a jak kto rozrabia, to może trafić do więzienia.

– Za politykę nie zamykają.

– Tak się tylko mówi.

– E, tam. – Kolejarz nie dawał za wygraną. – Jak kto co złego zrobił, to idzie siedzieć i tyle.

– To pan jednak zabił Becka?

– Co za bzdury pan wygaduje? – zdenerwował się kolejarz.

– To przecież pan powiedział, że się siedzi, jak się coś zrobiło złego.

– Ja go tylko znalazłem. Już nie żył wtedy.

– A jak go zabito?

– No, zastrzelili go.

– Kto?

– Tego to ja nie wiem. Może to przez ten jego komunizm? On po wojnie był w radach żołnierskich. Ale później już nie udzielał się. Choć go ten cholerny Wargatsch namawiał. Sam słyszałem, jak mówił mu, że ma się od niego odczepić raz na zawsze. On chciał tylko spokojnie pracować...

– Wie pan, ja z pana pomocnikiem Beckiem byłem w tej żołnierskiej radzie...

Zamek w drzwiach zazgrzytał. Do celi wszedł strażnik.

– Zabierać żarcie – rzucił i wyszedł na korytarz. Wittmann poderwał się z łóżka i podążył za strażnikiem.

– Chodź pan – zwrócił się do Hubera. – Obsługa hotelowa przywiozła suchy chleb i kawę, ale samemu trzeba se przynieść, bo kelnerów jeszcze tu nie zatrudniają.

Godzina 8.15 rano

– To dobrze, że panu zaczyna się to wszystko układać. – Carl odłożył raport Leutnanta Franka na biurko, przeczytawszy go

dokładnie. – Tylko, że jest w tym wszystkim pewna luka. Według pańskiego rozumowania mordercą może być jeden człowiek. Ktoś, kto z jakiegoś powodu postanowił zastrzelić komunistę Junga, jego żonę, a później jeszcze na dokładkę tego kolejarza Becka.

– To całkiem prawdopodobne, panie Hauptmannie – potwierdził Eberhardt.

– A co w takim razie z tym Wargatschem, też komunistą, tyle że nie zastrzelonym, ale pobitym i utopionym?

– Nie mam jeszcze zbyt wielu danych, ale według mnie sprawa mogła wyglądać tak. Najpierw Wargatsch ginie zamordowany podczas jakiejś bójki. Powiedzmy, że jest to bójka, która ma podłoże polityczne. Później wieczorem ginie człowiek na wiecu komunistów. To według naszych danych członek NSDAP. Mamy więc dwa zabójstwa związane z bieżącą polityką. I teraz, w tym narastającym zamieszaniu, ktoś próbuje załatwić swoje porachunki. Likwiduje Junga w jego domu. Przez przypadek strzela też do pani Jung, bo ta niespodziewanie zaskoczyła go na miejscu zbrodni. Ale na tym nie kończy się jego plan. Chce jeszcze zabić kolejarza Becka i robi to. Tu jednak pojawia się problem. Widziany na miejscu zbrodni przez sąsiadkę Jungów mężczyzna był niski, łysy i ubrany w zieloną tyrolską czy bawarską marynarkę. Natomiast człowiek, którego widziano w okolicach nastawni kolejowej, miał na sobie kurtkę skórzaną i do tego był postawny i wysoki. I tu mi te szczegóły nie pasują...

Aschmutat spojrział na młodego oficera i uśmiechnął się, wzruszając jednocześnie ramionami.

– Bo może to dwaj różni mordercy, a zabójstwa mają podtekst polityczny? Może to ludzie z NSDAP realizują swój plan pozbycia się komunistów?

– Ale przecież ten Beck jest byłym komunistą.

– Moment... – Carl zaczął przeglądać raport Franka. – O, jest

tutaj: Zgodnie z tym, co mówił kolejarz Huber w rozmowie z Hauptmannem C. Aschmutat, jego pomocnik Beck spotykał się z niejakim Wargatschem. Ten Wargatsch nachodził go w pracy kilkukrotnie, a ich rozmowy wyglądały na burzliwe... – Hauptmann uśmiechnął się zadowolony.

– Zacytował pan w tym raporcie wyjątek z mojej notatki po rozmowie z Huberem. Ten mówił mi wyraźnie o kontaktach szefa miejscowej KPD z Beckiem. A to może oznaczać, panie Leutnancie, że oni nadal współpracowali. Czyż nie mam racji?

– Oczywiście, panie Hauptmannie. To może być ważna wskazówka. Być może ci z NSDAP mają dobrze rozpracowanych wszystkich działaczy komunistycznych i to oni ich likwidują. A jeśli tak jest, to w najbliższym czasie nie zdarzy się już żadne morderstwo, bo szef faszystów, Thomala, bardzo się przejął listem od pana dyrektora Gruena.

– Zdaje się, że nie miał większego wyboru, ha, ha! – Ucieszył się Aschmutat.

– Wyglądał tak, jakby był całkowicie przekonany, panie Hauptmannie – zgodził się ze swoim dowódcą Frank.

– Ale? Ma pan jakieś wątpliwości?

– Wydaje mi się, że to byłoby najprostsze wytłumaczenie: że za morderstwami komunistów stoją ich polityczni konkurenci.

– A co z Huberem? – przypomniał sobie Aschmutat.

– Huber, zgodnie z zaleceniem dyrektora Gruena, siedzi w naszym areszcie, choć nie wydaje mi się, żeby śmierć Willy'ego Becka była jego sprawką. To człowiek odznaczony Żelaznym Krzyżem za bezprzykładną odwagę w obliczu wroga.

– Panie Frank, człowiek, który już zabijał podczas wojny, może to zrobić i w czasie pokoju. Takemu jest łatwiej. Dobrze wie, jak to się robi, i ma mniej, powiedziałbym, zahamowań przy pociąganiu za spust, bo już niejednokrotnie widział efekt takiego działania.

– Oczywiście.

– No więc widzę, że w sprawie zabitych komunistów na razie mamy więcej pytań niż pewnych danych. Proszę więc szukać dalej i czekam na konkrety. Ja oczywiście będę wszystko nadzorował, ale – jak pan wie – w związku z niedzielną wizytą mam sporo na głowie. Niech pan szuka i w razie postępów melduje mi o wszystkim.

Kapitan odprawił go machnięciem dłoni. Frank założył na głowę czako, zaszalutował i wyszedł z pokoju. Idąc korytarzem drugiego piętra, przez chwilę zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Aschmutat na razie oddał mu całe śledztwo. Niby coś tam podpowiedział, ale wszystko było teraz na jego głowie, czyli człowieka, który nigdy nie prowadził samodzielnie żadnego dochodzenia. Owszem, w szkole policyjnej nauczyli go tego i owego, ale to była tylko teoria. Tu, w policji, miał się dopiero nauczyć praktycznych rzeczy, przyglądając się bardziej doświadczonym od siebie oficerom. Tymczasem został rzucony na głęboką wodę i nikt nawet nie zapytał go, czy umie pływać.

Przystanął przy jednym z okien wychodzących na wewnętrzny dziedziniec. Stało na nim w równym rzędzie kilka policyjnych więźniarek i dwa auta osobowe. Właściwie ze swoimi uprawnieniami do prowadzenia śledztwa mógłby wziąć jeden z tych samochodów. Nawet mógłby poprosić o kierowcę i zapewne by go dostał. Tyle że nie bardzo wiedział, dokąd chciałby jechać.

Ruszył w kierunku windy. Po chwili był już na parterze. Minał dyżurkę, w której siedział zaspany Wachtmeister, i wyszedł na zewnątrz. Wybrał drogę prowadzącą wzdłuż rzeki, bo była bardziej przyjemna dla oka. Spacer postanowił wykorzystać na ułożenie sobie wszystkiego w głowie. Zaraz, co powiedział Hauptmann na koniec ich rozmowy? Niech pan szuka. Łatwo powiedzieć. Tylko czego miał szukać? A może niczego? Może specjalnie władawali go w to śledztwo, bo był młody

i niedoświadczony? Może ktoś chciał, żeby nic z dochodzenia nie wyszło? To było całkiem prawdopodobne, domyślił się. Przecież Hauptmann Aschmutat nie mógł mieć do niego aż tak wielkiego zaufania, by wierzyć, że uda mu się dojść do jakichś konkretnych ustaleń.

Leutnant szedł wolnym krokiem nadrzeczną promenadą w kierunku centrum miasta. Zostawił za sobą wielki budynek Dyrekcji Policji i władz rejencji, potem cmentarz żydowski, z prawej minął most, któremu nadano imię byłego burmistrza Karla Krause, i wzniesiony niedawno Reichsdankhaus z czerwonej cegły po lewej. Na chwilę przystanął, by spojrzeć na szczytową ścianę budynku, gdzie umieszczono szeroki balkon. To za tymi oknami mieścił się specjalny apartament, który przygotowywano dla Adolfa Hitlera. Jeśli szef partii będzie miał życzenie przenocować w mieście, właśnie tu spędzi noc. Z tego balkonu będzie miał ładny widok na rzekę – pomyślał Leutnant, spoglądając na jej leniwy nurt i piękne wierzby pochylające się nad wodą. I będzie miał też do czynienia z tymi cholernymi miejscowymi komarami, które każdego letniego wieczoru atakowały bezbronnych przechodniów. Wyobraził sobie, jak ten śmieszny pan z komicznym wąsikiem ogania się od natrętnych owadów. Zaraz jednak wrócił do sprawy, która zaprzętała jego uwagę od kilku dni. Wszystkie elementy układanki zaczęły mu się powoli składać w głowie w logiczny ciąg zdarzeń. Wciąż jednak były jeszcze mocno rozproszone i brakowało im spoiwa, którym był powód, dla którego ktoś strzelał do komunisty i kolejarza. Jakoś ten utopiony Wargatsch nie pasował mu do pozostałych elementów. No i jeszcze ci ludzie widziani na miejscu zbrodni. Mogło być tak, że ktoś inny strzelał do rodziny Jungów, a ktoś inny do pomocnika maszynisty. Wówczas wszystko pasowałoby do teorii Hauptmanna Aschmutata o politycznych przyczynach tych zbrodni. Wówczas Wargatsch idealnie by pasował. Mogło to więc wyglądać tak: ktoś spośród

faszystowskich dygnitarzy, powiedzmy Thomala, wydaje polecenie swoim ludziom, żeby w przededniu wizyty Hitlera zlikwidowali najważniejszych działaczy komunistycznych w mieście. Najpierw napadają na Maxa Wargatscha, potem zabijają Junga w jego domu i przypadkowo strzelają do jego żony. Na koniec strzelają do kolejarza Willy'ego Becka. I właśnie to ostatecznie morderstwo było najślabszym ogniwem tego ciągu zdarzeń. Willy Beck był co prawda komunistą, ale już od dawna niedziałającym w partii. No, chyba że robił coś, o czym nikt nie wiedział. Jakiś wywiad partyjny czy coś w tym rodzaju. Ale jeśli był tylko byłym działaczem...? To może znaczyć, że przyczyn zbrodni należy szukać gdzie indziej. Może w ich wspólnej przeszłości? Czy w takim razie Jung, Wargatsch i Beck mieli jakąś wspólną przeszłość? Na to pytanie zapewne będzie mógł odpowiedzieć ten, który znał ich wszystkich, czyli siedzący w celi Wittmann.

Nim się obejrzał, był już przy kościele Świętych Janów, otoczonym kamiennym płotem. Od strony rzeki była furтка. Minął ją i ścieżką wydeptaną przez szukających skrótów przechodniów dotarł do kolejnej, wychodzącej na Kirchenstraße. Stał na chodniku i rozejrzał się dookoła. Gdyby przeszedł na drugą stronę ulicy, mógłby dotrzeć do Neuer Markt. Tyle że nie miał tam żadnej sprawy do załatwienia. Na lewo od niego, za plebanią, była synagoga, a nieco dalej urząd pocztowy. Nie miał jednak do wysłania żadnego listu. Natomiast kierunek na prawo od niego był bardzo obiecujący, bo Wasserstraße prowadziła wprost do placu Hindenburga, a tam właśnie mieścił się zakład mechaniczny Ferdynanda Thomali.

O czym można by porozmawiać z Thomalą? – zadał sobie to pytanie w myślach, a nie znalazłszy na nie odpowiedzi, ruszył w tamtym kierunku. Nie uszedł jednak nawet dwustu metrów. Nagle zatrzymał się i spojrzał na trzypiętrową kamienicę, której

spadzisty dach był pokryty czerwoną dachówką. To w tym domu mieszkali Jungowie i tutaj zaczęła się jego przygoda ze śledztwem. Naraz przypomniał sobie kobietę, z którą rozmawiał tamtego dnia. Sąsiadkę, która widziała uciekającego bandytę. Jakże się ona nazywała? Wyciągnął czarny notes i zajrzał na pierwszą stronę – Urlike Koerber.

Spojrzał tęsknym wzrokiem w głąb ulicy, gdzie kawałek dalej mieścił się zakład Thomali i gdzie Trudi zapewne teraz uwijała się w kuchni. Najpierw obowiązek – pomyślał i wszedł do bramy. Po chwili stał już przed drzwiami mieszkania Koerberów. Były uchylone, a ze środka wydobywał się zapach gotowanej kapusty. Usłyszał też głosy. Natychmiast rozpoznał ten należący do pani Koerber.

– Jeszcze słowo i to ty polecisz na ulicę, a nie one.

– A czy mnie ktoś daje coś za darmo? – odpowiedział jej podniesiony męski głos. – Na wszystko muszę zapracować swoimi rękami.

– Pan Bóg cię stworzył chłopem po to, żebyś pracował na rodzinę.

– Na rodzinę to się rozumie, ale na swoją, a nie na jakieś obce dzieciaki i do tego jeszcze takie od zabitego komunisty.

– Głupiś jak but i nic nie rozumiesz, co się na świecie dzieje. A pan Hitler przecież mówił, że wszystkie dzieci są naszym największym skarbem i trzeba o nie dbać najlepiej jak się da. A ty tego nie rozumiesz, boś za głupi.

– Tak mówił Hitler?

– Tak jest. I co by powiedział, jakby się dowiedział, że ty chciałeś dzieciaki, co są prawie sierotami, oddać do przytułku? Jak chcesz, to ja się jego o to zapytam, jak będę mu w niedzielę wręczać kwiaty na stadionie. Zapytam go tak: „Mój Führerze, wzięłam do siebie dwójkę dzieciaków od sąsiadów, co ich jakieś bandyty postrzelały, żeby ten drobiazg gdzie nie przepadł, a mój stary głupiec chciał je wywalić z domu na ulicę. I niech pan

powie, czy taki idiota może należeć dalej do SA?”.

– Powiesz tak?

– Pewnie, że powiem!

– No, dałabyś już spokój, Urli.

Frank zapukał do drzwi i nie czekając na pozwolenie, wszedł do środka. Koerber siedział przy stole zapatrzony w płachtę gazety, a jego żona mieszała wielką łyżką w garnku. Oboje natychmiast odwrócili się w kierunku drzwi do niewielkiego korytarzyka. Urlike Koerber zbladła na widok Franka, a on, widząc strach, jaki pojawił się na jej twarzy, od razu wiedział, co powinien powiedzieć.

– No, pani Koerber, z policją nie ma żartów. Ludzie sobie myślą, że policjantowi można nagadać jakichś głupot i ten policjant te głupoty zapisze w kajeciku, a potem pójdzie i koniec. Ale tak nie jest, pani Koerber. Nas nie da się oszukać. My zawsze dojdziemy do prawdy.

– Mój Boże! – jęknęła kobieta.

– Jak trwoga, to do Boga. – Frank uśmiechnął się zadowolony.

– Niech się pani ubiera i idzie ze mną.

– Ja z nerwów, panie Oberst. Ja taka głupia jestem, że mnie się wszystko poplątało z tego zdenerwowania. Ale teraz to ja już wszystko widzę jasno i wyraźnie, i pamiętam, jak było. Tamten, co uciekał, to był wysoki i szczupły, taki na oko to może miał ze czterdzieści lat i ubrany był w taką czarną skórzaną kurtkę, co ją się nosi na jesień i zimę, ale nie latem. Bo latem to w takiej skórze to za gorąco jest chodzić.

Godzina 10.30 przed południem

– Długo jeszcze zamierzasz pan się wylegiwać, panie Tolek?

– Yyyymmm...

– O Herrr Gottt! Cóż za obrzydliwy smród! Czyżby kto pana

obrzygał wczoraj? Pozwoli pan, że otworzę okno...

– Co do cholery...

– Okno, panie Tolek. Odrobina powietrza się przyda, bo nie ma tu czym oddychać.

– Kurwa... Chyba wymiotowałem...

– Podnoś pan łeb, panie Tolek, bo ja nie mam czasu na ksiuty. Trzeba ważne sprawy omówić, a pan tu się wylegujesz jak na wywczasach w Juracie. Dalej, pobudka, do cholery!

Tolek Grubiński nacisnął na głowę poduszkę i przez chwilę leżał bez ruchu. Musiało jednak coś do niego dotrzeć z tej przemowy porannego gościa, bo w końcu bardzo powoli wysunął głowę, otworzył oczy i spojrzał dość nieprzytomnym wzrokiem przed siebie. Na krześle na wprost łóżka siedział jakiś człowiek w jasnym garniturze. Żeby dostrzec jego twarz, trzeba było włożyć nieco więcej wysiłku. Musiał głowę unieść, a ta bolała go niemiłosiernie. Poszedł więc na kompromis ze swoim ciałem i nie uniósł się, a jedynie obrócił. Dzięki temu kątem oka dostrzegł znajomą twarz w kapeluszu z szerokim rondem. Przez chwilę pomyślał, że dziwnym przypadkiem znalazł się na Dzikim Zachodzie, ale przecież to niemożliwe, żeby mógł przeniknąć do któregoś ze swoich ulubionych filmów o kowbojach... No i wtedy przypomniał sobie, że przecież zna właściciela tego charakterystycznego kapelusza i wcale nie z filmu, lecz z Poznania. Na wprost niego siedział z fajką w zębach dobry znajomy – komisarz Fischer.

– Już myślałem se, że to jaki bandyta mnie napadł, a to tylko polska policja dopadła mnie za granicą – stwierdził, unosząc się na łokciu.

– Jedni ciężko pracują, a inni sobie balują. Nie ma na tym świecie sprawiedliwości.

– Komuniści powiadają, że sprawiedliwość zapanuje na świecie, jak rewolucja zwycięży.

– O, czyżbyś został pan bolszewikiem? Dziwne, bo bolszewizm

szczególnie niebezpieczny jest dla pańskiej profesji.

– Jak to?

– A no tak, że jeśli wszyscy będą mieli po równo, a tak chcą komuniści, to znaczy że każdy będzie miał gówno. A gówna raczej pana, jako człowieka czynu, nie bardzo interesują?

– Ale można przecież przyłączyć się do nich i zająć się rabowaniem. Rabowanie ma swoje dobre strony...

– A fe, panie Grubiński, znałem pana dotąd jako eleganckiego kasiarza, a pan chcesz z nożem w zębach rabować dwory i pałace? To takie prymitywne, powiedzieć by można, że chamskie. A pan przecież jesteś człowiek z klasą.

Tolek usiadł na łóżku. Nie wyglądał w tej chwili na człowieka z klasą. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, a wąs i broda, zazwyczaj wypomadowane, wyglądały jak sierść na mokrym kocie.

– Jak moi nowi kumple zrobią światową rewolucję, nie będzie już ludzi z klasą.

Fischer uśmiechnął się, wypuszczając kłęb dymu. Spojrzał przez otwarte okno na błękitne niebo.

– Przydałoby się trochę deszczu. Od tego miejskiego kurzu ledwo można oddychać.

– No to już wiem, od czego mnie tak suszy. Od miejskiego kurzu – stwierdził Grubiński, rozglądając się po pokoju. Wreszcie dostrzegł to, czego szukał. Na dywanie obok porzuconych spodni i koszuli leżała butelka piwa. Wstał z łóżka i podszedł do flaszki. Podniósł ją i stwierdził zadowolony, że jest pełna. Wczoraj, żegnając się z towarzyszami w piwiarni Goldener Löwe, kazał sobie podać jeszcze jedną butelkę na drogę. Tak na wszelki wypadek, jakby mu zachciało się pić. Włożył ją do kieszeni marynarki i potem zupełnie o niej zapomniał. I dobrze, że tak się stało, bo teraz miał czym ugasić poranne pragnienie.

– Napije się pan? – zapytał z nadzieją, że Fischer odmówi.

Jedna butelka na dwóch to zbyt mało, żeby można się było napić. Zresztą jedna dla skacowanego mężczyzny to też niezbyt wiele.

Policjant machnął tylko ręką, dając mu do zrozumienia, że nie zamierza przyłączać się do tej porannej degustacji. Tolek uśmiechnął się zadowolony, zerwał porcelanowy kapsel i w błyskawicznym tempie osuszył flaszkę.

– Od razu lepiej – stwierdził, siadając znów na łóżku.

Fischer wstał.

– To teraz, skoro pan już jesteś do użytku, idę na dół na kawę. Doprowadź się pan do pachnącego stanu i złaż tam do mnie. Mamy sporo spraw do obgadania.

Tolek spojrzał na niego i jednocześnie przyłożył palec do ust.

– Ale nie tutaj. Trzeba się przejść na miasto, bo tu, panie szanowny, bardzo dobrze słyhać, co ludzie mówią.

– Jak w każdym hotelu, panie Tolek.

Fischer wstał i wyszedł, zostawiając gospodarza samego. Ten zdjął brudne gacie i poszedł do umywalki. Nalał wody z dzbanka do miski i szybko umył się od stóp do głów. Uczesał włosy i brodę, a potem ułożył wąsy i grzywę za pomocą brylantyny. Z walizki wydobył komplet bielizny, świeżą koszulę i drugą parę spodni. Te wczorajsze były tak pogniecione, że nadawały się jedynie do prania i prasowania. Nim założył marynarkę, skropił się jeszcze obficie wodą kolońską. Chwytał swojego lekko zdefasonowanego brązowego stensona i ruszył na spotkanie z policjantem.

Za recepcyjnym kontuarem siedział smutny jak zwykle recepcjonista Udo Schmitz. Na widok Tolka uśmiechnął się.

– O, szanowny pan Wiciak. Jakże zdrowie?

– A i owszem, nie najgorzej. Suszy mnie tylko, a tu interesa handlowe trzeba od rana załatwiać.

– Tak, widziałem. Ten dżentelmen siedzi i czeka na pana. – Udo wskazał głową na stolik pod oknem.

Wytworny dżentelmen Fischer był zagłębiony w lekturze miejscowej gazety. Przed nim stała filiżanka z parującą kawą.

– Jak byś pan znalazł butelkę zimnego piwa, to moja wdzięczność byłaby ogromna – powiedział Tolek. – Muszę z tym oto człowiekiem zamienić parę słów w ważnych kwestiach finansowych, a o suchym pysku język staje kołkiem w gębie.

– Już się robi dla szanownego pana. – Portier uśmiechnął się i ze świstem wciągnął powietrze przez szparę po górnej jedyńce.

– Pan siada i zaraz się poda. – Jego stosunek do Grubińskiego od wczoraj zmienił się diametralnie: od chłodnej rezerwy do radosnej wylewności. Widać wczorajsze spotkanie z przedstawicielami partii było nad wyraz owocne, a portier musiał zostać o wszystkim poinformowany. Nie znaczyło to jednak, że ten facet o lisiej twarzy nie będzie śledził każdego ruchu Tolka. Ale on mógł mieć to głęboko w nosie. Najważniejsze, żeby nie usłyszał, o czym będą mówić. Dlatego w hotelu nie mogą rozmawiać o ważnych sprawach. No właśnie, tylko o jakich ważnych sprawach? Tolek jak dotąd nie wiedział nic o planach Fischera, w których miał mieć swój udział. Teraz chyba przyszedł wreszcie czas, żeby dowiedzieć się jakichś konkretów.

Podszedł do stolika, przy którym siedział policjant.

– O widzę, że już pan gotów. To co, może się przejdziemy? – zaproponował Fischer.

– Niby dlaczego by nie – odpowiedział Tolek i jednocześnie spojrzał w kierunku recepcji. Schmitz już szedł ku nim z tacą, na której stała szklanka i butelka piwa. – Ino jeszcze jedna chwileczka.

Portier postawił piwo na stoliku. Grubiński skinął mu głową, zaraz więc odszedł, choć gdyby tylko mógł, z radością przysiadłby do obu gości. Tymczasem Tolek wzruszył ramionami, dostrzegłszy zdziwione spojrzenie Fischera, chwycił butelkę i nie nalewając nawet piwa do szklanki, wychylił

błyskawicznie całą zawartość. Natychmiast kulturalnie przyłożył dłoń do ust, bo trochę mu się odbiło, a potem, zadowolony z siebie, uśmiechnął się do Fischera.

– Teraz to ja już jestem całkowicie gotowy na załatwianie naszych interesów.

Policjant wstał z fotela, powiesił na wieszak gazetę oprawioną w drewniany chwytak i ruszył ku drzwiom.

– Widział pan już rynek miejski? – spytał, gdy wyszli na ulicę.

– Tylko przelotnie.

– No to chodź pan, bo czasu to ja mam niewiele.

Fischer milczał przez dłuższy czas. Dopiero po chwili, przeszedłszy już może połowę Posenerstraße, przystanął. Tolek z ciekawością zaczął przyglądać się budynkowi, przy którym się znaleźli.

– To co, będziemy robić niemiecki bank? – Wskazał ręką na solidną mosiężną tablicę przytwierdzoną do muru. Fischer wzruszył ramionami.

– A na cholere nam bank?

– No jak to, panie komisarzu? W banku są bejmy. Co prawda marka niemiecka niewiele jest teraz warta, ale w skarbcu pewnie chowają złoto. Budynek wygląda solidnie, ale nie chce mi się wierzyć, żeby na prowincji mieli jakiś specjalny system zabezpieczenia. Nie. – Pokręcił głową. – Na moje oko nie mają tu żadnego elektrycznego systemu...

– Panie Tolek, wróć pan na ziemię, koniec marzeń. Bank zostanie nietknięty, a my zrobimy swoje, ale nie w bankowym interesie.

Tolek wydał wargi i prychnął jak koń, co mogło znaczyć, że się obejdzie.

Fischer napchał tytoniu do swojej fajki i zapalił. Grubiński skorzystał z ognia i przypalił papierosa. Policjant ruszył spacerowym krokiem w kierunku rynku. Tolek poszedł w ślad za nim. Gdy się zrównali, komisarz zaczął mówić:

- Pewnie się pan zastanawiasz, o co w tym wszystkim chodzi?
- Cały czas się zastanawiam.
- Sprawa jest prosta. W najbliższą niedzielę, a pewnie i w sobotę, będzie mi potrzebny kierowca. Będziemy musieli pojechać w pewne miejsce, załatwić sprawę i odjechać stamtąd, najlepiej tak, żeby nikt się nie zorientował, w czym rzecz.
- To się pewnie da zrobić. Jeśli tylko jakieś auto dobre będzie, to w trymiga się wszystko załatwi.
- No to jakby co, to już pan wiesz, w czym rzecz.
- No, raczej nie wiem.
- Tyle na razie wystarczy.
- A co z tymi bolszewikami?
- Z jakimi bolszewikami? - zdziwił się Fischer.
- No z tymi, co ja się z nimi miałem spotkać. Jażdżewski powiadał, że może się zjawią, a może nie i że bym se nimi głowy nie zawracał. No, ale oni się zjawili. Nawet jeszcze się nie zdążyłem rozgościć w moim apartamencie, jak już byli u mnie i ten, co to jest w hotelu portierem, podał hasło, to samo, co mi je dał Jażdżewski, że niby na wszelki wypadek, a potem, jak już wyszłem na miasto, to tacy dwaj mnie wpakowali do auta i wywieźli do lasu. Tom se myślał, że to policja, bo i oni tak gadali, że są z policji i pytali, czy ja jestem komunista, tom im musiał trochę przyłożyć i oni w końcu powiedzieli, że są bolszewikami i że mnie sprawdzali.
- Psia krew! - warknął Fischer. - I co dalej?
- Dalej nic. Ten jeden powiadał, że mają ważny plan, który chcą ze mną skon... lutować.
- Skonsultować.
- No właśnie. Bo niby w niedzielę przyjeżdża tu ten śmieszny pajac z wąsikiem i oni jemu szykują jakąś niespodziankę.
- Nie powiedzieli, o co konkretnie chodzi?
- Jeszcze nie, ale jutro chcą rzecz całą dokładnie obgadać.

- Dobrze wiedzieć.
 - Że niby co?
 - Co zamierzają. Dobrze będzie znać ich plany.
- Wkroczyli na rynek, prosto w targowy ruch i gwar.
- Może szanowni panowie kupią sznurowadła? – Droge zastąpił im kilkunastoletni chłopak z zawieszoną na szyi skrzynką, wypełnioną różnymi towarami.
 - Panowie mają sznurowadła – rzucił Fischer.
 - To może mydło? Mydło pierwsza klasa, prosto z Polski.
 - My jesteśmy z Polski – powiedział Tolek, omijając handlarza.
 - Jak z Polski, to mam cudowne medaliki z Matką Boską z tutejszego kościoła Świętych Janów, które chronią przed wszelkimi chorobami, poświęcone przez samego papieża – zachęcał ich chłopak, przechodząc momentalnie na język polski.
 - A po co nam niemiecka Matka Boska? – mruknął Grubiński.
 - Jaka niemiecka? Przecież wszyscy wiedzą, że Matka Boska jest Polką, tak jak Pan Jezus – próbował przekonać ich chłopak, ale dwaj mężczyźni wmieszali się w tłum i zniknęli mu z oczu.

Godzina 1.00 po południu

Piwiarnia Kolejowa, jak sama nazwa wskazuje, znajdowała się tuż przy kolei. Dokładnie nieopodal dworca, przy Bahnhofstraße, niemal na wprost niewielkiej uliczki wychodzącej spod bocznego wejścia do miejskiego teatru. Ale mimo że nazywała się Kolejowa, to jej właściciel musiał mieć specjalny stosunek do teatru, a co za tym idzie, i do aktorów, którzy w tym teatrze grywali. Na ścianach wisiały bowiem fotosy z autografami kilkunastu miejscowych gwiazd. Nie było wśród nich niestety żadnej gwiazdy, o której można by

powiedzieć, że jej blask świeci dalej niż pociągi wyjeżdżające z pobliskiego dworca. Ale Fabian Lustenberger z dumą opowiadał każdemu, kto tylko miałby ochotę posłuchać, w jakich to przedstawieniach występował Ludwig Mauss wraz z towarzyszącą mu Charlotte Gise. Oboje oczywiście mieli swoje honorowe miejsce na głównej ścianie, nad stolikiem, przy którym kiedyś siedzieli. Teraz co prawda aktorzy z teatru nie bywali już w Kolejowej, bo woleli bardziej wykwintne miejsca, ale często na piwo wpadali tu pracownicy obsługi sceny i to oni przynosili właścicielowi, spragnionemu wiedzy na temat sztuki, najnowsze teatralne plotki. Dziś jednak nie było tu żadnego gościa z teatru, a jedynie kilka osób, które wpadły na piwo w drodze na dworzec. Tutaj bowiem piwo było znacznie tańsze niż w kolejowym bufecie, a ci, którzy często podróżowali, wiedzieli o tym doskonale. Wiedzieli też o tym dobrze kolejarze, którzy zachodzili do piwiarni po pracy. Dlatego Lustenberger zdziwił się nieco, widząc kolejarza, który wchodzi do środka o tej dość nietypowej porze. Dopiero gdy dostrzegł na patkach kolejarskiego kołnierza oznaczenie maszynisty, zrozumiał, że ten musiał właśnie skończyć trasę i wszedł tu przepłukać gardło po robocie w węglowym pyłe. Ale kolejarz nie był sam. Wraz z nim przyszedł jakiś dość dziwny jegomość, z obitą gębą i w wymiętolonej marynarce. Ten ostatni siadł natychmiast w kącie sali, a kolejarz podszedł do bufetu.

– Daj pan dwa piwa – powiedział i położył na blat kilka banknotów.

– A co będzie do piwa? – zapytał restaurator. Wiadomo przecież, że piwo najlepiej smakuje, gdy popija się nim coś konkretnego. A pora na konkrety była jak najbardziej odpowiednia.

– A co niby jest?

– Wszystko, czego dusza zapragnie. Kiełbaski pieczone i z wody, parówki wiedeńskie, kaszanka z kapustą, a mogą być

jeszcze flaki wieprzowe albo grochówka z kiełbasą. A dla prawdziwych smakoszy, panie maszynisto, znajdzie się mózdzek cielęcy na kwaśno. Ale to lepiej zapić czymś szlachetniejszym od piwa, jak choćby zimną wódką czystą.

– Daj pan kiełbaski pieczone z kapustą i dwa piwa.

– To wszystko? – Lustenberger zrobił zdziwioną, a może i rozczarowaną minę. Kolejarz widać nie należał do ludzi o szlachetnym podniebieniu. Pewnie nawet nigdy nie był w teatrze, nie mówiąc już o tym jego znajomku z obitą mordą.

– Już się robi – rzucił bez entuzjazmu i sięgnął po kufle, by nalać piwo. Maszynista tymczasem poszedł do stolika i usiadł przy swoim kompanie.

– Jeszcze nie wierzę, że nas wypuścili. To znaczy, że mnie wypuścili, bo co do ciebie to byłem pewny jak nic, że zaraz wyjdiesz – powiedział Wittmann, uśmiechając się krzywo.

– Byłeś kiedy w teatrze? – zapytał Huber, spoglądając na fotos wiszący nad głową komunisty.

– Nawet kilka razy, ale nie tu. W Berlinie byłem. Tam to są teatry. Nie co ten tutaj.

– A ja nie byłem nigdy. Ciągłe tylko sama praca. Człowiek nie ma na nic czasu. Jak się wraca po robocie do domu, to chce się tylko spać.

– A co cię naszło z tym teatrem? – spytał Wittmann.

– Bo tak se myślę, że człowiek nigdy nie wie, co go może czekać w życiu i kiedy to życie się skończy. I może zanim się skończy, trzeba by jeszcze spróbować choćby takiego teatru?

Barman bez słowa postawił na stole dwa piwa i szybko odszedł, bo już inni klienci domagali się obsłużenia.

– Jeszcze sporo życia przed nami. A jak się wychodzi z więzienia, to człowiekowi od razu chce się żyć.

– I pić się chce. – Huber chwycił do ręki kufel i stuknął nim w drugi. Obaj mężczyźni wypili po solidnym łyku. – Swoją drogą, to dobre piwo tu mają – stwierdził kolejarz, oblizując

usta.

– Dobrze, bo nasze, miejscowe. Takie zawsze jest najlepsze. Różne piwa już w życiu piłem, ale ten smak piwa, które się pierwsze w życiu wypije, jest najlepszy na świecie. Pamiętam, że jak byłem dzieciakiem, to chodziłem do piwiarni z kanką po piwo dla ojca i zawsze po drodze się trochę tej piany upiło, a ojciec mruzczał tylko, że pewnie biegłem z powrotem do domu, bo za mało go doniosłem.

Huber uśmiechnął się.

– Też latałem po piwo dla taty.

Właściciel piwiarni podszedł do stolika i postawił przed nimi dwa talerze z gorącą pieczoną kiełbasą na kapuście. Obaj natychmiast rzucili się na jedzenie. Po postnej aresztanckiej diecie byli mocno wygłodniali, a kiełbasa pachniała znakomicie. Zaraz też okazało się, że i w smaku była wyborna. Zajęci jedzeniem mężczyźni nie zwrócili uwagi na człowieka, który wszedł do piwiarni i nie zamówiwszy niczego, siadł w przeciwległym kącie sali, dokładnie naprzeciw nich. Lustenberger natychmiast dostrzegł nowego gościa i zaraz podszedł do niego z kuflem piwa. Ten jednak odprawił go. Barman przez chwilę stał niezdecydowany z kuflem w dłoni, ale zaraz dostrzegł, że ci dwaj obżerający się kiełbasą z kapustą mają już puste naczynia. Podszedł więc do bufetu, nalał jeszcze jeden kufel, a potem powędrował do ich stolika, by postawić przed nimi kolejne kufle. Nie zaprotestowali, więc odszedł zadowolony.

– To co teraz zamierzasz robić na wolności? – zapytał kolejarz.

Wittmann przełknął wielki kęs kiełbasy.

– No to chyba oczywiste. Nie mogę zostać w mieście ani chwili dłużej. Pójdę tylko do domu zabrać najpotrzebniejsze rzeczy i uciekam stąd jak najdalej.

– Do Berlina?

– Jeszcze nie wiem, ale raczej nie Berlin. Może do

Königsbergu? Kto wie, to się jeszcze zobaczy. W każdym razie byle dalej stąd.

– Myślisz, że nie będziesz tu bezpieczny?

– Ja nie myślę, ja nawet nie analizuję za i przeciw. Ja to wszystko wiem. Jestem kolejny na liście. Jeżeli stąd nie ucieknę, to już po mnie.

– To niemożliwe. – Huber pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przecież nikt nie wie, że wyszedłeś z aresztu.

– Na razie nikt nie wie. Ale za chwilę będą wiedzieć wszyscy. Przecież to nie jest duże miasto. Tu każdy wie wszystko o każdym.

– No, może i masz rację. – Kolejarz zapatrzył się na wiszącą nad głową rozmówcy fotografię, przedstawiającą jakąś scenę rozgrywającą się na deskach miejscowego teatru. Był tam nawet podpis mówiący o tym, jaka to sztuka, ale literki były zbyt małe, aby je można było odczytać z takiej odległości.

Zresztą teatr nie obchodził go wcale. Obchodziło go to, co rozgrywało się tu i teraz. Wittmann mógł mieć rację. Z tego, co zdążył mu opowiedzieć ostatniej nocy, jeśli oczywiście wszystko było prawdą, to rzeczywiście mógł się spodziewać najgorszego. Leżeli na swoich pryczach i nagle, ni z tego, ni z owego, zaczął mu opowiadać o tym, co wydarzyło się tutaj niedaleko, na Zeughausstraße zimą, na początku dziewiętnastego roku.

To była głośna sprawa, bo wszyscy w mieście o niej mówili i pisały o niej wszystkie gazety. Wtedy w mieszkaniu złotnika Grünsteina jacyś bandyci zamordowali całą rodzinę, a kosztowności zrabowali. Wittmann był wówczas w Radzie Robotniczo-Żołnierskiej. Tej nocy – opowiadał Huberowi – we czterech patrolowali miasto. Policja nie miała jeszcze odpowiednich sił, żeby utrzymać porządek, więc część policyjnych zadań wzięła na siebie rada. Tym bardziej że po mieście kręciło się sporo obcych, jak to po wojnie, kiedy tysiące

ludzi wraca do swoich domów. Ten czteroosobowy patrol przechodził nocą koło sklepu złotniczego. Jeden z żołnierzy zobaczył, że drzwi są otwarte, a szyba została stłuczona.

– To nas zaniepokoiło – mówił Wittmann. Dowodzący patrolem Max Wargatsch wszedł do środka, a z nim Willy Beck. Ja zostałem na zewnątrz z Waltherem Jungiem. Czekaliśmy tam, zabezpieczając miejsce, bo nie wiedzieliśmy, co tam w środku mogą chłopaki zastać. No, ale ich długo nie było, znaczy nie wychodzili z tego sklepu, no to ja mówię do Junga, że może byśmy tam weszli i sprawdzili, czy aby się nic nie stało. No i weszliśmy do środka, a tam w sklepie bajzel, jakby wichura przeszła, ale ani żywego ducha. No to dalej szukamy naszych chłopaków. Zobaczyliśmy na zapleczu schody drewniane, no to żeśmy se pomyśleli, że do mieszkania prowadzą, no i poszliśmy do góry. I rzeczywiście, było tam wejście do mieszkania, no to wchodzimy tam. A w środku na podłodze leży człowiek z brodą, zastrzelony, obok kobieta w koszuli nocnej, też nieżyjąca, i mała zabita dziewczynka. No to ja się pytam Maxa Wargatscha, co oni tu tak w ogóle robią, bo we dwóch z Willym Beckiem wywalają wszystko z szaf na podłogę. A Max na to, żebyśmy nie stali jak dupy wołowe, tylko się brali do roboty, bo ci, co zabili tę rodzinę, to może jeszcze wszystkiego nie wynieśli i po co się ma co zmarnować. I miał rację, bo za chwilę Beck znajduje w szafie, na samym dnie tej szafy, taki specjalny schowek za deską. I w tym schowku było złoto i różne kamienie. No i my to wszystko bierzemy, znaczy Max Wargatsch bierze do kieszeni i powiada, że teraz to my stąd musimy się po cichutku ewakuować i nikomu ani pary z gęby, bo nam to wszystko odbiorą. I wtedy do środka włazi ta głupia Lothe...

– Jaka Lothe? – zdziwił się natychmiast Huber.

– Lothe to była narzeczona Junga.

– Skąd tam się wzięła?

– Jung ją wziął ze sobą na patrol, jak myśmy przechodzili koło jej domu. Miała przejść z nami kawałek, a potem on ją chciał zabrać gdzieś do jakiejś knajpy, żeby pogadać, bo ona niby miała do niego jakąś pilną sprawę. No i jak myśmy byli przy tym zakładzie złotniczym, to kazał jej czekać po drugiej stronie ulicy w bramie i ona tam czekała, ale jak zobaczyła, że nas tak długo nie ma, to weszła do środka, a potem, jak zobaczyła te trupy, to zaczęła się drzeć tak głośno, że my wszyscy żeśmy się przestraszyli i w nogi. No i później gazety pisały, że widzieli jakichś żołnierzy, co stamtąd uciekali, i że ci żołnierze zabili tę rodzinę. A to była całkiem nieprawda, bo oni już leżeli zabici. A wszystko przez głupią Lothe.

– A teraz ci wszyscy twoi kumple, co byli tam z tobą w środku, już nie żyją.

– No właśnie. On chce nas wszystkich zabić. Z zemsty.

– Kto?

– Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Gadajże jaśniej. Skąd wiesz, że ktoś szuka pomsty?

– Rok po tym wszystkim Wargatsch dostał list. To był list z Berlina. I w tym liście pisał ktoś, kto to, ja nie wiem, bo nie było podpisu, że my wszyscy czterej za zamordowanie i obrabowanie tej rodziny zostaniemy zabici jak psy. I wymienił nas wszystkich z imienia i nazwiska. Wtedy żeśmy się przestraszyli, że to się spełni, no, ale potem o tym już nikt nie pamiętał. No i nawet o tym ja nie pamiętałem, jak zginął Max, bo mnie się zdawało, że on zginął tak normalnie, w bójce. Ale potem, jak zabili Walthera Junga i do tego jeszcze te jego Lothe postrzelili, to ja już wiedziałem, co się święci, i chciałem uciekać z miasta, ale nie dałem rady, bo mnie wsadzili. Nie zdążyłem.

– Kto to mógł być ten, co napisał ten list? – zapytał po dłuższej chwili kolejarz, ale Wittmann nie odpowiedział. Już spał.

Rano żaden z nich nie wrócił do nocnej opowieści. Komunista leżał na swojej pryczy i prawie nie zwracał uwagi na kolejarza. Ten cały czas kręcił się nerwowo po celi, czekając na przesłuchanie. Na razie nie miał zamiaru korzystać z informacji, w które wyposażył go Wittmann, ale w ostateczności mógł zawsze rzucić je na szalę, gdyby rzeczywiście chciano go wplątać w morderstwo. Tymczasem koło południa do ich celi wszedł strażnik i kazał im się zbierać. Huber pomyślał, że wreszcie idzie porozmawiać ze śledczym. Tymczasem okazało się, że strażnik oddał im paski do spodni, sznurowadła i portfele z pieniędzmi, kazał podpisać papier, w którym stało, że aresztowany był dobrze traktowany w areszcie i nie skarży się na warunki, a potem wyprowadził ich przez szeroką bramę wprost na ulicę. Byli wolni. Przez chwilę stali bez słowa, spoglądając to na siebie, to na bramę, którą przed chwilą za nimi zamknięto. W końcu Wittmann klepnął kolejarza w ramię.

– Trzeba by chyba to uczcić. Zapraszam na kufelek piwa.

Poszli więc do znajdującej się w pobliżu Kolejowej.

– Nie rozumiem tylko – odezwał się Huber, wycierając brodę uwalaną od kiełbasianego tłuszczu – po co oni mnie w ogóle wsadzili do tego aresztu, skoro nawet mnie nie przesłuchali.

– A co cię to obchodzi? Ha, ha – zaśmiał się Wittmann. – Pewnie najpierw wyglądałeś im podejrzanie, a potem doszli do wniosku, że już nie jesteś podejrzany. Niezbadane są ścieżki, którymi podążają policyjne myśli. – Najważniejsze żeś jest wolny i pewnie nigdy tam nie wrócisz.

– Oby. – Huber uśmiechnął się i dopił piwo.

Godzina 3.30 po południu

Konsul zapalił papierosa i spojrzał uważnie na siedzącego przed nim człowieka. Znał go i owszem, ale nie na tyle, żeby wierzyć mu bez zastrzeżeń. Tymczasem ów człowiek przyszedł do jego biura, a właściwie wdarł się do niego, nie bacząc na protesty pani Marii z sekretariatu. A przecież w ten sposób nie załatwia się spraw w polskim konsulacie. Trzeba się umówić na konkretną godzinę, uprzednio przedstawivszy swoją sprawę. A ten tu wszedł jak do siebie i ni mniej, ni więcej, tylko zażądał wysłania depeszy. Co więcej, tekst tej depeszy wyglądał na zaszyfrowany, a on nie zamierzał najwyraźniej tłumaczyć, co ów szyfr znaczy. Konsul spojrzał na kartkę, na której zapisano krótki tekst: *Spotkanie z Anną możliwe. Proszę przesać bombonierkę. Anton.*

Przeczytał go uważnie po raz kolejny i znów się zirytował. Jak miał wysłać cokolwiek, jeśli nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi? A może ten człowiek jest niemieckim szpiegiem, który chce go w niecny sposób wykorzystać? O tak, to było całkiem możliwe. Bo przecież jeśli Niemcy wpadliby na pomysł rozszyfrowania polskiego szyfru dyplomatycznego, to wystarczyło tylko wysłać tekst, który doskonale znali. Mając tekst oryginalny i zaszyfrowany, z dziecinną łatwością mogliby podłożyć prawdziwe znaki do tych nadanych szyfrem i sprawa załatwiona. Polski szyfr dyplomatyczny byłby złamany.

– Nie wydaje mi się, panie Fischer, żeby to był rozsądny pomysł. Poza tym myślę, że raczej nie ma pan uprawnień do przesyłania szyfrowanych informacji naszym kanałem.

Gość ubrany w letni, jasny garnitur uśmiechnął się i jednocześnie pokręcił głową.

– Obawiam się, panie konsulu, że nastąpiło pewne nieporozumienie.

– Tak? – zdziwił się urzędnik. – Wydawało mi się, że powiedział pan dostatecznie jasno, że ten telegram należy przesać jak najszybciej naszym kanałem radiowym.

- Owszem, radiowym, ale bez potrzeby szyfrowania.
- Jak to? Przecież my wszystko szyfrujemy.
- Wszystko, ale to nie znaczy, że ten szyfrować należy.
- Wybacz pan, ale nie rozumiem. Chyba się całkowicie pogubiłem. Mamy przecież konkretne wytyczne z Warszawy. Teksty depech mają być szyfrowane. Wszystkie bez wyjątku.
- Wszystkie bez wyjątku, chyba że okoliczności i waga przesyłki będą pozwalać na odstępnie od powyższej dyrektywy. - Fischer zacytował z pamięci treść rozporządzenia.

Były legionista, który zakończył służbę w stopniu kapitana, a obecnie wicekonsul i kierownik konsulatu polskiego w Schneidemühl Jerzy Śmigielski spojrział zdumiony na swojego gościa. Ten, najwyraźniej zadowolony z wrażenia, jakie zrobiła na urzędniku jego znajomość tajnych wytycznych, ze spokojem pociągał dym z fajki. Jeszcze w Poznaniu Jażdżewski wyposażył go w tę wiedzę, na wszelki wypadek, gdyby ktoś w konsulacie rzucał mu kłody pod nogi. Z oficerem Dwójki umówili się, że gdy tylko Fischer rozejrzy się w sytuacji i okaże się, iż okoliczności są sprzyjające, a sprawa nabiera rumieńców, natychmiast poinformuje centralę, a oni dostarczą mu to, co niezbędne, żeby zadanie mogło zostać zrealizowane. No i dziś właśnie okazało się, że okoliczności są więcej niż pomyślne.

Pół godziny temu rozmawiał ze swoim przyjacielem Carlem i jego bezpośrednim przełożonym dyrektorem Gruenem. Obaj niemieccy policjanci wsiedli do jego nowego auta koło budynku Dyrekcji Policji i wspólnie pojechali do siedziby NSDAP. To spotkanie miało niezwykle tajny charakter, jak podkreślił dyrektor.

- Przede wszystkim nikt z naszych gospodarzy nie może wiedzieć o tym, że jest pan Polakiem - stwierdził, ścisząc głos do konfidencjonalnego szeptu. Zupełnie niepotrzebnie zresztą, bo w samochodzie, który prowadził Fischer, nie było nikogo

poza nimi dwoma i Carlem, który rozparł się na tylnej kanapie.

– Oczywiście, panie dyrektorze – potwierdził Fischer. – To dla mnie całkowicie zrozumiałe.

– Mogę tylko panu wyjaśnić, że oni, to znaczy nasi lokalni działacze, budują kampanię wyborczą opartą na najniższych instynktach i na wzmacnianiu tożsamości narodowej, więc lepiej, żeby nie wiedzieli...

– Ma pan na myśli rozbudzanie nienawiści do Polaków?

– Te proste kwestie najlepiej trafiają do motłochu. – Gruen odpowiedział nie wprost, ale przesłanie było jasne. Mimo to ciągnął dalej: – Jak pan doskonale rozumie, panie kapitanie, to jest pogranicze. Tu, w naszym mieście, mieszka sporo ludzi, którzy kiedyś żyli na obszarach należących teraz do Polski. Oni są nastawieni zdecydowanie rewizjonistycznie. No i właśnie do nich takim prostym przekazem najłatwiej dotrzeć.

– Jeszcze nigdy w historii niczego dobrego nie przyniosło podburzanie jednej narodowości przeciw drugiej – stwierdził ze spokojem Fischer, wrzucając drugi bieg. Auto wjechało ostrożnie z Zeughausstraße na duże skrzyżowanie. Po prawej stronie otwierał się obszerny Wilhelm Platz, przy którym stał wielki, wzniesiony z czerwonej cegły budynek poczty.

– To zależy, jaki się użytek zrobi z wyzwolonych w ten sposób emocji.

– A jaki można zrobić?

– Powinien pan przeczytać książkę pana Hitlera.

– Czytałem *Mein Kampf*. Nudna jak flaki z olejem.

Gruen obrzucił Fischera badawczym spojrzeniem.

– To prawda, Hitler nie jest Karolem Mayem. – Dyrektor zaśmiał się cicho z tego porównania. – Ale też jego książka to nie powieść przygodowa, którą czyta się z wypiekami na twarzy. To traktat polityczny, w którym są zawarte myśli człowieka mającego wizję przyszłości. I on tę wizję zapewne zrealizuje.

– Myśli pan o przestrzeni życiowej na wschodzie? Czy też może

o kwestii żydowskiej, którą trzeba rozwiązać?

Dyrektor Policji zamilkł na moment, a uśmiech zniknął z jego twarzy. Fischer, mimo że był wpatrzony w ulicę przed sobą, natychmiast to zauważył.

– Wschód nie musi wcale oznaczać wschodniej granicy Niemiec, tak samo jak Żydzi nie muszą być tożsami z tym narodem, ale z wszystkimi, którzy pasożytują na narodzie niemieckim. Trzeba tylko umieć czytać między wierszami, panie Fischer.

– To ten dom, Anton. – Carl, który dotąd nie wtrącał się do rozmowy, teraz klepnął Fischera w ramię, wskazując mu niewielki piętrowy budynek po prawej stronie ulicy. – Możesz wjechać tu, w bramę.

Auto wolno wtoczyło się na podwórko i zatrzymało pod ścianą. Trzej mężczyźni wysiedli. Natychmiast podszedł do nich młody człowiek ubrany w partyjny, brunatny mundur.

– Ortsgruppenleiter Thomala czeka już na panów. Proszę za mną.

Odwrócił się do nich plecami i ruszył po kilku schodkach do wejścia. Przeszli przez wąski korytarzyk, by po chwili stanąć przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Przewodnik zapukał i, nie czekając na wezwanie ze środka, nacisnął kłamkę.

– Panowie z policji już są – zameldował. Wewnątrz, nad stołem, na którym leżał rozłożony duży plan miasta, pochylało się dwóch ludzi w partyjnych mundurach. Obaj byli dość solidnej postury, z tym że jeden znacznie przewyższał drugiego. Ten niższy, o okrągłej twarzy, uśmiechnął się szeroko na widok gości. Odszedł od stołu i podbiegł drobnym kroczkiem do Gruena.

– Jak miło pana widzieć, szanowny i drogi dyrektorze Gruen. O, i pan Hauptmann Aschmutat nas zaszczycił. – Jego spojrzenie ledwo prześlizgnęło się po twarzy Carla. Tymczasem Fischer popatrzył na drugiego z partyjnych bonzów. Ten nie

uśmiechał się wcale, a przybyłych obrzucał tylko niechętnym spojrzeniem spode łba. A łeb miał łysy jak kolano. Przez chwilę Fischerowi zdawało się, że gdzieś już widział tę nieciekawą mordę. Ale zaraz zapomniał o tym typie, gdy ten drugi, uśmiechnięty, potrząsnął jego dłonią.

– Pan Hauptmann Fischer, jak się domyślam. To dla nas prawdziwy zaszczyt gościć pana w naszych skromnych progach. Jestem szczęśliwy, mogąc uściskać dłoń człowieka, którego z naszym Führerem wiążą tak szczególne więzy frontowej przyjaźni.

– Nie nazwałbym tego przyjaźnią – stwierdził Fischer.

– No tak, nasz Führer jest wielką postacią, a tacy ludzie wyrastają ponad przeciętność. Rozumiem doskonale, ale przyzna pan, że to, co rodzi się między mężczyznami walczącymi ramię w ramię, to pewien szczególny rodzaj więzi. To więź braterstwa, która spaja ludzi na zawsze. Bardzo jestem rad, że będziemy mogli Führerowi zrobić tę drobną niespodziankę. Zapewne ucieszy się na pański widok, Hauptmannie Fischer.

Ten wzruszył tylko ramionami.

– Mam nadzieję, że mnie jeszcze pamięta.

– No co też pan mówi? Ja pamiętam wszystkich swoich dowódców z czasów Wielkiej Wojny. No, ale proszę bardzo, siadajcie panowie. – Thomala wskazał krzesła przy stole.

– Czy ma pan już dla nas szczegółową mapę przejazdu pana Hitlera? – zapytał Gruen, sadowiąc się naprzeciw Ortsgruppenleitara.

– Oczywiście, panie dyrektorze. Wszystko zaznaczone w najdrobniejszych szczegółach. Cała trasa łącznie z punktami, w których będziemy pełnić uzbrojone warty. W sumie nasz oddział zabezpieczenia będzie liczył trzystu ludzi. To nasi wypróbowani towarzysze, do których mamy absolutne zaufanie. Rozlokowaliśmy ich w tak zwanych gniazdach patrolowych.

Prócz tego pięciuset umundurowanych członków SA będzie rozstawionych wzdłuż całej trasy, od lotniska aż do samego stadionu. Nasz Führer będzie bezpieczny, jakby był u siebie w domu, nieprawdaż, drogi Schulte? – Zadowolony klepnął swojego umundurowanego towarzysza w ramię.

– Tak jest – przytaknął zapytany. – Nic złego nie może się zdarzyć.

– A gdzie możemy zaaranżować spotkanie? – zainteresował się Aschmutat.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Thomali. Mężczyzna spojrzął tylko przelotnie na Hauptmanna i zwrócił się wprost do dyrektora:

– Bierzemy pod uwagę dwie możliwości. Jedna to krótkie spotkanie na lotnisku, a potem, jeśli Führer zostanie w mieście, nieco dłuższe przy kawie, już po wiecu w Reichsdankhaus przy Friedrich Ebert Straße. Myślę, że nie ma pan nic przeciwko temu, Hauptmannie? – zapytał Fischera, ale raczej nie spodziewał się głosu sprzeciwu. W końcu możliwość uściśnięcia dłoni samego Adolfa Hitlera była tak wielkim zaszczytem, że nie wyobrażał sobie nawet, by ktoś mógł mieć w tej kwestii jakiegokolwiek wątpliwości.

Fischer tylko pokręcił głową, co Thomala przyjął z wyraźnym ukontentowaniem. Zaraz też zerwał się z krzesła i podszedł do kasy ogniotrwałej, która stała przy ścianie. Wydobył z kieszeni pęk kluczy, dobrał odpowiedni, a potem nastawił pokrętła cyfrowe na właściwą wartość. Drzwi kasy otworzyły się niemal bezszelestnie. Thomala wydobył ze środka szarą kopertę i wrócił z nią zaraz do stołu, nie zamykając kasy. Podał kopertę dyrektorowi.

– W środku, znajdzie pan plan miasta z zaznaczoną trasą przejazdu i wszystkimi istotnymi punktami, o których była mowa. Są tylko dwa egzemplarze tej mapy. Jedna zostaje u nas w kasie, a drugą przekazuję na pańskie ręce, drogi dyrektorze

Gruen.

Pół godziny później Fischer siedział już w pobliskim gabinecie polskiego konsula.

– Swoją drogą, ta fajka nie wyglądała najgustowniej – pomyślał konsul. – Człowieka, który ubiera się w tak drogi garnitur, powinno stać na porządną fajkę. Ta pasowałaby raczej do starego zapijaczonego dorożkarza, a nie do mężczyzny z klasą. Jak w ogóle ktoś z towarzystwa, a na takiego przecież wyglądał ten Fischer, mógł wkładać do ust ten obrzydliwy i pogryziony ustnik? Konsul z niesmakiem odwrócił wzrok i spojrzał na lewo. Tam, na reprezentacyjnej ścianie, wisiał oprawiony w grube ramy portret marszałka przepasanego wstęgą orderową Virtuti Militari. Piłsudski to ma klasę, nie to, co niektórzy ludzie, z którymi tu, na kresach, trzeba się spotykać. Ach, gdyby tak można było rzucić to wszystko i wyjechać do stolicy... – Co pan powiedział? – Wyrwał go z zamyślenia głos petenta.

– Że nie musi się pan obawiać konsekwencji – powtórzył zniecierpliwiony Fischer.

– Ale mnie nie o konsekwencje chodzi, szanowny panie. Mnie raczej idzie o to, że ja, jako najwyższy przedstawiciel Rzeczypospolitej na tym terenie, powinienem chyba wiedzieć, co tu się dzieje. A pan mi nie daje na to szansy.

– Pan wybaczy, ale rozkazy są jednoznaczne. A pan, jako były wojskowy, raczej nie powinien podważać rozkazów.

– Oczywiście, znam dyscyplinę i regulaminy. Tyle że ja nie wiem, kto te rozkazy wydaje i czy ja również im podlegam.

Zniecierpliwiony Fischer wypuścił dym nosem, co u niego zawsze było wstępną oznaką zirytowania. Rozumiał co prawda stanowisko konsula, nie miał jednak zamiaru wdawać się w jakiegokolwiek szczegóły. Podniósł się z krzesła i spojrzał przez okno. W głębi ulicy, po lewej stronie, było widać kościelną wieżę z miedzianą kopułą.

– Drogi panie konsulu, ta depesza musi być nadana jeszcze dzisiaj i Bóg mi świadkiem, że nie jestem w stanie nic zrobić, by zaspokoić pańską ciekawość. Wojsko na rozkazie stoi, więc sam pan rozumie... – Uśmiechnął się i wyszedł z gabinetu.

Co za impertynent – pomyślał konsul, biorąc do ręki zostawiony mu przez Fischera papier. – W tej sprawie trzeba będzie dołączyć stanowczy protest do MSZ-etu.

Godzina 5.00 po południu

Słyszała jakieś kroki na korytarzu, a potem skrzypienie drzwi. Ktoś wszedł do środka. Ale zaraz, do jakiego środka? Gdzie właściwie był ten środek? Jakiś pokój czy jakiś szpital? Czuła wyraźnie dziwny zapach, taki jaki spotyka się tylko w szpitalach. To była mieszanka środków dezynfekujących, pasty do podłogi i ludzkich odchodów. W zeszłym roku była w nowym szpitalu na Berlinerstraße, gdy miała podejrzenie ataku ślepej kiszki. Wtedy na szczęście wszystko rozeszło się po kościach i mogła wrócić do domu. No, ale teraz chyba była w szpitalu. Choć nie miała co do tego pewności. Nie potrafiła otworzyć oczu, żeby się rozejrzeć, nie mogła też wydać z siebie jakiegokolwiek słowa, żeby kogoś zapytać. A ktoś najwyraźniej tu, był obok niej. Słyszała wyraźnie dźwięk szkła, jakby obijały się o siebie kieliszki, a potem szum spływającej wody. Czy to jest szpital? Ale jeśli tak, to co ona tu robił? Może znów ten wyrostek wrócił? Pamiętała tamten ból rozdzierający cały bok. A teraz też czuła jakiś ból, tylko nie potrafiła go umiejscowić. Czuła, że coś ją boli, ale nie wiedziała gdzie i dlaczego.

Poczuła, że ktoś nachyla się nad nią. Czyjaś dłoń pogładziła ją po czole.

– Biedactwo. Jak ja bym złapała tego bydlaka, co ci to zrobił, to ja bym jego rozdarła na strzępy. – Usłyszała wyraźnie głos

jakiejś kobiety. Poczowała też zapach jej perfum. Wyraźny lawendowy zapach, taki jaki sama lubiła. Chciała otworzyć oczy i zobaczyć tę pachnącą kobietę, ale nie miała siły. Powieki były ciężkie jak z ołowiu. Nie potrafiła ich unieść. Poczowała delikatne muśnięcie na ramieniu, a potem ukłucie.

– Zabiłabym bydlaka gołymi rękami – odezwał się znów ten sam głos. – Cholerny morderca! – Potem słyszała jeszcze oddalające się kroki, wystukujące swój rytm na betonowej posadzce.

– On nie jest mordercą – chciała powiedzieć, ale żaden dźwięk nie chciał wydostać się z jej ust. – Mój Walther nie jest mordercą. To oni zamordowali ich wszystkich. Walther nawet nie wystrzelił. Był tam tylko z nimi i nikogo nie zabił.

– Nikogo nie zabiłem, słyszysz, Lothe? – przekonywał Walther, klęcząc przy niej na podłodze.

Siedziała w kuchni małego mieszkania na poddaszu Bäckerstraße 7. Nie chciała spojrzeć mu w oczy. Po tym, co się wydarzyło wczoraj, nie mogła dojść do siebie. Tej nocy nie zamienili już ze sobą ani słowa. Natychmiast poszli spać. Rano wstała jak zwykle, wcześniej od niego. Ubrała się szybko i poszła na dół do piekarni na rogu. Kupiła chleb, a obok w sklepie Mahlera masło, biały ser i kankę mleka. Na tyle tylko wystarczyło jej pieniędzy. Spakowała wszystko do siatki i już chciała wyjść, kiedy usłyszała zatroskany głos sklepikarza. Rozmawiał przy drzwiach z listonoszem Reinerem, który, mimo że na wojnie stracił rękę, wrócił do pracy na poczcie. Teraz wyciągał listy z torby, przytrzymując skórzaną klapę zębami.

– Całą rodzinę zabili, panie Mahler.

– Tego jubilera Grünsteina, co ma swój zakład na Zeughausstraße obok zakładu kapeluszniczego? – Sklepikarz nie mógł uwierzyć.

– Tego samego. Zastrzelili jego, znaczy się Arona Grünsteina,

jego żonę Sarę i córkę Noemi. Wszyscy nie żyją.

Usłyszawszy to, Lothe zastygła jak słup soli, wpatrzona w stojące na ladzie słoiki z kolorowymi cukierkami.

– Coś takiego! – Mahler chwycił się za głowę. – Takie nieszczęście, takie nieszczęście... – Nagle urwał, wpatrując się w twarz listonosza, który właśnie wydobył list przeznaczony dla właściciela sklepu.

– O, jest dla pana list – ucieszył się Reiner, podając niebieską kopertę Mahlerowi. – Z Berlina – dodał zadowolony.

Właściciel sklepu wziął kopertę, nie zwracając nań specjalnej uwagi, zaaferowany własnymi myślami.

– On był bogaty jak jaki bankier.

– No tak, Żydzi to mają pieniędzy jak liści na drzewach. Na naszej krzywdzie się dorabiają.

– To ci, co ich zabili, musieli się nieźle obłowić.

Listonosz uśmiechnął się szeroko, ukazując pożółkłe od nikotyny zęby.

– Co się mieli nie obłowić. Powiadają, że z mieszkania i ze sklepu zniknęło całe złoto. Sporo tego musiało być. Miliony, panie, miliony.

– Mój Boże, taki majątek!

– Ci, co ich zabili, to se teraz będą żyli jak pączki w maśle – stwierdził listonosz.

– No, chyba że ich złapią. Jak ich złapią, to trafią na szubienicę i nic nie będą mieli z tego złota. Wszystko przypadnie.

– Chyba że ich nie złapią. Tacy bandyci to już tam dobrze wiedzą, jak się schować. No i jeszcze jak ukryć to wszystko, co zrabowali.

– Policja ich szuka po całym mieście. Ale nie wiedzą, kogo szukać, bo nikt nic nie widział.

Sklepikarz Mahler pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Całą rodzinę zabili, powiadasz pan?

– Calušką. Tylko ich syna nie zabili. Bo ten syn to jeszcze w siedemnastym roku zginął gdzieś, chyba w Rosji. Takie nieszczęście. A ojciec był z niego taki dumny, bo on był Leutnantem w artylerii.

Dalej już nie słuchała. Wybiegła ze sklepu i pognąła do domu. Gdy zdyszana wpadła do mieszkania, Walther jeszcze spał. Podeszła do stołu, postawiła na nim kankę z mlekiem i siatkę z zakupami, a potem bez sił opadła na krzesło. Przez chwilę siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nie płacz, nic się nie stało. Przecież nikt nas nie widział – odezwał się nagle Walther.

Podniosła głowę i spojrzała na niego wyzywająco. Siedział na łóżku w samych kalesonach. Rozczochrane jasne włosy sterczały mu na wszystkie strony. Nie miał podkoszulka i wyraźnie widać było ślad, jaki zostawiła na jego ciele francuska kula, tuż pod obojczykiem. Sam otwór wlotowy był niewielki, ale zablizniona rana na plecach miała wielkość zaciśniętej pięści.

– Co z tego, że nikt was nie widział. Policja i tak prędzej czy później dowie się, kto tam był.

– Niczego się nie dowiedzą. Bo i kto im powie? Umarli?

– Mówiłeś, że tylko umarli wiedzą.

– Bo to prawda. Tylko oni wiedzą, jak było. Inni się nie liczą. Przecież nikt z tych, którzy tam byli, nic nie powie. Nikt sam sobie na szyję stryczka nie założy.

– Ale tam zostało zabite dziecko!

Wzruszył chudymi ramionami. Wstał z łóżka i podszedł do stołu. Myślała, że chce ją dotknąć, więc odsunęła się szybko. On tylko się uśmiechnął i sięgnął po kankę z mlekiem. Przyłożył ją do ust i zaczął pić, głośno przełykając. Gdy ugasił pragnienie, odstawił baniak na stół i wytarł usta wierzchem dłoni. Potem sięgnął po papierosa. Zapalił i usiadł naprzeciwko niej.

- Ja wiem, że tak być nie powinno. Oni zginęli i tyle. Niepotrzebnie żeśmy tam wchodzili. To był przypadek...
- Zamordowanie całej rodziny ty nazywasz przypadkiem?
- Jest wojna – stwierdził twardo.
- Wojna się skończyła.
- Nie! Nadal trwa. Trwa rewolucja. Dopóki nie pokonamy wszystkich burżujów...
- Nie mów mi takich rzeczy, Walther. Ja chcę, żeby się to już skończyło. Ja chcę, żeby nasze dziecko przyszło na świat w ciszy i spokoju. Żeby nikt do nikogo nie strzelał...
- Ożenię się z tobą, Lothe. Kocham cię. Już niedługo będziesz się nazywać pani Jung...

- Pani Jung, słyszy mnie pani?

Skąd ten głos? Chyba już go kiedyś słyszała, ale teraz nie potrafiła rozpoznać. Próbowwała się rozejrzeć, jednak nie mogła ruszyć głową. Co więcej – nie mogła też otworzyć oczu. Dookoła panowały ciemności. Czuła tylko ten otaczający ją ze wszystkich stron szpitalny smród.

- Pani Jung, czy pani mnie słyszy? – pytał znów ten sam mężczyzna.

- Ona nic nie słyszy, panie Leutnancie – odezwała się jakaś kobieta.

- Mogę poczekać tu trochę? Może się ocknie?

- Może pan siedzieć, ale marne szanse, żeby się wybudziła. Jak na razie, ona jest w innym świecie.

- Ale będzie żyła?

- Jak Bóg pozwoli, to będzie.

- To ja tu chwilę posiedzę.

- Niech pan siedzi. Tyle że tu nie wolno palić.

- Ja nie palę.

- To dobrze. Niech pan nie pali.

Siostra wyszła z pokoju. Leutnant Frank został na miejscu.

Wziął do ręki metalowy taboret, podsunął go bliżej łóżka, usiadł na nim i przyjrzał się śpiącej kobiecie. Jej oddech był regularny, a usta nadal spierzchnięte. Na czole perliły się kropelki potu. Z nocnego stolika wziął do ręki szmatkę, leżącą na metalowej nerce, i przetarł nią twarz kobiety. Miał wrażenie, że poczuła ten delikatny dotyk, bo rytm jej oddechu na moment się zmienił. Postanowił więc spróbować jeszcze raz.

– Pani Jung, słyszy mnie pani?

Nie było odzewu.

– Pani Jung, nazywam się Leutnant Eberhardt Frank, jestem z policji w Schneidemühl. Byłem dzisiaj u pani w mieszkaniu. Postanowiłem poszukać czegoś, co mogłoby mnie naprowadzić na jakiś ślad. Już wcześniej przeszukaliśmy całe mieszkanie, ale chyba zrobiliśmy to zbyt pobieżnie. No więc dziś postanowiłem tam pójść jeszcze raz i po raz kolejny przyjrzeć się wszystkiemu znacznie dokładniej. I proszę sobie wyobrazić, że w szufladzie bieliźniarki, jak to się tu mówi w szafonierce, natknąłem się na coś dziwnego. Dno tej szuflady było wyłożone kraciastą ceratą. Moja mama też wykłada szuflady ceratą, żeby łatwiej było robić porządki. A ja, jak byłem mały, to pod ceratą w naszych szufladach chowałem różne swoje skarby. Takie, wie pani, papierki po czekoladkach i etykiety od zapalek. Pod tą ceratą ładnie się prostowały, nawet jak były trochę wygniecione. No i pomyślałem sobie, że może nie tylko ja miałem taki pomysł. Może inni też chowają coś w szufladach pod ceratą? I dlatego wydobyłem wszystko z tej szuflady, a potem zdjąłem tę ceratę. No i pod tą ceratą znalazłem taki niewielki wycinek z gazety. Nie wiem, jaka to gazeta i z którego roku, ale przecież to się da ustalić. Ten wycinek z gazety jest dość krótki. Mam go nawet przy sobie i mogę go pani odczytać.

Wczorajszej nocy doszło do bandyckiego napadu na mieszkanie przy Zeughausstraße, należące do rodziny

jubilera Grünsteina. Bandyci, którzy nocą dostali się do mieszkania poprzez zakład złotniczy, mieszczący się na parterze kamienicy, zamordowali z zimną krwią Arona Grünsteina, jego żonę Sarę i ich sześcioletnią córkę Noemi. Pomimo zarządzanego natychmiast pościgu i całonocnej obławy na złoczyńców, jak dotąd żadnego z napastników nie udało się pochwycić. Według świadków w nocy widziano biegnących dość szybko w okolicy kościoła Świętej Rodziny dwóch ludzi w wojskowych szynelach. Inni ludzie widzieli niedaleko gmachu poczty miejskiej człowieka w mundurze i młodą kobietę. Ci nie uciekali, ale szli krokiem spokojnym od Zeughausstraße. Dlatego policja uprasza owych ludzi, iżby zgłosili się na komisariat, bo być może coś widzieli, co pomocnym być może w odnalezieniu morderców.

Skończył czytać i spojrzał na kobietę. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Zwinął więc wycinek, schował go do notesu i już chciał odejść, gdy nagle o czymś sobie przypomniał.

– Frycek i Marlenka, pani dzieci, są pod opieką sąsiadki, pani Weiß. Wszystko z nimi dobrze...

Kobieta otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć...

[2] Landgericht – Sąd Okręgowy.

Rozdział VII

Schneidemühl

Sobota, 16 lipca

Godzina 4.25 rano

Na jaśniejącym niebie nie było ani jednej chmury. Pierwsze promienie świtu obrysowywały ostro ciemne, niemal czarne korony sosnowego lasu, który rozciągał się po obu stronach nasypu kolejowego. Hamulce lokomotywy zawyły jak potępieniec i ogromne stalowe cielsko zaczęło wytracać prędkość. Czterdziestoletni, doświadczony maszynista Thomas Hupke wystawił głowę przez boczne okienko, by ocenić odległość, jaka pozostała do zestawionego składu pustych węglarek. Miał przed sobą jeszcze jakieś pięćset metrów. Parowóz toczył się coraz wolniej. Pomocnik Roman Wojtasik patrzył uważnie na strzałkę ciśnieniomierza, która powoli opadała w dół.

– Spuść jeszcze trochę pary – polecił maszynista, a Roman natychmiast odkręcił zawór. Kłęby pary wydostały się z kotła małym kominem. Prędkość zmalała i parowóz zaczął toczyć się właściwie tylko siłą bezwładności. Do stojących przed nimi węglarek trzeba było podjechać na minimalnej prędkości i zbliżyć się tak, żeby wywołać jak najmniejszy wstrząs. I broń

Panie Boże, nie przesunąć wagonów czekających na podczepienie.

– No dobra, przejmuj maszynę – odezwał się Hupke.

– Co? – Zdziwiony Wojtasik spojrzał z niedowierzaniem na maszynistę. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat i jak dotąd tylko na trasie prowadził samodzielnie lokomotywę. Manewry, takie jak podczepianie wagonów czy przetaczanie ich na bocznice, były tak skomplikowane, że mógł je wykonywać tylko doświadczony maszynista. On w takich sytuacjach tylko przypatrywał się każdej czynności, którą wykonywał Hupke. Dlatego z teoretycznej strony wiedział już wszystko, ale co innego praktyka. Popatrzył niepewnie na maszynistę.

– No dalej, co tak stoisz?

– Żeby ci ino galoty nie pękły – zaśmiał się siedzący z tyłu na metalowym rozkładanym krzeselku Heini Wenk, młody palacz, który w tej chwili nie miał nic do roboty.

– Ty się zamknij – uciszył go Hupke. – A ty dalej, do roboty.

Odwrócił się do nich plecami i wystawił głowę na zewnątrz. Lokomotywa toczyła się przez kilka sekund sama, bez żadnego nadzoru. W końcu Wojtasik chwycił wajchę hamulca i zaczął ją delikatnie ciągnąć do siebie.

– Dwieście metrów! – krzyknął Hupke, podając dystans do rosnących w oczach wagonów. Na bocznicę widać już było pracowników, którzy za chwilę zajmą się podczepianiem lokomotywy. Maszynista pomachał do nich. Pomachali również, na znak, że wszystko w porządku.

– Sto metrów! – informował dalej Hupke. Lokomotywa systematycznie wytracała prędkość.

– O, już wywiesili flagi – zawołał Heini na widok czerwonych proporców ze swastyką, które wisiały na masztach zdobiących trybuny stadionu miejskiego. To tutaj niedługo miał odbyć się *Parteitag* z udziałem samego Hitlera. Stadion położony był kilkadziesiąt metrów od bocznic i widać go było stąd jak na

dłoni, ale żaden z mężczyzn zajętych prowadzeniem lokomotywy nie zwrócił na ten wyjątkowy widok uwagi. Pochłaniało ich całkowicie prowadzenie kolosa.

– Pięćdziesiąt metrów! – zawołał Hupke, po czym wystawił przez okno czerwoną chorągiewkę. Wtedy człowiek, który stał na środku toru pomiędzy dwoma zderzakami pierwszego wagonu, w popłochu odskoczył na pobocze. Maszynista uśmiechnął się zadowolony. Robotnicy natychmiast zrozumieli, co się dzieje. Ten, który uciekł przed czoła nadjeżdżającej lokomotywy, teraz wygrażał im pięścią. To, że stał tam wcześniej świadczyło o pełnym zaufaniu do nadjeżdżającego maszynisty, który powinien osadzić lokomotywę w miejscu, gdy jej zderzaki zaledwie musną te wagonowe. Do tego jednak trzeba było pewnej ręki i lat doświadczenia. Gdy pojawiła się czerwona chorągiewka, natychmiast zrozumiał, że parowóz prowadzi pomocnik, a to oznaczało, że uderzenie może być tak silne, że cały skład przesunie się o metr albo i jeszcze dalej. Lepiej więc było nie ryzykować obcięcia głowy.

– Zwolnij jeszcze – instruował pomocnika maszynista. – Dobrze, tak trzymaj. Dziesięć metrów... pięć metrów. Hamuj teraz!

Hamulce zapiszczały ostro i kolos delikatnie, niemal z czułością musnął zderzaki węglarki. Zadowolony Hupke odwrócił się do pomocnika. Ten, cały czerwony na twarzy, otarł rękawem koszuli pot z czoła. Wyglądał tak, jakby właśnie przerzucił tonę węgla.

– No, nieźle – Hupke pochwalił pomocnika, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Który to gnojek chciał mi odciąć łeb? – zawołał z dołu Karl Kutschera, majster na boczniczy. Wspiąwszy się po drabince, po chwili był już w lokomotywie.

– Co, Thomas, uczysz dzieci jeździć parowozem? – zapytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

– A co, widać, że moja szkoła, nie? – Zadowolony Hupke podał mu rękę, a potem spojrział z dumą na swojego pomocnika. – Będą z niego ludzie.

– Jak kto się uczy od najlepszych, to się musi wyuczyć – zgodził się z nim majster.

– Ale będzie tam widok! Cały stadion ma być pełen ludzi. – Heini wpatrzony w powiewające proporce nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w lokomotywie. Myślni był wśród tych, którzy niedługo będą słuchać przemówienia partyjnego wodza. Gdyby mógł, też byłby w tym tłumie. Ale nie miał takiej możliwości, bo za chwilę wyruszał w drogę na Górny Śląsk.

– A ty coś się tak zapatrzył? – zawołał do niego Hupke. – Chwytaj się za oliwiarę i leć do kół. Żeby mi wszystko było sprawdzone!

Chłopak podniósł się ze swojego krzeselka, złapał bańkę z olejem i sprawnie zszedł na dół.

– Co się ciskasz? Przecież to dzieciak – próbował tłumaczyć chłopaka majster Kutschera, spoglądając na czerwone płachty nad stadionem.

– Robota jest robotą, a potem przyjemności, a jemu się marzą darmowe kiełbaski i piwo.

– A tobie nie szkoda? – Majster wskazał stadion i mrugnął porozumiewawczo do maszynisty. Ten wykrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu.

– Nie lubię tłumów. Zwłaszcza takich, co mają kolor gówna.

– Jak wrócisz z Gleiwitz, już będzie po wszystkim. Rozjadą się i nie będzie po nich śladu.

– Nie byłbym taki pewny. Gówno ma to do siebie, że jak człowieka oblepi, to trudno je potem usunąć.

– No dobra, idę wszystko sprawdzić jeszcze raz i za pół godziny możecie ruszać. Kutschera klepnął maszynistę w ramię i już chciał opuścić się w dół po drabince, gdy nagle usłyszał przejęty głos Wojtasika.

– Tam w krzakach ktoś leży! – zawołał chłopak, wskazując palcem zarośla na prawo od lokomotywy.

– To pewnie jeden z tych, co przygotowują ten wiec się uchlał... – zażartował maszynista, ale gdy dostrzegł wyraz twarzy swojego pomocnika, zrozumiał natychmiast, że musiało się coś stać. Przeszedł na drugą stronę lokomotywy i spojrzał we wskazanym kierunku. Przez chwilę patrzył w kępę krzaków, niczego nie dostrzegając. Naraz wśród bujnej zieleni zobaczył coś, co mogło wyglądać jak ludzka dłoń. Reszta ciała, jeśli w ogóle tam było jakieś ciało, nikonęła w mroku oraz plątaninie gałęzi i liści.

– Trzeba zobaczyć, co tam jest – zdecydował maszynista.

– A co tam jest? – zapytał z tyłu majster.

– Coś jak ręka albo co – wyjaśnił Hupke, patrząc, jak jego pomocnik szybko zeskakuje z drabinki i biegnie w dół nasypu. Po chwili był już na miejscu. Uklęknął na jedno kolano, rozgarniając krzaki. Zaraz też podbiegł do niego Heini, który nie wiedział jeszcze, w czym rzecz, ale na wszelki wypadek wołał się sam przekonać. Tymczasem Wojtasik uniósł rękę i zaczął nią machać w stronę lokomotywy. Maszynista był już na dole. Razem z Kutscherą ruszyli w kierunku krzaków. Dołączyli też do nich dwaj pracownicy składowi, zaalarmowani krzykami.

– Panie Hupke, panie Hupke, tu jest trup! – zawołał głośno palacz Heini. Wojtasik tymczasem chwycił trupa za rękę i zaczął go ciągnąć. Szło mu widać opornie, bo zaparł się nogami o podłoże, a ciało ani drgnęło. Dlatego młody palacz zanurkował w krzaki, żeby je uwolnić. Nim pozostali doszli na miejsce, nieboszczyk został wydobyty z pułapki. Leżał teraz na trawie, oświetlony pierwszymi promieniami słońca. Kolejarze stanęli nad nim, uważnie się przyglądając. A było na co popatrzeć, bo nie co dzień widywało się tak sprawionego nieboszczyka.

– Pewnie go pociąg trzepnął w łeb, bo cały potrzaskany –

domyślił się Heini.

– Głupiś. Postrzał w potylicę – stwierdził Kutschera, który w swoim życiu napatrzył się na niejednego zastrzelonego człowieka.

– To czemu on nie ma czoła, jak dostał strzał w potylicę? – zapytał z niedowierzaniem młodzieniec.

Kutschera spojrział najpierw na Hupkego, który też był wojennym weteranem, a potem wyjaśnił, jakby tłumaczył coś całkiem oczywistego małemu dziecku.

– Bo jak się przystawi lufę lugera do potylicy i pociągnie za spust, to kula wchodzi małą dziurką, a z przodu wyrywa pół głowy. Zobacz se, z tyłu musi być otwór wlotowy.

Chłopak natychmiast przyklęknął przy zwłokach i uniósł dwoma rękoma głowę.

– Jest dziura – potwierdził zdumiony, spoglądając jednocześnie na majstra jak na jakiegoś jasnowidza.

– Tak samo było, jak my rozstrzelowali jednego dezertera – stwierdził jeden z pracowników kolejowych. – Strzelało siedmiu chłopów, a tylko jeden trafił, i to w samo czoło. To w tym czole była ino mała dziurka, a z tyłu nie było wcale głowy, bo się od tej kuli rozleciała.

– Rany wylotowe są zawsze większe od wlotowych – potwierdził prawdę znaną wszystkim żołnierzom Hupke.

– To co z nim zrobimy? – zapytał w końcu Wojtasik.

Maszynista wzruszył ramionami. A co mogli zrobić? Pociąg musiał zaraz ruszać. Trup nie trup, a rozkład jazdy był najważniejszy. Niech się inni martwią.

– Nam tam nic do trupa. Zaraz musimy jechać. Niech se go policja zabiera. Nie nasza sprawa.

– Niby racja – stwierdził Kutschera. – Ale głupio tak człowieka zostawić przy torach.

– A kto mówi o zostawianiu? Zostanie tu jeden z twoich ludzi, a jak będziemy przejeżdżać przez dworzec, to drugiego się

wysadzi i niech leci na posterunek kolejowy. Tam powie komu trzeba, że nieboszczyk czeka na nasypie koło stadionu. Trup to nie nasze zmartwienie.

– Racja, nie nasza sprawa – zgodził się z nim Kutschera. – To ty, Edwin, zostań tutaj – zwrócił się do młodszego z dwóch pracowników – a ty, Hans, wyskoczysz na dworcu i powiesz na posterunku co i jak.

Bez zbędnych słów wszyscy kolejarze, z wyjątkiem wyznaczonego do pilnowania chłopaka, ruszyli w kierunku pociągu. Załoga lokomotywy zajęła swoje miejsca, a robotnicy wskoczyli do budki strażniczej, doczepionej do pierwszego wagonu. Lokomotywa zasapała kilka razy, wypuszczając kłęby pary, a potem szarpnęła wagony, by powoli ruszyć w kierunku dworca.

Edwin przez chwilę patrzył na odjeżdżający skład, po czym usiadł na nasypie i zapalił papierosa. Nie bardzo podobała mu się perspektywa siedzenia przy torach w towarzystwie trupa z połową głowy, ale z drugiej strony było to zdecydowanie lepsze niż robota w kolejny upalny dzień. Tu przynajmniej będzie mógł poleżeć w cieniu, nic nie robiąc i patrząc na powiewające w lekkim wietrzyku czerwone flagi ze swastyką, zdobiące miejski stadion.

Godzina 8.15 rano

Cios wymierzony w twarz był tak silny, że przewrócił się na podłogę wraz z taboret. Na szczęście zamortyzował upadek ramieniem i nie walnął głową w betonową posadzkę. Przez chwilę leżał bez ruchu, oszołomiony uderzeniem. Nie spodziewał się kompletnie, że ten policjant może go uderzyć. Przecież to nie te czasy, żeby policja biła ludzi. Dawniej, owszem, zdarzały się takie przypadki i niejedną raz o tym

słyszał. Tylko to było jeszcze przed Wielką Wojną. Jednak żeby teraz sięgali do takich prymitywnych, średniowiecznych metod? A może to wcale nie metoda, tylko ten, co go pobił, to jakiś psychopata? Ale zaraz, przecież ten jego znajomy, z którym siedział w celi jeszcze wczoraj, ten Wittmann, był cały obity. No, tyle że Wittmann był komunistą. A wiadomo, że komuniści mieli swoje za uszami. To, że komunistą dostał po mordzie, wcale go nie zdziwiło. A teraz dziwił się, że biją jego.

– No dalej, wstawaj, śmieciu – warknął ten łysy bydlak, który go uderzył. – Myślisz, żeś jest na plaży w Zopott? To nie wyuczasy. Wstawaj, gnoju, i przypomnij sobie lepiej wszystko, jak było, zanim przyjdzie oficer, żeby cię przesłuchać. Masz gadać jak na spowiedzi.

Huber postawił przewrócony taboret, a potem, oparłszy się o niego ramieniem, podniósł się. Po chwili usiadł ciężko. W głowie mu huczało, ale na szczęście nie był zraniony, jedynie trochę obity. Łysy policjant, siedzący za biurkiem z nogami na blacie, patrzył na niego złym okiem.

– Takich bydlaków jak ty, Huber, to się powinno na miejscu rozstrzeliwać. Po co taki gnój ma żyć i zabierać innym uczciwym ludziom świeże powietrze?

– Nic nie zrobiłem – wyrzucił z siebie kolejarz.

Policjant podszedł szybko do niego i zdzielił go pięścią w brzuch. Huber zwinął się z bólu, a wtedy ten uderzył go znowu, tym razem w odsłonięty kark.

– Ty świnió, nic nie zrobiłeś? A kto zastrzelił swojego kumpla z celi?

Przez chwilę oddychał ciężko, z trudem łapiąc oddech. Dopiero po dłuższej chwili dotarł do niego sens tego, co powiedział ten człowiek.

– Kogo zastrzeliłem? Jakiego kumpla?

– No, tego komunistę Wittmanna.

– To Wittmann jest zastrzelony?

– No proszę, sam go zastrzelił i udaje teraz. Pewnie, że żeś go zastrzelił, a później wyrzucił z lokomotywy. Myślałeś, że nikt go nie znajdzie, a tu proszę, jaka niespodzianka! Trup już jest znaleziony. I najlepsze, że znaleźli go twoi koledzy kolejarze.

– Nic nie rozumiem. To jest jakaś pomyłka.

– My w policji się nie mylimy. Jak tu siedzisz, to znaczy, żeś jest winny. Widzi mi się, że marny twój los, Huber. Mam takie przeczucie, że już kat zaciera ręce przed spotkaniem z tobą.

– Ja nic nie zrobiłem.

– Ty chyba naprawdę znów chcesz dostać po pysku. Co, Huber, chcesz dostać? Policjant znowu rozsiadł się za biurkiem, kładąc nogi na blacie.

– Odzywaj się do mnie z szacunkiem, gnoju – powiedział cicho kolejarz. Policjant aż otworzył gębę ze zdziwienia. Jeszcze nigdy nie słyszał, by jakikolwiek aresztant zwrócił się w taki sposób do przedstawiciela państwa w mundurze. Już sama ta odzywka kwalifikowała tego kolejarza do wysyłki na ciężkie roboty, ale wcześniej na porządne mordobicie.

– Coś ty powiedział, świński ryju?

– Ja na wojnie dostałem Krzyż Żelazny za odwagę.

– Ha, ha, ha... Taka szmata dostała order za odwagę? Pewnie przez pomyłkę ci go dali, świnioparszywa. Może za to, żeś się chował przed kulami, gdy inni szli dzielnie do ataku...

Łysy nie zauważył, że z twarzy aresztowanego odpląnęła momentalnie cała krew. I to był jego błąd, którego pewnie by nie popełnił, gdyby był bardziej spostrzegawczy. Huber jak tygrys rzucił się na biurko, szarpnął policjanta za wyłożone nogi i z impetem rzucił nim o podłogę. Nim ten zorientował się, o co chodzi, aresztant już siedział na nim. Wystarczyły trzy uderzenia w szczękę, by łysy stracił przytomność. Kolejarz wstał i przez chwilę patrzył na zakrwawioną twarz nieprzytomnego policjanta.

– Za odwagę dostałem Żelazny Krzyż, ty łysy wieprzu –

powiedział cicho, ale jego przeciwnik nie mógł usłyszeć tych słów, bo jego mózg postanowił na chwilę zawiesić swoją aktywność.

Huber rozejrzał się dookoła. Drzwi były za nim, biurko naprzeciw, a na ścianie tuż pod sufitem zakratowane okno. Dokładnie takie samo jak to, przez które oglądał dziedziniec policyjny jeszcze wczoraj w swojej celi. Dziś rano wprowadzili go tutaj tym samym korytarzem, który wiódł do aresztanckich cel. Ale pokój, w którym teraz był, znajdował się na samym skraju korytarza, tuż przy drzwiach. Jeśli jest tak, jak mu się zdawało, to ten łysy jest w tej chwili jedynym policjantem w areszcie. Cele były pozamykane, a dyżurny wszedł z nim do gabinetu. A to oznaczało, że wystarczy tylko otworzyć drzwi od aresztu, by znaleźć się w podcieniu bramy. Na lewo było wyjście na zewnątrz, wprost na ulicę. Jednak pamiętał, że był tam policjant siedzący w niewielkiej dyżurce tuż przy bramie. Żeby tamtędy się wydostać, musiałby go obezwładnić. Pamiętał też, że po drugiej stronie bramy, na wprost wejścia do aresztu, były inne drzwi. Dostrzegł je, gdy wczoraj wypuszczali go na wolność. Wchodził akurat przez nie jakiś policjant. Gdy wszedł do środka, skrzydło nie zamknęło się natychmiast, lecz na tyle wolno, by zdołał dostrzec, iż są tam schody. Czyli że tymi drzwiami można było dostać się na piętro policyjnego budynku.

Nie było czasu do namysłu. Plan, który zrodził się nagle w jego głowie, był dość ryzykowny, ale mógł się powieść. Kolejarz nachylił się nad łysym policjantem i na wszelki wypadek zdzielił go jeszcze raz pięścią w skroń. To powinno pozbawić go całkowicie chęci do jakichkolwiek działań, nawet jakby za jakiś czas otworzył oczy.

Szybko zaczął go rozbierać. Potem zdjął swój kolejarski mundur i przebrał się w policyjny. Zostawił tylko swoje buty na nogach, bo tamte już na pierwszy rzut oka były za małe. Na szczęście i te, i te były czarne, więc nikt nie powinien zwrócić

uwagi na różnicę w fasonie. Po chwili był gotowy do wyjścia. Przy strażniku znalazł pęk kluczy. Wybrał jeden i wsadził go do zamka. Nie pomylił się. Klucz pasował. Przekręcił delikatnie i zamknięcie ustąpiło. Kolejarz lekko odchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Tak jak się spodziewał, nie było tam nikogo. Ostrożnie wyszedł na zewnątrz i podszedł do służbowego stolika. Leżał na nim zeszyt do zapisywania nazwisk aresztantów. Obok stał taboret, na którym powinien siedzieć policjant, ale została po nim tylko policyjna czapka. Huber chwycił ją i założył na głowę. Była trochę za duża i daszek opadał mu na nos, więc przesunął ją na tył głowy, żeby się lepiej trzymała. W pełni umundurowany podszedł do drzwi prowadzących na zewnątrz. Tym razem chwilę trwało, zanim dopasował odpowiedni klucz. W końcu drzwi się otworzyły. Uchyliwszy je lekko, rozejrzał się. Nikogo nie dostrzegł. Pomieszczenie strażnika pilnującego bramy było na lewo od niego, a drzwi do klatki schodowej na wprost. Huber obciągnął kurtkę mundurową, poprawił pasek na brzuchu, a daszek czapki zsunął na nos. Był gotowy.

Przez chwilę stał, zbierając siły. Zmówił pacierz za powodzenie przedsięwzięcia, który zawsze odmawiał po cichu przed wyruszeniem w drogę swoją lokomotywą, a potem zdecydowanym ruchem pchnął drzwi. Wyszedł na brukowaną jezdnię w szerokim podcieniu bramy. Nie spieszył się. Wiedział, że jeśli ma mu się udać, musi sprawiać jak najbardziej normalne wrażenie. Wyszedszy na zewnątrz, zamknął za sobą drzwi, włożył klucz w zamek i przekręcił. Potem schował pęk kluczy do kieszeni i gwizdząc pod nosem jakąś melodię, przeszedł spokojnym krokiem na drugą stronę, do drzwi prowadzących na górę. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wszedł na klatkę schodową. To musiały być boczne schody, które policjanci wykorzystywali do wprowadzania na górę aresztantów albo sami tędy schodzili, by dostać się na dziedziniec. Tu na szczęście nie było żadnego dyżurnego. Huber

wspiął się na pierwsze piętro i wyrzwał na korytarz. Kompletna pustka i cisza. Wyglądało to tak, jakby piętro urzędu jeszcze się nie obudziło. Wtedy przypomniał sobie słowa Wittmanna, że w tej części budynku są pokoje przesłuchań i pomieszczenia śledczych. Widać ruch w interesie jeszcze się nie zaczął. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien tędy pójść. Jednocześnie analizował w myślach rozkład pozostałych korytarzy i pomieszczeń. Nigdy co prawda nie był w Dyrekcji Policji, ale jednak umiał sobie wyobrazić drogę do wyjścia. Bo to główne, które policja dzieliła z Provinzialverwaltung, prowadziło wprost na Danziger Platz, natomiast uliczka, przy której było wejście tylko do policyjnego skrzydła budynku, położona była prostopadle do placu. Miał ją teraz za plecami, żeby więc dostać się do głównego wyjścia, musiał iść w lewo, a potem skręcić w prawo, w któryś z głównych korytarzy.

Nagle z dołu usłyszał jakiś hałas. Ktoś wszedł na klatkę schodową. Nie był to raczej pościg, bo kroki, które słyszał, były stanowczo zbyt wolne. Zdecydował, że wejdzie jeszcze piętro wyżej. Ruszył szybko schodami w górę i po chwili znalazł się na drugim piętrze. Tu już nie było czasu na kalkulowanie. Ten, kto szedł z dołu, wspinał się cały czas wyżej. Huber pchnął drzwi i wyszedł na obszerny korytarz. Wyglądał tak samo jak ten poniżej, tyle że tu lamperia pomalowana była żółtą, a nie jak piętro niżej zieloną farbą olejną. I tu, i tam wszystkie drzwi i szerokie ościeżnice miały kolor popielaty. Na tym korytarzu już nie było tak pusto. Z lewej strony nadchodziła jakaś kobieta ze stosem papierowych teczek. Wyminął ją, a urzędniczka nawet nie popatrzyła na niego. Poszedł w lewo, mijając trzech młodych policjantów, którzy stali przy popielniczce na wysokiej nóżce i palili papierosy. Na widok podoficera natychmiast wyprężyli się na baczność. Przyłożył rękę do daszka i przeszedł obok. Po chwili korytarz skręcał w prawo. Tu podłoga była wyłożona grubym dywanem. To mogło oznaczać, że rząd drzwi

po lewej stronie należał do biur najważniejszych policyjnych urzędników. Wkroczył tam zdecydowanie. Popatrzył w prawo. Wysokie okna ciągnące się wzdłuż korytarza wychodziły na zewnętrzny dziedziniec. Ten sam, który obserwował z dołu, z poziomu okna aresztu. Dostrzegł te same auta policyjne, które stały tam wczoraj. Szedł więc w dobrym kierunku.

Wtem na jego drodze pojawił się postawny, wysoki mężczyzna ubrany w elegancki garnitur. Szedł wolnym krokiem, z jedną ręką w kieszeni, w drugiej nioś teczke do akt. Huber spuścił głowę, ale zaraz podniósł ją wyżej, uzmysławiając sobie, że to zapewne musi być jakiś oficer po cywilnemu. Natychmiast przypomniał mu się wojskowy regulamin, który wyraźnie mówił, że mijając oficera, nawet ubranego po cywilnemu, trzeba oddać mu honory. Gdyby minął go z opuszczoną głową, mogłoby to być podejrzone. Dlatego gdy zbliżył się do mężczyzny, zaszalutował regulaminowo. Ten nie oddał salutu, bo nie miał na głowie czapki, ale uśmiechnął się zadowolony, widząc zdecydowany salut podoficera. Cywil przystanął przez chwilę, patrząc w ślad za policjantem. Huber czuł to spojrzenie, które, jak mu się zdawało, wypala mu dziurę w plecach. Po chwili jednak z ulgą usłyszał za sobą trzaśnięcie drzwi. Został na korytarzu sam, akurat w momencie, w którym na prawo od niego otwierało się szerokie foyer z reprezentacyjnymi marmurowymi schodami. Skręcił w tamtym kierunku. Na schodach minął dwóch urzędników w garniturach i zarękawkach. Ci na pewno nie byli policjantami. Na niższym piętrze już roilo się od ludzi, którzy nie wyglądali ani na policjantów, ani na urzędników. Na ławkach ustawionych pod ścianami czekali zwykli petenci. Był więc w urzędzie. Zszedł jeszcze piętro niżej. Tutaj również panował ożywiony ruch. Przez przeszklone drzwi dostrzegł równy trawnik porastający plac Gdański.

Założył ręce do tyłu i wojskowym, pewnym krokiem poszedł

w kierunku wyjścia.

– Wachtmeistrze, chwileczka – usłyszał za sobą męski głos.

W pierwszym momencie chciał uciekać, bo od drzwi dzieliło go najwyżej dziesięć metrów. Ale to wzbudziłoby powszechne zainteresowanie. Dlatego zaryzykował i odwrócił się. Przed nim stał jakiś gruby jegomość w odświętnej czarnej marynarce i kapeluszu. Wyglądał jak gospodarz, który przyjechał do miasta załatwiać swoje urzędowe sprawy.

– A gdzie tu się idzie do Wydziału Agrarnego? – zapytał chłop.

– W dupie mam twój Wydział Agrarny – odpowiedział Huber i odwróciwszy się, zostawił gospodarza z rozdziawionymi w niemym zdumieniu ustami.

Stanąwszy na zewnętrznych schodach, wciągnął głęboko w płuca czyste miejskie powietrze i uśmiechnął się z ulgą. Był wolny. Teraz musiał tylko odejść stąd jak najszybciej i... No właśnie, i co dalej? Nad tym nie zastanawiał się ani przez moment podczas swojej ucieczki. Musiał się gdzieś ukryć. To było teraz najważniejsze. Ruszył więc szybkim krokiem, przeciął plac i podążył wzdłuż budynków muzeum i teatru miejskiego; szedł w kierunku dworca kolejowego, nie odwracając się za siebie. Nawet gdyby się odwrócił, zapewne nie dostrzegłby patrzącego na niego z wysokości okna na drugim piętrze mężczyzny. Tego samego, któremu salutował na korytarzu. Mężczyzna patrzył na malejącą postać i uśmiechał się pod nosem.

Godzina 10.00 przed południem

– No to właściwie mamy sprawę rozwiązana – powiedział dyrektor Gruen, chwytając drewnianą politurowaną skrzyneczkę z cygarami. Otworzył ją i podszedł do stolika, przy którym w skórzanym fotelu rozsiadł się Hauptmann

Aschmutat.

– Rozwiązaną, ale nie zakończoną – próbował ostudzić entuzjazm swojego szefa oficer.

– No, Carl, nie bądź taki skromny. Udało się wszystko poskładać do kupy. To przecież wyłącznie twoja zasługa. Gdyby nie ty i twoje zdecydowane działania, nie mielibyśmy mordercy pod kluczem. A tak, proszę, facet siedzi i teraz tylko musi przyznać się do winy. Myślę, że z tym sobie poradzisz.

– To nie powinno być trudne, zwłaszcza że fakty mówią same za siebie. Cały czas brakuje mi jednak motywu.

Dyrektor przesunął ku niemu skrzyneczkę z cygarami.

– Częstuj się, proszę. A do tego kawa i martell.

– Nie za wcześnie na koniak?

– Może i wcześnie, ale chyba mamy co uczyć. Skomplikowane śledztwo zakończone, a teraz możemy zająć się poważniejszymi sprawami. Do przyjazdu Hitlera zostało już niewiele czasu. Wiesz dobrze, że nie możemy popełnić w tej sprawie najmniejszego błędu. Od tego zależy moja i twoja... nasza przyszłość, Carl.

– Oczywiście, doskonale to rozumiem, Joseph.

Gruen podszedł do drzwi, otworzył je i wydał polecenie swojemu sekretarzowi.

– Dwie kawy poprosimy. Tylko szybko!

Zamknął drzwi i wrócił do stolika, po czym usiadł naprzeciwko swojego oficera. Aschmutat ubrany był jak zwykle w policyjny mundur, tymczasem dyrektor miał na sobie cywilny dwurzędowy garnitur. Od pewnego czasu częściej można go było zobaczyć w garniturze niż w mundurze. Carl nie wiedział, skąd wzięła się ta zmiana, ale wolał nie pytać. Gruen miał chyba jakiś dar wyczuwania myśli swoich podwładnych, bo strzepnąwszy niewidzialny pyłek z rękawa swojej marynarki, powiedział:

– Gdy Führer przyjedzie, chciałbym, żebyś i ty był ubrany po

cywilnemu. Chodzi o to, żeby nie budzić niepotrzebnych skojarzeń. Bo skoro twój przyjaciel, ten Fischer, będzie po cywilnemu, lepiej żebyśmy i my byli podobnie ubrani. Rozumiesz, w czym rzecz?

Aschmutat nie rozumiał.

– Idzie o to, żeby ludzie z otoczenia Hitlera, którzy przylecą tu z nim, nie pytali, dlaczego kapitan Fischer jest bez munduru. Jeśli zaś my trzej przedstawimy się mu po cywilnemu, nikt nie zwróci uwagi na brak mundurów.

Aschmutat pokiwał głową. To było rozsądne. Ale nie był do końca przekonany, czy ten wariacki plan z powitaniem Hitlera w towarzystwie Polaka, choćby najbardziej poczciwego, ma w ogóle sens. Szczególnie w obliczu tego, co miało się dziać na stadionie miejskim. Bo właśnie podczas tego *Parteitagu* wygłaszane przemówienia miały mieć zdecydowanie antypolski charakter. Takie też przemówienie miał wygłosić gość z Berlina. A bezpośrednio przedtem, zgodnie z pomysłem dyrektora, miał paść w objęcia swojego polskiego dowódcy. To wszystko w tym planie zgrzytało jak piasek w zębach. No, ale z własnym dyrektorem nie było co dyskutować. A może to właśnie on miał rację i to krótkie spotkanie przyniesie im obu niewyobrażalne zyski?

Rozległo się pukanie do drzwi. Dyrektor nie zawołał proszę, a mimo to drzwi się otworzyły. Do środka wszedł sekretarz, Leutnant Hans Martensen, wyglądający tak nienagannie, jak świeżo odlany z ołowiu żołnierz. Nie zameldował się przepisowo, a jedynie uśmiechnął się do swojego szefa, na co ten odpowiedział również lekkim uśmiechem. Aschmutat natychmiast zauważył tę dziwną wymianę czułości, więc na wszelki wypadek spojrział natychmiast w dół, na czubki swoich butów.

– Za jakiś kwadrans niech nam przyprowadzą z aresztu tego kolejarza Hubera – polecił sekretarzowi Gruen.

– Tak jest, panie dyrektorze. Za kwadrans go wprowadzę.

Chłopak postawił na stoliku dwie filiżanki z parującą kawą i dwa kieliszki do koniaku. Skąd wiedział, że będziemy pić koniak? – pomyślał Carl. Ale nie zastanawiał się nad tym zbyt długo, bo dyrektor wstał z fotela i poszedł do szafy po butelkę martella. Tymczasem sekretarz opuścił pokój niemal bezszelestnie. Po chwili Gruen wrócił z koniakiem i rozlał złocisty płyn do kieliszków. Usiadł i chwycił swój.

– No to za powodzenie naszego wspólnego przedsięwzięcia. – Carl podniósł kieliszek i przełknął łyk. Koniak był doskonały. Musiał mieć ze dwadzieścia lat. No, ale dyrektor nie pijał byle czego. Smak tego koniaku przywiódł mu na myśl równie doskonały trunek, który pił kiedyś, dawno temu. I wcale nie z takich wytwornych kieliszków, ale ze zwyczajnych wojskowych kubków.

– To ja miałem stawiać butelkę – powiedział Carl, rozsiadając się na pustych skrzynkach po amunicji.

– Zanim bym się doczekał, wojna się skończy – zaśmiał się Anton Fischer, zagryzając swoją ulubioną wiśniową fajkę w zębach. – No więc, skoro nadarzyła się okazja...

– Jaka okazja?

– Okazja, że wyfasowałem butelkę francuskiego koniaku – stwierdził Anton.

– Dawali przydziałowy koniak i ja nic o tym nie wiem?

– No tak dobrze to jeszcze nie jest w cesarskiej armii, żeby nas rozpieszczali francuskim koniakiem. Mówiąc „wyfasowałem”, miałem na myśli raczej to, że udało się go zorganizować na boku.

– No to gadaj tak od razu, chłopie. Tylko jedną butelczynę dopadłeś?

Fischer uśmiechnął się, chwytając zieloną flaszkę w dłoń. Postawił ją na stoliku, który tak samo jak ich siedzenia

zbudowany był ze skrzynek po pociskach. Siedzieli w ziemiance oficerskiej, na drugiej linii okopów. Z pierwszej dowodzone przez nich kompanie zeszyły zaledwie godzinę temu, dlatego mieli przed sobą kilkanaście godzin odpoczynku. Nic więc dziwnego, że Fischer postanowił ten czas wykorzystać na męskie przyjemności.

Rozlał koniak do dwóch aluminiowych kubków i odstawił butelkę. Bynajmniej nie dlatego, że nie miał zamiaru pić dalej. Kierowała nim zwykła ostrożność, której nauczyły go miesiące spędzone w okopach. W razie niespodziewanego ostrzału butelka mogła bowiem się przewrócić i spaść ze stołu, a szkoda byłoby, żeby tak cenny trunek się rozlał.

– To co, za co pijemy? – zapytał Aschmutat, biorąc do ręki kubek i podtykając go pod sam nos. Koniak pachniał wybornie, ale nie dało się podgrzać go w dłoni, żeby uchwycić cały bukiet. Do tego potrzebny był kieliszek, a o taki w okopach trudno.

– Proponuję za zwycięstwo – powiedział Carl.

Fischer chwycił swój kubek.

– Naszym zwycięstwem będzie powrót do domu – stwierdził, po czym upił pierwszy łyk. Zadowolony przymknął oczy, delektując się chwilą, kiedy płyn powoli spływa do gardła.

– Melduję posłusznie, panie Leutnancie, że przyniosłem list od Obersta von Claussena!

Fischer odwrócił się w stronę wejścia do ziemianki. Jak zwykle w takich szczególnie miłych chwilach musi się znaleźć jakiś cymbał, który przeszkodzi. Spojrzał niechętnie na gońca, a potem bez słowa wyciągnął rękę.

– Czy będzie odpowiedź, panie Leutnancie?

– Wyjdźcie na zewnątrz i poczekajcie pięć minut. Jeśli was nie wezwę, to znaczy, że odpowiedzi nie będzie.

– Tak jest, zrozumiałem, panie Leutnancie.

Gefreiter wyszedł na zewnątrz, a zadowolony Fischer położył list na stoliku i sięgnął po swój kubek.

– Nie czytasz? – Zdziwiony Carl spojrział najpierw na list, a potem na przyjaciela. Ten upił odrobinę koniaku.

– Najpierw, mój drogi, przyjemności, a dopiero potem obowiązki.

Po chwili odstawił kubek i wziął do ręki papier. Rozdarł kopertę i zaczął czytać. Wiadomość od dowódcy pułku musiała być niezbyt długa, bo po kilkunastu sekundach, przeczytawszy ją, spojrzął na swojego gościa.

– Wygląda na to, stary, że mamy dziś za co wypić.

– Tak?

– Masz, czytaj.

Aschmutat chwycił papier. Wiadomość była rzeczywiście bardzo lakoniczna.

Do Leutnanta Antona Fischera

Z wielką przyjemnością chciałbym pogratulować panu Leutnantowi przyznania mu drugiego Żelaznego Krzyża, który nadano panu na mój osobisty wniosek, za niezwykle męstwo, opanowanie i właściwe rozpoznanie sytuacji podczas nieprzyjacielskiego ataku gazowego. Jednocześnie informuję, że Żelazny Krzyż otrzymuje również goniec, Obergefreiter Adolf Hitler, który wykazał się wielką odwagą podczas owego ataku.

Z poważaniem

Oberst Hermann von Claussen

Carl Aschmutat uśmiechnął się do tych wspomnień. Spojrzął na swojego szefa, dyrektora Gruena, który właśnie zapalał wielkie kubańskie cygaro.

– Zdaje się, że ci o tym nie wspominałem, ale mój przyjaciel Anton dostał swój drugi Żelazny Krzyż tym samym rozkazem, którym odznaczono Hitlera.

Dyrektor wyciągnął cygaro z ust.

- Czy to znaczy...?
 - To znaczy, że obaj zostali odznaczeni za odwagę w obliczu gazowego ataku nieprzyjaciela, a Hitler żyje tylko dzięki temu, że Fischer oddał mu swoją maskę przeciwgazową.
 - To fenomenalnie – zdążył powiedzieć Gruen, gdy nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł blady jak ściana Leutnant Martensen.
 - Czego? – warknął dyrektor.
 - Bardzo przepraszam, panie dyrektorze, ale aresztowany...
 - Co z nim? Wyduśże wreszcie z siebie człowieka.
 - Melduję, że aresztowany Huber uciekł. Obezwładnił wartownika, związał go i uciekł.
- Gruen przeniósł spojrzenie z bladego Leutnanta na Hauptmanna.
- Niezbadane są wyroki boskie – powiedział. – No to jak było z panem Hitlerem i twoim kolegą Fischerem? Opowiadaj, bo to szalenie ciekawe – powiedziawszy to, machnął ręką. Sekretarz w lot zrozumiał w czym rzecz i natychmiast opuścił pokój.

Godzina 12.00 w południe

- Mam w biurze NSDAP pewną znajomą – pochwalił się Bauer, zaciągając się papierosowym dymem.
- A czy ona jest pewna? To znaczy, czy jest z nami? – zapytał Weiß, który zamiast wracać do Königsbergu, zagłębił się bez reszty w miejscowe sprawy. No, ale nie było się czemu dziwić. Weiß był człowiekiem ambitnym, a tu mogły się lada chwila rozegrać wielkie rzeczy. Wielkie w znaczeniu historycznym. Bo tak naprawdę historia toczyła się cały czas, ale jakoś tak obok Weißa. Owszem, uczestniczył w wielu wydarzeniach, był znanym w swoim środowisku działaczem, ale wszystko, co robił, odbywało się niejako na zapleczu głównego frontu walki.

Tymczasem on zawsze marzył, żeby stanąć w pierwszym szeregu. Jak dotąd, to mu się jednak nie udawało. Bo czy jego przemowy i agitacje w całych wschodnich Niemczech były walką na pierwszej linii? Owszem, to była ważna część wojny z faszyzmem, ale nie najważniejsza. O najważniejszych działaczach, takich jak Ernst Thälmann, pisały wszystkie gazety. Zresztą nie tylko niemieckie, ale i światowe. Tymczasem o nim tylko raz napisał „Königsberg Zeitung”, i to na stronie przedostatniej, kiedy opisywali burdę w piwiarni. Wymienili go tam tylko z nazwiska, nie podawszy nawet imienia, jako tego, który akurat przemawiał, gdy do knajpy, w której odbywało się partyjne zebranie, wpadli bojówkarze z SA. I tyle o nim było w tej gazecie. To zdecydowanie za mało dla ambitnego człowieka. A Weiß był wręcz chorobliwie ambitny. Dlatego bezbłędnie wyczuł nadarzącą się okazję, którą podsunął mu towarzysz Bauer. Postanowił, że wykorzysta ją tak, aby wszyscy ci, którzy nie mieli nawet pojęcia o jego istnieniu, zapamiętali sobie na zawsze jego nazwisko. Oczywiście nie w taki sposób, jak nazwisko tego głupca Herostratesa. Tamten idiota przeszedł do historii jako demon zniszczenia i destrukcji. On przejdzie jako wielki wyzwoliciel i człowiek, który uratował ludzkość przed tyranem. Trzeba tylko jeszcze przekonać tego Wiciaka, którego przysłała im tu centrala z Moskwy. A Wiciak najwyraźniej sceptycznie oceniał celowość ich działań. Dlatego musiał mu wszystko przedstawić tak, jakby to było dziecinnie proste i całkowicie bezpieczne.

– Jest ze mną. – Bauer z uśmiechem pokiwał głową, jakby chodziło o coś nadzwyczaj naturalnego.

– To znaczy, że jest twoją flamą? – zapytał towarzysz Wiciak.

– Można tak powiedzieć – zgodził się Bauer.

– To w zasadzie nawet lepiej, niżby była ideowa – ucieszył się Weiß. – Jak kobieta jest zakochana, to dla swojego mężczyzny zrobi wszystko. Jest w tobie zakochana?

– Mówi, że tak.

Bauer wstał i podszedł do okna. Siedzieli we trzech w niewielkim pokoju na poddaszu, paląc papierosy, więc dymu było tyle, że w powietrzu można by powiesić siekierę. Stara rama okienna skrzypnęła i do środka wpadł strumień gorącego powietrza wraz z ulicznym gwarem. Neuer Markt o tej porze zawsze był pełen ludzi.

– Jak jest zakochana, to nam pewnie pomoże – stwierdził Weiß.

– Tylko w czym ma pomóc? – zapytał Wiciak.

– No w tym, żeby się dowiedzieć, jakie są plany organizacyjne NSDAP na czas wizyty. Najważniejsza jest dla nas trasa przejazdu Hitlera. Jeśli będziemy wiedzieć, którędy będzie się przemieszczać, możemy opracować dokładny plan. Tyle że musimy osiąść tę wiedzę szybko, bo czasu coraz mniej. Oni na pewno już takie plany mają dawno gotowe...

– Łatwo powiedzieć. – Bauer wzruszył ramionami. – Zaewne tych planów pilnują jak oka w głowie, a moja Hilda, co tam u nich sprząta, raczej nie dostanie do ręki ich najważniejszych papierów. Dlatego ja bym zrobił to wszystko w najprostszy sposób.

– Czyli że jak? – zainteresował się towarzysz Wiciak.

– Normalnie. Wchodzę na dach najbliższego domu z karabinem i jak tylko Hitler podjedzie, to ja go trach! I będzie po sprawie.

Teraz z krzesła stojącego przy niewielkim stole o kwadratowym, dość sfatygowanym blacie poderwał się towarzysz Wiciak. Przemierzył całe pomieszczenie w trzech krokach, a doszedłszy do ściany odwrócił się i spojrzał na obu konspiratorów.

– Wy naprawdę chcecie zastrzelić tego Hitlera?

– To najlepsze rozwiązanie! – wykrzyknął Bauer. Miał jeszcze coś dodać, ale chwycił go gwałtowny atak kaszlu. Wydobył

z kieszeni kraciastą chusteczkę i przez chwilę trzymał ją przyłożoną do ust. W końcu kaszel ustał, a Bauer sięgnął po kolejnego papierosa.

– Ja już niewiele życia mam przed sobą. Ale przyjemniej mi będzie odejść z tego świata, jak sobie pomyślę, że zabieram tego drania ze sobą.

– Pod warunkiem, że go odstrzelisz. A ty w ogóle umiesz strzelać? – zapytał Wiciak.

– No pewnie. Każdy umie.

– Byłeś na wojnie?

– No nie. Nie wzięli mnie ze względu na płuca.

– A co się stanie, jak już wejdiesz na ten dach, o ile w ogóle ci się uda tam wleźć, wymierzysz w Hitlera i dostaniesz tego ataku kaszlu?

– Na dworze rzadko dostaję. Nie ma obawy. Jakoś sobie poradzę.

– To wszystko mi śmierdzi fuszerką. Żadnego w tym planowania. A każda robota musi być zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach – przekonywał Wiciak-Tolek, który nigdy nie szedł na juchtę bez wcześniejszego zaplanowania wszystkich szczegółów.

– Ale to może być jedyna okazja i mimo wszystko myślę, że trzeba ją wykorzystać – odezwał się Weiß.

– Nie ma przecież pewności, że oni wygrają te wybory. – Tolek nie dawał za wygraną.

– Nie ma, ale mogą wygrać – rzucił zapalczywie Bauer. – A jak wygrają, to wtedy jest już po nas. Oni się nie będą z nami patyczkować. Wszystkich nas załatwią. To są zwyczajni bandyci, którzy tylko udają normalnych polityków. Nie cofną się przed niczym. Nie tylko nas zniszczą. Załatwią całą opozycję. Powsadzają ludzi do więzień i zacznie się dyktatura tych ciemniaków. Bo tak naprawdę to w tej partii są sami debile. Wystarczy spojrzeć na tych, co są tu u nas, w naszym

mieście, działaczami. To sami kretyni i nieudacznicy, którzy niczego w życiu nie potrafili osiągnąć samodzielnie i obwiniają o swoje niepowodzenia wszystkich dookoła, tylko nie samych siebie. Jedyne z nich, który coś osiągnął, to ten Thomala. On tu jest z nich najmądrzejszy i cynicznie wykorzystuje tych półgłówków. A oni idą za nim, bo wiedzą, że jak wygrają wybory to będą mogli się nachapać. Dostaną stanowiska w urzędach i państwowych przedsiębiorstwach. I nie będzie się liczyło to, że nie mają żadnych kwalifikacji. Najważniejsze, że należą do właściwej partii. Grozi nam więc w niedalekiej przyszłości dyktatura ciemniaków. Dlatego nie możemy na to pozwolić. Musimy działać, kiedy nadarza się doskonała okazja. Więc myślę, że jeśli pozbawić ich głowy, wtedy staną się słabsi. Przecież ta partia opiera się na tym jednym człowieku. Jeśli go zabraknie, wygramy.

Tolek podszedł do okna, oparł się o niegdyś biały parapet, z którego większość olejnej farby pozłaziła całymi płatami pewnie jeszcze przed wybuchem wojny. Wyciągnął z kieszeni kolejnego papierosa i w milczeniu zapalił. Ci dwaj widać czekali na jego werdykt. Wiciak, który siedział w polskim więzieniu, musiał być dla nich kimś ważnym, skoro bez jego zgody nie potrafili podjąć decyzji, ale Tolek nie bardzo rozumiał dlaczego. Jeśli o niego chodziło, mogli sobie strzelać, do kogo chcieli. Do tego śmiesznego faceta z wąsem w zasadzie nic nie miał i nawet było mu go trochę szkoda, bo jako żywo przypominał mu tego aktora w meloniku, który nazywał się Chaplin. Lubił filmy z nim w roli głównej i podejrzewał nawet, że aktor może być jakimś krewnym Hitlera, jeśli więc go zabiją, to Chaplin może stracić cały swój humor i przestanie się wygłupiać w kinie, a tego Tolek by nie chciał. No i poza tym był jeszcze Fischer, który wyraźnie go ostrzegł, żeby starał się w nic konkretnego nie angażować. Z kolei Jażdżewski powiedział mu, że jeśli przypadkiem nawiążą z nim kontakt komuniści, to on ma się

tylko przysłuchiwać, co zamierzają, i nic więcej. No to się poprzysłuchiwał i wiedział, co planują. Ale bolszewicy chcieli, żeby działał razem z nimi. No i co ma w takim razie robić? Tego nie wiedział. Gdyby tu był Fischer albo Jażdżewski, to by zapytał, czy ma im pozwolić na strzelanie do Hitlera. Ale żadnego z nich nie było, a decyzję trzeba podjąć natychmiast, bo ci dwaj czekali. W sumie może trzeba im pozwolić, niech sobie coś tam planują, a w razie czego, jak Fischer powie nie, zakazać im i szlus. Że też ja się dałem tak zrobić – myślał gorączkowo. Żeby jeszcze chcieli, bym obrobił jakąś kasę, to nie byłoby problemu, ale oni, ci wariaci, chcą strzelać do ludzi! A jak ich wszystkich złapią, to jak dwa i dwa jest cztery, wydadzą go i pójdzie siedzieć za nieswoje grzechy. Nagle przypomniał sobie, co ten chudy gruźlik mówił o planach schowanych w siedzibie partii. Może to na razie jest jakieś rozwiązanie? No, ale Fischer kazał się w nic nie mieszać. Łatwo mu gadać. Nie mieszać się, jak on już był umieszany jak ciasto na lane kluski.

– A tam, w tym ich biurze, to gdzie oni mogą trzymać te plany? – zapytał chudzielca.

– Ta moja dziewczyna, znaczy się Hilda, mówiła, że oni wszystko co ważne chowają w kasie ogniotrwałej, co jest w biurze tego grubego wieprza Thomali.

– A wiesz, jak wygląda ta kasa?

– Jak wygląda? Normalnie, jak kasa. Otwiera się ją na jeden klucz i ma takie dwa pokrętła na szyfr. Nie do otwarcia, jak się nie zna szyfru. A ten szyfr to zna tylko Thomala.

Tolek uśmiechnął się pod wąsem.

– A w nocy to ktoś tam pilnuje tego budynku?

– No a po co ktoś ma pilnować? Przecież to jest zwyczajny dom, w którym nikt nie mieszka. Nawet stróża tam nie ma. Bo i nie ma potrzeby. Tam nie ma co ukraść poza jakimiś stołami i krzesłami.

– To znaczy, że dostać się tam można całkiem łatwo?
– Jak kto umie otworzyć zamek bez klucza, to kłopotów nie ma – wyjaśnił Bauer.

– To w takim razie myślę se, że wszystko trzeba robić z głową. Znaczy ten wasz zamach na Hitlera to on się może udać, jak się go zrobi dobrze. Czyli że trzeba wybrać odpowiednie miejsce i tam zaatakować. Tylko nie tak, jak ty se myślisz, żeby zasadzić się ze strzelbą i strzelać. Jak się co robi, to tak, żeby się udało. Więc trzeba wiedzieć, którędy on pojedzie, zatrzymać jego auto i go kropnąć. Mam rację?

Spojrzał na obu komunistów, którzy patrzyli na niego z niedowierzaniem. W końcu odezwał się Weiß.

– Łatwo powiedzieć, tylko skąd mamy wiedzieć, którędy pojedą z lotniska?

– Jak skąd. No przecież mówię wam wyraźnie: trzeba dostać się do tego ich budynku i wyciągnąć z kasy ogniotrwałej plan, co jego opracowali ci faszyci.

Dwaj konspiratorzy spojrzeli na siebie i nagle wybuchnęli śmiechem.

– Jasne, wszystko wydaje się proste – powiedział w końcu Bauer. – Tylko kto otworzy tę kasę?

W co ja się do cholery ciężkiej pakuję? – pomyślał Tolek, a potem spojrzął na obu facetów jak na niemądre dzieci.

– Oczywiście, że ja.

Na moment zrobiło się cicho. Bauer i Weiß patrzyli na niego z niedowierzaniem. No, ale w co mieli wierzyć? W to, że Moskwa przysłała im magika i cudotwórcę w jednej osobie? Przecież żeby otworzyć kasę, trzeba by było iść tam z palnikiem acetylenowym do rozprucia metalu.

– A skąd weźmiesz palnik? – zapytał sceptyczny Bauer. – Śrubokrętem kasy nie otworzysz.

– Pewnie, że nie śrubokrętem. Śrubokręt jest niepotrzebny.

– To czym? Dynamitem? – zakpił Weiß.

Tolek spojrział na swoje dłonie, poruszył palcami, a potem wyciągnął je przed siebie.

– Moje palce wystarczą.

– Palcami to sobie możesz podłubać w nosie – zakpił Bauer, ale gdy jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Grubińskiego, natychmiast zamilkł. Naraz zrozumiał, że ten facet wie, co mówi, i jest pewny swojego zdania.

– Będzie mi tylko potrzebna zwykła lekarska słuchawka – powiedział towarzysz Wiciak, wkładając papierosa do ust. – No to nieźle im ryje zamurowało – pomyślał zadowolony.

Godzina 3.00 po południu

Drzwi szatni otworzyły się i na zewnątrz wyszedł młody Bruno Schmidt. Huber znał go dobrze. Był pomocnikiem elektryka, który miał w swojej pieczy wszystkie urządzenia elektryczne w nastawni. Chłopak pochodził z dobrej, kolejarskiej rodziny. Jego ojciec, Herman, zginął na wojnie, gdzieś w Belgii, i tylko dzięki pomocy kolegów ojca, między innymi Hubera, rodzinie Schmidtów udało się przeżyć najtrudniejszy czas kryzysu. A gdy Bruno skończył szesnaście lat, to Huber właśnie przyprowadził go na kolej i polecił do pracy. Teraz młody Schmidt miał już dwadzieścia trzy lata i mówił, że niedługo się ożeni. Na razie jednak mieszkał przy matce i dzięki temu, co zarobił, udawało się jej wiązać koniec z końcem i jakoś utrzymać czwórkę młodszych dzieci.

Huber, który siedział ukryty za stertą starych podkładów kolejowych, liczył właśnie na to, że spotka kogoś takiego jak on, kogoś, do kogo mógłby mieć całkowite zaufanie i kto by mu pomógł. Na razie wiedział, że musi zrzucić ten policyjny mundur i założyć coś mniej rzucającego się w oczy. To było najważniejsze, no a później... Teraz wiedział tylko tyle, że musi

się gdzieś ukryć i zrobić coś, co odsunie od niego te wszystkie absurdalne podejrzenia. No, ale żeby to zrobić, trzeba by było ująć prawdziwego mordercę. Tylko jak? Przecież nie był detektywem i nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Bruno stanął przy ścianie baraku i zaczął skręcać papierosa.

Huber czekał, czy z budynku nie wyjdzie ktoś jeszcze. Kilku robotników kręciło się jakieś sto metrów na prawo od baraku, przy samym budynku nastawni. W obłokach pary przetaczano tam właśnie kolejną lokomotywę, która musiała zmienić kierunek jazdy. Huber przez chwilę przyglądał się tej starej pocziwej P-4 z lejkowatym kominem, jednej z ostatnich, jaka ostała się jeszcze w miejscowej parowozowni. Na takiej właśnie czwórce zaczynał pracę przed wojną, a teraz jeździł na zgrabnej i nieco mniejszej, za to znacznie nowocześniejszej P-8. Jeździł do wczoraj. Co będzie dalej, tego nie potrafił przewidzieć. Na razie jest przestępcą, wyjętym spod prawa, którego może zastrzelić każdy policjant. Trzeba było działać.

– Bruno! – zawołał, wychylając głowę znad sterty podkładów. Chłopak nie usłyszał, bo sapanie parowozu zagłuszyło wołanie Hubera. Poczekał więc na chwilę ciszy i krzyknął znowu, nieco głośniej:

– Bruno!

Tym razem chłopak zareagował. Rozejrzał się wokół, ale niczego nie zobaczył.

– Tu, na wprost! – Pomachał ręką. Schmidt go dostrzegł. Musiał go poznać, bo rozejrzał się nerwowo na boki, a potem podszedł szybko do sterty podkładów.

– Panie Huber, to pan? – zapytał zdziwiony. – Szukają pana policjanci. Byli tutaj godzinę temu i wszędzie łazili...

– Chodź tu do mnie, Bruno. – Wskazał na przejście z prawej strony pomiędzy starymi belkami. Chłopak natychmiast wspiał się na górę, a potem przelazł na drugą stronę. Między belkami było akurat tyle miejsca, że mogli swobodnie usiąść obok

siebie, niewidoczni dla innych.

– Ci policjanci gadali, że pan uciekł z więzienia – powiedział chłopak z podziwem w głosie, przyglądając się uważnie przebraniu Hubera. – Mówili, że pan uciekł w przebraniu policjanta.

Huber machnął ręką, jakby się oganiał od natrętnej muchy.

– Szkoda gadać.

– I jeszcze gadali, że jest pan niebezpieczny i że mało brakło, aby pan zabił policjanta w więzieniu.

– E, tam. Tylko po mordzie dostał, bo się źle zachował. Naubliżał mi, cholernik jeden, no to nie wytrzymałem i jakoś tak się odwinąłem... Ale żeby zabijać, to nie...

– Oni, ci policjanci, powiadali, że innych pan zastrzelił. Że Willy'ego Becka to pan w tym kiblu odstrzelił.

– Bzdury. Ja jego tam znalazłem, a nie strzeliłem. Po co ja miałbym jego zabijać?

– To czemu oni pana zamknęli do więzienia? – pytał dalej chłopak.

– Pomyłka. Normalna pomyłka.

– Aha. I co teraz pan zrobi?

– Na początek to muszę te łachy zmienić na coś normalniejszego.

– No tak, człowiek w policyjnym uniformie jest z daleka widoczny, jakby gołą dupą świecił.

– Właśnie, Bruno, o to się rozchodzi. I dlatego cię zawołałem. Idź do szatni i skombinuj mi jakiś ubiór. No wiesz, coś takiego normalnego. Jakiś kombinezon, czy jak...

– No, wiem o co idzie – potwierdził chłopak, uśmiechając się szeroko. – Wezmę jakieś ciuchy i zaraz przylecę. A pan, panie Huber, niech poczeka tutaj chwilkę. Szybko obrócę.

Podniósł się ostrożnie i wyjrzał na zewnątrz. Koło baraku nikogo nie było, więc przeskoczył przez belki i pobiegł przed siebie. W baraku, na prawo od drzwi, była szatnia

z przebieralnią. Tam każdy pracownik nastawni miał swoją szafkę, w której zostawiał ubranie, gdy przychodził do pracy, a na fajrant wieszał w niej robocze ciuchy. Wszystkie szafki były zamykane na klucz, a na każdej znajdowała się tabliczka z nazwiskiem właściciela. Bruno rozejrzał się po pustym pomieszczeniu. Potem zaczął posuwać się od szafki do szafki, szukając nazwisk tych, którzy mieli dziś służbę od rana i po skończonej pracy poszli już do domu. W końcu trafił na tę należącą do Helmuta Kunerta, który pracował przy przetaczaniu wagonów. Kunert był mniej więcej tego samego wzrostu i tuszy co Huber, no i na pewno w jego szafce wisiał jednocześnie, roboczy kombinezon.

Spojrzał na zamek. Nie miał klucza, musiał pokombinować. Wyciągnął z kieszeni swój scyzoryk o czterech ostrzach i zaczął grzebać nim w dziurce od klucza. Nie miał za grosz doświadczenia włamywacza. Na szczęście dobrze wiedział, jak działa zamek. Musiał znaleźć coś innego, coś, co pozwoli przesunąć mechanizm. Podszedł do okna. Na parapecie zawsze walało się sporo niepotrzebnych przedmiotów. Natychmiast znalazł duży gwóźdź. Za pomocą kombinerek, które też tam znalazł, wygiął końcówkę gwoźdźca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i zaraz podobnie zagiął go z drugiej strony. Tak przygotowany gwóźdź wsunął do zamka. Przekręcił go w prawo i szafka się otworzyła. Zadowolony zajrzał do wewnątrz. Tak jak przewidywał, wisiał tam roboczy kombinezon. Bruno zabrał go i wsunął za pazuchę, a szafkę zamknął swoim prowizorycznym kluczem.

Wyszedł z szatni i ruszył szybko w kierunku drzwi. Otworzył je i... stanął oko w oko z umundurowanym człowiekiem. Nie był to jednak kolejarz. Przed Brunem stał ten policjant z kolejowego posterunku.

– A ty co tu robisz? – zapytał Wachtmeister Schwartz.

– Ja? – odpowiedział zmieszany chłopak.

- No, a kogo pytam?
- Ja... znaczy się, nic nie robię. W szatni byłem.
- A ktoś tam jest w tej szatni?
Bruno szybko pokręcił głową.
- Nikogo tam nie ma.
- Aha, no to zobaczymy. Chodź ze mną. – Ruszyli krótkim korytarzem, by po chwili znaleźć się w przebieralni.
- Mówiłem, że nikogo nie ma.
- To po coś tu łąził?
- Po pieniądze.
- Co?
- No chciałem wziąć trochę pieniędzy ze swojej szafki, żeby na dworcu sobie piwko wypić. Tak gorąco dzisiaj...
- No, tak. Gorąco. A Hubera tu dziś nie widziałeś?
- Hubera... Nie, Hubera nie widziałem.
- Bo jakbyś gdzie go zobaczył, to wiesz, że trzeba zaraz meldować na policji.
- Wiem, ci policjanci, co jego tu szukali, już mówili, że jego trzeba złapać, bo kogoś tam zabił.
- On może być niebezpieczny.
- Ja tam się nie boję.
- A za pomaganie uciekinierowi to też można trafić do ciupy – ostrzegł go policjant, wychodząc z budynku.
Bruno wzruszył ramionami.
- Kto by tam chciał pomagać mordercy.
- No właśnie. Ale jakbyś go zobaczył przypadkiem, to powiedz mu, żeby lepiej do mnie przyszedł sam. Rozumiesz? Niech do mnie przyjdzie dla swojego dobra. – Policjant pogroził mu palcem i poszedł w kierunku nastawni.
Bruno wyciągnął z kieszeni metalowe pudełko z tytoniem i bibułkami, po czym spokojnie i powoli skręcił papierosa. Przez kilka minut stał w miejscu, paląc i obserwując uważnie całą okolicę. Dopiero gdy policjant zniknął w budynku nastawni,

rzucił niedopałek i pobiegł w kierunku sterty podkładów. Po chwili siedział zadowolony obok Hubera.

– Myślałem, że już mnie dopadnie ten Schwartz – powiedział Huber.

– On pana szuka i mówi, żeby pan sam do niego przyszedł.

– Dobrze sobie. Ja przyjdę, a on mnie zaraz wsadzi do aresztu. Niech se nie myśli nawet.

– On tak mówił, jakby chciał pomóc.

– Policjant nikomu nie pomoże. Masz ubranie?

Chłopak wyciągnął spod roboczej bluzy kombinezon.

– Powinien być dobry, bo to jest z szafki tego Kunerta. On jest taki jak pan.

Huber spojrzał zdziwiony na chłopaka, a potem na kombinezon.

– Kunert taki jak ja? Myślałem zawsze, że jest grubszy.

– No, może ma większy brzuch, bo więcej piwa pije – przyznał Bruno.

Maszynista szybko zdjął mundur policyjny i założył na siebie roboczy uniform. Rzeczywiście, na brzuchu miał sporo luzu.

– Lepiej, że jest więcej niż mniej – stwierdził, zapinając guziki. Przebrany usiadł na belce. Chłopak podsunął mu pudełko z tytoniem.

– Pan weźmie wszystko, ja sobie później kupię w bufecie kolejowym.

– Dobry z ciebie chłopak, Bruno. – Huber klepnął go w ramię.

– E, tam. Pan nam pomagał tyle czasu, a ja co? Tyle mogę zrobić przecież. Bo nie wierzę, żeby pan mógł kogoś zastrzelić.

– Nikogo nie zabiłem.

– Trzeba tylko, żeby policja też to wiedziała.

– Ja wiem, że tych wszystkich ludzi, tych komunistów to zabił jeden człowiek. Nie wiem jeszcze, kto to jest, ale wiem, że to on. W tym dniu, jak znaleźliśmy tego biednego Willy'ego Becka, to kręcił się taki jeden. Taki wysoki w skórzanej kurtce.

– Ja też go widziałem. Koło nastawni go widziałem – przypomniał sobie nagle Bruno. – Nawet mnie zdziwiło, że on tak ubrany, bo w skórzanej kurtce to się chodzi, jak jest zimno, a nie latem w takie upały.

Huber przez chwilę milczał wpatrzony w czubki swoich butów. Potem podniósł głowę i spojrzał w twarz chłopaka.

– Co ci powiedział Schwartz?

– No, że za pomoc w ukrywaniu poszukiwanego też można pójść siedzieć.

– Nie o to pytam. Co powiedział Schwartz na koniec? Jak mówił, gdybyś mnie zobaczył?

– Powiedział, żeby pan do niego przyszedł. „Niech przyjdzie sam, dla swojego dobra” powiedział. Ale pan przecież do niego nie pójdzie?

– Nie, nie pójdę... Chyba...

Na bezchmurnym dotąd niebie nagle, nie wiadomo skąd, pojawiły się chmury. Wolno i majestatycznie ciągnęły od zachodu, popychane wiatrem wiejącym na wschód.

Godzina 11.15 w nocy

Otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą biały sufit, oświetlony smugą światła wpadającego do środka z zewnątrz. Odwróciła głowę i jej spojrzenie ześlizgnęło się z sufitu na duże okno. Było przynajmniej dwa razy większe niż te w jej mieszkaniu. Takie okna wstawiano albo do urzędów, albo do szpitali. W tym nowym szpitalu były też takie wielkie. Czyżby więc była w lecznicy? Tylko co tu robiła? Spróbowała się podnieść, ale nie dała rady. Nie mogła unieść nawet głowy. Potrafiła nią tylko poruszyć w prawo i w lewo. Na prawo było to okno, a na lewo... Na lewo drzwi. Tuż przy łóżku dostrzegła metalowy stolik nocny. Na nim leżała nerkowata miseczka z wacikami

i drewnianą pałeczką do przytrzymywania języka podczas badania gardła. Więc była w szpitalu. Tylko dlaczego się tu znalazła? Nie miała pojęcia. Niczego nie pamiętała. Jedyne, co potrafiła sobie przypomnieć, to spotkanie z sąsiadką, która kupiła od niej jagody. Pani Koerber zapłaciła jej, a potem ona z pieniędzmi poszła do domu, żeby ugotować grochówkę. Miała jeszcze pójść do rzeźnika i kupić wędzone kości... I tyle. Niczego więcej nie potrafiła sobie przypomnieć.

Może poszła do tego rzeźnika i wpadła pod automobil? Tyle tych aut jeździło po ulicach, a wszystkie pędziły tak szybko... Może się zamyśliła i wpadła pod auto, a potem przewieźli ją do szpitala? Trzeba by kogoś zapytać, tyle że tutaj nie było nikogo...

Nagle usłyszała jakieś kroki. Ktoś szedł szybko, gdzieś za drzwiami. Dźwięk obcasów uderzających o kamienną podłogę był coraz bliżej.

– Tutaj! – zawołała z wysiłkiem, ale jej głos był bardzo słaby. Jednocześnie poczuła silny, rwący ból w piersiach. Zabolało ją tak bardzo, że aż łzy pociekły jej po policzkach.

Kroki ucichły. Klamka przy drzwiach opuściła się i do środka wpadło światło z korytarza. W drzwiach stała kobieca postać, odziana na biało.

– Ktoś tu wołał? – zapytała kobieta w bieli.

– Ja – odpowiedziała.

– Mój Boże, wróciłaś do nas, gołąbeczko.

Okrągła, pulchna kobieta była ubrana w biały fartuch, a na głowie miała pielęgniarską chustę. Szybko podeszła do jej łóżka.

– Modliłam się, żebyś wróciła do zdrowia, i widać Pan Bóg wysłuchał moich modlitw – powiedziała szybko.

– Gdzie jestem? – zapytała.

– No jak to gdzie? Jesteś w naszym szpitalu.

– Co mi się stało? Wpadłam pod automobil?

– To ty nic nie pamiętasz?
– Nie wiem, dlaczego tu jestem. Co się ze mną stało?
– Mój Boże... – Siostra złapała ją delikatnie za rękę. – Biedactwo moje. Przywieźli cię tu, bo ktoś strzelał do ciebie i do twojego męża. Jesteś ranna. Ciężko ranna i mogłaś nawet umrzeć, ale teraz już wszystko będzie dobrze...

– A co z moim mężem?

Siostra na chwilę zamilkła. Wyciągnęła z kieszeni fartucha białą chustkę i wytarła nią nos.

– Co jest z Waltherem?

– Twój mąż nie żyje – powiedziała cicho. Widząc minę pacjentki, dodała jednak szybko: – Ale z dziećmi wszystko jest dobrze. Nic im się nie stało. Wzięła je do siebie sąsiadka. Wiem o tym, bo był tu taki młody policjant. On już dwa razy przychodził tutaj i chciał z tobą rozmawiać, ale żeś się nie obudziła i poszedł sobie. Ale powiadał, że jeszcze wróci.

Nie żyje – dotarł do niej sens słów wypowiedzianych przez pielęgniarkę. Mąż nie żyje. Z oczu popłynęły łzy. To musiało się tak skończyć. Wiedziała, że prędzej czy później tak się stanie, ale odpychała to od siebie. I w końcu zdarzyło się to, co było nieuniknione. Walther nie żyje. Dzieci są bezpieczne...

– To dobrze, że dzieci są bezpieczne...

– Tak, dzieci są najważniejsze. A ty wydobrzejesz i do nich wrócisz. Bo teraz to już widać, że się wylizesz.

– Chce mi się pić. Czy może mi pani dać wody? – spytała, ocierając łzy.

– To ja ci, dziecino, zaraz wody przyniosę.

Kobieta odwróciła się i ruszyła na korytarz. W drzwiach niemal zderzyła się z młodym policjantem.

– O Jezu, alem się przestraszyła. A pan co tak po nocy się skrada?

– Ja tylko chciałem zajrzeć do pani... – Wskazał na drzwi.

– Ocknęła się. Już z nią rozmawiałam. Chce pić, to ja idę po wodę dla niej.

– A gdzie jest ten policjant, co tu siedział na korytarzu? – Frank wskazał na puste krzesło, na którym przez kilka ostatnich dni zwykle siedział któryś z dyżurnych. Aschmutat nakazał dyżury, na wypadek, gdyby ranna się obudziła, a może też w obawie o jej bezpieczeństwo. Ten, który do niej strzelał, mógł przecież tu przyjść, żeby zlikwidować niewygodnego świadka.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami, spoglądając na puste krzesło.

– Ja tam nic nie wiem. Ino widziałam, jak gdzieś o piątej godzinie przyszedł do tego młodego, co tu siedział, inny policjant, coś mu tam powiedział i zaraz obaj sobie poszli.

Dziwne – pomyślał Frank. Jeśli po tego, który tu pilnował, przyszedł inny policjant, to znaczy, że ktoś wydał mu taki rozkaz. Ktoś, czyli jakiś jego przełożony. Ale skoro pilnowanie rannej zlecił Aschmutat, to tylko on mógł taki rozkaz odwołać. Ale dlaczego to zrobił? Trzeba go będzie jutro zapytać.

– No dobra, to niech pani idzie po tę wodę, a ja z nią spróbuję porozmawiać. Może sobie coś przypomni.

Minął pielęgniarkę i wszedł do izolatki. Pacjentka usłyszała jego kroki, bo odwróciła się w kierunku drzwi. Podeszedł do łóżka i usiadł na metalowym taborecie.

– Nazywam się Frank. Leutnant Frank. Byłem tu już u pani, ale nie mogliśmy porozmawiać. Cieszę się, że pani wraca do zdrowia. Byłem niedawno w pani mieszkaniu.

– Znalazł pan ten wycinek z gazety? – powiedziała, całkowicie go zaskakując.

– Tak, mówiłem pani o tym, gdy pani... znaczy, gdy była pani nieprzytomna.

– Zdawało mi się, że to sen, że to mi się śniło. Mówił pan, że

szukał pan pod ceratą i znalazł ten wycinek w szufladzie od szafonierki.

– Tak było, pani Jung.

– Ja zawsze wiedziałam, że to się kiedyś wyda. Wyjdzie na jaw i teraz się spełniło.

– Co się spełniło, pani Jung?

– To, co tam się stało. Ale Walther mówił, że nikt nic nie powie, bo o tym, jak było naprawdę, to wiedzą tylko umarli...

– O czym wiedzą?

– O tym, co się wtedy wydarzyło. I teraz to wszystko wróciło. Najpierw zginął Wargatsch, a potem on zabił mojego męża. To się ich zostało jeszcze dwóch...

– Oskar Wittmann i Willy Beck – powiedział Leutnant, spoglądając cały czas na twarz kobiety.

Usta jej drżały, a wzrok utkwiał w jakimś punkcie na suficie.

– To pan wszystko wie. To oni we czterech tam byli w domu tego Żyda. A ja byłam na ulicy i na nich czekałam. I teraz, po tych latach, ktoś się na nich mści. Trzeba, żeby Wittmann i Beck wiedzieli, że są w niebezpieczeństwie. Że on może ich zabić, tak jak mojego męża i Wargatscha. Powie im pan o tym? – zapytała, spojrzawszy na niego.

Pokręcił głową.

– Pani Jung, już jest za późno. Oni wszyscy nie żyją. I Beck, i Wittmann zostali zabici.

– Za późno...

– Ale ten, kto ich zabił, musi trafić do więzienia, pani Jung. Pamięta pani, kto to był? Jak wyglądał ten człowiek? Ten, który do pani strzelał?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Nie pamiętam...

Do pokoju weszła gruba pielęgniarka z metalowym kubkiem w ręce. Spojrzała z wyrzutem na policjanta, a potem na pacjentkę.

– Wystarczy już tego, panie oficerze. Jutro pan sobie z nią pogada. Teraz niech się to dziecko napije wody i pójdzie spać. Musi mieć dużo siły.

– Ale ja muszę...

– Nic pan nie musi. Jutro z rana niech pan przyjdzie. Wtedy sobie porozmawiacie. A teraz już niech pan idzie.

Frank niechętnie wstał z taboretu. Lothe chwyciła go za rękę.

– On miał rację?

– Kto?

– Mój mąż.

– O czym pani mówi?

– Tylko umarli wiedzą. Jeśli umrę, tak będzie naprawdę.

– O czym ty tu wygadujesz, gołąbeczko? Nie umarłaś, to i nie umrzesz. Będziesz żyć, dla swoich dzieci będziesz żyć. Masz, teraz napij się wody i do spania. A pan Leutnant do domu.

Chcąc nie chcąc, Frank włożył policyjną czapkę i wyszedł na korytarz z mocnym postanowieniem, że pojawi się w szpitalu jutro z samego rana. Jego spojrzenie zatrzymało się na pustym krześle. Trzeba będzie wyjaśnić to z Hauptmannem.

Rozdział VIII

Schneidemühl

Niedziela, 17 lipca

Godzina 12.15 w nocy

Usłyszał pohukiwanie sowy. Na lewo od wydeptanej ścieżki ciągnęła się ciemna ściana drzew. Tam zaczynał się teren parku miejskiego. Na prawo, od miejsca, w którym się znajdował, biegła szeroka brukowana Berlinerstraße. Po drugiej stronie było widać ciemne o tej porze bryły budynków mieszkalnych. W oknach nie paliły się już światła, bo ich mieszkańcy dawno poszli spać. Zresztą nigdzie nie paliły się światła, bo ta reprezentacyjna ulica, o czym świadczyć by mogła jej nazwa, nie dorobiła się jeszcze ulicznych latarni. Owszem, tam, nieco niżej, gdzie przechodziła płynnie w Friedrichstraße, w okolicach Land- und Amtsgericht, było już jasno, bo tam lamp ulicznych było sporo. W końcu to już prawie centrum miasta. Ale tu było jeszcze przedmieście, które dopiero niedawno zaczęto w regularny sposób zabudowywać dużymi miejskimi budynkami. Miasto tej rangi musiało się rozwijać w jakimś kierunku, a ten wydawał się najbardziej naturalnym dla miejskich planistów. Pewnie za jakiś czas zrobią tu normalny chodnik, pomyślał Frank, omijając nierówność, którą zauważył

tylko dlatego, że oświetliły ją światła jadącej w górę ciężarówki. Gdyby auto jechało w przeciwnym kierunku, w stronę rynku miejskiego, zatrzymałby je bez wahania, korzystając z faktu, że miał na sobie policyjny mundur. Nikt by nie odmówił grzecznej prośbie policjanta. Kazałby się podwieźć kierowcy na rynek, a stamtąd miałby już tylko dwa kroki na Saarlandstraße, ulicę, przy której stał dom, na wprost Instytutu Głuchoniemych, w którym wynajmował swoje niewielkie kawalerskie mieszkanie.

No, ale niestety, jak na złość, odkąd wyszedł ze szpitala, nic nie jechało w dół miasta. Dlatego był zły na siebie i przede wszystkim na własną głupotę. Bo do szpitala przyjechał policyjnym samochodem z kierowcą. A że było już dość późno, zrobiło mu się żal szofera, który musiałby w tym aucie siedzieć i czekać na niego. Więc powiedział Rottmeistrowi Kurtowi Wielandowi, żeby się zabierał i wracał na posterunek, a on sobie wróci pieszo, skoro noc jest taka piękna.

Rottmeister zdziwił się niepomiernie, bo jeszcze nie zdarzyło mu się, żeby jakiś oficer, wyjechawszy na przedmieścia późnym wieczorem, kazał mu wracać. On był od jeżdżenia i czekania, a oficerowie od wychodzenia z auta i załatwiania swoich spraw. Ten tymczasem zrezygnował z podwózki i to było dość dziwne. No, chyba że szpital był tylko pretekstem i młody oficer wstydził się tego, co naprawdę zamierzał zrobić. Bo stary policjant, który znał doskonale miasto, wiedział, że naprzeciwko budynku szpitalnego, po drugiej stronie Berlinerstraße, jeszcze przed urzędem pracy, jest niewielka uliczka, a właściwie zaułek Brauhaus, który swą nazwę wziął od popularnej piwiarni. Piwiarnia była już o tej porze nieczynna, ale tuż obok, w dwupiętrowej kamienicy, znajdował się znany dobrze wielbicielom swawolnych uciech salon Frau Libknecht. Znany Wielandowi tylko z nazwy, bo on nie mógł sobie pozwolić na bywanie w takim miejscu. Za wysokie progi. Wieland, który był

miłośnikiem piwa i płci pięknej, po wizycie w knajpie chodził do tanich burdeli w okolicach dworca kolejowego. Panie, które tam pracowały, nie należały do zbyt pięknych, bo ich uroda minęła długo przed wybuchem Wielkiej Wojny, ale miały jedną wspólną i zdaniem Wielanda cudowną cechę – żadna z nich nie była zbyt wymagająca, jeśli chodzi o pieniądze. Dlatego każdego wolnego dnia mógł pozwolić sobie na piwną ucztę i na kobiece wdzięki, których kosztował najczęściej przy zgaszonym świetle. Więc gdy ten młody oficer kazał mu odjechać przed szpitala, najpierw wykonał rozkaz i pojechał w dół do miasta. Ale gdy był już na Neuer Markt, mniej więcej koło kościoła, wpadł na świetny, jak mu się zdawało, pomysł. Postanowił sprawić psikusa młodemu policjantowi. Pomyślał, że go zaskoczy i pokaże, że nie jest taki sprytny, jak mu się wydaje, bo stary podoficer jest znacznie sprytniejszy. Zawrócił koło pomnika cesarza i skierował prowadzonego przez siebie starego opla w piwny zaułek, by po chwili zaparkować tuż pod drzwiami nieczynnej piwiarni.

Burdel był dokładnie naprzeciwko. Rottmeister wyłączył więc światła i zadowolony zaczął przyglądać się wejściu. Długo nic się nie działo. Widać pora była jeszcze zbyt wczesna na tłumy odwiedzających to miejsce mężczyzn. Leutnanta nigdzie nie było widać. Rottmeister w końcu zaczął podejrzewać, że całkowicie pomylił się w tych swoich rachubach i że ten młody rzeczywiście poszedł po coś do szpitala. Tylko po jaką cholerę – zastanawiał się – normalny młody człowiek łąziłby nocą do szpitala, jak obok był burdel? Bo w te głupoty, o jakich mu wspominał Leutnant, zwyczajnie nie wierzył. Przesłuchanie kogoś po nocy i to w szpitalu? To się nie trzymało kupy. Po co kogoś po nocy przesłuchiwać, jak można to zrobić w dzień?

Drzwi domu uciech otworzyły się i na chodnik rozlała się smuga jaskrawego światła. Do uszu Wielanda dobiegły kobiece śmiechy zmieszane z dawką ostrej i krzykliwej jazzowej muzyki. Rottmeister skrzywił się. Lubił muzykę, ale taką normalną, jaką

dawali przez radio albo na żywo, każdej letniej niedzieli, w muszli koncertowej w parku miejskim. Ale te amerykańskie jazzy to była prawdziwa tortura dla niemieckiej duszy. A dusza Wielanda była na wskroś niemiecka, a nawet wielkoniemiecka.

Na chodniku stanął postawny mężczyzna i rozejrzał się wokół. W jego sylwetce było coś znajomego. Widząc go, Wieland zdziwił się, bo ten na białą koszulę nałożył czarną skórzaną kurtkę. Że była skórzana, policjant przekonał się natychmiast po tym, jak refleksy świetlne burdelowej lampy ześlizgnęły się po jej kołnierzu i rękawie. Zaraz zgasły, bo drzwi się zamknęły i zrobiło się momentalnie ciemno, ale Wieland już zdążył zauważyć to dziwne okrycie. Sam miał podobną kurtkę, ale nigdy w życiu nie założyłby jej w taką upalną noc. Coś tu było nie w porządku. Mężczyzna ruszył przed siebie, skierowawszy się w stronę parku. Rottmeister poczekał, aż ten zniknie za ostatnim domem, i kiedy gość skręcił w lewo, włączył silnik. Nie zapalił jednak świateł. Pojechał wolno do końca zaułka i zatrzymał wóz. Facet w skórzanej kurtce szedł w górę Berlinerstraße. Po chwili był już w pobliżu skrzyżowania. Po drugiej stronie ulicy widać było okazałą bryłę budynku szpitala. Teraz Rottmeister włączył światła, wrzucił pierwszy bieg i ruszył na wprost, by przeciąć szeroką ulicę. I w tym momencie dostrzegł znaną sobie postać młodego policjanta, który szedł w kierunku miasta. A pieprzyć tego w tej kurtce – pomyślał. – Jak chce chodzić spocony, to jego sprawa. Nie zastanawiając się już nad dziwakiem, podjechał do krawężnika i zatrzymał auto.

Leutnant Frank przystanął, zdziwiony nagłym pojawieniem się samochodu. Kierowca otworzył drzwi pasażera.

– Pan wsiada, panie Leutnancie! – zawołał do zdeorientowanego młodzieńca. Ten szybko otrząsnął się ze zdumienia i wskoczył do środka.

– Mieliście jechać do bazy – powiedział, ale w jego tonie wcale

nie było słycać dezaprobaty.

– No niby tak, panie Leutnancie, ale jakem se pomyślał, że sam pan będzie tak po nocy drałował, to mi się żal pana zrobiło...

– No to dobrze, żeście pomyśleli, bo tu na tych dziurach mało sobie nóg nie połamalem.

– Chodnik jest po drugiej stronie ulicy – wyjaśnił Wieland, wskazując ruchem głowy miejsce, skąd przyjechał. – Tam, gdzie szedł ten facet.

– Jaki facet? – zapytał Leutnant, który żadnego przechodnia nie widział.

– No taki, co wylazł tu z tego zaułka.

– Ja nikogo nie widziałem. Co mnie obchodzi jakiś facet?

– Bo on tam w kierunku szpitala szedł, to myślałem, że może się pan na niego natknął, bo dziwak jaki z niego.

– No dobra, Rottmeistrze – przerwał mu tę niepotrzebną opowieść Leutnant. – Niech mnie pan zawiezie, jeśli łaska, do mnie na... – Tu nagle zamilkł i odwrócił głowę. Mimo że siedzieli blisko, nie dostrzegł wyrazu twarzy podoficera. Widział tylko jego profil z grubą szczęką i wielkim bulwiastym nosem. Rottmeister włączył bieg i sprzęgło jęknęło przeraźliwie.

– Co powiedzieliście, Rottmeistrze?

– Ja? – zdziwił się kierowca. – Ja przecie nic nie powiadałem...

– Że ten tam szedł w stronę szpitala. Co mówiliście o nim?

– Ja? No, że dziwak. Bo dziwnie ubrany...

– Jak ubrany?

– On miał na grzbiecie kurtkę ze skóry. Taką czarną. Ja też taką mam, ale ja ją noszę na jesień, jak już się robi zimno. Bo ona to na lato się nie nada. Za ciepło w niej latem. A dzisiaj noc całkiem gorąca jest przecież...

Leutnant Frank poczuł, jak mimo tego gorąca robi mu się zimno. Czyżby to jego przeczucie miało się ziścić? Czy to, że na korytarzu szpitalnym nie było policjanta, miał być element

jakiejs ukartowanej rozgrywki? I ta kobieta, która powiedziała, że tylko umarli wiedzą i że jeśli umrze, to tak będzie naprawdę...

– Jedziemy do szpitala! – rzucił twardym głosem.

– Co? – zdziwił się kierowca.

– Do szpitala, ale już!

Rottmeister nie pytał o nic więcej. Nieznoszący sprzeciwu ton oficera mówił sam za siebie. Sprawa chyba była ważna, a skoro ważna dla oficera, to nie ma co gadać, tylko robić, co każą.

Godzina 12.30 w nocy

– No, klucz pasuje.

– A co by miał nie pasować? Przecież to jest klucz od tych drzwi.

– Może ktoś jest w środku?

– Gdzie tam. Po co by miał tam ktoś być? Przecież tam nie trzymają złota i brylantów, tylko same papiery. A papierów nikt nie ukradnie.

– No, chyba że tacy durnie jak my... – Tolek uśmiechnął się i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie.

Tolek Grubiński vel Teodor Wiciak wszedł ostrożnie pierwszy. Za nim posuwał się Wilhelm Weiß, robotnik budowlany i komunistyczny działacz z Königsbergu, który nigdy wcześniej nie brał udziału w żadnym włamaniu. Zdziwił się niepomiernie, gdy jego złodziejski partner, towarzysz Wiciak, kazał mu zdjąć buty i zawiesić je, związane sznurowadłami, na karku. Pomyślał najpierw, że to jakiś kompletny idiotyzm, ale zobaczywszy groźne spojrzenie Wiciaka, zrobił, co ten mu kazał. Teraz obaj włamywacze z butami dyndającymi na piersiach posuwali się wolno, ostrożnie, ciemnym korytarzem. Nie zapalali światła elektrycznego, żeby ktoś przechodzący ulicą nie

dostrzegł blasku. Wiciak, który szedł pierwszy, niósł jednak w dłoni kolejarską lampkę sygnałową z czerwonymi szybkami. W tej upiornej poświacie obaj wyglądali jak krwawe zjawy.

– To musi być ten pokój po lewej – powiedział Tolek, zatrzymawszy się przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami. Weiß pokiwał tylko głową, bo i co miał powiedzieć? Tak samo jak jego kompan był tu po raz pierwszy w życiu, a o rozkładzie pomieszczeń biura NSDAP dowiedział się dopiero dziś od Bauera. Ten podczas wieczornego spotkania w pokoju Weißa rozłożył na stole wyrwaną ze szkolnego kajetu kartkę w kratkę. Na niej niewprawną ręką był wyrysowany plan pomieszczeń budynku. Na lewo od korytarza wyraźnie zaznaczono podwójne drzwi, a wewnątrz krzywego kwadratu, który wyznaczał ramy pokoju, w kącie tuż przy oknie, znajdował się mniejszy kwadrat zaznaczony strzałką i opisany „kasa”.

– Moja dziewczyna wyrysowała wszystko dokładnie – stwierdził zadowolony Bauer. – Wchodzimy drzwiami od podwórka, idziemy tym korytarzem i wchodzimy do biura. Kasa jest tutaj. – Wskazał palcem miejsce, tak jakby jego dwaj kompani nie potrafili czytać. – Wystarczy ją tylko otworzyć i zabrać stamtąd plany. Jak nasz towarzysz Wiciak da radę z kasą, oczywiście.

Tolek podniósł spojrzenie znad stołu i spojrzał na Bauera z dziwnym uśmiechem.

– Wchodzimy, ale nie wszyscy. – Zatoczył palcem koło. – Tylko my dwaj. Towarzysz Bauer nie wchodzi. Zostaje na zewnątrz i filuje, czy kto aby nie idzie.

Brwi towarzysza Bauera uniosły się w wyrazie bezgranicznego zdumienia.

– Jak to?

– A tak to, że jak się towarzysz Bauer zacznie dławić kaszlem, to na ulicy będzie tylko kaszłącym gruźlikiem łążącym po nocy. Ale jak zacznie kaszleć w środku, to będzie włamywaczem

krzyczącym swoim kaszlem do wszystkich: „Tu jestem! Aresztujcie mnie i moich kumpli!”.

– Ale... – próbował coś powiedzieć Bauer, mina Tolka mówiła jednak sama za siebie. Decyzja została podjęta.

Gdyby tylko chodziło o zwykłe włamanie, to pał go licho – myślał Grubiński. – Niech sobie tam włązi i kaszle. Niechby i ten kaszel zawiadomił wszystkich dookoła i niechby zjawiała się policja. On, Tolek Grubiński, doświadczony włamywacz, na pewno dałby radę i uciekł, a tych dwóch zielonych gości mogłoby sobie wpadać w policyjne łapy. Właściwie oni wcale go nie obchodzili. Może nawet lepiej by było, żeby wpadli. Przynajmniej miałby z nimi spokój. No, ale sprawa była znacznie bardziej złożona.

Wczoraj spotkał się z Fischerem i opowiedział mu o planach komunistów. Zrobił to w nadziei, że policjant zakaze mu udziału w tej awanturze, w którą nie wiecie czemu się wpakował. Ale Fischer uśmiechnął się tylko pod wąsem, poklepał Tolka po ramieniu i stwierdził, że to dobry pomysł.

– W tej kasie, w kopercie, są plany trasy przejazdu Hitlera z lotniska na stadion – powiedział. Tolek zdumiony popatrzył na Fischera jak na jasnowidza. Widział takiego kiedyś w cyrku, tym wielkim przy ulicy księdza Bażyńskiego w Poznaniu. Występ prestidigitatora w cylindrze i fraku poprzedzał jakąś walkę zapaśniczą. Facet potrafił czytać przez papier. Jego asystentka zebrała kilka dokumentów ludzi siedzących na widowni, zamknęła w kopercie, a on, dotknąwszy tylko tej koperty, mówił po kolei do kogo należy papier: czy do kobiety, czy do mężczyzny. I wszystko się zgadzało co do joty. Tylko raz pomylił się, twierdząc, że książeczka jest własnością kobiety, a tymczasem właścicielem okazał się młody kleryk, który czerwony jak burak odebrał swój dokument, mruczając coś pod nosem, a cała publika skwitowała tę pomyłkę śmiechem i gromkimi brawami. Tamten magik widział przez papier,

a Fischer umiał i przez papier, i przez kasę ogniotrwałą, i do tego jeszcze na odległość. – Są w szarej grubej kopercie – ciągnął dalej policjant. – Trzeba je wyjąć z tej koperty i przerysować na inny plan miasta, zaznaczając wszystko dokładnie. Bo ta mapa z kasy do kasy musi wrócić.

– A po cholere musi?

– Bo jakbyście ją zwinęli, toby się zaraz zorientowali, że ktoś ją ukradł.

– No to raczej zrozumiałe. Ino co z tego? Jak się coś zajuchci, to wiadomo, że się skapną.

– Idzie o to, żeby się nie skapnęli. Bo jakby się połapali, to by zaraz tę trasę zmienili, a nam potrzebna jest wiedza o właściwej marszrucie.

– Nam? – zdziwił się Tolek. – A nam po jaką cholere?

– Dowiesz się we właściwym czasie. Tę przerysowaną mapę zabierz tylko ze sobą do hotelu. Resztą ja się zajmę rano, gdy przyjdę cię odwiedzić.

Tolek ostrożnie nacisnął klamkę i pchnął jedno skrzydło drzwi. Zaskrzypiały. Jednak nie na tyle głośno, by wzbudzić niepokój w głowie doświadczonego włamywacza. Wszedł ostrożnie do środka, świecąc sobie latarką. W czerwonej poświacie natychmiast dostrzegł solidną kasę pancerną stojącą dokładnie w miejscu, które było oznaczone na planie. Podeszedł bliżej, by przyjrzeć się jej dokładnie. Spojrzawszy na napis „Theodor Wiese”, ozdabiający łukowatą attykę, uśmiechnął się zadowolony. To była mała wiedeńska kasa, z którą miał już dwukrotnie do czynienia. Takie produkowano jeszcze przed wojną i w Poznaniu można je było znaleźć w wielu urzędach. Tak jak się spodziewał, nie będzie z nią większego problemu. Co innego, gdyby to była duża kasa bankowa albo jubilerska. Na takie zawsze trzeba było poświęcić znacznie więcej czasu. Ta miała tylko jeden zamek scyzorykowy, stosunkowo łatwy do

otwarcia, i do tego obrotowy zamek cyfrowy, który, jak twierdził producent, jest nie do otwarcia bez znajomości kombinacji czterech cyfr. Widać nie miał pojęcia o tym, że na świecie istnieją ludzie naprawdę utalentowani.

– No i co? – zapytał cicho Weiß, podchodząc bliżej.

– Że niby co z czym?

– No z tą kasą.

– A co ma być?

– No, czy da się otworzyć?

– Nie ma takiej kasy, co by jej się nie dało otworzyć – wytłumaczył mu oczywistość Tolek, podając jednocześnie lampkę. – Trzymaj tu i świeć, a ja się biorę do roboty.

Kasa nie była wysoka. Miała niecały metr wysokości. Musiał więc przykłęknąć przy niej, by dokładnie przyjrzeć się zabezpieczeniom. Najpierw trzeba dopasować odpowiedni wytrych. Z tym nie było większego problemu, bo komplet powyginanych i wyszlifowanych drutów nosił zawsze w wewnętrznej kieszeni swojej marynarki. Wydobył z niej niewielki płócienny pugilares i rozłożył na podłodze. Przez chwilę patrzył na swoje narzędzia, a potem wyjął z kompletu właściwy wytrych.

Odsunął mosiężną klapkę zasłaniającą dziurkę od klucza i ostrożnie włożył do wewnątrz przyrząd. Pogmerał nim w środku, by po chwili wsadzić do otworu kolejny, znacznie cieńszy wytrych.

– I co, da się otworzyć? – zapytał Weiß głosem, w którym słyszał było zdenerwowanie.

– Cicho – warknął Tolek.

Coś zazgrzytało w drzwiach.

– Zamek otwarty – powiedział zadowolony Grubiński. – Dawaj teraz te słuchawki.

Weiß sięgnął za pazuchę i podał mu najprawdziwszą lekarską słuchawkę. Tolek spojrzał tylko na nią przelotnie, by sprawdzić,

czy wszystko gra. Nie mogło być inaczej. Bauer ją „zorganizował” podczas popołudniowej wizyty w szpitalu. Poszedł tam niby po wypisanie jakiejś recepty i zgarnął słuchawkę przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Grubiński przytknął ją do drzwiczek sejf, tuż powyżej cyfrowego pokrętkła. Przyłożył ucho i jednocześnie zaczął kręcić gałką to w prawo, to w lewo. Weiß, który go obserwował uważnie, uśmiechnął się lekceważąco pod nosem, pewny, że taka operacja na żywym ciele kasy ogniotrwałej do niczego nie może doprowadzić. Nagle Tolek zatrzymał dłoń na pierwszej cyfrze. Po chwili wybrał drugą, potem trzecią i w końcu czwartą. Włamywacz odsunął głowę od kasy i popatrzył na podświetloną na czerwono twarz Weißa.

– Wiedziałem, że się nie uda – bąknął Weiß.

– Za dużo wiecie, towarzyszu. Ale chyba za mało was wiary w drugiego człowieka.

Chwycił za motylkowatą rączkę, przekręcił ją dwa razy w lewo i drzwiczki kasy ogniotrwałej, wyprodukowanej przez wiedeńską firmę Theodor Wiese, otworzyły się bezszelestnie.

Godzina 12.35 w nocy

Auto wjechało na brukowany szpitalny dziedziniec.

– Pod wejście! – rozkazał Frank.

Kierowca wykonał polecenie.

– Jakby kto stąd uciekał, zatrzymać!

– Tak jest.

Leutnant wyskoczył z samochodu i wbiegł do szpitalnego holu. Za kontuarem, po lewej stronie, siedział starzec z siwą brodą i zrudziałymi od dymu tytoniowego wąsami. Usłyszawszy kroki, otworzył zaspane oczy. Musiał być starym żołnierzem, bo gdy tylko dostrzegł mundur policjanta natychmiast poderwał

się na równe nogi.

– Wchodził tu kto? – zapytał Frank.

– Melduję, panie Leutnancie, że ino jeden człowiek, będzie jakie pięć minut temu.

– I wpuściliście go?

– A jakim miał nie wpuścić, kiedy on urzędowo wchodził.

– Jak to – urzędowo?

– Policjant zawsze wchodzi urzędowo, nieprawdaż?

– Policjant?

– Może bez umundurowania, ale blacha policyjna była jak najbardziej w porządku. A ja, panie, policji okoniem się nie postawię. Wiem, co to służba.

Frank przez chwilę stał bezradny, nie wiedząc, co robić. Czy miał wejść na górę i sprawdzić, co się dzieje? Skoro ten cieć mówił prawdę, a nie było powodu, żeby miał kłamać, to znaczyło, że do szpitala przysłano policjanta na służbie. Kto inny legitymowałby się policyjną blachą stróżowi? No, ale ten policjant był ubrany po cywilnemu...

– Jak był ubrany ów człowiek?

– Normalnie, w portki i buty... aha, miał na sobie skórzaną kurtkę, taką jakby trochę wojskową, ale cywilną w sumie...

Usłyszawszy to, Frank ruszył biegiem w kierunku schodów. Zdziwiony portier patrzył jeszcze chwilę w ślad za nim, a potem sięgnął pod blat kontuaru i wydobył spod niego najnowszy numer gazety „Die Grenzwacht”, pachnący jeszcze drukarską farbą.

Oddział chirurgiczny znajdował się na pierwszym piętrze. Z klatki schodowej trzeba było pójść w lewo. Szerokie dwuskrzydłowe drzwi nie były zamknięte na klucz, ale dostępu do oddziału broniła duża kartka z wykaligrafowanym ostrzeżeniem: „Zabrania się wstępu osobom niepowołanym”. Frank był policjantem, więc czuł się powołany. Pchnął drzwi, które otworzyły się z cichym jękiem niezbyt dobrze

naoliwionych zawiasów. Staął na środku korytarza. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Znikąd nie dobiegał najdrobniejszy nawet szmer. Jeśli nawet któryś z pacjentów spał niespokojnie i wydawał z siebie jakieś odgłosy, to nie docierały one na korytarz, gdyż wszystkie sale były pozamykane. Te od separatki, w której leżała pani Jung, były czwarte z prawej strony. Ruszył w tamtym kierunku. Jego oficerskie, podkute buty wystukiwały głośny rytm na kamiennej posadzce, a echo unosiło się wysoko, aż pod sklepiony sufit. Miał wrażenie, że tym tupaniem postawi na równe nogi cały szpital. Nikt jednak nie pojawił się na korytarzu. To dziwne – pomyślał, zważywszy na to, że na oddziale powinna być pełniąca dyżur pielęgniarka.

Podszedł do drzwi pokoju, w którym leżała Jung. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Od razu poczuł ostry zapach chloroformu. Wewnątrz było ciemno. W księżycowej poświacie wpadającej do pokoju dostrzegł łóżko i leżącą na nim kobietę. Zrobił dwa kroki naprzód i przystanął, uważnie się jej przyglądając. Leżała na plecach przykryta kocem podciągniętym niemal pod samą brodę. Na jej twarzy malował się spokój. Śpi – pomyślał z ulgą. Podszedł jeszcze bliżej i wtedy usłyszał za sobą jakiś ruch. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że jego podkute buty wyrwały ze snu tę grubą pielęgniarkę, która zaraz tu przyjdzie i wyrzuci go z pokoju...

Silne uderzenie w tył głowy zważyło go z nóg. Padł jak ścięty na kolana i wtedy ktoś zdzielił go jeszcze raz. Przewrócił się, uderzając czołem w podłogę, i natychmiast wleciał w czarną otchłań, która zamknęła się nad nim i pochłonęła całkowicie. I to właśnie w tej otchłani zobaczył kobietę. To była Lothe Jung. Patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczyma. Chciał ją zapytać o coś, ale nie potrafił sobie przypomnieć pytania.

– Tylko umarli wiedzą – powiedziała Lothe Jung, odwróciła się i odeszła. On został na miejscu. Wiedział, że nie może pójść za

nią. Musiał zostać tutaj, w tym miejscu, w którym było coraz ciemniej.

– Panie Leutnancie! Panie Leutnancie! – Frank usłyszał jakiś głos dochodzący nie wiadomo skąd. Był zatopiony w otaczającej go zewsząd ciemnej rzeczywistości. Skąd ten głos? – zastanawiał się. Nie widział nikogo, ale słyszał.

– Żyje pan? – pytał głos. Co za głupie pytanie? Oczywiście, że żyję, chciał odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Może to przez ten ból głowy? Bolała go tak, jakby mu kto w czaszkę wbił wielki gwóźdź do podkuwania koni. Poczuł, że ktoś szarpie go za ramię. Otworzył oczy. Ostre światło oślepiło go, więc natychmiast przymknął powieki. Po chwili ostrożnie uniósł je znowu.

– Chwała Bogu, żyje. – Ucieszył się Rottmeister Wieland.

– Musi mieć twardą czaszkę – stwierdził brodaty portier. – U nas w pułku też był taki jeden, co jak dostał w łeb francuską szablą, to ta szabla się na nim złamała. Twardy łeb to skarb. Ja to mam gnaty chude.

– Co się stało? – zapytał Frank, spoglądając ze zdziwieniem na obu mężczyzn.

– Oberwał pan po łbie – wyjaśnił Rottmeister. – Ktoś panu niezłe musiał przyłożyć. Pewnie z zaskoczenia to było.

– Jak temu jegrowi z mojego pułku przyłożył ten Francuz, to też zara zniknął. Ino szabla po nim została. Ale niezdatna do niczego, bo na pół pęknięta.

– Jaka szabla do cholery? – Frank najwyraźniej nie miał pojęcia, o czym stary wiarus mówi.

– Francuska szabla – wyjaśnił brodacz.

– Ktoś mnie rąbnął szablą?

– Stary pieprzy trzy po trzy – odezwał się Wieland.

– Pod Bogiem, że prawdę gadam. Na pół się rozpadła, a łeb cały.

– Pomóście mi wstać, Rottmeistrze.

– Tak jest!

Kierowca chwycił oficera pod pachy i z łatwością uniósł. Frank sprawdził stan swojej czaszki, obmacując ją lekko. Wyglądało na to, że była cała. Dopiero po tych oględzinach przypomniał sobie wszystko. Przede wszystkim to, gdzie jest i po co tu przyszedł. Przypomniał sobie spokojną twarz Lothe Jung w księżycowej poświacie i te wpatrzone w niego wielkie oczy kobiety, która wypowiedziała jedno zdanie i odeszła. Odwrócił się w stronę łóżka, ale już wiedział, co zobaczy. Był tego całkowicie pewien. Twarz kobiety wyglądała dokładnie tak samo jak w chwili, gdy wszedł do tego pokoju. Zamknięte oczy i ten spokój zastygły na lekko rozchylnych wargach. Lothe Jung odeszła. Tutaj było jej ciało, a dusza odpłynęła. Widział to bardzo wyraźnie w ciemności.

Podszedł do łóżka i dotknął jej ręki. Była jeszcze ciepła. Sprawdził więc puls. Nie dało się go wyczuć.

– Nie żyje – powiedział cicho.

Wieland też podszedł bliżej. Odsunął koc z szyi i dotknął miejsca, w którym przebiegała tętnica.

– Nie żyje – potwierdził i schylił się ku podłodze. – O, tu jest jakaś chustka. – Podniósł ją i przysunął ostrożnie do nosa. – Chloroform, panie Leutnancie. Tym ją załatwili. Jak się za dużo chloroformu poda, to już po człowieku – wyjaśnił Rottmeister.

– To tak jak z jednym jegrem z mojego pułku – przypomniał sobie brodaty portier.

– Już żeście to mówili – warknął Wieland.

– Ady nie to. Tamten to w łeb dostał szablą, a ten wypił chloroform, bo myślał, że to spirytus. Ale śmierć miał letką...

– Chloroform musiał wziąć z szafki w dyżurce pielęgniarskiej – przerwał mu opowieść podoficer. Jakżeśmy tu szli, to weszliśmy tam, do tego pokoju, a tam na podłodze leżała taka gruba siostra. Też dostała po głowie. Ale już dochodzi do siebie i jęczy

jak dusza potępiona.

– Słuchajcie, Rottmeistrze. – Frank spojrzał na podoficera. – Jak długo tu mogłem leżeć?

– Jak pan Leutnant poszedł do szpitala, to było jakoś tak za dwadzieścia pierwsza. A jak już pierwsza wybiła, to ja se mówię, że coś długo pan tam siedzi, to poszedłem sprawdzić. I ten mnie tu przyprowadził, bo nie wiedziałem, gdzie iść.

– Ja wiedziałem, że pan Leutnant musi na chirurgię iść, tak jak ten policjant, co tu wcześniej wchodził. Ten w tej kurtce skórzanej. Bo jak pan poszedł na górę, to on nawet zaraz wyszedł, a jakem się pytał o pana Leutnanta, to tylko mruknął coś pod nosem i poszedł.

– Widzieliście go, Wieland, jak wychodził? – zapytał Frank.

– Tak jak pana teraz widzę. Ino że on mnie nie widział, bo siedziałem w aucie.

– Możecie go opisać? To nie był żaden policjant. Musiał mieć ukradzioną blachę policyjną, którą pokazał portierowi. To był ten nasz morderca. To on ją zabił.

Rottmeister zrobił zdziwioną minę, a potem pokręcił z powątpiewaniem głową.

– To niemożliwe, panie poruczniku.

– Co niemożliwe?

– Że on jest mordercą.

– Wszystko na to wskazuje, Rottmeistrze. Ten człowiek wszedł tu i zabił ją tą chusteczką nasączoną chloroformem. To ten sam, który posługiwał się kradzioną policyjną odznaką.

Wieland zacisnął wargi i znów pokręcił głową.

– Panie Leutnancie, ten, co tu był, miał własną odznakę. To policjant.

– Czy wyście oszaleli, Wieland? Policjant miałby ją zabić?

– Nie wiem, czy ją zabił. W ogóle nie wiem, czy to jest morderca. Ale jedno wiem na pewno. Ten człowiek to policjant i ja jego dobrze znam.

Frank popatrzył na Rottmeistra, jakby ten postradał zmysły, ale mina mężczyzny mówiła sama za siebie. Wieland był pewny tego, co mówi.

Godzina 1.00 w nocy

- Skończył żeś już?
- Jeszcze chwilkę.
- No dalej! Ile można tu siedzieć?
- Jeszcze tylko dwa punkty naniosę i możemy wkładać plan do sejfu.

Tolek denerwował się coraz bardziej. Za długo już tu siedzieli. Dobrze wiedział, że takie przesiadywanie na miejscu włamania do niczego dobrego nie prowadzi. Nauczył się tego już w młodości, że trzeba brać co się da i zmiatać jak najszybciej. Na własnej skórze odczuł kiedyś, jak kończy się zbyt długie przesiadywanie w miejscu juchty.

To było tuż po Wielkiej Wojnie, gdy każdy towar był na wagę złota, bo niczego nie można było dostać w sklepach. Robił wtedy, wraz z trójką swoich kompanów, braćmi Kaźmierczakami, mieszkanie bogatego kupca w kamienicy przy rogu Kwiatowej i Rybaki. Dostali cynk od stróża, który zainteresowany był udziałem w łupach, że tego wieczora kupiec wraz z żoną i dwójką dorosłych już dzieci wybiera się na przedstawienie operowe. Dodatkowo służąca otrzymała wychodne, miejsce było zatem całkowicie bezpieczne. Tolek przygotował się do włamania bardzo starannie. Najpierw poszedł do Opery i w kasie zapytał, ile trwa przedstawienie. Kasjerka powiedziała mu, że bite trzy godziny. Mieli więc sporo czasu na rozejrzenie się po kupieckich wnętrzach. Na ulicy odczekali, aż rodzina wsiądzie do dorożki, a potem weszli do

kamienicy bramą otwartą przez współnika. Grubiński zaplanował, że w tej chacie mogą spędzić najwyżej godzinę. Bez większych problemów otworzył dwa zamki i weszli do środka. Mieszkanie składało się z sześciu pokoi, kuchni, służbówki i łazienki. Było więc co przetrząsać. Szybko rozbiegli się po pokojach i każdy na własną rękę zaczął upychać wszystko, co się tylko dało, do swoich złodziejskich worków. I pewnie w godzinę by się uwinęli, tak jak było zaplanowane, gdyby nie kuchnia. Tolek wszedł do kuchni i zastygł jak kat na poznańskim pręgierzu. To, co zobaczył sprawiło, że dosłownie zaniemówił. Dopiero po chwili odzyskał zdolność racjonalnego myślenia. A to myślenie mówiło, a raczej krzyczało w jego wnętrzu – jeść! Stół kuchenny bowiem był zastawiony talerzami i półmiskami pełnymi sałat, sałatek, mięs na zimno i w galarecie. Do tego jeszcze kilka butelek wina i jakieś koniaki. Wszystko to zapewne przygotowała służba, by państwo po strawie duchowej mogli posilić się czymś konkretnym. Takiego wielkiego wyboru różnorodnych delicji Tolkowe oczy jeszcze nigdy nie widziały. Bracia Kaźmierczakowie również zaniemówili na ten widok. Najszybciej otrząsnął się z szoku najmłodszy z nich, piętnastoletni Krystek.

– O jery, ale koryto – jęknął.

– Głupisz, Krystek – warknął Walek, najstarszy z braci. – To nie żadne koryto, ino uczta Platona.

Wszyscy spojrzeli na Walka, ale ten więcej nic na temat uczyt ani Platona nie powiedział. Nawet jakby chciał, to nie mógłby powiedzieć, bo więcej nie wiedział. Tyle zapamiętał ze szkoły. Bo Walek był wykształconym człowiekiem, który skończył aż pięć klas powszechniaka. W odróżnieniu od swoich młodszych braci, którzy edukację skończyli na trzech. Z racji tego wykształcenia usłyszał kiedyś, jak jakiś profesor mówił do drugiego o tej uczcie Platona. A mówił w tak uduchowiony sposób, że Walek pomyślał sobie, że podczas tej uczyt to musieli chyba zjeść

całego świniaka i worek pyrów. No i gdy zobaczył te specjały, był przekonany, że teraz właśnie trafił na taką ucztę.

– Trzeba by się nafutrować – rzucił przytomnie zawsze twardo stąpający po ziemi, średni z Kaźmierczaków, Leon.

– Łe, wiaruchna, czasu jeszcze mamy wuchtę – stwierdził Tolek, spoglądając na swój srebrny zegarek na łańcuszku, którego szczęśliwym posiadaczem był od tygodnia, to znaczy od poprzedniego włamania.

Chłopaków nie trzeba było więcej zachęcać. Rzucili się na jedzenie jak stado wygłodniałych wilków, biorąc wszystko jak leci. Nie zaprzęтали sobie głowy nożami i widelcami. Jedli rękoma, a popijali winem wprost z butelek. Pół godziny później na stole zostały tylko resztki, a czwórka włamywaczy dopijała ostatnie łyki koniaku, bekając głośno i poklepując się po wypełnionych ponad miarę przyzwoitości brzuchach.

– Jeszczem w życiu tyle nie zżarł – powiedział zadowolony Leon.

– Ja do dziś se myślałem, że nie ma lepszego żarcia jak kasza ze skrzyczkami – stwierdził Walek. – A tu wszystko było lepsze od śpeku i nawet nie wiem, jak się co nazywo to, cożem zżarł.

– To się nazywa uczta Plutona – zaśmiał się głośno Tolek. – Dla samego żarcia warto było tu wejść do tej chaty.

– Platona – poprawił go znawca tematu, Walek.

Tylko Krystek nic nie powiedział, bo na gębie zrobił się zielony i po chwili, trzymając się za brzuch, pobiegł do ubikacji. Pozostali osuszyli ostatnią flaszkę i wtedy usłyszeli, że drzwi mieszkania się otwierają. Głośne rozmowy i śmiechy dochodzące z korytarza świadczyły, że rozbawieni gospodarze wracają do domu. I zapewne doszłoby do spotkania złodziei i właścicieli pożartych szynek, gdyby nie przytomność umysłu Tolka. Zerwał się z krzesła i błyskawicznie znalazł przy kuchennych drzwiach. Otworzył je bez trudu. Prowadziły na niewielką, boczną klatkę schodową. Kaźmierczakowie poszli

w jego ślady. Dwaj, bo najmłodszy siedział cały czas w ubikacji. Po chwili byli już na ulicy. Stanęli w bramie kamienicy naprzeciwko, czekając na to, co się wydarzy. Nic się nie wydarzyło. Jakies dziesięć minut później głównymi drzwiami wyszedł zadowolony i uśmiechnięty od ucha do ucha Krystek z workiem na plecach. Oni swoje worki zostawili w kuchni.

– Puścili cię? – zdziwił się Tolek.

– Ady tam. – Krystek wzruszył ramionami. – Sam wyszłem. Państwo poszli do salonu, no to ja z kibla do kuchni, cap za swój worek i drzwiami na schody. Ani się nikt nie skapnął.

I tak właśnie skończyła się uczta Platona, największa wyzerka w długiej historii włamań Tolka i jego bandy. Teraz na samo wspomnienie poczuł ssanie w żołądku. Chętnie by coś przekąsił, ale jeszcze chętniej by się napił. Tymczasem Weiß grzebał się z przerysowywaniem punktów na mapie. Może gdyby nie powiedział Fischerowi o skoku, to zwinęliby wszystko po bożemu i nie byłoby kłopotu. Tymczasem Fischer uparł się, żeby przerysowywać. Co było robić? Powiedział o tym obu komunistom, a oni się zgodzili, że to najlepszy pomysł.

– No i po robocie – stwierdził zadowolony Weiß, wstając od stołu. – Gdyby światło było lepsze, to by szybciej poszło. A tak musiałem się namęczyć, ale teraz mamy wszystko tak, jak się należy. Możesz wkładać w kopertę.

Podał mu mapę, a Tolek włożył ją dokładnie w to samo miejsce, z którego ją zabrał. Ze smutkiem popatrzył na metalową kasetkę, w której zapewne przechowywano pieniądze. Chętnie dobrałby się do niej, bo otwieranie takich kasetek to była dla niego bułka z masłem. No, ale jakby ją opróżnił, to natychmiast by się zorientowano, że ktoś się tu włamał. A może by się nie spostrzegli? W końcu na kasie ogniotrwałej nie będzie żadnych śladów włamania...

– No dalej, zamykaj tę kasę. Już dość czasu żeśmy tu strawili

– ponaglił go Weiß.

– A dokąd to się panowie wybierają? – odezwał się ktoś od strony drzwi prowadzących na korytarz. Obaj włamywacze odwrócili głowy. W drzwiach stał młody, a właściwie bardzo młody policjant. Unterwachtmeister trzymał w dłoni pistolet Walther. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest zdenerwowany. Chyba po raz pierwszy w swoim krótkim policyjnym życiu złapał włamywaczy na gorącym uczynku.

– Odejść od kasy i stanąć przy stole! – polecił nieco piskliwym, pełnym emocji głosem. – Obaj ręce do góry. Ale już!

Tolek podniósł ręce, jak mu kazano. Wolał nie ryzykować, bo zdenerwowany młodzik mógł wystrzelić. Z takimi gówniarzami nigdy nic nie wiadomo. Weiß też posłuchał polecenia. W pokoju zapadło niezręczne milczenie. Policjant chyba nie miał pomysłu, co dalej robić. Powinien skuć ich kajdankami i zadzwonić na posterunek. A może nie miał kajdanek? – zastanawiał się Tolek. Jak się nie ma kajdanek, a ma się przed sobą dwóch bandytów, to wtedy trzeba jednego kropnąć tak, żeby padł na podłogę, a drugiemu przestrzelić kolano i po zabawie. Ale młody nie ma o tym pojęcia, na szczęście.

– Jesteście uzbrojeni? – zapytał głupio. Obaj natychmiast pokręcili głową.

– No to siadajcie przy stole i dłonie połóżcie na blacie, tak, żebym je widział – rozkazał, machając przy tym pistoletem.

Usiedli posłusznie. I znów dłuższa chwila milczenia. Policjant zaczął nerwowo rozglądać się po pomieszczeniu. Po chwili, na lewo od drzwi, zauważył włącznik światła. Przekreślił go. Duży żyrandol z pięcioma żarówkami oświetlił pokój. Na widok aparatu telefonicznego ustawionego na niewielkiej komodzie przy ścianie najwyraźniej się ucieszył. Znalazł rozwiązanie problemu. Już chciał doń podejść, ale nie zdążył. Powstrzymała go skutecznie lufa pistoletu przyłożona do skroni.

– Rzuć broń na podłogę – powiedział Bauer, który podkradł

się bezszelestnie do policjanta. Ten natychmiast wypuścił z dłoni walthera.

– No dalej, zabieramy się stąd – ponaglił Bauer obu włamywaczy. Tolek podszedł szybko do kasy pancерnej i uklęknął przy niej.

– Ino ułożę wszystko tak jak było, żeby się nie skapnęli, że coś jest nie tak – wyjaśnił i zaczął wszystko sprawdzać dokładnie.

Weiß tymczasem podniósł z podłogi swoje buty i wzuł je. Grubiński zamknął w końcu kasę i zrobił to samo.

– Możemy znikać – rzucił Weiß.

– A macie wszystko, co trzeba? – zapytał Bauer.

– Wszystko w najlepszym porządku. A co z tym tutaj?

Bauer uśmiechnął się głupio.

– Zostawimy go – stwierdził chudzielec.

Włamywacze minęli policjanta i trzymającego go na muszce komunistę. Idąc szybko korytarzem, Tolek zastanawiał się, czy pozostawienie policjanta to aby na pewno dobry pomysł. Przecież ten chłopak widział dobrze ich twarze. Na pewno w razie czego bez trudu ich rozpozna. No, ale z drugiej strony zabicie takiego szczeniaka byłoby przecież zwyczajnym draństwem. Tolek już kiedyś zabił człowieka i do tego też policjanta, ale wtedy to była sprawa honorowa. Gdyby tego nie zrobił, straciłby poważanie wśród kumpli, a na coś takiego jako człowiek honoru nie mógł sobie pozwolić. Teraz obraz tamtych wydarzeń jak żywy stanął mu przed oczyma.

Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie. Gdzieś w górze zawisł rozspiewany skowronek. Koń dorożkarski z pochylonym łbem skubał sobie spokojnie młodą, soczystą trawę. Kilka metrów dalej, nieco niżej niż łąka, płynęła leniwym nurtem Warta. Daleko, na drugim brzegu, widać było zatopione w zieleni drzew owocowych, charakterystyczne, pokryte papą, czarne dachy domów wsi Rataje. Ale nikt z piątki mężczyzn na

tej nadrzecznej łące nie zwracał najmniejszej uwagi na słowicze trele czy piękno krajobrazu. Jeden, ubrany w policyjny mundur, klęczał na trawie ze spuszczonego wzrokiem. Ręce miał skute kajdankami na plecach. Z rozbitych i napuchniętych ust ściekała mu krew. Pozostali trzej stali za nim. Czwarty, najstarszy ze wszystkich, ubrany w białą koszulę bez kołnierzyka i wiśniową kamizelkę, stał na wprost policjanta.

– Możesz się teraz pomodlić – powiedział beznamiętnym głosem.

– Co wy chcecie zrobić? – zapytał przerażony funkcjonariusz.

– Nie gadaj, ino się módl – ponaglił go Tolek.

– Przecież to niemożliwe! – powiedział łamiącym się głosem.

– Wszystko jest możliwe. – Tolek wycelował rewolwer w jego głowę.

– Ja nic nie zrobiłem.

– Nie? A Kryśce to kto to zrobił?

Kaźmierczakowie, którzy cały czas stali z tyłu, rozeszli się na boki, żeby krew nie uwaląta im ubrań.

– Ale to była przecież zwykła kurwa.

– Tyżeś jest kurwa.

Strzał rozdarł nadrzeczną ciszę. Przestraszony koń zarżał głośno. Głowa mężczyzny eksplodowała. Bezwładne ciało przewróciło się na plecy. Tolek splunął pod nogi. Nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Wiedział jedno – tego gada trzeba było usunąć, bo dla takich drani nie powinno być miejsca między ludźmi. Za krzywdę jego kobiety. Za Kryskę.

Wsunął rewolwer za pasek od spodni, wyjął z kieszeni nóż i uklękawszy, szybko odciął od kołnierza zabitego patkę z dystynkcją podkomisarza. Gdy się wyprostował, popatrzył zadowolony na Kaźmierczaków.

– No, co tak stoicie? Brać się do roboty, bo piwo czeka.

Błyskawicznie przywiązali worek wyładowany kamieniami do

kajdanek, które spinały dłonie trupa. Po chwili obciążone ciało zniknęło w Warcie. Ciało lżejsze o zegarek, złoty pierścion z herbem, portfel, buty oficerskie i pas z kaburą. Bracia Kaźmierczakowie nie lubili marnować żadnej okazji.

Do dziś Tolek czuł, że wtedy postąpił słusznie. Ale teraz z tym młodym policjantem powinni się obejść łagodniej. Co on był winny? Wszedł do tego pokoju, bo taką miał robotę. Za to się przecież nie zabija. To byłoby niehonorowe. Wyszli na dziedziniec. Po chwili z budynku wyszedł Bauer, prowadząc policjanta.

– Nie możesz go zabić. On nic nie jest winny – powiedział Tolek.

– Oczywiście. Wezmę go tylko za róg i niech przysięgnie się, że nic nie widział, a puszcze go wolno. Co, przysięgniesz? – spytał, patrząc na chłopaka.

– Przysięgnę. Nikomu nic nie powiem. Tylko oddajcie mi pistolet, bo to broń służbowa...

– To i dobrze. – Ucieszył się Grubiński. – Spotkamy się przed południem jakby co.

– Idźcie już. – Bauer pchnął policjanta lufą pistoletu. – A my idziemy tu w prawo.

Tolek z Weißem wyszli na ulicę. Odebrał od komunisty mapę z przerysowaną trasą przejazdu i ruszył szybko w kierunku hotelu. Nie miał daleko. Zaledwie jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Po chwili był już przy drzwiach. I wtedy usłyszał huk wystrzału.

Godzina 3.00 nad ranem

Policjant stał przed bramą kamienicy numer dwadzieścia jeden przy Zeughausstraße. Była zamknięta na głucho. Podobnie jak

sklep, którego okno wystawowe zasłonięto drewnianą roletą. Powyżej wisiała tablica informująca, że mieści się tu zakład kapeluszniczy A. Hildebrandta, rok założenia 1830 w Posen. Ta tablica zastąpiła inną, warsztatu jubilerskiego Arona Grünsteina.

Właściwie to nie palił papierosów, ale dzisiejszej nocy zrobił wyjątek. Musiał się uspokoić po tym wszystkim, co się zdarzyło. Gdy do szpitala przyjechał patrol, który miał zabezpieczyć miejsce zbrodni, do rana, do czasu, aż przyjdzie lekarz sądowy i oficjalnie stwierdzi przyczynę zejścia, Frank mógł wreszcie stamtąd odjechać. Obaj, on i Wieland, wsiedli do auta.

– Słuchajcie, Rottmeistrze, gdzie tu w mieście o tej porze można wypić coś mocniejszego? – zapytał, a kierowca zrobił zdziwioną minę.

Zdziwił się, bo ten oficerek nie wyglądał na człowieka, który by lubił sobie golnąć. No, ale po tym, co się wydarzyło, każdy by się napił. Tylko Wieland nie mógł, bo musiał jeszcze odstawić samochód na dziedziniec Dyrekcji Policji. No, może najwyżej jedno piwo albo dwa... Nikt go przecież nie będzie sprawdzał, czy czego nie wypił. W końcu piwo to żaden alkohol.

– Jak się rozchodzi o coś do napicia, to tylko dworzec kolejowy. Tam bufet jest otwarty całą noc. Piwo podają i sznapsa. A w mieście to o tej porze wszystko już pozamykane. Niektóre bierstuby otwierają już o piątej rano, żeby ludzie, co idą do roboty, mogli się napić, ale do piątej to jeszcze trochę czasu się zostało. Na wódkę teraz tylko na dworzec kolejowy...

– O, właśnie, sznapsa mi dzisiaj trzeba. Muszę wszystko przemyśleć...

– No to jedziemy na dworzec, panie Leutnancie?

– Na dworzec.

Wypił nie jednego, a trzy i do tego jeszcze piwo. Kierowca na piwie poprzestał i ugasiwszy pragnienie pojechał odstawić samochód. Frank tymczasem kupił w dworcowym bufecie

paczkę papierosów Juno i zapalki. Bo Wieland mu poradził, że na uspokojenie najlepszy jest papieros. Dlatego teraz stał przed kamienicą na lekkim rauszu i palił, spoglądając na dom, który kiedyś należał do jubilera.

Właściwie to sam nie wiedział, dlaczego tu przyszedł. Nie spodziewał się, że może się czegoś dowiedzieć. Przecież budynek przeszedł po śmierci Grünsteina w obce ręce. Sprawdził to już dawno. Gdy znalazł artykuł opisujący zbrodnię dokonaną na rodzinie jubilera, zaraz wysłał policjanta, żeby się dowiedział, kto teraz jest jej właścicielem. Okazało się, że majątek po rodzinie przejął mieszkający w Berlinie kuzyn Grünsteina. Gdy tylko zakończyły się sprawy spadkowe, natychmiast sprzedał dom niejakiemu Hildebrandtowi, który osiedlił się tutaj, uciekwszy przed Polakami z Posen. Szczęśliwie ucieczka nie była zbyt szybka. Udało mu się jeszcze spieniężyć należącą do niego poznańską kamienicę i pieniądze pochodzące ze sprzedaży włożył w schedę po jubilerze. Nowy właściciel wypowiedział mieszkania wszystkim lokatorom, wyremontował cały dom, a potem, podniósłszy czynsze, wynajął lokale innym ludziom. Pewne więc było, że spośród tych, którzy w tej chwili żyli w tej kamienicy, nikt nie mieszkał tu w czasach, kiedy właścicielem był Grünstein.

Rzucił niedopalonego papierosa na chodnik i przydepnął go butem. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien dalej robić. To, czego się dowiedział, kompletnie zbiło go z tropu. Nie miał pojęcia, jak powinien postąpić i komu o tym wszystkim zameldować. Bo przecież jeśli ten policjant, którego rozpoznał Wieland, był w szpitalu zupełnie przypadkowo? Jeśli nie miał nic wspólnego z zamordowaniem pani Jung, to on wyjdzie na kompletnego idiotę. Ta sprawa może przecież zaważyć na całej jego karierze policyjnej, która właściwie nawet się jeszcze nie zaczęła. To cholerne śledztwo przerosło go i teraz został zupełnie sam z poważnym problemem.

W oknie na parterze rozbłysło światło. Te okna na lewo od bramy musiały należeć do mieszkania stróża. Pchnięty jakimś nagłym impulsem ruszył w kierunku budynku. Podeszedł do bramy i załomotał w nią pięścią. Po chwili przez szpary w bramie dostrzegł światło. Stróż musiał wyleźć ze swojego mieszkania. Zapukał więc jeszcze raz.

– A żeby cholera nagła cię wzięła, pijanico jedna! – krzyknął stróż, przekonany zapewne, że to któryś z dobrze mu znanych lokatorów. – Ciągłe to samo. Chleje po nocy i trzeba ćwokowi jednemu otwierać. Nie da się, gnojek jeden, porządnemu człowiekowi wyspać...

Klucz zazgrzytał i otworzyły się drzwi.

– Skaranie boskie z tobą, człowieku... – narzekał nadal stróż, ubrany w wysokie buty, nocną koszulę i roboczą, szarą bluzę zarzuconą na ramiona. Na łysej głowie nie miał czapki, bo pewnie w pośpiechu zapomniał ją założyć. Cuchnęło od niego przetrawionym piwem i kiepskim tytoniem. Otworzył jeszcze usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział. Zaniemówił w chwili, w której zdał sobie sprawę, że na chodniku stoi nie ten, kogo się spodziewał. Zobaczył młodego człowieka w mundurze i z dystynkcjami Leutnanta.

– Bardzo przepraszam, panie oficerze, bo ja tego... Znaczy się, że tak powiem...

– Mogę wejść, czy mam stać tak przed bramą?

– Się rozumie, że może wejść. Władza zawsze może wejść, jak chce wejść... Bo ja, panie Leutnancie, myślałem, że to ten zapijaczony Kratschke, co jest szewcem. I on zawsze na koniec tygodnia uchlewa się jak świnia, a potem wraca do domu po nocy...

– Jak się nazywacie? – przerwał mu Frank.

– Melduję, że się nazywam Fritz Heigelmann.

– Jak długo jesteście tu stróżem?

Ciec podrapał się po łysej skroni. Zmarszczył przy tym czoło,

tak jakby rozważał poważny problem intelektualny. Zaraz też spojrzął na palce swojej lewej dłoni i wskazującym prawej zaczął powoli odliczać. Widać miał problemy z rachunkami, jak większość tych, którzy nie nawykli do zbyt częstego używania szarych komórek. W końcu uśmiechnął się zadowolony, podnosząc spojrzenie znad palców na twarz policjanta.

– Będzie dwanaście lat.

– To znaczy od dziewiętnastego roku? – zapytał Frank, który nigdy nie miał kłopotów z dodawaniem i odejmowaniem.

– Będzie, że od stycznia dziewiętnastego, jak pan Hildebrandt kupił chałupę. Tom się wtedy najął do roboty z odmieszkiwaniem.

– Możemy gdzie wejść i usiąść?

– A jakże, możemy. U mnie możemy se siednąć. – Ciec wskazał na otwarte drzwi prowadzące wprost z bramy do mieszkania.

Frank poszedł przodem, a stróż, zamknąwszy bramę na klucz, ruszył za nim. Policjant przeszedł przez zagracony jakimś kłopotami korytarz do pomieszczenia, w którym paliło się światło. Kuchnia była nadszodziejanie czysta. Nie widać w niej było jakichkolwiek śladów normalnego gospodarowania. Na piecu nie było żadnego garnka, a biały kredens wydawał się pusty. Za to na podłodze stało sporo butelek po piwie i wódce. Popielniczkę ze słoika na parapecie wypełniały po brzegi niedopałki. Heigelmann musiał być kawalerem, bo nie widać tu było kobiecej ręki.

– Pan se siednie, panie Leutnancie. – Wskazał na krzesło przy stole. Z jego oparcia zdjął wiszące tam spodnie i rzucił je niedbale na podłogę. Sam siadł naprzeciwko.

– Słuchajcie, Heigelmann, jak się tu wprowadzaliście, to mieszkanie po dawnych właścicielach było już puste?

Stróż wydał dolną wargę w wyrazie zdumienia. Znów podrapał się po łysinie. Widać każde pytanie musiał dokładnie

przetrawić.

– Jakem tu nastał, to akurat wszystkie graty wyprzedawali. Miasto wyprzedawało wszyściuško. A ja z każdym, co miał chęć co kupić, chodziłem tam na górę i patrzyłem, czy czego za pazuchę nie chowa. Bo wie pan, jak jest. Ludziom to się różne rzeczy do łap przyklejają. Ale szybko poszło. Najpierw, w pierwszy dzień, było dwóch poważnych kupców, co kupili wszystkie meble, a później to takie łachudry, co po jednym garnku brały. Ale w dwa dni się wszystko wyprzedowało.

– I nic nie zostało?

– Wszystko między ludzi poszło.

Heigelmann zaczął grzebać między butelkami. W końcu zadowolony natrafił na jedną, w której zostały jeszcze jakieś resztki piwa.

– Łyczek ino się ostał – wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie.

– Pijcie, nie krępujcie się.

Stróż odbił porcelanowy kapsel i osuszył butelkę do dna. Piwo musiało być już nieco skwaśniałe, bo zmarszczył nos, ale przełknął wszystko dzielnie, jak na prawdziwego, zdeteminowanego pijaka przystało.

– A wyście co dla siebie wzięli?

– Ja? – zdziwił się, a na jego nieogolonej gębie pojawił się wyraz kompletnej niewinności. Frank od razu dostrzegł w nim sporą dawkę obłudy.

– Słuchajcie, Heigelmann, ja nie przyszedłem tu po to, żeby wam zabierać jakieś graty, któreżecie sobie bezprawnie przywłaszczyli z tego mieszkania. Nic mnie nie obchodzą jakieś stare klamoty. Mnie interesują... – Zamilkł na chwilę, zbierając myśli. – Właściwie to co mnie interesuje? Po co ja tu w ogóle przyszedłem? Nawet nie wiem, czego szukam. Chyba czegoś, co potwierdzi to, w co nie chcę uwierzyć. Szukam prawdy. Tylko czy potwierdzenie tej prawdy do czegoś może doprowadzić? Do czego powinno? Do osądzenia mordercy? To może nastąpić,

a może nie nastąpi. Przyszedłem tutaj, aby przekonać się, czy moje podejrzenia są prawdziwe. Bo przecież wszystkie prowadzą do jednego słusznego wniosku... Interesuje mnie, czy jakieś papiery pozostały po Grünsteinach. Przecież papierów, listów nikt by nie kupił.

Heigelmann machnął ręką.

– Do pieca wszystko poszło. Wszystkie rachunki, księgi rachunkowe... To nikomu nie było potrzebne. Na co komu jakieś kwity?

– A zdjęcia też spalone?

Stróż zapatrzył się w brudny blat stołu. W końcu uniósł głowę.

– Album był ładny, w skórę oprawiony. Szkoda go było wyrzucać albo palić. Bo albumu z obcymi zdjęciami przecie nikt by nie kupił. Początkowo tom chciał te zdjęcia dać do ognia i zostawić sobie album, ale jakże tak tych ludzi spalić? Przecie oni już nie żyją i tylko tyle po nich się zostało. To jak ja bym spalił, to tak, jakbym ich drugi raz zabił.

Wstał od stołu i podszedł do kredensu. Otworzył jedną z szuflad i po chwili, spod sterty papieru, wydobył duży rodzinny album, oprawiony w zabarwioną na czerwono skórę. Podszedł z nim do stołu, podał go policjantowi i wrócił na swoje miejsce. Sięgnął po leżący na stole kartonik z bibułkami, wydobył jedną, potem nasypał nań nieco tytoniu z metalowej puszczerki i powoli zaczął skręcać papierosa.

Frank otworzył pierwszą stronę i przeleciał wzrokiem po kilku portretach kobiet i mężczyzn w staroświeckich strojach. Nie zainteresowały go jednak. Przewrócił szybko kilka kartek, by przybliżyć się do czasów przedwojennych. Na jednej z ostatnich fotografii zobaczył cztery osoby w fotograficznym atelier. Za nimi w tle grecka kolumna i udrapowana tkanina na ścianie. Kobieta w białej sukni trzyma na rękach małą dziewczynkę, obok brodaty mężczyzna w czarnym surducie, z dłonią

wciśniętą pod połę jak Napoleon Bonaparte. Przy nim stoi młody mężczyzna, bez zarostu na twarzy, w wojskowym mundurze z dystynkcjami Gefreitra. Frank przewrócił czarną kartkę. Dalej album jest pusty. Grünsteinowie nie zdążyli zrobić sobie więcej zdjęć. Mimo to Frank przewracał dalej sztywne karty. Naraz pomiędzy nimi dostrzegł coś jasnego. Chwycił ostrożnie niegdyś białą, dziś już pożółkłą kopertę. Nazwisko adresatów wypisano na niej ładnym, kaligraficznym pismem. Odwrócił ją na drugą stronę i naraz poczuł, jak serce zaczyna mu bić mocniej. W miejscu, w którym zazwyczaj powinien znajdować się adres nadawcy, zobaczył dwie litery i rząd cyfr: FP 244891, poniżej imię i nazwisko – Josef Grünstein. W środku był list i zdjęcie. Położył je na blacie stołu. Na zdjęciu był młody, uśmiechnięty mężczyzna w polowym mundurze Leutnanta.

– To on właśnie jest ten, co tu u mnie był – wskazał na zdjęcie Heigelmann.

– Był u was? Kiedy?

– Jeszcze w dziewiętnastym roku, krótko po tym, jak dom został sprzedany. Pytał o rodzinę, ale ja wtedy nie wiedział, że to jest ten syn, co zaginął na wojnie. Przegnałem go...

Godzina 4.00 nad ranem

Leutnant Eberhardt Frank siedział przy swoim biurku w niewielkim pokoju na trzecim piętrze budynku Dyrekcji Policji. Prócz tego biurka były jeszcze dwa inne, stojące pod obu ścianami, na prawo i na lewo od drzwi. Jego ustawione było przy samym oknie i dzięki temu było to najjaśniejsze miejsce. Mógł wybierać spośród trzech, bo jak na razie był jedynym policjantem urzędującym w tym biurze. Pozostałe miejsca czekały na nowych pracowników, ale jak dotąd nikt nie

wiedział, kiedy można będzie się ich spodziewać. Podoficer, który go tu przyprowadził pierwszego dnia, gdy Hauptmann Carl Aschmutat przeniósł go z komisariatu przy Saarlandstraße, wyjaśnił, że szef już od dawna prosi Berlin o skierowanie kolejnych śledczych. Jak dotąd – bezskutecznie. Ten Wachtmeister miał swoje wytłumaczenie, dlaczego nikt nie chce przyjechać do Schneidemühl.

– Bo tu, panie Leutnancie, w tym naszym mieście wilgoć zabija ludzi prędzej niż francuskie kule. Od razu pan tego nie wyczuje, ale za kilka lat, jak pan tu dłużej pomieszka, to sam pan zobaczy. Jedni z tej wilgoci umierają na suchoty, a innych skręca reumatyzm. I do tego wszystkiego jeszcze te cholerne komary... Brakuje tylko malarii.

Jak dotąd Frank zdążył się przekonać, że rzeczywiście komarów było sporo, ale tylko w pobliżu rzeki. Sam wynajmował pokój niedaleko swojego dawnego już komisariatu, a stamtąd do wody było może z dwieście metrów w linii prostej. Już pierwszego wieczoru, gdy tam zamieszkał, stoczył zacięty bój z tymi uprzykrzającymi życie owadami, bo nieopatrznie zostawił otwarte okno i zapalone światło. Siedząc nad pasjonującą książką Karola Maya o przygodach indiańskiego wodza Apaczów Winnetou, nie pomyślał nawet, że te krwiożercze bestie mogą niespodziewanie przypościć na niego atak. Gdy w końcu zabił jednego i po chwili drugiego siadającego mu na czole owada, zorientował się, że w pokoju jest ich już kilkadziesiąt. Na szczęście miał kilka gazet. Walczył z natrętami niemal do północy, a i tak, gdy już wydawało się, że teren został oczyszczony, to gdy tylko położył się do łóżka, natychmiast tuż przy swojej głowie słyszał natarczywe brzęczenie. Resztę nocy spędził z głową pod kocem, a mimo to rano obudził się z pokąsanymi i swędzącymi stopami. Od tej pory już wiedział, że wieczorami trzeba zamykać okno, ale też postanowił, że gdy tylko nadarzy się okazja, przeniesie się

gdzieś bliżej centrum miasta, jak najdalej od rzeki.

Teraz, siedząc przy biurku, wpatrywał się w leniwie przepływające wody rzeki Küddow, której przeciwległy, spowity jeszcze poranną mgłą brzeg porastały rozłożyste drzewa, pochylające swoje korony nad ciemnym nurtem. Ale piękno krajobrazu nie robiło na policjancie najmniejszego wrażenia. On myślał o czymś zupełnie innym. Wpatrzony w nadrzeczny landszaft myślał o liście, który leżał przed nim na blacie biurka. Obok listu leżały dwie fotografie. Ta pierwsza przedstawiała rodzinę z młodym szeregowcem, który razem z rodzicami i młodszą siostrą poszedł, zapewne w przeddzień wyjazdu na front, do fotografa, by pozostawić po sobie pamiątkę. Na tej drugiej, którą znalazł w liście, twarz młodego mężczyzny nie miała już w sobie nic z miękkich rysów młodzika. Na pagonach jego munduru widać było oznaczenia stopnia Leutnanta. Ojciec oglądający tę fotografię na pewno dumny był z syna, który zmeźniał i z chłopca zmienił się w prawdziwego mężczyznę. Na zdjęciu uśmiechał się do oka obiektywu fotograficznego twardy, zahartowany w bojach człowiek. Frank znał go.

Przez chwilę patrzył jeszcze w tę twarz, a potem przeniósł spojrzenie na list.

Kochani moi rodzice,

Czy możecie uwierzyć, że to już trzy lata minęły, odkąd wasz syn Josef wsiadł do pociągu, żegnany waszymi łzami na peronie naszego dworca? Mnie się wydaje, jakby to zaledwie kilka miesięcy przeszło, bo czas tutaj nadzwyczaj szybko pędzi do przodu. Ani się człowiek obejrzy, a wiosna zmienia się w lato, by zaraz stać się jesienią. Liście na drzewach to rodzą się, to opadają, jednak u nas w okopach wcale tego nie widać. Tu każdy dzień jest taki sam jak inne, a kolory to tylko wszechogarniająca szarość. Do tego błoto po kolana, albo gdy

cieplej, kurz, który wdziera się do gardła i dławii tak samo jak ból i rozpacz po stracie kogoś bliskiego. Tych bliskich, dobrze znanych i mniej znanych towarzyszy walki, było tylu, że nie sposób ich już zliczyć. Przychodzą i odchodzą tak szybko, że człowiek czasami myśli, kiedy ten ludzki pochód prowadzący wprost do bram Hadesu wreszcie się skończy. I wtedy zawsze przychodzi ta sama na myśl odpowiedź. To się nie skończy nigdy. Będziemy tu tkwić w tym smrodzie rozkładających się ciał, nękanii przez opastę stada szczurów, które są wielkie jak koty, bo nadzwyczaj dobrze odżywione, i przez wszy, które gnieźdzą się pod naszymi mundurami i uprzykrzają każdą chwilę swoją nadzwyczajną aktywnością.

Ileż to razy myślałem o tym, co oddałbym za to, by móc wrócić do własnego łóżka z czystą białą pościelą, by zalec w nim, przykryty po czubek nosa pachnącą pierzyną. Myślę sobie wtedy, że i przez tydzień żadna siła by mnie z tego łóżka nie wygnała.

Na to jednak, jak mniemam, na razie się nie zanosi. Walki zaciekle trwają i żadna ze stron przewagi nie potrafi osiągnąć. Trzeba więc będzie jeszcze nieco poczekać, by spełniło się wreszcie moje marzenie o powrocie do domu. Cóż począć. Trzeba robić swoje, licząc na to, że i ta wojna, jak każda inna, kiedyś przecież się skończy. Wyobrażam sobie już ten moment, kiedy wejdem do zakładu taty, który spojrzy na mnie z niedowierzaniem, chwyci mnie w ramiona i powie – Nareszcie jesteś w domu. Nie martwcie się o mnie, moi drodzy. Noszę w sobie mocne przekonanie, że tak właśnie będzie. Liczę, że już niedługo. I Bogu dziękuję za to, że wy w domu naszym jesteście bezpieczni i krzywda wam jaka stać się nie może, bo od tego francuskiego piekła jesteście zbyt daleko.

Całujcie ode mnie moją malutką siostrzyczkę, która już pewnie tak wyrosła, że nie poznam jej, jak wrócę.

Niech was Bóg Wszechmogący i moje myśli gorące chronią od

zła wszelkiego.

Wasz kochający syn Josef

Przeczytawszy już któryś raz z rzędu list, Frank złożył go starannie i wsunął do koperty wraz z fotografią. Potem wyciągnął z szuflady czystą kartkę papieru, wziął do ręki pióro i umoczył stalówkę w kałamarzu. W końcu, po chwili zastanowienia, zaczął pisać.

Hauptmann Carl Aschmutat

w miejscu

Szanowny Panie Hauptmannie,

W związku ze zleconym mi przez Pana śledztwem w sprawie mordów dokonanych na osobach Maxa Wargatscha, pobitego i utopionego w rzece, Walthera Junga zastrzelonego we własnym mieszkaniu, Lothe Jung, wcześniej postrzelonej, a w końcu zabitej chloroformem w szpitalnym łóżku, Wilhelma Becka, zastrzelonego w wychodku koło nastawni kolejowej i jeszcze Oskara Wittmanna, zastrzelonego i znalezionego przy torach kolejowych niedaleko stadionu miejskiego, ustaliłem, co następuje:

1. Wszystkie ww. osoby były powiązane organizacyjnie czy to rodzinnie z Komunistyczną Partią Niemiec. Jedynie Wilhelm Beck zerwał z partią komunistyczną jeszcze w 1919 roku.

2. Ponad wszelką wątpliwość mordercy owe nie były spowodowane przyczynami politycznymi. Bezpodstawne okazały się więc podejrzenia, że mogą stać za nimi członkowie jakichś ugrupowań politycznych, które walczą z komunistami, na przykład NSDAP.

3. Morderstwa owe są przyczynę wzięły z tajemnicy przeszłości skrywanej przez wszystkich zainteresowanych, a ostatnio zamordowanych ww. ludzi.

4. Ta sprawa z przeszłości to mord dokonany w Schneidemühl nocą z 17 na 18 stycznia 1919 roku na rodzinie jubilera Grünsteina.

Objaśnienie: W trakcie prowadzonego śledztwa udało mi się uzyskać od Lothe Jung zeznanie, w którym przyznała, że wszyscy zamordowani ww. ludzie brali udział w rabunku i mordzie na rodzinie Grünsteina. Wszyscy oni w 1919 roku byli członkami Rady Robotniczo-Żołnierskiej, działającej na terenie miasta i jako patrol Rady wtargnęli nocą do domu jubilera i tamże dokonali rabunku i mordu na rodzinie.

Ostatniej nocy przestuchiwałem stróża z kamienicy, która niegdyś należała do Grünsteina. Spośród rzeczy, które pozostawiła rodzina, nie uchowało się nic prócz starego albumu ze zdjęciami. W albumie tym znalazłem zdjęcie syna Grünsteina wraz z rodziną z początku wojny. Josef Grünstein jakoby zaginął podczas Wielkiej Wojny. Był tam również jego ostatni list i jego ostatnia wojenna fotografia z 1917 roku.

List ów, jak i fotografię załączam do raportu.

W związku z połączeniem wszystkich faktów muszę wyciągnąć jedynie słuszny wniosek, że ów zaginiony syn żyje i on właśnie stoi za wszystkimi tymi morderstwami, które podyktowane były chęcią zemsty na mordercach jego ojca, matki i małoletniej siostry.

Jako oficer policji ślubowałem postuszeństwo moim przełożonym, jednak w tej sytuacji, obwiniając o popełnienie morderstw oficera policji, sprzeniewierzyłbym się owej przysiędze.

W związku z tym przekazuję na Pańskie ręce wszystkie zebrane w tej sprawie dokumenty, wierząc, że Pan najlepiej będzie wiedział, jak w tej sprawie postąpić i jednocześnie, po głębokim zastanowieniu, proszę o zwolnienie mnie ze służby.

Skończywszy, wetknął pióro do sterczącej ebonitowej tulejki i sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Zapalił i zaraz zaczął kaszleć, bo dym podrażnił mu gardło. Przemógł się jednak i zaciągnął powtórnie. Tym razem poszło znacznie lepiej. Przez kłęby dymu spojrzął na płynącą leniwym nurtem rzekę. Na czystym dotąd niebie zaczęły zbierać się chmury, które mogły zwiastować deszcz.

Te papierosy – pomyślał – może nie smakują najlepiej, ale przynajmniej dzięki nim komary uciekają gdzie pieprz rośnie.

Swój raport, wraz z listem młodego Grünsteina i dwoma zdjęciami, a do tego z wycinkiem gazety, który znalazł w mieszkaniu Jungów, włożył do koperty, na której wcześniej napisał: Hauptmann Carl Aschmutat. Wstał, zabrał ją z blatu i poszedł zanieść do dyżurnego podoficera. W poniedziałek rano powinna trafić na biurko Hauptmanna.

Godzina 5.15 rano

Maszynista Huber w kombinezonie roboczym siedział na białym kuchennym krześle, wpatrując się w stojący przed nim na stole kieliszek wódki. Naprzeciw niego, podpierając głowę na ramieniu, drzemał posterunkowy Schwartz. Z kuchennego okna, przy którym stał stół, widać było tory kolejowe, które wiodły w kierunku dworca. Gdzieś tam dalej, przy którymś z peronów, sapała głośno lokomotywa. Za chwilę pociąg ruszy, wioząc wczesnych pasażerów w kierunku Kreuz i dalej jeszcze, do wielkiego miasta Stettin. Przez chwilę Huber zastanawiał się, który z jego kolegów siedzi teraz na tej sapiącej lokomotywie, ale jakoś nie potrafił sobie przypomnieć. Może to od tej wypitej

wódki? Przez tych kilka nocnych godzin wypili ze Schwartzem aż dwie butelki sznapsa.

Popatrzył na śpiącego policjanta. Wilhelm Schwartz siedział na krześle z głową opadłą na pierś i pochrapywał lekko. W sypialni za ścianą spała jego żona Maria, która wczorajszego wieczoru przygotowała dla nich kolację – odsmażane ziemniaki ze skwarkami. Mimo że mąż przyszedł do domu dość późno i do tego przyprowadził jeszcze w zasadzie nieznaną mężczyznę, nie miała pretensji. Zakręciła się tylko szybko koło kuchni, zrobiła jedzenie i poszła spać. Schwartz tymczasem wyciągnął z kredensu jedną, potem drugą butelkę i w końcu, po opróżnieniu obu, zasnął tak jak siedział. Huber też by poszedł w jego ślady, ale głowa pełna myśli nie pozwoliła mu zmrużyć oka. Był niespokojny, bo nie wiedział, czy dobrze zrobił. Wczoraj wydawało mu się to oczywiste, zwłaszcza po tym, co nagadał mu Schwartz. No, ale dziś, gdy alkohol wyparował już z głowy, zaczęły pojawiać się wątpliwości. Te wątpliwości miał od pierwszej chwili, czyli od momentu, w którym podjął decyzję, że musi pogadać ze Schwartzem. Znał tego policjanta od wielu lat. Nie byli kolegami, ale szanowali się wzajemnie. Dlatego mógł przypuszczać, że skoro policjant kazał mu powiedzieć, żeby się do niego zgłosił, to mogło oznaczać, że chce mu w jakiś sposób pomóc. Zresztą, czy w ogóle miał jakiegokolwiek inne wyjście? Przecież nie będzie do końca życia uciekał. Tym bardziej że był niewinny i został wplątany w morderstwo, którego nie popełnił.

Wiedział, że policjant mieszka w kamienicy na rogu Albrecht i Güterbahnhofstraße, a więc stosunkowo niedaleko dworca kolejowego. Przebrany w kolejarski strój roboczy bez większych problemów przeszedł torami spod nastawni do miejsca, w którym płot kolejowy dochodził do ulicy. Po drugiej stronie jezdni był dom Schwartza. Policjant, czy chciał, czy nie, musiał koło tego betonowego płotu przechodzić. Ona natomiast musiał

być tylko czujny i wypatrywać nadchodzących. Zajęło mu to kilka ładnych godzin. Siedział za płotem w krzakach, zasłonięty z każdej strony. Przez dziurę w płocie mógł, niewidoczny dla ludzi z zewnątrz, obserwować ulicę. Jego kryjówkę mijały dziesiątki przechodniów, ale nie było wśród nich policjanta. Pojawił się wreszcie wieczorem, krótko po dziesiątej. Mało brakowało, a Huber by go przegapił. Ze zmęczenia i z nudów oczy zaczęły mu się powoli zamykać. Na szczęście zdążył jeszcze zarejestrować mignięcie mundurowej zieleni za płotem. Poderwał się natychmiast i wyrzwał na ulicę. Od razu rozpoznał znajomą, nieco zgarbioną, ale postawną sylwetkę.

– Panie Schwartz! – zawołał.

Policjant zatrzymał się i obejrzał do tyłu. Nikogo jednak za sobą nie zobaczył.

– Tutaj, panie Schwartz!

– Gdzie?

– Tu, za płotem.

– Kto tam jest?

– To ja, Huber.

Schwartz podszedł do płotu, spoglądając ponad jego krawędź.

– A co pan tam robisz?

– Jak to co? Ukrywam się.

– Aha. No to wyłaź pan.

Z głębi ulicy, od strony stadionu piłkarskiego dał się słyszeć warkot nadjeżdżającego samochodu. Po chwili było już widać światła. Huber schował się w krzakach, a Schwartz wyciągnął z kieszeni papierosa i zaczął szukać zapalek. Niewielka ciężarówka minęła miejsce, w którym stał policjant, i odjechała w kierunku centrum miasta, hałasując niemiłosiernie jakimiś metalowymi elementami podskakującymi na pace.

Głowa kolejarza znów wychynęła zza płotu.

– No dalej, wyłaź pan.

– A nie weźmie mnie pan do aresztu?

– Najpierw chyba se pogadamy, nie?

Huber przelazł przez płot, zeskokczył na chodnik i zaraz stanął przed Schwartzem.

– Wrobili mnie, panie...

– Chodź pan, pogadamy u mnie w domu.

Gdy gospodyni poszła spać, a gospodarz rozlał wódkę do kieliszków, kolejarz zaczął swoją opowieść.

– Ja, panie, tobym człowieka niewinnego nigdy w życiu nie zastrzelił. A ten mój pomocnik Willy Beck to był dla mnie prawie jak syn. Po co ja jego miałbym strzelać? No i tak w ogóle, to czym? Ja przecie nawet nie mam pistoletu.

– Pistolet dostać to nie problem.

– Niby prawda, tylko po co? Żeby kogoś zabić, trzeba mieć na niego złość. A co ja mogłem mieć do Becka? Nic nie miałem. Ale prawda jest taka, że kto inny mógł mieć co do niego.

– Niby kto? – zainteresował się policjant.

– Jak mnie wsadzili do aresztu, to ja siedziałem z takim jednym, co się nazywał Wittmann.

– Wittmann nie żyje.

– Tak, już słyszałem o tym. Powiedział mi ten, co mnie przesłuchiwał w areszcie. W tego Wittmanna też chcieli mnie wrobić. Ale niedoczekanie. Ja się tak łatwo nie dam. No, ale jakem siedział z tym Wittmannem, to on mi opowiedział historię o tym, jak w dziewiętnastym roku był na patrolu i znalazł z trzema innymi zamordowaną rodzinę jubilera Grünsteina.

– Pamiętam to. – Schwartz pokiwał głową. – Byłem wtedy młodym policjantem i nawet byłem tam na miejscu. No, ale ich to wtedy znalazł całkiem kto inny.

– Wittmann powiadał, że jak oni tam weszli do środka, to rodzina już nie żyła. Ale się przestraszyli i zaraz stamtąd uciekli.

– To czemu uciekali, zamiast zawołać policję?

– Bo oni ukradli kasetkę ze złotem.

Policjant sięgnął po kieliszek i wypił. Kolejarz zrobił to samo.

- Powiedział, kim byli ci trzej pozostali?
- Wargatsch, Beck, Jung i Wittmann właśnie. Aha, tam była też żona tego Junga.
- I on powiedział, że jak tam weszli, to rodzina już nie żyła?
- Tak właśnie powiadał.
- To dziwne, bo jak policja pojawiła się na miejscu to stary Grünstein jeszcze żył...

Na chwilę przeniósł się myślami do tej styczniowej nocy. Był wtedy młodym człowiekiem, który niedawno wrócił z wojny i dzięki protekcji stryja dostał się do pracy w Policji zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Tej nocy był na patrolu w mieście. Całkiem niedaleko od domu Grünsteinów. Szedł od Neuer Markt przez Posenerstraße. Był mniej więcej w połowie jej długości, gdy usłyszał coś, co mogło przypominać strzał. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Po chwili znów usłyszał wystrzał. W swoim młodym życiu usłyszał już ich tyle, że nie mógł się mylić. Ruszył biegiem przed siebie. Od razu dostrzegł dwie sylwetki w mundurach przebiegające wzdłuż miejskiego arsenału na Zeughausstraße. Pomyślał, że to żołnierze z patrolu wystawianego przez Radę Robotniczo-Żołnierską. Zdziwił się, że biegną nie w tym kierunku co trzeba. Ale być może byli to niezbyt doświadczeni żołnierze, którzy jeszcze nie zdążyli powąchać prochu? On wiedział, że trzeba pójść na lewo. Po chwili minął Central Hotel, skręcił koło niskiego parterowego, narożnego budynku i pobiegł w przeciwnym kierunku. Przy czwartej kamienicy z rzędu przystanął, zobaczywszy, że drzwi do zakładu jubilerskiego są otwarte na oścież. Wydobył z kieszeni płaską latarkę sygnałową, zawiesił ją sobie na piersi, a w obie dłonie chwycił swojego mauzera. Wszedł do środka, gotowy stawić czoło włamywaczom. Nie słyszał jednak najmniejszego szmeru. Szybko przyjrzał się

sklepowym ladom i wszedł na zaplecze. Tutaj też nikogo nie było. Spojrzał na schody prowadzące do mieszkania. Były dobrze widoczne, bo oświetlała je smuga światła wypływająca spod górnych drzwi. Szybko wspiał się na szczyt. Kompletna cisza. Ostrożnie lufę karabinu wsunął w szparę między drzwiami a framugą. Zawiasy zaskrzypiały cicho. Wszedł na niewielki, oświetlony korytarzyk. Usłyszał jakieś dźwięki dochodzące z pomieszczenia na prawo. Niewiele się zastanawiając, wkroczył tam, gotowy stawić czoło rabusiom. Stanąwszy na progu, poczuł, że robi mu się gorąco, a po plecach przebiegają ciarki z szybkością kozackiej sotni. Najpierw zobaczył zastrzeloną dziewczynkę, później ciało jej matki. W końcu dostrzegł brodatego mężczyznę z raną na piersiach. Obok niego klęczał jakiś człowiek.

– Ręce do góry! – krzyknął groźnie Schwartz, mierząc lufą karabinu wprost w niego. Ten odwrócił twarz. Jego oczy były zaczerwienione od łez. Policjant znał go dobrze.

– On jeszcze żyje, Willy. Trzeba zawołać lekarza.

– Powiedział ci, kto to zrobił? Kto do nich strzelał? – zapytał Schwartz.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową, a potem nachylił się nad twarzą umierającego Grünsteina. Wydało się, że ranny próbuje coś powiedzieć.

– To ja biegnę po pomoc, a ty tu zostań – powiedział zupełnie niepotrzebnie. Przecież wiadomo było, że zostanie. To był najbliższy przyjaciel syna Grünsteinów, a zarazem ich sąsiad. Obaj wychowywali się razem, a w szkole siedzieli w jednej ławce. Schwartz znał ich obu, bo był ich rówieśnikiem i szkolnym kolegą. Wiedział więc dobrze, że na Ferdynanda Thomalę można liczyć.

Wrócił z tej podróży w przeszłość do rzeczywistości przywołany do niej głosem kolejarza.

– ... to musiał zrobić ktoś, kto się chciał zemścić na nich za to, co stało się w domu jubilera. Tylko nie wiem, kto to by mógł być.

Wilhelm Schwartz pokiwał głową ze zrozumieniem. Wziął butelkę i nalał wódki do obu kieliszków.

– Pan nie wiesz, ale mnie się zdaje, że ja już wiem.

– Tak? A niby kto?

– Jeszcze muszę sprawdzić tu i tam. Jutro to wszystko wyjaśnię, jak się z kimś pogadam. Ale jedno jest pewne. Pan, panie Huber, jesteś poza wszelkimi podejrzeniami.

– Dziękuję.

Wypili dwie butelki wódki i mniej więcej o trzeciej nad ranem gospodarz znużony całonocnym pijaństwem zasnął przy stole. Huber nie mógł spać. Zresztą na krześle nie potrafił, a i tak myśli nie dałyby mu zasnąć.

Gospodarz tak nagle jak zasnął, tak i się obudził. Podniósł głowę, spojrzał na Hubera, a potem przez okno. Zegar na ścianie wskazywał godzinę piątą trzydzieści.

– Ja teraz się obmyję i idę na posterunek, bo zaraz zaczynam służbę. A pan, panie Huber, niech idzie zdrzemnąć się do pokoju mojego syna Karla. Chłopak pojechał na wieś do dziadków, więc jego łóżko jest wolne.

– A co będzie z...

– Nic się pan nie martw. Wszystko się załatwi. Daję panu słowo, że do aresztu już pan nie wróci.

Kolejarz spojrzał tęsknym wzrokiem na tory rozciągające się za płotem po drugiej stronie ulicy. Osobowy do Stettina właśnie odjeżdżał, rozpościerając nad torowiskiem i ulicą gęste kłęby białej pary. Gdyby tylko mógł, Huber wskoczyłby do tej lokomotywy i odjechał jak najdalej stąd...

Rozdział IX

Schneidemühl

Niedziela, 17 lipca

Godzina 5.40 rano

Eberhardt Frank powinien pełnić służbę od ósmej rano. Mimo że w nocy podał się do dymisji, musiał dziś iść do pracy, bo nie liczył na to, że jego list z dymisją zostanie przeczytany przed poniedziałkiem. Po nocy pełnej wrażeń miał nadzieję, że uda mu się złapać choć trochę snu, jednak już o szóstej zbudziło go pukanie do drzwi. Miał wrażenie, że dopiero co położył głowę na poduszce i już wyrwano go ze snu. Gospodyni i właścicielka mieszkania, w którym wynajmował pokój, Edeltraud Miller, poszła otworzyć drzwi, by sprawdzić, któż to ośmiela się budzić ją po nocy. Zapewne z największą przyjemnością powiedziałaaby gościowi, co sądzi o wizytach tak wczesną porą, gdyby nie fakt, że osobie urzędowej nie wypada mówić niczego nieprzystojnego. Rottmeister policji, który stał w drzwiach, uśmiechnął się zadowolony zapewne z wrażenia, jakie na niej zrobił, a potem powiedział, że ma natychmiast budzić Leutnanta Franka. Ale jego nie trzeba było już budzić. Ubrany w szlafrok wyszedł na korytarz.

– O co chodzi, Rottmeistrze? – zapytał, zasłaniając dłonią

usta. Rottmeister poczekał, aż oficer ziewnie, a potem wyjaśnił cel swojej wizyty.

– Panie Leutnancie, musi się pan ubrać jak najszybciej, bo mamy trupa w mieście. Jest zabity na śmierć.

– Mój Boże – jęknęła pani Edeltraud. Biedaczek, zabity.

– I co ja mam począć z tym trupem? – zapytał zdziwiony Frank.

– Ja tam nic nie wiem. Trup jest trup, a pan ma go sprawdzić i tyle.

– Trzeba by chyba zawołać lekarza albo jak... – Gospodyni znów się wtrąciła.

– Jak sprawdzić? – Leutnant nie zwrócił uwagi na radę kobiety.

– Ja tam nic nie wiem. Kazali pana przywieźć, to przyjechałem.

– I o jednego nieboszczyka tyle hałasu, że trzeba mnie wyciągać z łóżka?

– Ja tam nic nie wiem. Wiem tylko, że to trup mundurowy, znaczy się policjant jest zabity.

– Mój Boże. Nieżywy policjant? Ludzie to już sumienia nie mają, żeby zabijać policjantów. – Pani Edeltraud była najwyraźniej poruszona i podekscytowana jednocześnie. Natychmiast pomyślała, że jak tylko Leutnant wyjdzie, to ona poleci do sąsiadki i opowie jej o tym sensacyjnym zdarzeniu. W końcu nie co dzień zdarzała się taka gratka jak trup policjanta.

– A gdzie go znaleźli, tego nieboszczyka? – zapytała, bo zabrakło jej miejsca akcji do emocjonującej opowieści.

– Ja tam nic nie wiem. Ale kazali mi jechać do polskiego korytarza, to pewnie tam go zabili.

– To pewnie Polacy zrobili. – Kobieta przeraziła się na myśl o krwiożerczych Polakach, którzy mordują Bogu ducha winnych policjantów.

– Dobrze, w takim razie zejźcie na dół i poczekajcie chwilę – zakończył rozmowę Frank. – Zaraz tam do was przyjdę.

Wrócił do swojego pokoju, przemył twarz zimną wodą, którą wlał z emaliowanego dzbanka do miski na metalowym stojaku. Nie musiał się golić. Na szczęście zrobił to wczoraj rano, a zarost niezbyt szybko mu odrastał. Włożył mundur i dokładnie po pięciu minutach był już na dole. Przy krawężniku stał zaparkowany czarny Opel 4/16 Limousine. Rottmeister siedział w środku, a silnik chodził na wolnych obrotach. Frank obszedł auto, otworzył drzwi i zajął miejsce pasażera.

– To gdzie jedziemy?

– Koło kościoła katolickiego, tam, gdzie jest polski konsul.

Samochód ruszył i skręcił w prawo w Jastrower Allee, by po chwili znaleźć się na Alt Markt. Frank natychmiast spojrział w lewo, tam, gdzie znajdowała się brama prowadząca do zakładu mechanicznego Thomali. Ponad pokrytym papą dachem budynku biurowo-mieszkalnego górował komin z czerwonej cegły. Snuła się z niego cieniutka stróżka dymu. Pomyślał, że Trudi też już musiała wstać i rozpala właśnie w piecu, żeby ugotować kawę na śniadanie. A może już przygotowywała się do obiadu? Wyznaczyła go na godzinę pierwszą po południu. Zakład i komin zniknęły z pola widzenia. Z niechęcią więc spojrział na skupionego na jeździe kierowcę. Mam nadzieję, że nie spóźnię się na obiad przez tego tu cymbała, pomyślał ze złością. Był zły, bo się nie wyspał, więc całą swoją irytację przelał na Rottmeistra.

– Nie możecie jechać szybciej? – warknął.

– Ja tam mogę i szybciej, panie Leutnancie, ale przecież i tak zaraz będziemy na miejscu.

Samochód objechał położoną na samym środku rynku rotundę pomnika Wdzięczności i wjechał w Brückenstraße, prowadzącą do Neuer Markt. Tu auto musiało zwolnić, bo przez

brukowaną połąć rynkowego placu szli odświętnie ubrani ludzie na pierwszą tego dnia mszę. Nic sobie nie robili z nadjeżdżającego auta.

– Gdzie tego trupa znaleźli? – zapytał Frank, spoglądając na przechodniów. Jeśli koło kościoła, to ci wszyscy idący teraz w tamtym kierunku zamiast na mszę, pójdą oglądać zwłoki. Już widział w myślach, jak przebija się przez tłum ciekawskich.

– Ja tam nic nie wiem, panie Leutnancie, ale wiem, że gdzieś tam koło wejścia do konsulatu. Tam niby są takie krzaki...

Minutę później samochód zatrzymał się dokładnie przed drzwiami, przy których tablica z orłem w koronie informowała, że tu mieści się Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej. Tak jak Frank się spodziewał, na ulicy stało sporo gapiów, ale na szczęście było też kilkunastu policjantów, którzy odgradzali tłum od miejsca, gdzie musiał leżeć trup. Frank otworzył drzwi i wyszedł na chodnik. Ludzie na widok oficerskich dystynkcji natychmiast rozstąpili się, by zrobić przejście. Tuż przy drzwiach stał znany mu już doktor Burhardt, ten sam, z którym Frank rozmawiał w szpitalu na temat postrzelonej pani Jung. Lekarz dostrzegł go i uśmiechnął się krzywo.

– Zdaje się, że ostatnio mamy urodzaj na trupy. Niezbyt ciekawie zaczyna pan służbę w naszym mieście.

Leutnant podszedł do lekarza i podał mu rękę.

– Co tu mamy, panie doktorze?

Burhardt wskazał ręką na prawo od drzwi. Z krzaków wystawała obuta noga.

– Młody policjant. Strzał w potylicę. Kula wyszła nieco powyżej oka. Śmierć, można by powiedzieć, litościwa, bo natychmiastowa.

– To jeden z naszych? – zapytał Frank.

– Policjant. Młody policjant. Musiał znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Frank spojrzał najpierw na nogę trupa, a potem wskazał

głową na tablicę konsulatu.

– Myśli pan...?

– Nic nie myślę, ja tu nie jestem od myślenia, ale od badania. Zaraz przyjedzie ambulans. Zabiorę go do szpitala i tam wszystko dokładnie sprawdzę. Raport z oględzin dostaniecie w poniedziałek. Oczywiście zabiorę truposza, jeśli pan pozwoli.

Frank wzruszył ramionami.

– A cóż mam nie pozwolić. Rozejrzę się tylko trochę...

– Jeśli chce pan stwierdzić, gdzie go zabito, to nie musi się pan specjalnie trudzić. Do morderstwa doszło tam, w tym tunelu. – Mówiąc to, lekarz wskazał na sklepiony przejazd pod budynkiem, pod którym przechodziła ulica i chodniki z każdej strony jezdni. – Tam są ślady krwi. Później morderca albo mordercy przeciągnęli ciało w te krzaki. Pewnie dlatego, że były najbliżej. A tu ma pan łuskę. Znalazłem ją tam właśnie.

Wydobył z kieszeni chustkę, w którą starannie zawinął łuskę naboju.

Policjant rozwinął materiał i przez chwilę przypatrywał się znalezisku. Potem zwinął na powrót i włożył do kieszeni. Przy ulicy zrobił się ruch. Podjechała właśnie szpitalna karetka. Dwaj sanitariusze z noszami zaczęli przeciskać się przez tłum, który z każdą chwilą gęstniał. Msza o szóstej rano musiała się zacząć przy wielu pustych ławkach. Frank chciał już podejść do zwłok, żeby się im przypatrzeć, ale drzwi od konsulatu otworzyły się i wyszedł z nich jakiś mężczyzna, mimo wczesnej pory ubrany w kompletny trzyczęściowy garnitur, z muszką zapiętą pod szyją. Gdy zobaczył oficera, natychmiast ruszył w jego kierunku.

– Pan tu jesteś dowódcą tego całego zamieszania? – zapytał nienagannym niemieckim, wymierzając palcem wskazującym w pierś Leutnanta.

– Ja jestem...

– I bardzo dobrze. Jeszcze dziś złożymy protest. To jest

skandaliczne, że konsulat w tym mieście jest obiektem prowokacji politycznej. Jak pan wytłumaczy ten tłum ludzi? Czego oni tu chcą? Pan jako policjant powinien zapewnić nam bezwzględna ochronę. To jest po prostu niedopuszczalne...

– Niedopuszczalne jest to, że policjant na służbie zostaje zastrzelony na progu polskiego konsulatu – przerwał mu złośliwie Frank, wskazując na nogę wystającą z krzaków.

Urzędnik skierował spojrzenie w tamtym kierunku i momentalnie zbladł.

– To jest wroga..., wroga prowokacja! Ja protestuję! Wyślemy protest do samego Berlina!

– Może pan wysyłać protesty, dokąd pan tylko chce, a teraz niechże nam pan pozwoli spokojnie pracować. Panie doktorze – odwrócił się plecami do urzędnika, ignorując go, i spojrzał na lekarza – niech pańscy ludzie zabierają ciało. Wachtmeistrze! – Skinął na podoficera, który dowodził policyjną grupą zabezpieczającą miejsce. Ten podszedł natychmiast.

– Rozumiem, że fotograf już zrobił zdjęcia?

– Tak jest. Miejsce obfotografowane. Trzeba jeszcze tylko zrobić zdjęcie twarzy i rany postrzałowej, ale to można już na noszach...

– W porządku, róbcie swoje, a zdjęcia jak najszybciej niech przywiozą do Dyrekcji Policji. Muszę je mieć przed południem. Zapiszcie sobie moje nazwisko...

– Nie trzeba. Ja pana Leutnanta znam. Pamięta pan, ja byłem na miejscu, jak zabito tego komunistę i postrzelono jego żonę. Wachtmeister Kukla jestem.

– A tak, pamiętam. To słuchajcie, Kukla, rozgońcie zaraz tych gapiów, bo Polacy chcą pisać protesty do Berlina.

Kukla zasalutował, odwrócił się od oficera i podszedł do zgromadzonych. I wtedy ku zdumieniu Franka odezwał się do tłumu po polsku:

– Ludzie, idźta se już stąd. My, policja, już wiemy, że to nie

jest żaden atak na konsulat. Idźta się pomodlić za tego nieboszczyka, a my tu już zrobimy porządek. Ja, Wachtmeister Kukla, wam powiadam, że nijakiej prowokacji na Polskę tu ni ma!

Tłum zaszemrał, a potem nagle ludzie zaczęli się rozchodzić, w większości podążając w kierunku pobliskiego kościoła. Frank patrzył na to wszystko niepomiernie zdumiony. Nie zrozumiał z tej przemowy Kukli ani słowa, bo polskiego nie znał, ale przyznać musiał, że była skuteczna. Na tyle nawet, że urzędnik konsularny też sobie poszedł. W tej sytuacji i on również nie miał tu już nic do roboty. Pożegnał się z lekarzem i ruszył w kierunku Dyrekcji Policji. Poszedł pieszo, bo samochód odprawił. Postanowił, że lepiej będzie przejść się trochę i przewietrzyć mózg. Musiał sobie wszystko jeszcze raz przemyśleć. Gdy wyszedł na szeroką Zeughausstraße, spojrział w górę. Niebo robiło się szare. Dopiero teraz zauważył, że po wczorajszym upale nie było już ani śladu. Temperatura spadła przynajmniej o dziesięć stopni. Na wysokości arsenału miejskiego przeszedł na drugą stronę ulicy. Po chwili zauważył idącego chodnikiem od strony stacji tego dworcowego policjanta, Schwartza. Ciekawe, co ten tu robi? Przecież powinien patrolować perony, a nie centrum. Schwartz też go zauważył, zasalutował, tak jak wymaga tego regulamin służby, i poszedł dalej. Frank natychmiast o nim zapomniał.

Godzina 7.15 rano

Burza przyszła nagle, choć ci, którzy umieli patrzeć w niebo, już dawno wiedzieli, że nadejdzie. Najpierw pojawiły się chmury cienkie jak woal. Potem, za nimi, nadpłynęły gęstsze i bardziej nabite wilgocią. Gorąco, które przez ostatnie dni unosiło się nad dachami i ulicami, nagle, niemal z minuty na minutę,

uleciało gdzieś na wschód wypchnięte przez wiatr, który wpadł do miasta od zachodniej strony. Wsunął się najpierw delikatnie w przedmieście, przeleciał nad dachami szpitala, zmarszczył korony drzew w miejskim parku, by spaść porywistym strumieniem w wąwóz pomiędzy okazałymi budynkami Friedrichstraße, prowadzącymi wprost do Neuer Markt. Tam wypuścił pierwsze krople deszczu z chmur, które przyciągnął za sobą znad pobliskiego lasu. Niebo posiniało, by po chwili pęknąć, rozdarte ostrym blaskiem błyskawicy, która wbiła się gdzieś w połąć nieużytków pomiędzy kolonią Albatrosa a przedmieściem. Z nabrzmiątych chmur lunął deszcz i całymi strugami spływał po miejskich ulicach, zmywając kurz, który w upalne dni osiadł na chodnikach i bruku.

Ludzie chronili się przed ulewą w bramach, a ci, którzy planowali właśnie wyjście do kościoła, odkładali je na później, licząc zapewne, że burza szybko przejdzie, jak to zazwyczaj z nawałnicami bywa. I w istocie chmury burzowe, przetoczywszy się ponad dachami domów i kościelnymi wieżami, poszybowały na wschód. Ich miejsce zajęły inne, może mniej groźne, jednak nabrzmiące od wody ciemnoszare nimbostratusy, z których każdy, kto znał się choć trochę na chmurach, mógł wyczytać jak z księgi, że deszcz będzie padał w najlepszym wypadku przynajmniej kilkanaście godzin.

Ferdynand Thomala, ubrany w partyjny mundur, czyli brunatną koszulę, ozdobioną na lewym ramieniu czerwoną opaską z wpisaną w biały okrąg czarną swastyką, czarne bryczesy do jazdy konnej i wyglancowane oficerskie buty, stał w podcieniu prowadzącym do drzwi banku na rogu Reichsbankstraße i Posenerstraße. Podobnie jak kilka innych osób, zatrzymał się tu, by ukryć się przed ulewą, licząc na to, że deszcz zaraz się skończy. Ludzie, którzy wraz z nim schronili się w bankowych progach, byli odświętnie ubrani, jak to w niedzielę. Większość z nich szła zapewne do pobliskiego

katolickiego kościoła Świętej Rodziny. Thomala też był odświętnie ubrany, ale wcale nie zamierzał iść na mszę. Kwestie religijne nie bardzo go pociągały. Właściwie to można by powiedzieć, że miejsce religii w jego świecie wartości już dawno zostało całkowicie zajęte. Teraz jego najważniejszym kościołem była Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza. Ona wytyczała cele i wyznaczała kierunki, a on, jako jej oddany funkcjonariusz, robił to, co do niego należało, czyli wypełniał skrupulatnie polecenia swoich przełożonych. A teraz nadchodził dla niego czas wielkiej próby. Bo jutro nie tylko przyjedzie do miasta sam Führer. Jutro wraz z nim zjadą tutaj wszyscy najważniejsi działacze partyjni z całej prowincji. A przynajmniej od niektórych z nich zależało, jak w przyszłości rozwinie się jego kariera. Bo Thomala zamierzał zrobić karierę, nie tylko w strukturach partyjnych, lecz także we władzach prowincjonalnych. Liczył, że najbliższe wybory do Reichstagu spowodują, iż jego partia przejmie władzę w całym kraju. I wtedy on obejmie któryś z najważniejszych urzędów w mieście. Kto wie, może zostanie nawet burmistrzem? W końcu jest lojalnym członkiem partii o nieprzeciętnych zdolnościach organizacyjnych. To co, że nie miał odpowiedniego wykształcenia. W końcu umiał pisać i czytać, a szkołę powszechną skończył bez większych problemów. Później już się nie uczył, bo nie było na to ani czasu, ani pieniędzy. Musiał się zająć swoją firmą. No, ale czy dla człowieka wielkich możliwości wykształcenie było jakaś przeszkodą? Oczywiście, że nie.

Kiedyś, na któreś z zebrań partyjnych, przyjechał prelegent z Berlina i opowiadał o tym, że gdy wygrają wybory, to przejmą władzę w każdej, najmniejszej nawet miejscowości. No i wtedy Thomala wstał i zapytał o wykształcenie. No bo przecież przepisy mówiły jasno, że aby być urzędnikiem, trzeba należeć do jakiegoś korpusu i przejść szczeble urzędnicze... Prelegent roześmiał mu się w twarz i powiedział, że zwycięzców nie

obowiązują żadne przepisy, a cały ten weimarski korpus rozpędzi się kijami. Nowe czasy wymagają nowych ludzi, czyli lojalnych, a nie wykształconych na jakichś burżuazyjnych uniwersytetach. Więc jak ktoś jest lojalnym członkiem partii, to może liczyć, że ta partia o nim nie zapomni, kiedy będzie dzielić urzędnicze posady. No więc Thomala był lojalny i oddany. A teraz chciał, aby jego lojalność i oddanie wreszcie zostały docenione.

Okazja ku temu była pierwszorzędna. Mógł wreszcie zabłysnąć i się wykazać. Był przekonany, że jeśli wszystko się uda, zostanie zauważony. Dlatego starannie wyselekcjonował trzystu SA-manów do ochrony trasy przejazdu i zabezpieczenia spotkania na stadionie miejskim przy Schmiedestraße. Aby dotrzeć na stadion, trzeba było przejechać niemal całe miasto, bo lotnisko mieściło się po drugiej stronie rzeki, przy Krojankerstraße. Ochroną Hitlera na trasie miało zająć się pięćdziesięciu ludzi, pozostałym wyznaczył służbę na stadionie. Dziś o dziewiątej rano miał spotkać się z ich dowódcami na odprawie, na której mieli otrzymać szczegółowe instrukcje.

Z kieszeni wydobyl swój pozłacany zegarek. Do spotkania było jeszcze trochę czasu. Spojrzał na uliczny bruk. Deszcz padał cały czas, ale jakby nieco zelżał. W końcu nie jestem z cukru – pomyślał. A poza tym mam na głowie swoje kepi, więc na nos mi nie nakapie.

Popatrzył na ludzi stojących wraz z nim, a potem machnął ręką i ruszył dziarskim krokiem przed siebie, wystukując rażny rytm podkutymi obcasami. Z tych butów oficerskich był szczególnie dumny. Nikt w jego organizacji nie miał nawet podobnych. Większość jego podwładnych nosiła skórzane owijacze do zwykłych trzewików. Natomiast te jego to były prawdziwe oficerki. Obstałował je sobie w Polsce, w pobliskim Ujściu, bo wiadomo było, że polscy szewcy robili najlepsze, według specjalnego kroju obowiązującego w polskiej kawalerii.

Co prawda, on nie jeździł konno, nawet bał się trochę koni, no, ale uważał, że oficerki do munduru świadczyły o wielkiej klasie osoby, która je nosiła.

Doszedł do skrzyżowania z Zeughausstraße i przy Central Hotelu skręcił w prawo. Tu jednak przystanął, bo drogę zagroził mu policjant. Thomala znał go od dawna, nic więc dziwnego, że odezwał się do niego po imieniu:

– Mógłbyś, do cholery, uważać, Wilhelm!

– O, Ferdynand! – Ucieszył się na jego widok Schwartz. – Wyglądasz jak bażant w tym mundurze.

– A co, nie podoba ci się mój mundur?

– No skąd! Jest bardzo szykowny, a buty to już w ogóle, prima sort.

Thomala uśmiechnął się zadowolony. To zrozumiałe, że takie buty musiały się podobać wszystkim, którzy znali się choć trochę na modzie.

– No dobra, muszę lecieć. Mam spotkanie w naszym biurze o dziewiątej.

– Tak, tak, widziałem, że ruch tam dzisiaj jak na targowisku. I wszyscy tak jak ty wystrojeni. Odprowadzę cię.

– Eskorty nie potrzebuję – mruknął Thomala i ruszył przed siebie. Schwartz dotrzymał mu kroku.

– Właściwie to chciałem się z tobą spotkać.

– Tak? – rzucił obojętnym tonem Thomala. – A niby po co?

– Chciałem o coś zapytać.

– No to pytaj, byle szybko.

– Wiedziałeś, że Joseph Grünstein żyje?

Thomala stanął jak wryty. Odwrócił się do policjanta, spoglądając w górę, gdyż był od niego o całą głowę niższy.

– Co?

– To, coeś słyszał. Od początku wiedziałeś?

– Człowieku, czyś ty kompletnie oszalał?

– Raczej nie oszalałem.

– Co ty za bzdury wygadujesz? Widziałeś go?

– Nie widziałem, ale wiem, że żyje. I wiem jeszcze jedno. On jest tu, w naszym mieście.

Partyjniak pokręcił głową. Wydobył z kieszeni kraciastą, białoczerwoną chusteczkę i przetarł nią czoło. Było całe mokre, ale raczej nie od deszczu, bo przed opadami skutecznie osłaniał je daszek czapki.

– Słuchaj, Wilhelm, nie wiem, co ci tam chodzi po głowie i skąd masz takie informacje, ale jednego możesz być pewny. Joseph zginął podczas wojny. A jeśli zginął, to znaczy, że nie żyje. Nie ma już Grünsteina. I po przyjacielsku ci radzę, przestań przy tym węszyć. Nikomu nic dobrego z tego nie przyjdzie.

Schwartz spojrział w oczy Thomali, ale ten spuścił wzrok. To ostatecznie upewniło policjanta, że ma całkowitą rację. Thomala wiedział dobrze, że jego stary przyjaciel żyje. Co więcej, musiał też wiedzieć o tym, co robi. I wszystko wskazywało na to, że robi to, bo wiedzę o mordercach swoich bliskich uzyskał od SA-mana.

– Możesz mnie uważać za głupca, Ferdynand, ale jedno ci powiem, ty dobrze wiesz i ja też wiem. I więcej ci powiem. Twój kumpel zabił ich wszystkich, boś ty mu powiedział, kto strzelał do jego rodziny.

– Zgłupiałeś...

– Wtedy w nocy, gdy znalazłeś ich wszystkich zastrzelonych, pamiętam to dobrze, stary Grünstein jeszcze żył. I pamiętam też, jakżeś się nad nim pochylał, kiedy wychodziłem z mieszkania. I on ci musiał powiedzieć, kto do nich strzelał. A tyżeś podał te nazwiska jego synowi.

Thomala tylko pokręcił głową. Poprawił sobie czapkę, a potem niezbyt elegancko splunął na chodnik.

– Nie masz pojęcia, głupcze, w co się pakujesz – i powiedziawszy to odwrócił się i odszedł szybkim krokiem,

zostawiając policjanta samego.

Ten stał jeszcze przez chwilę, wpatrując się w plecy oddalającego się działacza partyjnego. Wiedział już prawie wszystko, co chciał wiedzieć. Teraz musiał tylko podjąć decyzję, co z tą wiedzą zrobić dalej. I wtedy przypomniał sobie tego młodego oficera, którego jakiś czas temu mijał na ulicy. Tamten szedł w kierunku Dyrekcji Policji, to znaczy, że miał dziś dyżur na Danziger Platz. On był w tym śledztwie od samego początku. Może to więc będzie dobry wybór? Schwartz pomyślał, że chyba powinien podzielić się z nim wiedzą, którą posiadał. A może trzeba by pójść do kogoś postawionego wyżej? Tylko że dziś jest niedziela, więc pewnie żadnego z wyższych oficerów policji nie będzie w Dyrekcji. Ale z drugiej strony, czy on, prosty Wachtmeister mógł, ot tak sobie tam przyjść i zameldować się na przykład dyrektorowi Gruenowi? Nawet by go pewnie tam nie dopuścili. Na pewno jego sekretarz wykopałby go natychmiast z biura i kazał zachować drogę służbową. A droga służbowa to był meldunek złożony oficerowi dyżurnemu Kripo. Trzeba by pogadać z tym młodym, postanowił.

Thomala zniknął, wszedłszy na podwórko budynku Kreisleitung NSDAP. Schwartz odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył w przeciwną stronę. Deszcz jakby nieco zelżał, ale na chodniku potworzyły się już pokaźne kałuże.

Godzina 7.30 rano

Carl Aschmutat nie znał się na chmurach. No, może trochę, zaledwie tyle, by wiedzieć, że takie jak te ciemne chmury, pojawiające się na niebie, zwiastują długi deszcz. Pierwsze krople zaczęły opadać na rabatki ozdabiające okrągły, wysypany żwirem podjazd. Patrzył na to wszystko z okna salonu w dworku posiadłości Winterhoff, należącym do jego

przyjaciela Antona Fischera. Przyjechał tu wczorajszego wieczoru, by spędzić z przyjaciółmi trochę czasu, no i żeby zobaczyć się z żoną i synem, którzy siedzieli na wsi od chwili, kiedy przyjechali tu Fischerowie. Wczoraj wieczorem po kolacji, gdy panie poszły już spać, panowie odprawili swój coroczny, „frontowy” rytuał. Zabrali z domowych zapasów butelkę martella, dwa aluminiowe kubki i tak przygotowani poszli na pole. Jak zwykle zasiedli na skraju rowu drenarskiego, rozlali koniak i zapalili po cygarze. W ten sposób na chwilę wracali do dawnych frontowych czasów, choć otoczenie było zupełnie inne. Tam siedzieli na zrytej pociskami, śmierdzącej odchodami i śmiercią ziemi. Tu wszystko buchało cudowną mieszanką zapachów dojrzewającego zboża i kwitnących wszędzie kwiatów.

– Gdy tak tu siedzę, Carl, to mam wrażenie, że właśnie o to walczyliśmy wtedy.

– O co? – Nie zrozumiał go Fischer.

– O to, żeby można było cieszyć się takimi nocami i takimi niepowtarzalnymi chwilami. Żeby o tym, co było tak paskudne, przypominał nam smak tego samego koniaku i tych samych cygar.

– Po co chcemy pamiętać o paskudnych rzeczach?

– Żeby tym bardziej docenić to, co mamy teraz.

– A co mamy?

– Mamy pokój. Mamy swoje miejsca na ziemi, których nikt nam nie odbierze...

– Mówisz jak poeta, Carl – zaśmiał się Fischer. – Ja tam w sobie nic z poety nie mam, bo twardo stąпам po ziemi, ale w tym się z tobą zgodzę, że walczyliśmy po to, żeby teraz cieszyć się tym, co mamy. Twoje zdrowie, przyjacielu.

– Możemy mieć więcej... – powiedział Aschmutat, upiwszy nieduży łyk koniaku.

– Ja tam niczego nie potrzebuję.

– Nie mówię o tobie czy o mnie. Mówię o nas, naszych

krajach, o tym, że przyszłość może być dla wielu zaskakująca.

– Przyznam, że tego nie rozumiem.

– Ten Hitler... Słuchałem jego przemówień. Myślę, że on zmieni oblicze naszego świata.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, że kto wie, może jeszcze przyjdzie taki czas, że Polacy i Niemcy nie będą patrzeć na siebie wilkiem. Że być może w przyszłości więcej będzie takich jak my starych kumpli, których na zawsze połączyła wspólna walka, Polaków i Niemców, którzy razem przelewali krew dla wielkiej sprawy.

Fischer, który dotąd siedział z lekko uniesioną głową, wpatrując się w gwiazdy, teraz zwrócił spojrzenie w stronę Carla.

– Co też ci się roi we łbie. Mówże jaśniej.

– Kiedy ja sam do końca nie wiem. Ale mam takie przeczucie, że Hitler będzie chciał dokończyć to, co wyście zaczęli na wschodzie. Bo przecież żaden cywilizowany naród nie może pogodzić się z tym, co dzieje się w bolszewickiej Rosji. A jeśli Niemcy tam ruszą, to przecież jedynym naturalnym sojusznikiem takiej wyprawy jest Polska.

– No, nie jestem pewien, czy byłby to dobry pomysł – stwierdził ostrożnie Fischer. – Myśmy już z nimi walczyli. Ja z nimi walczyłem i znam ich dobrze. Nie chciałbym zaczynać znowu...

– Jak to? Nie chciałbyś wyrównać z nimi rachunków? – zdziwił się Aschmutat. – Przecież chyba w Polsce jest wielu ludzi, którzy uważają, że traktat ryski, który zawarliście z Rosją bolszewicką, to hańba dla narodu. Wygraliście wojnę, a przegraliście pokój. To pierwszy w dziejach świata przypadek, że zwycięzca przyjmuje warunki pokonanej strony i jeszcze oddaje im tereny, na których stoi zwycięska armia. Co więcej, oddaliście im własne ziemie, które kiedyś odebrała wam Rosja. Oddaliście im prawie milion własnych rodaków, którzy teraz

cierpią pod bolszewickim jarzmem. Czy oni nic dla was nie znaczą?

Fischer nic nie odpowiedział. Naraz myślami wrócił do tego dnia, kiedy już po podpisaniu traktatu jego oddział otrzymał rozkaz opuszczenia Słucka. Mieli się wycofać za nową granicę, kilkadziesiąt kilometrów na zachód od tego miasta.

– Wiecie, jak wyglądają teraz nasze dwory i zaścianki? – pytał kolegów oficerów podporucznik Konstanty Winnicki, który do oddziału dołączył jako ochotnik z ziemi mińskiej jeszcze w dziewiętnastym roku, kiedy Wojsko Polskie wkroczyło tu po raz pierwszy. Wtedy to do polskich wojsk zaczęli zgłaszać się młodzi Polacy, ale i Białorusini z tych terenów z jedną tylko myślą: bić bolszewika, ile wlezie. – W żadnym dworze, w żadnej chałupie nie znajdziecie ani jednego młodego chłopaka – ciągnął dalej dramatycznym tonem oficer. – Wszyscy założyli polskie mundury i chwycili za broń, by walczyć za Polskę. Bo wszyscy wierzyli, że Polska jest właśnie tu, gdzie się urodzili i wychowali, że trzeba jej bronić przed czerwoną zarazą. A teraz, co im powiecie, panowie koledzy oficerowie? Powiecie im, by zostawili swoje domy i rodziny, niech się nimi zaopiekują bolszewicy? Już wy dobrze wiecie, jaka to może być opieka. Już wy dobrze wiecie, co stanie się z bliskimi tych, co poszli za polskim wojskiem. I za tośmy krew przelewali, żeby ojczyzna nasza oddała nas wszystkich pod bolszewicki knut?

Żaden z oficerów zebranych w dużej sali dworu, który mieli wkrótce opuścić, nie potrafił odpowiedzieć czy znaleźć jakiegokolwiek wytłumaczenia. Rozkazy były jasne. Mieli się wycofać i oddać zajęty przez siebie teren wrogowi. Nie wrogiej armii, która wygrała wojnę, lecz pobitej i pokonanej armii bolszewickiej, która przez kilka miesięcy nie potrafiła im ani razu dotrzymać pola i w panice uciekała przed nacierającymi polskimi oddziałami.

Pierwszego listopada polscy żołnierze opuścili Słuck, miasto zamieszkałe w większości przez ich rodaków. Fischer jechał na koniu, prowadząc za sobą swój oddział brukowaną miejską ulicą, żegnany zrozpaczonymi spojrzeniami i łzami kobiet, dzieci i mężczyzn. Jeszcze nigdy nie czuł się tak podle. Miał wrażenie, że jest parszywym zdrajcą, bo zostawia na pastwę okrutnego losu ludzi, którzy kilka tygodni temu witali go z łzami niewysłowionej radości. A przecież całkiem niedawno, bo w dziewiętnastym roku Piłsudski obiecywał, że cośmy wzięli, tego nie oddamy nigdy! Nie dotrzymał słowa. Generał Edward Rydz-Śmigły pisał do żołnierzy: *Jesteśmy w końcowym okresie wojny, wymaga się przeto od wojsk jak największego wysiłku. Przemaszerowanie kilometra jest równoznaczne z rozszerzeniem o kilometr granic naszej ojczyzny.*

Wypełnili ten rozkaz, a teraz wracali ze zwieszonymi głowami jak pokonana w boju armia. Oddawali Słuck, miasto, które od wieków kojarzyło się z polską tradycją, bo przecież każdy, najlichszej nawet kondycji szlachcic nosił na brzuchu zawiniętą starannie pas słucki. Ale nie tylko Słuck. Oddawali na pastwę bolszewicką Mińsk, Kamieniec Podolski i dziesiątki innych polskich miast i miasteczek, wsi i przysiółków, do których triumfalnie wkraczali czerwoni, by „podziękować” mieszkającym tam Polakom za pomoc i wsparcie okazywane polskiej armii.

– I co teraz z nimi będzie, panie poruczniku? – zapytał sierżant Anastazy Olkiewicz, podjechawszy do Fischera na karym koniu.

– A skąd ja mam to do cholery wiedzieć, sierżancie? – fuknął na niego oficer i pognał swoją klacz, wbijając w jej boki ostrogi.

Gwiazdziste dotąd niebo zaczęły przysłaniać chmury, które przyniosły ze sobą chłodniejsze powietrze. Fischer dopił ostatni łyk koniaku z aluminiowego kubka.

– Nie mnie, prostemu żołnierzowi, wdawać się w politykę –

rzucił Fischer.

– Czy tego chcesz, czy nie, polityka prędzej czy później wyciągnie po ciebie swoją lepką łapę.

– Ten twój dyrektor, jakże on się nazywa? – Fischer zmienił temat.

– Joseph Gruen to porządny człowiek, Carl. Znam go już trochę i jeszcze nigdy nie widziałem, żeby dopuścić się jakiejś niegodziwości. Uczynny, koleżeński, wobec podwładnych wymagający, ale sprawiedliwy. Dla niego spotkanie z Hitlerem wiele znaczy.

– A dla ciebie?

– Szczerze? Jest mi to obojętne. Ale wiesz, jeśli on pójdzie w górę, to i mnie pociągnie za sobą. Tak to już jest w życiu. Jeśli Hitler go zapamięta, a wierzę, że tak będzie dzięki twojemu wstawiennictwu, ja również na tym skorzystam.

Tego Fischerowi nie trzeba było tłumaczyć. Rozumiał to doskonale. Nie wiedział jednak, czy po tym, co się wydarzy jutrzejszego dnia, Hitler będzie zbyt rozmowny.

Wrócili do dworku, który pogrążony był w ciemnościach. Tylko na ganku paliła się pozostawiona tu przez kogoś ze służby naftowa latarnia, by dzięki niej gospodarz i jego gość mogli znaleźć wejście. Bo wcale nie było pewne, czy sobie poradzą z takim karkołomnym zadaniem po wypiciu solidnej dawki koniaku.

– W niedzielę muszę przed południem pojechać do Schneidemühl. Czy chcesz pojechać ze mną, czy wolisz dopiero po południu? – zapytał Fischer, otwierając przed Carlem drzwi.

– Nie mam nic do roboty w mieście przed południem. Myślę, że będzie dobrze pojechać po obiedzie.

– A co z twoją żoną?

– W jakim sensie?

– Chciała jechać oglądać to przedstawienie, które urządza Hitler.

– A, no tak. Ale wyperswadowałem jej to. To nie miejsce dla niej. Na tym stadionie będzie ze trzydzieści tysięcy podpitych SA-manów. Wyobrażasz ją sobie w takim towarzystwie?

– I słusznie. Lepiej niech kobiety siedzą w domu, gdy mężczyźni biorą się za politykę.

Gospodarz zaproponował jeszcze kieliszek koniaku, ale Aschmutat miał już dość. Pożegnali się i gość poszedł do sypialni. Rano, gdy się obudził, Fischera nie było już w domu. Jak wyjaśniła mu Ursula, o świcie pojechał konno gdzieś na pola, żeby sprawdzić, jak dojrzewa zboże. Żniwa za pasem. Nie mieli co prawda zbyt dużego areału do skoszenia, bo zaledwie dwadzieścia hektarów, ale było tego jednak tyle, że wymagało przynajmniej tygodnia wyteżonej pracy kilku zatrudnionych w majątku robotników. Wysiane zboże było przeznaczone nie na sprzedaż, lecz na pasze dla kurzej fermy, bo to właśnie kurczaki były głównym źródłem dochodów gospodarstwa. Kilka lat temu Fischerowi, dzięki pomocy Carla, udało się podpisać kontrakt na dostawę drobiu do miejscowych jednostek wojskowych. Odtąd właściciel nie musiał się martwić o zbyt swoich produktów, które lądowały na talerzach niemieckich żołnierzy.

Teraz Carl Aschmutat stał w salonie i spoglądał na podjazd przed dworkiem. Na prawo od drzwi wejściowych stał zaparkowany nowy samochód Fischera. Na lśniącej karoserii spadały coraz grubsze krople deszczu.

Niebo płacze z powodu wizyty Führera – pomyślał. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Zawilóści polityki Hitlera Gruen tłumaczył mu dość przejrzyście. Według niego Hitler mógł być przyszłością Niemiec. To on zapowiadał rewizję haniebnego traktatu wersalskiego w razie wygranych wyborów. Z drugiej strony zapowiadał też, że zrobi porządek z Żydami, co nie bardzo podobało się Carlowi. To jest tylko propagandowy chwyt – przekonywał Gruen. Tłumaczył, że chodzi o to, by pozyskać

tych najgłupszych wyborców, którym trzeba było rzucić jakieś hasło. A przecież wiadomo, że nic tak nie sprawdza się w polityce, jak znalezienie odpowiedniego wroga, którego można byłoby zwalczać i obwiniać za swoje krzywdy. Pomysł był w istocie genialny. Hitler mówił ludziom, że są biedni nie dlatego, że są głupi i leniwi, ale dlatego, że są okradani przez Żydów. Obiecywał, że ze złodziejami zrobi porządek, a w kraju wreszcie zapanuje sprawiedliwość i prawo. I to był powód, że ci głupcy głosowali na faszystów.

Deszcz rozpadał się na dobre. Gdzieś tam w oddali, na wschodzie, ponad ciemnymi koronami sosnowych lasów, niebo pojaśniało rozdarte błyskawicą. Na szczęście burza już stąd odeszła. Kto wie, może do jutra się wypogodzi – pomyślał Carl i odwrócił się od okna. Z jadalni dochodził smakowity zapach kawy zbożowej.

Godzina 7. 50 rano

Dyżurny podoficer, siedzący na krześle w niewielkim, oddzielnym od holu szybą pomieszczeniu, spał w najlepsze. Gdyby ktoś spojrział na niego z daleka, dostrzegłby tylko, że siedzący sztywno policjant ma zamknięte oczy. Wyglądał tak, jakby oddawał się jakimś marzeniom, przymknąwszy na chwilę powieki. Nie pomyślałby jednak tak nikt, kto dobrze słyszy. Bo policjant dyżurny wydawał z siebie dźwięki, które świadczyły o tym, że podczas swojego dyżuru oddaje się jednej z nielicznych przyjemności dostępnych człowiekowi na służbie, a mianowicie zwykłemu spaniu. No, ale czy się można temu dziwić? Była niedziela i w budynku Dyrekcji Policji nie można się było spodziewać wizyty żadnego z wyższych rangą funkcjonariuszy, którzy mogliby przerwać ten sen. W taki dzień w swoich biurach siedzieli tylko młodszy oficerowie

i praktykanci, którzy nie mieli innego wyjścia, jak tylko przyjść do pracy w wolny dzień, bo wiadomo przecież, że policja pracuje zawsze, czy to dzień świąteczny, czy powszedni. Dlatego w świąteczny dzień dyżurny mógł się od czasu do czasu zdrzemnąć. Zwłaszcza że niedzielę poprzedzała sobota, a jak wiadomo, w sobotę wieczorem każdy szanujący się mężczyzna pije. Jedni, ci żonaci, trochę mniej, a ci, którzy jeszcze nie zaznali małżeńskiego szczęścia – znacznie więcej.

Wachtmeister Adolf Kempke, miłośnik Hitlera i miejscowego piwa, pił, ile tylko mógł w siebie wlać, bo od pewnego czasu przeżywał drugą młodość. Odkąd pięć lat temu zeszła z tego świata jego żona, rozjechana przez pijanego wozaka, najpierw topił rozpacz i smutek po niej w codziennym pijaństwie. Później, gdy już pogodził się ze stratą, też pił każdego dnia, ale w małych ilościach, najwyżej pięć kuflów, z wyjątkiem sobót, kiedy to uchlewał się do nieprzytomności. Którejś soboty właśnie, podczas rozmowy przy kuflu piwa dowiedział się, że całemu złu winni są Żydzi. Jego towarzysz powiedział mu, że więcej na ten temat może się dowiedzieć na spotkaniach NSDAP. Zaczął więc chodzić na partyjne zebrania. Tam wyjaśniono mu dokładnie, oczywiście przy kuflu piwa, bo taka była tradycja tych spotkań, że śmierć jego żony to też efekt żydowskiego spisku, bo pijany woźnica wozził węgiel, a wiadomo, że wiele kopalń należy do Żydów. Kempke zapałał więc świętym oburzeniem na żydowski spisek i na znak poparcia dla swojej partii, do której jako policjant nie mógł należeć, zgolił swoje sumiaste podkręcane wąsy w taki sam sposób, jak golił je sam jego imiennik Führer. Z tym eleganckim wąsem przychodził na każde zebranie, słuchał przemówień i pił piwo, a z każdym wypitym kuflem nienawidził Żydów coraz bardziej, nie pamiętając już, że zanim żonę przejechał wóz, nie pił prawie wcale, bo żona nie dawała mu na picie pieniędzy.

Schwartz dobrze znał Wachtmeistra Kempke, bo obaj

zaczynali pracę w policji zaraz po wojnie, dlatego mógł sobie pozwolić na żart z kolegi. Zobaczywszy go śpiącego, podszedł do okienka najciszej jak potrafił, przystawił głowę do półokrągłego otworu w szybie i krzyknął:

– Baczość!

Kempke natychmiast poderwał się z krzesła i przyjął postawę zasadniczą. Dopiero wtedy spojrzął przed siebie i dostrzegł uradowaną twarz Schwartza.

– A bodaj by cię diabli wzięli, cholerniku jeden! – warknął i usiadł. Zaraz swoim dawnym zwyczajem chciał podkreślić wąsa, ale palce zawisły w powietrzu. Po tym, jak upodobił się do Hitlera, niewiele do podkreślenia zostało.

– Co, stroszysz wąsy na przyjazd Adolfa?

– Ty się z Hitlera nie śmiejesz. Niedługo już będzie robił porządki z komunistami i Żydami. Zobaczysz, Wilhelm.

– A co mi do tego? Ja ani Żyd, ani komunista.

– To prawda. Dobry policjant zawsze będzie w cenie. Też się przydasz, gdy przyjdą nowe czasy.

– Jak przyjdą, to się zobaczy. A przyszedł do pracy ten młody Leutnant, jakże on się nazywa...?

– Frank. Już jest. Przyszedł jakiś czas temu.

– To dobrze, bo ja do niego.

– On urzęduje w pokoju trzysta dwadzieścia na trzecim piętrze – wyjaśnił dyżurny.

– No to idę. – Schwartz machnął ręką i wszedł na klatkę schodową. Po chwili był już pod drzwiami biura Franka. Zapukał, jednak nikt nie zaprosił go, by wszedł. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Od razu dostrzegł oficera przy biurku, dokładnie na wprost drzwi, odwróconego plecami do wejścia. Siedział pochylony, z głową złożoną na dłoniach opartych na blacie biurka.

Czy tu wszyscy w niedzielę śpią w pracy? – zastanawiał się Wachtmeister, wchodząc do środka. Delikatnie potrząsnął

ramieniem śpiącego. Ten wyprostował się gwałtownie i spojrzał przed siebie. Oczy miał czerwone z niewyspania, a na twarzy można było dostrzec wyraz zdumienia.

– O co chodzi? – zapytał, mrugając przy tym oczyma, które musiały przyzwyczać się do dziennego światła.

– Panie Leutnancie, Wachtmeister Wilhelm Schwartz melduje się.

– A tak, Schwartz z posterunku kolejowego.

– Ten sam, panie Leutnancie.

– A ja nie spałem dziś całą noc... – wyjaśnił Frank, nieco zmieszany tym, że dał się w pracy przyłapać na drzemce.

– Tak to jest, że w niedzielę do południa niewiele się dzieje, to i wyspać się można trochę.

– No właśnie, Wachtmeistrze. Niewiele się dzieje. Tyle że rano już było morderstwo. Uwierzycie, że przed polskim konsulatem znaleziono zastrzelonego policjanta?

– Coś podobnego! Ten świat oszalał chyba.

– To prawda, źle się dzieje, jeśli ktoś pozwala sobie zabijać policjantów... No dobra, to się prędzej czy później wyjaśni. A czego wy ode mnie chcecie?

– Chciałem porozmawiać... To znaczy, że... – Schwartz najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć.

– Weźcie sobie krzesło i usiądźcie.

Podoficer chwycił to stojące przy biurku, na prawo od drzwi, i usiadł.

– No to mówicie.

– Przyszedłem do pana Leutnanta, w sprawie tych morderstw, co o nie został oskarżony kolejarz Huber.

– To dobrze trafiliście, bo ja się zajmuję tą sprawą.

– No właśnie dlatego przyszedłem. Bo ja chciałem powiedzieć, że Huber, co uciekł z aresztu, jest całkowicie niewinny...

Frank nic nie odpowiedział. Czekał na dalsze wyjaśnienia, które potwierdzałyby jego ustalenia, ale nie chciał niczego

sugerować Wachtmeistrowi. Wolał, aby ten wszystko powiedział sam.

– Rozchodzi się o to, że ja wiem, kto zabił tych wszystkich komunistów.

– Kto?

– To zrobił syn Żyda Grünsteina. Pan nie zna tej sprawy z dziewiętnastego roku, kiedy to jubiler Grünstein został zamordowany wraz z żoną i córką...

– Wiem wszystko o tej sprawie, Wachtmeistrze. – Frank uśmiechnął się zadowolony. Ten Schwartz przynosił mu potwierdzenie jego przypuszczeń, a to oznaczało, że on się nie pomylił.

– Tak? – zdziwił się Schwartz. Leutnant go zaskoczył. To mogło oznaczać, że on również rozwiązał zagadkę morderstw. Nie był więc taki głupi, na jakiego na pierwszy rzut oka wyglądał.

– Mówcie dalej, Wachtmeistrze – zachęcił go oficer. – Ciekaw jestem waszych ustaleń.

– Więc ten syn wcale nie zaginął podczas wojny. Przyjechał tu po wojnie, ale rodzina nie żyła, a majątek został sprzedany. Został więc z niczym. No i jak się dowiedział, że jego bliskich zamordowano, postanowił szukać pomsty. I teraz, po latach, się zemścił. Zabił wszystkich tych, którzy wtedy brali udział w napadzie na jego rodzinny dom. Wszystkich, co do jednego, a Huber nie miał z tym nic wspólnego.

– Jakie macie na to dowody?

– No właśnie, że nie mam, ale wiem, kto wie coś na ten temat.

– To w takim razie może być trudne do udowodnienia.

– Ja wtedy, w dziewiętnastym roku, byłem na patrolu właśnie tej nocy, gdy ich zamordowali, i to ja znalazłem ich ciała. Ale w mieszkaniu był jeszcze ktoś. Jak tam wszedłem, w środku, nad umierającym starym Grünsteinem pochylał się ich sąsiad i przyjaciel ich syna. Ja i młodego Grünsteina i jego przyjaciela,

tęgo właśnie, co klęczał, to znałem jeszcze sprzed wojny, bo myśmy razem do szkoły chodzili. No i zobaczyłem, że stary Grünstein, bo on jeszcze wtedy żył, coś mówi do niego. I ja wiem już teraz, że on jemu powiedział, kto do nich strzelał. Wtedy to ja o tym nie pomyślałem, ale teraz już wiem, jak było, bo z tym człowiekiem dziś rozmawiałem.

– I co powiedział?

– Żebym się lepiej trzymał od tego wszystkiego z daleka. Że tak będzie lepiej dla mnie.

– A wy nie posłuchaliście dobrej rady?

– Jestem policjantem, panie Leutnancie – stwierdził z dumą.

– To kto jest tym przyjacielem młodego Grünsteina? Zaraz weźmiemy go w obroty.

Wachtmeister nabrał powietrza do płuc, jakby potrzebował dodatkowego ładunku energii, żeby podzielić się swoim ustaleniem z oficerem.

– To nie będzie takie proste, Leutnancie. Ten jego kolega, co mu przekazał nazwiska, to jest Ferdynand Thomala, co jest Ortsgruppenleiterem w miejscowym NSDAP.

– Cholera jasna! – jęknął Frank, ale wcale nie dlatego, że jak wydało się Schwartzowi, przestraszył się tej postaci i sprawowanej przez nią funkcji. Leutnant zdenerwował się, bo Thomala mógł zostać w przyszłości jego teściem. A przecież wsadzanie teścia do więzienia za współudział w zbrodni niezbyt dobrze rokowało jego przyszłemu małżeńskiemu szczęściu. I jak teraz z tego wszystkiego wybrnąć? Pomyślał więc, że dobrze zrobił, składając dymisję. W poniedziałek sprawa morderstw popełnionych na miejscowych komunistach będzie już całkowicie poza jego zasięgiem. Niech się o wsadzanie albo niewsadzanie Thomali do więzienia martwią inni.

– A powiedzcie mi jeszcze – ciągnął, by zaspokoić swoją prywatną ciekawość. – Jakbyście zobaczyli tego syna Grünsteina, tobyście go rozpoznali?

Policjant uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Panie Leutnancie, przecież ludzie się aż tak bardzo nie zmieniają. W końcu od przed wojny, jak go widziałem ostatni raz, to wcale tak dużo czasu nie przeszło. Na pewno bym jego rozpoznał.

Godzina 9.30 przed południem

Tolek Grubiński otworzył jedno oko, żeby sprawdzić, gdzie jest. Gdy się już przekonał, zamknął je zaraz, by spróbować jeszcze raz zanurzyć się w otchłań snu. Ale mu się nie udało. Wyspał się już dostatecznie dobrze i nic z tym nie mógł zrobić. Mimo to próbował, bo nie bardzo miał ochotę na zmierzenie się z rzeczywistością. A ta była wstrętna i miała chudą gębę suchotnika Bauera i przestraszoną twarz młodego policjanta. Cały czas nie dawał mu spokoju ten paskudny odgłos wystrzału, więc póki leżał w łóżku, ciągle miał nadzieję, że huk, który słyszał w nocy, nie zakończył żywota tego chłopaka.

W końcu otworzył oczy na dobre. Spojrzał w okno. Po szybie ściekały krople deszczu, a niebo zasłaniały ciemne chmury.

Może by tak wstać i zejść na dół na jakieś śniadanie? – pomyślał, ale poczuł, że wcale nie chce mu się jeść. Pić mu się chciało. Jednak nie było czym ugasić pragnienia. Nie miał w pokoju ani jednej butelki piwa. Sięgnął po leżący na nocnym stoliku zegarek. Dochodziła już dziesiąta. Zaraz powinni tu przyjść ci dwaj spiskowcy-zamachowcy. Umawiał się z Weißem wczoraj, że zajdą do niego przed południem i ustalą miejsce akcji. A po południu miał spotkać się z Fischerem.

Podniósł się z posłania i usiadł na łóżku. Dopiero teraz zauważył, że położył się, co prawda bez koszuli, ale za to w spodniach. Pewnie po tych nocnych przygodach, jak to często mu się zdarzało, zaległ tylko na chwilę, by odleżeć zmęczenie,

i zasnął, nie rozebrawszy się do końca. Kryśka nieraz mu mówiła, że musiała mu ściągać portki w nocy. No, ale tu jego żony nie było i teraz spodnie były w nie najlepszym stanie. Zdjął je więc szybko, by przyjrzeć się kantom. Kantów nie było. Spodnie wyglądały jak psu z gardła wyciągnięte. Zaklął pod nosem, a potem rozłożył portki równo na prześcieradle, by odleżały. Były uszyte z dobrej bielskiej wełny, istniała więc szansa, że wrócą do fasonu. Tylko nie wiadomo kiedy. Najlepiej dać je do odprasowania. Jednak by to zrobić, musiałby pójść do portiera, a chodzić w samych gaciach po hotelu raczej nie wypadało.

Naraz rozległo się pukanie do drzwi. Ucieszył się, gdy je usłyszał, bo pomyślał sobie, że to jego kolega Udo Schmitz, komunista z portierni, przyszedł zapytać, czy mu czego nie potrzeba. Owszem, potrzeba mu było piwa i wyprasowanych spodni.

– Proszę! – powiedział głośno.

Drzwi otworzyły się, ale Grubiński nie zobaczył w nich uśmiechniętej i szczerbatej twarzy portiera. Zamiast niego do pokoju wszedł chudy okularnik Bauer i jego kolega z Königsbergu Weiß. Ten drugi miał w ręce koszyk wypełniony butelkami. Obaj wyglądali jak zmokłe kury.

– Przynajmniej tyle dobrego – mruknął po polsku Tolek, dostrzegłszy piwo.

– Że co? – zapytał Weiß

– Że miło was widzieć – odparł Grubiński. – Ino że ja jestem w samych gaciach, bo spodnie mi się wygniotły.

– My nie na bal przychodzimy. – Bauer zaśmiał się i natychmiast zakaszłał. Chustka z kieszeni powędrowała do ust. Gdy kaszel ustał, mężczyzna usiadł i wydobył z marynarki papierosa. Nie zapytał nawet, czy może zapalić. Najwyraźniej przyjmował to za coś całkiem normalnego.

– Jak będziemy wychodzić, zaniemiemy te spodnie na

portiernię. Niech odprasują – odezwał się Weiß, siadając na skraju łóżka obok gospodarza. Koszyk z piwem postawił na podłodze. – Kupiłem coś do popicia, bo jak się planuje takie poważne przedsięwzięcie, to w gardle może zaschnąć – wyjaśnił, sięgając po flaszki.

Tolek natychmiast zdjął ze swojej porcelanowy kapsel i pociągnął spory łyk. Od razu poczuł, jak krew zaczyna mu żwawiej krążyć. Postawił butelkę na nocnym stoliku i otworzył szufladę. W środku był plan miasta z naniesionymi przez Weißa punktami. Tymczasem Bauer przesunął stolik na środek pokoju, tak by wszyscy mieli do niego dostęp. Grubiński rozpostarł mapę na blacie. Zaraz wszyscy trzej pochyłili się nad nią. Trasa prowadząca od lotniska do stadionu przecinała całe miasto, przebiegając przez samo centrum. Kilka punktów zaznaczono kółkami. W sumie było ich dziesięć. Przy każdym wpisano jedną cyfrę: od dwóch do sześciu. Przez chwilę wszyscy trzej przypatrywali się mapie bez słowa. W końcu ciszę przerwał Tolek:

– O co chodzi z tymi liczbami? – zapytał, dotykając palcem jedno z kółek.

– Te cyferki to najprawdopodobniej liczba ludzi wyznaczonych do pilnowania trasy w każdym z tych punktów – wyjaśnił Weiß.

– Przy stadionie jest zapisane dwieście pięćdziesiąt, a na trasie w sumie pięćdziesiąt. To znaczy, że do zabezpieczenia mają trzystu ludzi. Do tego jeszcze oczywiście dochodzi policja.

Usłyszawszy to słowo, Grubiński podniósł głowę znad mapy i spojrzął na Bauera.

– Co z tym młodym policjantem? – zapytał ostro.

– Jak co? – zdziwił się Bauer. – A niby co by miało być?

– Wypuściłeś go?

– Nie rozumiem – odparł najwyraźniej zdumiony tymi pytaniami chudzielec.

– A co tu rozumieć? Obiecaliśmy, że go wypuścimy, jak

przysięgnie, no więc pytam, czyś go wypuścić?

Bauer przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś, by zaraz uśmiechnąć się szeroko.

– Rozumiem teraz, towarzyszu Wiciak, że sprawdzacie mnie, czy aby nie jestem głupi. Otóż nie, nie jestem. Zachowałem się tak, jak powinienem był się zachować. Faceta zaprowadziłem za róg i tam w tunelu pod domem go kropnąłem. A ciało zaciągnąłem w krzaki pod polski konsulat. To na pewno narobi sporo zamieszania. Polacy pomyślą zapewne, że to jakaś prowokacja w nich wymierzona... Wszystko zrobiłem tak jak trzeba. Żadnych niepotrzebnych świadków. Jestem pewny, że nikt mnie nie widział. Jesteście teraz zadowoleni, towarzyszu?

Tolek patrzył przez chwilę w oczy Bauera, a potem spuścił głowę, by wrócić do studiowania mapy. Bo i co miał powiedzieć? On naprawdę myślał, że ten gruźlik wypuści policjanta. Tymczasem skurwysyn zastrzelił go z zimną krwią. Jednak naiwny ze mnie cymbał, pomyślał Grubiński. W ładne towarzystwo dałem się władować. Jak nas złapią, to będę odpowiadał za planowanie zamachu i zabicie policjanta. W Polsce za coś takiego dostałbym czapę. A ciekawe, jak jest w Niemczech? Sięgnął po swoje piwo i osuszył butelkę do końca.

– No i co z tą trasą? – zapytał Weiß, który nie znał za dobrze miasta.

W tej materii bezwzględny autorytetem był Bauer. Ten przyglądał się jeszcze przez chwilę planowi, a potem wskazał palcem miejsce.

– Tutaj, gdzie Krojankerstraße łączy się z Selgenauerstraße. To według mnie najlepszy punkt.

– Dlaczego akurat tutaj? – zapytał Weiß.

– Z kilku powodów. Po pierwsze, jest tu tylko dwóch porządkowych. Tak wynika z zapisu. Po drugie, w tym miejscu jest dużo wolnej przestrzeni i mało budynków, a to oznacza, że

nie będzie tu zbyt wielu kręcących się ludzi. Im dalej, tym gęstsza zabudowa. Łatwo też będzie później odskoczyć. Dlatego to miejsce wydaje mi się idealne.

– Jak zamierzasz to zrobić? – zapytał niby obojętnym tonem Tolek.

– Nie ja. Ustaliliśmy, że zrobimy to we dwóch. – Bauer spojrzał na Weißa, a ten, uśmiechnąwszy się, skinął głową.

– Ale chodzi mi o to, jak chcecie to zrobić?

– Wybaczcie, towarzyszu Wiciak – odezwał się Weiß – ale doszliśmy do wniosku, że tę część akcji zaplanujemy już samodzielnie i weźmiemy za to planowanie całkowitą odpowiedzialność.

– I zgarniecie całą chwałę za sukces? – nie dawał za wygraną Grubiński, któremu szczegóły planu wymykały się z ręki.

– Tu nie o chwałę idzie, ale o skuteczność. Wybacz, ale musimy to zrobić sami i sami się narażając. W końcu to nasz teren.

– Mogę wam cofnąć pozwolenie – zaryzykował i rzucił na szalę ostateczny, jak mu się wydawało, argument.

– Nie zrobisz tego. – Bauer pokręcił głową. – Za daleko to zaszło. Zresztą, jesteś w to zbyt głęboko zaangażowany. Gdyby nie twoja pomoc, nie mielibyśmy pojęcia, którądy pojedą. A tak mamy już wiedzę i musimy to zrobić.

Tolek z rezygnacją machnął ręką.

– A niech was wszyscy diabli wezmą. Róbcie, co chcecie, ale powiedzcie mi chociaż, jak.

Weiß chyba już chciał mu wszystko wyjaśnić, ale Bauer go powstrzymał.

– Nie! Daj nam działać. Zrobimy wszystko najlepiej, jak można, ale nie proś, byśmy zdradzili ci szczegóły. To byłaby zupełnie niepotrzebna nieostrożność. Pamiętaj, że każdy z nas może w każdej chwili wpaść. Im mniej wiesz, tym lepiej...

Z tą argumentacją mógł się nawet zgodzić. Przecież to była

stara złodziejska zasada, że podczas skoku tylko szef wiedział wszystko od początku do końca i to on planował każdy szczegół. Szeregowi uczestnicy takich akcji posiadali tylko drobny skrawek wiedzy dostępnej organizatorowi. Dowiadywali się, co mają zrobić, ale nie – gdzie i kiedy. Tu było podobnie, tyle że on wiedział, jaki jest cel i kiedy się coś wydarzy, ale nie znał technicznej strony... I wtedy nagle doznał olśnienia. Już zrozumiał, dlaczego się tu znalazł i jak wyglądał sprytny plan majora Jażdżewskiego. Ten pieprzony major wysłał go tutaj wcale nie po to, żeby pomóc w czymś tam Fischerowi. Bo jak dotąd, Grubiński w niczym mu jeszcze nie pomógł. On miał tu przyjechać, by zezwolić tym patałachom na dokonanie zamachu!

Grubiński wiedział, że ten prawdziwy komunista Wiciak, którego aresztowano w Poznaniu, jechał tutaj, żeby powstrzymać zamach, a nasz wywiad nie wiadomo z jakiego powodu, postanowił, że komuniści mają go wykonać i dlatego wysłali Tolka – podszywającego się pod moskiewskiego agenta – z zadaniem, niezniweczenia ich planów. No i pomógł rzeczywiście, więc teraz nie powinien już pchać paluchów w szprychy. Najważniejsze, że wiedział, gdzie ma dojść do zamachu. Takiej wiedzy potrzebował Fischer.

– Podaj no mi jeszcze butelkę piwa – powiedział do Weißa.

Ten natychmiast sięgnął do koszyka. Flaszka powędrowała do rąk Tolka-Wiciaka. Wypił potężny łyk, a potem popatrzył na obu konspiratorów i uśmiechnąwszy się, pokiwał głową.

– Macie rację, towarzysze. Im mniej wiesz, tym lepiej. Niech wam będzie. Działajcie, jak uważacie, a co z tego wyjdzie, się zobaczy. Moja rola skończona. Widzimy się po wszystkim.

Obaj zadowoleni towarzysze sięgnęli po butelki. Grubiński wstał i podszedł do okna, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, bo od dymu papierosowego w pokoju było aż gęsto. Na dworze nadal lało jak z cebra.

Godzina 12.30 po południu

Ferdynand Thomala wracał do domu, przemierzając równym, wyćwiczonym w wojsku krokiem Posenerstraße. Deszcz właśnie przed chwilą przestał padać, choć na niebie wisały nadal nabrzmiałe ciemnoszare chmury. Być może do jutra się wypogodzi? Thomala wracał do domu na obiad bardzo z siebie zadowolony. Odprawa, której przewodniczył, udała się fenomenalnie. Dowódcy poszczególnych sekcji przyjęli rozkazy, potwierdzili ich wykonanie i każdy zajął się dopieszczaniem szczegółów ze swoimi ludźmi. Nie było żadnego głosu sprzeciwu i ani jednego idiotycznego pytania. Wszyscy z powagą podeszli do sytuacji, świadomi faktu, że czeka ich najdonioślejsze wydarzenie w dotychczasowej karierze partyjnej. Sam Führer będzie oceniał ich trud i zaangażowanie w organizację wiecu i całego zlotu. A wyzwanie było naprawdę trudne. Trzeba było przyjąć prawie trzydzieści tysięcy ludzi z całej Marchii Granicznej Poznańsko-Zachodnio-Pruskiej. Dziś do miasta zjechali się tylko dowódcy grup organizacyjnych. Jutro od rana wszelkimi możliwymi środkami transportu zaczną napływać uczestnicy zlotu. W każdym mieście i miasteczku prowincji grupy szykowały się już zapewne do wyjazdu. Thomala miesiąc wcześniej, gdy już było wiadomo, że Schneidemühl będzie miastem, które odwiedzi Führer, wysłał do wszystkich organizacji pisma informujące o dacie i orientacyjnej godzinie rozpoczęcia zlotu. Trzy tygodnie temu podczas spotkania, na które do miasta przyjechali wszyscy dowódcy okręgów, zarządził, bo jako główny organizator miał do tego pełne prawo, aby wszystkie grupy, pochodzące z miejsc skomunikowanych ze Schneidemühl trasami kolejowymi, przyjechały do miasta koleją. Chodziło o to, żeby ciężarówki i autobusy nie

zatarasowały miasta, no i oczywiście drogi przejazdu z lotniska na stadion. Natomiast pojazdom, które miały przywieźć pozostałych, wyznaczono miejsce do parkowania na wszystkich uliczkach osiedli znajdujących się w pobliżu stadionu. Dowódcy poszczególnych grup otrzymali również rozkaz, aby ich ludzie po wyjściu ze stacji kolejowej kierowali się bezpośrednio na stadion, a nie rozłazili się po miejscowych knajpach. Nagrodą za te wyrzeczenia miało być darmowe piwo i kiełbaski dla wszystkich uczestników w liczbie dwóch kufla na głowę plus kiełbasa na ciepło i bułka. Dla tych, dla których to było za mało, przygotowano pod stadionem szereg straganów z piwem i jedzeniem po okazyjnej cenie.

Teraz w końcu nadchodziła godzina próby i Thomali wydawało się, że o niczym nie zapomni. Jutro miał nadejść wreszcie ten wielki dzień, który zadecyduje o jego przyszłej partyjnej karierze. Trochę tylko martwił go ten głupi policjant kolejowy Schwartz, który niepotrzebnie pchał swój nochał w nieswoje sprawy. Co prawda policjant nie miał pojęcia, czy jego podejrzenia są słuszne i czy Grünstein naprawdę wrócił żywy z Wielkiej Wojny. Dlatego nie wiedział też na pewno, czy za tymi morderstwami stał syn zamordowanych Grünsteinów. A nawet gdyby wiedział, musiałby to wszystko udowodnić. A teraz, po latach, było to praktycznie niemożliwe. Po co się z tym pchał przed szereg? Źle mu na kolejowym dworcu? – zżymał się w myślach Thomala. – Rządził tam niepodzielnie, na swoim podwórku, i tak mogło być przecież dalej. Ale nie, Schwartzowi się zachciało przeprowadzać śledztwo. Trzeba będzie się zastanowić, jak z tego wszystkiego wybrnąć i w jaki sposób uciszyć policjanta. Można by dać mu po łbie i ucichłoby na zawsze, ale z drugiej strony to w końcu porządny chłop. Może najlepiej byłoby przenieść go gdzieś służbowo, na przykład do Berlina? Tam już nie mógłby się zajmować takimi sprawami, jak te miejscowe morderstwa. To było jakieś rozwiązanie.

Przeniesienie da się szybko załatwić i Schwartz przestanie być kłopotem.

Nie będzie też kłopotu ze znalezieniem winnego. Już Thomala to dobrze wymyślił. Cała ta operacja przebiegła dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Najpierw zamordowanie parszywego krzykacza Wargatscha. Tutaj nadzwyczajnie spisał się ten idiota Schulte razem ze swoimi przydupasami Halberem i Globke, myślał z satysfakcją Thomala. To on sam napuścił ich na Wargatscha, gdy dowiedział się, że w poniedziałek wieczorem cały miejscowy zarząd KPD spotyka się w winiarni Paula Dreiera przy Neuer Markt. Wspomniał o tym Schultemu, mówiąc mimochodem, że temu Wargatschowi ktoś w końcu powinien dać nauczkę. No i ten kretyn spisał się wybornie. Pobili faceta i wrzucili do rzeki. Ale Schulte nie pochwalił się tym wyczynem przed swoim szefem. Przed nikim się nie pochwalił, zostawiając tę wiedzę sobie i swoim towarzyszom. Na szczęście Thomala zadbał o to, by ktoś się o tym dowiedział. Następnego dnia poszedł do swojej przyjaciółki i kochanki, wdowy Gerty Budnik, która mieszkała w zaułku naprzeciw pralni, i nakazał jej, aby gdy zjawi się u niej młody Leutnant policji, powiedziała mu, że słyszała nocą z poniedziałku na wtorek jakieś krzyki, towarzyszące bójce i wyraźnie nazwisko Halber. To młodego powinno naprowadzić na właściwy trop.

Ten Frank nadawał się do odegrania tej roli idealnie. Dostał podaną na tacy sprawę dotyczącą morderstw łącznie z nazwiskiem jednego ze sprawców. Tego nie można już było spartolić. Musiał połączyć wszystkie elementy układanki. Po wsadzeniu Schultego i jego ludzi młody Frank dostanie zapewne awans i zyska uznanie w oczach innych policjantów. Doskonały start w karierze policyjnej. Ale prawdziwym wygranym będzie on, Ferdynand Thomala, bo pozbędzie się raz na zawsze Hansa Schultego, którego rękoma uciszył swojego największego wroga Maxa Wargatscha.

Pozostali komuniści, którzy zginęli, też nie oddali życia na darmo. Przecież oni wszyscy stanowili głowę miejscowej organizacji KPD. Teraz wystarczył tylko podmuch, by reszta tego czerwonego robactwa się rozpierzchła i zaszyła w jakichś kątach. Może się więc okazać, że Thomala będzie pierwszym Ortsgruppenleiterem, który na swoim terenie nie będzie mieć problemu z bolszewikami. No i najważniejszy zysk z jego genialnego planu polegał na tym, że mord dokonany na rodzinie jego przyjaciela został pomszczony. Wszyscy ci, którzy w nim uczestniczyli, wachali już kwiatki od spodu.

Gdy znalazł się na dawnym Alter Markt, który niedawno nazwano Hindenburg Platz, dostrzegł sylwetkę mężczyzny w policyjnym mundurze. Policjant stał tuż przy rotundzie pomnika Wdzięczności i wyglądając zza jednej z kolumn, obserwował wejście do jego zakładu mechanicznego. Thomala przez chwilę pomyślał, że ten idiota Schwartz zorganizował jakąś akcję, która miała na celu aresztowanie go jako współwinnego tych wszystkich morderstw, ale gdy podszedł bliżej, uśmiechnął się zadowolony. Policjantem okazał się Eberhardt Frank. Dopiero teraz Thomala przypomniał sobie, że Trudi zaprosiła go na niedzielny obiad. Widać chłopak przyszedł wcześniej i zamiast pójść prosto do mieszkania, chował się za pomnikiem, by odczekać i przyjść dokładnie o wyznaczonej godzinie. Thomala podszedł do niego najciszej, jak potrafił, i gdy znalazł się bezpośrednio za jego plecami, położył ciężką łapę na jego ramieniu.

– A pan co tak się chowasz jak złodziej za tym pomnikiem?

Frank odwrócił się momentalnie. Spojrzał na Thomalę i uśmiechnął się zmieszany. Jego twarz spąsowiała, wyglądał jak dzieciak przyłapany przez ogrodnika na kradzieży jabłek.

– Bo ja, panie Thomala... Wie pan, że panna Trudi mnie zaprosiła, ale na pierwszą, a ja jestem wcześniej, bo nie chciałem się spóźnić...

– Nie ma co gadać. Idziemy. Napijemy się piwa, zanim ona poda na stół jedzenie. I może pogadamy sobie trochę. Widzisz ten dym z komina? – zapytał umundurowany już nie tylko właściciel warsztatu, ale już wkrótce urzędnik Thomala.

– Widzę – odparł Frank, już nie urzędnik, ale człowiek bez przyszłości.

– Ja wiem, że moja Trudi cię kocha. Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby ona wyszła za rokującego policjanta. Kiedyś to wszystko może być twoje. Ale ja muszę wiedzieć, czy w dobre ręce oddaję dorobek życia.

Frank spojrzał na Thomalę, jak na człowieka niespełna rozumu.

– Panie Thomala, ja się nie znam na mechanice samochodowej. Ja jestem oficerem...

– Oficer to człowiek, dla którego honor jest najważniejszy. Honor i wierna służba. Wiesz, co to honor?

– Tak, panie Thomala. Wiem doskonale.

– To dobrze. – Thomala pokiwał głową. – To znaczy, że mogę liczyć na to, że jej nie skrzywdzisz?

– Nigdy w życiu! – zapewnił gwałtownie.

Przeszli przez brukowaną ulicę, by zaraz stanąć przy drzwiach osadzonych w bramie wjazdowej. Gospodarz wyciągnął z kieszeni klucz i włożył go w dziurkę. Przekręcił i zamek ustąpił.

– Wejdz. – Wskazał ręką przejście.

Frank zgodnie z poleceniem wkroczył na podwórko. Dziś nie było tu żadnego auta do naprawy. Uwiązany na łańcuchu rudy pies wyszedł z budy i na widok swojego pana pomerdał ogonem.

– Panie Thomala, zanim tam pójdziemy, chciałbym z panem pogadać.

– Możemy pogadać. – Przyszły urzędnik, a kto wie może i burmistrz zamknął drzwi na klucz i odwrócił się twarzą do policjanta. – No, co tam cię trapi? – zapytał, widząc niepewną

minę chłopaka. – Gadaj śmiało.

– Bo widzi pan, jak pan mówił o honorze i wiernej służbie, to ja muszę panu powiedzieć, że właśnie przez honor to ja mogę wkrótce przestać pracować w policji.

– Co? Że niby jak?

– Tak, że napisałem list do swojego przełożonego, że podaję się do dymisji.

Thomala aż otworzył usta w niemym zdumieniu. Przez chwilę milczał, jakby próbował zebrać myśli.

– A to niby dlaczego? – zapytał w końcu.

– Przez to śledztwo, które prowadzę. W sprawie zabitych działaczy KPD.

– E tam. – Thomala machnął ręką. – Nie przejmuj się, chłopie. To przecież nie twoja wina, że nie możesz sobie z tym poradzić. Na takiej sprawie i bardziej doświadczeni śledczy połamaliby sobie zęby. Nie musisz sobie brać tego tak bardzo do serca. Jeszcze wiele spraw przed tobą, jeszcze wielu bandziorów wsadzisz do więzienia, a że za pierwszym razem ci się nie udało, to przecież nie twoja wina. Z czasem nabierzesz doświadczenia...

– Panie Thomala – przerwał mu Frank. – Ja nie dlatego podaję się do dymisji, że nie poradziłem sobie ze sprawą. Ja złożyłem dymisję dlatego, że ją rozwiązałem.

– Co?

– Wiem, kto zabił tych wszystkich ludzi.

– No, co tak stoicie? – zawołała w ich kierunku Trudi, która wyszła na podest schodów prowadzących do mieszkania. Zapewne musiała ich dostrzec z okna. – Wejdźcie do domu, bo zaraz znowu zacnie padać.

– Zaraz idziemy – odpowiedział jej ojciec. – Wiesz, kto jest mordercą? – Thomala spojrzał Frankowi prosto w oczy.

– Wiem i wiem, że pan też to wie.

– Cholera jasna, chłopcze... to niemożliwe.

– Dlatego właśnie, panie Thomala, nie mogę być dłużej policjantem.

Trudi miała rację. Deszcz znów zaczął padać.

– Chodź na obiad – powiedział Thomala – bo inaczej Trudi da nam szkołę.

Frank posłusznie ruszył za, kto wie, być może swoim przyszłym teściem.

Rozdział X

Schneidemühl Poniedziałek, 18 lipca

Godzina 8.15 rano

Carl Aschmutat siedział przy biurku wpatrzony w rozłożoną na blacie kartkę i drapał się po starannie wygolonej brodzie. Przeczytał to, co napisał w liście raporcie młody policjant Frank, i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Musiał przyznać, że nie docenił Leutnanta. Był przekonany, że chłopak nie poradzi sobie ze śledztwem. A jeżeli już wyciągnie jakiegokolwiek wnioski, to będą one prowadziły wprost do członków NSDAP z tym Halberem na czele. Przecież miał go podanego na tacy. Prawda, że nastąpiło nieco zamieszania z kolejarzem Huberem, ale to go nie powinno zmylić. No i nie zmyliło. Frank wykluczył Hubera, stwierdzając, że ten nie ma z morderstwami nic wspólnego. Każdy inny młody policjant, któremu by dano taką szansę na prowadzenie pierwszego własnego śledztwa, wziąłby to, co mu los daje, z pocałowaniem ręki, nie wgłębiając się w zawiłości. Natomiast Frank wykonał rzetelną policyjną robotę, sprawdził wszystkie okoliczności i jakimś cudem dotarł do wydarzeń z dziewiętnastego roku. I wtedy wszystko mu się poskładało w zgrabną opowieść

o zbrodni i karze.

Aschmutat jeszcze raz pochylił się nad kartką, przeczytał raport, a potem wziął do ręki dwa zdjęcia przedstawiające rodzinę Grünsteinów wraz z ich synem, który wkrótce miał wyruszyć na wojnę, i to, które Joseph przysłał do domu z Francji. Przez chwilę wpatrywał się w tę twarz, a potem wszystko złożył starannie i wsunął do szarej koperty. Następnie podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił trzycyfrowy numer. Niemal natychmiast odezwał się głos dyżurnego.

– Za chwilę przyjdzie tam na dół Ortsgruppenleiter Thomala. Jak przyjdzie, to zaraz zaprowadźcie go...

– Właśnie wchodzi, panie Hauptmannie – odpowiedział mu podoficer z biura przepustek, który zapewne rozpoznał wchodzącego po jego bażancim mundurze.

Thomala podszedł do okienka, za którym siedział Wachtmeister z podkrążonymi oczyma i wąsami wielkimi jak u morsa. Nachylił się, żeby się przedstawić, ale podoficer uśmiechnął się i wskazał mu drzwi prowadzące na klatkę schodową.

– Hauptmann Aschmutat czeka na pana Ortsgruppenleitiera w pokoju sto dwadzieścia pięć na pierwszym piętrze. Od schodów trzeba iść na prawo...

Thomala machnął tylko ręką i ruszył szybko na górę. Śpieszył się, bo nie miał dziś zbyt dużo czasu, a sprawa była poważna. Tak bardzo, że nie mógł sobie pozwolić na żadną zwłokę. Trzeba było wszystko załatwić jeszcze dziś, ale najpierw musiał porozmawiać z Aschmutatem. Bez jego pomocy niewiele mógł zrobić. Wymyślił, co prawda, jak można wybrnąć z tej trudnej sytuacji, ale potrzebował pomocy. W związku z tym już o siódmej rano, gdy tylko zaczynały się godziny urzędowe, zadzwonił do Dyrekcji Policji. Na szczęście Hauptmann pracował w swoim biurze. Nie trzeba było mu zbyt wiele wyjaśniać. Natychmiast umówili się na pilne spotkanie.

Wczoraj podczas obiadu podanego przez Trudi Thomala próbował zrobić, co tylko było można, żeby zminimalizować straty w tej niespodziewanej bitwie. Musiał w niej wygrać w taki sposób, by wszyscy ci, którzy byli po jego stronie, wyszli z tej batalii bez szwanku. Łącznie z tym młodym idiotą Frankiem, który swoją gorliwością spowodował, że misterny plan legł w gruzach. Teraz trzeba było ratować, co się dało, z głową Franka włącznie. Gdyby ów Leutnant był nikim, to w zasadzie nie byłoby sprawy. Ale widział spojrzenia, jakim młodzika obdarzała jego ukochana córka. Nie miał więc wyboru. Musiał ratować tę jego saksońską łepetynę. Gdy już zjedli doskonały rosół, a Trudi poszła do kuchni nakładać drugie danie: pieczone mięso z sosem śmietanowym, kartoflami i słodką zasmażaną kapustą, Thomala spojrzał na chłopaka, upił łyk kompotu z jabłek, a potem odezwał się spokojnym, wyważonym głosem, co ostatnio niezbyt często mu się zdarzało:

– Prawda, że znam Grünsteina. To, jak już pewnie wiesz, mój przyjaciel od wielu lat. I tej przyjaźni nie zmieni nawet polityka. W mojej partii większość ludzi jest przeciwko Żydom. Ale przecież nie wszyscy Żydzi są źli. Nie można wszystkich ludzi traktować jednakowo. A Grünstein jest porządnym człowiekiem. Co do jednego się nie mylisz. Miał powody, żeby się zemścić. To, co te bydlaki zrobiły jego rodzinie, jest wystarczającym powodem, żeby ich wszystkich wystrzelać jak psy. Ale prawda jest taka, że on tego nie zrobił. Zrobił to ktoś inny i ja wiem kto. Ty też to wiesz. Mówiła mi o tym ta moja... sąsiadka, co mieszka tu obok, naprzeciw pralni. Ona ich słyszała w nocy. I słyszała to nazwisko. Powiedziała ci o tym. Ale ty zamiast szukać blisko, zacząłeś grzebać w przeszłości. Zupełnie niepotrzebnie, bo prawda była obok ciebie na wyciągnięcie ręki.

– Schulte? – zapytał Frank.

– Ciężko mi o tym mówić, bo to mój partyjny towarzysz. Ale i wśród najlepszych zdarzają się szumowiny. Tego Schultego ja powinienem dawno kopnąć w dupę i wyrzucić z partii na zbity ryj. Ale mam za dobre serce.

– Ale jaki ten Schulte miałby motyw?

Thomala dopił do końca kompot, a łyżeczką wyjadł słodkie owoce.

– Grzebałeś w przeszłości, a nie dokopałeś się do najważniejszej informacji. Wiesz, co robił Schulte w dziewiętnastym roku?

– Nie. – Frank spojrzał uważnie na Thomalę. Nagle coś mu zaczęło świtać w głowie.

Thomala uśmiechał się tajemniczo, dając chłopakowi czas na połączenie ze sobą faktów.

– Był w Radzie Robotniczo-Żołnierskiej. To on sprawował nadzór nad patrolami porządkowymi. Nic, co działo się w mieście, nie działo się bez jego wiedzy.

– Był komunistą?

– A bo to jeden nawrócony komunistą przeszedł do naszej partii?

Trudi weszła do pokoju z półmiskiem wypełnionym po brzegi pieczonym mięsem z kury. Obaj mężczyźni odwrócili głowy. Jeden patrzył na mięso, drugi widział tylko dziewczynę.

– Tak będzie najlepiej dla wszystkich – zgodził się z Thomalą Hauptmann Aschmutat po wysłuchaniu opowieści działacza partyjnego. – Niech ci trzej pojedą zlizować tych, którzy stoją na trasie przejazdu przy zbiegu Krojankerstraße i Selgenauerstraße. Mam nadzieję, że się wszystko uda doskonale.

– Nie może się nie udać, panie Hauptmannie – stwierdził zadowolony Thomala.

– Byle tylko Frank nie zawiódł. O ile wiem, nie miał jeszcze

okazji sprawdzić się w sytuacji ekstremalnej. Bo przecież to nie to samo, co śledztwo. Tu trzeba będzie wykazać się refleksem. Najważniejsze jednak, żeby wszystko odbyło się w określonym momencie. O której ląduje samolot?

– Tu jest właśnie problem. – Thomala otarł pot z czoła. – Według ustaleń ma przylecieć około ósmej wieczorem, ale widzi pan, jaka jest pogoda. – Wskazał ręką na okno. Deszcz lał coraz mocniej.

Godzina 10.00 przed południem

– Dobra, omówmy to jeszcze raz – polecił Weiß. – Każdy szczegół jest tu ważny.

– Ile możemy o tym gadać? – jęknął Bauer i zaciągnął się papierosowym dymem. – Przecież wszystko już ustalone w najdrobniejszych szczegółach. Wstał z krzesła i podszedł do okna, ale nie otworzył go. Spojrzał tylko na opustoszały Neuer Markt zalewany strumieniami deszczu.

– Ciągłe pada – stwierdził.

– No i co z tego? – Weiß tylko wzruszył ramionami.

– Bo jak jest taka ulewa, to może odłożą ten przyjazd?

– No co ty. Nie ma takiej opcji. Widziałeś na ulicach, ile tego brunatnego robactwa się tu zjechało? Oni wszyscy są tutaj, żeby zobaczyć tego pajaca z wąsikiem. Musi przyjechać. Wystarczy, że wygłosi jedno przemówienie i może już wracać do siebie, a oni będą wniebowzięci. Przecież nie zawiedzie tej bandy durniów. To jego wyborcy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Obaj spiskowcy spojrzeli po sobie. Weiß skinął uspokajająco głową.

– Proszę wejść – powiedział.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł uśmiechnięty i przemoknięty Udo Schmitz, portier z Central Hotelu

i jednocześnie wypróbowany towarzysz. W dłoniach trzymał pokaźnych rozmiarów pakunek owinięty w zielony, wojskowy brezent i zawiązany zwykłym konopnym sznurkiem.

Na jego widok komuniści odetchnęli z ulgą. Niby nie powinni spodziewać się zdemaskowania ich zamiarów, ale wiadomo, że lichy nie śpi. Choć działali w najściślejszej tajemnicy, zawsze mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Na szczęście dla nich to nie policjanci wkraczali do mieszkania, ale Schmitz, który – jak widać – spisał się doskonale. Bo powodzenie całej akcji zależało właśnie od niego. Broń, której zamierzali użyć, a więc dwa pistolety parabellum i cztery ręczne granaty, mieli już od dawna przygotowane. Pozostał jeszcze tylko jeden element ich planu, co do którego nie mieli pewności. Wszystko zależało od tego, co zrobi Schmitz. No i zrobił. Przyszedł do nich z pakunkiem. Położył go na łóżku i zaczął rozwijać.

– Były trudności? – zapytał Bauer.

– Trudności są zawsze towarzyszu, ale od tego się ma głowę, aby je przezwyciężyć. Zwłaszcza w słusznej sprawie.

– Jak wam się udało? – zainteresował się Weiß.

– Tak trudno to naprawdę nie było – zaczął wyjaśniać Schmitz. – Przyjechali do hotelu już wczoraj. Cały hotel jest przez nich zajęty. No i oczywiście wieczorem urządzili sobie popijawę. Bo to są sami partyjni bonzowie. Znaczący tacy, jak w wojsku oficerowie. Sama szarża. No, ale zachowują się jak świnie, a nie wojskowi. Mało który później sam dotarł do pokoju. Trzeba było ich zbierać po korytarzach. Każdy spał tam, gdzie się przewrócił. Pół hotelu nam zarzygali, gnoje. Więc ja miałem nocny dyżur i musiałem ich z jeszcze jednym takim, co pracuje u nas jako stróż nocny, prowadzić do numerów. No to wybrałem dwóch, żeby pasowali posturą, i pomogłem im się rozebrać. No a reszta już była prosta. – Powiedziawszy to, spojrzawszy zadowolony na twarze komunistów, a potem szarpnął za sznurek. Z brezentowego zawiniątka wysypały się na łóżko

dwa kompletne mundury SA.

– Ale trafiliście – stwierdził zadowolony Weiß. – To są mundury z okręgu Berlin-Brandenburg.

– Tak? – zdziwił się portier. – A skąd niby to wiadomo?

– Świadczą o tym kolory patek z kołnierza, na których są oznaczenia stopni. Berlin ma patki różowe.

– Po akcencie poznałem, że ci dwaj są z Berlina – pochwalił się Schmitz. – Pomyślałem sobie, że takich to nikt tu nie zna, więc dla was będzie lepiej. No i stopnie są takie, że nikt o nic nie będzie pytał.

– To są oznaczenia Obersturmführera i Sturmbannführera – stwierdził Bauer. – Czyli na stopnie wojskowe to Oberleutnant i Major.

– Jest więc szansa, że żaden podoficer czy szeregowiec nie zainteresuje się oficerami – stwierdził Bauer, zakładając mundurową kurtkę. Była nieco przyciasnawa, ale kto by się przejmował takimi szczegółami. W końcu w tych mundurach mieli występować tylko przez kilka godzin. Po wykonaniu zadania wrócą do swoich normalnych, cywilnych ubrań, a te partyjne łachy wyrzucą gdzieś w krzaki. Teraz pozostawała tylko jeszcze jedna kwestia.

– A co z... – chciał zapytać Weiß, ale zadowolony Schmitz go uprzedził, wchodząc mu w słowo.

– Samochód będzie podstawiony pod dom około południa. To ten sam wóz dostawczy, którym już jeździliście. Niezawodna maszyna. Będzie jak dojechać i po załatwieniu sprawy wrócić.

Bauer sięgnął po papierosa. Czuł, że zbliża się atak kaszlu, wolał więc się zabezpieczyć i rozgrzać płuca dymem. Wszystko układało się nadzwyczaj pomyślnie, więc był bardzo zadowolony. Ich plan musiał się sprawdzić. Byleby tylko nie zawiódł gość, na którego czekali.

Godzina 12.00 w południe

Cmentarz był położony w sąsiedztwie gmachu Danziger Platz, opodal Dyrekcji Policji. Jego granice wyznaczał stary ceglany mur, który sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili miał się przewrócić. Nic dziwnego, bo wybudowano go przynajmniej sto lat temu. Dlatego także drzewa na cmentarzu były stare i okazałe. No, ale dla drzew wiek stu lat to zaledwie mała część ich możliwości życiowych, a nieremontowany mur kruszył się i robił coraz gorsze wrażenie. Drzewa natomiast były solidne i rozłożyste. Pomiedzy nimi w równych rzędach rozciągały się kamienne płyty macew. Niektóre, te nowsze, stały wyprostowane jak żołnierze na apelu, jednak większość pochylała się ku ziemi, bo ci, którzy je postavili, dawno już doczekali się własnych nagrobków. Były ich setki. Społeczność żydowska mieszkała w tym mieście od ponad czterystu lat. Podobno i ten cmentarz pochodził z czasów, kiedy osiedlili się tu pierwsi Żydzi. Przybyli do miasta, które wówczas nazywało się Piła i wchodziło w skład Królestwa Polskiego. Zamieszkali w mieście, ale cmentarz dla nich wytyczono poza jego granicami, żeby dobrzy chrześcijanie nie byli narażani na obcowanie z nieczystym miejscem. Po latach miasto, które ciągle się rozrastało, zbliżyło się do kirkutu i w końcu go wchłonęło. Dzięki wielkim budowom czasu powojennego można powiedzieć, że w zasadzie znalazł się on w samym centrum administracyjnego życia prowincji. Nie rzucał się jednak w oczy. Od ulicy wyglądał jak stary, zapuszczony ogród, w którym tylko od czasu do czasu pojawiali się jacyś niezbyt pracowici ogrodnicy i zamiast zająć się przycinaniem krzaków, przechadzali się zaniebzanymi alejkami, raz po raz przystając przy którejś z ustawionych pionowo kamiennych płyt.

Dziś, w ten deszczowy dzień, na cmentarzu żydowskim próżno byłoby szukać ludzi, którzy przyszli odwiedzić groby swoich

bliskich. Takie sprawy lepiej zostawiać na lepszą pogodę. Gdy promienie słońca przebijają się między liśćmi drzew, padając na ścieżki i nagrobki, o wiele przyjemniej przechadzać się cmentarnymi alejkami i wspominać tych, którzy odeszli.

Mężczyzna, który stał wsparty o jedną z macew, nic sobie nie robił z padającego deszczu. Zresztą znalazł na to sposób. Na głowę wcisnął kapelusz z szerokim rondem, a na grzbiet zarzucił czarną skórzaną kurtkę. Wysokie oficerskie buty i spodnie bryczesy mogły sugerować, że ów człowiek jest wojskowym. Z pochyloną głową zdawał się pogrążony w modlitwie. Nie modlił się jednak za spokój duszy swoich bliskich. Już dawno przestał ich opłakiwać, a w skuteczność modlitwy od lat nie wierzył. Swoje rachunki z Bogiem zamknął wiosną dziewiętnastego roku, kiedy wrócił do Schneidemühl z francuskiej niewoli i kiedy okazało się, że nie było już do kogo wracać. Jego rodzice i mała siostrzyczka zostali z zimną krwią zamordowani przez jakichś zwyrodnialców. W pierwszej chwili, gdy się o tym dowiedział, oszalały z bólu chciał dołączyć do swoich bliskich. Ale tak się nie stało. Jego przyjaciel z dzieciństwa, Ferdynand Thomala, zajął się nim troskliwie, znalazłszy go nieprzytomnego, w gorączce, na progu swojego domu. Gdy wreszcie po kilku dniach doszedł jako tako do siebie, Thomala opowiedział mu, co się wydarzyło, i najważniejsze, kim byli mordercy. Tym, co wtedy utrzymywało go przy życiu, była myśl, by wymierzyć im sprawiedliwość. Gdy tylko odzyskał siły, chciał natychmiast dopaść ich wszystkich po kolei i zabić tak samo, jak oni zabili jego rodzinę. Thomala przekonał go jednak, licząc w duchu na to, że może morderców dopadnie w końcu ręka sprawiedliwości, by zemstę odłożył na później. Wyjechał z miasta, lecz kilka miesięcy później wysłał z Berlina kartkę pocztową, zaadresowaną do jednego z morderców. Napisał na niej, że wie o skrywanej tajemnicy i dokona zemsty. Czekał aż do teraz i dopiero w tej chwili mógł

powiedzieć tym, którzy spoczęli pod tą kamienną tablicą we wspólnym grobie, że już po wszystkim, że ci, którzy odebrali mu bliskich, nie żyją, a sprawiedliwość wymierzył nie Bóg, lecz on sam.

Odwrócił się i spojrzał na prawo, w głąb alejki. Dostrzegł tam idącego wolnym krokiem człowieka w mundurze. Policjant podszedł do niego, zatrzymał się i skinął głową. Odpowiedział na skinienie i lekko się uśmiechnął.

– Jesteś – powiedział Joseph Grünstein.

– Tak.

– Dowiedział się o wszystkim?

– Tak. On wie.

– Niezły musi być z niego policjant.

– To prawda. Nie przypuszczałem jednak, że mu się uda. Za mało danych, za dużo niewiadomych. Ale jest sprytny.

– I co teraz? – zapytał Grünstein.

– To zależy, co postanowimy – odpowiedział Carl Aschmutat.

– Wiesz, że wszystko w twoich rękach?

– Tak, zdaję sobie sprawę – odparł policjant.

– Gdzie popełniłem błąd?

– Nie popełniłeś. On nie ma żadnych dowodów. Wszystko, co ma, to tylko domysły. No i jest jeszcze to. – Wydobył z kieszeni kopertę i podał ją Grünsteinowi. Ten zajrzał do środka. Od razu natrafił na fotografię.

– Przejrzysz to wszystko później. Schowaj do kieszeni, bo papiery przemokną.

Zrobił tak, jak powiedział Aschmutat.

– I co dalej? – zapytał.

– Rozmawiałem już dziś rano z tym twoim kumplem Thomalą. On już o wszystkim wiedział. Frank mu powiedział o swoich podejrzeniach. Oczywiście Thomala wyjaśnił mu, że się myli. Ale trzeba, żeby był o tym przekonany w stu procentach. Zajmiemy się tym.

– W jaki sposób?
– Nie przejmuj się drobiazgami. W taki, że nabierze pewności.
– Dziękuję.
– A ty zajmij się swoimi sprawami.
– Tak zrobię. Dzięki. Wiesz, że musiałem to zrobić? Rozumiesz mnie?
– Rozumiem...
– Zrobiłem to dla nich. – Wskazał ręką kamień nagrobny. – Teraz wreszcie mogą spokojnie odejść. – Powiedziawszy to, wyciągnął z kieszeni płaski kamyk i położył go na krawędzi macewy. Potem skinął głową i odszedł w kierunku cmentarnej bramy. Carl poczekał jeszcze chwilę, a potem ruszył w przeciwnym kierunku, do niewielkiej furtki, którą można się było przedostać na Danziger Platz. Musiał jeszcze wrócić do swojego biura w Dyrekcji Policji, żeby załatwić coś ważnego.
Całe niebo zasnuwane było ciężkimi chmurami. Deszcz powoli przechodził w rześnistą ulewę.

Godzina 4.00 po południu

Stara półciężarówka bez żadnych oznaczeń i napisów nadjechała wolno od strony centrum i zatrzymała się przy chodniku. Z szoferki auta wysiedli dwaj mężczyźni w mundurach SA i ruszyli w kierunku dwójki SA-manów, którzy pełnili dyżur przy zabezpieczaniu trasy przejazdu Führera.

– Macie się meldować na stadionie – powiedział chudzielec w okularach tonem nieco zbyt miękkim jak na oficera.
– A niby kto tak kazał? – zapytał grubas w pelerynie, spod której wystawał sporych rozmiarów brzuch.
– No jak to kto? Ortsgruppenleiter Thomala kazał wam stąd spieprzać. Myśmy przyjechali z samego Berlina.

- Ale wcześniej nam nikt nic nie mówił.
 - Bo wcześniej nie było takiej potrzeby. A teraz ze względu na informację, że komuniści chcą przygotować jakąś prowokację, dowództwo postanowiło wystawić w niektórych miejscach uzbrojone patrole, w razie czego.
 - Aha... - Do grubasa wreszcie coś chyba dotarło, ale ten drugi, chudszy i mniejszy, nie wydawał się przekonany.
 - A macie jakiś pisemny rozkaz? - zapytał podejrzliwie. - Bo nam mówili, że choćby się paliło, to za nic w świecie nie możemy opuszczać posterunku.
 - A kto wam wydał taki rozkaz? - zapytał ten drugi z oficerów, niższy i grubszy.
 - Jak kto? Nasz Ortsgruppenleiter Thomala. On nam wyznaczył ten posterunek.
 - Znaczący oficer wam wydał rozkaz.
 - No oficer.
 - A kto teraz przed wami stoi?
 - Dwaj oficerowie.
 - No to ci dwaj oficerowie zwalniają was z wcześniejszego rozkazu i rozkazują wam stąd spieprzać.
 - A rozkaz na piśmie? - Ten szczuplejszy nie dawał za wygraną.
 - Człowieku, kto by dziś myślał o wydawaniu rozkazów na piśmie - zdenerwował się Bauer, który miał już dość tej rozmowy, a w dodatku niezbyt dobrze czuł się w tym idiotycznym mundurze SA-mana.
- Mimo że ci dwaj byli tylko SA-manami, zwracali się do starszych stopniem oficerów jak do równych sobie. Takie zwyczaje od zawsze panowały w SA, że mimo szarż wszyscy byli równi. Inaczej było tylko wśród tych członków organizacji, którzy mieli za sobą służbę wojskową i od dawna wpojony szacunek dla rangi. Widać tych dwóch nigdy nie służyło w wojsku, stąd te przedłużające się negocjacje. W końcu

znieczierpliwiony Weiß postanowił użyć cięższego argumentu.

– Mogę ci pokazać mój rozkaz. – Wydobył z kieszeni parabellum i machnął nim przed twarzą porządkowego. – Teraz chyba rozumiecie, że to już nie są żadne przelewki. Zwijać dupy i dalej na stadion. Macie odszukać Obersturmbannführera Dittmara von Regensdorfa i się u niego meldować. Zrozumiano?

– No dobrze – jęknął z udawaną rezygnacją w głosie gruby. Najwyraźniej już dawno znudziła mu się służba w miejscu, w którym nie serwowano ani piwa, ani kiełbasy. Stadion pod tym względem był zdecydowanie lepszy. Obaj SA-mani wsiedli więc na swoje rowery i żwawo popedałowali w kierunku drewnianego mostu na rzece, którym najprościej było można się dostać do centrum, a potem w górę, w kierunku miejsca, w którym odbywał się *Parteitag*.

Obaj spiskowcy jeszcze przez chwilę patrzyli w ślad za oddalającymi się rowerzystami, zadowoleni, że kolejny etap ich przedsięwzięcia zakończył się nadspodziewanie łatwym sukcesem. W końcu Bauer sięgnął po papierosa i zapalił go, osłaniając wierzchem dłoni przed zamoknięciem, a potem, spojrzawszy na Weißa, zapytał:

– Ty, a kto to jest ten Obersturmbannführer Dittmar von Regensdorf?

– Nikt – wzruszył ramionami komunista. – Ale te dwa cymbały też nie wiedzą. Myślę, że ładnych kilka godzin zajmą im poszukiwania.

Godzina 4.40 po południu

– To tutaj jest to miejsce, gdzie łączą się Krojanker z Selgenauerstraße. – Thomala wskazał punkt zbiegu dwóch ulic na planie miasta. Schulte pochylił się i przez chwilę w wielkim skupieniu odczytywał nazwy, poruszając przy tym

ustami. W końcu podniósł głowę i uśmiechnął się zadowolony.

– No, ja wiem gdzie to jest – powiedział. Głupio mu było przyznać się, że nie potrafi czytać mapy, ale zobaczywszy nazwy dwóch ulic i usłyszawszy, że się łączą, zestawiał je sobie w myślach i wyszło mu, że obie spotkają się tylko w jednym miejscu.

– Świetnie. W takim razie musicie działać bardzo ostrożnie.

– To chyba rozumie się samo, nie? – Spojrzał na swoich ludzi i uśmiechnął się do nich. Ci natychmiast pokiwali głowami. Nie mogliby mieć innego zdania niż ich szef. Halber i Globke zawsze zgadzali się z Schultem. To dzięki niemu należeli do NSDAP i mogli z dumą nosić mundury SA. Gdyby nie jego wstawiennictwo, nikt nie przyjąłby ich do organizacji, bo wcześniej należeli do KPD. Przynależność do komunistów nie dawała im jednak takich możliwości, jak członkostwo w partii narodowosocjalistycznej. Tamci, owszem, też stawiali na walkę, często walkę uliczną na pięści, a niekiedy nawet z użyciem broni palnej. Ale naziści mieli coś, co przyciągało do nich ludzi o wielkich ambicjach. Wszystkich swoich członków ubierali w organizacyjne mundury i nadawali im stopnie, prawie takie jak w wojsku. A przecież dobrze wiadomo, że nie ma nic bardziej pociągającego dla prawdziwego mężczyzny jak mundur, za którym oglądają się wszystkie kobiety. Dlatego, gdy dowiedzieli się, że Schulte należy już do SA, przyszli do niego z prośbą, żeby za nich poręczył. No więc poręczył i zyskał w ten sposób dwóch wiernych jak psy łańcuchowe żołnierzy, którzy byli gotowi na każde wyzwanie.

– Tylko pamiętajcie, że trzeba to zrobić po cichu – pouczył ich Thomala. – Bo gdyby tam, nie daj Boże, doszło do jakiegoś zamieszania, to sami rozumiecie...

Schulte pokiwał głową na znak, że rozumie, choć tak naprawdę niczego nie pojmował. No, może z jednym wyjątkiem. Podejrzewał, że coś się święci i prawdopodobnie komuniści coś

przygotowują. Być może jakąś prowokację. Dlatego trzeba wzmocnić strategiczny punkt u zbiegu dwóch ulic, których nazw już zapominał, ale wiedział, gdzie są, bo dobrze znał miasto.

– Teraz ustalmy szczegóły – powiedział Thomala i odszedł od stołu, by zasiąść za swoim wodzowskim biurkiem. To pospiesznie zwołane tajne zebranie odbywało się w gabinecie Ortsgruppenleiterra w siedzibie partii. Thomala nikogo więcej nie zaprosił. Wyjaśnił Schultemu, że nikt nie może o tym wiedzieć, bo nie wolno budzić paniki wśród członków partii, i dlatego może o sprawie rozmawiać tylko z najbardziej zaufanymi ludźmi. Najbardziej zaufany człowiek przyjął ten komplement bez najmniejszego zdziwienia. W końcu komu można było bardziej ufać jak nie jemu? Sam przecież ufał sobie bezgranicznie.

– Samolot, którym przyleci Führer, wyląduje na lotnisku około ósmej wieczorem. Tam nastąpi krótkie powitanie i auto, które przewiezie naszego wodza, ruszy do miasta wyznaczoną trasą. Pierwszym punktem, pilnowanym przez naszych ludzi, będzie ten, na który teraz pojedziecie. Macie tam być punktualnie kwadrans po ósmej. Rozumiemy się?

– Tak jest – odpowiedzieli chórem.

– Wzmocnicie ich siły i tyle. Ale jeśli zauważycie coś niepokojącego, to wiecie co macie robić?

Wszyscy trzej zgodnie pokiwali głowami, choć żaden z nich nie miał zielonego pojęcia.

– Bierzecie ze sobą broń. Oczywiście na wszelki wypadek, ale dobrze wiecie, że w trudnych sytuacjach pistolet zawsze warto mieć w garści.

Nachylił się i otworzył szufladę. Sięgnął do niej i po chwili wydobył trzy lśniące nowością policyjne lugery.

– Weźcie je, ale mają być pochowane w kieszeniach, a nie w kaburach przy pasie.

– A czemu nie w kaburach? – zapytał Schulte.
– Bo takie są ustalenia z policją. Jesteśmy organizacją paramilitarną i oficjalnie nie możemy nosić broni przy boku. Podczas wizyty jesteśmy tylko służbą porządkową.
– He, he, he! – zaśmiali się wszyscy trzej, sięgając po pistolety.
– Jeszcze trochę – uspokajał ich rozradowany Halber.
– Co jeszcze trochę? – zapytał Thomala.
– No jeszcze chwila i wygramy wybory, a wtedy będziemy nosić pistolety.

– Właśnie – poparł go Globke. – Wygramy, a później się wystrzela wszystkich komunistów.

Thomala zamknął szufladę i wstał z fotela. SA-mani poderwali się na równe nogi.

– No, towarzysze – powiedział do nich Thomala – pamiętajcie, że nasz Führer musi być bezpieczny. Jego los i los całej naszej partii dziś spoczywa w waszych rękach.

– Tak jest! – odpowiedzieli trzej ludzie, którzy trzymali w rękach przyszłość Niemiec. Globke nawet popatrzył na swoje ręce, ale niczego nadzwyczajnego w nich nie zauważył, bo przecież brud za paznokciami był najzupełniej naturalny i trzymał się sam.

– A co teraz mamy robić? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek Schulte, bo wolał się upewnić, żeby czasem czegoś ważnego nie przeoczyć. – Bo do ósmej to my mamy jeszcze trochę czasu.

– Macie z nikim nie gadać, nie odpowiadać na żadne pytania, jeśli was ktoś o coś zapyta, a najlepiej to idźcie na piwo, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy.

Popatrzyli, kiwając z aprobatą głowami. Tego im było trzeba. Piwo i coś do jedzenia, bo wiadomo, że na akcję najlepiej wyruszać po dobrym posiłku.

Wyciągnęli przed siebie wyprostowane dłonie w partyjnym pozdrowieniu i natychmiast wyszli. Zadowolony z siebie

Thomala usiadł w fotelu. Zrobił wszystko, co mógł. Teraz sprawy potoczą się już same, siłą bezwładu, jak te ciężkie krople deszczu, które cały czas bębniły o wyłożony ocynkowaną blachą parapet w jego biurze.

Godzina 7.30 wieczorem

Cały czas zastanawiał się nad tym, co powiedział mu Thomala. Bo jeśli on miał rację, to znaczy, że się pomylił i z tej pomyłki wyniknął idiotyczny błąd. Błędem więc było pisanie listu z prośbą o dymisję. Trzeba było poczekać do wtorku, kiedy wszystko się uspokoi, pójść do szefa i podczas rozmowy w cztery oczy przedstawić mu wszystkie wnioski, jakie wyciągnął z zebranych danych. Ale on był w gorącej wodzie kąpany i pośpieszył się zanadto. Gdyby choć wcześniej porozmawiał z Thomalą, wtedy mógłby sobie jeszcze raz wszystko ułożyć, a tak sprowadził sobie na głowę katastrofę. Chciał być śledczym policjantem, a okazało się, że jest dupą wołową i nadaje się co najwyżej do patrolowania ulic. O ile ktoś w ogóle mu na to pozwoli. Raczej wyglądało na to, że dostanie kopa w tyłek i wyfrunie z policji znacznie szybciej, niż do niej przyszedł.

Wracał z Dyrekcji Policji, wlokąc się nogą za nogą i nic sobie nie robiąc z deszczu. Nawet nie wiedział, kiedy znalazł się na Neuer Markt. O tej porze plac rynkowy był niemal całkowicie opustoszały.

Do domu miał już niedaleko. Musiał tylko zdecydować, którędy iść. Najprościej byłoby przeciąć rynek i przejść przez Brückenstraße, bo wtedy wyszedłby na Alter Markt, a potem wprost na zakład mechaniczny Thomali. A tam w domu pewnie siedziała Trudi. Swoją drogą, ciekawe, co robiła wieczorami? Tak mało zdążył się o niej dowiedzieć. Może wieczorami

cerowała skarpety ojca, a może prasowała pościel i ubrania albo czytała książki i słuchała radia? Gdyby był porządnym policjantem, na pewno wkrótce by się tego wszystkiego dowiedział. Ale z każdą chwilą coraz mniej było w nim mundurowego, a coraz więcej cywila. Zastanawiał się nawet, w co się ubierze tego dnia, gdy przyjmą jego dymisję. Nie miał przecież żadnego cywilnego ubrania.

Był już na wysokości kościoła, który zajmował sporą część rynkowego placu, gdy nagle na prawo zauważył jakiś ruch. Drzwi od winiarni Paula Dreiera otworzyły się i na zewnątrz wytoczyło się trzech SA-manów. Wszyscy pośpiesznie wciągali na grzbiety przeciwdeszczowe peleryny. Gdyby wyszli ze środka już ubrani w płaszcze i czapki, zapewne nie rozpoznałby tego wielkiego. Ale tamten, dopiero pod markizą osłaniającą wejście do lokalu założył na łysą głowę swoje kepi i osłonił je nieprzemakalnym kapturem. W piersi policjanta serce zabiło mocniej. Szybko skrył się za jednym z kasztanowców, które otaczały kościół. Niewidoczny dla wychodzących z knajpy, obserwował każdy ich ruch. A ci rozejrzeli się dookoła, jakby szukali jakiegoś niebezpieczeństwa, a nie dostrzegłszy niczego godnego uwagi sięgnęli po papierosy.

Ten łysy to jest Schulte – pomyślał Eberhardt Frank, przypatrując się wielkiemu facetowi. Rozpoznał jego twarz i sylwetkę, bo widział go już wcześniej w siedzibie NSDAP. Do Thomali wysłał go Hauptmann Aschmutat ze spisem miejsc, w których stać będą policyjne patrole. – A ci dwaj to pewnie Halber i Globke, pomocnicy Schultego, o których wspominał ojciec Trudi – domyślił się. Tylko co oni robią tutaj na rynku? Przecież powinni witać swojego wodza na stadionie. Może przed uroczystością postanowili wzmocnić się sznapsem? Tymczasem szturmowcy, wzmocnieni nie jednym, a kilkoma sznapsami popitymi piwem, dokładnie zawiązali sznurki swoich peleryn i ruszyli w prawo, w kierunku Mühlenstraße, która prowadziła

na most. Dokładnie w przeciwnym kierunku do Friedrichstraße, najkrótszej drogi na stadion. To go zaintrygowało. Oznaczać mogło, że ci faceci mieli jakieś nieczyste zamiary. Skoro powinni w tej chwili, tak jak wszyscy ich koledzy, siedzieć i czekać na stadionie, a oni podążali w przeciwnym kierunku, coś musiało być na rzeczy. Gdy tylko zniknęli za ostatnim narożnikowym budynkiem, ruszył ich śladem. Trzej zakapturzeni faceci szli dość szybkim krokiem. Już po chwili minęli mur otaczający kościół Świętych Janów i wkroczyli na drewniany most. On szedł drugą stroną ulicy i gdy oni przekraczali rzekę, przystanął na chwilę przy sklepie meblowym, chowając się w bramie prowadzącej na podwórko. Ulica, którą szli była długa i prosta. Po lewej, za mostem, zaraz za pomnikiem Fryderyka Wielkiego, zaczynał się niewielki nadrzeczny bulwar porośnięty drzewami. Szli po prawej, wzdłuż ogrodzenia browaru miejskiego, dlatego, żeby nie rzucać się w oczy, podążał ścieżką wśród drzew, by w końcu dojść do wybudowanego z czerwonej cegły magazynu młyna wodnego. Tu przystanął na moment, by poczekać, aż tamci miną narożnikowy budynek, w którym na parterze mieścił się sklep rzeźnicki, i wejdą na Bromberger Platz. Ale mężczyźni zatrzymali się. Przyczynę postoju Frank zrozumiał po chwili. Na ulicy stali jeszcze dwaj inni mężczyźni, ubrani tak samo jak ci trzej. Widać był to jeden z patroli, który miał pilnować trasy przejazdu. Miało ich być w mieście sporo, ale ten był pierwszy, jaki dostrzegł. Pewnie wyznaczonym do tej służby SA-manom nie bardzo chciało się wystawać na ulicy w takim deszczu. Tymczasem Schulte i jego dwaj ludzie chyba już wystarczająco się nagadali z kolegami, bo zostawili ich samych i pomaszerowali w głąb placu. Przecięli go na ukos i po chwili byli już na Krojankerstraße.

Przez chwilę zastanawiał się, czy dobrze robi, idąc za nimi. Nabrał wątpliwości, gdy zobaczył ich spotkanie z partyjnymi

kolegami. Bo wyglądało ono całkiem naturalnie, tak jakby tych trzech sprawdzało po raz ostatni patrole na ulicach. Pewnie teraz dojdą do następnej dwójki, pogadają chwilę i pójdą gdzieś na piwo. A ja kolejny raz wyjdę na durnia, pomyślał Frank i sam nie wiedząc dlaczego, poszedł za nimi.

Godzina 7.40 wieczorem

- Więc od samego początku wiedzieliście, że oni chcą tego całego Hitlera rozwalić?
- Mieliśmy takie przypuszczenia.
- To czemu mi nikt nic nie powiedział?
- Jażdżewski nie chciał, żebyś wiedział. Chciał, żeby to samo wyszło...

Tolek spojrzał na Fischera, ale z jego twarzy niczego nie dało się wyczytać. Siedział w aucie i wpatrywał się w krople deszczu spływające po szybie. Przyjechali tutaj jakieś dziesięć minut temu. Fischer nawet nie powiedział Tolkowi, dokąd mają jechać. Przed południem przyszedł do niego do hotelu i kazał być gotowym na szóstą. No to Tolek był gotowy, tak jak mu kazano. Nawet za dużo nie wypił. Ot, trzy kufelki w barze na Neuer Markt wychylił do obiadu gdzieś koło pierwszej. Potem kupił sobie jeszcze w sklepie cztery butelki i zabrał do numeru. Później położył się do łóżka i tak, leżąc, sącył to miejscowe, zresztą całkiem niezłe piwo, i palił papierosy. Zrozumiał już, że major Jażdżewski zrobił go celowo w tych bolszewików, choć jeszcze w Poznaniu zapewniał, że to tylko tak na wszelki wypadek te dokumenty komunisty Wiciaka dostaje. Tymczasem tu raczej nic nie działo się przypadkowo. Miejscowi komuniści czekali na Wiciaka, który przez Polskę miał przyjechać do nich z Rosji. I Wiciak był im potrzebny do tego, by wydać zgodę na ich szalony plan. No i wydał, bo i co miał zrobić? Jakby nie

wydał, to oni i tak by zrobili to, co zamierzali, a jego mogliby jeszcze ukatrupić. Dziś był właśnie ten dzień, kiedy Hitler miał przyjechać do miasta. I dlatego Tolek miał nadzieję, że będzie mógł już stąd wyjechać, żeby nie okazało się czasami, że tych dwóch durniów da się złapać i wyśpiewają wszystko, to znaczy powiedzą policji, kto im pomógł w zdobyciu planów przejazdu i jeszcze wydał zgodę na tę zamachową robotę. Wychodziło więc na to, że to on właśnie jest hersztem całej bandy i – co za tym idzie – ponosi największą odpowiedzialność. Więc gdy zobaczył Fischera, który w końcu przyszedł do jego pokoju, ucieszył się jak diabli. Miał nadzieję, że ten każe mu się spakować i jechać do Poznania. Niestety zawiódł się srodze. Fischer, owszem, kazał mu się spakować i czekać na siebie. Jak powiedział, obaj mieli jeszcze coś do zrobienia dziś wieczorem. Szczegółów jednak nie zdradził. Przyszedł, tak jak zapowiedział, o szóstej. Tolek był już gotowy. Chwycił walizkę i zszedł na dół. Tym razem nie było jego znajomego portiera. Uregulował rachunek, na który o mały włos zabrakłoby mu pieniędzy. Okazało się, że większość forsy przejadł i przepił. Na szczęście już wcześniej kupił prezenty dla rodziny i nie wracał do domu z pustymi rękami.

Gdy wyszli na ulicę, Fischer wskazał mu pięknego opla.

– Będziesz kierował – powiedział i dał mu kluczyk do samochodu.

Silnik zaskoczył bez problemów i auto ruszyło. Przejechali znany już dobrze Tolkowi rynkowy plac, a potem mostem dostali się na drugi brzeg rzeki. Gdy minęli budynki browaru, policjant kazał mu przejechać jeszcze kawałek, a potem zaparkować na obszernym placu i wyłączyć silnik.

– No i co teraz? Pomogłem tym bolszewikom i jak ich chwycą, to oni wszystko zaraz wygadają i będzie, że to ja jestem tym, co to wszystko wymyślił.

– Niech cię o to głowa nie boli. Nikt cię nie będzie szukać.

– A niby skąd to wiadomo?

– Wiadomo i...

Fischer jeszcze chyba chciał coś powiedzieć, zamilkł jednak, gdy dostrzegł trzech ludzi w pelerynach przeciwdeszczowych, którzy zatrzymali się na narożniku ulicy dochodzącej do placu, na którym stało ich auto. Zaraz opuścił nieco szybę. W tym momencie z bramy kamienicy wyszło dwóch tak samo odzianych mężczyzn. Cała piątka wyglądała tak, jakby wszyscy dobrze się znali.

– Popatrz no na nich – polecił Fischer.

– No widzę. I co?

– Poznajesz któregoś z nich?

– Nie. Nie znam gości.

– Na pewno żaden z nich nie jest którymś z tych twoich bolszewików?

– Żaden.

Faceci uścisnęli sobie ręce i trójka ruszyła dalej, przecinając plac. Dwaj, którzy zostali, weszli z powrotem do bramy. Gdy ci trzej zniknęli po drugiej stronie placu, policjant klepnął Tolka w ramię.

– Włączaj silnik. Jedziemy.

– Gdzie?

– Za nimi. – Wskazał palcem miejsce, gdzie zniknęli zakapturzeni ludzie.

W tym momencie Fischer dostrzegł jeszcze kogoś. W tym samym kierunku, gdzie podążali ci trzej, szedł szybkim krokiem młody mężczyzna w policyjnym mundurze.

Godzina 7.45 wieczorem

Stadion miejski przy Schmiedestraße wyglądał jak jakiś ogromny żywy stwór poruszający tysiącami małych główek. Trzydzieści

tysięcy członków partii zjechało tu z całej prowincji, by zobaczyć człowieka, który wyznaczał im i całym Niemcom nową drogę do lepszego jutra. Nad ich głowami łopotały czerwone, robotnicze sztandary, ozdobione czarną swastyką na białym, okrągłym polu. Pod mównicą, na której w każdej chwili mógł się pojawić Führer, zaczepiono transparent z napisem: „Hitler ponad Niemcami”. Może jeszcze w tej chwili nie był ponad całym krajem, ale tu czuło się wyraźnie, że jego genialna myśl unosi się ponad głowami wszystkich tych, którzy tak licznie się tu stawili. Unosi się ponad oddechami przesiąkniętymi smrodem przetrawionego alkoholu i tytoniowego dymu. I daje im wszystkim nadzieję: na pracę dla tych, którzy chcą pracować, na kariery dla tych, którzy chcą kariery robić w urzędach i w odrodzonej armii, oraz na łatwe pieniądze dla wszystkich wiernych. W końcu tyle wycierpieli w tym kraju rządzonym przez złodziei, że już czas najwyższy, by z tym skończyć – mówili między sobą. – Trzeba skończyć wreszcie z przywilejami dla nielicznych, odebrać im je i dać swoim. Trzeba, by wreszcie Niemcy wstały z kolan! Dlatego krajowi potrzebny jest silny przywódca, który przepędzi tę całą złodziejską hałastrę i sprawi, że Europa zacznie się z nami liczyć, opowiadali między sobą.

Orkiestra wkroczyła na trawiastą płytę stadionu i pomaszerowała pod trybunę honorową. Tamburmajor osadził ją w miejscu, wznosił swoją buławę i dał sygnał. Ponad głowami zebranych na stadionie narodowych socjalistów popłynęły takty partyjnej pieśni *Horst-Weßel-Lied*, a tysiące gardeł natychmiast podchwyciło jej melodię i zaśpiewało. Atmosfera była rozgrzana do czerwoności, mimo padającego ciągle deszczu, który chłodził gorące, pełne marzeń o własnej wielkości głowy. Brakowało tu tylko jednego człowieka.

Ogromny Rohrbach Ro VIII Roland, o rozpiętości skrzydeł

dwudziestu sześciu i całkowitej długości szesnastu metrów, lekko i z wdziękiem osiadł na pasie startowym. Pilot musiał być prawdziwym asem przestworzy, bo maszyna, nazwana Immelmannem, na cześć pierwszego niemieckiego asa myśliwskiego z początkowego okresu Wielkiej Wojny, wylądowała nadzwyczaj gładko, mimo że trawiaste lądowisko było nasiąknięte wodą jak gąbka. Koła w zetknięciu z mokrą powierzchnią wzbily w górę fontanny wody, które obmyły spód kadłuba i skrzydeł. Immelmann zatrzymał się na moment, ale trzy ogromne silniki BMW nie zostały wyłączone. Pilot zwiększył nieco zwolnione już obroty i samolot pokołował w kierunku jasno oświetlonego hangaru. Przed wielką halą stał szpaler kilkunastu SA-manów w przeciwdeszczowych pelerynach, którzy stanowili kordon bezpieczeństwa w razie jakichś nieoczekiwanych wydarzeń, na przykład gdyby ktoś z tłumu gapiów chciał podejść za blisko samolotu. Ale gapiów nie było wcale. Nawet jeśli ktoś spośród mieszkańców Schneidemühl planował obejrzeć to widowisko, może wybrałby się tu przy dobrej pogodzie, ale ulewa skutecznie odstraszyła ciekawskich.

Ale byli tacy, którzy musieli tu być. Pod dachem otwartego hangaru stała grupka kilku osób; to wszyscy ci, którzy oficjalnie witali gościa. Ponieważ wizyta miała charakter partyjny, nie było wśród oficjeli nikogo spośród władz miejskich ani prowincjalnych. Najważniejszą z witających osób był oczywiście miejscowy Ortsgruppenleiter Ferdynand Thomala. On musiał spełnić tu zadanie typowo organizacyjne. Po przywitaniu z gościem miał mu towarzyszyć jako przewodnik w drodze na *Parteitag*. Pozostali partyjni bonzowie z całej Marchii Granicznej Poznańsko-Zachodnio-Pruskiej czekali na stadionie, żeby tam powitać swojego Führera. Obok Thomali stał dyrektor Policji Joseph Gruen i jego pracownik, miejscowy szef Kripo, Carl Aschmutat. Hauptmann rozglądał się nerwowo, bo przecież wraz z nim miał tu na miejscu być Fischer. Ten

jednak najwyraźniej się spóźniał. Takie zachowanie było dość nietypowe; Hauptmann znał przecież swojego przyjaciela od lat i wiedział, że Anton bardzo sobie ceni punktualność.

Samolot zatrzymał się, a po chwili silniki zamarły. Drzwi się otworzyły i na zewnątrz wychylił się członek załogi w lotniczej czapce. Zaraz jednak zniknął w środku, a z otworu wysunęła się metalowa drabinka. Lotnik zszedł po niej, sprawdzając uważnie, czy aby na pewno jest stabilna, a gdy już pewnie stanął na trawie, pomachał ręką do czekających na pokładzie. Teraz z samolotu błyskawicznie wyskoczyło pięciu ludzi w czarnych mundurach. Rozejrzeli się dookoła, sprawdzając widocznie, czy w pobliżu nie czai się jakieś niebezpieczeństwo, a potem jeden z nich podszedł do otwartych drzwi i krzyknął coś do środka. Przez chwilę nic się nie działo, aż w końcu w drzwiach ukazała się postać w lotniczej skórzanej pilotce, jasnym płaszczu, zapiętym na styl wojskowy pasem, i wysokich butach. Jeden z ochroniarzy podał mężczyźnie rękę. Ten uchwycił się jej i ostrożnie zszedł na dół. Za nim zeszło jeszcze trzech ludzi. Wszyscy w mundurach SA. Jeden miał w dłoniach skrzynkę aparatu fotograficznego, a na plecach przewieszony drewniany statyw. Od razu rozstawił trójnóg i zainstalował na nim aparat. Nikt nie ustawiał się do pamiątkowego zdjęcia, mimo to zadziałała lampa błyskowa, akurat w chwili, gdy do najważniejszego z gości podszedł Ferdynand Thomala. Uścisnęli sobie dłonie, a miejscowy Ortsgruppenleiter poprowadził przywódcę partii do stojących kilka metrów dalej policjantów. Przedstawił ich po kolei według szarzy: najpierw Gruena, a potem Aschmutata.

– O, pan Leutnant Aschmutat – powiedział Hitler, przytrzymując dłużej podaną dłoń. – Cieszę się, mogąc po latach znów pana widzieć w dobrym zdrowiu. A co też się dzieje z pańskim przyjacielem Leutnantem Fischerem? Mam nadzieję, że przeżył wojnę. Rad bym go znowu ujrzeć.

– Przeżył. Jest tu, w Schneidemühl...

– O, to wyśmienicie – przerwał mu gość, zdejmując z głowy pilotkę i poprawiając niesforny kosmyk opadających na czoło włosów. – Długo tu nie zabawię, ale będę wdzięczny za zaaranżowanie spotkania.

– Oczywiście.

Hitler skinął policjantowi głową i ruszył do ogromnego czterodrzwiowego mercedesa, prowadzonego przez szczęśliwego jak nigdy wcześniej Ferdynanda Thomalę.

Godzina 7.50 wieczorem

– Może w ogóle dziś nie przyleci i na darmo tu stoimy?

– Nie gadaj głupot. Musi przylecieć.

– Dobrze by było – mruknął Weiß – żeby moja przemoknięta dupa wiedziała, za jakie grzechy cierpi przez pół dnia na tym cholernym deszczu. Pogoda jak na zamówienie.

– A żebyś wiedział. – Bauer wyszczerzył do niego zęby. – Jakby było pięknie, to miałbyś tu całą masę spacerowiczów. A tak, proszę bardzo, cisza i spokój. Żywego ducha nie widać. Nawet żołnierze się nie kręcą, bo kto by chciał brać w taką pogodę przepustkę?

Weiß spojrział w prawo na budynki koszar. Rzeczywiście, mimo że były oddalone od nich o jakieś dwieście metrów, przez ten czas, gdy się tutaj pojawili, nie dostrzegli ani jednego żołnierza.

– Ciekawe, że nie widzieliśmy dziś żołnierzy – stwierdził, wpatrując się w dachy wojskowych zabudowań.

– Nic dziwnego w tym nie ma. Armia ma się nie mieszać w politykę, więc pewnie na dziś wstrzymali wszystkie wyjścia z koszar, żeby nie okazało się, że część tych na przepustce poszło w mundurach na partyjny wiec. Dowódcy wolą unikać

kłopotów.

Weiß odwrócił głowę. Kilkadziesiąt metrów od nich dostrzegł idące ku nim trzy sylwetki. Mężczyźni mieli na sobie, podobne do ich własnych, przeciwdeszczowe peleryny typu wojskowego.

– No proszę, a jednak jacyś żołnierze tu idą.

Bauer spojrział w tamtym kierunku.

– Żołnierze albo i nie.

– A niby kto?

– Ja stawiałbym raczej na towarzyszy z SA.

– Po jaką cholere tu idą?

– Może chcą sprawdzić, czy wszystko na posterunku w porządku – próbował sam siebie przekonać Bauer. – Na wszelki wypadek ręce w kieszeń i łap się za pistolet.

Weiß miał pistolet w kieszeni, ale nie tej, do której mógłby sięgnąć prawą dłonią. Miał go z lewej strony, bo w prawej kieszeni miał papierosy i zapalki. Włożył więc tam rękę i trafił na paczkę junco. Zaklął pod nosem i już chciał przekładać zawartość jednej do drugiej, ale mężczyźni byli coraz bliżej. E tam – pomyślał – nic się nie wydarzy. To przecież miejscowe ćwoki. Przepędzimy ich tak samo, jak tamtych wcześniej. Broń nie będzie potrzebna.

– Czołem towarzysze – powiedział ten pierwszy, największy, podchodząc bliżej.

– Czołem – odpowiedzieli obaj towarzysze, ale jakoś tak dość niemrawo.

– Jak wam się tu stoi?

– Dobrze – odpowiedział Weiß. – A czemu pytacie?

– Bo żeśmy przyszli was wzmocnić.

– Czym, sznapssem? – zażartował Bauer.

Ten wielki natychmiast spojrział na Bauera, który stał do niego bokiem, za plecami swojego kompana. Popatrzył mu w twarz i wciągnął głośno powietrze. Natychmiast rozpoznał komunistycznego działacza, z którym kiedyś współpracował

w KPD. Jego dwaj ludzie też go poznali. Żaden nie miał najmniejszych wątpliwości.

– To jest prowokacja! – krzyknął Schulte. – Ten tu – wskazał ręką na Bauera – to komunista!

Ale oskarżony o bycie komunistą nie zamierzał biernie czekać na rozwój wypadków. Wyrwał z kieszeni pistolet i wymierzył w Halbera, bo ten był najbliżej. Na ten widok Halber sięgnął po swojego lugera, ale nie zdążył. Kula wystrzelona z pistoletu Bauera uderzyła go prosto w pierś i natychmiast ścięła z nóg. Nim Schulte zorientował się, że sprawy zaszły za daleko, kolejna kula trafiła go w lewe ramię. I wtedy Bauer popełnił błąd. Skierował lufę w głowę rannego, żeby dokończyć dzieła. Zabrakło sekundy, by bohaterki łeb wojennego weterana Schultego rozpadł się na kawałki. Ten właśnie ułamek wystarczył, by wypalił pistolet Globkego, który był tak zdenerwowany, że wymierzył w brzuch, ale trzęsąca się ręka podskoczyła i trafił komunistę Bauera w chudą szyję, rozrywając tętnicę. Ten zdziwiony wypuścił pistolet z dłoni i chwycił się za ranę, próbując bezskutecznie zatamować tryskającą krew. Schulte doskoczył do niego, spojrzał w przerażone oczy, a potem z uśmiechem zdzielił go potężną pięścią w twarz. Bauer przewrócił się na plecy.

Drugi z zamachowców, Weiß, gdy padły strzały, natychmiast włożył rękę do kieszeni i... natrafił na papierosy. Nerwowo zaczął szukać broni w drugiej. Gdy wreszcie udało mu się ją wydobyć, było już zdecydowanie za późno.

– Te świny chciały zabić naszego Führera! – krzyknął histerycznie Schulte i pociągnął za spust. W tej samej sekundzie zrobił to Globke. Strzelali raz za razem z niepohamowaną wściekłością, opróżniając do końca magazynki lugerów i dziurawiąc Weißą jak sito.

I tak mogłaby się skończyć historia bolszewickiego zamachu na towarzysza Hitlera, gdyby nie młody policjant, który niewiele

zrozumiał z tej strzelaniny. Jedno dla niego było pewne. Ci, których śledził, zastrzelili ludzi z patrolu partyjnego, zapewne po to, by zająć ich miejsce. Prawdopodobnie chcieli zabić przywódcę partii, który zaraz miał nadjechać z lotniska. Na to, jako uczciwy policjant, nie mógł pozwolić. Wykorzystał więc moment, kiedy ci dwaj pochylili się nad ciałem zastrzelonego przez siebie człowieka, i ruszył biegiem w ich kierunku, jednocześnie rozpinając kaburę przytroczoną do pasa. Biegając po brukowanej ulicy, wydobył pistolet.

– Ręce do góry! – krzyknął.

Zdziwieni mężczyźni natychmiast się odwrócili. Gdy jednak dostrzegli policyjny mundur, uśmiechnęli się z ulgą.

– Policja jak zawsze na czas – zażartował Schulte. – Już po wszystkim, panie Leutnancie. Już żeśmy ich utłukli.

– Milczeć i rzucić broń! – zawołał Frank nieco zbyt piskliwym głosem. – Jesteście aresztowani.

– My? – zdziwił się wielki SA-man. – A niby za co?

– Za zamordowanie tych tu i za zabicie Wargatscha, Junga, pani Jung i jeszcze...

– Ty mały skurwysynu. Ja ci dam Junga! – Schulte podniósł pistolet i nacisnął spust, ale iglica trafiła w próżnię. Magazynek był pusty. Frank chciał odpowiedzieć wystrzałem, jego luger jednak nie wypalił, bo Leutnant zapomniał zwolnić bezpiecznik. Ze zdziwieniem spojrzął na swoją broń, nie rozumiejąc w czym rzecz. Ten moment wykorzystał Schulte:

– Globke, zastrzel skurwysyna!

Ten natychmiast wycelował, ale nim zdążył oddać strzał padł jak rażony piorunem, wypuszczając pistolet z dłoni. Zdziwiony Schulte zdążył jeszcze popatrzeć na niego, ale zaraz potem poczuł rozdzierający ból, który rozerwał mu jego mężne, wielkoniemieckie serce. Nie zdążył nawet zobaczyć pięknego, czarnego Opla Regenta, który zatrzymał się tuż przy krawężniku, za plecami młodego policjanta. Nie widział więc,

jak wysiada z niego wielki mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu i kapeluszu przypominającym do złudzenia te z amerykańskich kowbojskich filmów. Nie miał już też szansy dostrzec kawalkady pięciu aut, trzech opeli i dwóch wielkich mercedesów, które nadjechały od strony lotniska. Auta zatrzymały się. Z pierwszego wyskoczyli czterej mężczyźni w czarnych mundurach SS, uzbrojeni w pistolety. Podbiegli do Fischera i Franka, mierząc do nich, gotowi natychmiast zrobić użytek ze swojej broni. Zaraz za nimi, z pierwszego mercedesa w kolumnie, wytoczył się czerwony jak burak okrągły mężczyzna w partyjnym stroju.

– Nie strzelajcie, to nasi ludzie! – zawołał do SS-manów Ferdynand Thomala i podbiegł zaraz do Franka.

– Co tu się stało? – zawołał.

Młody policjant nieco oszołomiony spojrzał na niego.

– Chcieli zabić pana Hitlera, ale ten pan – wskazał na Fischera – zastrzelił ich.

Thomala przez moment mierzył wzrokiem Fischera, a potem odwrócił się i pobiegł w kierunku auta, z którego wysiadł. Tymczasem z drugiego samochodu wyszedł Carl Aschmutat wraz z dyrektorem Policji Josephem Gruenem. Fischer trzymał jeszcze w dłoni swój rewolwer. Obaj podeszli do niego.

– Czekaliśmy na ciebie na lotnisku – powiedział Carl nie wiadomo po co.

– Nie mogłem. Miałem coś do załatwienia.

W tym momencie podbiegł do nich Thomala.

– Panie Hauptmannie Fischer, nasz Führer zaprasza pana do auta.

Polak zwrócił twarz w stronę mercedesa. We wnętrzu dostrzegł twarz mężczyzny z kosmykiem włosów opadających na czoło i ze śmiesznym wąsikiem pod nosem. Dostrzegł też oczy. Te same, które widział wtedy w okopie we Francji, gdy ich właścicielowi oddawał własną maskę przeciwgazową.

Wcisnął rewolwer w dłoń Carla i ruszył w kierunku auta. Idąc, dotknął dłonią swojej marynarki na wysokości piersi. Poczuł, że jest tam, gdzie ją włożył. W wewnętrznej kieszeni miał schowaną kopertę, którą wczoraj rano dostarczono do polskiego konsulatu kurierską pocztą dyplomatyczną. Był to odręczny, napisany po niemiecku list, adresowany do rąk własnych Adolfa Hitlera. List ten napisał marszałek Józef Piłsudski.

Wtorek 19 lipca

Godzina 8.00 rano

Leutnant Eberhardt Frank zapukał do drzwi i gdy usłyszał głośne „wejść”, nacisnął kłamkę. Hauptmann Aschmutat siedział za obszernym biurkiem. Na czystym blacie, prócz przybornika pisarskiego z kałamarzem, bibularzem i dwoma tulejkami na oprawki, leżała kartka papieru. Oficer uniósł wzrok znad kartki i spojrzał na wchodzącego. Ten podszedł do biurka sprężystym krokiem i przystanął na baczność w przepisowej, trzymetrowej odległości.

– Leutnant Frank melduje swoje przybycie.

Aschmutat przez chwilę milczał, by zaraz wskazać mu krzesło stojące pod ścianą.

– Niech pan je weźmie i postawi sobie tutaj, bliżej burka. Nie będzie pan przecież stał.

Leutnant natychmiast wykonał polecenie. Gdy usiadł, Aschmutat jeszcze raz spojrzał na papier, a potem na młodego oficera.

– Mam tu pański list – powiedział, kładąc na nim dłoń. – Pisał w nim pan, że chce się podać do dymisji. Czy podtrzymuje pan tę prośbę?

Frank spuścił głowę i przez chwilę milczał.

– Być może postąpiłem pochopnie, wyciągając zbyt daleko idące wnioski – stwierdził i zamilkł.

– Proszę śmiało mówić. Mamy czas – zachęcił go dowódca.

– Wszystko w tym śledztwie w pewnym momencie wydało mi się bardzo oczywiste, bo wynikające z siebie, i można powiedzieć, że pasowało jak dobrze ułożone kostki domina. Więc teraz wydaje mi się, że za bardzo zaufałem swojej intuicji, a zabrakło w tym wszystkim... doświadczenia.

Aschmutat uśmiechnął się, bo usłyszał właśnie to, co chciał usłyszeć. Widać Thomala zrobił swoje i nakładł mu do głowy tyle, że młodemu wszystko się w niej poukładało we właściwy sposób.

Hauptmann miał całkowitą rację. Po wyjeździe Hitlera wczorajszej nocy Thomala zabrał Franka do swojego domu. Było późno, więc Trudi dawno już poszła spać. Dlatego musieli zachowywać się cicho, aby jej nie zbudzić. Usiedli przy stole w kuchni, na którym gospodarz postawił butelkę żytniówki, dwa kieliszki i talerz z pokrojoną w grube plastry wędzoną, suchą kiełbasą.

– Gdyby Trudi nie spała, to zaraz zrobiłaby nam tu prawdziwą ucztę – wyjaśnił Thomala, nalewając wódkę do kieliszków. – Ale poradzimy sobie jakoś.

– Wie pan, zapomniałem odbezpieczyć pistolet. – Frank wreszcie wyrzucił z siebie to, co nie dawało mu spokoju od kilku godzin. Był zły na siebie, że zachował się jak jakiś niedouczony szeregowiec. – Zawiodłem w najważniejszym momencie. Gdyby nie ten człowiek, który pojawił się nie wiadomo skąd, już bym tu z panem nie siedział.

– Zrobiłeś, synu, wszystko tak jak się należało. – Thomala stuknął szkłem w jego kieliszek i wychylił sznapsa, nawet nie mrugnawszy okiem. Zaraz sięgnął po plaster kiełbasy i wepchnął go do ust. – To twój wielki sukces – mówił, gryząc

jednocześnie. – Pierwsza samodzielna sprawa kryminalna i taki sukces. Każdy by tak chciał zaczynać pracę w policji.

– Zacząć i zakończyć od razu. Już po pracy. Hauptmann Aschmutat przeczytał już pewnie mój list, zaniósł do dyrektora Gruena i teraz śmieją się z mojej głupoty.

– Jakiej głupoty?

– A widział pan kiedyś takiego durnia, co by oskarżył o morderstwa własnego dyrektora? Już po mnie, panie Thomala.

Chwycił swój kieliszek i przełknął całą zawartość jednym łykiem. Oczywiście natychmiast się zakrztusił, a z oczu pociekły mu łzy.

– Masz, zagryź kiełbasą. – Gospodarz podsunął mu talerz, a potem wstał i przyniósł kubek zimnej wody z kranu. Chłopak wypił łąpczywie, usuwając z przełyku resztki wódki.

– Tak jak picia wódki, tak i pracy w policji trzeba się nauczyć. A ty się uczysz wszystkiego naraz. Ale nie martw się, nauczysz się w końcu. Tylko na to trzeba czasu. Jeśli pierwszy kieliszek wejdzie kiepsko, trzeba wypić drugi – powiedziawszy to, nalał mu wódki.

– Nie, ja nie mogę...

– Nie gadaj, tylko wypij.

– Ale...

– Wypij, powiadam.

Frank wziął kieliszek do ręki i ostrożnie wypił. Tym razem się nie zakrztusił. Ale zaraz sięgnął po kawałek kiełbasy.

– No widzisz? Od razu lepiej. Kolejne już pójdą bez drapania w gardle. I tak będzie z twoją policyjną robotą.

– Tak, o ile mnie nie kopną w tyłek.

– Nie kopną.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Bo rozmawiałem z dyrektorem Gruenem. Powiedział mi, że będzie jeszcze z ciebie dobry policjant. Musisz tylko więcej

słuchać mądrzejszych i bardziej doświadczonych od siebie.

Ładne sobie. Słuchać doświadczonych. A kogo miał słuchać, jak go zostawili całkowicie samego z tymi morderstwami? Nikt nie miał czasu z nim gadać, bo wszyscy byli zajęci wizytą Hitlera.

– Niech mi pan powie, panie Thomala, czy dyrektor Gruen rzeczywiście jest synem Grünsteinów? Czy choć tu miałem rację?

Gospodarz przełknął kolejny kieliszek i znów włożył sobie w usta kawał kiełbasy. Przez chwilę gryzł, nie odzywając się słowem.

– Gruen, skąd! Może podobny jest do Grünsteina, ale to nie on. Przecież kto jak kto, ale ja najlepiej go znałem. Myślisz, że bym go nie poznał? Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Nie jest Żydem, jeśli ci o to chodzi. To czysty aryjczyk.

– A tatko zamiast spać, siedzi po nocy – powiedziała z wyrzutem Trudi, wchodząc do kuchni. Dopiero gdy weszła, zorientowała się, że ojciec nie jest sam. Spojrzenia młodego policjanta i jej spotkały się, ale jego zaraz powędrowało niżej, na wypukłości piersi ukrytych pod nocną koszulą. Chłopak poczerwieniał i od razu spuścił wzrok na podłogę. Dziewczyna natychmiast to dostrzegła i na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech.

– Jak już żeś wstała, to idź zrób pościel w gościnnym. Pan Leutnant będzie spał dziś u nas. Przecież nie będzie łąził w nocy po wódce, bo to nie przystoi, żeby oficer w mundurze chwiejnym krokiem wracał do domu. Bo my tu, córcia, jeszcze trochę pogadamy i popijemy...

Trudi uśmiechnęła się szerzej i natychmiast odeszła, kołysząc biodrami, odprowadzana rozmarzonym spojrzeniem chłopaka. Nawet nie pomyślał, żeby zaprotestować w kwestii tego spania, choć do domu miał naprawdę niedaleko.

Hauptmann Aschmutat wziął do ręki kartkę z raportem Franka i przedarł ją na pół.

– Pójdzie pan teraz do swojego pokoju i napisze mi całościowy raport na temat morderstw popełnionych na komunistach przez ich byłego dowódcę Hansa Schultego i jego dwóch pomocników, którzy dodatkowo próbowali wczoraj dokonać zamachu na przywódcę NSDAP, pana Hitlera. Proszę niczego nie ukrywać i także opisać swoją rolę w udaremnieniu tego zamachu. Czy czegoś pan nie rozumie, Frank?

– Jaką moją rolę, panie Hauptmannie? Przecież ja nic nie zrobiłem. Nawet nie wystrzeliłem do zamachowców, bo w nerwach nie odbezpieczyłem pistoletu.

– Czy chce mi pan powiedzieć, że oni wszyscy zastrzelili się sami?

– No nie. Przecież tam pojawił się ten człowiek w kapeluszu...

– Człowiek w kapeluszu? Ja nikogo takiego nie widziałem.

– Jak to? Pan nawet z nim rozmawiał...

– Panie Leutnancie Frank, gdy podjechaliśmy na miejsce, na ziemi leżało pięć trupów. Dwaj byli SA-manami poległymi w obronie naszego gościa, jeden z zamachowców zginął zastrzelony w trakcie wymiany ognia z tymi dwoma z SA, a dwóch pozostałych zastrzelił pan. – Aschmutat sięgnął do szuflady i wy dobył z niej piękny rewolwer. – Tym właśnie coltem pan ich zastrzelił, panie Leutnancie Frank. Czyżbym się mylił?

– No, bo ja właśnie...

– Doskonale, że się rozumiemy. Aha, jeszcze jedno.

– Tak...

– Dyrektor Gruen nigdy nie miał nic wspólnego z rodziną Grünsteinów.

– Tak jest, panie Hauptmannie. Pan Thomala, który znał Josepha Grünsteina, wyjaśnił mi to wczoraj dość dokładnie.

Gdy Frank wyszedł z pokoju, Carl Aschmutat wstał z za biurka

i podszedł do okna. Otworzył je szeroko i wciągnął do płuc wielki haust ożywczego, wilgotnego powietrza. Po wczorajszych ulewach od rana zrobiła się piękna pogoda. Było coraz cieplej. Pożółkła od upałów trawa, pokrywająca całą powierzchnię Danziger Platz, z dnia na dzień zmieniła kolor na piękną, soczystą zielen.

Godzina 8.30

Wachtmeister Wilhelm Schwartz siedział za swoim biurkiem w niewielkim pomieszczeniu, przeznaczonym dla dowódcy posterunku na dworcu kolejowym w Schneidemühl. Służbę zaczął jak zwykle, o siódmej rano, z dwoma stałymi pracownikami i trzema młodymi praktykantami, których przysłano mu tutaj z Danziger Platz. Tych trzech młodych wysłał, jak zwykł robić z nowicjuszami, do patrolowania peronów i hali dworca. Chodziło o to, żeby podróżni widzieli, że policja czuwa i że w każdej chwili mogą szukać pomocy u policjanta. Rottmeistra Neumana zostawił w pokoju obok, czyli w biurze, do którego mogli zgłaszać się ludzie szukający pomocy. Drugiego Rottmeistra, Lutza, posłał w okolicę wyjścia z tunelu prowadzącego wprost na Bahnhofstraße, by kręcił się tam, gdzie znajdowało się kilka barów i restauracji, w których lubili się zatrzymywać podróżni czekający na swoje pociągi. W ten sposób kolejowa policja miała baczenie na wszystko, co działo się na stacji i w najbliższej okolicy. Dzięki temu Schwartz mógł być spokojny o ład i porządek i pójść do dworcowego baru po kilka flaszek piwa. Po wczorajszym deszczu pogoda zmieniła się diametralnie. Od rana było gorąco i do tego jeszcze parno. Nic więc dziwnego, że zachciało mu się pić. Przyniósł butelki, wstawił do wiadra z zimną wodą i wsunął je pod biurko. Teraz musiał tylko poczekać, by piwo się trochę schłodziło.

Zapowiadał się spokojny dzień. Na dworcu niewiele się działo, bo największe grupy działaczy partyjnych w brunatnych koszulach porozeżdżały się już w nocy do swoich miejscowości. Teraz już niewielu z nich kręciło się po peronach, spali w poczekalni i gasili pożar przepitych gardeł w dworcowym bufecie. Ale za kilka godzin stacja wróci do swojego normalnego, codziennego rytmu.

Spojrzał przez zakratowane okno w lewo. Na peronie pierwszym stał pociąg do Kreuz. Podstawiono go przed chwilą i chociaż odjazd miał zaplanowany dopiero za godzinę, to już pakowali się do niego ludzie z tobołkami i walizkami.

Schwartz pomyślał sobie, że teraz jest dobra pora na wypicie piwa. Wypije, a potem pójdzie sprawdzić wszystkie posterunki. Naraz przypomniał sobie młodego Leutnanta Franka. Ciekawe, jak tam jego ustalenia? Jakie by nie były, ważne, że maszynista Huber mógł spokojnie wrócić do pracy. Widział go już dziś rano, jak szedł przez peron w kierunku parowozowni. Nie rozmawiali, bo i nie było o czym. Kolejarz machnął do niego z daleka i poszedł dalej ze swoją robociarską teczką w ręce. Nikt go już nie będzie ścigał za cudze winy.

Nagle drzwi biura otworzyły się i do środka wpadł czerwony na twarzy Rottmeister Lutz. Nie zapukał nawet i nie zameldował się jak należy. Stał tylko przed biurkiem i otworzył szeroko gębę, łapiąc łapczywie powietrze.

– A ty co? – Schwartz spojrzał na niego z wyrzutem. – Po doświadczonym policjancie mógł się spodziewać większej dyscypliny.

- Idzie tu! – jęknął Lutz. – Idzie...
- Kto, do cholery, idzie?
- Idzie dyrektor...
- Jaki dyrektor? Gadajże składniej.
- No dyrektor Policji. Idzie tutaj.
- Widziałeś go?

- Nie widziałem.
- To skąd wiesz, że idzie?
- Bo przyleciał do mnie mój koleżka z dyrekcji, ten rudy Dombrowsky. I on mi powiada, że dyrektor idzie. Bo się dowiedział od swojego kumpla Jaschonka, co robi w archiwum, bo ten Jaschonek był akuratnie w sekretariacie, żeby zanieść jakieś akta, i usłyszał, jak dyrektor powiadał do swojego sekretarza, że za pięć minut idzie na inspekcję na dworzec kolejowy i żeby jemu teraz głowy nie zawracać, bo ma ważniejsze sprawy na głowie od jakichś papierów.
- Dyrektor Gruen tak powiedział?
- On sam.
- O jasna dupa.
- No.
- To co tu jeszcze stoisz. Dalej, leć do wyjścia z tunelu i stój tam, jakby cię wmurowali w ziemię, i pilnuj wszystkiego. Albo nie, leć na perony, żeby ci praktykanci nie siedzieli na ławkach i nie palili papierosów, ale żeby chodzili jak na defiladzie w tę i z powrotem...

Nie dokończył, bo już nie było do kogo gadać. Lutz zniknął, trzasnąwszy drzwiami. Schwartz podniósł się więc z za biurka, zapiął bluzę na ostatni guzik pod szyją, poprawił nieco przekrzywiony pas i dwoma krokami przemierzył niewielki pokój. Wszedł do biura dla interesantów, gdzie siedział Neumann. Nad balustradą oddzielającą go od petentów pochylała się jakaś gruba kobieta w kwiecistej chustce na głowie z narzuconą na ramiona czarną peleryną.

- Taki był biały ten tobolek, a w środku, panie, tyle wszystkiego, że kto by tam spamiętał. Nici miałam nowe cztery szpulki i pudełko z igłami, i dwa kilo cebuli, słoniny wędzonej jeden poćć i do tego jeszcze będzie łyżka drewniana, całkiem zdatna, choć przez środek pęknięta, i flaszka po mleku...

- A kto to wam ukradł? - spytał Neumann.

– No jak, kto? Złodziej ukradł. Inom na moment położyła na podłodze, jak kupowałam bilet do siebie do domu, i już go nie było.

– Kogo nie było?

– No tobołka, przecie gadam...

– Neumann! – zawołał Schwartz.

Podoficer natychmiast poderwał się na równe nogi.

– Na rozkaz!

– Babę won z posterunku, papiery sprzątać raz dwa, żeby mi na biurku było czysto, a potem siadać i czytać regulamin służby. Aha, podłogę mi pozamiatać!

Rottmeistrowi nie trzeba było dwa razy mówić. Skoro Wachtmeister tak nakazał, to nie było co pytać o przyczyny.

– Won mi stąd! Ale już!

– Co?

– Żadne co, bo do aresztu zapakuję!

Po chwili po kobiecie nie było już śladu, a wszystko, co walało się dotąd na blacie biurka, czyli resztki jedzenia, pogniecione papiery, jakieś ogryzione ołówki i stare gazety, zostało zgarnięte do szuflady i zamknięte na klucz. Wyprostowany jakby kij połknął i uczesany na mokro Neumann siedział, przytrzymując brzegi regulaminu służby, otwartego na rozdziale dotyczącym musztry paradnej.

Stwierdziwszy, że jest porządek, Schwartz, groźnie marszcząc brwi, spojrzał na swojego podkomendnego i powiedział:

– Dyrektor Gruen idzie tu z inspekcją!

– W imię Ojca i Syna... – Rottmeister zbladł momentalnie i przeżegnał się na wszelki wypadek, bo to wiele pomóc nie mogło, ale i zaszkodzić również.

– To ja się idę pokręcić po hali dworca – powiedział Schwartz do podoficera i pogroził mu palcem, żeby się dobrze zachowywał, jak przyjdzie zwierzchność. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz prowadzący z jednej strony na perony,

a z drugiej do szerokiego dworcowego holu. I wtedy go zobaczył. Postawnego, wysokiego mężczyznę w dwurzędowym garniturze, bez śladu zarostu na twarzy i z krótko obciętych czarnymi włosami. Dostrzegł go i momentalnie zamarł. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie, że ujrzy tego człowieka i to w chwili najmniej stosownej, kiedy lada moment mógł się pojawić tu sam dyrektor. Schwartz, nie namyślając się długo, podbiegł do niego i zagroził mu dalszą drogę.

– Co ty tu robisz? Oszalałeś, Grünstein? Za chwilę przyjdzie tu dyrektor Gruen, szef całej miejscowej policji przyjdzie tu na inspekcję, a ty jakby nigdy nic sobie tu przyłazisz. Idź no, pochodź se po dworcu, a jak inspekcja się skończy, to ja cię znajdę...

– Chwileczkę, Wachtmeistrze – odezwał się mężczyzna z jakąś figlarną iskierką w oku. – Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać osobiście. Nazywam się Gruen. Joseph Gruen. Jestem dyrektorem Policji w Schneidemühl.

– Że co... – Schwartz był tak zdumiony, że aż go zatkało na moment.

– No, nie stójcie tak jak dupa wołowa, Wachtmeistrze. Oprowadźcie mnie po swoim królestwie.

– Ja, no, bo..., tego...

– Zacznijmy najpierw od waszego biura. Domyślam się, że macie gdzieś tam schowaną butelkę zimnego piwa, a mnie jakoś suszy od rana. Siądziemy i chwilę pogadamy. To gdzie to wasze biuro?

– Tu na lewo, panie dyrektorze. – Schwartz wskazał ręką brązowe solidne drzwi prowadzące na posterunek.

Dyrektor Gruen ruszył pierwszy; Wachtmeister, który jeszcze nie doszedł do siebie, poszedł za nim.

Całe szczęście, że dzisiaj rano to piwo kupiłem – pomyślał, zupełnie nie wiadomo dlaczego.

Epilog

Poznań

Poniedziałek, 29 stycznia 1934

Godzina 8.15 rano

Komisarz Antoni Fischer wszedł do swojego gabinetu i natychmiast zaczął się rozbierać. Na zewnątrz było zimno, bo temperatura od połowy grudnia utrzymywała się poniżej dwudziestu stopni. Dlatego na drogę do pracy, do budynku Dyrekcji Policji przy zbiegu Ratajczaka i 27 Grudnia, na który poznaniacy nie mówili inaczej, jak Prezydium, bo tak nazywał się ów gmach za czasów pruskich, odziewał się dość solidnie. Gdy jednak wchodził do środka, natychmiast rozpinał grube mundurowe palto z kołnierzem z misia i zdejmował szalik. W biurze ściągał już co tylko się dało, łącznie z mundurową kurtką, i za biurko siadał w samej koszuli. Wszystko przez to, że kaloryfery w budynku były rozgrzane niemal do czerwoności. Jak tłumaczył mu kiedyś technik, zajmujący się instalacją grzewczą, nic się tu nie dało zrobić, bo rury i kaloryfery stare, a piec taki, że najlepiej byłoby go wymienić na nowy. Temperatury – wyjaśniał ów człowiek – nijak nie dawało się na nim ustawić. I tak policjanci powinni się cieszyć, że w budynku jest centralne ogrzewanie, a nie piece w każdym pomieszczeniu.

Jak komu gorąco, to niech otwiera okna. No i Fischer otwierał, ale nie mógł na oścież, bo jakby kto otworzył drzwi do jego gabinetu, to przeciąg mógł wpaść do środka i wytłuc szyby. Trzeba więc było między skrzydło a framugę wkładać jakąś książkę. Najlepiej do tego nadawał się *Kodeks karny*, bo pasował idealnie. Fischer wcisnął więc książkę i usiadł za wielkim biurkiem. Na wytartym do czysta i świejącym się blacie leżał dzisiejszy numer „Kuriera Poznańskiego”, a obok teczka z aktami. Od pewnego czasu Fischer prowadził sprawę zaginięcia czterech panien pensjonarek, które zniknęły w ciągu dwóch ostatnich miesięcy ubiegłego roku. Ciała trzech znaleziono z licznymi śladami zadanych tortur i znamionami wielokrotnego brutalnego gwałtu. Po czwartej, jak dotąd, ślad wszelki zaginął, ale Fischer nie miał nadziei. Tacy zwyrodnialcy działają zawsze w podobny sposób. I skoro trzy pierwsze zostały zamordowane, to on i tej czwartej nie dawał większych szans. Teraz, oczywiście nie zaniehbując zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań, należało sprawić, by w ręce potwora nie dostała się żadna z innych mieszkających w Poznaniu panien. Na dziś kazał sobie przynieść akta tej sprawy, by w ciszy posiedzieć nad nimi i przejrzeć wszystko w poszukiwaniu szczegółów oraz jakichś nieprawidłowości. Już chciał otworzyć opasłe tomisko akt, gdy jego wzrok przyciągnął tytuł z pierwszej strony gazety: *Traktat polsko-niemiecki podpisany*. Zainteresowany wziął gazetę w dłonie i zaczął czytać:

Deklaracja polsko-niemiecka o niestosowaniu przemocy – podpisana została w sobotę w Berlinie przez posła polskiego Józefa Lipskiego i niemieckiego ministra spraw zagranicznych Konstantina von Neuratha. Oba państwa zobowiązały się przez najbliższych 10 lat wszelkie kwestie sporne rozwiązywać na drodze pokojowej. Uznały także, podpisane dotychczas przez każdą ze stron, zobowiązania międzynarodowe...

Przeczytał te początkowe zdania artykułu jeszcze raz,

a potem, nie zagłębiając się w dalszy ciąg tekstu, położył gazetę na stole. Nie musiał czytać dalej. Żadne ze słów, które napisał dziennikarz, i tak nie mogłyby oddać rzeczywistego sensu tego, co wydarzyło się w Berlinie. I zapewne mało kto spośród czytających ten sens pojmował. Ale on był jednym z nielicznych, którzy umieli czytać między wierszami. Traktat normalizujący napięcie i można powiedzieć wrogie dotąd stosunki między dwoma krajami był możliwy tylko dlatego, że do władzy w ubiegłym roku doszedł Hitler. Może też dzięki temu, że w pewien deszczowy wieczór dzisiejszy kanclerz Niemiec wziął do ręki list napisany własnoręcznie przez Józefa Piłsudskiego.

Mercedes zatrzymał się na ozdobionej nazistowskimi chorągwiemi brukowanej ulicy, prowadzącej do stadionu miejskiego w Schneidemühl. Kierowca nie wyłączył jednak silnika. Czekał na polecenie, które pozwoliłoby mu pokonać ostatnie dwieście metrów do ustrojonej kwiatami bramy, w której czekała delegacja partyjnych działaczy. Ale najważniejszy pasażer nie śpieszył się. Powoli włożył list do koperty i schował go do kieszeni kurtki.

– Pan wie, co jest w tym liście? – zapytał Hitler.
– Nie znam słów, ale rozumiem sens – odparł Fischer.
– Pan Piłsudski, którego bardzo cenię, zwłaszcza za bezkompromisowość i nieustępliwość, a poza tym za strategiczny geniusz, ma całkowitą rację. Nie istnieją żadne obiektywne powody, aby nasze dwa narody miały toczyć ze sobą spór. Bo prawda jest taka, że nie mamy już o co walczyć ze sobą. On to dostrzega i świadczy to o jego wielkości i fenomenalnym politycznym umyśle. To wielki polityk, panie Fischer. I dlatego zgadzam się z nim, że gdybyśmy my, Niemcy i Polacy, wzięli się za łby, to ani Francja, ani Anglia nie kiwnęłyby palcem, żeby wam pomóc. A jedynym realnym

zwycięzcą takiego konfliktu byłaby Rosja bolszewicka. I dlatego zgadzam się z panem Piłsudskim całkowicie, że misją naszych dwóch narodów jest zniszczenie wschodniej zarazy. Nikt za nas tego nie robi, panie Fischer. Dlatego ta śmieszna wojna celna między Niemcami a Polską nie prowadzi do niczego dobrego, a jedynie osłabia potencjał gospodarczy naszych krajów. Proszę więc przekazać panu marszałkowi, że gdy tylko uda się nam przejąć władzę w Niemczech, a uda się na pewno, spowoduję, że od nas powieją wiatry sprzyjające ociepleniu naszych wzajemnych stosunków. Warszawa musi tylko właściwie odczytać nasze intencje, bo – proszę mi wierzyć – że aby to spełnić, trzeba będzie wykonać u nas ogrom pracy. Jeszcze w Niemczech żywe są nastroje antypolskie, na których zbija się kapitał polityczny.

– Tak jak podczas dzisiejszego wiecu. – Fischer wskazał na wiszącą nad ulicą napis na transparencie wiszącym nad ulicą: „Nie chcemy, aby Poznańskie i Pomorze były stracone”.

– Tylko głupiec nie wykorzystuje okazji. – Hitler uśmiechnął się chytrze. – Żeby dojść do władzy, trzeba słuchać ludzi i mówić im to, co chcą usłyszeć. Ale gdy się już tę władzę posiadzie, wtedy trzeba zatkać pysk motłochowi. Najlepiej grochówką z kiełbasą. I można robić swoje. Pan Piłsudski to doskonale rozumie, podobnie jak ja. I obaj rozumiemy to, czego nie rozumieją Francuzi i Anglicy. Wojna z Rosją bolszewicką jest nieunikniona, bo bolszewizm jest jak rak, który się rozrasta, żywiąc się zdrową tkanką. Więc prędzej czy później wchłonie wszystko, co stoi mu na drodze. Dlatego mamy do spełnienia dziejową misję. Wspólnie musimy tego raka wyciąć i spalić, tak aby się nigdy więcej nie mógł odrodzić.

– Przekażę pańskie słowa.

– Cieszę się, że mogliśmy się spotkać po latach, panie Fischer. Ale zawsze chciałem pana o to zapytać...

– Tak?

– Dlaczego oddał mi pan wtedy swoją maskę przeciwgazową?
Fischer przez chwilę myślał, a potem uśmiechnął się pod
wąsem.

– Bo w chlebaku miałem jeszcze drugą.

Wysiadł z auta i stanął na chodniku. Mercedes ruszył do przodu, a za nim potoczyły się kolejne auta orszaku. W oknie jednego z nich mignęła mu uśmiechnięta twarz Carla. Fischer pokiwał mu i pokazał kciuk wyciągnięty w górę. Nie musiał zbyt długo moknąć na deszczu. Po chwili do krawężnika podjechał opel prowadzony przez Tolka Grubińskiego.

– I jak tam? – zapytał kierowca.

– Należy nam się duża wódka, panie Tolek.

– Porządnemu człowiekowi nie odmawia się kielicha, tym bardziej po robocie.

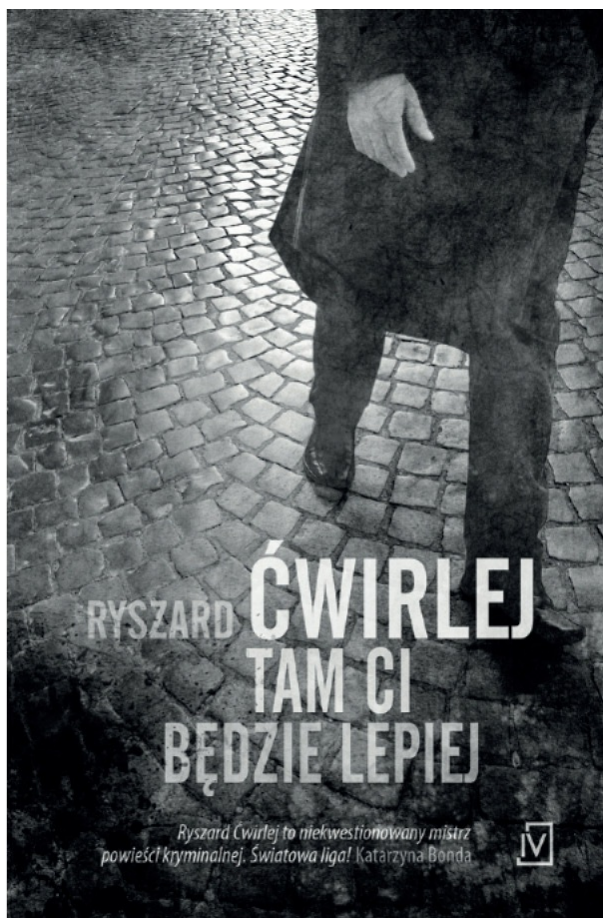
Grubiński wrzucił pierwszy bieg i zawrócił auto na szerokiej ulicy. Był zadowolony. Jutro rano miał wracać pociągiem do domu. Ale co najważniejsze – nie wracał z pustymi rękoma. W walizce miał piękną czerwoną sukienkę dla Kryśki, mrugającą lalkę dla córeczki, a dla syna paczkę pomalowanych na kolorowo ołowianych żołnierzyków. Dla wszystkich kupił kilka tabliczek niemieckiej czekolady, choć nie był do końca przekonany, czy aby na pewno jakaś „Milka” może się równać z polskim „Wedlem”. No i miał coś jeszcze, pod podszewką walizki. Schowaną i starannie zawiniętą w brezent grubą paczkę funtów szterlingów, które wyciągnął z metalowej kasetki, podczas nocnego skoku na kasę pancerną w siedzibie NSDAP. Przecież nie mógł dopuścić, żeby taka kupa forsy się zmarnowała. On o wiele lepiej od jakichś Niemców wiedział, jak zrobić z takich pieniędzy właściwy użytek.

Cerekwica, wrzesień 2016

Poznań, początek 1924 roku. Mieszkańcami miasta wstrząsa fala brutalnych morderstw. Z rąk nieznanego sprawcy giną prostytutki. Śledztwo prowadzi komisarz Antoni Fischer oraz jego zastępca Albin Siewierski. Ten pierwszy to dystyngowany i elokwentny oficer najpierw pruskiej, a potem polskiej armii, przystojny trzydziestokilkulatek, znany ze swojego roztropnego i przemyślanego działania, ponad wszystko ceniący sobie poznański sznyt. Ten drugi to pochodzący z Kongresówki jegomość, dla którego najważniejsze są szybkie efekty pracy, blichtr i brylantyna. I choć reprezentują zupełnie inne wartości, muszą połączyć siły, żeby złapać bezwzględnego zabójcę.

W międzywojennym Poznaniu, gdzie niemal w każdej bocznej uliczce czają się drobni złodziejaskowie, a także zwyrodniali mordercy, trudno utrzymać mores i ład. W mieście, które mimo wszystko szczyli się tradycją pruskiego porządku i mieszczańskiej stabilizacji, dochodzi do serii bestialskich morderstw. A jakby tego było mało – śledztwo utrudniają bolszewiccy szpiedzy. Czy zatem uda się powstrzymać mordercę?

Tam ci będzie lepiej to początek nowej, fascynującej serii książek autora znanego dotychczas z powieści neomilicyjnych, która odsłoni zupełnie inne, mroczniejsze oblicze Poznania.



[L.J]

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Epilog](#)

[Reklama](#)